

wjdrodze

WŁADYSŁAW  
BARTOSZEWSKI

WARTO BYĆ  
PRYZWOITYM

w|drodze

WŁADYSŁAW  
BARTOSZEWSKI

# WARTO BYĆ PRYZWOITYM

Teksty osobiste i nieosobiste

## Wstęp

Zaszczyt i problem. Zaszczyt - bowiem prośba Władysława Bartoszewskiego, bym napisał wstęp do jego książki, jest dla mnie prośbą zaszczytną. Problem - bo rozpoczynający ten tom obszerny esej biograficzny pióra prof. Andrzeja Friszkego prezentuje, obficie czerpiąc ze źródeł, szczegółowy życiorys Profesora. Wynika więc z tego, że muszę napisać w tonie osobistym, co zawsze w wystąpieniu publicznym jest nieproste. Mam jednak tak wiele wdzięczności dla Profesora za ponad trzydzieści lat naszej - niewspółmiernej, bom też i ponad trzydzieści lat młodszy - przyjaźni, że spróbuję od serca coś napisać. Dwie - co najmniej - bowiem istotne rzeczy w moim życiu zawdzięczam Profesorowi Bartoszewskiemu: odkrycie, że także w PRLu istnieje nowoczesny polski patriotyzm oraz że możliwe jest bycie niekoniuunkturalistą w kraju, w którym niepodzielnie króluje koniuunkturalizm.

Skąd ja, skąd moja generacja wchodząca w dorosłe życie w początku lat siedemdziesiątych mieliśmy uczyć się mądrej miłości do Polski? Z podręczników historii, w których nawet tradycja powstań dziewiętnastowiecznych była „geopolitycznie” poprzekręcana, nie mówiąc już o dokumentnym zafałszowaniu całego następnego stulecia? Od nauczycieli, którzy - często przymuszani - sprawdzali uczniowską obecność na pierwszomajowych pochodach, uczyli, że polskich jeńców w Katyniu mordowali Niemcy i przygotowywali akademie ku czci Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej? Z harcerstwa rządzonego przez PZPRowskich aktywistów - biologicznie mocno już przerośniętą partyjną „młodzieżówkę”?

Wydawnictw bezdebitowych jeszcze wtedy nie było. Opozycja jeszcze nie istniała. Jeżeli nie mieszkało się w ośrodkach tak silnych, jak Warszawa i Kraków, bardzo trudno było zarówno o dobry przykład, jak i o rzetelną informację. Mój Wrocław i tak miał na szczęście maleńką enklawę Klubu Inteligencji Katolickiej i właśnie do tej enklawy regularnie przyjeżdżał Władysław Bartoszewski, opowiadając o II Rzeczypospolitej, o Polskim Państwie Podziemnym, o „Żegocie”, Powstaniu Warszawskim czy o eliminowaniu opozycji po wojnie przez PPR i UB. Bardzo ważne było i to, co, i to, jak opowiadał, ale nie mniej ważne było to, kto mówił do nas o tym wszystkim. A mówił więzień Auschwitz, AKowiec ratujący Żydów i walczący w Powstaniu, u zarania PRL - młody opozycyjny polityk, a gdy tylko PRL podrosła - jej wieloletni więzień. A potem człowiek, który mimo braku stałej posady budował zręby polskoniemieckiego i polskożydowskiego pojednania, poddawany nieustannym szykanom ze strony władz PRLu. Zgódźmy się, człowiek-legenda, ale człowiek bez cienia egzaltacji czy autopromocji, ożywiany wielką troską o słabszych, o potrzebujących, o młodszych. Dla mnie,

dla nas w tym okresie inicjacji było to bezcenne, w czasie gdy prawie cały świat mówił do nas: Nie bądź naiwniakiem, nie bądź idealistą, wtop się w ten system; nie bądź donkiszotem - Jałty nie zmienisz, niemieckiej *Realpolitik* nie przetransformujesz, francuski pragmatyzm nigdy nie pozwoli umierać za Gdańsk, tysiące głowic nuklearnych też nie rozbroisz, za duży wiatr na twoją wełnę. A jeżeli nie będziesz pokorny, to wcześniej czy później będziesz miał na karku SB, Stasi czy inne KGB, które zniszczy ci życie, więc się nie oszukuj, lepiej zrób to jak najszybciej, będzie krócej bolało.

Dla mnie, dla mych rówieśników w tym ważnym czasie dorastania Profesor był znakiem nadziei, że tak argumentują fałszywi doradcy, że nie trzeba koniecznie być oportunistą, że można żyć w PRLu i przy tym być spełnionym oraz szczęśliwym. Dlatego każdy jego przyjazd, a zdarzały się dość często, był dla mnie prawdziwym świętem. Rytuał każdej takiej wizyty przebiegał podobnie. Władysław Bartoszewski przyjeżdżał nocnym pociągiem wcześniej rano. Jechałem po niego na dworzec. Z tyłu, w półmroku dyskretnie czaiło się paru esbeków. Jeszcze przed wyjściem z wagonu Profesor zaczynał mówić i przez całą drogę do naszego przyjaciela, który przygotowywał śniadanie, kontynuował swą opowieść, co pewien czas żartując z paru „smutnych” panów, którzy asystowali nam w drodze. Następnie jadł śniadanie i nie przerywając jedzenia, mówił przez cały czas. Tylko on to potrafi. Potem szliśmy na uniwersytet, do biblioteki Instytutu Historii, gdzie przychodziła grupa historyków, a Profesor niestrudzenie perorował. Na obiad szliśmy do arcybiskupa, a potem jeszcze jedno, dwa krótkie towarzyskie spotkania - Bartoszewski nie przestawał mówić ani na sekundę. Potem następowało danie główne pobytu - odczyt w KIKu. Ludzie ściśnięci w sali i na korytarzach, z braku miejsca stali również na zewnątrz, słuchali, jak Pan Władysław wyklada najnowszą historię Polski, czyniąc, z coraz większym zapałem, dowcipne aluzje do realiów PRLu. Huraganowy śmiech, który co chwila przetaczał się przez salę, był niebezpieczny dla zdrowia. W tak wielkim ścisku łatwo można było naderwać mięśnie brzucha lub złamać żebro. Po odczycie szliśmy zawsze do mojego domu na kolację, na którą zapraszałem paru gości. Profesor do pierwszej w nocy mówił bez chwili odpoczynku, a potem rzeński i żwawy wsiadał do nocnego pociągu. W ten sposób mniej więcej raz na kwartał miałem osiemnaście czy dziewiętnaście godzin słuchania przemawiającego bez chwili przerwy Władysława Bartoszewskiego. I człowiek od rana do nocy zawsze słuchał tego z rozdziawionymi ustami. Co najwyżej przeszkadzał coraz bardziej bolący ze śmiechu brzuch, bo Profesor - także w kameralnym gronie - co chwilę serwował wyśmienite dowcipy. Tylko „smutni” panowie pozostawali ponurzy, eskortując nas w drodze na dworzec.

To były niezapomniane lekcje historii pieczętowane świadectwem i dopełniane

rozmowami z Panią Zofią, żoną Profesora, w mieszkaniu na Karolinki. Lekcje niezmiernie dla mnie ważne - umacniające, pośród beznadziei, nadzieję i wiarę. Ta dobra więź przetrwała próbę czasu i galop historii, przetrwała czas „Solidarności” oraz stan wojenny, przetrwała okres „niemiecki” Profesora, gdy zaprosił mnie do Augsburga i okres „ministerski”, gdy ze wzruszeniem patrzyłem, jak prezydent dekoruje go Orderem Orła Białego - sędzę, że przetrwa na wieczność.

A ja zawsze będę myślał z wielką wdzięcznością o Człowieku, który pokazał mi swoim życiem, że także w czasach trudnych, nawet najtrudniejszych, można być przyzwoitym i warto być przyzwoitym.

*Maciej Zięba OP*



Szanowny Panie Profesorze,

80-lecie Pana urodzin jest dla mnie szczególną okazją do przekazania Mu szczerych gratulacji, wyrazów szacunku i uznania. Czynie to z głębi serca, powracając w myślach do naszego ubiegłorocznego spotkania w Watykanie, w dniu 26 lutego, z okazji Pana wizyty jako ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.

Zachowuję w pamięci Pański dorobek naukowy i pisarski, który w dużej mierze jest mi osobiście znany, jak również działalność społeczną i dyplomatyczną – zwłaszcza wszystkie wysiłki na rzecz zbliżania ludzi i narodów. Starał się Pan budować świat lepszy, oparty na prawdzie, sprawiedliwości, miłości i wolności.

Gratuluje bogatych owoców życia, zrodzonych również na gruncie cierpienia. Życzę, aby posługa minionych lat, pełniona z wewnętrznego nakazu serca z troską o ducha narodu i o pomyślny rozwój Ojczyzny, była dla Pana źródłem satysfakcji.

Chętnie łączę się w dziękczynnej modlitwie z Panem i uczestnikami Mszy św., jaka będzie sprawowana w Pana intencji w kościele Środowisk Twórczych w Warszawie. Upraszam potrzebne siły i dary Bożej Opatrzności. Niech dobry Bóg pozwoli przez długie lata cieszyć się darem zadziergniętych przyjaźni, owocami życia i zdobywym doświadczeniem.

Watykan, 7 lutego 2002 r.

*Jan Paweł II*

---

Szanowny Pan  
Prof. Władysław BARTOSZEWSKI  
Warszawa

## Władysław Bartoszewski - szkic portretu

Okupacyjna biografia Bartoszewskiego rozpoczęła się 19 września

1940 r., kiedy niemiecka policja zabrała go z mieszkania podczas łapanki na Żoliborzu. W trzy dni potem wraz z innymi wziętymi w brance został wysłany do Auschwitz. Straszne traktowanie w koszarach SS w Warszawie, potem transport w bydłym wagonie były przerażającym doświadczeniem dla osiemnastoletniego młodzieńca. A był to tylko wstęp do tego, co miał ujrzeć i przeżyć w Auschwitz. Został zarejestrowany jako więzień nr 4427. Obóz w Auschwitz dopiero powstawał, więźniów, wśród których był Bartoszewski, zmuszano do budowania obozu. Czas, kiedy Auschwitz stał się fabryką śmierci, miał dopiero nadejść, ale już wówczas więźniowie masowo umierali na skutek głodu, braku higieny, sadystycznego traktowania i wyczerpującej pracy wykonywanej biegiem, w błocie, zimnie, bez odpowiedniej odzieży. Po kilku tygodniach Bartoszewski był zupełnie wycieńczony, pokaleczony, a ciało miał pokryte wrzodami. Dzięki polskiemu lekarzowi, także więźniowi, trafił do izby chorych, co mu uratowało życie. Z obozu został zwolniony 8 kwietnia 1941 r., najpewniej dzięki staraniom Polskiego Czerwonego Krzyża, którego był pracownikiem. Otrzymał tym samym od losu niezwykle szansę: „[...] z mojego domu, skąd było wywiezionych 14 mężczyzn, zwolniono trzech [...] Pozostałych jedenastu zmarło”<sup>1</sup>.

Do rodziny wrócił w stanie skrajnego wyczerpania. Swojej koleżance, Hannie Czaki, udzielił obszernej relacji o warunkach panujących w obozie. Stała się ona jednym ze źródeł, na podstawie których Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZAK przygotowało broszurę *Oświęcim - pamiętnik więźnia*, wydaną na powielaczu wiosną 1942 r.<sup>2</sup>.

Od października 1941 r. chodził na tajne polonistyczne komplety uniwersyteckie, gdzie wykładali m.in.: Zofia Szmydtowa, Maria Ossowska, Julian Krzyżanowski, a wśród grupki studiujących byli Tadeusz Gajcy i Zdzisław Stroiński.

W 1942 r. - dzięki pośrednictwu Hanny Czaki - spotkał Zofię Kossak, znaną pisarkę, stojącą na czele Frontu Odrodzenia Polski, niewielkiej konspiracyjnej organizacji katolickiej. Jej liczne broszury, dotyczące powinności katolika w warunkach okupacji i zagrożenia życia bliźnich, tworzyły rys ideowy FOPu. Tak Bartoszewski wspomina swoje pierwsze wrażenia ze spotkania z pisarką:

Znałem sprzed wojny chyba wszystkie ważniejsze książki Zofii Kossak, „Pożogę”, „Szaleńców Bożych”, „Nieznany Kraj” [...], ale przede wszystkim głośna w moich latach gimnazjalnych i licealnych trylogię - „Krzyżowców”, „Króla trędowatego” i „Bez oręża”.

Wydawała się wspaniałą reprezentantką katolicyzmu franciszkańskiego. [...] We Froncie Odrodzenia Polski widziała luźną, związaną tylko wspólną ideą i wspólnymi celami grupę ludzi, różnego rodowodu politycznego współdziałających dla budowy przyszłej Polski idealnej, opartej o Ewangelię, a szczególnie o nauki Kazania na górze. Tak, dzięki Zofii Kossak w środku nocy okupacyjnej natrafiłem nagle na język mojego dzieciństwa. Miało to dla mnie ogromną, stymulującą rolę uczuciową. Znalazłem ludzi, którzy mówili moim językiem<sup>3</sup>.

Zofia Kossak zaproponowała Bartoszewskiemu poprowadzenie kolportażu pism FOPu, wkrótce został sekretarzem znanej pisarki, a zarazem sekretarzem redakcji „Prawdy”, organu prasowego FOPu, oraz redaktorem „Prawdy Młodych” - pisma przeznaczonego dla młodzieży<sup>4</sup>. Zofia Kossak włączyła Bartoszewskiego do akcji pomocy ukrywającym się Żydom i organizowania Rady Pomocy Żydom. Poprzez nią poznał Witolda Bieńkowskiego, działacza FOPu i szarą eminencję w Delegaturze Rządu. Od listopada 1942 r. współpracował blisko z Bieńkowskim

w komórce więziennej Delegatury, która kontaktowała się z ludźmi przetrzymywanymi w więzieniach, udzielała im - w miarę możliwości - pomocy, zbierała informacje o przebiegu śledztw, kierunku zainteresowań gestapo oraz ostrzegała osoby zagrożone aresztowaniem. Z Departamentu Opieki Społecznej Delegatury uzyskano znaczne środki finansowe, które umożliwiły dodatkowe zakupy żywności dla kuchni więziennej na Pawiaku oraz wsparcie akcji paczkowej Patronatu Opieki nad Więźniami<sup>5</sup>.

Z komórką więzienną blisko związany był utworzony w lutym 1943 r. referat żydowski Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury, także prowadzony przez Bieńkowskiego, który Bartoszewskiego uczynił swoim zastępcą. Referat ściśle współdziałał z Radą Pomocy Żydom, pośredniczył w jej kontaktach z innymi departamentami i komórkami Delegatury w przekazywaniu funduszy na pomoc dla Żydów, w korespondencji z Londynem itp. Była to więc komórka niewielka, ale umożliwiająca skuteczne działanie Rady Pomocy Żydom. Ponadto w referacie przygotowywano biuletyn przeznaczony dla różnych agend podziemia, w którym opisywano na bieżąco przebieg zagłady Żydów. Zbierano także materiały do walki z szantażem oraz przekazywano ostrzeżenia osobom zagrożonym bądź jako ukrywający się, bądź udzielający pomocy<sup>6</sup>.

W pracach Rady Pomocy Żydom Bartoszewski uczestniczył jako przedstawiciel referatu żydowskiego Delegatury, a zarazem działacz FOPu. Rada była formalnie skonstruowana według klucza partyjnego - uczestniczyli w niej działacze PPSWRN, SL, SD, FOPu oraz przedstawiciele organizacji żydowskich. Jednocześnie w swej bieżącej pracy



opierała się na ludziach często odległych od wszelkich zaangażowań politycznych, poruszonych do głębi tragedią żydowskich współobywateli, zdecydowanych ryzykować własne życie, aby ratować życie innych.

Naszym zadaniem było - najogólniej mówiąc - ratowanie ludzi od śmierci: szukanie pomieszczeń dla uciekinierów z gett i obozów, zaopatrywanie ich w obowiązujące dokumenty, udzielanie dorywczych lub stałych zasiłków materialnych, niekiedy też dopomaganie w znalezieniu pracy dla tych (głównie kobiet), którzy mieli odpowiednie warunki - wygląd! - umożliwiające względnie bezpieczne poruszanie się<sup>7</sup>.

Działalność ta rozwinęła się najszerzej w Warszawie, a także w Krakowie i Lwowie, dzięki istnieniu w tych miastach silnych struktur podziemia. Rada starała się tworzyć komórki prowincjonalne, nawiązać kontakty z reprezentantami lokalnych społeczności żydowskich i przekazywać im jakieś środki materialne. Było to jednak trudne, gdyż do wiosny 1943 r., kiedy Rada rozwinęła swoją działalność, ogromna większość gett była już zlikwidowana, a ich mieszkańcy pomordowani. Nawiązanie kontaktu

z poszczególnymi ukrywającymi się było z natury rzeczy trudne. Toteż wśród podopiecznych Rady dominowali ci, z którymi kontakty nawiązano wcześniej, przed formalnym powstaniem Rady. Część z nich udało się uratować dzięki aktywności Zofii Kossak i innych działaczy FOPu. Zaufanie, jakim działacze FOPu cieszyli się w środowiskach kościelnych, ułatwiało im znajdowanie miejsc dla ukrywających się w klasztorach

i ośrodkach prowadzonych przez Kościół, a także uzyskiwanie „lewych” metryk chrztu dla ukrywających się, co z kolei pozwalało na wyrobienie legalnych już kenkart. W działalności Rady Pomocy Żydom Bartoszewski był aktywny do chwili wybuchu Powstania Warszawskiego.

Od września 1942 r. Bartoszewski był również żołnierzem Armii Krajowej o pseudonimie „Teofil”, zatrudnionym w Wydziale Informacji BiPu (Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej). Była to ważna komórka AK, zajmująca się badaniem polityki okupanta we wszelkich dziedzinach, postaw politycznych społeczeństwa, w tym najróżniejszych grup konspiracyjnych, a także analizowaniem sytuacji mniejszości narodowych, nie tylko Żydów, ale też Ukraińców i Białorusinów. Na podstawie zebranych informacji przygotowywano syntetyczne opracowania i raporty dla komendanta AK, a także dla władz naczelnych na emigracji. W Wydziale Informacji BiPu pracowało grono wybitnych specjalistów z różnych dziedzin, a spajała ten zespół atmosfera nie tylko patriotyzmu, ale i zdecydowanie demokratycznej orientacji. Wydziałem Informacji kierował Jerzy Makowiecki,

a pracowali w nim m.in. sędziwy prof. Marcei Handelsman oraz Aleksander Gieysztor, Ludwik Landau, Witold Kula, Ludwik Widersztal, Wacław Szubert, Stanisław Herbst, Henryk Woliński, Władysław Tomkiewicz, Stefan Kieniewicz. Wielu spośród nich było młodymi, ale wyróżniającymi się już historykami. Bartoszewski podjął pracę w podwydziale, który analizował działalność ugrupowań uznających rząd w Londynie oraz koncepcje programowe prasy i wydawnictw konspiracyjnych. Bezpośrednimi zwierzchnikami Bartoszewskiego byli Adam Dobrowolski oraz Kazimierz Ostrowski, a kierownikiem całego podwydziału Eugeniusz Czarnowski. Wśród najbliższych współpracowników Bartoszewskiego znajdował się Kazimierz Moczarski. Doświadczenie pracy w takim zespole, jaki skupił się w BIPie, było niezwykle budujące dla młodego człowieka, wywarło nań ogromny wpływ, a zadzierzgnięte wówczas kontakty i więzi przetrwały wiele lat.

W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego Bartoszewski otrzymał przydział do placówki informacyjnoradiowej „Anna”. Jej zadaniem było obserwowanie i analizowanie sytuacji, warunków życia, działań służb cywilnych, aprowizacji, opieki społecznej i sanitarnej, aktywności i postaw ludności w południowej części Śródmieścia oraz systematyczne przekazywanie drogą radiową meldunków do centrali BiPu, czyli Oddziału VI powstańczego sztabu. Informację otrzymywali także dowódcy grup bojowych AK, ośrodki opieki społecznej, szpitale, czasem powstańcza policja czyli Państwowy Korpus Bezpieczeństwa. Jednocześnie od 3 sierpnia do końca powstania placówka wydawała dwa razy dziennie biuletyn „Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe”, redagowany przez Bartoszewskiego. Pismo przynosiło informacje z nasłuchów radiowych, wiadomości z miasta, reportaże, apele i zarządzenia władz powstańczych<sup>8</sup>. Kiedy we wrześniu 1944 r. do południowego Śródmieścia przybyło kierownictwo Wydziału Propagandy BiPu, odbywały się systematyczne odprawy dla redaktorów prasy AKowskiej prowadzone przez Tadeusza Żenczykowskiego. Wtedy też Bartoszewski zetknął się osobiście z tym wybitnym oficerem AK, odpowiedzialnym od lat m.in. za przygotowanie propagandy powstańczej. Tuż przed powstaniem lub na jego początku Bartoszewski został przez Romana Goldmana wprowadzony do „konspiracji w konspiracji”, czyli organizacji „Nie”, budowanej na okres okupacji sowieckiej w Polsce.

Po upadku powstania Bartoszewski nie udał się do niewoli, ale - wraz z kilkunastoma pracownikami BiPu - wyszedł z Warszawy wraz z ludnością cywilną z zamiarem dalszej działalności konspiracyjnej. Przedostał się do Kazimierza Moczarskiego i Adama Dobrowolskiego. Redagował przy pomocy Ewy Dreżepolskiej „Dziennik Radiowy - RAD”

oraz sekretarował redakcji „Biuletynu Informacyjnego”, który przez cały okres okupacji był głównym i prestiżowym organem prasowym AK.

W Krakowie 18 stycznia 1945 r. był świadkiem wkroczenia Armii Czerwonej. Zamykał się niezwykle ważny w biografii Bartoszewskiego, jak

i w wielu innych z jego pokolenia, etap okupacji niemieckiej. Wkrótce na zwołanej naradzie kierownictwa BiPu „Moczarski stwierdził, że nasza praca konspiracyjna jest zakończona, Armia Krajowa - dla uniknięcia zbyt ciężkich represji - została rozwiązana, a jej najwyższy zwierzchnik, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, zwolnił nas z przysięgi”<sup>9</sup>.

W lutym 1945 r. powrócił do zniszczonej Warszawy. Na zlecenie Goldmana opracował dla organizacji „Nie” ulotkę *Czy to jest wolność?*, następnie podjął pracę w organizowanej przez płk. Jana Rzepeckiego Delegaturze Sił Zbrojnych. Sytuacja konspiratorów była jednak inna niż pod okupacją niemiecką. Istniała niemal powszechna świadomość głębokiej niesuwerenności państwa - poświadczona obecnością w Polsce wojsk sowieckich i tysięcy „doradców” - a także całkowitej zależności od Moskwy zdominowanych przez komunistów władz od Moskwy. Powszechnym doświadczeniem były mordy i aresztowania dokonywane na Polakach, zwłaszcza żołnierzach podziemia. Jednocześnie, w zmęczonych wojną i wykrwawionym okupacyjnym terrorem społeczeństwie, niezwykle silne było pragnienie powrotu do normalnego życia, odbudowy kraju, pracy zawodowej i studiów. Po powrocie z Londynu do Polski Stanisława Mikołajczyka dominowała, zwłaszcza w kręgu BiPu, tendencja do zamknięcia etapu konspiracji. Niektórzy, jak Witold Bieńkowski, zaangażowali się we współpracę z nowymi władzami. Inni, jak Zofia Kossak, przygotowywali się do emigracji. Równocześnie bezpieka deptała AKowcom po piętach, Bartoszewski dwukrotnie ledwie uniknął aresztowania. Wynikiem tego zmęczenia konspiracją i tworzącego się przekonania o potrzebie innego rodzaju aktywności w nowej sytuacji była decyzja o skorzystaniu

z ogłoszonej przez władze komunistyczne amnestii i ujawnieniu się. Bartoszewski uczynił to 10 października 1945 r. przed komisją, w której - obok przedstawicieli nowych władz - zasiadał były szef Biura Personalnego Komendy Głównej AK płk Jan Gorazdowski. Z konspiracji wychodził jako porucznik czasu wojny, odznaczony w 1944 r. Krzyżem Walecznych oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Okres wojny był niezwykle ważny w biografii Bartoszewskiego, gdyż formował go właściwie na całe dalsze życie. Zdobył doświadczenie jako urzędnik Delegatury i AK, uczestnik akcji pomocy Żydom, ale jednocześnie redaktor, publicysta, kronikarz, dokumentalista, badacz prasy. Nabył ogromną wiedzę o strukturach podziemia. Poznał wielu

wybitnych ludzi, którzy wywarli nań poważny wpływ. Okupacyjne doświadczenia, w tym osobiste przeżycia w Auschwitz, kształtowały też osobowość człowieka. Wielokrotnie później podkreślał swoją antytotalitarną postawę właśnie ze względu na zbrodniczość wszelkiego totalitaryzmu, prawicowego czy lewicowego. Chociaż tak czynny w konspiracji, nie walczył z bronią w ręku. Wybrał drogę walki polegającą na rejestrowaniu i ujawnianiu zbrodni okupanta, pomocy dla ściganych i prześladowanych, oddziaływaniu słowem pisany. Te cywilne formy oporu okazywały się być szczególnie ważne wobec nadciągającej komunistycznej rzeczywistości. W wytrwaniu

w takiej postawie pomogły mu cechy charakteru - wysoki poziom odwagi cywilnej, umiejętność jawnego przeciwstawiania się, zaciętość, a jednocześnie dokładność, metodyczność, wytrwałość, zdolność planowania długotrwałej pracy.

\*

Drogą powrotu do „normalności” była współpraca z Instytutem Pamięci Narodowej kierowanym przez Stanisława Płoskiego, który w latach wojny stał na czele Wojskowego Biura Historycznego w Komendzie Głównej AK, a także działał w BiPie. Przez Płoskiego zetknął się z Główną Komisją Badania Zbrodni Niemieckich. Współpracował m.in. przy przeprowadzaniu ekshumacji ofiar zbrodni popełnionych w Warszawie i w okolicach, m.in. w Palmirach i Magdalence. Jako historyk debiutował w 1946 r. studium *Egzekucje publiczne w Warszawie w latach 1943 do 1944*, zamieszczonym w pierwszym tomie „Biuletynu Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce”. Artykuł ten był jednym z pierwszych powojennych opracowań o terrorze hitlerowskim w Polsce.

Równoległe, dzięki okupacyjnym kontaktom, w lutym 1946 r. otrzymał etat w „Gazecie Ludowej”, organie Polskiego Stronnictwa Ludowego i jedynym opozycyjnym dzienniku. Pierwszy ogłoszony tu artykuł poświęcił Hannie Czaki, aresztowanej w lutym 1944 r. przez gestapo i zamordowanej wraz z rodzicami. W „Gazecie Ludowej” pracował formalnie

w dziale miejskim, ale faktycznie zajmował się tematami budzącymi wówczas niezwykle żywe zainteresowanie. Warszawa była bowiem miastem wracającym do życia i niemal każdy dzień przynosił niezwykle wydarzenia: decyzje o odbudowie poszczególnych gmachów, wznawianiu pracy przez szkoły, biblioteki, uczelnie wyższe, szpitale itp. Relacjonował również proces działaczy NSZetu - Antoniego Symonowicza i innych, ale

w sposób odmienny od dominującego w ówczesnej prasie, bez potępień oskarżonych, z uwypukleniem ich zeznań i wyjaśnień.

Ponadto Bartoszewski podejmował tematy dotyczące niedawnej przeszłości miasta. W

ponad 50 notatkach i artykułach, które opublikował

w 1946 r., dominowały trzy wątki zainteresowań, którym pozostał wierny przez wiele następnych lat: zbrodnie niemieckie, szczególnie w Warszawie, Powstanie Warszawskie (opublikował jedną z pierwszych, a chyba pierwszą tak obszerną wówczas kronikę powstania) oraz męczeństwo Żydów i pomoc udzielana im przez polskie podziemie. Już w tych pierwszych opracowaniach ujawnił się styl charakterystyczny dla późniejszych prac Bartoszewskiego: zwięzłość, rzeczowość, ścisłość faktograficzna, tylko minimum ogólnych komentarzy. Tę metodologię - jak później wspomniał - przejął od prof. Płoskiego, który

[...] stał na bardzo realistycznym stanowisku, że w aktualnie panującym

w Polsce systemie niewiele będzie można zrobić. Jednak nie oznacza to, że historycy mieli zrezygnować ze swoich zadań. Według niego należało więc przede wszystkim dążyć do ustalenia i publikowania w możliwie zwięzłej i suchej formie jak najwięcej faktów. Przyszłe zaś syntezy i opracowania pozostawić na czas, gdy warunki polityczne jakoś się zmienią, nawet gdyby miało to trwać bardzo długo. Dla przyszłych pokoleń prace dokumentacyjne będą mieć podstawowe znaczenie<sup>10</sup>.

W pierwszych miesiącach 1946 r. uczestniczył w rozmowach dawni działacze Rady Pomocy Żydom, którzy po wojnie znaleźli się w różnych ugrupowaniach, zarówno opozycyjnych, jak i wspierających nową władzę. Płaszczyzną spotkań było przekonanie o potrzebie przeciwdziałania wyraźnie obecnym po wojnie nastrojom antyżydowskim, ale także innym postawom nienawiści rasowej czy religijnej. 30 marca 1946 r. powołano do życia Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem. Na jego czele stanął wieloletni działacz PPSu Juliusz Górecki, a w prezydium znajdowali się członkowie kierownictwa okupacyjnej RPŻ - Adolf Berman, Tadeusz Rek, Marek Arczyński, Irena Sandlerowa. Bartoszewski wszedł także w skład Prezydium i jednocześnie został kierownikiem Wydziału Propagandowo-Prasowego. Liga nie zdołała rozwinąć szerokiej działalności, choć zaznaczyła swoje istnienie m.in. przez wydanie odezwy po pogromie kieleckim oraz zorganizowanie publicznego wiecu w Warszawie latem 1946 r. Bezskutecznie natomiast apelowała do najwyższych władz kościelnych o potępienie wystąpień antyżydowskich. We wrześniu 1946 r. uruchomiono pismo „Prawa Człowieka”, ale po trzech numerach przestało się ono ukazywać (wznowione w 1948 r., miało już inny charakter)<sup>11</sup>. Rozwinięcie efektywnej działalności okazało się zatem trudne z wielu przyczyn, m.in. braku zainteresowania władz komunistycznych dla powstania jakiegokolwiek pluralistycznego ideowo ruchu demokratycznego.

Najważniejszym niewątpliwie w owym czasie obszarem aktywności Bartoszewskiego

była „Gazeta Ludowa” i PSL, jedyne legalne stronnictwo, które walczyło z dominacją komunistów. Tymczasem od połowy 1946 r.

w związku ze zbliżającymi się wyborami do Sejmu narastała brutalność reżimu. Kierownictwo PPR zmierzało do zniszczenia PSL za pomocą działań propagandowych, cenzuralnych, policyjnych i zwyczajnego terroru. W tych warunkach Bartoszewski zdecydował zwiększyć jeszcze swoje zaangażowanie - we wrześniu został wybrany do Zarządu Powiatowego PSL Warszawa-Śródmieście, a w październiku wszedł w skład redakcji „Biuletynu Wewnętrznego” Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL, rozsyłanego zarządom wojewódzkim i powiatowym stronnictwa.

Tymczasem cały dział informacyjnopropagandowy stał się obiektem bezpośredniego ataku UB, zmierzającego najwyraźniej do sparaliżowania w przededniu wyborów prasy PSL. 11 października aresztowano Kazimierza Bagińskiego, członka NKW PSL odpowiedzialnego za prasę

i wydawnictwa, 16 października redaktora naczelnego „Gazety Ludowej” Zygmunta Augustyńskiego, po czym w redakcji „Gazety” przeprowadzono szczegółową rewizję, przetrząsając biurka dziennikarzy. W następnych tygodniach UB zatrzymało kolejnych, tym razem młodych pracowników redakcji: Jana Zarańskiego, Wiktora Bazylewskiego i 15 listopada - Władysława Bartoszewskiego.

\*

Przez kilka tygodni był przetrzymywany w areszcie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej, w dniu wigilii przewieziono go do więzienia na Rakowieckiej. Był przetrzymywany - zgodnie z ówczesnymi obyczajami - bez kontaktu z rodziną lub adwokatem, bez dostępu do książek i prasy, w izolacji od współwięźniów. Śledztwo zmierzało do sformułowania oskarżenia o szpiegostwo. Uwięzienie działacza Rady Pomocy Żydom musiało spowodować różnego rodzaju interwencje ze strony okupacyjnych podopiecznych i współpracowników. Niektórzy z nich znajdowali się na wysokich stanowiskach rządowych. Sam Bartoszewski ocenia, że uwolnienie zawdzięcza Zofii Rudnickiej, działaczce RPŻ, a podówczas wysokiemu urzędnikowi Ministerstwa Sprawiedliwości. Z więzienia wyszedł 10 kwietnia 1948 r., ale śledztwo przeciw niemu nie zostało umorzone. W grudniu 1948 r. został przyjęty na trzeci rok studiów polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim.

W Polsce zaczynał się okres forsownej stalinizacji. Nie tolerowano śladu jakiegokolwiek opozycyjnej aktywności, zamykano do więzień prawdziwych lub domniemyanych przeciwników systemu. Bartoszewskiego ponownie aresztowano 14 grudnia

1949 r. Przez półtora roku, do maja 1951, był przetrzymywany w piwnicach MBP na Koszykowej, następnie przewieziony do więzienia mokotowskiego i zamknięty w pojedynczej celi. Po latach wspominał:

Po stałym przebywaniu z kilkoma osobami w mroku i w brudzie, gdzie żarówka piętnastoświecowa paliła się dzień i noc, i gdzie nabawiłem się chronicznego zapalenia spojówek, które po kilkudziesięciu latach dziś jeszcze odczuwam, gdzie kurz z sienników, brak spacerów, dawały się człowiekowi we znaki, to zmiana na samotność wydawała mi się luksusem<sup>12</sup>.

Po kilkunastu dniach trafił do normalnej celi ze współwięźniami również przetrzymywanymi za działalność w AK. Miał to szczęście, że nie był w śledztwie torturowany, co spotkało wielu innych. Po tajnej rozprawie w więzieniu został 29 maja 1952 r. skazany na 8 lat więzienia „za szpiegostwo”.

Wyrok odsiadywał na Mokotowie, pracując w więziennej drukarni.

W kwietniu 1954 r. został przeniesiony do więzienia w Rawiczu, w czerwcu do więzienia w Raciborzu. Śmierć Stalina w marcu 1953 r. zapoczątkowała stopniowo „odwilż”, która wyraziła się m.in. poprawą warunków

w więzieniach. W sierpniu 1954 r., w wyniku starań adwokata Jerzego Meringa, Bartoszewski został zwolniony ze względu na stan zdrowia. Wyszedł chory na gruźlicę, serce, stawy. W marcu 1955 r. został uznany za niesłusznie skazanego. W sierpniu tego roku podjął pracę w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich na stanowisku redaktora wydawnictw fachowych.

\*

W 1956 r. zaczął się nowy rozdział życia Władysława Bartoszewskiego jako kronikarza i historyka lat okupacji. Już w 1956 r. ogłosił w warszawskim tygodniku „Stolica” kilkanaście artykułów o walce podziemnej w latach okupacji, a w niezwykle wówczas popularnym tygodniku „Świat” kronikę Powstania Warszawskiego. Były to publikacje poświęcone takiej tematyce, jaka dotąd nie miała szansy się ukazać, i można uznać, że ich druk był jednym z przejawów „odwilży”. Wyrazem liberalizacji było również dopuszczenie byłego więźnia politycznego do formalnej już pracy redakcyjnej - w „Stolicy”. W roku 1957 opublikował ponad 40 artykułów o różnych akcjach AK, o Powstaniu Warszawskim oraz o Radzie Pomocy Żydom. Debiutował również na łamach „Tygodnika Powszechnego” obszernym artykułem o akcji dywersyjnej „Wieniec”. Rok 1958 przyniósł kolejnych 20 artykułów, w „Stolicy”, ale także w „Tygodniku Powszechnym” i „Świecie”, pośród nich zaś kilka o powstaniu w warszawskim getcie. Bartoszewski rozwijał zatem wątki podjęte już w

pierwszym okresie powojennym: hitlerowskiego terroru, głównie w Warszawie, walk zbrojnych AK, także przede wszystkim w stolicy, Powstania Warszawskiego, losu Żydów oraz powstania w getcie. Przybliżał także ówczesnym czytelnikom wydawnictwa Polski Podziemnej, głównie literackie i poświęcone sprawom kultury.

Była to ogromna praca i bardzo trudne zmagania z cenzurą, a pośrednio z władzami PRL. Pamięć o okupacji została w pierwszym dziesięcioleciu PRL ogromnie wykrzywiona i stała się problemem swoistej schizofrenii. W publikacjach prasowych i książkowych wspominano okupacyjny terror, natomiast walka z okupantem, zbrojna czy cywilna, została zredukowana do czynów bojowych Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Pojęcie „państwo podziemne” było zakazane, Armia Krajowa oskarżana o współdziałanie z Niemcami (przed 1956) lub bierność (po 1956), ale zarówno przed tą datą, jak i po niej - o „reakcyjne oblicze”. Jednocześnie w prywatnej świadomości, zwłaszcza ludzi pamiętających lata wojny, zachował się obraz AK jako czynnej, walczącej organizacji, a zarazem patriotycznego sprzysiężenia narodowego. Ten stan rzeczy - rozdzielenia wiedzy oficjalnej od przechowywanej prywatnie - trwał właściwie do końca istnienia PRLu.

Na tym tle wyraźniej rysuje się specyfika twórczości Bartoszewskiego. Publikując artykuły o akcjach zbrojnych AK, wydawnictwach „londyńskiego” podziemia, pomocy niesionej prześladowanym Żydom, o dziejach Powstania Warszawskiego, a także relacjonując fakty dotyczące zbrodni niemieckich, których ofiarą padali głównie niekomuniści (choćby ze względu na nikły procent komunistów w polskim społeczeństwie), całym swoim pisarstwem polemizował z lansowanym odgórnie obrazem okupacji. Wydobywał fakty, które trudno już było potem zupełnie przemilczać. Ponieważ zaś tych artykułów i faktów było bardzo wiele, toteż i obraz całości musiał się zacząć zmieniać. W walce tej nie był Bartoszewski jedyny, prowadziło ją także kilku innych publicystów i historyków. Bartoszewski był jednak najaktywniejszy, a jednocześnie - co było wówczas rzadkością wśród historyków zajmujących się dziejami najnowszymi - nie godził się na złożenie reżimowi okupu w postaci lojalistycznych deklaracji. Toteż w 1960 r. utracił pracę w „Stolicy”. Pomocną dłoń wyciągnął doń wówczas Jerzy Turowicz, zapraszając na łamy „Tygodnika Powszechnego”.

Od 1956 do 1970 r. Bartoszewski opublikował 320 pozycji, w tym książki *Palmiry 1940-1941* (1959), *Prawda o von dem Bachu* (1961) oraz obszerny tom *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944* (1967), za który otrzymał nagrodę „Polityki”. Książki te, poświęcone eksterminacji Polaków, były kontynuacją i rozwinięciem badań nad okupacją hitlerowską rozpoczętych zaraz po zakończeniu wojny. Przynosiły też, zwłaszcza trzecia



i najobszerniejsza z nich, ogromne poszerzenie wiedzy o terrorze niemieckim i jego ofiarach. *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944* szczególnie wyraźnie ukazywał specyfikę warsztatu historycznego Bartoszewskiego - mnóstwo precyzyjnie odnotowanych faktów, zarządzeń hitlerowskich, szczegółowych dat, wskazania miejsc egzekucji oraz długie listy ofiar, często z informacjami o tym, kim byli zamordowani. Dla dzisiejszego czytelnika szukającego uogólnień taki styl może się wydawać nużący. W tamtych latach książka spełniła ogromną funkcję dokumentacyjną, a także była formą upamiętnienia ludzi i ich męczeństwa.

Bartoszewski był jednym z pionierów badań nad zagładą Żydów w Polsce i stosunkami polskożydowskimi w tym czasie. W ciągu pierwszych kilkunastu powojennych lat, wypełnionych dramatycznymi przełomami skłaniającymi do skupienia uwagi na bieżących sprawach, problemy te stały się nawet dla wielu ludzi dobrej woli mało zrozumiałe, ich obraz wypaczały też różnorodne mity i schematy. Bartoszewski wiele uczynił dla zapoznania Polaków z przebiegiem eksterminacji Żydów i to na łamach prasy szeroko czytanej. Niemal nietknięty przez historyków i publicystów pozostawał natomiast wątek relacji między Polakami a Żydami. Powracając do tych spraw, Bartoszewski spoglądał z perspektywy uczestnika wojennej konspiracji, zaangażowanego w struktury Polskiej Podziemnej, posiadającego ponadto rozległe doświadczenia nabyte podczas pracy nad ratowaniem Żydów. Nie był beznamiętnym badaczem, dążył do upamiętnienia wysiłku tych, którzy ryzykowali, a często stracili życie, próbując nieść pomoc prześladowanym. Przypominał tych ludzi, ale zarazem odsłaniał kolejną kartę pozytywnych dokonań Armii Krajowej i w ogóle Polskiego Państwa Podziemnego.

Toteż referat Bartoszewskiego *Polacy Żydzi okupacja*, wygłoszony w 1961 r. w Klubie Krzywego Koła, wzbudził wielkie zainteresowanie, żywą dyskusję i był zaliczany do najważniejszych spotkań tego Klubu. Potwierdzeniem tego była nagroda honorowa KKK „za zasługi dla kultury narodowej”, którą Bartoszewski otrzymał w 1962 r.

W rok później na łamach „Tygodnika Powszechnego” ogłosił apel o nadsyłanie relacji, wspomnień i dokumentów na temat *Polacy z pomocą Żydom 1939-1944*. Na ich podstawie powstała książka opracowana wspólnie z Zofią Lewinówną. Bartoszewski napisał obszerne wprowadzenie, które jest pierwszą próbą zmierzenia się z tematem stosunków polsko-

- żydowskich w latach okupacji. Po uzyskaniu akceptacji Ministerstwa Kultury i Sztuki (każda przygotowana do druku książka taką akceptację musiała uzyskać) Wydawnictwo Znak opublikowało ją w 1967 r. pod tytułem *Ten jest z Ojczyzny mojej*. Reakcja była mocna, o czym świadczy kilkadziesiąt recenzji w prasie krajowej oraz emigracyjnej. Józef Czapski

pisał w paryskiej „Kulturze”:

Czytać tę książkę jednym tchem jest prawie niemożliwe. Nagie fakty, skrawki ogromnych wydarzeń, a każdy z nich ma wagę absolutną, nie słów pięknych, ale ofiary. Nie widać tu śladu zacierania stron ciemnych - prawie co strona wspomina szantaże, szmalcownicy, szpicle na usługach Niemców, Polacy, a nieraz Żydzi czyhający na mienie i życie Żydów. Wyczuwamy coraz to tło wypadków, ogół zastraszony, obojętny, wrogi wszystkiemu, co grozi straszliwym ryzykiem. Kto wie za granicami Polski, że Polska była jedynym krajem, w którym za podanie szklanki mleka Żydowi, za udzielone schronienie, groziła kara śmierci. Czytamy szereg przykładów wymordowania całych polskich rodzin za przechowywanie jednego starca, czy jednego dziecka<sup>13</sup>.

Bezprecedensowym wyrazem uznania było przyznanie Bartoszewskiemu i Lewinównie nagrody londyńskiego Koła AK. Emigracja polska wraz z jej instytucjami była przez władze PRLu traktowana (właściwie słusznie) jako ośrodek bezwzględnie wrogi. Wszelkie z nią kontakty traktowano jako przejaw nielojalności wobec PRLu, toteż nieliczni w tym czasie przybysze z Polski, nawet jeśli się z przywódcami emigracji kontaktowali, unikali przy tym rozgłosu i odmawiali udziału w publicznych spotkaniach. Te reguły bezpieczeństwa były przez emigrantów na ogół rozumiane. Był to zatem pierwszy wypadek przyznania osobom z kraju prestiżowej nagrody emigracji politycznej i pierwszy wypadek, kiedy autorzy zgodzili się taką nagrodę przyjąć. Co więcej, 16 kwietnia 1968 r. Bartoszewski osobiście odebrał w Londynie nagrodę podczas uroczystości poświęconej rocznicy powstania w getcie warszawskim, w obecności naczelnych władz emigracyjnych, przywódców organizacji politycznych, społecznych, kulturalnych, słowem - establishmentu polskiego Londynu<sup>14</sup>. Udział w tej uroczystości zapoczątkował liczne i kontynuowane potem przez lata kontakty z wybitnymi przywódcami emigracji londyńskiej, m.in. Wandą Pełczyńską, Adamem i Lidią Ciołkoszami, Edwardem Raczyńskim, kręgiem weteranów AK skupionych wokół Studium Polski Podziemnej.

Książka *Ten jest z Ojczyzny mojej* nabrała również bieżącego znaczenia politycznego, gdyż ukazała się w czasie, gdy po wojnie arabskoizraelskiej wybuchła w PRLu kampania antysyjonistyczna, w istocie antyżydowska. Odpowiedzią wielu publicystów i historyków z Izraela oraz diaspory żydowskiej było przypomnienie dawnego polskiego antysemityzmu, w tym zwłaszcza negatywnych zachowań Polaków w czasie okupacji niemieckiej. Książka Bartoszewskiego i Lewinówny pośrednio przeczyła tym uogólniającym ocenom. Równocześnie dla antysemickich aktywistów

z PRLu ton, w jakim Bartoszewski pisał o Żydach, był trudny do zniesienia, a wyrażana

przezeń sympatia dla Izraela dowodem nielojalności wobec państwa. W raporcie MSW z czerwca 1967 r. odnotowano, że Bartoszewski i Stefan Kisielewski „[...] wystąpili z inicjatywą zbierania podpisów wśród inteligencji polskiej pod listem adresowanym do opinii światowej »w obronie zagrożonego Izraela«,<sup>15</sup>. Uczuciom, z jakimi obserwował kampanię antysemicką w PRLu, dał Bartoszewski wyraz w liście do Adolfa Bermiana, pisząc:

[...] z wyrazami najgłębszego wstydu za to, co w Polsce robią rządzący nią komuniści. Na szczęście nie poczuwam się za ich działania do najmniejszej współodpowiedzialności, bo to jest władza obca, policyjna

i Polsce narzucona. [...] Ale bardzo boleję nad tym, że to wszystko się dzieje w imieniu Polaków i Polski, i że jest organizowane przez ludzi, którzy mówią po polsku<sup>16</sup>.

\*

W 1963 r., podczas pobytu w Austrii, Bartoszewski nawiązał kontakt z Tadeuszem Żenczykowskim, podczas wojny jednym z szefów BiPu, a wówczas zastępcą dyrektora naczelnego Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa. Od tej pory pozostawał w konspiracyjnym kontakcie z Żenczykowskim i na jego ręce przysyłał teksty dla Radia Wolna Europa, które następnie były wykorzystywane w pracy redakcyjnej, a kilka z nich zostało wydrukowanych na łamach wydawanego przez rozgłośnie pisma

„Na Antenie”. W tych latach Bartoszewski często wyjeżdżał za granicę, co było związane z rangą, którą zyskał jako badacz niemieckiego terroru w czasie okupacji i stosunków polskożydowskich. Tak więc w 1965 r.

był w RFN i Austrii, w 1966 w Wielkiej Brytanii, RFN i Austrii, w 1968 w Holandii i Austrii, w 1969 w Wielkiej Brytanii, Austrii i Włoszech. Podczas każdej z tych podróży spotykał się z Żenczykowskim oraz Janem Nowakiem, dyrektorem Sekcji Polskiej RWE. Wymieniano opinie o wydarzeniach w Polsce, zastanawiano się nad linią programową radia, Bartoszewski przekazywał teksty, umawiano się na następne.

29 września 1970 r. dyrektor Biura Śledczego MSW i dyrektor departamentu III MSW przesłali do KC PZPR „Notatkę dotyczącą przekazywania do »Wolnej Europy« paszkwilanckich informacji”. Czytamy w niej:

Uzyskano informacje, że grupa osób zamieszkałych w Warszawie, Toruniu i Gdańsku nawiązała kontakt z dyrektorem rozgłośni RWE Janem Nowakiem i jego zcą Tadeuszem Żenczykowskim, który zbiera, opracowuje i przysyła nielegalne informacje o stosunkach społeczno politycznych i gospodarczych w Polsce. Materiały te wykorzystywane są do antypolskich i antysocjalistycznych kampanii propagandowych. Jak obecnie ustalono, inspiratorem przekazywania paszkwilanckich informacji do „Wolnej Europy” jest Władysław

Bartoszewski, dziennikarz i publicysta, zatrudniony w Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Warszawie. Kontakty jego z pracownikami „Wolnej Europy”, osobiste i pośrednie, trwają, jak się okazało, od kilku lat.

W notatce czytamy, że w 1966 r. Bartoszewski przekazał do RWE materiały dotyczące procesów politycznych inż. Mieczysława Zawistowskiego i Karola Głogowskiego, a następnie listę członków Rady Adwokackiej, którzy głosowali za skreśleniem Głogowskiego z listy adwokatów (nazwiska te zostały ujawnione wraz z piętnującym komentarzem w audycji RWE). W 1967 r. przesłał materiały dotyczące procesu Ludwika Hassa, Kazimierza Badowskiego i Romualda Śmiecha, stosunków Kościółpaństwo oraz zaostrzenia cenzury. W 1970 r. przekazał do RWE materiał dotyczący projektu ustawy o badaniach psychiatrycznych (w istocie o groźbie wykorzystywania psychiatrii do zwalczania przeciwników systemu, co było już stałą praktyką w ZSRR). Do „przestępstw” Bartoszewskiego kierownictwo SB zaliczyło również spotkanie w Londynie w grudniu 1969 r. ze znanym sowietologiem Leopoldem Łabędziem, któremu przekazał maszynopis książki Pawła Jasienicy, a w rozmowie „oczernił” ambasadora PRL Mariana Dobrosielskiego (który wcześniej zdobył ponurą sławę jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego zaangażowany w zwalczanie krytycznych wobec polityki władz naukowców i studentów). Oceniając drogę życiową Bartoszewskiego, pułkownicy z MSW pisali:

W ostatnim 25-leciu konsekwentnie wykorzystuje każdą możliwość do działalności antykomunistycznej, dostosowując jej formy i metody do aktualnej sytuacji politycznej w kraju<sup>17</sup>.

O współpracę z Radiem Wolna Europa w porozumieniu z Bartoszewskim SB podejrzewała również docenta Stanisława Salmonowicza, prodziekana Wydziału Prawa Uniwersytetu Toruńskiego, oraz wspomnianą już w tym szkicu Ewę Dreżepolską, wówczas radcę prawnego w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego, którą oskarżano o to, że pełni funkcję „łączniczki” między Bartoszewskim i Żencykowskim. 24 września przeprowadzono rewizję u Salmonowicza, nazajutrz u Dreżepolskiej, po czym oboje aresztowano. W ich mieszkaniach funkcjonariusze SB znaleźli notatki, które wskazywały na kontakty z RWE oraz charakter zamówień Nowaka i Żencykowskiego. Były wśród nich pytania o wyniki wyborów do Naczelnej Rady Adwokackiej oraz o sytuację wśród adwokatów, lekarzy, ludzi kultury, o to, co działo się na ostatnim Kongresie ZBoWiDu, kto był w składzie sędziowskim, który w 1952 r. skazał gen. Augusta Emila Fieldorfa na karę śmierci, jaki jest stan pomnika i cmentarza poległych w 1920 r. pod Radzyminem, a także wiele próśb o przysłanie wydanych w Polsce książek<sup>18</sup>. Były to więc prośby o dostarczenie informacji i materiałów, które

w każdym normalnym państwie są publikowane w gazetach, w PRLu jednak były tajemnicą chronioną przez cenzurę.

1 października 1970 r. do domu Bartoszewskiego wkroczyła ekipa funkcjonariuszy SB i przeprowadziła wielogodzinną, szczegółową rewizję. Nie znaleźli niczego, co pozwoliłoby szerzej podbudować wysunięte oskarżenia.

Zebrane przez SB fakty, odpowiednio zinterpretowane, pozwalały szefom MSW snuć plan doprowadzenia do procesu analogicznego, jaki na początku 1970 r. wytoczono współpracującej z Jerzym Giedroyciem grupie „taterników”. W tym procesie sądzono jednak ludzi młodych, o niestabilizowanej jeszcze pozycji społecznej i zawodowej. Wytoczenie procesu Bartoszewskiemu, byłemu więźniowi stalinowskiemu, autorowi wielu książek, jednemu ze Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, było jednak ryzykowne. Władze musiały się liczyć z protestami i manifestacjami solidarności

z oskarżonym (lub oskarżonymi) wśród intelektualistów, w środowisku AKowców i - co chyba najważniejsze - za granicą. Postępowanie jednak rozpoczęto i przez szereg miesięcy Bartoszewski był przesłuchiwany przez prokuratora, który w grudniu 1970 r. postawił mu zarzut „[...] współdziałania z antypaństwowymi siłami z Radia Wolna Europa na szkodę PRL”. Do procesu mogłoby dojść, gdyby nie Grudzień 1970 i upadek ekipy Gomułki. Nowe kierownictwo PZPR z Gierkiem na czele proklamowało „odnowę” i nie zamierzało wikłać się w kosztowny pod względem propagandowym proces polityczny. Na początku 1971 r. sprawę umorzono. Wydano jednak wyrok w trybie administracyjnym i niejawnym, umieszczając Bartoszewskiego na „czarnej liście” osób objętych zakazem druku - jak się okazało, na trzy lata - oraz pozbawionych prawa podróżowania za granicę.

Właściwie powinien być w tej sytuacji przycichnąć i „zejść z oczu”, tymczasem w grudniu 1971 r. zdecydował się przyjąć „bardzo złą” nagrodę londyńskich „Wiadomości” i to *ex equo* z pierwszoplanową postacią emigracji - Adamem Ciołkoszem. „Bartoszewski otwartą kartką podpisaną imieniem i nazwiskiem, na nasz domowy adres napisał, jak bardzo się cieszy z otrzymania tej nagrody” - wspominała Lidia Ciołkoszowa<sup>19</sup>.

W okresie „niebytu” Bartoszewski opublikował jednak kilkanaście niewielkich prac w „Roczniku Warszawskim”, „Zeszytach Oświęcimskich”, „Dziejach Najnowszych” i innych pismach specjalistycznych. Dla szerszego czytelnika mógł zacząć pisywać w 1973 r., a w roku następnym powrócił na dobre. Jego ogromne kalendarium *1859 dni Warszawy*, opublikowane przez Wydawnictwo Znak, zostało rozkupione błyskawicznie, a także doczekało się kilkudziesięciu recenzji, w tym również zjadliwych, pisanych przez funkcjonariuszy propagandy PZPR, którzy zarzucali autorowi ukazanie życia miasta „[...]

przez pryzmat działalności podziemia związanego z rządem emigracyjnym”<sup>20</sup>. Wbrew wysiłkom takich propagandystów, książka została pozytywnie oceniona przez czytelników i historyków, i jest do dziś najobszerniejszą, niezastąpioną kroniką okupacji niemieckiej w Warszawie. Miał swój okazały udział także w kilkutomowym, monumentalnym dziele *Ludność cywilna w powstaniu warszawskim* wydanym w 1974 r. W tym okresie Bartoszewski potwierdził swoją wysoką rangę naukową, docenianą w środowisku oficjalnych, akademickich historyków, w tym także profesorów z legitymacjami PZPR. Był zapraszany na konferencje naukowe poświęcone problemom wojny. W 1973 r. otrzymał kontrakt starszego wykładowcy historii na KULu, a jego seminarium magisterskie poświęcone dziejom Polskiego Państwa Podziemnego cieszyło się ogromną popularnością. Powstało też na nim szereg prac niezwykle wartościowych, poszerzających wiedzę o latach okupacji i różnych ośrodkach konspiracyjnych. Równocześnie od 1972 r. pełnił

- wybrany na wniosek Antoniego Słonimskiego - funkcję sekretarza generalnego Polskiego Pen Clubu.

\*

W połowie lat sześćdziesiątych zaczął odgrywać znaczącą rolę w rodzącym się dialogu polskoniemieckim. Rządząca do 1970 r. ekipa Gomułki pilnie strzegła swej wyłączności na budowanie stosunków polskoniemieckich, czego wyrazem była na przykład niezwykle gwałtowna reakcja na list biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. W retoryce propagandowej podtrzymywano obraz RFN jako państwa zagrażającego Polsce i w ogóle pokojowi w Europie. Podejmowanie prób dialogu polskoniemieckiego było więc bardzo trudne, zarówno ze względu na partnerów niemieckich, jak ogromną podejrzliwość władz PRLu. Nie przypadkiem we wspomnianym raporcie MSW na temat Bartoszewskiego jako jedną z okoliczności go obciążających wymieniano kontakty z korespondentami prasy niemieckiej w Warszawie - Renatą Marsch i Angelą

Nacken. W tych warunkach ostrożne próby dialogu podejmowało środowisko Znak, w tym zwłaszcza Stanisław Stomma i Tadeusz Mazowiecki. Do owych prób dialogu włączył się również Bartoszewski, który m.in. od 1963 r. pozostawał w kontaktach z austriackim katolickim tygodnikiem „Die Furche”, a od 1965 r. bywał również w RFN, poznawał przemiany dokonujące się w Niemczech i przekazywał obserwacje Polakom - na łamach „Tygodnika Powszechnego” lub na spotkaniach w Klubach Inteligencji Katolickiej. Te kontakty i ten dialog podejmował przy założeniu, że zbrodnie niemieckie nie mogą być zapomniane, a granica na Odrze i Nysie znajduje się poza możliwością dyskusji.

Po zawarciu układu polskoniemieckiego w 1970 r. oraz po zmianie ekipy kierowniczej

PZPR, w ślad za poprawą stosunków międzypaństwowych, dopuszczono do pewnych, wprawdzie bardzo ograniczonych, kontaktów o charakterze intelektualnym i społecznym. Do takich kontaktów szczególnie predestynowane było środowisko Znaku, które niemieccy partnerzy - głównie z Pax Christi, Bensberger Kreis i Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich - znali i oceniali jako autentyczne, wiarygodne, wykazujące niezmiennie dobrą wolę, a jednocześnie cieszące się znacznym zaufaniem hierarchii katolickiej. Oglądane z zagranicznej perspektywy środowisko Znaku było namiastką alternatywnej wobec komunistów polskiej elity politycznej. W 1971 r. grupa „Tygodnika Powszechnego” oraz zachodnioniemiecka organizacja katolicka Pax Christi wystąpiły

z inicjatywą zorganizowania seminarium oświęcimskiego. Miejsce wybrano nieprzypadkowo - chodziło o podkreślenie straszliwego dziedzictwa wojny, które nie powinno być zapomniane, ale jednocześnie deklarowano potrzebę budowania nowej, pozytywnej przyszłości. Po wahaniach władze PRLu wyraziły zgodę. 1 i 2 grudnia 1972 r. w Oświęcimiu odbyło się seminarium, na które przybyło 10 przedstawicieli Pax Christi oraz 14 osób z Polski. Wśród polskich uczestników seminarium trzeba wymienić Stefana Wilkanowicza, ks. Andrzeja Bardeckiego, Tadeusza Mazowieckiego, Józefę Hannelową, Mieczysława Pszona, Wojciecha Wieczorka i Władysława Bartoszewskiego<sup>21</sup>.

Seminarium Oświęcimskie nie było inicjatywą jednorazową. Następne spotkanie odbyło się 2 października 1973 r. w Bendorf w RFN, kolejne

3 grudnia 1974 r. w Makowie Podhalańskim. Tym razem po stronie polskiej zwracała uwagę grupa wybitnych polskich księży, wśród których byli m.in.: bp Herbert Bednorz, ks. Andrzej Bardecki, ks. Alfons Nossol,

ks. Tadeusz Pieronek, ks. Alfons Skowronek, ks. Mieczysław Maliński, a obok nich politycy i publicyści Znaku: Stefan Wilkanowicz, Stanisław Stomma, Mieczysław Pszon, Andrzej Micewski, Jacek Wejroch. Na tym właśnie spotkaniu Bartoszewski wygłosił główny referat<sup>22</sup>. Warto zacytować jego fragment, gdyż ukazuje on zarówno perspektywę intelektualną seminariów oświęcimskich, jak również podejście Bartoszewskiego do dialogu polskoniemieckiego. Na wstępie Bartoszewski uznał, że

w tym dialogu nie powinno się mówić o „stronach” reprezentujących dwa narody, ale raczej o wspólnocie ludzi gotowych pracować dla pojednania. Po przeciwnej stronie są zarówno Niemcy, jak Polacy, którzy takiej potrzeby nie widzą lub nawet ją negują.

Jako chrześcijanie nie uznajemy pojęcia winy zbiorowej [...] ale istnieje przecież coś takiego, jak zbiorowe przyczyny, istnieją zbiorowe skutki przeszłości hitlerowskiej. Na tym gruncie rodzą się nieraz kompleksy niższości, które mogą łatwo przeobrazić się w

nadwrażliwość i skłonność do agresji. [...] Drodzy Przyjaciele! Nie ma uczciwego i rzeczywistego pojednania bez świadomej znajomości przeszłości. Ta przeszłość była nadludzko ciężka i mroczna. Aby tę przeszłość skutecznie przezwyciężyć, musimy działać cierpliwie, nie pośpiesznie, ale zdecydowanie i konsekwentnie. Więcej: musimy mieć odwagę działać także i niepopularnie. Musimy być gotowi do ofiar. A ponieważ ta przeszłość była nadludzko ciężka i nadludzko obciążona, musimy być jako chrześcijanie gotowi także do wspólnych nadludzkich niemal wysiłków, aby osiągnąć nasz wspólny cel<sup>23</sup>.

Aktywność Bartoszewskiego w dialogu z katolikami niemieckimi szła w parze z udziałem w szerszych inicjatywach zmierzających do przełamywania stereotypów i uprzedzeń. We wrześniu 1977 r. w Kolonii wziął udział w debacie na temat *Intelektualiści i polityka. Prawa człowieka*, obok Heinricha Bölla, Friedricha Dürrenmatta, Leszka Kołakowskiego i Zdenka Mlynara. Od października 1977 r. przebywał na zaproszenie Departamentu Stanu w Stanach Zjednoczonych, gdzie odbywał liczne spotkania w środowiskach polskich i żydowskich. W grudniu tego roku gościł w Londynie na zaproszenie rządu brytyjskiego.

\*

Słowa o potrzebie wysiłków i ofiar dotyczyły - jak się okazało - nie tyle stosunków polskoniemieckich, ile walki o poszerzenie ram wolności w Polsce. W kontakcie ze środowiskami organizującymi różne akcje sprzeciwu wobec władz PRLu Bartoszewski pozostawał od lat, a szczególne znaczenie miała rozwijająca się przyjaźń z Janem Józefem Lipskim. Pośredniczył w przerzuceniu na Zachód „Listu 34” w 1964 r. Na prośbę Lipskiego przekazał za granicę w 1970 r. maszynopis książki Władysława Bieńkowskiego *Motory i hamulce socjalizmu*, w 1974 r. podpisał obok 10 innych intelektualistów apel do Rady Państwa o ułaskawienie więzionych przywódców organizacji „Ruch”, a w 1975 r. list do władz o podjęcie starań na rzecz poprawy losu Polaków w ZSRR. W latach 1974-1975 w mieszkaniach prywatnych prowadził seminaria i dyskusje dotyczące najnowszej historii Polski, w których uczestniczyło grono zbuntowanej wobec systemu młodzieży; spośród niej rekrutowało się późniejsze środowisko KORu.

Rok 1976 rozpoczął nową fazę niezależnej działalności obywatelskiej. Na początku tego roku setki osób składały podpisy pod listami zawierającymi sprzeciw wobec zamierzonego przez władze wprowadzenia do *Konstytucji PRL* zapisów o uznaniu kierowniczej roli partii oraz sojuszu z ZSRR. Bartoszewski podpisał obok m.in. Antoniego Słonimskiego, Edwarda Lipińskiego, Jana Józefa Lipskiego, Zbigniewa Raszewskiego, Anieli Steinsbergowej, Jacka Kuronia i Adama Michnika tzw. „List 14”, sprzeciwiający się wpisaniu



do *Konstytucji PRL* zapisu o sojuszu z ZSRR. Po wystąpieniach robotników w Radomiu i Ursusie oraz powstaniu KORu

podpisał apel z wnioskiem o powołanie nadzwyczajnej komisji sejmowej dla zbadania prześladowań, które dotknęły uczestników robotniczego protestu.

W tym czasie narastającej aktywności ruchu opozycyjnego Bartoszewski wypracował własną formułę udziału w tym ruchu. Wątpił w skuteczność jawnej walki politycznej z reżimem, który nie zamierza szanować reguł prawa, udzielał jednak wsparcia uczestnikom takich działań. Trzeba zauważyć, że w narzuconych przez władze realiach walki z opozycją ludzie tacy jak Bartoszewski ryzykowali zniszczeniem budowanego przez wiele lat ogromnego warsztatu pracy. Praktyką działania służby bezpieczeństwa było bowiem konfiskowanie w czasie rewizji wszelkich druków nieposiadających debitu w PRLu, a zatem wydawnictw emigracyjnych, obcojęzycznych i konspiracyjnych, także z lat okupacji. Ogromny księgozbiór Bartoszewskiego zawierający również tysiące druków z lat wojny został już raz przetrzebiony przez SB podczas rewizji w 1970 r.

Bartoszewski podejmował jednak ryzyko, udzielając wsparcia inicjatywom opozycyjnym, a bezpośrednio angażując się w tworzenie niezależnego ruchu naukowego i oświatowego. W styczniu 1978 r. należał do współzałożycieli Towarzystwa Kursów Naukowych i podjął - w mieszkaniu Jana Józefa Lipskiego - wykłady na temat historii politycznej Polski

w okresie wojny i okupacji. Prowadził je przez trzy semestry. Władze zareagowały odmową wydawania paszportu, przerywając tym samym efektywny udział Bartoszewskiego w dialogu polskoniemieckim i polskożydowskim. Jak wszystkie osoby związane z niezależnymi inicjatywami społecznymi i kulturalnymi był eliminowany z oficjalnego obiegu wydawniczego i publicystycznego. Cenzura dopuszczała do druku jego teksty

w „Tygodniku Powszechnym”, „Więzi”, niekiedy w wydawnictwach specjalistycznych, ale uniemożliwiała druk w czasopiśmie „świeckich”, nie dopuszczano go do radia, telewizji, odmawiano zgody na wznowienia książek. Bartoszewski odpowiadał mnożeniem odczytów w kościołach i duszpasterstwach różnych miast. Na jego prelekcje przychodziło nawet po kilkuset słuchaczy, a popularnością w tej dyscyplinie mógł się z nim mierzyć chyba tylko Stefan Kisielewski. W swoich artykułach, także publikowanych w drugim obiegu, był bardzo rzeczowy, unikał komentarzy, koncentrował uwagę na historycznych faktach, nieraz bardzo drobnych, które dopiero w zestawieniu układały się w wartościującą ocenę. Jako wykładowca także zwracał uwagę na szczegółowe fakty, ale opowiadał o zdarzeniach z niezwykłą swadą, wprowadzał dłuższe dygresje, nie unikał dowcipów i złośliwości, szczególnie wobec różnych

komunistycznych tez propagandowych, praktyk cenzury itp.

W 1979 r. władze postanowiły doprowadzić do likwidacji zajęć TKNu, nawet przy użyciu brutalnych metod. W marcu doszło do słynnego napadu na mieszkanie Jacka Kuronia, przemoc fizyczną stosowano także wobec innych osób. Po przerwie wakacyjnej, jesienią 1979 r., milicja i SB nie dopuściły już do publicznych wykładów. Wykład inauguracyjny, który rozpocząć miał nowy rok akademicki TKNu, zamierzał wygłosić Bartoszewski. Przed oznaczoną godziną do mieszkania, w którym miał się odbyć wykład, wkroczyła milicja i przystąpiła do rewizji. Przebywających tam studentów oraz Bartoszewskiego funkcjonariusze sfotografowali i nakazali opuszczenie mieszkania. Zapowiedziany wykład Bartoszewski jednak wygłosił w innym terminie. Odpowiedzią było postawienie go przed Kolegium do Spraw Wykroczeń pod zarzutem „zorganizowania nielegalnego zebrania” i ukaranie grzywną w wysokości 5 tys. zł (równowartość przyzwoitej pensji). Bartoszewski odwołał się do sądu, stwierdzając, że prowadzenie publicznych wykładów uważa za swój obowiązek. Sąd jednak wyrok utrzymał<sup>24</sup>.

Zamknięcie Bartoszewskiemu ust było jednak niezmiernie trudne. Wykład, za który został skazany, opublikował poza cenzurą jako broszurę. Publicznych prelekcji nie przerwał, korzystając z gościnności licznych sal kościelnych. A wyrok Kolegium ds. Wykroczeń został opisany w wielkonakładowych dziennikach zachodnich z nieprzychylnymi dla władz

PRLu komentarzami. W czerwcu 1980 r. TKN wystosował *List otwarty do nauczycieli i wychowawców* zawierający miazdzącą krytykę systemu oświatowego PRLu oraz wskazującą na wynikające z tego tytułu zagrożenia dla zachowania tożsamości kulturalnej i narodowej młodych pokoleń. Bartoszewski był wśród 9 osób, które podpisały list TKNu w imieniu członków.

W tych latach Bartoszewski związał się także z inną inicjatywą opozycyjną, jaką było Polskie Porozumienie Niepodległościowe. PPN rozpoczął działalność w 1976 r., a polegała ona na przygotowywaniu i rozpowszechnianiu poza cenzurą esejów i opracowań, które miały służyć budowaniu niezależnej myśli politycznej. Z działalnością PPN zetknął się jesienią 1977 r., gdy Zdzisław Najder poprosił go o pośrednictwo w nawiązaniu kontaktu z Jerzym Lerskim, dawnym kurierem AK mieszkającym w Stanach Zjednoczonych. Podzielał pogląd twórców PPN, że anonimowość i tajność pozwala na większą swobodę wypowiedzi. W późniejszym okresie pomagał Najderowi w napisaniu tekstu *Polska a Niemcy* oraz Najderowi i Andrzejowi Kijowskiemu przy esejju *O stosunkach z Niemcami raz jeszcze*. Oba opracowania zawierały rozważania, które przełamywały ówczesnie panujący, również w środowiskach opozycyjnych, sposób myślenia o przyszłych stosunkach polskoniemieckich.

Bartoszewski był również głównym autorem innego tekstu PPN: *PolacyŻydzi*. Ponadto czytał i konsultował szereg innych opracowań PPN.

\*

W sierpniu 1980 r. podpisał apel polskich intelektualistów z wezwaniem do kompromisu i uznania prawa robotników do tworzenia niezależnych związków zawodowych. 11 października 1980 r. na zebraniu sygnatariuszy tego apelu mówił, że najważniejsza obecnie jest obrona i urealnienie porozumień sierpniowych, także przez rozbudowę niezależnego ruchu studenckiego i naukowego. Wyraził nadzieję: „Oby były to odmiany trwałe”. Każdej grupie tworzącego się ruchu obywatelskiego przyznawał prawo do aktywności, ale podkreślał potrzebę zachowania nadrzędnej jedności moralnej:

Wiele środowisk uczestniczyło w tworzeniu nowej świadomości społecznej, a zasługi KORu są bardzo wyraźne. Powinniśmy z wielkim szacunkiem odnosić się do tych ludzi. Potrzeba poczucia solidarności głębszego od taktycznych rozbieżności.

Słowa te odnosiły się do napięcia panującego wówczas między gronem głównych ekspertów „Solidarności”, skupionych wokół Tadeusza Mazowieckiego, a środowiskiem KORu. Wyznając zasadę nadrzędnej solidarności ruchu demokratycznego oraz uznając potrzebę przeciwstawiania się wszelkim represjom politycznym, w grudniu 1980 r. wszedł w skład Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Był członkiem „Solidarności”, ale nie zajmował żadnych stanowisk. Kilkakrotnie natomiast komentował polską sytuację w „Der Spiegel” i innych pismach zagranicznych, jednoznacznie deklarując się po stronie „Solidarności”. Wywiady te były jednak wtórną formą aktywności. Najwięcej energii wkładał w to, aby wykorzystać zelźnienie cenzury i docierać do czytelnika z prawdą

o doświadczeniach lat wojny, zwłaszcza Powstania Warszawskiego. Na łamach „Tygodnika Solidarność”, którego nakład wynosił 500 tys. egzemplarzy, opublikował obszerny artykuł o powstaniu. Największym dokonaniem autorskim Bartoszewskiego było w tym okresie 67 odcinków audycji *Dni walczącej stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego*, którą emitował III program Polskiego Radia. Zapis tych audycji ukazał się w zmienionej już sytuacji w 1984 r. w Londynie oraz w podziemiu (kolejne, „jawne” wydanie mogło się ukazać dopiero w 1989 r.). Jesienią 1981 r. opublikował książkę *Polskie Stronnictwo Ludowe w latach 1945-1946*, będącą zbiorem dokumentów zawierających protokoły posiedzeń władz naczelnych PSLu.

W czasie rewolucji „Solidarności” był więc przede wszystkim historykiem, rzadko jedynie wkraczającym w sferę polityki. Znajdował się natomiast w gronie osób, które cieszyły się autorytetem przekraczającym ramy jednego obozu politycznego. Osobisty autorytet wzmacniało nieraz stanowisko zajmowane z wyboru - w przypadku Bartoszewskiego funkcja

sekretarza generalnego Polskiego Pen Clubu. Istnienie takiego grona było ważnym elementem ówczesnej sytuacji. W szczególnie trudnych momentach wystąpienia autorytetów były ważnym czynnikiem łagodzenia napięć, względnie wywierania na władze presji na rzecz zachowywania pokoju społecznego i respektowania elementarnych praw obywatelskich. Takie znaczenie miał wspomniany już apel intelektualistów z sierpnia 1980 r.,

a także budowany z udziałem niezależnych autorytetów Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. Bartoszewski znajdował się również wśród kilkunastu sygnatariuszy oświadczenia z 7 czerwca 1981 r. wydanego jako reakcja na list KC KPZR do KC PZPR z 5 czerwca 1981 r. wzywający do zahamowania polskich przemian. W oświadczeniu tym podkreślano pokojowy przebieg polskich reform oraz ich wagę dla zachowania pokoju społecznego w Polsce. Jesienią 1981 r. „Solidarność” wystąpiła z projektem utworzenia Społecznej Rady Gospodarki Narodowej jako organu reprezentującego społeczeństwo i współpracującego z rządem w zakresie kształtowania polityki gospodarczej, reform ekonomicznych, podejmowania inicjatyw ustawodawczych. Wśród 24 osób zaproponowanych przez „Solidarność” do tej Rady znajdował się Bartoszewski. Listę kandydatów do SRGN Komisja Krajowa „Solidarności” ustaliła 12 grudnia 1981 r. na posiedzeniu w Stoczni Gdańskiej. Tej nocy został w Polsce wprowadzony stan wojenny.

Zatrzymanie Bartoszewskiego 13 grudnia 1981 r. oraz internowanie go w więzieniu w Białoleścu mogło być zaskoczeniem, ale zarazem dowodziło, że autorzy stanu wojennego nie zamierzają liczyć się ze środowiskiem niezależnych autorytetów, są również nieczuli na okoliczności wieku

i osobistego prestiżu przeciwników reżimu. Jedyным ustępstwem było przeniesienie takich osób z więzienia do specjalnego ośrodka w Jaworzu koło Dąbowa. Bartoszewski znalazł się tam wraz z innymi pisarzami, wykładowcami TKN i najwybitniejszymi doradcami „Solidarności”, m.in. Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremekiem, Jerzym Jedlickim, Andrzejem Kijowskim, Stefanem Amsterdamskim, Andrzejem Drawiczem, Wiktorem Woroszyńskim. Jako najbardziej doświadczony wśród internowanych w Jaworzu został przez nich wybrany na starostę. Utrwalenie portretu Bartoszewskiego w tej roli zawdzięczamy Waldemarowi Kuczyńskiemu<sup>25</sup>. W Jaworzu odbywały się liczne wykłady zgromadzonych tu specjalistów wielu dziedzin. Dla więzionych były one jedną z form spędzania dłużącego się czasu oraz podtrzymania aktywności intelektualnej

i towarzyskiej. W ramach tych zajęć Bartoszewski wygłosił cykl wykładów pt. *Geografia polityczna Polski Podziemnej*. Z obozu internowania został zwolniony w kwietniu 1982 r., po licznych interwencjach podejmowanych przez zagranicznych przyjaciół. Skuteczna okazała

się zwłaszcza interwencja prezesa Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Kombatantów Żydowskich Stefana Grajka, który zaproszony na uroczystość obchodów rocznicy powstania w getcie uzależnił swój udział od zwolnienia Bartoszewskiego z internowania<sup>26</sup>.

Na początku maja wznowił zajęcia na KULu, w lipcu wszedł oficjalnie w skład redakcji „Tygodnika Powszechnego” (przez długie lata podawany w stopce skład redakcji nie ulegał zmianie, od tej zasady odstąpiono dopiero w 1982 r.). W krakowskim Wydawnictwie Znak ukazała się zredagowana przez Bartoszewskiego książka *Doświadczenia lat wojny 1939-1945*. Istniała więc szansa powrotu do życia zawodowego, ale w warunkach niezwykle ostrej cenzury i nasilonej inwigilacji. Latem przyszło zaproszenie z Wissenschaftskolleg zu Berlin, które oferowało Bartoszewskiemu blisko roczne stypendium. W październiku wyjechał z Polski.

\*

W 1982 r. zaczął się kolejny okres życia Bartoszewskiego, który trwał do 1989 r. Większość tego okresu spędził w RFN, najpierw jako stypendysta w Berlinie Zachodnim, później wykładowca na uniwersytecie w Monachium, Katolickim Uniwersytecie Eichstätt i uniwersytecie

w Augsburgu. Do Polski przyjeżdżał na krótko, w 1985 r. skończył pracę na KULu. Wprawdzie nie był formalnie emigrantem politycznym, ale większość nowych prac i książek drukował w wydawnictwach emigracyjnych lub w języku niemieckim. Oprócz bieżącej pracy dydaktycznej z niemieckimi studentami, objeżdżał wiele ośrodków i wygłaszał dziesiątki wykładów, w których tłumaczył polską historię i sytuację współczesną. Jego wydane w 1983 r. wspomnieniowe refleksje pt. *Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich anständig zu sein* [Jesień nadziei. Warto być przyzwoitym] spotkały się z bardzo żywym przyjęciem niemieckich czytelników, bardziej wtedy niż kiedykolwiek zainteresowanych Polską. Bartoszewski stał się jednym z najbardziej znanych w Niemczech Polaków. W 1983 r. otrzymał nagrodę im. Herdera przyznawaną przez Uniwersytet Wiedeński, a w 1986 r. niezwykle prestiżową Nagrodę Pokojową Księgarstwa Niemieckiego. Był honorowany przez instytucje żydowskie - otrzymał doktorat *honoris causa* Baltimore Hebrew College, dyplom American Jewish Committee, został wiceprezesem Instytutu dla Studiów PolskoŻydowskich w Oksfordzie. Pozostawał w żywych kontaktach z polską emigracją. Od prezydenta RP na uchodźstwie Edwarda Raczyńskiego otrzymał w 1986 r. Krzyż Komandorski z gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski „za całokształt działalności

w służbie Polsce w czasie wojny i po wojnie, a w szczególności za opracowania historyczne i za działalność w sprawach polskożydowskich”. Raczyński złożył mu również propozycję

objęcia stanowiska Prezydenta RP na uchodźstwie, ale odmówił przyjęcia tego zaszczytu.

Lata osiemdziesiąte były okresem coraz wyraźniejszego dzielenia aktywności na badawczą i popularyzatorską związaną z profesją historyka, oraz polityczną w obszarze stosunków polskoniemieckich. Specyfika stosunków polskoniemieckich wymagała jednak szczególnego podkreślenia pamięci o przeszłości, aby projektować lepszą przyszłość. Był to okres, kiedy Niemcy wnikliwiej niż kiedykolwiek wcześniej interesowali się Polską, także jej historią i dziejami okupacji niemieckiej w Polsce. Wystąpienia publicystyczne, wykłady, artykuły i książki Bartoszewskiego współtworzyły więc nurt intelektualny, który przygotowywał Niemców do pojednania z demokratyczną Polską. Jak bowiem mówił

[...] najważniejsze jest nie to, co gotowi są oświadczyć i podpisać politycy, choć pomniejszać tego nie należy, ale jakie procesy zachodzą w odczuwaniu, w sumieniu i intelekcie ludzi różnych narodów, na ile przewyciężony jest stereotyp w myśleniu innych, egoizm, a nawet egotyzm.

Perspektywa, ku której Polacy i Niemcy, a także inne narody winny zmierzać,

[...] to powszechna oczywistość pojęć takich, jak wolność i godność osoby ludzkiej, poszanowanie życia ludzkiego, negatywna postawa wobec wszelkich form gwałtu i przemocy, solidarność z prześladowanymi, opiekuńczość wobec słabych i bezbronnych, szczególnie stosunek troski wobec matki i dziecka<sup>27</sup>.

Po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego Bartoszewski oddał się do dyspozycji. We wrześniu 1990 r. został ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Wiedniu, co otwierało kolejny etap jego aktywności w polskiej dyplomacji.

Z Wiednia wrócił do Warszawy jako - powołany przez prezydenta Lecha Wałęsę w marcu 1995 r. - minister spraw zagranicznych. Sprawował tę funkcję dwukrotnie: od 6 marca do 22 grudnia 1995 r. oraz - na wniosek premiera Jerzego Buzka - od 30 czerwca do 19 października 2001 r.

\*

Miarą oceny dorobku naukowego jest pisarstwo i uczniowie. Przez ponad 10 lat pracy na KULu Bartoszewski wypromował ponad trzydziestu magistrantów. Pod jego opieką powstało co najmniej kilka prac bardzo wartościowych, niestety, na ogół niewydrukowanych. Dla wielu także nie związanych z KULem młodszych historyków Bartoszewski był autorytetem, służył im pomocą, radą, udostępniał książki, broszury, relacje. Należy tu wspomnieć zwłaszcza Andrzeja Krzysztofa Kunerta, który kontynuuje i rozwija metodologię badań stworzoną przez Bartoszewskiego. Również niżej podpisany wiele zawdzięcza osobie bohatera tego szkicu.

Profesor Aleksander Gieysztor tak oceniał pisarstwo Bartoszewskiego:

Jego publicystyka i historografia wyprzedzały wówczas zarówno pierwszeństwem w podejmowaniu spraw, którymi się mało kto zajmował, jak też wolnością myśli i słowa w czasach zatruwania umysłów i uczuć odbiorców słowa drukowanego nieprawdą, półprawdą i złą milczeniem. [...] We wszystkim, co pisze ten autor, imponuje rozległość i głębokość kwerendy źródeł archiwalnych i czasopiśmienniczych, w szczególności umiejętność wywoływania i użytkowania relacji świadków. Wielu z nich odeszło, stąd wartość tych zapisów dodana przez chwilę ich uchwycenia. Napawa uznaniem krytycyzm, czasem ukryty przed okiem czytelnika, zawsze wyczuwalny w decyzji wyboru świadectwa i okazania mu ufności. [...] Pisarstwo historyczne Władysława Bartoszewskiego ma wysoką temperaturę uczucia nie tylko dzięki jego pasji zdobywania wiedzy. Nie kryje on bowiem swego długu, który spłaca wobec poległych na różnych frontach walki z wrogiem i nieludzkim, upostaciowanym złem. Imiona i nazwiska ludzi walki, nazwy ich grup, imiona i nazwiska bezbronych ofiar i ich katów, zawsze w bardzo szerokiej skali społecznej, tchną z kart jego książek tragizmem żywym i dojmującym<sup>28</sup>.

Bartoszewski wymyka się jednoznacznym kryteriom ideowopolitycznym. Zaczynał jako działacz katolickiej konspiracji, ale co najmniej równy wpływ wywarło nań środowisko BiPu AK. Po wojnie działał w PSLu, ale był raczej przykładem „ludowca z Marszałkowskiej”, który znalazł w PSLu możliwość zgodnej z sumieniem twórczej pracy. Przez wiele lat związany

z „Tygodnikiem Powszechnym”, uchodził za wybitnego przedstawiciela Ruchu Znak, chociaż nie był członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej, a formalnie w redakcji „Tygodnika” znalazł się dopiero w 1982 r. Walczący przez całe życie o tradycje AK i powstania, nigdy niesplamiony współpracą z reżimem, jeden z żelaznych wykładowców Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, nie jest uznawany przez wielu ludzi antykomunistycznej prawicy za postać dość patriotyczną i narodową. Bo też jest człowiekiem wysokiej kultury politycznej, ożywionej tradycjami tolerancji, patriotą wolnym od nacjonalistycznych uprzedzeń, ważną postacią publiczną uznającą wyższość praw człowieka i praw obywatelskich nad podziałami ideowymi czy religijnymi. Jest katolikiem, ale jego wiara nie jest doktryną ideologiczną. Nie ma w sobie nic z inkwizytora. Jest typem raczej pozytywisty, z pewnością nie rewolucjonisty. Zachowuje pewien dystans wobec bieżących wydarzeń, nie poddaje się modom intelektualnym czy politycznym. Zawsze jest w nim cień sceptycyzmu i ironii, powiązanej z niezmiennym, tradycyjnym systemem wartości. Nie ulega nagłej płomiennej fascynacji ani nieopanowanej wrogości. Unika również nadania mu etykiety jednej grupy politycznej. Sam o

sobie mówi, że jest „człowiekiem trochę osobnym”.

W obszernym wywiadzie autobiograficznym udzielonym w 1986 r. Łukaszowi Kądzieli wyznał:

Z całego mego życia nie żałuję ani jednego napisanego zdania, choć na pewno niejedno napisałbym lepiej, precyzyjniej, mądrzej czy trafniej. Nie ma takiego zdania, a tym bardziej ustępu czy artykułu, o którym marzyłbym: oby zapadł się on pod ziemię, oby nigdy nie był napisany. Przywiązuję bardzo dużą wagę do tego stwierdzenia.

Siła i stałość przekonań, niezłomność charakteru, żelazne zasady postępowania w stosunkach międzyludzkich, trwałość zainteresowań, niezmiennosc hierarchii wartości, autentyczna pasja życia pojmowanego jako tworzenie, te cechy właściwe Bartoszewskiemu są dziś niezmiernie rzadkie. Dzięki nim jest człowiekiem „starej daty” w najlepszym znaczeniu tego pojęcia.

*Andrzej Friszke*

1 Władysław Bartoszewski, *75 lat w XX wieku. Pamiętnik mówiony (4)*, „Więź” 1997 nr 5, s. 83.

2 Bartoszewski, *Publikacje konspiracyjne o Oświęcimiu*, „Więź” 1985 nr 1-2-3; *Oświęcim - pamiętnik więźnia*, tamże.

3 Bartoszewski, *75 lat w XX wieku. Pamiętnik mówiony (6)*, „Więź” 1997 nr 7, s. 117-119. Por. Bartoszewski, *Z Zofią Kossak w podziemiu*, „Tygodnik Powszechny” 1968, nr 24, przedruk w: *Doświadczenia lat wojny 1939-1945*, oprac. W. Bartoszewski, Kraków 1980.

4 Por. Aldona Kimontt, *Wspomnienie o Zofii Kossak i FOPie*, „Więź” 1986 nr 4.

5 Bartoszewski, *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944*, Warszawa 1970, s. 24.

6 Teresa Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942-1945*, Warszawa 1982, s. 64-65.

7 Bartoszewski, *75 lat w XX wieku. Pamiętnik mówiony (8)*, „Więź” 1997 nr 9, s. 138.

8 Bartoszewski, *„Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe”. Ze wspomnień redaktora powstańczego biuletynu*, „Rocznik Historii Prasy Polskiej” 1972 nr 4.

9 Bartoszewski, *75 lat w XX wieku. Pamiętnik mówiony (11)*, „Więź” 1998 nr 4, s. 136.

10 *Rozmowa z Władysławem Bartoszewskim w 65-lecie urodzin*, przeprowadzona przez Witolda Pronobisa, „Libertas” (Paryż) 1987 nr 9, s. 22.

11 Bartoszewski, *Powstanie Ligi do Walki z Rasizmem w 1946 r.*, „Więź” 1990 nr 4.

12 Zapis rozmowy przeprowadzonej przez Andrzeja Firszkego w lutym 1989 r.

13 Józef Czapski, *Ten jest z Ojczyzny mojej*, „Kultura” (Paryż) 1968 nr 6-7, przedruk



w: *Władysław Bartoszewski. Życie i twórczość*, pod red. A. K. Kunerta, Warszawa 1999, s. 69-71.

14 „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn, 17 IV 1968.

15 Dariusz Stola, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce w latach 1967-1968*, Warszawa 2000, s. 287.

16 Tamże, s. 261.

17 Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), 237/XVI-612, s. 134-139.

18 AAN, 237/XVI-612, s. 140-147.

19 Lidia Ciołkoszowa, *Spojrzenie wstecz*, Paris 1995, s. 353.

20 Cyt. za Andrzej K. Kunert, *Kalendarium działalności publicznej Władysława Bartoszewskiego*, w: *Władysław Bartoszewski. Życie i twórczość*, dz. cyt., s. 41.

21 AAN, 127/133, s. 501.

22 AAN, 127/133, s. 356.

23 AAN, 127/133, s. 326-373.

24 Por. szerzej: Ryszard Terlecki, *Uniwersytet Latający i Towarzystwo Kursów Naukowych 1977-1981*, KrakówRzeszów 2000.

25 Waldemar Kuczyński, *Obóz*, Warszawa, CDN 1982.

26 Jan Józef Szczepański, *Kadencja*, Paryż 1988, s. 135-136.

27 Bartoszewski, *Na drodze do niepodległości*, Paryż 1987, s. 73.

28 *Władysław Bartoszewski. Życie i twórczość*, dz. cyt., s. 6-7.

29 *Nie żałuję ani jednego napisanego zdania...* Rozmowa Łukasza Kądzieni z Władysławem Bartoszewskim, „Więź” 1986 nr 7/8, s. 202.

Część pierwsza

WARTO BYĆ PRYZWOITYM  
SZKIC DO PAMIĘTNIKA

## Warto być przywoitym

Wydawnictwo Herdera (FryburgBazyleaWiedeń), największy katolicki dom wydawniczy kręgu języka niemieckiego, ogłosiło jesienią 1983 r. mój niewielki szkic pamiętnikarski powstały z inicjatywy i w długim dialogu z Reinholdem Lehmannem (1939-1998) - dziennikarzem katolickim i działaczem społecznym, zasłużonym w Niemczech dla sprawy zrozumienia współczesnej problematyki polskiej.

Rzecz, napisana po niemiecku, przeznaczona była przede wszystkim, w założeniu autora i wydawcy, dla młodszej generacji Niemców, urodzonej po II wojnie światowej. Ukazała się pod - zaproponowanym przez edytora - tytułem *Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich anständig zu sein* [Jesień nadziei. Warto być przywoitym] i spotkała się z zainteresowaniem zaskakującym autora. Bardzo liczne recenzje w prasie niemieckiej i austriackiej różnych kierunków, audycje radiowe, w tym półgodzinny felieton Heinricha Bölla, laureata literackiej Nagrody Nobla, wieczory autorskie i spotkania dyskusyjne, głównie w organizacjach katolickich, stały się swego rodzaju sprawdzianem pożytku napisania tej książeczki. Do 2005 r. wydano ją w Niemczech kilkanaście razy.

Autor poważnie zastanawiał się, czy tekst tego - zaledwie zarysu - pamiętnika mógłby być w ogóle interesujący dla czytelnika w Polsce. Ten bowiem mógł oczekiwać obszerniejszego przedstawienia wielu spraw, zarówno dotyczących okupacji i konspiracji wojennej, jak i wydarzeń

z czterdziestolecia Polski Ludowej, których autor był uczestnikiem i świadkiem. Książeczka jednak - otwierająca niemiecką serię „Świadectwa Życia” - miała być w większej mierze obrazem i świadectwem postaw ludzkich w określonych warunkach historycznych niż opisem zdarzeń. Tymczasem wkrótce miałem się przekonać, że tekst mojej niemieckiej książeczki żyje w kraju własnym życiem. Nieautoryzowana edycja w języku polskim - staraniem najstarszego w Polsce wydawnictwa drugiego obiegu „Spotkania” w Lublinie - znalazła czytelników i nawet została wznowiona. Proste stwierdzenie tytułowe: „Warto być przywoitym”, znalazło nieoczekiwane dla autora potwierdzenie w odwołaniu się do tego „hasła” jako do zasady „najwyższego realizmu” przez Macieja Poleskiego [Czesława Bieleckiego] w napisanym w więzieniu mokotowskim artykule *Polityka polska*, ogłoszonym w paryskiej „Kulturze” (nr 460/461, styczeńluty 1986).

Przygotowując polską edycję tekstu, dokonałem dość daleko idących adaptacji: uprościłem tytuły rozdziałów, w kilkudziesięciu miejscach rozwinąłem skrótowe sformułowania o nazwiska, daty i inne szczegóły nieobojętne dla polskiego czytelnika, zrezygnowałem z propedeutycznych informacji dotyczących faktów z historii Polski i ich

oceny, co mogło być pożyteczne tylko dla cudzoziemców. Mojemu dawnemu słuchaczowi na KULu, Piotrowi Jeglińskiemu, zawdzięczam, że książka ukazała się w 1986 r. w Paryżu nakładem Editions „Spotkania”. W 1988 r. przedrukowało ją w Warszawie Wydawnictwo CDN.

\*

Noc z 12 na 13 grudnia 1981 r. Wróciliśmy właśnie z kolejnej sesji Kongresu Kultury - ożywieni poczuciem wspólnoty z niezależnie myślącymi intelektualistami, których tak świetna reprezentacja wystąpiła w sali Kongresowej. W środku nocy dzwonek do furtki, wielokrotny, ostry i przenikliwy. W środku nocy! O tej porze? Wyglądam przez mansardowe okienko

i widzę przed domem trzy, może cztery cienie. Co to jest? Co to może znaczyć? Cienie odzywają się do mnie, jak przyjaciele, po imieniu: „Panie Władku, panie Władku, niech pan otworzy, prosimy, niechaj pan otworzy”.

„Kim panowie są?” - pytam. „Milicja”. „Milicja nie przychodzi nocą - odpowiadam - milicja przychodzi wczesnym rankiem. A więc, panowie, przyjdźcie rano...”.

Ale cienie nie znikają. „Niech pan nam nie utrudnia” - mówią już trochę zniecierpliwieni. Schodzę na dół. Drzwi są już na wpół wyłamane. „Panowie - mówię - zostawcie to. Zadzwoń na Komendę Milicji

i zapytam, czy rzeczywiście macie od nich polecenie. Wtedy otworzę. Telefon mam przy drzwiach i możecie mnie słyszeć z zewnątrz. Teraz dzwonię”. Podnoszę słuchawkę - połączenia nie ma - aparat jest głuchy. Ale cienie mówią: „Niech pan nie robi głupstw. Niech pan wyjrzy na ulicę od frontu, tam stoją radiowozy”. Faktycznie, w małej uliczce przed moim warszawskim domkiem stoją auta milicyjne i ludzie w mundurach. Spoglądamy na drugą stronę - dom obstawiony. „No, dobrze” - mówię.

Dwaj cywile i jeden mundurowy wchodzi do mieszkania. „Władysław Bartoszewski?” - „Tak, to ja”. Pokazują druczek: ma być internowany

w Białolecie. Moja żona, zdezorientowana, pyta - „Co to jest, co to ma znaczyć?” - „Nie rozumiesz?” - odpowiadam - „Obóz koncentracyjny, nie pamiętasz o Oświęcimiu?”

W szufladzie mojego biurka leżą dwa bilety lotnicze. Byliśmy oboje z żoną zaproszeni do Stanów. Mój paszport znajdował się jeszcze w konsulacie amerykańskim.

O czym myśli w takiej chwili doświadczony więzień? Sweter, ciepła bielizna, kożuszek - to jest niezbędne. Koce? Nie, koce są w więzieniu. Pieniądzy zabierać nie trzeba, jeszcze grzebień, szczoteczka do zębów. Gotowe. To trwało minutę.

W przedpokoju żegnam się z żoną: „Pamiętaj, abyś nikogo o nic nie prosiła”. - „Bądź spokojny”. Jeszcze krótka rozmowa z milicjantami: „Panowie, dlaczego wylamaliście drzwi? Przecież wiecie, że nasze przepisy nie zezwalają na nocne aresztowania”. Ale oni mówią: „Już nie teraz. Teraz jest stan wojenny...”.

To był stan wojenny. Wprowadził go w całą Polskę - o północy - generał w ciemnych okularach. W równoczesnej, precyzyjnie zaplanowanej akcji ujęto tysiące ludzi według wcześniej przygotowanych list. Do dzielnicowej komendy na Mokotowie zwieziono setki osób. Wielu z napotkanych na schodach znałem osobiście. Naukowcy, pisarze, artyści - niektórych z nich kilka godzin temu widziałem na obradach Kongresu. Nauczycielki, studentki. Doborowe - trzeba przyznać - towarzystwo. We wszystkich pomieszczeniach urzędowali już funkcjonariusze SB i milicji oraz personel pomocniczy ściągnięty do prac kancelaryjnych. Akcja przemyślana. Ustawieni w ogonkach do różnych pokoi musieliśmy zdać nasze rzeczy, również zegarki i obrączki. Wszystko zniknęło w papierowych torbach.

Potem w korytarzu i w sieni czekaliśmy, aż na podwórze komendy wjechały „suki”. Tu znów spotkałem znajomych, nawet jeden z kolegów zażartował: „Moglibyśmy naprędce odbyć zebranie TKNu”. Jako najstarszemu zrobiono mi siedzące miejsce. I wkrótce przyjechaliśmy już do więzienia w Białoleńce, położonego na obrzeżu miasta. Niektórzy z nas, bardziej doświadczeni, już je znali. Zbudowane w latach sześćdziesiątych, niesympatyczne bloki, wewnątrz niehigieniczne, brudne.

Godzinę czekaliśmy przed bramą. Noc była bardzo mroźna. Personel więzienia miał „ostry dyżur”, ale o niczym nie wiedział. Wszystko było tajne. Być może sądzili, iż przywiozą czterech ludzi, a tu przybyło czterystu. Noc jest zazwyczaj w więzieniach tabu. Po apelu zaczyna się błogosławiona pora, gdy więźniowie zostają sam na sam ze swoimi snami. Tej nocy było inaczej. Z wielu cel w pośpiechu usuwano normalnych więźniów.

Zostaliśmy zarejestrowani. O trzeciej nad ranem znaleźliśmy się w dziewięciu w brudnej celi, bez pościeli, tylko sienniki i koce. Magazyn z bielizną pościelową był zamknięty. Strażnik powiedział: „Za parę godzin dostaniecie wszystko”.

Jako stary i doświadczony więzień zakomenderowałem: „Młodzi na górne prycze, starsi na dolne. Nie wiadomo, co przyniesie ranek. Zatem koc na siebie, łokieć pod głowę - i spać”.

Młody współwięzień, który po południu miał lecieć do Paryża, brutalnie wyrwany ze swoich marzeń, spytał mnie trwożnie, co z nami będzie. Powiedziałem: „Albo wywiozą do Rosji, albo będziemy siedzieli tu w kraju, albo nas wykończą. Najlepsze byłoby to drugie”.

Od 4 rano z wbudowanego w ścianę i okratowanego głośnika płynęło „na okrągło”

przemówienie generała Jaruzelskiego, obwieszczenia dotyczące stanu wojennego oraz hymn narodowy (!) i pieśni patriotyczne. Trzeba było to znosić. Przyniesiono jedzenie: zimne, tłuste, wstrętne. Niektórzy wzbraniali się. Zachęcałem: „Panowie, trzeba wżerać, także dokładkę, wszystko, żeby nie tracić sił”.

Po kilku godzinach czterystu nowych mieszkańców Białoleki wybrało mnie na „starszego”. „Głosowanie” odbyło się krzykiem z cel: „Bartoszewski! Niech podejdzie do okna. Niech powie głośno: jestem Bartoszewski, chcemy usłyszeć pana głos”. Posłuchałem. Odezwałem się: „Wszystko w porządku”. Ale trwało to krótko. 15 grudnia przyszedł do więzienia niejaki pułkownik Romanowski i wybrał piętnastu spośród nas. Na lotnisku wojskowym dołączono kilka pań i helikopterem przewieziono nas na Pomorze Zachodnie, jak się okazało - do wczasowego ośrodka lotników, położonego w głębi lasów nad jeziorem Trzebuń. Prasa światowa rychło powtórzyła nazwę naszego miejsca odosobnienia: Jaworze koło Drawska. Tutaj także wybrano mnie starszym obozu.

Co robi doświadczony lokator więzień, gdy rzutem oka ogarnie sytuację? Już pierwszej nocy zorientowałem się, że musimy tu wszystko zrobić sami. Powiedziałem: „Drodzy koledzy, teraz idziemy spać, ale rano musimy wziąć się do sprzątanía. Ten dom musimy utrzymać na takim poziomie, jak nasze mieszkanie, bo to będzie nasze mieszkanie na najbliższe miesiące. Wiem, że to nieprzyjemnie sprzątać toalety i łazienki, ale ustalimy kolejne dyżury”. Rano zacząłem sam od sprzątanía klozetów, inni zabrali się do zatykania, czym się dało, szerokich szpar w nieszczelnych ramach okiennych i drzwiach, bo mróz był siarczysty, a pomieszczenia niedogrzone.

Z upływem czasu zgromadzono w Jaworzu około pięćdziesięciu ludzi, w większości pracowników uniwersytetów, pisarzy, publicystów. Zaczęliśmy walkę o księdza, który odprawiałby mszę świętą, o odwiedziny,

o prawo do korespondencji. Chcieliśmy wiedzieć, co nam, internowanym, wolno, jaki jest nasz status. Należało żądać jak najwięcej.

Wiosną 1982 r. było nas w Jaworzu około sześćdziesięciu osób. Żyliśmy niby w oficerskim obozie jeńców w czasie wojny. Oczywiście nie wolno nam było opuszczać obozu, wewnątrz jednak mieliśmy względną swobodę. Wszystkie drzwi stały otworem, korytarze były dostępne, ale przechodzenie z piętra na piętro i wychodzenie poza budynek było ograniczone. Z czasem i w tym zakresie wywalczyliśmy sobie większy luz.

Żyliśmy w tolerancyjnej wspólnocie: kultywowano, indywidualnie i grupowo, różne zainteresowania i talenty - intelektualne, artystyczne, nawet sportowe. Zorganizowaliśmy systematyczne nauczanie języków obcych: angielskiego, francuskiego i niemieckiego, cykl

codziennych wykładów na różne tematy na poziomie uniwersyteckim, raz na tydzień wieczory literackie pod egidą Pen Clubu (było w obozie 8-10 członków Pen,

a dwu z nas było członkami zarządu). Rozpoczęliśmy naturalnie także działalność „publicystyczną” - pisaliśmy, redagowaliśmy i szmuglowaliśmy na zewnątrz różne teksty. Na mszę świętą, odprawioną raz w tygodniu, szli wszyscy, niezależnie od światopoglądu i rodowodu wyznaniowego, choćby na znak szacunku dla przyjeżdżającego gościa, księdza lub biskupa. Wizyty duchownych stawały się też dla nas swoistym „oknem na świat”.

Pierwszą przeszkodą do wzięcia od chwili znalezienia się w obozie były święta Bożego Narodzenia. Panie - a były to: Halina Mikołajska, Teresa Bogucka, Anka Kowalska, Małgosia Łukasiewicz, Marzena Kęćik, Lilka Wosiek i Halina Suwała - internowane w odrębnej części budynku, mogły pozostać z nami aż do północy. W ten wieczór wigilijny 1981 r. wygłosiłem dla moich przyjaciół „przemówienie optymistyczne”: „Po raz dziewiąty w życiu spędzam Boże Narodzenie w więzieniu. Może to nietaktowne, że wam to dziś mówię. Ale chcę wam dodać otuchy: można to przeżyć i pozostać sobą. Nikomu nie życzę dziesięciokrotnych Świąt za kratami. Ale trzeba zachować nadzieję. I my znów będziemy mogli święcić Boże Narodzenie w domu, wspólnie z naszymi rodzinami. Nie życzę wam przede wszystkim, żebyśmy szybko wrócili do domu, choć każdy z nas by tego bardzo chciał. Życzę wam, abyście wrócili do domu

w takiej kondycji, by móc waszym żonom, dzieciom i wszystkim waszym przyjaciołom spojrzeć w oczy. Nie jest pewne, kiedy nas wszystkich zwolnią. Ale ważniejsza od zwolnienia jest zewnętrzna i wewnętrzna postawa, z którą opuścimy to miejsce”.

Mimowolnie patetyczne, słowa te musiały zabrzmieć jak wyzwanie w rozpaczliwej sytuacji, gdy nasza własna ojczyzna została napadnięta przez naszych własnych rodaków.

Życie nauczyło mnie dzielić się nadzieją na przyszłość. Owocuje to - dla innych, a szczególnie dla prześladowanych i dla nas samych. To jest wiara, którą w sobie zachowałem. Wierzę, że pomaga w tym Duch Święty.

Wszystko, cokolwiek próbowałem w moim życiu uczynić dobrego, było mi oddane więcej niż stokrotnie, tysiącrotnie może. Rachunek mojego życia dowodzi, że warto być przyzwoitym człowiekiem.

A owo „pozostać przyzwoitym”, owo doświadczenie, że konieczne jest w ważnych kwestiach pozostać nieugiętym, nie dać się poniżyć - to chciałem wtedy w obozie przekazać moim towarzyszom niedoli. Podczas drugiej wojny światowej pomagałem Żydom. Potem oni pomagali i mnie. Nie uczyniłem wiele, a tak wiele mi oddano. Takim po

prostu byłem, tak mnie wychowano. Moi rodzice i dziadkowie nie byli żadnymi intelektualistami. To byli zwyczajni porządni ludzie, którzy chcieli żyć po ludzku. Ojciec mawiał: „Jest mi obojętne, skąd kto pochodzi. Musi być uczciwy - i to wystarczy”. To proste zdanie zachowało dla mnie sens na całe życie.

Motywacje religijne rozwinęły się we mnie dopiero w czasie wojny, dopiero po pobycie w Oświęcimiu. W Oświęcimiu bowiem popadłem

w zwątpienie. Ledwie mogłem się modlić. Zadawałem sobie pytanie, które do dziś pozostało bez odpowiedzi dla wielu z tych, którzy przeżyli: jak Bóg mógł do tego dopuścić? Nie byłem dość pobożny, dość wierzący, by to pojąć. Nie mogłem wytłumaczyć sobie, jak to się mogło dziać: z jakich racji, straszliwych i pełnych tajemnicy. Mimo to Bóg nadal dla mnie istniał.

W więzieniach i obozach nauczyłem się też tolerancji. I że lepiej zachować w pamięci dobro, a zapomnieć zło, które nam ludzie wyrządzili. Inaczej nie sposób przeżyć. Chcę odepchnąć od siebie wszystko, co negatywne. Nie dlatego, żebym był święty, chciałbym po prostu żyć. Nie chcę już pozostawać pod ustawiczną presją, pod jaką znajdowałem się przez lata. Z pewnością inni ludzie przeżyli więcej zła. Czuję jednak, że dla przeciętnego Europejczyka moje doświadczenie to też dosyć.

Wśród jezior i lasów, we względnym komforcie, zamknięci byliśmy z naszymi nadziejami i marzeniami. Ale wiedzieliśmy: historia idzie naprzód. Nie pozostaje w bezruchu, mimo ciosu - ten był oczywistością. Nasz kraj przeżył już w swoich dziejach bardziej beznadziejne sytuacje. Od wydarzeń lata 1980, od powstania wolnych związków zawodowych „Solidarność”, niemal nikt w naszym kraju nie był tak szalony, by kwestionować naszą sytuację geopolityczną. Zbędne były napomnienia płynące do nas z Zachodu, a już zupełnie zbędne głosy owych „besserwisserów”, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego mówili, że „musiało” do tego dojść, że „od początku” było to oczywiste.

Nasza młodzież doświadczyła po raz pierwszy, czym może być wolność, chłonęła smak polskiego lata. Mimo brutalnego gwałtu, smak ten pozostał w jej pamięci, w pamięci milionów zwykłych ludzi - tych może najbardziej. Solidarność wszystkich warstw! To było nowe, wryło się

w pamięć społeczną i będzie owocować w przyszłości. Bo ani funkcjonariusze partyjni, ani generałowie nie mogą trwale zepchnąć trzydziestosześcioletniego narodu w wewnętrzną emigrację, a tym bardziej w rezygnację. Granice możliwości muszą być stale rozeznawane na nowo, nikt ich nie może określić na stałe - są płynne. Historii nie da się przewidzieć, tyle wiem, jako historyk. Miałem czas, by nad tym pomyśleć.

A marzyć wolno - nawet w kraju pozbawionym wolności. I niekiedy nawet marzenia się



spełniają.

## **Urodzony w wolności dla wolnego życia**

Byłem dzieckiem wolnej Rzeczypospolitej, urodzonym w trzy lata po powstaniu na nowo państwa polskiego, po zmartwychwstaniu polskiego orła. Byliśmy pierwszym pokoleniem, które przyszło na świat i wychowało się już w wolnym państwie.

Mój ojciec był urzędnikiem Banku Polskiego. Przybył do Warszawy jako syn chłopski ze wsi w zaborze rosyjskim. Rosyjski zaborca nie widział celu w podnoszeniu oświaty ludowej - przeciwnie, „historycznie” opłacić mu się mogła ciemnota podbitego ludu. Ojciec pochodził z rodziny półanalfabetów, kształcił się dalej sam, twardą pracą, bez pomocy czy protekcji budując swoją karierę. Był rzeczowy, małomówny i może nawet obciążony kompleksami; w każdym razie z trudem i bardzo powoli dochodziłem z nim do osobistego kontaktu.

Matka moja, z domu Zbiegniewska, pochodziła - też typową koleją polskiego losu - ze zubożałej rodziny ziemiańskiej z Kujaw, która jeszcze dwa pokolenia wcześniej była nieźle sytuowana materialnie i społecznie. Ale w pokoleniu, do którego ona należała, trzeba było już samemu zarobić na utrzymanie i samemu tworzyć własną egzystencję. Moja babka ze strony matki miała pięcioro dzieci. Mąż kolejarz, drobny urzędnik Kolei WarszawskoWiedeńskiej. Sama była nauczycielką (ur. ok. r. 1860), co u schyłku XIX w. już dla kobiety coś znaczyło. Nikt z rodziny ani krewnych nie był bogaty, ale wszyscy żyli nieźle, na poziomie średniej warstwy społecznej. Oczywiście matka pięciorga dzieci nie mogła długo pracować jako nauczycielka, liczna rodzina żyła więc tylko z niewielkiej pensji kolejarskiej. Dziadek zmarł w 1914 r., gdy matka moja miała siedemnaście lat. Po maturze poszła do szkoły handlowej, potem pracowała jako kontystka, następnie księgowa w biurach elektrowni warszawskiej, do roku 1944.

Warszawa była miastem mojego dzieciństwa. Nie ta dzisiejsza, zniszczona przez bomby w 1939 roku, a potem zrównana z ziemią w czasie Powstania Warszawskiego i po Powstaniu. To było miasto, gdzie w materialnej substancji żyła tradycja naszej historii i kultury, tak jak narastała przez - dobre i złe - wieki. Stała się znów stolicą państwa, centrum administracyjnym i gospodarczym i - mimo powojennej biedy, trudności, kryzysu światowego - rozbudowywała się i piękniała, coraz bardziej zbliżając się charakterem do innych europejskich stolic. No i była oczywiście symbolem niezawisłego państwa, suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, która już w 1920 roku miała w bitwie nad Wisłą przejść próbę ogniową - o nasze przeżycie i przyszłość Europy. (Opowiadano mi jako dziecku, że w owym historycznym sierpniu 1920 r., gdy w mieście słychać już było sowieckie działa - pozostało w nim dwu tylko dyplomatów, charakterystyczne: przedstawiciel Turcji i

nuncjusz papieski Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI - Polacy nigdy nie zapomnieli tego, że w najcięższych chwilach pozostał z nimi). Dla naszego pokolenia jednak - mówiąc prawdziwie - owym symbolem na nowo żywym stała się Warszawa dopiero po 1939 r. Przedtem byliśmy normalnymi dziećmi, normalnymi młodymi ludźmi, żyjącymi w normalnie wolnym kraju i sposobiącymi się do pracy w nim. Byliśmy patriotycznie kształtowani, ale o tym nie mówiło się na co dzień. Nikt nas też nie wychowywał na bohaterów; jeśli wielu z nas nimi się stało, to zostało nam to przez bieg wypadków narzucone.

Była też Warszawa - ta moja - miastem, w którym co trzeci mieszkaniec był Żydem. Znaczącymi punktami, obok kościołów, były w niektórych częściach miasta synagogi i bożnice. Było to jedyne wówczas miasto europejskie o tak znacznej liczbie mieszkańców żydowskich.

Wyrastałem na granicy polskiej i żydowskiej części miasta. Niespełna 200 metrów od naszego mieszkania na ul. Bielańskiej znajdowała się wielka warszawska synagoga na Tłomackiem. Nie opodal biegła ulica Nalewki, znana Żydom całego świata, centralna ulica dzielnicy żydowskiej - żydowskowszawski Broadway. Tu w ogóle nie mieszkali nie-Żydzi. Domy cztero, pięciopiętrowe miały po dwa, a nawet trzy podwórza - prawdziwe małe miasteczka z tysiącami ruchliwych Żydów w chałatach. W szabas na ulicach całkowita pustka, zupełnie jak dziś w Jerozolimie w Mea Shearim.

Kiedy później, po latach przyjechałem do Jerozolimy, opadły mnie wspomnienia żydowskiej Warszawy. Jest martwa, ale mam ją - żywą - przed oczami.

Innym obrazem pozostałym mi z dzieciństwa był znajdujący się też w pobliżu naszego domu potężny budynek Centralnego Więzienia Śledczego przy ul. Daniłowiczowskiej. I tak pobliskie synagoga i więzienie już w dzieciństwie odcisnęły się na moim życiu...

W tym okresie byliśmy już nieco lepiej sytuowani, mieliśmy służącą - dziewczynę ze wsi, która chodziła ze mną na spacer do parku. Ogród Saski lub Park Krasieńskich leżały też w pobliżu dzielnicy żydowskiej, często bawiłem się więc tam z żydowskimi dziećmi. Najczęściej mówiły w jidysz. Jako dziecko rozumiałem ten język moich kolegów.

Jako mały chłopiec, w latach dwudziestych słyszałem nieraz napomnienia: „Bądź greczny, bo przyjdzie zły bolszewik i cię zabierze”. Tak więc nie BabaJaga, nie dziad ani diabeł, nie Żyd, ale bolszewik był dla mnie uosobieniem wszelkiego zła na świecie, bo jeśli nie byłbym greczny, przyszedłby i zabrał mnie! Tak przestrzegała mnie nasza służąca, prosta dziewczyna, dla niej bolszewicy byli okropni - nie tylko nie byli katolikami, ale w ogóle bezbożnikami!

Matka moja była tradycyjną katoliczką. Nie wiem, czy była głęboko wierząca, ale

przywiązywała wielką wagę do praktyk religijnych. Czuwała nad tym, abym wieczorem odmówił pacierz, w niedzielę chodziłem zawsze z moją matką na mszę świętą. Sądzę również, że to jej religijne przekonania zadecydowały, że posłany zostałem do prywatnej szkoły katolickiej, gimnazjum św. Stanisława Kostki.

Szkoła ta dała mi solidne podstawy wykształcenia humanistycznego i poczucie związku z chrześcijańską kulturą zachodnioeuropejską. Maturę pisałem na temat *Minny von Barnhelm* Lessinga. Wszystkie najważniejsze dzieła klasyków czytaliśmy w oryginale: wielkie imiona literatury niemieckiej - Goethe, Schiller, Lessing czy Heine - to nie były dla nas puste słowa. Nasz nauczyciel niemieckiego był rozmiłowany w kulturze niemieckiej. Rozstrzelało go SS w sierpniu 1944 roku...

Oczywiście mieliśmy wiedzę i świadomość negatywnych stron w historii stosunków polskoniemieckich, zaborczych tendencji naszego zachodniego sąsiada. Byliśmy wychowani na *Krzyżakach* Sienkiewicza, a nasi nauczyciele mieli nawet jeszcze w zupełnie żywym osobistym doświadczeniu prześladowania polskości w zaborze pruskim. Z bólem też obserwowaliśmy położenie polskiej mniejszości na Warmii czy na Opolszczyźnie. Gdańsk uważaliśmy za miasto historycznie, politycznie i gospodarczo związane z Polską, ale nie budziło naszego sprzeciwu, iż pozostaje ono wolnym miastem - ta tradycja samorządności datowała się przecież od czasów hanzeatyckich. Aż do lat trzydziestych (po początkowej dramatycznej walce plebiscytowej i powstaniach śląskich - ale tych wydarzeń nasze pokolenie nie przeżywało jeszcze osobiście, wchodziły one w zakres naszej wiedzy, nie doświadczenia) problem współżycia polskoniemieckiego dla nas, wyrastającego młodego pokolenia, nie był zbyt wielkim obciążeniem. Czytałem niemiecką prasę i niemieckie książki. Dopiero po Anschlussie Austrii w 1938 r. zaczęto bojkotować prasę niemiecką, choć dalej można ją było nabyć, aż do mowy Hitlera w dniu 28 kwietnia 1939 r. Dojrzałsi z nas obserwowali z niepokojem zachodzące w Niemczech zjawiska. Ale to były sprawy niewyobrażalnej na razie - nie tylko dla nas - przyszłości. Świeża przeszłość rzutowała i wytwarzała resentymenty inaczej nakierowane. Po pokoju wersalskim straciliśmy wiele, ale głównie na wschodzie. Tysiące rodzin - na domiar w strasznych warunkach rewolucyjnych - musiało opuścić swoje ojczyste ziemie - Kijów, Mińsk, obszary Ukrainy i Białorusi, które przez długie wieki, aż do rozbiorów, a więc gwałtu zadanego naszemu państwu, pozostawały w obrębie Rzeczypospolitej. Mówiono więc wówczas raczej o tych ziemiach na wschodzie niż o granicy na zachodzie. To zwykłe zjawisko psychologiczne związane z wielkimi, niedobrowolnymi migracjami, wcale niekoniecznie związane z tendencjami rewindykacyjnymi.

W maju 1939 r. zdałem maturę w katolickim liceum humanistycznym „Przyszłość”,

jako jeden z dwu najmłodszych w klasie. Miałem wtedy 17 lat, wysoki, chudy, ale zdrowy. Byłem mołem książkowym, nie uprawiałem prawie sportów i do tego nosiłem okulary - typowy „intelektualista”. Od 1938 r. obowiązywało maturzystów odbycie zaraz po egzaminach skróconej służby wojskowej - rok i sześć tygodni. Dopiero potem szli na studia. Na komisji poborowej spostrzeżono natychmiast, że jestem krótkowidzem, dano mi zaklejoną kopertę i odesłano do okulisty. Byłem zrozpaczony. Wszyscy moi koledzy chcieli służyć w wojsku, mieliśmy już wówczas poczucie zagrożenia naszego państwa. Zanim poszedłem do okulisty, udałem się najpierw do optyka i nauczyłem na pamięć kontrolnej tablicy z literami. Lekarz, młody i sympatyczny porucznik w mundurze, zapytał mnie, czy chcę iść do wojska. „Tak, oczywiście”. „No, to zobaczymy”. - Zabrał mi okulary i wskazał tablicę. Zaraz spostrzegł, że oszukuję. „Ale jeśli chcesz, nie będę ci przeszkadzał” - powiedział.

W wieku 15-16 lat chciałem zostać aktorem lub pisarzem. O aktorstwie myślałem bardziej, ale rychło okazało się, że mam kłopoty ze strunami głosowymi. Potem zrodziła się we mnie myśl wstąpienia do zakonu Jezuitów. Co niedziela chodziłem do kaplicy Jezuitów przy ul. Rakowieckiej na mszę świętą z kazaniem wybitnego kaznodziei i człowieka wielkiej wiedzy, o. dr. Edwarda Kosibowicza. Już po maturze odwiedziłem o. Kosibowicza, chciałem się u niego wyspowiadać, zaproponował mi jednak również rozmowę. Pytał o moje plany życiowe, rodzinę i zainteresowania, na zakończenie powiedział mi: „Mój kochany, idź teraz do wojska, potem, jeśli nie zmienisz zamiarów, wróć do mnie, przyjmę cię z otwartymi rękami. Jesteś młody, nie masz nawet osiemnastu lat. Masz jeszcze czas. Idź do wojska. Może być wojna. Nie wiadomo, czy przeżyjemy...”. Ojca Kosibowicza spotkałem później w konspiracji, w końcu 1942 albo w 1943 r. Poznał mnie natychmiast. Był zadowolony, gdy zorientował się, co robię. Potem, w sierpniu 1944 r., on i ponad dwudziestu innych jezuitów z domu na Rakowieckiej zostało zamordowanych przez SS.

Od połowy lipca do połowy sierpnia 1939 r. odbywałem obowiązkową służbę w Junackich Hufcach Pracy koło Dąbia nad Nerem. Pracowaliśmy na terenach dotkniętych powodzią nad Wartą. Było to ważne doświadczenie w moim życiu. Żyliśmy w obozie na wsi, w namiotach i barakach, co dzień maszerowaliśmy po kilka kilometrów, najczęściej z łopatami; uczono nas również obchodzić się z bronią. Ale głównym naszym zadaniem było niesienie pomocy miejscowej ludności. Pierwszy raz w życiu zetknąłem się z rówieśnikami, którzy nie kończyli szkoły średniej, lecz po szkole powszechnej zdecydowali się na szkołę podoficerską. Zaciągali się w wieku lat 15, do 18 lat uczęszczali do szkoły, zdobywali zawód i już zarabiali. Najczęściej byli to synowie chłopscy z bardzo biednych rodzin. Byli z nami w tej samej jednostce, mieszkaliśmy we wspólnych salach i wykonywaliśmy te same

prace. Podobnie jak my wysyłani byli do pracy przy katastrofach żywiołowych, również na przykład przy budowie dróg. Mieli apetyt, byli pogodni i radzi z życia. Nauczyłem się, że trzeba z nimi trochę inaczej rozmawiać: byli bardzo dobrymi kolegami, jeśli się chciało ich traktować jak kolegów. W tym okresie okolicę dwukrotnie nawiedziła powódź. Budzono nas w nocy i - wyruszało sześciuset chłopaków. Jedni próbowali na gwałt umacniać wał workami z piaskiem, inni ratowali ludzi i ich dobytek. Pracowaliśmy niemal bez przerwy przez trzy albo cztery doby. Kuchnia polowa przywoziła nam posiłek, zasypialiśmy tam, gdzie pracowaliśmy, na dwie do trzech godzin, potem pobudka - i znów do roboty. Przenosiłem dzieci, pocieszałem starych. Spiętrzając ziemię z gałęziami i darnią, próbowałem jakoś zatrzymać wodę. W końcu byłem całkowicie bez sił. Pamiętam, że gdy dano nam wreszcie dzień wolny, przespałem 20 godzin bez przerwy. Właściwie zupełnie podstawowe doświadczenia, ale przecież wiele zależy od tego, co się z takich doświadczeń wyniesie. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, co to znaczy pomagać ludziom ciężko doświadczonym i znajdującym się w niebezpieczeństwie.

Wróciliśmy do domów - za dwa tygodnie wybuchła wojna.

20 września miałem zameldować się w jednostce wojskowej w Modlinie. Jak wielu innych, nie zdążyłem.

Od paru dni kopaliśmy w Warszawie rowy dla osłony ludności przed bombardowaniem, ochotniczo, pod kierunkiem saperów. Było to swego rodzaju pospolite ruszenie: także kobiety, także siostry zakonne, także chałatowi Żydzi. Dużo w tym było jeszcze zabawy - trochę jak w teatrze. Ale wielu oficerów rezerwy było już powołanych.

## **Pierwsi ludzie zginęli we śnie**

1 września 1939 r. Obudziła mnie matka: „Coś grzmi. Słyszać wyraźnie. Wstawaj!”. „Mamo, to przecież ćwiczenia. Daj mi spokój. Mam wakacje”. Pokazywała na małe obłoczki: „To przecież obrona przeciwlotnicza!”.

A potem usłyszeliśmy w radio orędzie Prezydenta. To była wojna. Warszawa była zbombardowana, nim jeszcze nadano to orędzie. Tysiące ludzi biegło, aby zobaczyć pierwsze zburzone domy. My, warszawiacy, z natury jesteśmy ciekawi.

I tak zginęli pierwsi ludzie, we śnie, w swoich domach.

Pierwsze zarządzenia dotyczyły zaciemniania miasta i organizacji powszechnej obrony przeciwlotniczej. Samoloty nadlatywały co parę godzin. Początkowo były to mało groźne naloty, bardziej rozpoznanie niż bombardowanie. To wiem teraz, z prac o wojnie, ale wtedy się baliśmy. Byliśmy w matni. Usiłowałem dostać się do wojska, przed budynkiem stały tysiące młodych ludzi, którzy już przedtem służyli w wojsku. Innych nie przyjmowano. Już pojawili się w mieście pierwsi uciekinierzy, a także żołnierze z rozbitych pułków, zmieszani z cywilami; rodziny chłopskie, które uciekły z ostrzelanych wiosek, ze spalonych domów. Dziesiątki tysięcy ludzi w ciągu tygodnia. Niczego to nie zmieniło. Tysiące przybyły do Warszawy, tysiące ją wcześniej opuściły jako regularna armia. W mieście tworzone komitety opiekuńcze: kościelne, państwowe, miejskie, społeczne.

3 września przeszedł przez Warszawę jakby dreszcz zwycięstwa: Anglia i Francja przystąpiły do wojny. Byłem wtedy w kościele św. Jakuba, około godziny 12.30. Do wygłaszającego kazanie księdza Oraczewskiego podszedł ministrant z karteczką i ksiądz przerwał kazanie: „Muszę wam podać dobrą wiadomość. Nie jesteśmy sami! Wielka Brytania przystąpiła do wojny”. Zaintonował „Te Deum Laudamus”. Ogromny tłum ciągnął w stronę ambasady brytyjskiej, by zmanifestować swą radość. Poseł brytyjski stał na balkonie razem z ministrem Beckiem. A potem przyszła ta sama wieść o Francji i po południu wszystko powtórzyło się znowu przed ambasadą francuską. Czerpaliśmy nadzieję z solidarności sprzymierzonych, nie czuliśmy się już sami, wierzyliśmy, że w ciągu paru dni będziemy w Berlinie i że wojna się szybko skończy. W środowiskach narodowo-konserwatywnym i narodowo-radykalnym (endeckim i oenerowskim) mówiono nawet: „My też mamy swoje pretensje terytorialne. Ostatecznie przed rokiem tysięcznym były to nasze ziemie: Pomorze Zachodnie, Dolny Śląsk, słowiańskie osadnictwo po Berlin”. Marzyciele i fantaści poszli w pewnym sensie mimo woli na rękę propagandzie niemieckiej. Potem te ulotki, broszury i plakaty przedrukowywano w Niemczech jako dowód polskiej żądzy agresji. Przemilczano przy tym naturalnie, że te tendencje znalazły wyraz dopiero wtedy, gdy Niemcy

wypowiedziały pakt o nieagresji i wzięły Polskę za cel ataku. Doskonale to pasowało potem do doniesień o napadach na Niemców. Do całej propagandy hitlerowskiej o „krwawej niedzieli” w Bydgoszczy itp.

Niemiecka mniejszość do roku 1939 żyła w Polsce całkiem dobrze. Byli to ludzie na ogół nieźle sytuowani, pracowici, rzetelni, odnosili sukcesy zawodowe. Nie było wśród nich bezrobotnych, głodnych, elementów ze społecznego marginesu, niewielu kryminalistów. Niemcy byli dobrymi rolnikami, rzemieślnikami, urzędnikami, nauczycielami, lekarzami. W Łodzi i na Górnym Śląsku do tego przemysłowcami - to, zwłaszcza na Śląsku, stwarzało większe problemy. Byli też w Polsce niemieccy socjaldemokraci, ci padli ofiarą ucisku dopiero wtedy, gdy przyszli tu hitlerowcy. Wcześniej jednak już - wraz z ekspansją hitlerowskiej propagandy - stosunki między Polakami i niemiecką mniejszością stawały się coraz bardziej napięte, nieufne, a ze strony Niemców często agresywne.

Rząd opuścił Warszawę 6 września, ewakuowano ministerstwa i inne urzędy. Na przedmieściach wznoszono barykady. Wciąż przerywano program radiowy, by wzywać ludność do budowania umocnień. Z 6 na 7 września przyszli do nas do domu na ul. Opaczewskiej żołnierze, prosząc, abyśmy opuścili nasze mieszkanie. Było to w pobliżu lotniska i krańców miasta. „Tu teraz będzie front. Przepraszamy, ale nie da rady... Proszę wziąć wszystko, co potrzebne. Nie możemy gwarantować...” Klucze? - „Lepiej zostawić, tu nikt niczego nie ukradnie, a w razie konieczności i tak będziemy musieli otworzyć”. Zostawiliśmy wszystko. Z dwiema walizkami poszedłem do znajomych, do centrum miasta. 8 września pojawiły się pierwsze niemieckie czołgi. I właśnie przed naszym domem stoczyły pierwszą potyczkę. 9 września nastąpiło już generale niemieckie natarcie z zachodu w kierunku Woli i od południa w kierunku Ochoty.

Pośpieszyłem do punktu werbunkowego, ale spośród tysięcy ochotników przyjęto tylko 600 osób, reszta odeszła z niczym. Zameldowałem się więc do służby w szpitalu. Jako noszowi biegliśmy w kierunku zbombardowanych miejsc, zbieraliśmy rannych i nieśliśmy ich na noszach do szpitala. Wspólnie ze starszym panem - mógłby być moim ojcem - niosłem kiedyś na noszach ranną w brzuch kobietę. Ciągłe powtarzały się ataki z powietrza, ostrzeliwanie z broni pokładowej: stanowiliśmy żywe cele. Wystarczyło się poruszyć, a już słyszeliśmy strzały. W pewnym momencie spostrzegłem, że jesteśmy z naszym ciężarem na pustej przestrzeni, przed nami mur. Samolot schodził coraz niżej. Strzelali. Położyliśmy się na ziemi, przed i za noszami. Nie zapomnę do końca życia tych paru sekund, gdy pociski z broni maszynowej uderzały o metr nad nami. Później byłem w tym miejscu parokrotnie i widziałem ślady na murze. Kiedy wstaliśmy, kobieta na noszach już nie żyła. Byliśmy już najwyżej o



500 metrów od naszego celu, od szpitala, który może byłby dla niej ratunkiem.

A potem także szpital płonął. Wynosiliśmy ludzi z sal, układaliśmy pod gołym niebem na trawniku. Było jeszcze lato. Ale na trawnik spadły bomby zapalające i widziałem, jak ludzie na tym wielkim placu płonęli, krzyk i jęki niosły się pod niebo. Bomby zapalające - jak świece na choince. Żywi ludzie, żywe pochodnie.

To wszystko trwało do końca oblężenia miasta. 27 września nastąpiło zawieszenie broni. 28 września poddanie Warszawy, kapitulacja. W nocy z 30 września na 1 października wkroczyły do mojego miasta pierwsze oddziały niemieckie.

Podczas parady zwycięstwa przed Hitlerem w dniu 5 października Warszawa była wymarłym miastem. Było tam tylko paruset Niemców, koniunkturalnych, świeżo upieczonych volksdeutschów. Ciężko było wytrzasnąć Niemców w *urdeutsche Stadt Warschau*.

I tak zaczął się czas okupacji.

### **Duży nos, okulary, a więc Żyd...**

Zanim Hitler w Warszawie odebrał ową defiladę, musiano usunąć z ulic barykady i zapory. Czasem sięgały one drugiego piętra, za nimi - rowy przeciwczołgowe. Zatrzymywano po prostu ludzi na ulicy i kazano im rozbierać zapory. „Chodź, chodź, spróbuj” - mówili niemieccy żołnierze. Zauważyłem, że brano głównie Żydów. Kto wydawał się Żydem, tego od razu zatrzymywano: *Komm, Jude, komm!*

Także i mnie wzięli za Żyda. Miałem duży nos, byłem wychudzony, nosiłem okulary... Jakiś podoficer zawołał: *Komm, Jude, mach mit!* Stał tam młody mężczyzna, który także nie był Żydem. Podszedł do niemieckiego podoficera i pokazał mu swój medalik z Matką Boską. „Proszę, niech pan popatrzy, wcale nie jestem Żydem, jestem katolikiem”. Puszczono go. Zrobiło mi się do głębi wstyd. Nie byłem nigdy bardzo pobożny, w każdym razie w tradycyjnym słowa tego znaczeniu, ale Bóg istniał, ważna była miłość bliźniego, Ewangelia, Kazanie na górze. To była istota mojej wiary.

Zdecydowałem się pozostać. Zaświtało mi, co może się jeszcze zdarzyć, i pomyślałem: „Na miłość Boską, to przecież zwykle świństwo. Ci ludzie już zaczynają dystansować się od Żydów. Uważają, że są lepsi, bo czczą - żydowską przecież! - Matkę Boga, Matkę Jezusa, Miriam z Nazaretu”. To była niby drobna rzecz, ale od tego momentu zacząłem sobie wyobrażać możliwe reakcje wielu ludzi. A było to przecież w sytuacji, gdy nie było jeszcze w mieście niemieckiej policji, panowała względna swoboda, można było popracować parę godzin, a potem zniknąć.

Antysemityzm - filosemityzm, to nie leżało dotychczas w kategoriach mojego myślenia, a raczej były to jakby dwie skrajności tego samego nonsensu. Było dla mnie oczywistością, że nie według pochodzenia - narodowego, społecznego czy wyznaniowego - klasyfikuje się ludzi.

Mój ojciec, jak wspominałem - urzędnik bankowy, mawiał: „Niech będzie Turek, niech będzie Żyd, byle tylko był wypłacalny”. Utrzymywał stosunki z bankami żydowskimi, miał żydowskich przyjaciół - jak on filatelistów i numizmatyków. Był bowiem znanym w Europie numizmatykiem, także ekspertem w zakresie fałszerstw monet i banknotów, opracowywał ekspertyzy w kraju i za granicą. Swoją pozycję życiową osiągnął pracą i uporem i za te cechy cenił wielu Żydów. Byli to dla niego ludzie dzielni - sumienni i pracowici. Często imponowali mu. Jego kontrahentów znałem jako gości naszego domu. Antysemici byli dla ojca durniami, pomyleńcami, ekstremalnymi kretynami, którzy widocznie właśnie w tych czasach nie mieli nic lepszego do roboty.

Sądzę, że moja matka bardziej była w tym względzie pod wpływem mieszczańskiego

wychowania, miała także uprzedzenia ukształtowane w kościele i na lekcjach religii, stereotyp: „Żydzi zamordowali naszego Jezusa”. Słyszałem to od niej. Ale równocześnie bywały u nas jej żydowskie przyjaciółki i ja jako dziecko odwiedzałem z matką ich domy. Nauczono mnie tylko, że nie należy przy tych wizytach poruszać tematów religijnych, gdyż Żydzi są innej wiary. To wszystko było normalne, ale nie tak bardzo powszechne. Kiedy doszło w połowie lat trzydziestych do ekscesów antysemickich na uniwersytecie warszawskim i gdy w mojej klasie szkolnej padały wypowiedzi antysemickie, pytałem kolegów, czy też znają jakiegoś Żyda. Odpowiedź była w każdym wypadku jednakowa: ależ skąd! Nie mamy żadnych kontaktów. Sądzę, że wśród uczniów mojej klasy byłem jedynym, który znał żydowskie domy i żydowskie rodziny i od dziecka bawił się z żydowskimi rówieśnikami.

Nawiązanie znajomości z Żydami nie było zresztą łatwe. Tradycjoniści żyli w izolacji od nas, Polaków. Nasi znajomi Żydzi odeszli już od tradycji, asymilowali się w otaczającym ich społeczeństwie. Nie wchodzili do mieszkania w nakryciu głowy, nie nosili chałatów. Byli w obyczaju tacy jak my, podobnie jak ówczesni Żydzi niemieccy albo francuscy.

W Warszawie było wiele tysięcy Żydów pracujących w wolnych zawodach: adwokaci, lekarze, inżynierowie, dziennikarze, literaci, aktorzy.

A tych bardziej konserwatywnych było może 300 tysięcy, większość z nich żyła tylko we własnym środowisku, w swego rodzaju getcie. W tej dzielnicy żaden Żyd - właściciel kamienicy - nie wynająłby mieszkania chrześcijaninowi, obojętnie, Polakowi, Niemcowi czy Czechowi. Było to niemożliwe ze względów zasadniczych, dla pobożnego Żyda grzechem jest mieć wśród swoich obcego, w ich wspólnocie. Dom jest wspólnotą. Obcy nie powinien mieć do niej wstępu. W sensie dobrowolnego izolowania się swoje getto zbudowali sami. I tak mogło trwać, gdyby nie to, co przyniósł hitleryzm. Tych ukształtowanych w izolacji, nieznających polskiego obyczaju, często języka Żydów najtrudniej było ratować przed zagładą - nawet w takiej skali, w jakiej to w ogóle próbowano robić. Pod niemiecką okupacją obszar tzw. „Żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” jedynie trochę poszerzono. No i przymusowo przesiedlono w jej obręb i zamknięto Żydów z innych dzielnic miasta, bez względu na to, czy byli spolonizowani, czy nie. Tam, gdzie stoi dziś pomnik Bohaterów Getta, mieszkali kiedyś „przeciętni” Żydzi.

Tymczasem „nasza Warszawa”, miasto pogodnej i pełnej perspektyw młodości, zmieniała się. I zmieniało się nasze życie. Uniwersytety były już zamknięte. W listopadzie 1939 r. uwięziono w Krakowie większość profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, wielu z

nich zmarło wkrótce w obozie koncentracyjnym. To było bardzo ważne ostrzeżenie, że nie będzie dla nas żadnej szansy, abyśmy mogli podjąć normalne studia. Sądziłem wówczas, że wojna skończy się w roku 1940, wiosną lub latem. Nie ulegało dla nas najmniejszej wątpliwości, że Francuzi i Anglicy pobiją Niemców, chodziło więc o przetrzymanie kilku miesięcy, a potem znowu wróci normalne życie.

Próbowałem pomóc mojej rodzinie, byliśmy bowiem - jako rodzina urzędnicza - mocno dotknięci wojennymi warunkami. Pensje utrzymano na poziomie przedwojennym, ale wartość pieniądza spadła kilkanaście, potem kilkadziesiąt razy. To, co zarobiła moja matka jako księgowa w elektrowni warszawskiej, wystarczało teraz akurat, aby przeżyć trzy do czterech dni. Od zarządu miasta dostaliśmy wprawdzie deputat, parę kilogramów żywności, sprzedawało się coś z rzeczy, trochę kosztowności, ale to wystarczyło zaledwie na parę miesięcy i to bardzo skromnego życia.

A co potem? Cóż mogłem zrobić? Miałem „dwie lewe ręce” i byłem całkowitym beztalenciem technicznym. Pozostawał mi tylko czarny rynek.

Zima w Warszawie przełomu lat 1939 i 1940 była sroga. Dziesięć procent budynków leżało w gruzach. Było kilkadziesiąt tysięcy zabitych i rannych, wielu chorych. W oknach brakowało szyb. Centralne ogrzewana zastępowano różnymi piecykami, „kozami”, ale i do nich nie stało opału. Paliło się, czym się dało. Często następowały przerwy w dostawie prądu, na rynku pojawiło się coś, co było dla nas nowością, ale szybko się przyjęło - lampki karbidowe. Nasze dotychczasowe mieszkanie nie nadawało się do użytku. Przeprowadziliśmy się do żydowskiego domu w na pół żydowskiej dzielnicy, przy ul. Chłodnej 42, gdzie mieszkali razem z nami przemieszani Żydzi i robotnicy polscy. Podnajął nam jeden pokój w swoim dwupokojowym mieszkaniu kolega mojej matki z pracy. Mieszkałem więc teraz u obcych, kuchnia, toaleta, łazienka były do wspólnego użytku. Właściciel mieszkania wspólnie z sąsiadami - Żydami ratował się materialnie handlem. Jeden z tych sąsiadów, pamiętam, że nazywał się Majzuls, zagadnął mnie: „My musimy już nosić te opaski, w mieście przeganiają nas, poniewierają, rabują - czy nie pomógłby mi pan w moim interesie?”. - „Ma pan sklep?” - spytałem. - „Nie, sklep jest zamknięty, ale w domu mam różne towary, gdyby pan podjął się coś z tego sprzedać, płaciłbym panu procent”.

Lokowałem się z małą walizką gdzieś na ulicy. W walizce była damska bielizna, bo właśnie taki towar miał ów kupiec. Nie miałem odwagi zaczepiać przechodniów, kobiet, które mnie mijały, po prostu nie wiedziałem, jak to zrobić. Ale niektóre dostrzegały, że jestem młody i bezradny, i same pytały mnie, co też mam tam do sprzedania, a ja odpowiadałem: „Proszę, niech pani spojrzy”. I tak przyczyniałem się do utrzymania rodziny.

Wtedy jeszcze Żydzi mogli wychodzić z wyznaczonej dla nich przez Niemców dzielnicy - getta, nosili opaski z gwiazdą Dawida. Ale już wtedy nie wolno im było wchodzić na niektóre ulice i do parków.

Mój ojciec zareagował z wściekłością na okupację niemiecką. Mówił, że dla tych lotrów nie będzie pracował. Poszczyliło mu się. Niemcy powołali w Generalnym Gubernatorstwie nowy bank, ale utworzono także biuro powiernika - instytucję likwidującą agendy przedwojennego Banku Polskiego. Bank miał dla urzędników własne domy mieszkalne i w kompetencji ojca znalazła się gospodarka tym mieniem. Cieszył się zaufaniem strony polskiej i - w pewnym stopniu - niemieckiej. Zwierzchnikiem Banku Emisyjnego w Warszawie był Niemiec z Czechosłowacji, stosunkowo dobrze usposobiony, ze zrozumieniem dla problematyki bankowej i respektem dla fachowców. To, co wiązało się ściśle ze sprawami zawodowymi, można z nim było stosunkowo rzeczowo załatwić. Te cechy Treuhändera Polacy starali się jakoś wykorzystać.

Ojciec prowadził różne interesy ze swoimi żydowskimi znajomymi. Był wśród nich stary partner, przed wojną właściciel antykwariatu dzieł sztuki. Nazywał się Wajnsztok. Żył z żoną i paronastoletnim synem dość odizolowany od świata zewnętrznego, bał się wychodzić z mieszkania. „Mój drogi - zachęcił mnie ojciec - nie masz zbyt wiele do roboty, może byś pomógł panu Wajnsztokowi”. Odbierałem przeto u Wajnsztoka różne rzeczy, ojciec je sprzedawał, a ja odnosiłem pieniądze właścicielowi do dzielnicy żydowskiej.

Po zamknięciu getta warszawskiego 1 listopada 1940 r. ojciec chciał w dalszym ciągu jakoś pomagać. Najważniejszą sprawą było utrzymanie komunikacji z miastem, by można było coś kupić albo sprzedać, wymienić informacje. Wtedy jeszcze wielu Żydów miało pieniądze. Wajnsztok zaproponował ojcu zorganizowanie dla banku grupy żydowskich robotników. Ojciec wytłumaczył swoim niemieckim przełożonym, że przydaliby się Żydzi do pracy w banku, do inwentaryzacji, przenoszenia ciężarów, sprzątnięcia. Niemcy posługiwali się powszechnie żydowskimi robotnikami i na razie przyjmowali jako coś oczywistego takie żądania ze strony Polaków. Dla Żydów wyjście z getta do pracy stwarzało jedyną możliwość nawiązania zerwanych przez mur kontaktów, załatwienia dla siebie i innych życiowo ważnych spraw. Wajnsztok przekupił żydowskich policjantów i utworzył taką grupę roboczą. Przychodzili do banku z niemieckimi strażnikami, ale ci zostawiali w dyżurce, dostawali tam wódkę i w ten sposób się ich „unieszkodliwiali”. Przez cały dzień Żydzi w banku mieli względną swobodę, dostawali też posiłek ze stołówki urzędniczej. Ojciec wciąż wynajdywał nową robotę - często dość fikcyjną - i utyskiwał: „Tyle pracy, czy nie ma więcej Żydów!” Niemiecki dyrektor techniczny bez zbytej wnikliwości po prostu podpisywał

zapotrzebowanie do niemieckiej policji. Żydzi przychodzili codziennie. Byli oczywiście normalnie traktowani, przebywali w ogrzanych pomieszczeniach, nic im bezpośrednio nie zagrażało. Ale któregoś dnia nagle skończyło się. Niemcy oświadczyli: „Nie dostaniecie już żadnych Żydów”. Czekwały już pociągi śmierci.

Wiosną 1940 r. opuściliśmy mieszkanie na pograniczu dzielnicy żydowskiej i wynajęliśmy większe, dwupokojowe, na Żoliborzu, sądząc, że tam zostaniemy przez lata. Matka dalej pracowała w elektrowni. Ukazały się pierwsze obwieszczenia o obowiązku rejestrowania się do pracy Polaków między 18 a 60 rokiem życia. W lutym 1940 r. ukończyłem 18 lat. Ojciec znów mi pomógł: „...nie znajdziesz pracy, pošlą cię do Reichu na roboty albo tu do fabryki. Masz pracować na Niemców, na ich wojnę? Lepiej zrób coś dla ludzi”. Wtedy dopiero dowiedziałem się, że ojciec już przed wojną pracował społecznie w Czerwonym Krzyżu. W końcu maja 1940 r. znalazł mi miejsce w jednej z wielu placówek opiekuńczych Czerwonego Krzyża. Nieliczny personel (lekarz i kwalifikowana pielęgniarka), trzy lub cztery pokoje, w różnych częściach miasta. Każdy mógł tu przyjść i otrzymać poradę za złotówkową opłatą - a jak nie miał nawet złotówki, to i za darmo. Zostałem w takiej przychodni przy ul. Hozjusza siłą pomocniczą, administratorem i gońcem, wszystko w jednej osobie. Otrzymałem legitymację Polskiego Czerwonego Krzyża i około 130 zł pensji - niewiele to wtedy znaczyło: parę kilo słoniny czy masła.

Wielkim szokiem stała się dla nas klęska Francji, upadek Paryża, zawieszenie broni. Armia polska we Francji rozbita, część odeszła do Szwajcarii, część przedarła się do Anglii. Przed nami długa noc. Wiedzieliśmy już, że wojna potrwa jeszcze lata - z tą chwilą trzeba było się przestawić.

Powoli, wśród szalejącego terroru, budowano w latach 1940-1941 zręby i organizowano struktury Polskiego Państwa Podziemnego. Delegatura Rządu na Kraj reprezentowała legalny rząd Rzeczypospolitej Polskiej funkcjonujący w Londynie. Z rządem tym i jego delegaturą w kraju współpracowali - w sposób naturalny - wszyscy, poza znikomymi grupami ekstremistów i pozbawionych wtedy poważniejszego znaczenia mniejszości politycznych (jak na przykład komuniści). Rząd w Londynie i Delegatura Rządu na Kraj oraz podziemna namiastka parlamentu stanowiły zarazem załączek naszego przyszłego rządu, choć tej przyszłości jeszcze nie widzieliśmy. Ale ich istnienie wspomagało nadzieję wielu ludzi i przyczyniało się do stabilizacji świadomości: mój rząd stoi nade mną, on mi to zleca. Jestem obywatelem państwa polskiego i mam obowiązek uczynić wszystko, co jestem w stanie uczynić. Teraz nie dostaję uposażenia, ale kiedyś spotka mnie może za to nagroda. Takie zwyczajne, najprostsze porządkujące normy społeczne.

Rychło mieliśmy już swoje własne podziemne sądownictwo. Obywatel polski, który przeszedł na stronę wroga, mógł być ukarany śmiercią. Dotyczyło to zwłaszcza oficerów rezerwy i podoficerów. Byli to po prostu zdrajcy. Kraj był pod okupacją, ale państwo istniało i było uznawane w świecie. Kiedy zabijano gestapowca, nie trzeba było wyroku *sensu stricto*, ale decyzji odpowiednich władz w podziemiu. Była to przecież wojna - broniliśmy siebie i swoich rodzin. Choć to nie było na froncie, metody niemieckie sprawiły, że front był wszędzie. Kto szpiegował Żydów, był również karany. W stosunku do obywateli polskich, których trzeba było ścigać, zachowywano całą podstawową procedurę prawną - z udziałem zawodowych prokuratorów, adwokatów, sędziów. Nie mieliśmy tylko zawodowych katów. Po udowodnieniu winy skazany znajdował się pod obserwacją, w odpowiednim momencie dosięgano go i szybko wykonywano wyrok przez zastrzelenie. Niestety, musieli to robić żołnierze podziemia.

## **Auschwitz**

19 września 1940 r. - jak zwykle takie niespodzianki przychodzą w zwykły powszedni dzień - obudzili mnie panowie w „żelaznych melonikach”, jak nazywaliśmy hełmy niemieckie. Matka otworzyła, zanim zdążyłem się podnieść.

„Nazwisko?” - „Bartoszewski, pracownik Czerwonego Krzyża”. - „Zabierać się”.

Ubierałem się, chciałem coś wyjaśnić. Wszystko na próżno. Byliśmy osaczeni. Na podwórzu posesji przy ul. Słowackiego 35/43 wyprowadzano już trzydziestu mężczyzn. Wszystkich, którzy nie mieli niemieckiego *ausweisu*. Tego dnia zabrano z domów w Warszawie około 2000 mężczyzn. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, że byłem jedną z ofiar akcji terroru prewencyjnego wobec inteligencji polskiej zapoczątkowanej w maju 1940 r., tzw. akcji AB (*Ausserordentliche Befriedungsaktion*).

W ciężarówkach jechaliśmy przez miasto. Właśnie pierwsi ludzie szli do pracy. Ze współczuciem spoglądali na naszą kolumnę. Ale nie kielkowało w nas nawet przeczucie tego, co miało nastąpić.

W koszarach SS *Reiterregiment* wyładowano nas i ulokowano w wielkiej hali. Był to maneż, piasek zmieszany z resztkami końskiego nawozu. Musieliśmy się na nim położyć, ciasno jeden obok drugiego, płasko na ziemi. Leżeliśmy jak śledzie w beczce. Niektórzy z bagażem - walizką, plecakiem, teczką. Podoficer SS siedział przy stole, przed sobą miał karabin maszynowy. Wyglądało to jak w cyrku, ale nam wcale nie było do śmiechu. Od czasu do czasu strzelał w sufit, strzelał w głąb hali, nad naszymi głowami. Co pewien czas wybuchał wrzaskiem, coś ryczał. Poza tym nic się nie działo.

Potem przeprowadzono nas w grupach od 50 do 100 ludzi do innego baraku i ustawiono w długiej kolejce, tak jak dziś wchodzi się do samolotu. Dokonywano rejestracji: „Zawód?” - „Pracownik Czerwonego Krzyża”. - „A więc bez pracy. Imię, nazwisko?” - Krótkie kwalifikacje - bezrobotny, asocjalny, element z marginesu społecznego. Tak szło, szybko, znowu nas wyprowadzono.

Nie było potem żadnych rewizji w domach, nie przesłuchiwano nas.

Był upalny dzień wrześniowy, za ciepły jak na tę porę roku. Przyniesiono nam wiadra z wodą - wolno było się zbliżyć tylko na czworakach i pić prosto z wiadra. Potem rzucano w tłum chleb, tak jak rzuca się kamienie. Sami go dzieliliśmy. Pozostaliśmy w tych koszarach dwa dni.

Nocą z 20 na 21 września podzielono nas na grupy po 50 mężczyzn i po godzinie policyjnej przewieziono ulicami Warszawy do rampy na dworcu towarowym. Załadowano nas w grupach od 50 do 60 osób do wagonów bydlęcych. Nie było kubłów do załatwiania



potrzeb ani wody. Doszły jeszcze dwa transporty z więzienia na Pawiaku. Pociąg stał do świtu, następnie powoli ruszył w kierunku południowozachodnim. Jechaliśmy przez Częstochowę, gdzie długo staliśmy na bocznym torze. U schyłku wrześnieowego dnia, już po ciemku, przybyliśmy do Oświęcimia. Nie było jeszcze obozu z rampą w Brzezince, stanęliśmy w szczerym polu, niedaleko od wejściowej bramy starego obozu. Musieliśmy skakać z wysoka, bez różnicy - stary czy młody. Ujadanie psów. Padały ciosy. *Schnell, schnell* - to były pierwsze niemieckie słowa, które tam usłyszałem. Ruszyliśmy biegiem. I tak dotarliśmy do bramy.

Jakkolwiek komicznie by to brzmiało - ta brama wzbudziła w nas nadzieję. Widniało przecież na niej: *Arbeit macht frei*. A więc to obóz pracy? No, dobrze. Niech tam. Może jakaś fabryka? Ach, ci Niemcy mają takie odkrywczyste hasła: *Arbeit macht frei*... Istniejące już krematorium, pierwsze w obozie, znajdowało się o niewiele kroków od tego napisu. Ale widok komina umocnił nas jeszcze w naszych oczekiwaniach - to jakaś fabryka, komin oznacza fabrykę, pracę. Nikt nie wiedział, że jesteśmy w Oświęcimiu, wysiedliśmy przecież w szczerym polu. A zresztą nikt też nie wiedziałby, co to jest Oświęcim.

Niebawem odnalazłem znajomych z Warszawy przywiezionych w połowie sierpnia 1940 r. pierwszym transportem, gdy my byliśmy tzw. drugim transportem warszawskim.

Pierwsze wrażenie: kilka budynków i wielki plac apelowy. Oświetlono nas reflektorami, uformowano szyk, ustawiono alfabetycznie w szeregach. Teraz zobaczyliśmy po raz pierwszy kapo w ich pasiakach z różnokolorowymi trójkątami. Ludzie w paski z czarnymi, zielonymi i czerwonymi trójkątami głośno wrzeszczeli i mocno bili. Byli to przeważnie Niemcy, zwyczajni kryminaliści, kapo, z niskimi numerami obozowymi. Wyglądało to jak w jakimś cyrku, całkiem nierzeczywistym. Za oknami widniały jakieś twarze, zapytaliśmy je, gdzie jesteśmy, a twarze odpowiedziały: „Cicho, nie pytajcie, jesteście w Auschwitz”. - „Ale co to za fabryka?”- „Zobaczycie sami”.

Potem ponumerowano nas, zaprowadzono do łaźni, tam była prawdziwie gorąca woda. Wszystko musiało odbywać się bardzo szybko, prawie biegiem. Musieliśmy oddać wszystkie nasze rzeczy, wetknięto je do worków, a my zostaliśmy odziani na nowo. Nie wszyscy dostali pasiaki, ja miałem spodnie w paski i kurtkę Wehrmachtu. Tak ubrany jestem na zdjęciu obozowym, jako Häftling KL Auschwitz numer 4427. To zdjęcie często noszę przy sobie. Kurtka należała zapewne do rannego albo zabitego żołnierza niemieckiego, bo miała na sobie jeszcze ślady krwi. Przeleciało mi przez głowę: żołnierz zginął, a jego kurtka posłużyła za opakowanie dla żyjącego trupa. To nieźle. Dostaliśmy po kawałku szmatki z numerem, a nazajutrz dano nam igły i nitkę, aby to przyszyć. Po łaźni ogolono nas na całym ciele. I po raz

pierwszy w Auschwitz powiedzieliśmy sobie „dobranoc”. Zdaje mi się, że dostaliśmy jeszcze kawę - więcej nic. W drodze do Auschwitz też nie dostaliśmy nic do jedzenia. W bloku 10 byłem tej pierwszej nocy z około 50 ludźmi w izbie.

Następnego dnia spędzono nas wszystkich na plac apelowy. Był to ranek 22 września 1940 r. Stali tam wszyscy więźniowie. Dowiedzieliśmy się już coś niecoś z rozmów, rzeczy strasznych, ale jeszcze tego nie pojmowaliśmy.

Już przed wojną słyszeliśmy o Dachau. Wiedzieliśmy, że tam bito komunistów, Żydów, tzw. aspołecznych, że niejeden został tam zabity. Tak: obóz, grubiaństwo, brutalność, wyzysk nawet, ale zagłada? Byliśmy poniżani, ale zdawało się, że naszemu życiu nic nie grozi.

22 września 1940 r. przyszedł komendant obozu Fritsch i powiedział: „Popatrzcie tam, na ten komin. Popatrzcie, to jest krematorium. Wszyscy pójdziecie do krematorium, 3 tysiące stopni ciepła”.

I ciągnął dalej, że jest to jedyna droga na wolność - przez komin. Było to piękne i szczerze. Dobre widoki dla nas: przez komin. Pobledliśmy, drżałem. Bałem się. To była najcięższa godzina życia, cięższa niż czas działań wojennych w Warszawie i po zakończeniu działań. Przez lata całe śnił mi się ten poranek, każdej nocy tam wracałem, widziałem komin i słyszałem, jak Fritsch mówi, że jest tylko jedna droga na wolność - przez komin. I nawet we śnie bladłem.

A wtedy - tylko patrzyliśmy.

Esesmani wyszukali sobie ofiarę, nauczyciela gimnazjum z Warszawy, nowo przywiezionego do obozu. Nie wiem, czym zawinił, może stał nie dosyć prosto, wszystko jedno. Kapo wywlekli go przed front, widzieliśmy to wszyscy, kilka tysięcy ludzi, ja też. Numer 4427, Bartoszewski, patrzył na to, widział wyraźnie, widzę to jeszcze teraz. Zaczęli tego nauczyciela bić, znęcać się nad nim. Upadł, pozostał już na ziemi, nieprzytomny, krwawił. Nie wiem, czy go zatłuczono na śmierć, zdawało mi się, że nie żyje. Trwało to 10, może 15 minut. Stało nas tam z 5 tysięcy mężczyzn, wyprężonych na baczność. Byliśmy widzami, żaden z nas nic nie zrobił. Ja też tam byłem i też nie zrobiłem nic i uważam to dziś jeszcze za życiowy wstyd, choć rozumiem to wszystko. Co przez zastraszenie można osiągnąć w ciągu paru godzin. Jak można poniżyć człowieka w tak krótkim czasie. Co można z człowieka zrobić. Nas, tej masy ludzi, nie poddano torturom, ale co mogliśmy zrobić: karabiny maszynowe na górze, strażnicy dokoła na dole. Znęcano się nad człowiekiem... Było to celowo zorganizowane widowisko. I cel osiągnięto: baliśmy się.

Następnego dnia wyszukiwano ludzi różnych zawodów. Nie miałem żadnego

doświadczenia w pracy, nie mówiąc już o kwalifikacjach. Jakiś ksiądz katolicki zgłosił się jako ogrodnik, być może pochodził ze wsi i znał się trochę na tym. Wyszukiwano stolarzy, ślusarzy i elektryków. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że trzeba się natychmiast zgłosić, obojętne, co się umie. Po kilku godzinach wyodrębniono ludzi z roczników 1922 i 1923, i młodszych, bo i tacy byli. Utworzono z nas blok młodocianych, nr 5. Blokowym był Polak, sadysta. Polakiem był także pisarz bloku, więzień polityczny, złapany na próbie przejścia na Węgry, by zaciągnąć się do polskich formacji za granicą. Ojciec jego był znanym krytykiem teatralnym, oficerem rezerwy w wojsku polskim, wówczas przebywał w Anglii. Jan B. niewiele mógł pomóc, ale również i nie szkodził nikomu. Przestrzegał: nie bądź głupi, daj spokój. Co dzień musiał napisać raport, ilu jest chorych, ilu przybyło, ilu umarło - normalne sprawozdanie. Sam był w szczególnej sytuacji, gdyż zakwalifikowany w obozie jako polski więzień polityczny, podlegał skądinąd hitlerowskim kryteriom segregacji rasowej. Na szczęście Niemcy o tym nie wiedzieli i się nie dowiedzieli.

My, Polacy, byliśmy wtedy w zasadzie między sobą. Transporty żydowskie przybyły bowiem dopiero znacznie później. Pierwszy w marcu 1942 r. - kobiety ze Słowacji.

Co robiliśmy przez cały dzień? Nie była to żadna gimnastyka ani żaden sport, tylko bezsensowne skakanie, kilkaset metrów skakania „żabką”. Kto skakał nie dość wysoko albo nie dość daleko, był bity. Jedzenie było złe. Jedna pompa na 5 tysięcy ludzi - a i to tylko z wodą do mycia. Zabraniano nam ją pić - tak dbano o nasze zdrowie. W wolnych chwilach uczyliśmy się niemieckiego. Mieliśmy rozumieć rozkazy i podstawowe pojęcia, umieć meldować się po niemiecku. Czasem czytano nam coś z niemieckich gazet, które w tym czasie już się w Polsce ukazywały. Czytaliśmy i tłumaczyliśmy to na polski. Czytałem i ja na głos, ale tak, że każdy wiedział, że nie biorę treści poważnie. „Mój drogi - powiedział mi pisarz - czytasz gazety niemieckie, ale jak... to przecież grozi śmiercią”. Zacząłem uważać, szło przecież o życie. Ale ta lektura gazet skończyła się po niewielu dniach, po prostu przestaliśmy je dostawać i wcielono nas do kolumn roboczych. Moją pierwszą pracą w Oświęcimiu było wycinanie darni, małych kwadratów: ładowałem je na taczki i wiozłem pod krematorium. Ozdabiałem nimi z zewnątrz I krematorium.

Wtedy zobaczyłem pierwszych zmarłych dostarczanych do spalenia. Trupy. Wewnątrz nigdy nie byłem. Trupy dostarczano na taczkach. Nie było ich nigdy zbyt wiele. Obóz funkcjonował przecież dopiero od czerwca 1940 r. Jeśli ktoś nie zachorował ciężiej albo nie był pobity po głowie, pozostawał przy życiu. Rozstrzeliwania zaczęły się dopiero 11 listopada 1940 r., w żwirowni na terenie obozu. W dzień naszego narodowego święta.

Parę dni przepracowałem przy krematorium. Potem nosiłem deski

i betonowe słupy, te same betonowe słupy, które do dziś stoją w Oświęcimiu. Później druty naładowano elektrycznością, aby zapobiec każdej próbie ucieczki. Raz miałem szczęście: nieśliśmy w ośmiu taki betonowy słup. Byliśmy za słabi i upadł mi na stopę, ale samym zakrzywionym końcem i nie zmiażdżył mi kości. Miałem wtedy szczęście. Zawsze potem miałem szczęście...

Potem użyto nas wszystkich do wyładowywania kartofli. Przybyły ich wielkie transporty. Z wysokich wagonów kolejowych musieliśmy ładować kartofle do koszy i nosić do kopców, gdzie zabezpieczano je przed mrozem. Była to bardzo ciężka praca. Nie mieliśmy dobrego obuwia, a pola zamieniły się w błoto. Padało, był koniec października.

A potem przyszedł ów słynny apel, którego nigdy nie zapomnę. Zdaje mi się, że było to 28 października 1940 r. lub któregoś z następnych dni. Jeden z więźniów uciekł. Zagnano nas wszystkich na plac. Staliśmy długie godziny. Dzień, popołudnie, wieczór, do późna w nocy. Tak, dopiero w nocy odesłano nas do bloków. Wtedy też dostaliśmy coś do picia. Zdaje mi się, że na placu przestaliśmy kilkanaście godzin. Wyciągano ludzi z szeregów, bito ich bez pamięci. Wtedy, w ciągu tych godzin na placu, albo później, w wyniku bicia i głodu, zmarło 150 do 180 ludzi. To były pierwsze tak liczne ofiary w Oświęcimiu. Wcześniej umierało dziennie jakieś pół tuzina. Jeśli wyobrazić sobie pięcioletnie miasteczko, to pół tuzina nie jest wiele. Dopiero gdy ludzie mrą tuzinami, zaczyna to robić wrażenie. A tego dnia zmarły dziesiątki i w następnych dniach także.

Byłem coraz słabszy. Już we wrześniu nie miałem skarpet, tylko drewniaki - a teraz przyszedł mróz. Było wilgotno i mroźno. Ta okolica należy do najbardziej niezdrowych w Polsce. O tym wiedziałem już w szkole. Dobre miejsce wybrali dla nas hitlerowcy... A potem zbudowano tam Brzezinkę Birkenau. Ale z tym przedsięwzięciem nie miałem nic do czynienia. Zatrudniono nas w polu niedaleko obozu, koło torów. W listopadzie 1940 r. wyburzaliśmy przedmieście Zasole. Była tam nowa część miasta w pobliżu obozu, nie bardzo duża - wille, domki jednorodzinne. Mieszkańców wysiedlono i wywieziono.

To była dobra praca. Nie mogli nas cały czas obserwować, od czasu do czasu znajdowaliśmy w piwnicach coś jadalnego, stare ogórki lub kartofle, których ludzie nie zabrali ze sobą. Nie znęcano się nad nami ani nas nie bito. Zabraliśmy sobie stamtąd kilka książek do nabożeństwa. Odebrano nam je wszystkie, kiedy przyszliśmy do obozu.

W grudniu 1940 r. zachorowałem. Prawdopodobnie na zapalenie płuc. Miałem wysoką gorączkę. Ledwie mogłem ustać na placu apelowym. Byłem owrzodzony, ręce miałem odmrożone. Nie mieliśmy przecież rękawic, a musieliśmy pracować, na przykład w mróz wyładowywać cegły. I tak koledzy nakłonili mnie do pójścia do ambulatorium.

Graniczyło to wprawdzie ze śmiercią, ale nie było innego wyjścia. „Chodź, idziemy” - towarzyszyli mi. Zgłosiłem się tam prawie nieprzytomny. Przypominam sobie tylko pierwsze minuty w ambulatorium. Wiem, że kierownik, polski lekarz, sam więzień, nie chciał mnie przyjąć. Wtedy przyszedł inny lekarz - dr Jan Nowak. Zapytał mnie: „Jaki masz zawód?” - odpowiedziałem: „Coś niby student”. - „Z Warszawy?” „Tak”. - „Polityczny?” - „Tak”. - Wtedy powiedział do tamtego: „Ty, trzeba mu pomóc”. Przyjął mnie więc też polski więzień. Kiedy znalazłem się na łóżku, straciłem przytomność i ocknąłem się dopiero po 11 czy 12 dniach. To był 23 grudnia, dzień przed Wigilią.

Boże Narodzenie 1940 r. spędziłem w jednej izbie z wieloma ciężko chorymi. Posłużono się pretekstem, aby umieścić mnie w szpitalu. Napisano, że mam zakaźną chorobę skórą. Tego Niemcy się bali. Choroby skórne i choroby weneryczne w zaawansowanych stadiach, jaglica. Bali się zarażenia.

My, ciężko chorzy, byliśmy wszyscy razem, po dwóch w jednym łóżku. Ten szpital uratował mi życie. Byłem tam najmłodszy. Koledzy odnosili się do mnie po ojcowsku. Niektórzy widzieli we mnie jakby własnego syna.

Pamiętam dobrze to Boże Narodzenie. Na placu apelowym ustawiono choinkę z elektrycznymi świecami. A pod choinką leżały trupy więźniów. To był pomysł jakiegoś esesmana. Ci, którzy zmarli tego dnia, leżeli tam wszyscy na kupie pod choinką, zanim odwieziono ich do krematorium. Takie Niemcy przygotowali nam prezenty gwiazdkowe. Nie widziałem tego sam, nie opuszczałem wtedy bloku szpitalnego, słyszałem tylko, bo opowiedzieli mi to bezpośredni świadkowie. Ale tego, co widziałem sam, wystarczy aż nadto.

Pozostawałem w szpitalu więziennym. Później przeczytałem w zeznaniach świadków, że jakobym „pomagał ludziom i budził ducha oporu”. Miałem w głowie obfity repertuar polskich wierszy i utworów literackich, gdyż byłem ledwie rok po maturze, a w naszych szkołach uczono wiele na pamięć. Toteż godzinami mogłem recytować wiersze. Pisywałem też innym listy po niemiecku, gdyż dozwolony był w obozie tylko jeden język, niemiecki. Pozwolenie na napisanie pierwszego listu do matki otrzymałem dopiero po wielu tygodniach pobytu w obozie. Potem dostawałem co miesiąc list od niej, a sam pisałem na formularzu niewiele linijek: „Mam się dobrze”. Tak. Cóż można było w ogóle napisać? Ale to był znak życia. Rodziny nie mogły wtedy jeszcze wysyłać paczek. Ale raz otrzymałem kilogramową paczkę z Krakowa od ks. arcybiskupa Sapiehy. Paczki te były bezimienne, wysłane po jednej dla każdego więźnia: słonina, smalec, kiełbasa, podgardle. Jakimże skarbem była paczka, którą dostałem po raz pierwszy i jedyne! Mogliśmy wprawdzie otrzymywać od rodzin pieniądze, ale poza mydłem i pastą do zębów nic nie można było za nie dostać. Później

można było za te pieniądze czasami kupić trochę zupy.

Z domu, w którym mieszkałem w Warszawie, wywieziono do KL Auschwitz 14 mężczyzn. Z tych 14 zmarło 11, a trzech zostało zwolnionych. Z jednego domu... Pierwszej zimy wymarło 80% warszawskich transportów - bez komory gazowej i zastrzyków uśmiercających. Pierwsze takie zastrzyki miały miejsce w maju 1941 r. po selekcji przewlekle chorych w szpitalu. Gdyby je stosowano wcześniej, ja też bym nie żył. Ale przetrwałem tę zimę, a lekarze pielęgowali mnie, jak się dało. Przetrzymali mnie w szpitalu i dzięki temu zostałem uratowany. 8 kwietnia, we wtorek Wielkiego Tygodnia, wywołano mnie. Miałem zostać zwolniony.

Tymczasem uzyskałem już stosunkowo większą swobodę ruchów i widziałem więcej niż inni. Otrzymywałem różne zlecenia dla rodzin. Nie byli to ludzie starzy, ale przeważnie starsi ode mnie: mieli żony i dzieci. Jeszcze dziś mam w pamięci obraz śmierci poszczególnych ludzi, ich nazwiska. I tak na przykład byłem zapewne ostatnim Polakiem, który rozmawiał z profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego Adamem Heydlem tuż przed zabraniem go z łóżka szpitalnego na egzekucję w marcu 1941 r. Profesor Heydel znalazł się w izbie szpitalnej wśród różnych zakaźnie chorych, sam miał dyfteryt. Słyszając przez przepierzenie, jak czytywałem na głos - tłumacząc - gazety niemieckie, zainteresował się, jak sądzę, młodym inteligentem, bo - gdy poczuł się nieco lepiej - chciał, żebym do niego przyszedł. Na kilka miesięcy przed wywiezieniem do Oświęcimia czytałem jego *Mysli o kulturze* - zorientowałem się więc, kogo tu spotkałem, choć niewiele więcej o nim wiedziałem. Siadywałem kilkakrotnie u niego na łóżku. Zachowywał opanowanie, powściągliwość i spokój. Deklamował półgłosem wiersze Norwida. Pamiętam do dziś jego wychudzoną twarz i rudawy zarost.

Któregoś dnia, gdy siedziałem u niego, rozległy się okrzyki: *Achtung!* Przyszli Niemcy. Zabrali tylko profesora. Tuż po apelu prowadzono kilkunastu więźniów z rękami związanymi drutem. Tegoż wieczoru stracono kilkunastu więźniów, wśród nich Adama Heydla. Działo się to w drugiej dekadzie marca 1941 r. (potem dowiedziałem się, że 14 marca). A równocześnie czytaliśmy czasem w gazecie, że życie wokół nas toczy się dalej, że w Katowicach i w Krakowie są kawiarnie, restauracje, lokale. No tak.

Często powtarzaliśmy to innym, że życie idzie naprzód. Że musimy się z tym pogodzić i trzymać się razem. Modliliśmy się razem, także bez księżek do nabożeństwa. Ludzie znali na pamięć różne modlitwy. Księdza nie mieliśmy w szpitalu. Śpiewaliśmy również z pamięci, choć właściwie było to tylko mruczenie: śpiew bowiem był również zakazany.

I wtedy nastął ten 8 kwietnia 1941 r., gdy zwolniono mnie razem z dziewięcioma innymi więźniami - trzema z Warszawy i sześcioma z Górnego Śląska. Powiedziano nam: „Będziecie teraz zwolnieni, zameldujcie się natychmiast na gestapo w miejscu zamieszkania. Tylko bez żadnych głupich wyczynów, od razu do Arbeitsamtu. Kto tu wróci, będzie mógł już wyjść na wolność tylko przez komin, to wam mówimy bez żadnych ogródek”.

Dostaliśmy formularze do wypełnienia: nie mamy żadnych pretensji do zarządu obozu, byłem dobrze traktowany, nie będę podejmował żadnej działalności wrogiej wobec państwa i naruszającej prawo. Co miało znaczyć „państwo” w odniesieniu do Polaków, nie było dla mnie jasne. Zachowując sąd o tym dla siebie, podpisaliśmy wszystko. Doprowadzono nas do dworca w Oświęcimiu. Policjant czekał, aż pociąg odejdzie. Powiedział nam, że nie mamy z nikim rozmawiać: to zabronione. Wszedłem do przedziału, w którym siedziały dwie polskie dziewczyny. Powiedziałem tylko: „Z obozu”. Dały nam swoje śniadania. Walcząc z głodem, powiedziałem jeszcze: „Przecież na Śląsku dostajecie żywność tylko na kartki”. „Tak, tak, ale mamy dość”. Pobożne kłamstwo! To moje najpiękniejsze wspomnienie po wypuszczeniu z obozu.

Do Warszawy przybyliśmy wieczorem, jeszcze przed godziną policyjną. Byłem bliski śmierci, miałem zakażenie krwi. Taksówki były tylko dla Niemców, Polakom pozostawały dorożki. Dorożkarz nie chciał jechać tak daleko, ale dogadaliśmy się. „Skąd przyjeżdżam? - Z obozu”. „A pańska matka żyje? To się ucieszy. Zawiozę pana, choć nie lubię jeździć tak daleko. Pieniądzy nie potrzeba”.

Przejeżdżaliśmy wzdłuż getta. „Tu są Żydzi - powiedział dorożkarz. - Getto jest zamknięte”. Wzdłuż Wisły, obok Starego Miasta, dojechałem do domu. I tam dowiedziałem się od matki, że ojciec starał się o moje zwolnienie przez Czerwony Krzyż.

Następnego dnia zameldowałem się na gestapo, a ci panowie byli uprzedzająco grzeczni. „Jak się pan czuje?” „Dobrze”. „Kiedy pana zwolniono?” „Wczoraj, ale było już za późno, żeby się zameldować”. „Jak zdrowie?” Nie mogłem powiedzieć, że źle. Podpisałem przecież, że jestem zdrowy. „Trochę przeziębilem się w drodze - powiedziałem - więc nie czuję się najlepiej. Ale poza tym wszystko w porządku”. „Musi pan wyzdrowieć - powiedzieli ci panowie - i zameldować się w Arbeitsamcie. Jest pan młody, praca panu dobrze robi. Wygląda pan jednak nietęgo, proszę się nie spieszyć, trzeba najpierw wyzdrowieć”.

Przeleżałem w łóżku parę tygodni: ogólne zakażenie. Leczył mnie bezinteresownie znany warszawski dermatolog dr Waław Bernhardt. Pielęgnowała znajoma harcerka Hanka Czaki, bo matka musiała chodzić do pracy. Nie mogłem posługiwać się obandażowanymi rękami. Przychodząca codziennie pielęgniarka robiła mi zastrzyki.

Wspomagały mnie niektóre rodziny więźniów z naszego domu, którzy zmarli w obozie. Już wtedy powstawała dręcząca świadomość: ja żyję, a oni umarli. Z czasem dopiero jednak zarysowało się pytanie: ale dlaczego? Skoro żyję, to oznacza zobowiązanie, że powinienem coś sensownego dla ludzi zrobić. O zemście nie myślałem. Z tym jednak bywało różnie. Spotkałem przyjaciela, który został zwolniony w kilka miesięcy po mnie. Ujęty w łapance ulicznej Zbigniew Art. Był trochę starszy ode mnie, wysportowany, dzielny chłopak. Miał w kacecie niski numer, musiał wiele wycierpieć. Jego matce, modystce, która miała niemieckie klientki, udało się go wydostać z obozu. Może jedna z klientek była żoną oficera policji, w każdym razie nie żądała pieniędzy. Po zwolnieniu odwiedził mnie i powiedział: „Mój drogi, chcę teraz zabijać, chcę się zemścić. Chcę zabijać tych niemieckich drani”. Za moim pośrednictwem trafił do oddziału Kedywu AK walczącego bezpośrednio z gestapo. Uczestniczył w akcjach grupy uderzeniowej. Wykonywał także wyroki i w sierpniu 1943 r. poległ w walce. Jedyny syn swej matki.

Moje myślenie szło w kierunku innym. Nie przelałem krwi. Miałem szczęście - jak często w moim życiu.

Wtedy już spodziewaliśmy się, że niebawem dojdzie do wojny niemieckosowieckiej. Olbrzymie ilości niemieckiego wojska znajdowały się w drodze przez Polskę na wschód. Wśród nich zamaskowane kolumny pancerne. Rozbudowywano lotniska. A ja ciągle jeszcze leżałem w łóżku. W tym czasie spisałem moją pierwszą relację - za radą Hanki Czaki. „Pisz” - mówiła. Nie mogłem jednak pisać ze względu na stan mych rąk. Dyktowałem więc, a ona pisała. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że była sekretarką szefa Wydziału Informacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. Jemu przekazała moją relację, która została w odpowiedni sposób wykorzystana. Była to jedna z pierwszych relacji o Oświęcimiu - obok raportu jednego z polskich artystów, zwolnionego jednak dużo wcześniej niż ja.

Wreszcie przełamałem wewnętrzne opory, przekroczyłem też barierę lęku. Złożyłem sprawozdanie. Wyzdrowiałem. Odwiedziłem rodziny zmarłych, wywiązując się z moich obietnic. Przypominam sobie młodą kobietę, prawdopodobnie trzydziestokilkuletnią. Mąż, urzędnik skarbowy, zmarł przy mnie w szpitalu. Na krótko przed śmiercią prosił mnie, abym odwiedził jego żonę i dzieci i przekazał od niego słowa pożegnania. A ona powiedziała: „Nie boję się pana. Któż panu to polecił, kto panu za to zapłacił, żeby pan tu przyszedł i opowiadał mi takie kłamstwa, aby mnie załamać? Być może jest pan słabym człowiekiem - i dlatego pana wypuszczono. Ale jest pan kłamcą...”. To było wstrząsające. Zrozumiałem, jak to wszystko jest psychologicznie zawikłane. A ona mówiła dalej: „Mój mąż był zdrowy.



Dostałam wiadomość, że umarł na chorobę nerek. Ale na nerki nie umiera się w parę tygodni. To jest po prostu kłamstwo”.

Prawdą jednak było, że odbito mu nerki. Zapytałem: „Czy zażądała pani urny z prochami?”. Odpowiedziała: „Nie, nie, w żadnym razie”. „Niech pani to zrobi - prosiłem ją. - Ma pani dzieci. Urna pozostanie jako znak pamięci”.

Natrafiałem więc na granice i bariery, których nie umiałem pokonać.

## Ocalić ślady

Gdy zamknięto getto w Warszawie, byłem już w Oświęcimiu. Gdy po siedmiu miesiącach wróciłem do Warszawy, dochodziły zewsząd złe nowiny. Setki tysięcy Polaków ze wschodnich terenów Polski deportowano tymczasem w głąb Rosji, innych - z terenu okupacji niemieckiej - na roboty przymusowe do Rzeszy. Niemieckie siły bezpieczeństwa wzmogły łapanki uliczne. Przywożono ludzi na Pawiak - a nocą znikali, bez wyroku, bez śledztwa. W tym czasie rozbudowaliśmy już wywiad w Podziemiu i niebawem mieliśmy się dowiedzieć, co się dzieje z tymi ludźmi.

Zrozumieliśmy z przerażeniem, że hitlerowcy zaczynają obracać w czyn swoje plany zniszczenia Polski jako społeczności, jako narodu i jako państwa. Pierwszym celem było wytepienie inteligencji polskiej. Począwszy od grudnia 1939 r., trzy miesiące po rozpoczęciu „wojny błyskawicznej” przeciwko nam, wywożono już pierwszych ludzi z Pawiaka do Palmir koło Warszawy, na teren dawnego poligonu - tam ich rozstrzeliwano i zagrzebywano. Rychło przeciekały pierwsze wieści na ten temat, złe wieści, które zapowiadały jeszcze gorsze.

Na tym terenie był przed wojną poligon z magazynami amunicji. Teraz przebywało tam niewielu ludzi, m.in. gajowi, pod nadzorem niemieckiej służby leśnej. Jeden z takich właśnie gajowych, Adam Herbański, zupełnie prosty człowiek, obserwował, co się dzieje. Często nakazywano mu pozostawać w domu i nie śledzić nawet kłusowników. Zauważył, że SS kopie doły. Nie byłby polskim chłopem, gdyby tego właśnie dnia, kiedy miał pozostać w domu, nie ukrył się w pobliżu tego miejsca, gdzie wykopywano doły. Potem poszedł do proboszcza - bo gdzież mógł pójść? - z parafii Łomna przy szosie Warszawa-Modlin i powiedział mu: „Księżo proboszcza, tam coś się dzieje, rozstrzeliwują ludzi”. Za sugestią proboszcza kontynuował swoje obserwacje, starał się policzyć ofiary, zaznaczał miejsca zbiorowych mogił wtykał w ziemię gałązki, układał kamienie.

I stale przynosił wiadomości księdzu.

Później, po wojnie, znaleźliśmy te masowe groby. Uczestniczyłem w ekshumacji w 1946 r., brałem udział w identyfikacji zwłok. Tamtemu gajowemu zawdzięczamy, że znaleźliśmy groby i że mogliśmy wielu zidentyfikować. Sam zagrożony śmiertelnie, gdyby go odkryto, nie był w stanie nikomu bezpośrednio przyjść z pomocą, ale mógł utrwalić ślady, tak aby przyroda ich nie zatarła. Nie można było za tych ludzi odprawić mszy, nie można było postawić krzyża - to nastąpiło dopiero po wojnie.

Wiadomości o egzekucjach dotarły do nas w podziemiu już w czasie wojny. Ale żeby nie narażać księdza, trzymano to wszystko w tajemnicy. Ksiądz Gregorkiewicz wpisywał w

księgach parafialnych, ilu ludzi zginęło. Rozmawiałem z tym księdzem po wojnie, pozostawał w tej samej parafii Łomna.

Podobnie jak ów gajowy dziesiątki, a nawet setki tysięcy ludzi współpracowało czynnie z podziemiem.

Od lata 1942 roku i ja czynny byłem w podziemiu i od wczesnego rana do godziny policyjnej zajęty różnorodną pracą konspiracyjną. Mój przełożony w referacie żydowskim Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu zaproponował mi współpracę przy organizowaniu komórki więziennej w tym departamencie. Najważniejszym jej zadaniem było zorganizowanie pomocy dla więźniów w więzieniu gestapo na Pawiaku oraz pozyskiwanie i analiza informacji i materiałów o zbrodniach hitlerowskich. W grudniu 1942 r. tzw. Kierownictwo Walki Cywilnej zwróciło się „do wszystkich obywateli państwa polskiego” z apelem:

Należy utrwalić sobie w pamięci, ewentualnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, odnotować lub opisać fakt i wszelkie szczegóły dokonanej zbrodni, miejsce i datę jej popełnienia, imiona i nazwiska sprawców, ich miejsca zamieszkania i, ewentualnie, skąd przybyli oraz pełnione przez nich funkcje. Należy też zapamiętać nazwiska świadków. Pożądanym jest również gromadzenie w oryginałach lub odpisach odpowiednich dokumentów urzędowych (wyroków, zarządzeń, okólników władz niemieckich, fotografii itp.). Do odpowiedzialności pociągnięci zostaną nie tylko główni winowajcy, inicjatorzy popełnionych zbrodni, lecz również wszyscy wykonawcy tych zarządzeń, bez względu na przynależność państwową i narodową. Wszystkie więc szczegóły dotyczące tych osób należy także zachować. Tam, gdzie już tego rodzaju akcja została wszczęta, należy sprawdzić, czy posiadany materiał zawiera wymienione wyżej dane i ewentualne braki uzupełnić. Zebrane materiały należy starannie ukryć i przechować bądź też przekazać do właściwych ośrodków drogą organizacyjną.

Zabrałem się natychmiast do tej roboty i niebawem pozyskałem do niej niezastąpioną sekretarkę i archiwistkę, maszynistkę i kierowniczkę łączności w jednej osobie. Przybrała pseudonim „Bronisława”, nazywała się Bogna Domańska. Przed wojną była bibliotekarką w instytucjach zarządu miejskiego w Warszawie.

Pierwszym ważnym informatorem i łącznikiem z więzieniem na Pawiaku była strażniczka więzienna, pseudonim „Myszka” lub „Lusia” - Ludwika UzarKrysiakowa. Wojna zabrała jej męża i jedyne dziecko. Odtąd ta cicha młoda kobieta poświęciła się bez reszty sprawom więźniów i ich rodzin. Podejmowała najniebezpieczniejsze zadania i była absolutnie niezawodna w każdej sytuacji. Kiedy szła na służbę, miała zawsze przy sobie naszą tajną

pocztę z wielu pytaniami i prośbami. Wracając do domu, przynosiła korespondencję z więzienia: informacje o przebiegu śledztw poszczególnych osób (o co gestapo pyta i co zapewne wie, kogo trzeba ostrzec, kto „sypie”), prośby osobiste przeznaczone dla rodzin, dane ogólne o tym, co dzieje się w więzieniu, o „przybytkach” i „ubytkach”, egzekucjach i transportach.

Latem 1943 r. udało się nam z pomocą zaufanych ludzi zatrudnić w więzieniu gestapo młodą dziewczynę. Anna Kraska podjęła się trudnej pracy tłumaczki w kancelarii oddziału kobiecego. Nadzorowała spacerowanie więźniarek i była jedną ze strażniczek na „przejściówce”. Wszystkie zlecone jej zadania wykonywała ofiarnie, odważnie i z wielkim sprytem. Systematycznie przekazywała tajne wiadomości, ustne wskazówki i życzenia w obu kierunkach. Niebezpieczne zadanie zbierania informacji wykonywała w więzieniu między innymi Wanda Wilczańska, zatrudniona w szpitalu więziennym. Wanda mogła spełniać swoje zadanie w więzieniu tylko z pomocą lekarzy - więźniów Pawiaka, którzy pomagali jej za zgodą kierownictwa zewnętrznej wojskowej siatki więziennej AK.

Tą i wielu innymi drogami otrzymywaliśmy stale wiele informacji, które trzeba było krytycznie ocenić i zanalizować. Interesował nas przede wszystkim przebieg przesłuchań. Ważne też były ostrzeżenia na temat materiałów znalezionych podczas rewizji w domach albo rewizji osobistych, również nazwiska tych aresztowanych, którzy „sypali”.

W ten sposób układaliśmy dzień po dniu z kamyków mozaiki, obraz życia w więzieniu, charakterystyczny wówczas dla życia w okupowanym kraju, z tym wszystkim, co w nim było tragiczne i bohaterskie, ale też czasem małe i nikczemne. Równolegle organizowaliśmy przesyłki żywności bezpośrednio dla więźniów na Pawiaku i do kilku obozów koncentracyjnych.

Dla wielu osób nie mniejsze może znaczenie miało wsparcie moralne, grypsy od najbliższych, wiadomości o zapewnieniu im opieki, poczucie, że ktoś na zewnątrz o nich pamięta i myśli.

Do naszych obowiązków należało też opracowywanie zgromadzonych wiadomości i przekazywanie ich rządowi polskiemu w Londynie, a za jego pośrednictwem - w świat. Dzień po dniu śledziłem przebieg tragicznych i zawiłych problemów ludzkich, komplikacji wynikających z przesłuchań. Dotyczyło to ludzi znanych mi zaledwie z nazwiska, a przecież tak głęboko wchodzić musiałem w ich życie. Byłem małym kółeczkiem w wielkiej maszynie podziemia, czasem tylko przekazywałem ostrzeżenia, czasem pomagałem uprzątnąć mieszkania aresztowanych, zabierać stamtąd materiały, które mogły zainteresować gestapo, a więc stanowiły niebezpieczeństwo. Niemal każde takie przeżycie mogłoby po latach jeszcze

dostarczyć niezwyklego materiału do wspomnień, wówczas, z konieczności streszczałem je w paru słowach czy zdaniach na użytek podziemia i podziemnej dokumentacji.

Pamiętam jeszcze dokładnie, jak wieczorem 7 stycznia 1944 r., na krótko przed godziną policyjną włamaliśmy się wraz ze Stefanem Rodkiewiczem („Lech”) i z Koziulewskim („Robak”) do opieczętowanego przez Gestapo mieszkania aresztowanej przed dwoma dniami Hanki Czaki (tej samej, która mnie pielęgnowała, gdy leżałem chory po wyjściu z obozu i dla której pisałem sprawozdanie z Oświęcimia) w celu usunięcia kompromitujących dokumentów. Przy nikłym świetle latarek elektrycznych odszukaliśmy skrytkę znajdującą się pod skrzynią do węgla i wydobyliśmy klucze szyfrowe, adresy, notatki, które przenieśliśmy chwilowo do skrytki we własnym mieszkaniu. Wyważenie drzwi i przeszukanie kilkupokojowego lokalu, zdemolowanego już podczas rewizji przez gestapo, trwało kilkadziesiąt minut. W tym czasie wokół domu czuwało kilkusobowe ubezpieczenie. Następnego dnia rano policja granatowa przesłuchiwała dozorczynię domu przy ul. Słowackiego i oficjalnie stwierdziła włamanie rabunkowe.

Takim, którzy wpadli z obciążającym materiałem przy sobie albo zostali załapani w podejrzanym lokalu, zazwyczaj nie można było pomóc. Wielu rozstrzelowano potem w ruinach getta. Bezradni czytaliśmy ich nazwiska na plakatach oznajmiających o egzekucjach. Na zawsze będę pamiętał dwudziestoletnią Anielę Załęską („Dorotę”), studentkę historii UW, łączniczkę w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu. Torturowana po znalezieniu u niej obciążających materiałów, napisała w jednym z grypsów: „Życie jest ciekawe i piękne. Warto je poznać w różnych formach i odmianach. Ani trochę nie żałuję przeszłości, nie oddałabym ostatniego roku za pięć lat spokojnego życia. Tylko mi mało, i dlatego żal”. Stracono ją w pobliżu więzienia 19 maja 1944 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych pisałem książkę *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944*, to myślałem przede wszystkim o tych ofiarach. Już od stycznia 1946 r. usiłowałem przyczynić się w prasie, radiu i fachowych publikacjach do utrwalenia pamięci straconych i pomordowanych, do pogłębienia wiedzy o okolicznościach cierpienia i śmierci tysięcy niewinnych ofiar ostatniej wojny spośród mieszkańców mojego rodzinnego miasta. Sformułowałem to wówczas: „Czułem się do tego szczególnie zobowiązany jako jeden z żyjących świadków wielkiej sumy ludzkich tragedii, o których nie potrafię zapomnieć. I dlatego napisałem tę książkę”.

## **Wobec zagłady**

W półmroku krypty na Górze Pamięci w Jerozolimie zapalony został symboliczny płomień. Stoję w krypcie pamięci w Yad Vashem nad wielkim symbolicznym grobem, gdzie pod ciężkimi płytami znajdują się popioły ofiar obozów koncentracyjnych Europy. W ten październikowy dzień 1963 roku słucham w języku hebrajskim i polskim uroczystej formuły:

Wspominamy bohaterskie czyny walczących w getcie, żołnierzy podziemia i partyzantów, którzy wypowiedzieli wojnę przeważającym siłom nieprzyjaciela, ratując honor swojego narodu. Ze czcią wspominamy tych, którzy z godnością i męstwem bronili swego człowieczeństwa, i tych, którzy nieśli pomoc Żydom z narażeniem życia, w imię najświętszych ideałów ludzkości.

Mam 41 lat, jestem pierwszy raz w moim życiu za granicą - i to właśnie w Izraelu! Myślę o zabitych przyjaciółach, ofiarach, o moim dzieciństwie w Warszawie, o moich pierwszych spotkaniach z Żydami. Ale także o ludziach, których ratowaliśmy przed zagładą. O tym, że miałem szczęście ratować innych - a przez to samo ratować godność ludzką, swoją i naszą. Trzeba o tym teraz myśleć. Tu ukryta jest mądrość Ewangelii, że stokrotnie i tysiącrotnie będzie oddane każdemu, co zrobił w życiu dobrego. Czynić dobro - to brzmi tak łatwo, trzeba po prostu robić to, co słuszne. Ale tylko w ten sposób tworzy się wartość prawdziwa, prawda, niezbędna człowiekowi do życia.

Gideon Hausner, generalny prokurator państwa Izrael, główny oskarżyciel w procesie Eichmanna, urodzony i wychowany we Lwowie, syn polskiego dyplomaty narodowości żydowskiej, mówił po polsku do mnie, wyróżnionego jako jeden ze „Sprawiedliwych”, ja zaś następnie o ludziach, którzy cierpieli w Oświęcimiu, o Żydach i Polakach. Myślałem wtedy także o tych Żydach, którzy w Oświęcimiu mówili do mnie: „Szkoda ciebie, chłopcze, nas wykupią Amerykanie, już niebawem wrócimy do domu, ale co będzie z tobą?”.

W imieniu moich rodaków, którzy w tamtych czarnych godzinach z narażeniem życia nieśli pomoc polskim Żydom i często padali ofiarą, zasadziłem drzewko w Alei Sprawiedliwych prowadzącej do centrum Yad Vashem. Miałem szczęście w piętnaście lat później iść tą samą drogą z moją żoną. Drzewko urosło tymczasem. Zasadzono nowe drzewa, ponieważ wszędzie na świecie znajdowano ludzi, którzy ratowali Żydów. Polskich drzew rośnie tam dotychczas 1500. Dużo to czy mało - wciąż trwa okrutny o to spór, spór o to, czy ratunek był na skalę zagłady.

O czym myśli się w takich chwilach? Nie tylko o milionach zabitych, ale również o jednostkach, o nazwiskach tych, których tymczasem poznała już cała ludzkość, którzy w życiu i śmierci stali się dla nas wzorem:

o Maksymilianie Kolbem, o Edycie Stein, ale także o żydowskim lekarzu Januszu Korczaku, który na czele swoich sierot wsiadł do pociągu wiozącego ich do obozu zagłady w Treblince. Korczak i Kolbe - jeśli nawet różni światopoglądem i sposobem myślenia, stanowią jedność. Ich śmierć była wówczas znakiem. Dziś ich imiona noszą szkoły i inne instytucje. Brzmi to już - tylekroć powtarzane - jak banał, ale w istocie te imiona stanowią dla nas nieustające zobowiązanie, by ich czyny poznawać i rozważać, by zrozumieć, co ich popchnęło do złożenia ofiary z życia, do wejścia na drogę Wielkiego Piątku, do niesienia na swój sposób krzyża swoją Via Dolorosa. Krzyż, na którym umarł Jezus, jest dla nas, chrześcijan, drogowskazem. Dla Kolbego tym krzyżem była męka głodowej śmierci i zabijający zastrzyk fenolu, dla Korczaka śmiertelny gaz w komorze gazowej w Treblince i to, co tę chwilę poprzedzało.

Od 21 lipca 1942 r. szły pociągi do Treblinki z setkami tysięcy ludzi z gett, utworzonych tymczasem w całej Polsce. Mężczyźni, kobiety i dzieci, bez wyboru, według kontyngentu ilościowego SS. Śmiertelny plan, uruchomiony przez maszynierię, za którą stała myśl sformułowana następnie w protokołach konferencji w Wannsee jako zadanie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” (*Endlösung der Judenfrage*)<sup>1</sup>.

Długo nie mogliśmy sobie w Polsce wyobrazić, że można po prostu wytepić setki tysięcy - miliony dzieci, kobiet i mężczyzn. Nie mogli w to uwierzyć sami skazani - Żydzi. A przecież to działo się codziennie na naszych oczach. Z samej Warszawy od 22 lipca do 21 września 1942 r. wywieziono na zagładę ponad 300 000 ludzi.

Niemieckie siły bezpieczeństwa natrafiły na pierwszy zorganizowany zbrojny opór w warszawskim getcie 18 stycznia 1943 r., przy próbie wywiezienia ponad 10 tysięcy Żydów. Starcia uliczne trwały cztery dni. Udało się Niemcom wysłać do Treblinki jednak tylko ok. 6 do 6,5 tysiąca Żydów.

19 kwietnia 1943 r. doszło do ostatecznej walki. Getto miało być zlikwidowane. SS musiało się wycofać. To był poniedziałek Wielkiego Tygodnia. W piwnicach i kanałach, które stały się katakumbami Żydów, umierali mieszkańcy getta. Walczyli i umierali. Przez 28 dni. Myślę, że ta walka miała wielkie znaczenie dla idei państwa Izrael, że sygnalizowała ona światu: oto naród chce przeżyć. Nie ma jednak Wielkiej Nocy bez Wielkiego Piątku. Nie ma zwycięstwa nad bezprawiem, jeśli ludzie dla niego nie cierpią i nie umierają.

Za pomaganie Żydom groziła kara śmierci. Żydów, którzy opuszczali nakazany im teren zamieszkania, rozstrzeliwano. Ta sama kara dotyczyła osób, które takim Żydom udzielały świadomie schronienia. Inicjatorzy i pomocnicy byli karani jak sprawcy, a czyn zamierzony tak jak spełniony. Sprzedanie lub darowanie czegoś do jedzenia, nawet podanie

szklanki wody spragnionemu, traktowane było jako udzielanie pomocy Żydom. Całe rodziny ginęły za taki gest, ponieważ hitlerowcy stosowali zasadę odpowiedzialności zbiorowej.

Józef Burzmiński, dentysta z Przemyśla, zeznał podczas procesu Eichmanna w Jerozolimie, że był świadkiem wymordowania całej ośmioosobowej rodziny, która ukrywała jedno, jedyne, żydowskie dziecko. Wymordowano wiele rodzin chłopskich, które pomagały w podobny sposób.

Rozdział żydowski w moim życiu zawdzięczam jednej małej ulotce, której autorka ukrywała się wtedy pod pseudonimem. Była to Zofia Kossak, która właśnie latem 1942 r. napisała:

Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordy - staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia - ten przyzwala. [...] Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera - nie jest katolikiem.

Zofia Kossak była znaną pisarką katolicką i uznanym autorytetem moralnym. Zebrała relacje z obozów koncentracyjnych i wydała je w podziemiu pod tytułem *W piekle*. Głęboko wierząca - inaczej niż wielu wówczas przeciętnych katolików, nie miała uprzedzeń wobec innych, wyemancypowana w pewnym sensie w myśleniu, nie była dogmatyczna w ciasny sposób. Bardziej wierząca niż ci, którzy bali się w swojej praktyce religijnej popełnić „coś fałszywego”, Zofia Kossak swoją książeczką *W piekle* nie chciała budzić uczucia zemsty. Jej rozważania o różnorodności natury ludzkiej zrobiły na mnie duże wrażenie i wywarły wpływ. Tu - myślałem sobie - próbuje ktoś zrozumieć naszą straszną sytuację. Z pomocą całego łańcucha pośredników udało mi się nawiązać kontakt z autorką. Zapytała mnie wprost, czy byłbym gotów zrobić coś dla prześladowanych Żydów. Więcej jeszcze: dla wszystkich, którzy cierpią z powodu wojny i okupacji. A więc, naturalnie, i dla Żydów. Ten krąg ludzi, którzy angażowali się w pomoc Żydom, był bardzo zróżnicowany: katolicy, socjaldemokraci, lewicowi liberałowie i inni.

Jesienią 1942 r. zostałem sekretarzem redakcji podziemnego katolickiego miesięcznika światopoglądowego „Prawda”. Z inicjatywy Zofii Kossak w ostatnim kwartale 1942 r. powstał miesięcznik katolicki dla młodzieży akademickiej „Prawda Młodych”. Nie mając jeszcze 21 lat, zostałem jego redaktorem i byłem nim aż do Powstania Warszawskiego.

W 1942 r. poznałem przez Zofię Kossak kapłana, którego do dziś darzę wielkim szacunkiem i zaufaniem. Wypowiadałem się u niego: „[...] studiuję w podziemiu. Ale byłem w obozie, w Oświęcimiu. Tam umierają ludzie. Ciągłe przybywa ofiar. Może to coś znaczy, że wyszedłem stamtąd żywy?”. „Bóg chciał szczególnie, żebyś wyszedł z obozu cało, dlatego teraz musisz na to odpowiedzieć. Pomagać dotkniętym, przede wszystkim tym, którzy



najbardziej tego potrzebują. Ludzie, którzy potrzebują twojej pomocy, przyjdą do ciebie sami, sami się znajdą, jeśli będziesz uważnie patrzył”.

W roku 1942 zacząłem nowe życie. Aż się sam dziwię, jak ze wszystkim nadążałem. Tyle spraw biegło równolegle: pomoc Żydom, więźniom, zbieranie materiałów dla podziemia, opracowywanie meldunków i dokumentów, kontrwywiad przeciw niemieckiej służbie bezpieczeństwa - wszystko to w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, działalność w katolickim Froncie Odrodzenia Polski, prace dziennikarskie. Wreszcie od lata 1942 służba w Armii Krajowej, w Wydziale Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej. Ponadto studiowałem na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. W grudniu 1942 r. ujęte zostało w formy organizacyjne współdziałanie Polaków i Żydów dla niesienia pomocy Żydom. Powstała Rada Pomocy Żydom. Według szacunku znakomitego historyka żydowskiego Emanuela Ringelbluma w samej Warszawie ukrywało się wówczas około 20 tysięcy Żydów. Potrzebowali metryk urodzenia, zaświadczeń o pracy i kart rozpoznawczych. Najlepszych metryk dostarczali księża, wykorzystując nazwiska zmarłych. Kenkarty i karty pracy wykonywało się całkowicie nielegalnie, na kradzionych lub podrobionych formularzach. Podopieczni nasi potrzebowali też mieszkań, żywności, lekarzy i lekarstw, kontaktów z rozdzielonymi rodzinami, pieniędzy - tego wszystkiego, choćby w bardzo skromnym zakresie, czego potrzeba żyjącym ludziom.

Kwestia, czy Polacy w tamtym czasie byli w stanie udzielić Żydom pomocy wydatniejszej, nie może być rozpatrywana w oderwaniu od sytuacji panującego terroru hitlerowskiego. Nie znam ani jednego wypadku, by Polak złapany na udzielaniu pomocy Żydom uszedł z życiem, podobnie cała jego rodzina. Z pewnością nastawienie wielu Polaków było antysemityczne, nie bardziej jednak niż Francuzów, Belgów, Rumunów, Słowaków, Litwinów. We wszystkich tych krajach istniały formacje faszystowskie, ochotnicy w służbie Hitlera. Ci właśnie, którzy najchętniej zaciągali się do tych formacji, byli organizatorami zagłady Żydów w swoich krajach. W straszliwej sytuacji znajdowały się też w wielu wypadkach Judenrady (Rady Żydowskie - namiastka samorządu w gettach), same musiały wyznaczać ludzi do transportu. Chciały w ten sposób zapobiec najgorszemu - ale jakże można ratować 20 tysięcy za cenę 20 tysięcy innych. Samobójcza śmierć Czerniakowa była na to pytanie odpowiedzią.

Powstanie w getcie warszawskim w kwietniu i maju 1943 r. było pierwszym buntem miasta w historii europejskiego ruchu oporu, pierwszą otwartą walką w centrum milionowego miasta, w którym stacjonował kilkudziesięciotysięczny garnizon niemiecki - stąd jego wielkie historyczne i moralne znaczenie. Wreszcie był to punkt zwrotny w dziejach społeczeństwa

żydowskiego w okresie okupacji, fenomen, który przerósł znacznie zamiary i oczekiwania samych organizatorów i przywódców walki. Pamiętam dobrze wrażenie, jakie zrobił na nas list Anielewicza. Był on napisany w piątym dniu powstania i kierowany do jego zastępcy i przyjaciela Icchaka Cukermana po drugiej stronie muru:

Tego, cośmy przeszli, nie da się opisać słowami. Zdajemy sobie tylko sprawę z jednego: To, co się stało, przewyższyło nasze najśmielsze marzenia. Niemcy dwukrotnie uciekali z getta. [...] Najważniejsze: marzenie mego życia spełniło się. Żydowska samoobrona w getcie warszawskim stała się faktem. [...] Byłem świadkiem wspaniałej heroicznej walki bojowców żydowskich.

Powszechnie wiąże się w czasie żydowski opór z ostatnią walką getta warszawskiego. Ale dla bojowników żydowskich właściwą datą pozostaje styczeń 1943 r. Jedna z polskich gazetek podziemnych, „Dzień”, relacjonowała w końcu stycznia 1943 r. w artykule pod tytułem „Jak broniło się getto warszawskie”:

Przez 15 do 20 minut ulica była w ręku żydowskich bojowców. Dopiero silne posiłki żandarmerii pozwoliły Niemcom opanować sytuację. Akcja zbrojna wywołała w całym getcie ogromne wrażenie. Stosunek do niej w społeczeństwie żydowskim był wręcz entuzjastyczny. Starzy Żydzi błogosławili bojowców. Trupy ich całowano na ulicach.

Niekiedy zdarzało się, że ukrywających się Żydów wywabiano fałszywymi obietnicami. Mówiono im na przykład, że zostaną odesłani do Ameryki Łacińskiej. Za ogromne pieniądze dawano im paszporty, wyznaczano termin wyjazdu. Wychodzili wówczas z ukrycia - ładowano ich bagaże - wszystko odbywało się w przyjazny sposób. Sam obserwowałem taką scenę 13 lipca 1943 r. w Warszawie. Trzystu Żydom - mężczyznom, kobietom, dzieciom - pomagano wsiąść do samochodów ciężarowych. Było to już po zagładzie getta. Patrzyłem ze zdumieniem. Okrutną komedię grano do końca. A już po kwadransie okazało się, że ciężarówki jadą na Pawiak. Następnego dnia spotkałem się ze strażniczką więzienną, Polką, zaprzysiężoną w naszej organizacji. Powiedziano tym ludziom po prostu, że ich papiery są fałszywe i zamknięto ich w celach. Już nazajutrz rozstrzelano ich w ruinach getta. Tę tragiczną wiadomość, potwierdzającą nasze najgorsze obawy, przekazałem przywódcom żydowskiego podziemia w Warszawie - dr. Adolfowi Bermanowi i dr. Leonowi Feinerowi. Meldunek ten należy do niewielu uratowanych dokumentów tamtego okresu.

Staraliśmy się, ratując Żydów, ścigać kolaborantów Polaków i Żydów, którzy szantażowali rodziny ukrywające Żydów i samych ukrywających się. W niektórych przypadkach nasi koledzy pracujący w odpowiednich komórkach musieli wydać wyrok

śmierci. Musiano zabijać. Nie było innego wyjścia: ci szantażyści stanowili w ówczesnej sytuacji śmiertelne zagrożenie - dla Żydów i dla Polaków.

Mnie także uratowano - zrobiła to jakaś nieznana mi kobieta. Rozumiem odtąd, jak ważne są małe gesty, takie, których zaniechać można zupełnie bezkarnie. Taki właśnie gest uratował mi życie. Nieznana mi do dzisiaj urzędniczka poczty w Warszawie przejęła i otworzyła list skierowany do gestapo. Autor listu oskarżał mnie o udział w akcji pomocy Żydom, wymieniał moje imię, nazwisko i dokładny adres. Przyniesiono mi ten list do domu. Oczywiście natychmiast zmieniłem mieszkanie, aby uprzędzić działanie anonimowego denuncjatora. Było to w lipcu 1944 r. Donosiciel zostałby prawdopodobnie wykryty i stracony, ale wybuch powstania 1 sierpnia 1944 r. obrócił wszystkie wysiłki wniwecz. Jestem realistą, nawet jeśli lubię marzyć. Denuncjacje spowodowały wiele ludzkich tragedii. Ale to nie ma nic wspólnego z Polakami czy Żydami. To tkwi w naturze ludzkiej. Kiedy dziś chce się mówić o pokoju, trzeba uwzględnić i to podstawowe doświadczenie. Trzeba zastanowić się nad człowiekiem i nad złem, które wyciska na nim swe piętno.

1 Konferencja Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Wannsee (zwana tak od nazwy ulicy w Berlinie - Am Grossen Wannsee - gdzie się odbyła), miała miejsce 20 stycznia 1942 r. pod przewodnictwem SS-Obergruppenführera Heydricha. Na tej konferencji postanowiono zagładę 11 milionów Żydów ze wszystkich krajów Europy, również z tych, które nie znajdowały się w tym czasie pod okupacją niemiecką. Zbrodnie masowe wobec Żydów popełnione w 1941 r. we wschodnich województwach Polski oraz w zachodnich częściach Białorusi i Ukrainy wyprzedziły w czasie tę konferencję.

## **Powstanie Warszawskie - i co potem?**

1 sierpnia 1944 roku Armia Krajowa rozpoczęła powstanie w Warszawie. Wiedzieliśmy, że będzie to walka na śmierć i życie. Ale było dla nas oczywistością, że chcemy sami oswobodzić swoją stolicę. Rozpoczynała się trzecia walka w mieście: pierwsza miała miejsce podczas kampanii wrześniowej 1939 r., druga w kwietniu 1943 r. podczas walki Żydów w getcie warszawskim.

Armia Czerwona zbliżyła się już na odległość 15 do 20 km od Warszawy. Dla nowoczesnych wojsk jest to niewiele. Niemcy znajdowali się w pełnym odwrocie.

Oficerowie polscy oceniali położenie podobnie jak Heinz Guderian - z jedną różnicą: Guderian miał wywiad i zwiad lotniczy - a my, Polacy, tylko wywiad. A jednak bez wywiadu lotniczego na froncie oficerowie sztabowi AK doszli do takiej samej oceny sytuacji militarnej<sup>1</sup>.

Rosjanie pozostali tam, gdzie stali. Liczyli, że reszta polskiej elity wykrwawi się i potem przejęcie władzy będzie łatwiejsze. Brudną robotę pozostawili Niemcom. Stolica Polski poszła w ruinę.

Miałem wówczas 22 i pół roku. Ale przeszedłem już doświadczenie Oświęcimia, doświadczenie czterech lat działalności podziemnej, Armii Krajowej, pomocy Żydom, więźniom, wreszcie doświadczenie tajnej pracy dziennikarskiej. Nie dałoby się więc porównać mnie z jakimś współczesnym młodym człowiekiem z Polski, Niemiec czy Anglii, z moim synem na przykład. Takie porównanie jest absurdem. Nie można oczekiwać analogicznego doświadczenia od obecnego pokolenia młodzieży. Nie rozgorycza mnie to ani nie rozczarowuje - całkiem przeciwnie: chciałbym oszczędzić młodym ludziom ze wszystkich krajów Europy i całego świata tego, co sam musiałem przeżyć.

Co robiłem w czasie powstania? Powstanie Warszawskie należy do historii: wiele o nim napisano. Byłem w kotle, w środku miasta, od początku do końca, 63 dni i 63 noce w bombardowanym mieście. Pełniłem służbę w radiostacji „Anna” Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Nie była to radiostacja służąca przekazywaniu wiadomości za granicę, lecz jedna z komórek łączności między dzielnicami miasta dla przekazywania wiadomości wojskowych. Pracowaliśmy ciężko dzień i noc, by w miarę możliwości zapobiec stratom, oszczędzić krwi i życia ludzi. Przy małym nadajniku UKF pracowaliśmy we dwóch z technikiem i byłem, że tak powiem, jednym z dyżurnych mózgow. Co godzinę przekazywaliśmy bieżące wiadomości, podawaliśmy dalej wszystko, co się działo: dane, informacje, rozkazy, co stało się o parę ulic dalej, gdzie nie można było już przejść bez ryzyka ofiar itp. Jestem przeświadczony, że przyczyniliśmy się do ratowania życia

ludzi. I robiłem to chętnie, prawie nieprzerwanie, tylko z kilkoma godzinami snu na dobę. Łączność w powstaniu zapewniały właściwie czasem głównie kanały i radio.

Śródmieście, gdzie się znajdowałem, walczyło najdłużej. Nasza placówka wydawała także powielaną gazetkę, o objętości dwu lub czterech stron maszynopisu, dwa razy dziennie: o dwunastej w południe, a także o szóstej wieczorem w nakładzie 500 do 1000 egzemplarzy. „Wiadomości z Miasta i Wiadomości Radiowe” przeznaczone były dla ludności cywilnej. Jeden z wielu biuletynów Armii Krajowej. Byłem jej redaktorem i miałem niewielu współpracowników. Najważniejsi byli dla nas eksperci, którzy słuchali zagranicznych radiostacji - angielskich, francuskich i wszelkich innych możliwych - Andrzej Jellonek i Włodzimierz Mroczkowski.

W czasie powstania - stale mi to na myśl wraca - wyzwolony został Paryż: 25 sierpnia 1944 r. Wywołało to u nas ogromną radość, ale równocześnie i gorycz, że my nie jesteśmy w stanie oswobodzić Warszawy.

A w końcu czekała nas wszystkich niewola.

Moje osobiste dzieje?... Starym konspiratorom pozostawiono do wyboru: iść do niewoli albo „odskoczyć” na własną rękę, zwalniając się z Armii. Zgłosiłem się do grupy tych, którzy wracali do podziemia. Ogromna większość zdecydowała się na pójście do niewoli. Ja nie miałem ani krzty zaufania. Pozostała mi choroba drutów: nie chciałem mieć nigdy więcej do czynienia ze strażnikami w niemieckich uniformach i z ogrodzeniem z drutu kolczastego. Oświećcim trwał we mnie żywym koszmarem. Powtarzałem sobie: wejdiesz dobrowolnie w pułapkę, a potem pewnego dnia wszystkich zagazują.

2 października nastąpiło zawieszenie broni, a potem zakończenie działań wojennych w Warszawie. 4 i 5 października 1944 r. nasze oddziały opuszczały miasto. Żegnałem na czas nieokreślony, przy barykadzie na ul. Śniadeckich, moich zwierzchników, koleżanki i kolegów odchodzących do niewoli.

Można się już było wtedy poruszać swobodnie, bez zagrożenia ostrzałem. Mieliśmy dalej działać. Parę dni pracowaliśmy w szpitalu, gdzie zgłosiliśmy się - w kilku - jako siły pomocnicze. Szpital miał być ewakuowany, a brakowało w nim personelu: przygotowaliśmy chorych i rannych do ewakuacji, nosiliśmy ich na noszach przez ruiny i barykady do sanitarek Wehrmachtu. Rannych powstańców wywieziono później do obozu w Zeithain w Saksonii. Razem z nami pracowało także kilka dziewczyn i kilku kolegów - oficerów z Wydziału Informacji VI Oddziału Sztabu AK.

Jeśli chodzi o powstańców, którzy po kapitulacji powstania poszli do niewoli -

Niemcy dotrzymali słowa. Nie dotrzymali go, gdy szło o miasto. W akcie zemsty zostało ono straszliwie „wykończone”, prawie całkowicie zniszczone - spalone, wysadzone w powietrze.

Nie wiedziałem wówczas, czy moi rodzice żyją, byli w innej części miasta, która została opróżniona wcześniej. Opuściłem więc Warszawę - ale to już całkiem inna historia, która przypomina tę o kapitanie z Köpenick. Było nas trzynaście osób, zawodowych konspiratorów od lat działających w podziemiu. Wzięliśmy ze sobą część naszych materiałów archiwalnych, a także część majątku AK. Miałem 40 albo 50 tysięcy dolarów pod ubraniem, ukrytych pod bandażami. Nauczyliśmy się na pamięć albo zaszyfrowaliśmy adresy poza Warszawą, pod które mogliśmy się udać.

I tak pod hotelem „Polonia” czekaliśmy na niemieckie sanitarki. Mieliśmy odpowiednie papiery. Lekarzowi, któremu pomagaliśmy w szpitalu, powiedzieliśmy w jakimś momencie: „A teraz musimy już zniknąć”. Porozumienie nie było trudne: „Ależ proszę, już nam pomogliście”. Więc spłynęliśmy. Grupie naszej przewodził Kazimierz Moczarski, znany po wojnie dziennikarz i autor głośnej książki *Rozmowy z katem*. On i adwokat z Krakowa, dr Adam Dobrowolski, mówiący płynnie po niemiecku (tak jak ja, były oświęcimiak), poszli do komendantury Wehrmachtu w hotelu „Polonia” i tam powiedzieli pełniącemu służbę kapitanowi, że jesteśmy kolumną sanitarną i musimy jechać zaraz do obozu w Pruszkowie, gdyż wybuchł tam tyfus plamisty i musimy przeprowadzić dezynfekcję. „Dostaliśmy takie polecenie. Tu są nasze papiery, niech pan zobaczy: służba sanitarna, 13 osób, potrzebujemy natychmiast samochodu”. Niemiec nie miał jednak na razie żadnego wozu, więc czekaliśmy - z setkami tysięcy dolarów, z milionami marek niemieckich i milionami złotych GG, z fałszywymi papierami osobistymi, z materiałami archiwalnymi. Słyszeliśmy działa z frontu, przetaczały się czołgi, wokół nas krążyli policjanci. Po godzinie Dobrowolski i Moczarski zaczęli się awanturować: „Co to ma znaczyć? Pan będzie osobiście odpowiedzialny. Epidemia będzie się rozwijać, co pan sobie właściwie myśli, po co pan tu jest!”.

Wreszcie zjawił się samochód. Szoferowi - młodemu żołnierzowi niemieckiemu - nakazano dostarczyć nas do obozu. Do obozu, w którym rzekomo wybuchła epidemia tyfusu. Wsiedliśmy do budy, ja z tyłu, koło klapy, bo cały czas się bałem. Jeśli będą mnie chcieli aresztować, natychmiast daję nogę. Lepiej niech zabiją w czasie ucieczki.

Wiedzieliśmy, że na granicy miasta był kontrolny punkt gestapo. Jeszcze dziś pamiętam dokładnie, gdzie. Gestapo przesłuchiwało tam niektórych wychodzących, usiłując wyłować oficerów AK. Kazano nam wysiadać. Otworzyliśmy samochód. Szofer coś tam wyjaśniał, dodając: „Śpieszy mi się, dajcie spokój!” (Nasz adwokat już „zaprzyjaźnił się z nim” w szoferce). „Co tam macie” - pytali gestapowcy. „Same prywatne rzeczy i materiały do

dezynfekcji”. Wyskoczyłem z wozu i, mocując się z klapą, zapytałem: „Czy mamy wysiadać i rozpakować?”. Uprzejmie, nawet gorliwie. Ktoś szepnął do mnie: „Czy ty oszalał?”. A ja myślałem: „Wręcz przeciwnie”. Chciałem na swój sposób zagadać gestapowców. Oddychałem głęboko. Przez chwilę trwała ożywiona rozmowa, a potem mogliśmy jechać dalej.

Siedziałem nadal całkiem z tyłu. Nagle stanęliśmy w małej uliczce, już w Pruszkowie. Kierowca zniknął, z szoferki wysunął się nasz kolega adwokat i powiedział: „Szybko, wszyscy wysiadać, z bagażem”. To było za litr wódki i 40 dolarów w złocie - kierowca nie chciał papierowych, marek też nie chciał. Kolega przekonał go na swój sposób: „*Scheisse* - powiedział - musimy wysiąść. Niech pan nas zostawi na parę minut, a już damy sobie radę”. Szofer nie miał żadnej listy nazwisk, nie potrzebował też potwierdzenia, że nas odstawił do obozu. Bogu dzięki, wszystko było więc w porządku. On pojechał z powrotem, a my byliśmy wolni. Taktownie oddaliliśmy się jak najszybciej.

Pod koniec wojny takie sytuacje były już możliwe. Co by jednak było, gdyby kierowca nie chciał? Wy tłumaczono mu: zostawcie nas w spokoju, są wśród nas kobiety, mają rodziny, dość się już nacierpiały. Wziął wódkę i pieniądze i zniknął. W tym czasie korupcja nasiliła się. Każdy myślał już o własnym bezpieczeństwie.

Mieliśmy adresy kontaktowe w Pruszkowie i rozdzieliliśmy się. Przeczekałem kilka dni razem z dwoma kolegami w małym domku pewnej nauczycielki na skraju miejscowości, w Żbikowie. W międzyczasie dostaliśmy nowe papiery. Późno wieczorem 12 października 1944 r. dotarliśmy do Krakowa. Pierwszą noc spędziłem w mieszkaniu adwokata dr. Kazimierza Ostrowskiego, krakowianina, a bezpośredniego mego zwierzchnika w AK w konspiracji i powstaniu. Zaczął się okres dalszej pracy konspiracyjnej.

Kraków. Cóż można dodać! To było dla nas zupełnie inne miasto.

W ciągu 63 dni powstania walczyliśmy, ranni, tropieni, pod bombami, głodni. Ale żyliśmy w wolności. Mieliśmy samorząd, własne urzędy, własne dowództwo - państwo. Mieliśmy polskie życie kulturalne, koncerty, przedstawienia teatralne - mniejsza o warunki, ale w swobodzie. A Kraków - siedziba generalnego gubernatora Hansa Franka - był ponury.

W żadnym polskim mieście nie było tylu niemieckich urzędów, roilo się tu od umundurowanych Niemców.

Pierwsze dni w Krakowie były dla mnie koszmarne. Z wolności znowu w strefę okupacji. Ale miałem zadanie do wykonania. Nauczyłem się dostosowywać. Centralny organ AK, tygodnik „Biuletyn Informacyjny”, który przedtem ukazywał się w Warszawie, miał być teraz restytuowany w Krakowie pod redakcją Kazimierza Kumanieckiego. Zostałem

sekretarzem redakcji tego pisma, a równocześnie redagowałem codzienny komunikat radiowy BiPu Komendy Głównej AK.

Tymczasem dowiadaliśmy się, że niszczenie Warszawy postępuje, że wysadzane są w powietrze zabytki, wywożone i niszczone zbiory. Szczególnie osobiście odczuliśmy i z ciężkim sercem oplakaliśmy naszą katedrę św. Jana, Chrystusa z krzyżem celowo zestrzelonego z cokołu kościoła na Krakowskim Przedmieściu. I - co odczułem jako szczególną groteskę - jeden z najpiękniejszych zabytków, związanych wszak także

z historią Niemiec - pałac Brühla. Hitlerowcy mówili, jakoby Warszawa była „niemieckim miastem” - dlaczegoż więc wysadzili w powietrze pałac Brühla? - Po płycie Grobu Nieznanego Żołnierza przepuszczonoczołg, osłaniającą grób kolumnadę wysadzono w powietrze... To nie są ludzie - mówiliśmy - to dzicy barbarzyńcy.

1 Gen. Heinz Guderian (1888-1945) objął po 20 lipca 1944 r. stanowisko szefa sztabu generalnego wojsk lądowych III Rzeszy. Należy więc do szczególnie kompetentnych znawców sytuacji na froncie wschodnim w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego. W swej książce *Erinnerungen eines Soldaten* wydanej w RFN w 1951 r., a w polskim przekładzie w Warszawie w 1958 r., pisze m.in. o położeniu armii niemieckiej nad Wisłą w interesującym nas okresie: „[...] sytuacja na froncie Grupy Armii Środek przybrała rozmiary najgorszej katastrofy, jaką sobie było można wyobrazić [...].

Objąłem po mym poprzedniku nie tylko zdeorganizowany sztab, ale i walący się w gruzy front. Odwodów naczelne dowództwo wojsk lądowych nie miało [...]. Powstanie Polaków stworzyło bezpośrednio za naszym frontem ognisko niezwykle groźnych dla nas niebezpieczeństw [...]. Niejednokrotnie podnoszono pytanie, dlaczego Rosjanie, wiedząc o wybuchu powstania w Warszawie, nie zrobili czegoś więcej, aby je wesprzeć od zewnątrz, mało tego - zatrzymali swe natarcie nad Wisłą. Powstańcy niewątpliwie należeli do obozu tzw. »emigracji«, której rząd przebywał w Londynie, i stamtąd otrzymywali dyrektywy. Reprezentowali konserwatywne koła polskie o orientacji zachodniej. Można by przypuścić, że Związek Radziecki nie był zainteresowany tym, by koła te wzmocniły się dzięki zwycięskiemu powstaniu i zdobyciu miasta. Prawdopodobnie chciał te atrakcyjne atuty zachować dla swych zwolenników z obozu lubelskiego. Ale to niechaj byli sojusznicy załatwiają sami między sobą. Dla nas ważne było to, że natarcie rosyjskie nie przekroczyło wtedy Wisły i że uzyskaliśmy krótką chwilę wytchnienia”.



## **Jedziemy do Oświęcimia?**

Wczesnym rankiem 6 stycznia 1945 r., jeszcze przed świtem, zjawiała się policja niemiecka. „Dokumenty, ubierać się, idziemy”. Przeczuwałem to. Taki był początek - a koniec?

Mieszkałem w Krakowie oficjalnie, z fałszywymi dokumentami. Mogłem też wskazać miejsce pracy. Wynajmowałem - z dobrej rekomendacji - pokój przy ul. Józefińskiej, róg Krakusa u p. Milówkowej, nauczycielki wysiedlonej z Górnego Śląska. Nocowałem tam tylko, w ciągu dnia pochłonięty byłem całkowicie zajęciami konspiracyjnymi. Moja gospodyni przyjęła mnie jak syna. Nie wyjaśnialiśmy sobie oczywiście niczego, ale jej własny syn też był w AK.

Policjanci zajrzeli do szuflad i szaf. Obok łóżka stała teczka z brudną bielizną. Jak to u samotnego mężczyzny, brudne koszule i tak dalej. W tej teczce znajdowała się jednak skrytka z całym materiałem do nowego „Biuletynu”, z gotowym maszynopisem. Pomyślałem sobie - to już ostatnie dni wojny, ale jeśli znajdą te rzeczy, będą to także moje ostatnie dni...

W pomieszczeniu włożyłem dwa różne buty, brązowy i czarny. Spostrzegłem to dopiero na ulicy. Zawsze odczuwałem lęk. Do dziś dnia tak jest. Zazdroszczę ludziom, którzy się nie boją. (A są tacy!) Zawieziono mnie do czegoś w rodzaju obozu przejściowego, olbrzymiego obozu na parę tysięcy ludzi. Strzegli go, w służbie niemieckiej, Ukraińcy. Jedzenie było stosunkowo niezłe: gęste zupy, chleb, kawa zbożowa. Wystarczyło, by nie odczuwać głodu. Głównym celem tej „akcji oczyszczającej” byli znowu warszawiacy, którzy po powstaniu przebywali w Krakowie. Niemcy bali się ponoć, że warszawiacy wywołają w Krakowie nowe powstanie. Byłem nadal w służbie AK i moi zwierzchnicy w podziemiu udzielili mi natychmiast pomocy. Wśród pracowników Czerwonego Krzyża pojawiających się w obozie znajdowała się jedna z naszych łączniczek, urocza blondynka, Kasia S. Poprosiłem ją o papiery sanitariusza, o pieniądze i lekarstwa. Niebawem dostałem wielką torbę sanitarną z całym możliwym zaopatrzeniem, potrzebne papiery, dolary, marki niemieckie i złote. Ani mi w głowie było dać się wywieźć do Reichu i może jeszcze zginąć po drodze w bombardowaniu pociągu. Zgłosiłem się więc w zarządzie obozu jako sanitariusz. „Gdzie pan pracował?” Odpowiedziałem mniej więcej zgodnie z prawdą: „W jednym ze szpitali w Warszawie”. - „Jak długo?” - „No cóż, szkoła, kursy, przeszkolenie czerwonokrzyżskie...”

Ludzi rejestrowanych w obozie oznaczano różnymi literami. Ja dostałem „U”. Na stole leżały wewnętrzne instrukcje z objaśnieniami symboli. W momencie nieuwagi Niemców wziąłem taki paperek, aby przekazać go potem moim zwierzchnikom w podziemiu. „U” oznaczało *Umsiedlung* - przesiedlenie. Nie brzmiało to najgorzej, ale Żydów też

„przesiedlano”... a to już gorzej. Potem zorientowałem się, że „U” dają tylko starszym ludziom. Starszym, na miłość Boską, a więc niezdolnym do pracy! Ci bandyci mogą mnie teraz, gdy wojna się kończy, jeszcze zamordować!

Strażnicy Ukraińcy włóczyli się cały dzień pijani, bali się. Ale nie traktowali nas źle, także Niemcy spodziewali się już końca, większość ich ewakuowano już z miasta.

Załadowano nas na dworcu towarowym w Krakowie - około 600 ludzi, w połowie kobiety, w połowie mężczyzn. Z moją torbą sanitarną byłem jedynym młodszym mężczyzną w całym pociągu. Pytałem, czy komuś coś nie dolega. „Panie doktorze” - zwracano się do mnie. - „Ależ ja nie jestem doktorem.” „No, to medykiem...” Na ile umiałem, coś tam starałem się pomagać.

Nagle spostrzegłem przerażony, w jakim kierunku jedziemy: Oświęcim. Wśród eskortujących nas policjantów niemieckich trafiłem na jednego z Łodzi. Zagadałem do niego: „Cóż to jest za świństwo! Jest Pan przecież Niemcem z Łodzi, chrześcijaninem?” „Nie jestem bandytą” - odpowiedział. „Ale przecież my jedziemy do Auschwitz. Czy pan wie, co to jest Auschwitz?!” - „Co pan opowiada!” - „Przecież to oczywiste. Jedziemy do Auschwitz! Chce pan za to odpowiadać, za tych wszystkich starych ludzi?” - „Plecie pan bajki!” - A ja wciąż powtarzałem swoje: przecież widzę, przecież wiem, że jedziemy do Oświęcimia.

Przestraszył się. Wszyscy wiedzieli już wtedy o Oświęcimiu - o stosowanych tam metodach, o torturach, głodzie, śmierci, rozstrzeliwaniach, o pociągach przychodzących tu z całej Europy z ludźmi do gazu. Nie wiedzieliśmy jeszcze tylko, ilu zamordowano. Policjant zaniepokoił się. „Zapytam” - obiecał. Wrócił po pół godziny z wiadomością: jedziemy do jakiegoś uzdrowiska. „Okłamali pana” - odrzekłem. „Uzdrowisko” - to był dla mnie złowieszczy sygnał. Byłem coraz bardziej niespokojny. Nie wiem, co chciałem uzyskać, ale tłumaczyłem: „Świadkowie są także niebezpieczni, a pan jest świadkiem. Nie można wiedzieć, jak wojna się skończy”. - „Przysięgam, daję słowo honoru, jedziemy do uzdrowiska”. Kąpiele, prysznice, sauna, to wszystko wiedziałem o Oświęcimiu. W ogóle za dużo wiedziałem. Nie chciałem jednak niepokoić innych.

I w pewnym momencie zobaczyłem, że pociąg zmienia kierunek. Oświęcim został z boku, dojechaliśmy do Makowa Podhalańskiego. Na peronie leżał śnieg, dziesięć stopni zimna. Było późne popołudnie styczniowe, już prawie ciemno. Na peronie stał ksiądz, kilka ciepło ubranych pań, umundurowani Niemcy, także policjanci. Podczas gdy oficer policji odbierał transport, ja nasłuchiwałem rozmów toczących się na peronie. Oficer policji był bardzo nieprzyjazny dla swoich kolegów z Krakowa: „Co za ludzi mi tutaj przywieźliście, u nas już pełno! Co mam zrobić z tym gównem! Ile tego jest, parę setek, z dziećmi!” Było to 12

stycznia 1945 roku wieczorem.

Kazano nam się zarejestrować w Arbeitsamcie, gdzie mieliśmy dostać skierowania do pracy. Nie wydano naszej grupie żadnych szczególnych poleceń, zakazano tylko - pod karą śmierci - opuszczania Makowa! Ale więźniami nie byliśmy.

Rozdzielono nas po domach, niektórzy poszli do budynku szkolnego. Ja ulokowany zostałem w rodzinie aptekarza, nie było to złe: fałszywy „pan doktor” u prawdziwego aptekarza. Gdy moi gospodarze zorientowali się, że jestem warszawiakiem z powstania, zaczęli na mnie spoglądać, jakbym był żywym symbolem. Pierwsze moje pytanie brzmiało: jak się dostać do Krakowa? - „Na miłość Boską, przecież za to kara śmierci!” - „Ale - upierałem się - ja mam poważne zlecenia, muszę do Krakowa”. Trzeba było w takim razie postarać się o jakieś papiery. O te papiery postarał się ksiądz. Dokument podpisany przez komitet pomocy w Makowie, miejscową agendę RGO: „Pan Władysław Bartoszewski ma polecenie przywiezienia z Krakowa lekarstw. Władze niemieckie uprasza się o udzielenie potrzebnej pomocy”. Polski dokument, napisany po niemiecku, z dużą pieczęcią.

Wczesnie rano poszedłem na stację. W pobliżu dworca kręciło się już kilku starszych panów, najwyraźniej czekając na pociąg. „Panie doktorze, pan zna połączenia do Krakowa? My też tam chcemy, może będziemy się trzymać razem”.

Pociąg przyszedł, nie było żadnej kontroli, ale wleliśmy się, wciąż przystając. Na krakowskim dworcu głównym często wówczas Niemcy urządzali łapanki. Wyszliśmy wcześniej, w Płaszowie. Była noc. Poszedłem do polskich kolejarzy grzejących się w baraczkach przy piecu i popijających ziołową herbatkę. „Jesteśmy z Warszawy, może moglibyśmy tu przeczekać do końca godziny policyjnej?” Zrobili nam miejsce i dali herbaty. Przedrzemaliśmy tam do rana. Tego samego dnia zameldowałem się u mego ówczesnego szefa w konspiracji, adwokata Adama Dobrowolskiego, tego, który tak umiejętnie pertraktował z naszym warszawskim - niemieckim konwojentem.

W Krakowie doczekałem wyzwolenia - wyzwolenia przez Rosjan, 18 stycznia 1945 r. Uratowałem się do ostatniej godziny, nie byłem jednak całkiem szczęśliwy, gdy patrzyłem na oddziały wkraczające do miasta. Wnet wystawiono na Rynku Głównym przed Sukiennicami i kościołem Mariackim gigantyczne, na dwa piętra wysokie portrety stalinowskich dowódców. Półdzikie elementy kryminalne wyległy na miasto, ludzie, których nie chciałoby się spotkać nocą.

W drugiej połowie lutego 1945 r. wróciłem do Warszawy. Żyłem poza miastem, mając w mieście zakonspirowane mieszkanie przy ul. Nowogrodzkiej 19. Spałem na

podłódze. Moje ostatnie przedpowstaniowe mieszkanie przy ul. Mickiewicza 37 na Żoliborzu było spalone, z nim, już całkiem sporo - zawsze byłem książkolubem - biblioteka, a moja rodzina rozproszona.

Po konferencji jałtańskiej w lutym 1945 r. myślałem naiwnie, że być może powstanie możliwość wprowadzie innej niż przed wojną Polski, zależnej w pewnym stopniu od wielkiego sąsiada, ale przecież rządzonej w sposób wolny i demokratyczny.

28 czerwca zainstalowano w Warszawie nowy rząd - Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. W lipcu 1945 r. Anglicy, Amerykanie i niemal wszyscy inni cofnęli uznanie rządowi RP w Londynie. Żaden myślący człowiek nie miał wątpliwości, co nastąpi. Nikt nam nie pomoże. Myślałem jednak, że pozostanie tak, jak jest, na kilka lat. Nikt jednak nie myślał o dziesiątkach lat...

Co miałem robić? Zostać w Warszawie czy wyjechać na Zachód? Byłem dość przegrany. Wydawało mi się, że życie jest już poza mną. Rok 1945 stanowił dla mnie swojego rodzaju przełom psychologiczny - pod wieloma względami trudniejszy niż okres okupacji niemieckiej. Bo dotychczas cały świat stał po naszej stronie, utożsamiał się z naszym prawem do niepodległości - a teraz cały świat obrócił się przeciw nam, przeciw sprawie wolności i demokracji. Początkowo obawiałem się, że podzielimy los narodów bałtyckich. Jednak wkrótce zaczęła się wielka akcja przesiedleńcza: polscy wysiedleńcy z województw wschodnich przybywali na Dolny Śląsk, Pomorze i gdzie indziej. Było to dla nas względną pociechą, bo zobaczyliśmy, że Rosjanie nie chcą Polaków na swoich terenach przygranicznych. Polska miała zatem szansę ostać się, przynajmniej zewnętrznie, jako państwo. Tymczasem pod patronatem sowieckim zorganizowano polską służbę bezpieczeństwa. Rok 1945 miał być początkiem nowego, ale my nie mieliśmy żadnych złudzeń.

## **Wpadam w zasadzkę**

11 sierpnia 1945 r. aresztowany został w Warszawie przez funkcjonariuszy MBP Kazimierz Moczarski, mój zwierzchnik w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj w wiosennych i letnich miesiącach 1945 r. We wrześniu, bez związku z jego aresztowaniem, lecz w wyniku przypadkowego zbiegu okoliczności, przekonałem się o zainteresowaniu безпеki mną samym. W połowie października wykorzystałem zaistniałą wtedy możliwość i ujawniłem się przed tzw. Komisją Likwidacyjną AK, urzędującą w gmachu BGK w Warszawie. W następnych miesiącach miałem względny spokój, jeśli nie liczyć dwóch krótkich zatrzymań, raz wkrótce po ujawnieniu, a drugi raz w dniu tzw. referendum, 30 czerwca 1946 r.

15 listopada 1946 r. wpadłem w kocioł i zostałem aresztowany w mieszkaniu zaprzyjaźnionej rodziny przy ul. Bałuckiego 34. Funkcjonariusze byli uszczęśliwieni, że się tam znalazłem.

Ostatecznie wylądowałem w więzieniu śledczym w Warszawie: półtora roku bez adwokata, bez kontaktu z rodziną, bez wizyt, gazet, książek, w kompletnej izolacji. Grożono mi procesem o szpiegostwo, pod pretekstem kontaktów z pewnym, już skazanym na śmierć i w 1947 r. straconym, znajomym, byłym żołnierzem Armii Krajowej Waldemarem B. Wiedzieli, że spotkałem go parę razy, że odwiedzał mnie w redakcji „Gazety Ludowej”. Był zatrudniony w MSZ, ale miał rzekomo kontakty z ambasadą brytyjską. Ja miałem być jakoby jednym z jego łączników. W rzeczywistości jednak przeszkadzała władzom przede wszystkim moja działalność w 1946 r. w Polskim Stronnictwie Ludowym - PSL.

Wielu starszych ludzi było po takich doświadczeniach kompletnie załamanych. Mnie jednak, w porównaniu z Oświęcimiem, nie powodziło się źle. Do dziś widzę wszystko, co mnie spotyka, w kategoriach względnych, choć żona powtarza mi: „Nie można wszystkiego porównywać z Oświęcimiem”. Odpowiadam: „Z pewnością, ale jednak tutaj nie ma komór gazowych”.

Nic nie trwa wiecznie, myślałem sobie zawsze. Na Boże Narodzenie 1946 r. byłem w celi sam na pierwszym piętrze X oddziału więzienia mokotowskiego. Potem pół roku siedzieliśmy w 2 albo 3 osoby, wreszcie pod koniec czerwca 1947 r. trafiłem do dużej, kilkudziesięciosobowej celi na tzw. ogólniaku w głównym budynku więzienia. Był to okres bardzo pouczający. Doświadczenie spotkania z ludźmi najróżniejszych poglądów, z ONRowcami, narodowcami, piłsudczykami, socjalistami, ludowcami, z oficerami i podoficerami, z ludźmi ze Wschodu i Zachodu, z oficerami przeróżnych formacji walczących za Polskę po świecie, z niedorostkami, ze starymi profesorami, z wieloma polskimi księżmi.

Wyspowiadałem się w celi więziennej, odbyłem spowiedź z całego życia, na wszelki

wypadek. Urządzaliśmy też w celi wykłady. Nie pracowałem - więźniowie polityczni w więzieniu śledczym nie mogli pracować, złodzieje tak, ale my nie. Ci ostatni są zresztą w więzieniu bardzo lubiani - zawsze coś kombinują, coś wymyślają, coś proponują, mają wciąż jakieś pomysły. Złodziejaszek zawsze jest mile widziany. To samo odnosi się do drobnych oszustów, a nawet przestępców obyczajowych - jeśli nie zrobili krzywdy dziecku. To wszystko ludzkie sprawy, takich strażnicy więzienni nawet dość lubią. To nie są zbrodniarze. Zbrodniarze to polityczni. Straż więzienna nie chciała mieć nic do czynienia z polityką. Tego się bali.

Stosowano wobec nas także otwartą przemoc. Bito wtedy stosunkowo mało. Ale byłem brutalnie sponiewierany, rozkwaszono mi nos. Stosowano i inne metody. Na przykład nieustające przesłuchiwanie przez siedem dni i siedem nocy, przez wielu śledczych. Pamiętam do dziś każdy szczegół. Wtedy nie bito mnie, tylko grubiańsko wyzywano. W trakcie przesłuchania przynoszono mi jedzenie, chociaż wcale nie chciałem jeść: wodę, supę, chleb, kawę zbożową. To była próba złamania. Nie ustąpiłem jednak i nikogo nie obciążylem. Po tej próbie zostawiono mnie już w spokoju. Pytano o nazwiska autorów różnych tekstów i wciąż powtarzano: „Popatrzcie no, spójrzcie na tę szafę z aktami, ile tam mamy dowodów na was, wiemy wszystko, możecie nam spokojnie wszystko opowiedzieć, ulżyć swemu sumieniu. Nie musi być wiele. Ale to wyjdzie na korzyść. Już powiedziałeś o sobie różne rzeczy, a my i tak wiemy wszystko. Im szybciej, tym lepiej. Ciesz się, że jesteś u nas. My cię ochraniaemy”. Muszę dodać, że choć wielu Żydów należało wtedy do służ systemu, ja nigdy nie byłem przesłuchiwany przez Żyda, tak jak większość moich współwięźniów. Trafiałem na Polaków, ludzi głupich i prymitywnych, półinteligentów. Sądzę, że żydowscy komuniści znali rolę, jaką pełniłem w okresie okupacji. Wiedzieli, że pomagałem Żydom. To mogło ich wprawić w pewne zakłopotanie. Może myśleli sobie: to przecież człowiek, który pomagał naszym, demokrata, nie żaden faszysta. Może nie jest taki zły...

Nie odbył się żaden proces. Wypuszczono mnie 10 kwietnia 1948 r., po półtora roku więzienia. Zawdzięczam to Zofii Rudnickiej, sekretarce biura Rady Pomocy Żydom, z którą blisko współpracowałem w ciągu dwu lat, do wybuchu Powstania Warszawskiego. Od 10 kwietnia próbowałem wrócić do normalnego życia.

Miałem 26 lat, byłem pełen goryczy, doświadczony, o wątpliwych perspektywach życiowych. Teraz usiłowałem znaleźć pracę. Było wiele wolnych miejsc i wielki brak inteligentnych, młodych ludzi. Ale udawało mi się przepracować najwyżej kilka tygodni: „Musimy panu niestety wymówić, coś tam z panem jest nie w porządku”. - „Ależ ja siedziałem niewinnie, nie jestem karany”. - „Tak, właściwie tak - mówiono - ale nie możemy

pana u nas zatrudniać...” Żyłem wówczas w bardzo trudnych warunkach, nieraz głodowałem. Byli jednak ludzie, którzy mi pomagali, i to w bardzo konkretny sposób. Przede wszystkim Juliusz Wiktor Gomulicki i jego żona Maria, którzy dożywiali mnie i służyli radą we wszystkim, w czym mogli mi pomóc. Dla dwu instytucji recenzowałem niemieckie książki, które miały być ewentualnie przetłumaczone. Zawdzięczałem to Karolowi Kurylukowi, wówczas dyrektorowi PIWu, i również Janowi Stefczykowi - prezesowi „Czytelnika”. Czas jakiś pracowałem też w biurze Centralnego Zarządu Przemysłu Drzewnego. Moją specjalnością były deski klozetowe i kije do szczotek. Ale i to okazało się zbyt poufnym zajęciem, wyrzucono mnie. Równocześnie wróciłem w roku akademickim 1948/49 do przerwanych studiów uniwersyteckich.

Mniej więcej po roku nastąpiło znaczne pogorszenie klimatu politycznego. Tito próbował własnego kursu. Na przełomie lat 1948 i 1949 następowały masowe aresztowania w Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech. I tak przyszedł koniec roku 1949 z nowym głównodowodzącym sił zbrojnych Polski - marszałkiem Rokossowskim. Nadeszła fala czystek.

Wraz z politycznym wyeliminowaniem Polskiego Stronnictwa Ludowego skończyła się moja praca dziennikarska. Przed uwięzieniem byłem zatrudniony w „Gazecie Ludowej”, oficjalnym organie PSLu, jedynym dzienniku opozycyjnym, popieranym przez większość chłopów i inteligencji miejskiej. Oprócz zajęć dziennikarskich kierownictwo Stronnictwa zlecało mi wiele innych zadań. I tak na przykład wiosną 1946 r. niemal w każdą niedzielę jeździłem na wieś i przemawiałem do chłopów. Wiece obstawiane były przez UB. Pracowałem dla Wydziału Propagandy Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSLu. Głównie jednak na terenie powiatu warszawskiego czy też województwa warszawskiego w jego ówczesnych granicach. Dojeżdżałem autem, amerykańskim jeepem, zawsze z UB za plecami. Kierowca był starym, doświadczonym żołnierzem z Zachodu.

Przemawiałem tak na przykład: „Koledzy, koleżanki! Nie wolno wam zapomnieć, że wszystko, co tu widzimy, zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu. Wszystko zawdzięczamy Rosjanom”. Budziło to ogólną radość i nić porozumienia nawiązywała się.

Na tych zebraniach pod gołym niebem było nieraz po 500 i 1000 osób. Stałem zazwyczaj na jakiejś maszynie rolniczej. Mieliśmy za sobą nasze zielone sztandary. Matka Boska - jak zwykle w Polsce - odgrywała i teraz wielką rolę. Na sztandarach Ruchu Ludowego, które poświęcone były w kościołach, widniał Jej wizerunek. Za każdym razem organizowano z tej okazji zgromadzenie. Także i wtedy uczęszczał nam Kościół swej opieki.

## **W więzieniu po raz wtóry**

**1949-1954**

W środku Warszawy, 14 grudnia 1949 r.

Podchodzi do mnie osobnik i mówi: „Panie Bartoszewski, niech pan pozwoli do Ministerstwa Bezpieczeństwa, chcielibyśmy z panem trochę porozmawiać”.

„Kiedy?”

„Już”.

„Czy to aresztowanie?”

„Nie, skąd takie przypuszczenie, chodzi o rozmowę. Wszystko się wyjaśni”.

„No, tak, w mieszkaniu u mnie nie ma nikogo, chodźmy tam razem, zabiorę tylko ręcznik i bieliznę i zaraz będę z powrotem”.

„Nie wolno”.

Owo „trochę” trwało pięć lat. Pierwszej nocy w czasie kilkunastogodzinnego przesłuchania w gmachu MBP na Koszykowej, róg Alei Ujazdowskich 9, oficer śledczy kpt. Piotr Tymiński powiedział mi: „Bartoszewski, tym razem dostaniecie 10 lat”. - „Doprawdy?” - „Tak, na pewno”. - Potem zaczął rozmowę: - „Wasze kontakty z zagranicą?” „Nie było żadnych kontaktów - odpowiedziałem - o czym pan mówi?”.

„Żartujecie, Bartoszewski. Byliście w Oświęcimiu, siedzieliście w więzieniu, nie jesteście głupcem. Pomóżcie nam. Nie będzie wam źle się wiodło”.

Później stwierdzono: „Zgnijecie w celi! Nigdy nie wyjdziecie. Będziecie siedzieć!”. A potem oficer śledczy oświadczył mi otwarcie w imieniu władz: „Panie Bartoszewski, popełniliśmy w waszej sprawie błąd, zwolniliśmy was. Nie powinniśmy tego robić. Ale ten błąd już się teraz nie powtórzy, możecie być tego całkiem pewni”.

Inny oficer zaproponował mi, abym spojrzał przez okno na przystanek autobusowy. Było tam około 40 osób. Żeby zademonstrować swoją władzę, powiedział: „Widzicie, mogę kazać wszystkich tych ludzi aresztować. I wszyscy przyznaliby się do winy. Po co więc się wahać?”.

Potem zaprowadzono mnie do piwnicy, siedziałem tam z sześciu czy więcej innymi osobami. Wspólna prycza, sienniki, kibel, żadnych spacerów, żadnych paczek. Żywnienie było marne, ale nie zagłodzono mnie: kromka chleba, zupa, herbata albo kawa zbożowa. Żarówki paliły się dzień i noc. Od tego czasu choruję na oczy, muszę stale wpuszczać krople.

Trwało to dokładnie od połowy grudnia 1949 do 12 maja 1951 r., a więc 18 miesięcy. W piwnicy tego domu, wśród krzyków cierpiących ludzi, wracających ze śledztwa. Ale pamiętam stamtąd także wiele ludzkich kontaktów i rozmów.



Dotrzymali słowa: miesiącami nie brano mnie na przesłuchania, a jeżeli, to wyglądało to mniej więcej tak: „Słyszeliście, co powiedzieliśmy, czy macie coś do powiedzenia w związku z tym?” - pytano.

„Nie” - odpowiadałem.

Sprowadzano mnie więc do piwnicy.

„My mamy czas - mówili. - Nie brakuje nam zupy. Zostaniecie tu, jak będzie trzeba, nawet do końca życia. I swoją zupę będziecie tutaj dostawać”.

Po wielu miesiącach (może mniej więcej po roku) zabrali mnie na górę. Był tam przygotowany formularz. Mówili, że chcą mnie zwolnić, ale muszą mieć pewność, że niczego przeciwko nim nie podejmę.

To było to, czego się spodziewałem: chcieli, bym pracował jako szpicel dla bezpieki. Tego dotyczył drukowany formularz. Powiedziałem: „To nie jest mój zawód”.

Oni na to: „To nie problem, nauczy się pan. Przecież jest pan specjalistą od konspiracji. W przeciwnym razie zostanie pan tutaj. Żal nam pana - po co ma pan siedzieć?”.

„Mnie też pana żal” - odpowiedziałem. A ten uderzył mnie tak, że spadły mi okulary. Potraktował mnie źle, ale nie torturował i nie dręczył. A wielu innych torturowano.

Siedziałem już z 16 miesięcy w tym piwnicznym areszcie, gdy znów zawołano mnie i powiedziano: „Panie Bartoszewski, co by pan zrobił, gdyby zgłosił się do pana ktoś z Londynu?”. „Nie mam zamiaru konspirować”. Ale oni na to: „A czy zameldowałby pan o tym?” - „To nie moja sprawa, to zadanie policji”. - „Ano właśnie i dlatego siedzicie, bo my nie mamy pewności. Jesteście potencjalnym szpiegiem i dlatego tu zostaniecie”. - „Cóż, skoro panowie tak myślą...”

Siedziałem przeto dalej. W ostatnich miesiącach, od listopada 1950 r. do maja 1951 r. byłem w celi z trzema osobami: z ojcem Kajetanem Raczyńskim, paulinem, przeorem z Częstochowy, z Hauptsturmführerem (kapitanem) SS Erichem Engelsem z Arolsen, ostatnim szefem gestapo w Kassel, przedtem oficerem SD w Warszawie. Jeszcze z pracownikiem działu gospodarczego ambasady amerykańskiej J.S., Polakiem, byłym żołnierzem AK, któremu zarzucano szpiegostwo na rzecz Amerykanów. Te cele były jakby stacjami przejściowymi dla coraz to nowych więźniów, nie przebywało się razem dłużej na cztery do sześciu miesięcy. Gestapowiec był skazany na śmierć. Został powieszony w lecie 1951 r., ale o tym dowiedziałem się dopiero później. Na razie oszczędzali go jeszcze, bo potrzebowali różnych zeznań. Czyniono mu też fałszywe nadzieje, że zostanie ułaskawiony. Był hitlerowcem z przekonania. Sam nie paląc, oddawałem mu papierosy, które po roku siedzenia już dostawałem. To samo robił zakonnik. Engels mówił: „Führer nie miał racji, panie

Bartoszewski, był źle poinformowany w sprawie polskiej inteligencji. Polacy to nie Żydzi. Poznałem wielu Polaków w więzieniu. Żydzi to coś innego, ale Polacy to Aryjczycy, a więc nie podludzie”.

Był to dla mnie przypadek beznadziejny. Pracował w warszawskim gestapo właśnie w czasie, gdy siedziałem w Oświęcimiu. Nie litował się nad sobą, był twardym człowiekiem, były urzędnik policji kryminalnej, wczesny członek partii hitlerowskiej. Tak tygodniami jedliśmy i spaliśmy razem, używaliśmy wspólnego kibla, z przeorem z Częstochowy i szefem gestapo. Zakonnik zmarł w jakiś czas po wyjściu z więzienia. Jeśli dobrze pamiętam, dostał trzyletni wyrok za przestępstwo dewizowe: za niezgłaszanie dolarów, które przychodziły w listach z Ameryki, jako dary dla klasztoru. Pokazano mu ówczesne przepisy, według których obywatel PRLu obowiązany był natychmiast zgłosić otrzymane dewizy. A on na to: „Panowie, dewizy nie przychodziły do mnie, ale dla Panienki Najświętszej z Częstochowy. Nie wydawałem ich dla siebie!”.

Rzadki konglomerat w jednej celi: stary hitlerowiec, były uczestnik podziemia, mnich w białym paulińskim habicie i ja. Z gestapowcem żyłem właściwie względnie dobrze. Powiedziałem mu: „Byłem w Oświęcimiu, byłem w AK. Nie będę panu tutaj czynił wstrętów. Jesteśmy wszyscy więźniami, jesteśmy wszyscy ludźmi. Ale proszę to wziąć pod uwagę w rozmowach ze mną”. Potem już rozmawialiśmy zupełnie zwyczajnie. Wypytywałem go, jak to się mogło stać, że jakby cudem zostałem zwolniony z Oświęcimia. Mogły być różne powody, mówił. Pracował wówczas w kartotece. Ówczesny szef gestapo w Warszawie Meisinger kazał mu sprawdzać w kartotece nazwiska osób, o które interweniowano. „W pańskim przypadku najwidoczniej nazwiska w kartotece nie było. Nie miał pan nic do czynienia z Niemcami przed wojną. Był pan dla nas niezapisaną kartą. Zabrano pana w obławie. Nie był pan także kimś ważnym dla przemysłu wojennego. Tacy ludzie bywali internowani, ale mogli też być czasami zwalniani”.

„O ile jeszcze żyli” - wtrąciłem.

„Tak - potwierdził - o ile jeszcze żyli...”

Polski Czerwony Krzyż zaangażował się w tej sprawie. Podjęto kroki stwarzające pewne szanse. Możliwe, że do mego uwolnienia przyczynił się hrabia Maurycy Potocki. Podejmował u siebie nieraz szefa gestapo warszawskiego, pił z nim, a przy picciu zagadywał o możliwości zwolnienia tego czy tamtego człowieka. Według Engelsa dawał kartki z nazwiskami „niewinnych ludzi”. Potem Meisinger polecał Engelsowi: „Niech pan to sprawdzi...”. Engels sprawdzał w aktach. Opowiadając mi o tym, nie próbował twierdzić, jakoby mi dopomógł. Po wielu latach z kartoteki zbrodniarzy hitlerowskich w Ludwigsburgu

(RFN) dowiedziałem się, jak wielkie przestępstwa go obciążały. Pod nazwiskiem „Engels” znalazłem także notatkę: Kara śmierci prawdopodobnie wykonana w 1951 r. w więzieniu na Mokotowie, według zeznania takiego to a takiego współwięźnia - Niemca. To się zgadzało, mogłem to potwierdzić.

Z mojej pierwszej celi w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego zabrano mnie na Mokotów. Parę miesięcy spędziłem najpierw na pojedynce, potem we dwóch, wreszcie we trzech. Po dwóch i pół roku od chwili aresztowania, w końcu maja 1952 r., urządzono mi proces. Zarzut: szpiegostwo. Mocarstwo, dla którego miałem szpiegować, nie było wymienione, zakres działalności szpiegowskiej, kontakty, drogi - też nie. W sali sądowej pojawił się adwokat z urzędu (obrońcy z wyboru rodziny nie dopuszczono), który oświadczył mi: „Nie znam niestety pańskich akt, ale muszę pana bronić”. - „A czy nie mógłby pan zajrzeć do tych akt?” - zapytałem. Odparł, że mamy tylko dziesięć minut. „Proszę więc, niech pan uważa, jak ja będę się bronił, i potem ubierze to w formułę prawną. Jestem niewinny”. „Niewinny?” - powtórzył. Był polskim Żydem. obrońcą więc - choć z urzędu - był Żyd, oskarżycielami i sędziami Polacy.

Z adwokatem Zygmuntem Grossem spotkałem się później przyjaźnie parę razy w odmiennych warunkach, w Warszawie i w Nowym Jorku.

Proces był krótki, trwał może ze dwie godziny. Odbывał się w budynku więziennym, czyli - jak to wtedy nazywano - „na kiblu”. Kiedy powróciłem do celi, mój współwięzień, Wiesław Cergowski, podchorąży z „Baszty”, syn pułkownika „Sławbora”, czekał na mnie z jeszcze ciepłą zupą. A kotły z zupą zaczęto roznosić, gdy prowadzono mnie na proces.

Prokurator zażądał dziesięciu lat. W ostatnim słowie powiedziałem: „Wysoki Sądzie, pan prokurator żąda dziesięciu lat, pierwszej nocy po moim aresztowaniu oficer śledczy powiedział mi, że dostanę dziesięć lat. Wobec tej jedności poglądów oficera śledczego wówczas i prokuratora teraz, nie mam nic do dodania. Nie czuję się winny”.

I to było wszystko. Ostatecznie dostałem osiem lat. Ale nie zaliczono mi pierwszego półtora roku aresztu śledczego od listopada 1946 do kwietnia 1948. W ten sposób, choć nie byłem wówczas skazany i opuściłem więzienie bez wyroku, w praktyce dostałem dziewięć i pół roku! Rozprawa odbyła się w więzieniu, wyrok odczytano mi po dwóch dniach w rejonowym sądzie wojskowym przy ul. Koszykowej. Ludowej „praworządności” stało się więc zadość.

Teraz zaczął się nowy rozdział moich doświadczeń. Lato 1952 r. to był czas dla więźniów w Polsce bardzo zły. W ZSSR szalał terror. Mnie skazano za szpiegostwo, tak zapisano w papierach. Należałem więc do więźniów politycznych najgorzej widzianych,

najbardziej niebezpiecznych. Najpaskudniejszy przypadek, jaki można sobie wyobrazić - szpiegostwo. Amen. Ale ten szpieg miał śmiesznie mały wyrok: osiem lat. Zetknąłem się z najróżniejszymi ludźmi: z rzeczywistymi kolaborantami, jak też z rzekomymi - żołnierzami AK i pracownikami Delegatury Rządu skazywanymi oszczerczo za współpracę z okupantem niemieckim, z politykami wszelkich orientacji, także z księżmi, wśród nich z jednym prałatem.

Naczelnik więzienia, w randze majora, Alojzy Grabicki, wezwał mnie do siebie w lipcu 1952 r.: „Jesteście dziennikarzem? Czy to znaczy, że rozumiecie się coś na drukarstwie?” - „Tak jest, obywatelu naczelniku, trochę się rozumiem”. - „To jesteście jakby zecerem?” - „Tak, coś koło tego”. - „Ale z waszym paragrafem trudna sprawa. Jesteście przecież szpiegiem”. - „Obywatelu naczelniku, gdybym był rzeczywiście szpiegiem - dostałbym osiem lat?” - „No tak, może nie jesteście wielkim szpiegiem, takim średnim - chyba rozumiecie. Sąd wie swoje”. - „Ano dobrze, jak obywatel naczelnik sobie życzy”. - „Właściwie nie mam prawa zatrudniać takich jak wy. Czy pracowalibyście lojalnie?” - „Jak chodzi o robotę, będzie wszystko w porządku” - powiedziałem. - „No dobrze - postanowił wreszcie - mam coś dla was”.

Posłano mnie do więziennej drukarni, gdzie wszystko niemal było tajne. Pracowali tam dotychczas prawie wyłącznie kryminaliści z wieloletnimi wyrokami i zbrodniarze wojenni, także z SS. Liczono zapewne na to, że prędko na wolność nie wyjdą. Drukowaliśmy same ściśle tajne i wyjątkowo ściśle tajne rzeczy, na przykład instrukcje i komentarze Ministerstwa Bezpieczeństwa dla podwładnych. Drukowało się tego tylko kilkadziesiąt lub kilkanaście egzemplarzy numerowanych. Pracowało dwadzieścia płaskich maszyn drukarskich, przeważnie starych, niemieckich.

Drukarnię rozwijano, ale brakowało fachowców. Ściągnięto ich z różnych więzień. Fachu uczyli mnie: były właściciel drukarni z Katowic, Leon Ślanina oraz wybitny fałszerz pieniędzy z Krakowa M.P., specjalista od dolarów, który dostał za to dożywocie. Najpierw wykonywałem proste składy, niebawem potrafiłem już łamać. Myślałem sobie: mam szczęście. Tutaj dostaję przyzwoite pożywienie, mogę jeszcze dokupić, co dzień dają pół litra mleka. Można czytać gazetę, nawet do książek ma się względny dostęp - introligatornia oprawiała książki dla biblioteki więziennej.

Ale nagle zabrano mnie z drukarni: może wiedziałem za wiele, a jak wiadomo, wiedzieć nie jest zdrowo. W kwietniu 1954 r. wywieziono mnie z Mokotowa do osławionego więzienia w Rawiczu koło Poznania. W szpitalu więziennym stwierdzono u mnie gruźlicę i uszkodzenie mięśnia sercowego. Było to w rok po śmierci Stalina. Zaczęto zwalniać część

chorych więźniów i ja również w sierpniu 1954 r. otrzymałem sześć miesięcy urlopu. Po paru miesiącach adwokat Jerzy Mering, który bardzo energicznie zajmował się moją sprawą i bezinteresownie ją prowadził, wystąpił z wnioskiem o uznanie mnie za niewinnie skazanego. Było to w końcu 1954 roku, gdy zostało aresztowanych kilku oficerów ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Zaznaczył się już wtedy nowy kurs, zwany „odwilżą”, jakkolwiek było to jeszcze przed XX Zjazdem KPZR. W marcu 1955 r. otrzymałem zawiadomienie o uchyleniu wyroku przez Zgromadzenie Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego z powodu bezpodstawności skazania. Nie przewidywano nowej rozprawy sądowej. Nigdy nie przyznałem się do winy; ci, którzy się przyznali, musieli przejść postępowanie rehabilitacyjne. To oczywiście nie znaczyło, że byli winni! Ja byłem po prostu niesłusznie postawiony w stan oskarżenia i niesłusznie skazany! Dostałem za to 70 tys. złotych „odszkodowania”. To było wówczas dużo dla skromnego człowieka. Ale i teraz trudno mi było znaleźć pracę. Nie mogłem przecież pracować w komunistycznej gazecie. Znalazłem sobie ciche zajęcie w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich.

## Znowu?

Dnia 1 października 1970 r. 18 funkcjonariuszy SB wtargnęło do naszego domu i przez 27 godzin pracowało skrzętnie jak mrówki, oglądając każdy dokument, list, wizytówkę, fotografię, każdą książkę - wszystko, co mogło się wydać podejrzanym (a jak wiadomo - najbardziej podejrzanym jest wszystko, co pisane i wydrukowane). Skoncentrowali się m.in. na książkach w języku niemieckim, również na *Mein Kampf* Hitlera i *Micie XX wieku* Rosenberga. Interesowały ich również książki polskie wydane za granicą (m.in. „Kultura” i inne wydawnictwa Instytutu Literackiego) oraz przełożone z języków obcych. Zabrali tego razem chyba ze 700 kg.

A także i mnie. Kilka godzin trzymano mnie w celi. Chciano, żebym „wszystko zeznał”, do „wszystkiego się przyznał”. Ale nie zeznałem i nie przyznałem się. Nie sformułowano początkowo żadnego oskarżenia, ale po Warszawie chodziły dzikie pogłoski - zapewne rozpuszczane celowo - jakoby został zdemaskowany jako kierownik antypaństwowej organizacji, jakoby tajna „głowa siatki krajowej” sekcji polskiej Radia Wolna Europa itp.

Tymczasem żyłem jak gdyby nigdy nic, pracowałem, uczęszczałem nawet na przyjęcia w ambasadach. Ale wielu znajomych już nas nie odwiedzało! Inni natomiast okazali mi swoją solidarność, przede wszystkim redaktorzy „Tygodnika Powszechnego”, którego stałym współpracownikiem byłem od 1957 roku. Ale także i wcale nie najbliżsi przyjaciele! Trwało to przez wiele tygodni, zanim oficjalnie wystąpiła prokuratura. W początkach grudnia 1970 r. zabrano mnie z pracy, ze Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich i postawiono zarzut: współdziałanie z antypaństwowymi siłami z Radia Wolna Europa na szkodę PRLu. Wyśmiałem te zarzuty formułowane przez panią prokurator Marię Pancer, ale musiałem odtąd zgłaszać się punktualnie o 9 rano na przesłuchania, które trwały po kilka godzin. Zorientowałem się, że wszystko to jest zamierzoną prowokacją i odmawiałem odpowiedzi, nawet na temat mojego życiorysu. Na wielostronicowych protokołach pozostawała wciąż ta sama formuła: „Odmawiam odpowiedzi na to pytanie”. Równocześnie toczyła się tajemnicza kampania anonimów, oszczerczych pism na mój temat, które pojawiły się w różnych stronach kraju, w różnych instytucjach. Znalazło się nawet moje rzekome samokrytyczne „Oświadczenie”, z moim rzekomo podpisem. Prokuratura Generalna, gdzie złożyłem pismo z żądaniem wyjaśnienia sprawy, zawiadomiła mnie następnie, że podpis mój został sfalszowany. Sprawców nie znaleziono!

Tak trwało do połowy grudnia 1970 r. Na Wybrzeżu doszło do wrzenia, strzelano do robotników. Władysław Gomułka został usunięty, władzę objął Edward Gierek. Powiedziano mi: „Mamy co innego do roboty. Nie będzie dziś żadnego przesłuchania. Niech pan idzie do

domu, damy znać”. Pozwolono mi nawet wyjechać do Zakopanego. Po kilku miesiącach dostałem oficjalne zawiadomienie o umorzeniu postępowania karnego przeciwko mnie. Być może przyjmowano, że odgrywałem jakąś tajną rolę, nie istniały jednak jakiegokolwiek dowody na to. Cała zabawa się skończyła.

Nastąpiła zmiana ekipy rządzącej, ale za granicę nadal mnie ani członków mojej rodziny nie puszczano - przez okrągłe pięć lat. Borykałem się też z innymi trudnościami: w latach 1971-1973 nie mogłem publikować niczego, nawet w „Tygodniku Powszechnym”, co więcej, obowiązywał absolutny zakaz wymieniania mojego nazwiska, nawet w przypisach do prac naukowych. Dopiero ostatnie miesiące 1974 r. przyniosły tu pewną zmianę na lepsze. Równocześnie jednak, za sprawą i przy poparciu życzliwych ludzi, otworzyły się przede mną zupełnie nowe możliwości. Wiosną 1972 r. wybrano mnie sekretarzem generalnym polskiego Pen Clubu, w którego zarządzie byłem od grudnia 1969 r. Stało się to z inicjatywy Antoniego Słonimskiego i przy pełnym poparciu Jana Parandowskiego. W tym samym czasie Andrzej Kijowski jako przewodniczący komisji kwalifikacyjnej Związku Literatów Polskich przyczynił się w znacznym stopniu do przyjęcia mnie do ZLP, pokonując tu niemałe trudności. Sam pomysł pochodził zresztą też od niego. W 1973 r. zacząłem wykłady

z najnowszej historii Polski na wydziale nauk humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. I tym razem pomysł nie pochodził ode mnie, lecz od kończącego wówczas kadencję dziekana, prof. Jerzego Kłoczowskiego. Zapoczątkowane wtedy obowiązki wykładowcy spełniałem przez dwanaście lat, z dużą dla siebie korzyścią. Poznałem znakomitych młodych ludzi, zdobyłem nieco nowych doświadczeń. Pracowałem też przy biurku - napisałem od dawna zamierzoną rzecz, *1859 dni Warszawy*, którą z przedmową Aleksandra Gieysztorą wydał w zimie 1974/1975 „Znak” w Krakowie. Przyjazne przyjęcie tej książki przekroczyło moje oczekiwania i sprawiło mi ogromną satysfakcję. A już prawdziwym zaszczytem dla mnie było, że uznali za słuszne pisać o niej m.in. Antoni Słonimski, Jan Józef Szczepański czy Andrzej Kijowski. I tak - przy Boskiej i ludzkiej pomocy - wyszedłem jakoś z wszechstronnego impasu.

W kraju przebiegał właśnie w tym czasie proces daleko idących przemian w świadomości społecznej. W czerwcu 1976 r. doszło do wydarzeń

w Ursusie i Radomiu. Powstał KOR. W osiemnaście miesięcy później założyliśmy Towarzystwo Kursów Naukowych, które swój prototyp miało w czasach rozbiorów. Przez trzy semestry nieprzerwanie miałem wykłady w prywatnych mieszkaniach, w kościołach. Raz przyszła milicja i przedstawiciele Rady Narodowej. Doszło do dwu spraw, w pierwszej instancji i odwoławczej, przed kolegium do spraw wykroczeń. Oskarżonym byłem ja jako

„prowadzący nielegalne zgromadzenie” i Piotr Naimski jako użyczający mieszkania. Składając wyjaśnienia, nie obiecałem, że zaprzestanę swej działalności wykładowczej, przeciwnie - zapowiedziałem jej kontynuowanie. To było w zimie 1979/1980. Ale już 16 października 1978 r. Polak został papieżem. To w największym stopniu zmieniło nasz kraj i nasze życie. I trwa nadal, ponad datą 13 grudnia 1981 roku.



## Moje spotkania w RFN

Na ścianie wisi worek. A na nim widnieje swastyka. Krzyż obłędu rasowego i pychy, które sprowadziły na Polskę i świat niezmiernie cierpienia.

Miejsce: gospoda w Nottuln w Westfalii. Czas: późne lata siedemdziesiąte. Przedmiot naszej małej konferencji: narada nad modelem wzajemnego stosunku Niemców i Polaków, przewyciężeniem przeszłości, perspektywami na przyszłość. Moi partnerzy w rozmowie: Reinhold Lehmann i prof. Klemens Richter z organizacji Pax Christi otrzymali od konferencji episkopatu niemieckiego zlecenie opracowania programu nauczania religii i prosili mnie o wniesienie uwag i konsultację szczegółów historycznych w oparciu o osobiste doświadczenia.

Moi gospodarze - jak się zdaje - dopiero po wyjściu z gospody uświadomili sobie, co wisiało nad naszymi głowami na ścianie pomieszczenia, w którym rozmawialiśmy, przywołując cienie straszliwej przeszłości. Reinhold Lehmann napisał w kilka tygodni później w kąśliwym komentarzu dla radia: jak to pięknie w tych okolicznościach z byłym więźniem Oświęcimia, uczestnikiem podziemia, a zarazem przyjacielem Niemców spożywać wspólnie zupę i rumsztyk z frytkami i sałatę... Jego artykuł przedrukowaliśmy w naszym „Tygodniku Powszechnym” (1977, nr 46).

Worek ze swastyką - przejaw bezwstydu i „niezdolności do żalu” (*Mitscherlich*) - udało się usunąć dopiero grupie prokuratorów, która kilka miesięcy później, bawiąc na wycieczce, akurat przypadkiem zawadziła o ten lokal.

Mnie nie wyprowadziło to z równowagi, bo wiem, że w każdym kraju znaleźć można głupców i ludzi niepoprawnych. W toku swoich licznych podróży do RFN (po raz pierwszy w maju 1965 r.) nauczyłem się i doświadczyłem, że są także inne Niemcy, że są tu dziś ludzie wszystkich wyznań, światopoglądów i orientacji politycznych, którzy nad przeszłością, ponad niezasypanymi grobami budować chcą pomosty ku mojemu narodowi.

Tego przeświadczenia nie mogą mi odjąć ani przemówienia na zielonoświątkowych mityngach, ani pojedyncze emblematy, ani wypowiedzi rewanżystów, bo doświadczyłem tymczasem, co znaczy mieć przyjaciół w kraju, który tak straszliwie zapłacić musiał za napad na Polskę i Europę.

Ja, dawny „podczłowiek” i więzień Oświęcimia, Bartoszewski, zeznawałem przed niemieckimi prokuratorami o tym, jakie zbrodnie hitlerowskie widziałem na własne oczy i co znalazłem w dokumentach. Podczas procesu Ludwika Hahna, komendanta hitlerowskiej policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa *für den Distrikt Warschau* przez dwa dni składałem zeznania przed niemieckimi prokuratorami i sędziami w Warszawie (nb. - zjechali oni tutaj, aby mnie przesłuchać, ponieważ władze PRLu nie zezwoliły na mój wyjazd do

Niemiec w celu złożenia zeznań). Było to dla mnie wielkie zadośćuczynienie, że sąd RFN - gdy prokuratura w Hamburgu postawiła wreszcie po wieloletnich dochodzeniach Hahna w stan oskarżenia - uznał mnie za obiektywnego i wiarygodnego świadka. Proces zakończył się wyrokiem skazującym. W początku lat sześćdziesiątych ukazała się pierwsza moja książka o Erichu von dem Bachu-Żelewskim, generale SS, który stłumił Powstanie Warszawskie. W połowie lat sześćdziesiątych w książce *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944* (przetłumaczonej potem na niemiecki i angielski) podjąłem próbę upamiętnienia wielu znanych i nieznanymi ofiar okupacji, pokazania ich twarzy, przypomnienia wartości, za które oddali życie. Moje okupacyjne zapiski dotyczące egzekucji ulicznych w Warszawie zostały wykorzystane już w procesie norymberskim głównych zbrodniarzy wojennych jako materiały oskarżenia i ogłoszone drukiem w pierwszym tomie *Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce*. Tych publikacji nie uważałem za akt zemsty, traktowałem je jako świadectwo historii i jako przestrozę wynikającą z doświadczeń przeszłości.

Już wspominałem, że pierwszy raz przyjechałem do RFN w maju 1965 r. Zaproszenie wysłał mi Heinz Linnerz, ówczesny redaktor naczelny kwartalnika „Dokumente” w Kolonii. On też skontaktował mnie z Heinrichem Böllem. Böll opowiadał mi o swoich wrażeniach podczas podróży do Polski w końcu lat pięćdziesiątych. Wieczorem poszedł samotnie do centrum miasta i zagadywał przechodniów po niemiecku: „Oczekiwałem - powiedział - że mnie ktoś spoliczkuje, zwymyśla, ale wszyscy zachowali się przyjaźnie”.

W czasie wojny w naszych konspiracyjnych zespołach katolickich dyskutowaliśmy nad bezowocnością powszechnej zemsty. Uważaliśmy, że Niemcy obciążyli się strasznymi zbrodniami i będą musieli za to ciężko odpokutować. Sprawiedliwość - tak, świadectwo tego, co było - tak. Ale zemsta - nie! Uczucie zemsty władające mścicielem przynosi większe szkody jemu samemu niż temu, kto pada jego ofiarą, ponieważ w uczuciu zemsty nie można już odnaleźć siebie samego. Zemsta jest nie do przyjęcia w kategoriach myślenia chrześcijańskiego. Doświadczenia późniejsze nie zmieniły mojego punktu widzenia na tę sprawę.

Nie mogę tu przedstawić setek spotkań z Niemcami w RFN i u nas w Polsce z młodzieżą, z publicystami i reporterami, z członkami ruchu Pax Christi i Bensberger Kreis, z prałatami, biskupami, z artystami. To, co pomału poczynało się w latach sześćdziesiątych w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w klimacie listu biskupów polskich do episkopatu Niemiec, popłynęło szerokim strumieniem po zawarciu układu w grudniu 1970 r.

Latem 1966 r. na zaproszenie telewizji i radia zachodnioniemieckiego (NDR z Hamburga) byłem na spotkaniu niemieckich przesiedleńców w Bonn. Stałem w tłumie wśród

setek tysięcy. Ale wśród nich wcale nie wszyscy umieli dobrze mówić po niemiecku. Pod pomnikiem Beethovena na bońskim placu siedziała stara kobieta, Ślązaczka, sprzedająca obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej. „Panie - zwróciła się do mnie - kup pan naszą Matkę Boską!”

Równocześnie miały miejsce gorące sprzeciwy i kontrademonstracje ewangelickich i katolickich studentów teologii z uniwersytetu w Bonn. Przypominam sobie do dziś ironiczny transparent: „Także za tysiąc lat Togo pozostanie niemieckie...”

Zaproszono mnie na przyjęcie w Hamburgu, w doborowym towarzystwie. Uczestnicy przyjęcia wiedzieli, że w moim życiorysie jest również Oświęcim. Jedna z dam zapytała w tonie twierdzącym: „Pan jest Żydem?”. Odpowiedziałem: „Nie, bynajmniej, nie Żydem, jestem Polakiem i katolikiem”. I zrozumiałem, że w 20 lat po wojnie Niemcy jeszcze nie pojęli, po co powstał Oświęcim: dla zniszczenia polskiej inteligencji. Idea posyłania Żydów do gazu została wprowadzona w czyn półtora roku później.

W Polsce wie o tym każde dziecko. Ale tutaj wstrząsnęło mną, że to dla nich nowość.

Z czasem zdałem sobie sprawę z gorzkiego faktu, że wprowadzie w świadomości ogółu Niemców istnieje problem winy i odpowiedzialności za straszliwą zbrodnię zagłady Żydów europejskich, rzadkością natomiast jest poczucie odpowiedzialności moralnej za zbrodnie dokonywane na Polakach i w ogóle na Słowianach. Tylko nieliczni chcą poznać także i tę część prawdy o latach 1939-1945.

Z ekipą telewizji północnoniemieckiej odwiedziliśmy w 1966 r. miejscowość Neuengamme w okolicy Hamburga. Moi znajomi (m.in. mój przyjaciel Józef Garliński) przebywali tu w czasie wojny w obozie koncentracyjnym, który potem wyzwolony został przez Anglików. Tamtejszy pastor nie był przygotowany na nasze odwiedziny, ale uprzejmy. Po prostu zaskoczyliśmy go. Zapytał, czego sobie życzymy. Przedstawiłem się: jestem pisarzem z Polski, chciałbym zwiedzić teren obozu. Ale przedtem chciałbym zamienić z nim kilka słów, jeśli to możliwe w obecności kamer telewizyjnych.

Nie był zachwycony, ale się zgodził. Był jeszcze młody, nie brał udziału w wojnie i powiedział mi, że swoim wiernym nigdy w kazaniach nie mówił o tutejszym obozie koncentracyjnym ani też oni sami nigdy o tym nie rozmawiają. „Czy ksiądz wie - spytałem - że tutaj straciło życie jakieś 50 do 60 tysięcy ludzi? W tej jednej małej miejscowości?” „Widzi pan - odrzekł - to są zwykli, spokojni, wierzący chłopcy, niechętnie o tym mówią, nie interesuje ich polityka”. A ja na to - „Ale to praktykujący chrześcijanie”. - „Tak - potwierdził - regularnie chodzą na nabożeństwa”.

Pastor nie pojął, dokąd zmierzały moje pytania. Bardzo to było dla mnie pouczające.

Ileż trzeba zrobić, aby wina i pojednanie były czymś żywym... Przede wszystkim jednak trzeba znać fakty.

Już w latach sześćdziesiątych zaangażowałem się w pracę w sprawach polsko-niemieckich. Brałem udział w seminariach naszej grupy Znak i ruchu Pax Christi w RFN - ale tylko w Polsce. W tym czasie bowiem nie dostawałem paszportu. Pamiętam dobrze pierwsze takie seminarium, tzw. oświęcimskie, w 1972 r. Z polskiej strony padło tam zdanie, które na naszych niemieckich partnerów oddziało wyzwalająco: „Ludzie uczynili to ludziom”.

Co jeszcze było konieczne? Myśl, że człowiek zdolny jest do wszystkiego, zwłaszcza wtedy, gdy w deprawujących warunkach systemu totalitarnego znikają wewnętrzne hamulce i pseudoracje uzasadniają nienawiść i gwałt. Już wtedy mówiliśmy o Maksymilianie Kolbem i Edith Stein. Publicystka i dziennikarka Józefa Hennelowa, koleżanka z redakcji „Tygodnika Powszechnego”, stwierdziła, że Oświęcim jest tym właściwym miejscem, w którym może dojść do przewyciężenia nienawiści wbrew pamięci o bezprawiu. Oświęcim może być miejscem modlitwy dla wierzących, a dla niewierzących miejscem refleksji. Miejscem, gdzie dokonuje się konfrontacja z rzeczami ostatecznymi, gdzie młodzi mogą przeżyć to, co nazywa się sytuacją graniczną.

Uczestnicy takich spotkań wychodzili z nich przebudzeni. Przywracały im one coś z godności osobistej. W 1974 r., na jednym z następnych seminariów, w Makowie Podhalańskim, powiedziałem: „Jako chrześcijanie nie znamy pojęcia winy zbiorowej. I to jest słuszne: nie istnieje wina zbiorowa. Ale istnieje coś takiego jak zbiorowe przyczyny, i istnieją zbiorowe skutki hitlerowskiej przeszłości. Istnieje także zbiorowy wstyd. Na takim gruncie wyrasta często poczucie mniejszej wartości, które graniczyć może z nadwrażliwością i agresją...”

Spotkań było dużo. Nie tylko z Pax Christi i Bensberger Kreis, a potem z przedstawicielami Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich i Konferencji Biskupów Niemieckich. Także z wielu grupami z RFN i grupami Aktion Sühnezeichen z NRD, które przyjeżdżały do Polski i chciały znaleźć rzetelną informację.

Pozyskałem w RFN wielu przyjaciół. Ale napotykałem wiele trudności w mówieniu Polakom o Niemczech. Niełatwo rozproszyć nieufność, niekiedy nawet wrogość - biorącą swój początek w pamięci niezatartej krzywdy. Może dopiero akcja pomocy paczkowej, olbrzymiej pomocy, pojęta jako wyraz solidarności, która natychmiast po sierpniu 1980 r. zaczęła od nich napływać do nas, przyczyniła się do przełomu. W roku 1966 kardynał Wyszyński samotnie wezwał w Częstochowie lud Boży do przebaczenia, tak jak uczynili to biskupi polscy w

swym liście do biskupów niemieckich z 18 listopada 1965 r. A rzesza odpowiedziała w wierności Kościołowi: „Przebaczamy”. To było jakby próbne głosowanie, musiało ono jednak dopiero się urzeczywistnić.

Własne doświadczenia z RFN opisywałem w „Tygodniku Powszechnym” w 1965 i 1966 r. bardzo powściągliwie. Reportaże były w ogólnym wymiarze życzliwe i pozytywne, ale trzecią część z nich skreśliła cenzura. O moich podróżach opowiadałem w Klubach Inteligencji Katolickiej. Czasem było to bardzo trudne. Niekiedy tolerowano mnie tylko ze względu na to, że byłem więźniem Oświęcimia i oficerem AK. Najczęściej, gdy opowiadałem o „nowych Niemcach”, zalegało powszechne i pełne zakłopotania milczenie.

Koszmar był jeszcze wciąż obecny. Dopiero pokolenie, które samo nie miało już doświadczeń wojennych, mogło zdobyć się wobec ludzi stamtąd na pewną swobodę oceny. Co najbardziej szokowało nas, Polaków, u Niemców hitlerowskich, to straszliwe okrucieństwo tego okresu, wyrafinowane okrucieństwo wobec ludzi. To było w najwyższym stopniu ohydne, ta manifestacja siły, buty, pseudomyślenia i pseudoideologii, brutalna, fizyczna przemoc. A przecież realizowały to jednostki, zwykli niemieccy ludzie. Wielu myślących ludzi w Polsce powiedziało sobie wtedy: nasza siła może płynąć tylko z serc i umysłów, musi być z ducha.

My, Polacy, lękaliśmy się wtedy zagłady narodu, baliśmy się o samą jego egzystencję. Czy i jak mogli to zrozumieć, wyobrazić sobie ludzie, którzy nigdy nie mieli czegoś podobnego we własnym doświadczeniu, a o faktach mało wiedzieli?

Po wielokroć zapytywali mnie w Niemczech młodzi ludzie, czy we wszystkich tamtych latach nie odczuwałem lęku. Ależ tak, bałem się przeraźliwie, ten lęk był straszny. Były dni, gdy czułem się zupełnie zdruzgotany ze strachu. Przez całe miesiące po uwolnieniu z Oświęcimia słyszałem za sobą ciężkie kroki w podkutych butach. Spuszczałem głowę, jakbym chciał ją ukryć między ramionami. Moi rówieśnicy pytali: „Co ty wyrabiasz, Władek?”. Nie wiedziałem, tak byłem wstrząśnięty, przerażony Oświęcimiem. Mojej matce nigdy nie opowiadałem wszystkiego o obozie. Zdałem z tego sprawę niektórym młodym ludziom z podziemia, aby jasno im uświadomić, o co idzie gra. Nigdy natomiast nie poruszałem tego tematu w towarzystwie. Nie chciałem o tym opowiadać. Po prostu nie byłem zdolny przezwyciężyć tego wszystkiego w sobie - przez długi czas nie potrafiłem. Potrzebowałem całego roku, aby znaleźć dla siebie rozwiązanie problemu. Brzmiało ono: działać przeciw nienawiści, przeciw przemocy - przeciw wszelkiej nienawiści i wszelkiej przemocy.

Chcemy być tymi, którzy poznali, którzy pojmują. W naszym kręgu w czasie wojny

przemysliwaliśmy nieraz te problemy moralne czasu, w którym przyszło nam żyć. Wierzyliśmy w sprawiedliwość Boską. Wspominaliśmy mieszkańców Warszawy, którzy zginęli we śnie, zanim dowiedzieli się o wojnie. Wspominaliśmy egzekucje na ludziach złapanych na ulicy, wyciągniętych ze sklepów, przypadkowych przechodniach. Staraliśmy się rozróżniać między zbrodnią a wojenną walką. Żołnierze - sprawcy wojennej śmierci nie budzili takiej nienawiści jak mordercy bezbronnych ofiar. Choć i takie myślenie było trudne, bo mieliśmy przecież poczucie niesprawiedliwej napaści na nas. A jaka „norma” wojenna mogła przystawać do tego, co robiono z narodem żydowskim?!

Mimo to chcieliśmy być sprawiedliwi. Maksymilian Kolbe został zamordowany 14 sierpnia 1941 r. Niemiecki biskup (późniejszy kardynał) Clemens August von Galen wygłosił kazanie przeciwko stosowanej przez hitlerizm eutanazji - 3 sierpnia tegoż roku w kościele św. Lamberta w Münster, gdy Kolbe konał w bunkrze głodowym. Polski kapłan i zakonnik poszedł dobrowolnie na śmierć i padł ofiarą morderczego zastrzyku. Inny kapłan, biskup niemiecki, sprzeciwił się publicznie eutanazji. To przecież jakoś się ze sobą wiąże. W 1976 r. przywiozłem biskupowi Heinrichowi Tenhumbergowi, następcy kardynała Galena w Münster, fotokopie polskich ulotek i wydawnictw podziemnych z 1942 r. Te polskie przekłady kazania biskupa von Galen miały wówczas katolikom nad Wisłą dać znać, że istnieją także „inne” Niemcy. Gdyż tym, co dotyczyło wówczas nasze poczucie moralne, byli nie kaci hitlerowscy, od których nie oczekiwaliśmy niczego dobrego, lecz katolicyzm niemiecki. Katolicy niemieccy zostawili nas całkiem samych - trudno było wówczas myśleć inaczej.

Na koniec chciałbym jeszcze dać wyraz moim prywatnym marzeniom o stosunkach polskoniemieckich. Nie są to marzenia polityczne. Analogiczne spotyka się w Niemczech. Nie jestem nacjonalistą, ale z pewnością jestem patriotą, Polakiem. Marzę więc o sąsiadach, z którymi kontakt byłby taki, jaki mają między sobą Holendrzy i Niemcy - normalny. Wolny, swobodny kontakt wszystkich ludzi ze sobą po obu stronach. Z walutą ważną po obu stronach granicy. W tych moich marzeniach widzę nasze stosunki jako takie, przy których słowo Polak nie oznacza dla Niemca nic więcej niż kiedy mówi: patrz, to Holender, Szwed, Brytyjczyk, Francuz. Tylko tyle. A kiedy w Polsce powie się: „Niemiec”, to już nie musiałoby oznaczać niczego więcej niż mieszkańca jednego z wysoko rozwiniętych, uprzemysłowionych krajów. Polak i Niemiec, żeby byli dla siebie nawzajem: zupełnie normalnymi ludźmi.

Niedobre doświadczenia przeszłości to jest problem pokoleń i ślady ich nieprędko się zatrą. Ale moje marzenie rzutuje w przyszłość. Jestem przeświadczony, że gdyby Polska była dla Niemców tak dostępna jak Dania czy Austria - gdyby była wolnym państwem,

demokratycznym - i odwrotnie: Niemcy byłyby równie dostępne dla Polaków, wyrosłyby w obu naszych krajach pokolenia budzące nadzieję.

Może już w XXI wieku jaśniejsze się stanie, że w latach prób byli całkiem zwyczajni ludzie - zakonnice, wieśniacy, prości ludzie, bez wielkiego wykształcenia - którzy czynili to, co słuszne. Na takich ludziach budują się społeczeństwa. Żydzi powiadają, że aby świat obracał się dalej, każdy dzień musi mieć swojego sprawiedliwego. Ale nie tylko jednego! Całe gromady, które instynktownie czynią to, co uznały za słuszne. To właśnie jest praca dla pokoju.

## **Gdybym mógł wybrać jeszcze raz**

Co chciałbym zrobić inaczej, w czym się inaczej zachować, gdybym mógł raz jeszcze zacząć od początku? Właściwie zazdroszczę w głębi serca ludziom, którzy umieją żyć normalnie także tu, w Polsce. Ale w gruncie rzeczy, widząc wszystko tak, jak widzę, ponawiam swój wybór.

Kraju swojego nie wybrałem sobie sam. I nie wyszukałem sobie Oświęcimia. Wkraczających do Polski Rosjan witałem bez entuzjazmu. Chętniej widziałbym na ich miejscu naszych zachodnich aliantów. Wolałbym Polskę neutralną, przynajmniej tak jak Finlandia, jeszcze lepiej jak Austria.

Ale właściwie my, ci „inni”, mamy przewagę nad ludźmi żyjącymi „normalnie”. Jesteśmy niedostosowani. Żyję w kraju, w którym należę do nielicznej mniejszości. Nie z racji swojego światopoglądu. Z racji przeżytych doświadczeń. Dwie trzecie obecnych mieszkańców Polski urodziło się bowiem już po II wojnie światowej albo się po niej wychowało. Oni tego doświadczenia nie mają. Gromadzą swoje doświadczenia stopniowo - w stanie wojennym, w internowaniu, także w życiu codziennym. Dowiadują się, co to znaczy być i n n y m. Bardzo ważne dla życia narodowego będzie to, co wyrosnie z tych doświadczeń w nadchodzących latach.

Każdy musi, niestety, swoje doświadczenia gromadzić sam. Nie są one w pełni przekazywalne. Ani najbliższym, ani następnym pokoleniom. Nie trzeba więc ludzi zbyt pochopnie sądzić. Brak doświadczenia i brak charakteru często prowadzą do nieszczęścia raczej niż podłości.

Być może niewiele zostanie po moim życiu. Ale wiele nadziei pokładałam w słowie drukowanym. Myślę podobnie jak Żydzi, którzy wierzą w księgi, w to, co mądrość i rozsądek utrwaliły na papierze. Moje doświadczenie osobiste i doświadczenie historyczne mówi mi, że z tego bardzo wiele zostaje. W naszym pokoleniu byliśmy wychowywani tak, aby uczyć się z przykładów innych, od ludzi, którzy odegrali jakąś rolę w życiu społecznym, odważnie walczyli o dobro, odważnie stawiali opór złu. Albo odważnie umierali. Ale właściwie nie chciałem umierać za ojczyznę. Wpojono nam jednak, że hańbą jest żyć za wszelką cenę. Życie za wszelką cenę to walka o byt, o dobór naturalny, to silniejszy, który dławi słabszego. I słabszy, który gotów jest poddać się i ulec. To nieludzkie.

Odwaga cywilna oznacza poczucie konieczności przeciwstawienia się prądowi. Bardzo ją cenię. Muszę uczciwie powiedzieć: gdybym na przykład przyswoił sobie to wszystko, co słyszałem na temat Żydów w szkole i kościele - stałbym się antysemitą. Wewnętrzny opór przeciwko głupocie i narzucanemu myśleniu stał u źródła tego, że broniłem



Żydów w czasie wojny, choć sytuacja ówczesna przyniosła oczywiście i ważniejsze motywacje. Także wówczas słyszałem nieraz, również od niektórych księży: „Czego pan chce z tymi Żydami, po co się pan tak angażuje? Po co naraża pan swoje życie dla Żydów?”. Do dziś znam takich ludzi z imienia i nazwiska. Ale ja chciałem inaczej i znajdowałem wystarczająco wielu myślących podobnie, aby utwierdzić się w wyborze drogi.

W więzieniu przeżyłem najgorsze lata stalinizmu. Nie wiedziałem prawie wcale, co działo się na zewnątrz. Gdy wyszedłem, dowiedziałem się, że ludzie z „Tygodnika Powszechnego” mieli odwagę cywilną, jedyni chyba w tym rejonie świata, powiedzieć: nie wydrukujemy epitafium dla Stalina. A więc, pomyślałem sobie, warto było. Są tacy ludzie w naszym kraju. Podjęli ryzyko, ponieśli ofiary, pozbawieni przez przeszło trzy lata swego pisma, pozbawieni środków do życia. To ludzie tacy, jak redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz, ludzie cisi. I właśnie ta grupa podjęła po latach pierwsze w Polsce próby wyjścia z beznadziejności w stosunkach między Polakami i Niemcami.

Pewien dyplomata niemiecki zagadnął mnie przed laty w Warszawie: „Panie Bartoszewski, znamy się od kilku lat, niech mi pan powie, czy żyje pan tylko dla historii?”. Nie tylko dla historii. Każdy pisarz jest swego rodzaju aktorem. Chce być czytany i rozumiany, choćby go atakowano. Chce egzystować w świadomości ludzkiej. W tym znaczeniu jestem żywo zainteresowany własną egzystencją. A dla historii, cóż jest ważne, a co nieważne? Nieraz zdarzało się, że po latach dopiero spostrzegano, iż nie bardzo zauważani wcześniej ludzie powiedzieli coś bardzo ważnego, że właśnie oni przerzucili mosty ku nowym generacjom. Nie ukrywam: byłoby dla mnie czymś wielkim, gdybym za sto lat w polskiej encyklopedii miał dwuwierszową wzmiankę. Ale jeszcze więcej znaczyłoby dla mnie, gdybym mógł z jakiegoś innego świata dojrzeć, że moje wartości, moje sposoby na współzycie ludzi i społeczności zaowocowały praktycznie.

Kiedyś chciałem zostać aktorem. No i grałem, choć na zupełnie innej scenie, grałem rolę człowieka, który nie zna strachu. Wciąż starałem się przezwyciężyć strach, tak aby nie spowodował on negatywnych skutków dla innych ludzi albo dla sprawy, której służyłem. Dziś mam przeróżne nerwice i łykam tabletki.

Często w moim życiu byłem głodny. Kiedy w połowie lat pięćdziesiątych opuściłem więzienie, nierzadko z wdzięcznością przyjmowałem zaproszenie na obiad, który był jedynym posiłkiem w ciągu dnia. Nie prosiłem nikogo o nic, nie pisałem do przyjaciół i znajomych za granicę.

Czy cierpienie ma sens? Myślę, że tak, ale jeśli przyjmowane jest świadomie i owocne dla innych. Choćby tylko jako przykład.

Niejednakowo obwiniam poszczególnych ludzi, tych, którzy wykonywali rozkazy, i tych, którzy je wydawali. Rozróżniam też ludzi i system, który ich znieprawiał. Widzę winę przede wszystkim „u góry”, a nie „u dołu”, choć i tych, którzy tylko wykonywali rozkazy, nie można rozgrzeszyć zbyt pochopnie. Zależy to przecież w ostatecznym rachunku od tego, czy zrozumieli popełnione zło i czy gotowi byli je naprawić, na ile to jest możliwe.

Zapewne, w późniejszych latach miałem już nazwisko, byłem kimś znanym. Ale przecież wcześniej, z początku, mogłem sto tysięcy razy zniknąć bez śladu, jak wielu innych. Także jeszcze w latach pięćdziesiątych.

W 1939 r. nie miałem ochoty się bić, ale moim obowiązkiem było służyć ojczyźnie. Miałem szczęście. Nikogo nie zabiłem. Nikogo nawet nie uderzyłem. Mnie bito. Byłem ofiarą, niewinną, ale nie bezbronną, choć pozornie byłem bezbronny. Być może wiele zawdzięczam modlitwom mojej matki. Kiedy po siedmiu miesiącach wróciłem z Oświęcimia, matka moja, wówczas czterdziestotrzyletnia, miała w swych czarnych włosach dwa białe pasma.

Pozostaje mi jeszcze opowiedzieć o zakończeniu historii, od której zacząłem tę książkę. Wielu ludzi starało się o moje uwolnienie z internowania. Ludzie z różnych organizacji, związków i ugrupowań kościelnych, państwowych czy społecznych, wiele osobistości życia publicznego, m.in. z RFN, Austrii, Skandynawii. Ale bezpośrednia interwencja przyszła ze strony Żydów. Przedstawiciel światowych organizacji żydowskich Stefan Grajek, przyjechawszy do Warszawy w kwietniu 1982 r., uzależnił swój udział w uroczystościach w rocznicę walki getta warszawskiego od natychmiastowego wypuszczenia mnie na wolność. Ten fakt podkreślił także minister spraw wewnętrznych w rozmowie ze mną w Warszawie. „Ma pan osobliwych przyjaciół w świecie”. Odpowiedziałem: „Z paragrafu - biskupi i rabini?” - „Też”.

19 kwietnia 1982 r. zabrano mnie z obozu internowania helikopterem. Oficjalnie uwolniono mnie dopiero 28 kwietnia, przedtem byłem urlopowanym więźniem. W jednym z pierwszych listów do mojego przyjaciela Reinholda Lehmana napisałem: „Od tego dnia jestem - jeśli nie na »wolności«, to w sytuacji takiej, jak większość obywateli Polski Ludowej. Samo przez się rozumie się, że pozostałem ten sam, niczego nie podpisałem, niczego nie przyrzekałem. W dalszej działalności kierować się będę tylko sumieniem i rozumem”.

Pożegnanie z kolegami z obozu było nagłe, całkowita niespodzianka. Gdyby moja żona - jak to jej proponowano - zgłosiła gotowość mojego wycofania się z działalności publicznej, helikopter zabrałby mnie z Jaworza już w styczniu. Ale odmówiła takiej deklaracji. Wracałem do Warszawy z uwolnioną równocześnie, będącą w ciąży, Marzeną

Kęcik i z profesorem Ryszardem Gawrońskim, który potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ucałowaliśmy się serdecznie z kolegami, szczególnie serdecznie z Tadeuszem Mazowieckim, redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”, z którym sąsiadowałem, także z Wiktorem Woroszylskim i Bronisławem Geremkiem. Musieli mnie podtrzymywać, tak byłem słaby. Parę dni wcześniej dostałem anginy, z czterdziestostopniową gorączką. Roman Zimand spakował mi rzeczy.

Z Warszawy zacząłem znów jeździć do Lublina, gdzie od początku maja 1982 r. wznowiłem zajęcia na KULu. Niektórzy studenci czekali na mnie, odmówili udziału w seminarium prowadzonym przez kogoś innego. Potem przyszło zaproszenie z zachodniego Berlina. Byłem już rencistą, miałem podstawy do starań o paszport. Władze - jak sądzę - były szczęśliwe, że wyjeżdżam.

Ale - ja powracam do Warszawy.

Bad Homburg von der Höhe, w lutym 1983 r.

Część druga

## WYBIJAMY SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ

*Pamięci Ojca Honoriusza Kowalczyka OP (1935–1984)  
duszpasterza akademickiego i redaktora „Przystani”  
— wiernego aż do końca*

## **Polskie Państwo Podziemne**

### **Zarys problemu**

Temat wykładu dotyczy zjawiska nie dość jeszcze naukowo opracowanego i zinterpretowanego, a przecież doniosłego zarówno ze względu na jego unikatowość historyczną, jak i znaczenie wychowawcze w zakresie edukacji społecznej. W ramach organizmu politycznospołecznego lat 1939-1945, który nazywamy Polskim Państwem Podziemnym, uzewnętrzniają się bowiem i kształtują pewne umiejętności samorządnego i pluralistycznego działania społecznego ludzi różnych środowisk, o różnym stopniu przygotowania do życia publicznego. Przykład Polskiego Państwa Podziemnego służyć może do wysnucia szeregu wniosków dotyczących różnego typu analogii i odrębności w postawach społeczeństwa, o stopniu jego dojrzałości, wychowania społecznego, poczucia państwowego - choćby na przestrzeni poprzedzających to zjawisko pokoleń. W różnych sytuacjach pod zaborami trzeba przecież było tworzyć zastępcze wartości i instytucje społeczne, gospodarcze, oświatowe, kulturalne. Jednak Polskie Państwo-Podziemne z lat 1939-1945 miało cechy dość specjalne, a okoliczności, w jakich powstało i zaczęło funkcjonować, były też nader specjalnej natury.

Przede wszystkim powstało ono po dwudziestu jeden prawie latach istnienia państwowości polskiej, państwa - jakimkolwiek ograniczeniem podlegałoby z racji swojej słabości materialnej i błędów politycznych - niepodległego i suwerennego. Co za tym idzie, państwo podziemne powstało po prawie dwudziestu jeden latach procesu wychowania społeczeństwa, i to nie tylko przez instytucje państwowe, ale i liczne samorządne instytucje społeczne i polityczne działające we własny sposób, odrębnie, czasem i kontradycyjne, wysuwające różne ideały wychowawcze, ale wszystkie stojące w sposób oczywisty (z bardzo nielicznymi wyjątkami) na gruncie niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej. Te procesy wychowawcze, jak wielu badaczy dostrzega dzisiaj, nie pozostały bez pozytywnego wpływu na wiele zjawisk w dziedzinie życia politycznego, społecznego w okresie okupacji, ze szczególnym uwzględnieniem choćby takich, jak działania w zakresie oświaty i kultury. W okresie drugiej wojny światowej uwidoczniły się bezpośrednio owoce uformowania jednej czy półtorej generacji w latach pomiędzy rokiem 1918 a 1939.

Są to więc wszystkie okoliczności interesujące w dziejach narodowych, a stanowią przy tym rozdział całkowicie zamknięty, gdyż ta Rzeczpospolita Polska, która z likwidacją podziemnego państwa polskiego w 1945 roku przestała w takiej formie i w tamtych kształtach istnieć, prawdopodobnie nigdy już w takiej czy w analogicznej formie istnieć nie będzie. Tak więc rok 1945 stanowi tu pewną cezurę, już dzisiaj ściśle historyczną nie tylko w historii

międzynarodowych stosunków politycznych, ale także w innych dziedzinach życia.

Dostrzega się dziś, szczególnie w ostatnich kilku latach, bardzo duże zainteresowanie młodszej generacji (nie tylko młodzieży akademickiej) problematyką tego okresu. Znajduje to wyraz m.in. w poszukiwaniu i poczytności zarówno różnych publikacji pamiętnikarskich, jak też częściowych nawet opracowań dotyczących funkcjonowania państwowości polskiej w latach 1939-1945. Trzeba powiedzieć, że gdy chodzi o całokształt życia politycznego, a nawet kontynuowanie niejawnie w warunkach wojny działań z okresu przedwojennego, to właściwie żadne polskie stronnictwo ani partia polityczna nie doczekały się do tej pory w pełni naukowego, monograficznego, zamkniętego opracowania swojej historii z tamtych lat. Trudno jest wskazać w pełni naukową syntezę monograficzną nawet dziejów Polskiej Partii Robotniczej z lat 1942-1945, a cóż dopiero mówić o innych partiach, stronnictwach czy organizacjach politycznych i społecznych, nad których historią znacznie mniej jeszcze pracowano. Mimo wydania stosunkowo wielu prac przyczynkarskich, nie mamy w Polsce na dobrą sprawę monografii ruchu ludowego w latach 1939-1945, nie mamy historii Polskiej Partii Socjalistycznej w różnych jej nurtach ani obrazu działalności Stronnictwa Demokratycznego i różnych jego odłamów. Brak prac monograficznych o stronnictwach centrum i prawicy (Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy), o obozie piłsudczyków w okresie okupacji. Dotyczy to tym bardziej dziejów AK, Delegatury Rządu czy Szarych Szeregów. Dysponujemy wprawdzie kilkoma książkami E. Duraczyńskiego, J. Tereja, niektórymi pracami M. Turlejskiej, wydaną - na zasadzie skryptu uniwersyteckiego - *Historią Polski 1939-1947* J.R. Szaflika<sup>3</sup>, ale choć w każdej z tych prac można znaleźć szereg elementów przydatnych - ustaleń, faktów, dat, niektórych liczb, które mogą służyć jako pomoc orientacyjna, to niemniej żadna z nich nie może być uznana za naukową syntezę tego okresu naszych dziejów, bardzo wielostronnie skomplikowanego nie tylko w dziedzinie politycznej, ale i społecznej, ekonomicznej, kulturowej, okresu przetwarzania się pewnych zjawisk, kończenia jednych, zaczynania drugich. Poważne znaczenie dla badań ma dostępny w bibliotekach zbiór dokumentów *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej* (wydany w 1965 r. staraniem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych). Jak sam tytuł wskazuje, zbiór ten dotyczy tylko jednego, choć bardzo ważnego kontekstu problemów: udziału spraw polskich w polityce światowej. W tym zakresie przynosi dość bogaty zestaw tekstów oryginalnych, pochodzących z kancelarii wielkich mocarstw, jak również z kancelarii różnych polskich środowisk politycznych<sup>4</sup>.

Pojęcie „Polskie Państwo Podziemne” jest przez niektórych naszych historyków dzisiaj dopuszczane, przez innych negowane albo przemilczane. Faktem jest jednak, że jeżeli

przyjąć, iż nie było wtedy Polskiego Państwa Podziemnego, to niewytłumaczalny byłby szereg kroków i działań, takich jak np. próby rozmów Polskiej Partii Robotniczej z Delegaturą Rządu RP na Kraj w lutym 1943 r. Po cóż by w końcu rozmawiać z Delegaturą, która by nikogo nie reprezentowała?

Chciałbym przypomnieć wydarzenia, które leżały u podstaw formalnoprawnych tego, co stało się Polskim Państwem Podziemnym. Odnotować tu można swoisty paradoks: u podstaw tego zjawiska, na ogół pozytywnie traktowanego przez większość Polaków, leżały bowiem pewne zjawiska na ogół negatywnie traktowane przez większość Polaków. Wypada przypomnieć, że obowiązująca wtedy konstytucja kwietniowa z 1935 r. uznawana była w Polsce przed wojną (nie tylko przez opozycję lewicową, ale przez bardzo różne, także centrowe i prawicowe politycznie grupy i nurty w życiu społecznym) za konstytucję niedemokratyczną i stanowiącą nie postęp, lecz raczej regres wobec poprzednio obowiązującej konstytucji marcowej z roku 1921. Niemniej w tej właśnie konstytucji z 1935 r. zawarte były pewne postanowienia, których wykorzystanie w sposób formalnoprawny spowodowało, że na gruncie międzynarodowym rząd Rzeczypospolitej Polskiej, powołany po klęsce wrześniowej w Paryżu, był rządem w pełni legalnym, jedynym takim spośród wszystkich działających na emigracji. Wobec tego funkcjonowanie jego różnych agend za granicą i w kraju było również uznawane przez cały świat walczący z Niemcami hitlerowskimi. Dla przypomnienia - najkrócej, nie wdając się w tej chwili w rozważania dotyczące problemów ustrojowych Rzeczypospolitej przed wojną: konstytucja z 1935 r., obowiązująca w Polsce w chwili wybuchu drugiej wojny światowej, przyznawała szczególnie wielkie uprawnienia prezydentowi Rzeczypospolitej. Prezydent RP w ramach swoich uprawnień osobistych mógł m.in. mianować i odwoływać - według swego uznania - prezesa rady ministrów (nieskrępowany w tym wynikami wyborów i poglądami parlamentu), mógł rozwiązywać sejm i senat przed upływem kadencji. Mógł też wyznaczać na czas wojny swojego następcę (art. 13 konstytucji RP). Art. 24 owej konstytucji mówił zaś, że „w razie wojny okres urzędowania prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju; prezydent Rzeczypospolitej osobnym aktem, ogłoszonym w gazecie rządowej, wyznaczy wówczas swojego następcę na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju”, a w pkt 2 tegoż art. 24 powiedziano: „W razie objęcia przez następcę urzędu prezydenta Rzeczypospolitej okres urzędowania trwa do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju”. Krótko mówiąc: prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, w danym wypadku prof. Ignacy Mościcki, był w pełni władny w czasie trwającej wojny mianować swojego następcę. Następca ten stawał się konstytucyjnym prezydentem

Rzeczypospolitej z chwilą przyjęcia wyboru i złożenia przysięgi (nie wymagało to żadnych innych aktów prawnych) i jako legalny prezydent państwa miał prawo urzędowania aż do chwili zakończenia wojny i zawarcia traktatu pokojowego; w tym okresie przysługiwały mu wszystkie uprawnienia osobiste i urzędowe, m.in. prawo dowolnego powoływania i odwoływania prezesa Rady Ministrów. W danym wypadku te wyjątkowe postanowienia konstytucji z 1935 r., których demokratyzm można niewątpliwie kwestionować, stały się dogodnym pomostem do przejścia w stan naprawdę wyjątkowy, jakim była sytuacja wytworzona przez okupację całości ziem Polski i internowanie rządu w Rumunii.

Powołanie 30 września 1939 r. nowego rządu polskiego z siedzibą w Paryżu leżało u podstaw tworzenia Polskiego Państwa Podziemnego. Skoro jednak mówimy o państwie, trzeba zastanowić się, w jakim stopniu to pojęcie funkcjonowało wówczas w świadomości obywateli okupowanego kraju, państw z nim sąsiadujących i innych państw ówczesnego świata.

W świadomości obywateli grało ono rolę zasadniczą, gdyż obywatele polscy w swojej masie na dobrą sprawę nie pogodzili się z okupacją terytorium państwa polskiego i uznawali ten fakt za podstawowy gwałt na swych osobistych i narodowych prawach. Jeżeli nawet nie formułowano tego świadomie od początku, jeżeli nie od razu wyciągano z tego wnioski organizacyjne, to takie odczucie społeczne było zjawiskiem powszechnym.

Gdy mowa o państwach sąsiadujących, cofnąć się trzeba do przebiegu wydarzeń wojennych we wrześniu 1939 r.

8 września 1939 r. wieczorem radio niemieckie, w czasie, kiedy armia niemiecka zbliżała się do Ochoty (południowe przedmieście Warszawy), ogłosiło pospiesznie komunikat nadzwyczajny *Oberkommando der Wehrmacht*, który brzmiał: „Niemieckie oddziały pancerne wdarły się dziś o godz. 17.15 do Warszawy”. Była to prawda i nieprawda. Prawdą było, że niemiecki oddział pancerny przekroczył w jednym punkcie granicę miasta Warszawy, przebiegającą wówczas między Ochotą a Okęciem, mniej więcej na wysokości Rakowca. Ten pośpieszny komunikat, który sugerował jak gdyby symboliczne zakończenie jakiegoś ważnego etapu w dziejach kampanii wojennej, wywołał natychmiastową reakcję. Tego samego wieczoru komunikat ten podała agencja TASS, a w nocy z 8 na 9 września 1939 r. premier ZSRR Władimir Mołotow przekazał telefonicznie ambasadorowi Niemiec w Moskwie, Schulenburgowi, tekst, który tenże - oczywiście - natychmiast podał do Berlina: „Otrzymałem Wasz komunikat o wejściu wojsk niemieckich do Warszawy. Proszę przyjąć moje gratulacje dla Rządu i Rzeszy Niemieckiej. Mołotow”<sup>5</sup>.

Abstrahując od jakichkolwiek uczuciowych ocen tego faktu (w ocenie zjawisk



politycznych w ogóle nie powinniśmy się tym kierować), godne uwagi są jego następstwa polityczne. Mianowicie 10 września 1939 r. ambasador niemiecki w Moskwie raportował do Berlina:

[...] Rząd sowiecki ma zamiar w związku z dalszym posuwaniem się wojsk niemieckich oświadczyć, że Polska się rozpadła i że wobec tego stało się konieczne, aby Związek Sowiecki przyszedł z pomocą „zagrożonym” przez Niemcy Ukraińcom i Białorusinom. Taki argument nada interwencji Związku Sowieckiego pozory słuszności wobec mas, a jednocześnie przeszkodzi nadaniu Związkowi Sowieckiemu charakteru napastnika [...] [Podpisano: Schulenburg].

14 września 1939 zaś:

Mołotow zaprosił mnie dziś na godzinę 16 i oświadczył, że Armia Czerwona osiągnęła stan gotowości wcześniej, niż było przewidywane. Dlatego też akcja sowiecka będzie mogła nastąpić wcześniej, niż sądził w czasie naszej rozmowy. Dla umotywowania politycznego akcji sowieckiej (upadek Polski i opieka nad „rosyjskimi” mniejszościami) jest rzeczą dużej wagi, aby akcja nie miała miejsca przed upadkiem centrum rządowego Polski, miasta Warszawy. Dlatego też Mołotow prosił o możliwie dokładne poinformowanie, kiedy można liczyć na zajęcie Warszawy [...].

Warto tutaj przypomnieć, że główne nasilenie natarcia niemieckiego na Warszawę nastąpiło między 17 a 25 września, a bezpośrednie natarcie ze wszystkich stron dopiero 25 września. Warszawa była ciągle jeszcze w całkiem niezłym stanie. Pierścień wokół miasta zamknął się definitywnie dopiero z 13 na 14 września, a pierwsze bomby padły na przykład na Zamek Królewski w niedzielę 17 września przed południem.

Także 17 września 1939 r., po dokonanych już fakcie interwencji wojskowej, premier Związku Radzieckiego oświadczył przez radio:

Warszawa nie istnieje już jako stolica państwa polskiego. Nikt nie wie, gdzie przebywa rząd polski [...] państwo polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć. Wobec takiej sytuacji porozumienia zawarte między Związkiem Radzieckim a Polską przestały obowiązywać.

Tu więc pada po raz pierwszy stwierdzenie, jakoby państwo polskie przestało istnieć. Podobne twierdzenia niemieckie nastąpiły potem i były wielokrotnie powtarzane.

Jak wiadomo, 17 września 1939 r. o świcie Armia Czerwona wkroczyła na teren państwa polskiego, do województw - patrząc od północy - wileńskiego, nowogródzkiego, poleskiego, wołyńskiego stanisławowskiego, tarnopolskiego i lwowskiego (a w dalszej konsekwencji także białostockiego), zajmując te tereny w wyniku ustaleń ujętych w tajnym

protokole dodatkowym do „Umowy o nieagresji między rządem ZSRR i rządem niemieckim” z 23 sierpnia 1939 roku. Rząd Rzeczypospolitej opuścił granice Polski w kilkanaście godzin po oficjalnym oświadczeniu strony radzieckiej o nieistnieniu państwa polskiego i rządu, wtedy, kiedy pierwsze czołgi radzieckie były w odległości kilkudziesięciu kilometrów od miejsca, w którym się znajdował: nad granicą polsko-rumuńską, ale nadal na terytorium Polski.

Nieopuszczenie przez rząd polski wtedy jeszcze terytorium państwa położyłoby w ogóle kres istnieniu legalnego rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Należy bowiem sądzić, że rząd ten nie uniknąłby - mówiąc ogólnie - internowania i że po kilkunastu godzinach prezydent RP nie mógłby już przekazać komukolwiek władzy, czyli utworzyć konstytucyjnie ważnego i legalnego rządu, który mógł egzekwować sojusznicze zobowiązania od Wielkiej Brytanii i Francji, organizować Polskie Siły Zbrojne walczące we Francji, Anglii, na Bliskim Wschodzie i na następnych frontach wojny i w konsekwencji stać się, w jakiejś przynajmniej mierze, partnerem w dalszej grze światowej.

Tymczasem niemieckie działania wojenne przeciwko nadal walczącej Warszawie doprowadziły do sytuacji, w której dalsza obrona stolicy stała się bezsensowna i ahumanitarna z punktu widzenia losu ludności, szczególnie że cały teren kraju (poza nielicznymi enklawami) był już praktycznie załany przez obce wojska i nie było już żadnych szans militarnych ani politycznego sensu prowadzenia w dalszym ciągu obrony. Kiedy 26 września podjęto, po naradach wewnętrznych, decyzję wszczęcia rozmów z Niemcami, do gen. Juliusza Rómmla, dowódcy Armii Warszawa, zgłosił się gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski i zaproponował utworzenie natychmiast tajnej organizacji wojskowej. Generał Rómmel odwlokł decyzję do nocy z 26 na 27 września, po czym przekazał Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu posiadane od Naczelnego Wodza formalne pełnomocnictwa do dalszego prowadzenia walki zbrojnej na terenie kraju. I tak dzień 27 września 1939 r. był zarazem datą początkową zawieszenia broni pomiędzy garnizonem Warszawy a oblegającymi ją Niemcami oraz datą powołania pierwszej organizacji wojskowej, która zachowała ciągłość oporu polskiego przez całą drugą wojnę światową. Niebawem zresztą powstały i inne organizacje wojskowe i wojskowopolityczne, ale tu chodzi mi o wskazanie tego głównego nurtu, legalnego z punktu widzenia ciągłości działań Wojska Polskiego w Kraju.

Tegoż dnia 27 września toczyły się w Moskwie rozmowy między Mołotowem a Ribbentropem, których widowym rezultatem było podpisanie 28 września 1939 r. traktatu o przyjaźni i granicy przez rząd ZSRR i rząd niemiecki. O ile w naszym piśmiennictwie

naukowym wspomina się (interpretując to w pewien określony sposób) umowę o nieagresji pomiędzy Niemcami a ZSRR z 23 VIII 1939 r., o tyle traktat o przyjaźni

i granicy nie jest przywoływany, choć w gruncie rzeczy - co dla celów naukowych nie jest obojętne - stanowi on logiczny ciąg określonej polityki i konsekwencję wyboru podjętego parę tygodni przedtem.

Art. 1 traktatu z 28 IX 1939 mówi:

Rząd ZSRR i rząd niemiecki jako granicę obustronnych interesów państwowych ustalają linię wytyczoną na mapie, która dokładniej opisana będzie w protokole uzupełniającym. [Chodziło tu o podział terytorium Polski].

Art. 2 mówi, [...] że obie strony uznają tę granicę za ostateczną i nie dopuszczają do jakiegokolwiek ingerencji państw trzecich odnośnie do tej decyzji.

A art. 3 postanawia, [...] że nieodzownej państwowej przebudowy na obszarze na zachód od wskazanej linii dokona rząd niemiecki, na obszarze na wschód od tej linii - rząd ZSRR.

Ta „nieodzowna przebudowa” zapoczątkowana została dekretami Hitlera z 8 października 1939 r. o wcieleniu pewnych opolskich województw do Rzeszy i o utworzeniu Generalnej Gubernii dla okupowanych terenów Polski (*Generalgouvernement für die besetzten polnischen Gebiete*). Na terenie radzieckim przebudowa ta została dokonana przez wcielenie do republik ukraińskiej i białoruskiej terytoriów siedmiu województw, a w lipcu 1940 r. terenu województwa wileńskiego, poprzednio przekazanego przez ZSRR Republice Litewskiej, w obręb nowo utworzonej Radzieckiej Republiki Litewskiej.

W konsekwencji pod okupacją niemiecką znalazło się 188 602 km<sup>2</sup>, czyli 48,4% powierzchni państwa polskiego w jego przedwojennych granicach, w obrębie ZSRR zaś (uwzględniając wyłączony w 1940 r. teren Litwy) 201 118 km<sup>2</sup>, czyli 51,6% powierzchni państwa polskiego), 62,9% ogółu ludności przedwojennej Polski znalazło się pod okupacją niemiecką, 37,1% w ZSRR<sup>7</sup>.

Radziecko-niemiecki traktat o przyjaźni i granicy zakłada więc nieistnienie państwa polskiego, definitywne wymazanie go z mapy Europy, nie ma nawet mowy o częściowym istnieniu takiego państwa, aczkolwiek takie koncepcje były jeszcze przez pewien czas przedmiotem rozważań strony niemieckiej. Aneks zaś do tego traktatu mówił m.in.:

Obie strony nie będą tolerowały na swoich terytoriach żadnej agitacji wymierzonej przeciw terytorium drugiej strony. Będą one dławić na swoich terytoriach wszelkie załączki takiej agitacji i informować się wzajemnie w sprawie środków podejmowanych w tym celu.

Następnym aktem zewnętrznym dotyczącym istnienia państwowości polskiej była

mowa Hitlera w Reichstagu 6 października 1939 r. Hitler stwierdził, że wraz z likwidacją państwa polskiego został usunięty „jeden z najbardziej bezsensownych czynów Wersalu”<sup>8</sup>.

Niespełna cztery tygodnie później, 31 października 1939 r., kiedy już „nowy ład” został wprowadzony na całym terytorium państwa polskiego, premier Związku Radzieckiego wypowiedział się w interesującej nas sprawie państwowości polskiej, jak następuje:

Koła rządzące Polską chełpiły się trwałością swojego państwa i potęgą swojej armii. Okazało się jednak, że wystarczyło krótkie natarcie - n a j - p i e r w [podkr. W.B.] wojsk niemieckich, a n a s t ę p n i e [podkr. W.B.] Czerwonej Armii, by nie pozostało nic po tym pokracznym tworze traktatu wersalskiego, żyjącym z ucisku niepolskich narodowości.

[...] Obecnie, skoro mowa o mocarstwach europejskich, Niemcy znajdują się w sytuacji państwa dążącego do najrychlejszego zakończenia wojny, zaś Anglia i Francja, wczoraj jeszcze występujące przeciw agresji, opowiadają się za kontynuacją wojny i przeciw zawarciu pokoju. Jak widzicie, role się zmieniają. Podejmowane przez rządy angielski i francuski próby usprawiedliwienia tego ich nowego stanowiska przez powoływanie się na zobowiązania przyjęte wobec Polski są w oczywisty sposób bezpodstawne. Każdy rozumie, że o przywróceniu dawnej Polski nie może być mowy. Dlatego też kontynuacja obecnej wojny pod sztandarem restytucji dawnego państwa polskiego jest bezsensowna.

Tymczasem 30 września 1939 r. dokonane zostały w Rumunii i na Zachodzie akty polityczne, które zabezpieczały funkcjonowanie państwowości polskiej. Były to: zrzeczenie się prezydentury przez prezydenta Mościckiego, nominacja (po pierwotnej, lecz szybko zmienionej decyzji mianowania jego następcą gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego) byłego marszałka Senatu, Władysława Raczkiewicza, na prezydenta Rzeczypospolitej, a to na zasadzie już wspomnianego artykułu obowiązującej konstytucji, złożenie 30 IX 1939 r. przez Raczkiewicza w ambasadzie RP przysięgi w obecności ambasadora RP w Paryżu oraz gen. Władysława Sikorskiego, dowódcy już istniejących w załączku Polskich Sił Zbrojnych we Francji. Tegoż dnia, 30 IX 1939 r., nowy prezydent RP przyjął dymisję poprzedniego gabinetu i korzystając z przysługujących mu uprawnień powołał na stanowisko prezesa rady ministrów (a zarazem ministra spraw wojskowych) gen. Władysława Sikorskiego, który uformował gabinet, stanowiący zawiązek polskiego rządu na emigracji. Rząd ten został uznany natychmiast przez Francję i Wielką Brytanię za legalne i suwerenne przedstawicielstwo narodu polskiego. 2 października 1939 r. uznały ten rząd Stany Zjednoczone, niebiorące wtedy jeszcze udziału w wojnie. W ciągu następnych dni wszystkie państwa uczestniczące w wojnie po stronie mocarstw sprzymierzonych oraz liczne państwa neutralne (w tym Watykan) zaakcentowały swe uznanie tego rządu za legalne

przedstawicielstwo istniejącej i walczącej Rzeczypospolitej Polskiej.

Na terenie ziem okupowanych wprowadzono tymczasem od jesieni 1939 r. na różne sposoby „nowy porządek”. Pierwszymi jego znamionami były masowe deportacje (z reguły w kierunku zachodu na wschód) i to na całym terenie państwa polskiego, poczynając od Wielkopolski i Pomorza, a kończąc na Wileńszczyźnie i Małopolsce wschodniej. Paręset tysięcy Polaków i Żydów z miast i miasteczek wcielonych do okręgów administracyjnych Rzeszy, głównie z obszarów województw: pomorskiego, poznańskiego, częściowo łódzkiego i śląskiego, znalazło się nagle na bruku z jedną walizką w ręku na terenie Polski centralnej. Następuje pauperyzacja wieluset tysięcy ludzi, dziesiątków tysięcy całych rodzin. Na terenach województw wschodnich prowadzona była akcja profilaktycznych przesiedleń Polaków (ale także częściowo Żydów, Białorusinów i Ukraińców) w głąb ZSRR, w kilku falach, począwszy od zimy 1939-40, a kończąc na czerwcu 1941 r. Objęły one w sumie 1 600 000-1 800 000 obywateli polskich.

Tymczasem na terenie okupacji niemieckiej, a w szczególności centralnych ziem polskich, budowane były zręby Polskiego Państwa Podziemnego. Początkowo to oczywiście przede wszystkim zaczątki konspiracji wojskowej, której formalne podstawy przedstawiłem już wcześniej, a której szczegółową historią - powstawaniem wielu organizacji i ich stopniowym scalaniem w jedną armię podziemną - nie będę się tu zajmował. Natomiast trzeba mówić o funkcjonowaniu agend państwa podziemnego. Otóż od początku istniał spór o zakres kompetencji czynników emigracyjnych i krajowych, a nadto - na innej płaszczyźnie - o zakres władzy organizacji wojskowej organów cywilnych, administracyjnych i politycznych. Służba Zwycięstwu Polski (SZP), prekursorka Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i Armii Krajowej (AK), była w intencji organizatorów początkowo organizacją wojskowo-polityczną, miała być czymś - jak to zresztą mówił otwarcie gen. Karaszewicz-Tokarzewski - na wzór Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) powołanej przez Piłsudskiego w 1914 r. Nie zapominajmy, że w tym czasie pokolenie Polaków, które walczyło o niepodległość w latach 1905, 1914-1918 albo 1920-1921, miało zaledwie lat czterdzieści kilka lub najwyżej pięćdziesiąt kilka, a więc byli to ludzie w sile wieku, o określonych doświadczeniach, które odegrać musiały znaczną rolę w kształtowaniu konspiracji w drugiej wojnie światowej. Albowiem ci ludzie właśnie organizowali (we wszystkich zresztą nurtach politycznych) Polskie Państwo Podziemne. Tylko młodzieżowe organizacje nie miały w gronie swoich przywódców ludzi, którzy pamiętaliby walkę o granice Polski przedwojennej: powstanie wielkopolskie i śląskie, plebiscyt, wojnę 1919-1920, jeżeli nie wcześniejsze zjawiska. A wśród kadry przywódców przeważali oficerowie wywodzący się z czasów pierwszej wojny światowej. Dzieliło ich od

niej zaledwie dwadzieścia parę lat. To, co dzisiaj zaciera się z perspektywy czasu, wtedy było bardzo istotnym momentem psychologicznym czy socjologicznopolitycznym. Rzeczą naturalną było przeniesienie do podziemnego ruchu polskiego lat drugiej wojny światowej różnego typu dawnych poglądów, metod, koncepcji taktycznych, ale i antagonizmów politycznych. Stąd silny antagonizm między endecką NOW a ZWZ ze względu na rodowód ludzi, dla których stanowiło to kontynuację sporu z okresu pierwszej wojny światowej, a nawet jeszcze z okresu nielegalnej walki, powiedzmy PPSu, przed pierwszą wojną światową. Bez uwzględnienia tego rodzaju czynników niezrozumiałe byłyby problemy pewnych uprzedzeń politycznych, zaciekłości, walk frakcyjnych, które bynajmniej nie zdobyły, ale były prawdziwym elementem życia w pluralistycznym Polskim Państwie Podziemnym, niekiedy prowadząc nawet do zjawisk ekstremistycznych i godnych ubolewania, a nawet potępienia.

Struktura Polskiego Państwa Podziemnego krystalizowała się w ciągu 1940 roku. Ostatecznie jego przedstawicielstwo cywilne oparło się na porozumieniu czterech stronnictw: Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego i chrześcijańsko-demokratycznego Stronnictwa Pracy, wchodzących w skład Politycznego Komitetu Porozumiewawczego (PKP).

Polityczny Komitet Porozumiewawczy funkcjonował do marca 1943 r. kiedy to zmienił nazwę (ale nie skład i kompetencje) na Krajową Reprezentację Polityczną (KRP). Następną formą organizacyjną porozumienia stronnictw Polskiego Państwa Podziemnego stała się Rada Jedności Narodowej (RJN), powołana do życia dekretem Delegata Rządu na Kraj z 9 I 1944 r. na miejsce KRP. W skład Rady Jedności Narodowej wchodziło po trzech przedstawicieli czterech głównych stronnictw (PPS, SL, SN, SP) oraz po jednym przedstawicielu Zjednoczenia Demokratycznego (dawnego Stronnictwa Demokratycznego), piłsudczykowskiej „Grupy Olgierda” (Henryka Józefskiego), Organizacji Raclawice (konspiracyjnej kontynuacji przedwojennego „Siewu”), autonomicznej grupy narodowo-katolickiej z ziem zachodnich „Ojczyzna”, duchowieństwa i spółdzielczości. Ze względów techniczno-konspiracyjnych w węższym składzie działała Komisja Główna Rady, przy czym przewodniczącym zarówno RJN, jak i jej Komisji Główniej był zasłużony działacz PPS Kazimierz Pużak.

Mieliśmy Delegata Rządu powołanego na to stanowisko przez premiera gen. Władysława Sikorskiego 3 XII 1940 r. Był nim sześćdziesięcioletni Cyryl Ratajski, wieloletni prezydent Poznania, w latach 1924-1925 minister spraw wewnętrznych, działacz samorządowy i polityczny orientacji chadeckiej, od 1937 r. członek naczelnych władz Stronnictwa Pracy. Jego nominacja wzbudziła poważne i zasadnicze zastrzeżenia PPSu i SL,

które proponowały wprowadzić w korespondencji z rządem polskim w Londynie Ratajskiego na jednego z zastępców delegata, ale na stanowisko delegata rządu wysuwały kandydaturę ludowca, prof. Jana Piekalkiewicza, ekonomistę i statystyka. Na tle nominacji Ratajskiego, narzuconej przez Londyn, powstała drażliwość, Ratajski jednak powierzone mu funkcje objął<sup>9</sup>. Tak więc od grudnia 1940 r. mieliśmy w okupowanym kraju legalnego Delegata Rządu, Polityczny Komitet Porozumiewawczy (z głosem doradczym i opiniodawczym) i Komendę Główną Związku Walki Zbrojnej (organizacji utworzonej w styczniu 1940 r. na miejsce Służby Zwycięstwu Polski), na której czele stał gen. Stefan Rowecki („Grot”)<sup>10</sup>.

Te trzy czynniki decydowały o obliczu życia podziemnego. Nie należy tu zapominać o roli stronnictw politycznych, stanowiących element ciągłości w kształtowaniu opinii publicznej. Najliczniejsze przed wojną Stronnictwo Narodowe straciło w powstałej sytuacji swoją główną bazę - Wielkopolskę i Pomorze, gdzie praktycznie była bardzo nikła możliwość działania politycznego w warunkach terroru, który tam, na ziemiach inkorporowanych do Rzeszy, rozwinęły rządy hitlerowskie. Wysiedleni z tego terenu do GG stronnicy i sympatycy owego ruchu mogli się włączyć do działania w nowym środowisku dopiero z czasem i częściowo. Przedwojenna PPS rozbita była organizacyjnie na PPSWRN (Wolność - Równość - Niepodległość) i organizację Polscy Socjaliści, ukonstytuowaną jesienią 1941 r. na gruncie funkcjonujących grup „Barykady Wolności” i innych. Zyskały więc na znaczeniu przede wszystkim dwa stronnictwa: Stronnictwo Ludowe, które mając naturalną bazę członkowską i środowisko sympatyków wśród osiadłej ludności wiejskiej, obsadziło szereg ważnych agend życia podziemnego w kraju oraz wprowadziło do rządu w Londynie dość kompetentnych swoich działaczy ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele, oraz Stronnictwo Pracy, z którym związany był bardzo popularny wtedy i uosabiający wszelkie nadzieje okupowanego kraju premier rządu - Władysław Sikorski. Chrześcijańska Demokracja nie należała przed wojną do wpływowych stronnictw politycznych; poza terenem Śląska, częścią Pomorza oraz miastem Krakowem nie miała poważniejszej klienteli wyborczej i poparcia społeczeństwa. Jednak przewodniczącym Rady Narodowej powołanej w grudniu 1939 r. we Francji, a później przeniesionej do Anglii, został i był nim aż do zgonu w czerwcu 1941 r. Ignacy Paderewski, wybitny przedstawiciel tego właśnie środowiska ideowopolitycznego. Rola chrześcijańsko-demokratycznego Stronnictwa Pracy wyrażała się w okupowanym kraju m.in. poważnym udziałem w ogniwach organizacyjnych Polskiego Państwa Podziemnego. Z tego bowiem Stronnictwa wywodziło się, oprócz Delegata Rządu Ratajskiego, kilku dyrektorów departamentów, stanowiących w Delegaturze Rządu na Kraj odpowiednik ministerstw, jak też delegatów okręgowych rządu (województw).

Aparat urzędniczy, który miał za zadanie przygotowanie najważniejszych spraw dla przyszłości, bywał przedmiotem różnego typu złośliwych krytyk wewnętrznych. Dotyczyło to m.in. obsadzenia stanowisk wojewodów i starostów „po wojnie”. Z perspektywy badań historycznych rzecz wygląda nieco inaczej i przedstawia się zupełnie poważnie. Po wojnie okazało się bowiem, że najlepiej przygotowani do wykonywania swoich zadań zawodowych byli właśnie ci pracownicy utworzonego po wojnie w Polsce Ludowej Ministerstwa Ziem Odzyskanych czy też Ministerstwa Rolnictwa, a także Ministerstwa Oświaty, którzy byli ludźmi kompetentnymi, czynnymi już w okresie okupacji w aparacie specjalistycznym Delegatury Rządu. I wielu właśnie takich ludzi odegrało ważną rolę w Polsce Ludowej w okresie odbudowy, dopóki ich od tego nie odsunięto, najczęściej przez cele więzienne.

Dzisiaj nawet historycy marksistowscy nie negują znaczenia podziemnej działalności Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu czy też Biura Ziem Nowych, przygotowującego podstawy administracji, gospodarki, szkolącego fachowców dla ziem, które powinny być przyłączone do Polski na zachodzie i które ostatecznie przyłączone zostały. Byli wśród tych ludzi eksperci wszystkich specjalności - od hydrologów i leśników do ekonomistów, od hodowców bydła do specjalistów transportu. Ich działalność w okresie okupacji była w każdym razie konstruktywna i niepozbawiona głębszego sensu, nawet jeśli by pominąć jej doraźne znaczenie psychologicznomoralne.

Warto też przypomnieć działalność takich agend życia społecznego, jak Departament Pracy i Opieki Społecznej Delegatury Rządu, wspomagającego m.in. instytucje działające jawnie: PCK, Radę Główną Opiekuńczą czy Patronat Opieki nad Więźniami (w czasie okupacji istniał w Polsce legalny Patronat Opieki nad Więźniami, który miał bardzo ograniczone możliwości działania, ale docierał jednak nawet do więzienia gestapo na Pawiaku). Otóż instytucje jawne, jak wspomniany Polski Czerwony Krzyż, różne komitety opiekuńcze, RGO, przytulki, domy starców, były dofinansowywane w jakiejś mierze przez Departament Pracy i Opieki Społecznej. Ta pomoc przyczyniała się niewątpliwie do zachowania substancji biologicznej narodu polskiego i wzmocnienia poczucia więzi narodowej.

Zasadniczymi członkami organizacyjnymi Delegatury Rządu na Kraj były - oprócz Biura Prezydialnego: Departament Spraw Wewnętrznych, Departament Informacji i Prasy, Departament Oświaty i Kultury, Departament Pracy i Opieki Społecznej, Departament Przemysłu i Handlu, Departament Rolnictwa, Departament Sprawiedliwości, Departament Likwidacji Skutków Wojny, Departament Robót Publicznych i Odbudowy, Departament Skarbu, Departament Poczty i Telegrafów, Departament Komunikacji, a w ostatnich



miesiącach okupacji także Departament Obrony Narodowej w stadium organizacji.

Nie brakowało w kraju cichych bohaterów, którzy jako zwykli urzędnicy Rzeczypospolitej wykonywali w warunkach okupacji różne codzienne, niełatwe zadania. Do takich należeli na przykład ci przedwojenni strażnicy więzienni, zatrudnieni w więzieniach niemieckich, którzy przechodząc przez codzienne kontrole gestapowskie, świadomi zagrożenia, spełniali zadania zlecone im przez komórki wywiadowcze czy samopomocowe wojskowego i cywilnego ruchu podziemnego. Zatrudnienie przez Rzeczpospolitą Polską, odnowienie przedwojennej przysięgi urzędniczej na wierność państwu polskiemu miały magiczne znaczenie, jak pieczęć Rządu Narodowego w 1863 r., znaczenie symbolu, ale i praktyczne poczucie działania w związku z innymi, w narodowej społeczności, w zbiorowości zorganizowanej.

Nie jest tu możliwa charakterystyka wszystkich agend państwa podziemnego. Wymienić trzeba co najmniej jeszcze czynne w latach 1941-1943 Kierownictwo Walki Cywilnej, przekształcone w lipcu 1943 r. w Kierownictwo Walki Podziemnej, jako organ koordynujący całokształt działań bieżących w zakresie walki z okupantem, jak też wypracowujący normatywy postępowania obywatelskiego w owych specyficznych warunkach i współorganizujący podziemny wymiar sprawiedliwości.

Na czele Kierownictwa Walki Cywilnej stał wspólny pełnomocnik Delegata Rządu i Komendanta Głównego AK. Był nim przez cały czas Stefan Korboński („Nowak”, „Zieliński”), jego zastępcą był prof. UW Marian Gieysztor („Krajewski”). Sztab Kierownictwa Walki Cywilnej podzielony był na wydziały: Sądowy, Sabotażowo-Dyweryjny, Informacji Radiowej, Uzbrojenia, Chemiczny, Legalizacyjny i Rejestracji Zbrodni Hitlerowskich. W poszczególnych okręgach kraju działały okręgowe kierownictwa walki cywilnej. Po utworzeniu Kierownictwa Walki Podziemnej w jego skład weszli: komendant główny AK jako przewodniczący, szef sztabu Kierownictwa Dywersji (Kedywu), szef Biura Informacji i Propagandy (BiP) oraz dotychczasowy szef KWC jako kierownik oporu społecznego.

Ważne w życiu Polski podziemnej wydają się próby pluralistycznego współdziałania stronnictw, partii i ugrupowań o różnych poglądach i programach, ostatni przykład samorządnej sprawności obywatelskiego myślenia, z poszanowaniem cudzej odrębności i próbą znalezienia dla celów nadrzędnych jakiegoś *iunctim*, które by miało służyć społeczeństwu. We wspomnianym już czwórpartyjnym ciele - Politycznym Komitecie Porozumiewawczym (przekształconym w marcu 1943 r. w Krajową Reprezentację Polityczną, a następnie w styczniu 1944 r. w Radę Jedności Narodowej) zaszła w ciągu pięciu

lat jedna tylko poważniejsza zmiana: gdy na okres od jesieni 1941 r. do wiosny 1943 r. (a więc około 20 miesięcy) PPSWRN wycofała się z prac i zastąpiona została przez przedstawicieli organizacji Polskich Socjalistów (było to konsekwencją negatywnego poglądu PPS w Londynie i PPSWRN w okupowanym kraju na temat wartości i ewentualnych skutków układu SikorskiMajski z 30 lipca 1941 r., to jest układu będącego nawiązaniem stosunków dyplomatycznych i innych pomiędzy państwem polskim reprezentowanym przez rząd RP w Londynie a rządem Związku Radzieckiego).

Wspomniane ciało porozumiewawcze stronnictw tak zwanego „obożu londyńskiego” wydało szereg deklaracji programowych dotyczących założeń i celów współdziałania, celów wojny i koncepcji społeczno-politycznej powojennego państwa polskiego. Do najważniejszych ogłoszonych aktów porozumienia stronnictw należą niewątpliwie: deklaracja porozumienia politycznego czterech stronnictw stanowiących Krajową Reprezentację Polityczną z 15 VIII 1943 r. i deklaracja Rady Jedności Narodowej z 15 III 1944 r. pt. *O co walczy Naród Polski?*

Nie będę zajmował się tu w ogóle polityką hitlerowców w okupowanej Polsce wobec Polaków i Żydów, problematyką eksterminacji elity polskiej i całkowitej zagłady ludności żydowskiej. Dysponujemy na ten temat dziesiątkami dostępnych i wiarygodnych książek. Słuszne jednak wydaje się przypomnienie, że system eksterminacji ludzi funkcjonował na ziemiach polskich już od pierwszych miesięcy okupacji i że pierwszym aktem masowej zbrodni dokonany na terenie obozu w Oświęcimiu (funkcjonującego, jak wiadomo, od czerwca 1940 r.) było uśmiercenie gazem - dla wypróbowania nowej metody uśmiercania - kilkuset radzieckich jeńców wojennych w lipcu 1941 r. Faktem historycznym jest, że w komorach gazowych Niemcy hitlerowskie jako pierwszych zagazowały nie Żydów i nie Polaków, tylko jeńców radzieckich. Te komory gazowe miały następnie, począwszy od 1942 r., dokonać na nieporównywalnie większą skalę dzieła zniszczenia Żydów, a także mordowania osób wyselekcjonowanych (słabych, chorych, niezdolnych do pracy) wszelkich narodowości.

Rok 1941 przyniósł odmianę sytuacji politycznej państwa polskiego i rządu Rzeczypospolitej Polskiej. W roku 1940 Polska była j e d y n y m sojusznikiem, który w istotnym zakresie wziął czynny udział w walkach lotnictwa sprzymierzonych i marynarki wojennej, potrafił wystawić we Francji i na Bliskim Wschodzie armię liczącą około 80 000 ludzi, a potem - po klęsce armii francuskiej i utracie 40 000 ludzi wziętych do niewoli niemieckiej, internowanych w Szwajcarii, poległych lub rozproszonych - zdołał odbudować w Wielkiej Brytanii armię kilkudziesięciotysięczną. Francja odpadła od wojny w czerwcu 1940 r., legalny rząd francuski zawarł z Niemcami upokarzający układ pokojowy i stał się w

praktyce ich politycznym sojusznikiem, pół Francji okupowano. Polska pozostała cały czas jedynym godnym zaufania partnerem Commonwealthu, nim jeszcze Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny.

Wiarołomna i niczym nieusprawiedliwiona agresja niemiecka na Związek Radziecki 22 VI 1941 r., jaskrawe podeptanie przez Hitlera układu

o przyjaźni i granicach między obu państwami z 28 IX 1939 r., lojalnie dotrzymywanego przez drugą stronę - spowodowały ważną zmianę w sytuacji wojennej. Było rzeczą oczywistą, że żaden kraj nie mógł lekceważyć potencjału wojennego ZSRR, potencjału gospodarczego i ludzkiego tego wielkiego państwa, bez względu na przejściowe straty czy początkowe niepowodzenia frontowe. Toteż Wielka Brytania z właściwą polityce brytyjskiej elastycznością, dyktowaną wielowiekowym doświadczeniem, natychmiast podjęła kroki w celu zawarcia układu brytyjsko-radzieckiego, co nastąpiło już 15 VII 1941 r., a więc w niespełna trzy tygodnie od dnia agresji Trzeciej Rzeszy na ZSRR. Również wywarła bardzo silny nacisk na rząd gen. Sikorskiego w celu normalizacji stosunków polsko-radzieckich, co uwieńczone zostało zawarciem 30 VII 1941 r. stosownego układu, potwierdzonego rozmowami na Kremlu i wspólną deklaracją rządu RP i rządu ZSRR ogłoszoną w Moskwie 4 XII 1941 r.<sup>11</sup>. W konsekwencji nastąpiło zwolnienie poważnej części wojskowych polskich (zarówno służby stałej, jak rezerwy) oraz wielu ludzi internowanych i aresztowanych. Ocalało to życie tysiącom osób przebywającym w różnych obozach, więzieniach i miejscach osiedlenia w głębi ZSRR. Układ Sikorski-Majski z 30 VII 1941 r. stał się też podstawą utworzenia w ciągu następnych miesięcy armii polskiej w ZSRR, która potem, w okolicznościach niebędących przedmiotem niniejszego wykładu, w marcu i sierpniu 1942 roku ewakuowana została w dwóch rzutach, z woli Stalina i przy poparciu Wielkiej Brytanii, na teren Środkowego i Bliskiego Wschodu (Iran, Irak, Syria, Palestyna).

Omawiany zwrot w sytuacji międzynarodowej - wciągnięcie do wojny ZSRR - niewątpliwie pozytywny z punktu widzenia globalnych celów sprzymierzonych, nie pozostał bez wpływu na położenie międzynarodowe i sytuację Polski. Pozytywne niewątpliwie było uznanie *de facto* przez rząd ZSRR rządu polskiego w Londynie za legalne przedstawicielstwo istniejącego, choć okupowanego, państwa polskiego. Jednak dla Anglików czynnikiem o decydującym znaczeniu stało się powodzenie wojskowe ZSRR w walce z Trzecią Rzeszą i umocnienie stosunków brytyjsko-radzieckich, bez względu na ewentualną cenę polityczną tego procesu.

Następną cezurę w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego, a także sprawy polskiej na arenie międzynarodowej stanowi wiosna 1943 roku. Mianowicie w kwietniu tego roku

strona niemiecka ujawniła fakt odkrycia koło miejscowości Katyń, w lasach w rejonie Smoleńska, grobów masowych z ciałami oficerów polskich (służby stałej i rezerwy) z kampanii wrześniowej, wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną po 17 września 1939 r. Rząd polski gen. Sikorskiego podjął w tej sprawie moralnie i politycznie uzasadnioną, ale taktycznie zapewne nierozważną decyzję powierzenia śledztwa Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi. To samo postulował rząd niemiecki, pewny - jak się wydawało - swojej sprawy. Upoważniło to rząd ZSRR do sformułowania bardzo ostrych zarzutów pod adresem rządu polskiego, któremu zarzucono współdziałanie i spisek z Hitlerem. 25 IV 1943 r. nastąpiło ze strony radzieckiej jednostronne przerwanie stosunków dyplomatycznych między rządem ZSRR a rządem polskim w Londynie<sup>12</sup>.

Sprawa ta jest w swoich następstwach politycznych dość dokładnie znana. Ograniczę się więc do kalendarzowego tylko przypomnienia najważniejszych faktów: w końcu kwietnia 1943 r. (data dzienna nieznana) Wanda Wasilewska kieruje do Stalina list z prośbą o zgodę na utworzenie wojska polskiego w ZSRR. 8 maja 1943 r. zgoda ta zostaje udzielona i uruchomiony zaciąg do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. 15 VII 1943 r. pierwsze polskie oddziały wojskowe zostają zaprzysiężone, a 12 X 1943 r. biorą - jak wiadomo - udział w działaniach pod Lenino. Operacja ta ma oczywiście ogromne znaczenie polityczne, przełomowe na swój sposób w stosunkach Polski z ZSRR; tak to widzieli zapewne i organizatorzy nowej formacji, i sowieckie czynniki polityczne. Obok żołnierza polskiego walczącego nieprzerwanie od września 1939 r. na wielu frontach świata i ponoszącego niezmiernie krwawe ofiary wstępują więc na arenę wojny (w październiku 1943 r.) nowe jednostki złożone z Polaków, podporządkowane dowództwu radzieckiemu. Przypomnijmy, że był to początek piątego roku wojny.

W ciągu roku 1942 następuje wyraźniejsza polaryzacja polityczna polskiego państwa podziemnego. W styczniu tego roku utworzona zostaje przez członków przybyłej drogą lotniczą z Moskwy Grupy Inicjatywnej partia komunistyczna, dotychczas nieistniejąca, pod nazwą Polska Partia Robotnicza. Jako jej organ wojskowy tworzona jest Gwardia Ludowa (GL), przekształcona potem (od stycznia 1944) w tak zwaną Armię Ludową. Na prawicy, w wyniku opozycji wobec scalenia (listopad 1942) Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) z AK, dochodzi do utworzenia Narodowych Sił Zbrojnych. Można więc mówić o istnieniu i działaniu w podziemiu opozycji lewicowej i prawicowej, postulujących różne kształty przyszłego państwa i jego ustroju.

Doniosłą dziedziną działalności społecznej polskiego państwa podziemnego była organizacja tajnego nauczania: 8-10 tysięcy młodzieży na poziomie szkolnictwa wyższego i

60-70 tysięcy młodzieży licealnej. Doksztalaniem w zakresie szkolnictwa powszechnego (podstawowego), prowadzonym w bardzo szerokim zakresie w całej Polsce centralnej, objęto praktycznie niezliczoną grupę dzieci. Wszystkie te działania stanowiły dopełnienie, w miarę ówczesnych możliwości, obowiązku nauczania ze strony państwa z myślą o przyszłości społeczeństwa.

Ogromne znaczenie miało oddziaływanie wychowawcze społecznych organizacji młodzieżowych, przede wszystkim harcerstwa męskiego i żeńskiego (Szarych Szeregów i Organizacji Harcerek). Czynnikiem wychowania społecznego i politycznego, kształtowania opinii publicznej, a także i podnoszenia na duchu w trudnych warunkach okupacji, była tajna prasa. Zjawisku tajnej prasy w latach drugiej wojny światowej poświęcono dotychczas szereg publikacji. Tu wystarczy powiedzieć, że w świetle obecnego stanu badań wskazać można około 1500 tytułów periodyków tajnych, które krócej lub dłużej ukazywały się na terenie Rzeczypospolitej Polskiej w czasie wojny. Ponad 20 pism wydawano nieprzerwanie w ciągu około pięciu lat. W obrębie tajnej prasy odnotować można ukazywanie się centralnych i lokalnych organów wszystkich przedwojennych ruchów politycznych: narodowego, ludowego, socjalistycznego, chrześcijańsko-demokratycznego, obozu piłsudczyków. Od 1942 r. rozwija się też tajna prasa komunistów (PPR, GL, od r. 1943 także ZWM).

Szczególną poczytnością i ogromnym autorytetem cieszy się centralna i lokalna prasa Związku Walki Zbrojnej, potem Armii Krajowej: „Biuletyn Informacyjny”, tygodnik AK, redagowany od początku (listopad 1939) aż do upadku Powstania Warszawskiego (październik 1944) przez Aleksandra Kamińskiego (a po powstaniu, w ostatnich kilku miesiącach, już w Krakowie, przez Kazimierza Kumanieckiego). Było to najpoczytniejsze pismo ogółu inteligencji i konspiracyjnej młodzieży. W skład redakcji wchodził okresowo ludzie tacy, jak Antoni Szymanowski, Witold Kula, Stanisław Herbst, Stanisław Berezowski, Bolesław Srocki, Maria Straszewska i inni. Jak widać, różni pod względem rodowodu ideowopolitycznego, wszyscy jednak stojący na stanowisku niepodległego, suwerennego i demokratycznego państwa polskiego. Zresztą i w samej AK, wśród 350-380 tysięcy ludzi objętych w sumie ewidencją przynależności, znajdowali się ludzie absolutnie wszystkich poglądów politycznych, wśród nich zdecydowanie lewicowych i zdecydowanie prawicowych.

Podziały, acz bardzo ostre, nie prowadziły w zasadzie do zwyrodnień.

Nie wolno jednak przemilczeć, że życie podziemnego państwa polskiego nie było też wolne od marginalnych, ale bolesnych zjawisk - denuncjacji i mordów bratobójczych. Wszyscy najwybitniejsi dowódcy AK, którzy wpadli w ręce policji niemieckiej, byli ofiarami denuncjacji dokonanych przez Polaków, niekiedy nawet ludzi należących do elity społecznej.

Dotyczy to choćby aresztowania zarówno gen. Stefana Roweckiego, komendanta głównego AK, jak i szefa oddziału KG AK płk. Berki i innych. Faktem jest jednak, że zjawiska denuncjacji, a nawet mniej drastycznych form współdziałania z okupantem, uważane były powszechnie - zarówno przez chłopa, jak przez profesora uniwersytetu - za odrażające i obrzydliwe, pod każdym względem naganne, a wykonywanie wydawanych przez sądownictwo podziemne wyroków śmierci na zdrajców przyjmowane było z satysfakcją. W ciągu lat 1942-1943 ujednociono system podziemnego wymiaru sprawiedliwości, powołując - obok wojskowych Sądów Specjalnych AK, których kompetencjom podlegało osądzanie wykroczeń godzących w bezpieczeństwo Sił Zbrojnych w kraju (czyli AK) oraz wykroczeń popełnianych przez własnych żołnierzy - Cywilne Sądy Specjalne, których pierwsze wyroki zapadły w zimie 1942/1943. Ich kompetencjom podlegały wszelkie przestępstwa zdrady, prowokacji, udziału w prześladowaniu ludności (włącznie z delatorstwem i szantażami wobec ukrywających się Żydów) poza tymi kategoriami spraw, które rozpatrywane były przez Wojskowe Sądy Specjalne.

Głównym wydarzeniem w życiu polskiego państwa podziemnego było w 1944 r. Powstanie Warszawskie, problem zbyt rozległy, aby móc go omówić w ramach tego wykładu. Trzeba jednak stwierdzić, że Powstanie Warszawskie było wynikiem wspólnej decyzji, ramowej lub szczegółowej, ówczesnego premiera rządu RP w Londynie, Stanisława Mikołajczyka (który zresztą *expressis verbis* publicznie stwierdził po wojnie w Warszawie, że za decyzję tę przyjmuje współodpowiedzialność), pełnomocnika Rządu na Kraj, wicepremiera Jana Stanisława Jankowskiego oraz komendanta głównego AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego i kilku członków jego sztabu (m.in. płk., potem gen. Tadeusza Pełczyńskiego, gen. Leopolda Okulickiego, płk. Jana Rzepeckiego). Powstanie Warszawskie było - z całym swoim tragizmem - jednym z ostatnich suwerennych aktów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Nie było to bowiem działanie zamówione czy wywołane przez Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Niemcy czy Związek Radziecki, niezależnie od tego, jakie - pozytywne czy negatywne - skutki polityczne, wojskowe, psychologiczne wydarzenie to, w odniesieniu do każdego z tych układów, wywarło. W czasie Powstania Warszawskiego ujawniła się po raz ostatni, na niewielkim terenie wyzwolonym w Warszawie, samorządność społeczeństwa polskiego, ze wszystkimi jego typowymi wadami i zaletami, samorządność, której odbicie znajdujemy w zbiorowym dziele *Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim* (Warszawa 1974), pokazującym i cienie, i światła tego codziennego życia po pięciu latach niebytu, kiedy ludzie próbowali się jakoś odnaleźć i budować podstawy nowej egzystencji. Tragedia Powstania Warszawskiego była tragedią biologiczną, psychologiczną, polityczną, a

więc wieloraką. Stanowi zjawisko do dziś żywo poruszające społeczeństwo.

Wydarzenia Powstania Warszawskiego odsunęły w cień kilkudniową bitwę o Wilno, akcję „Burza” w Rzeszowskiem i na Podlasiu, odsunęły w cień wiele sytuacji, w których żołnierze oddziałów partyzanckich i liniowych AK dotrwali do przyścia armii radzieckiej, wspólnie z nią walczyli i z dobrą wiarą oddawali jej zdobyte obiekty do rąk. To nie nastąpiło w Warszawie. Ale nastąpiło w innych wymienionych przeze mnie wyżej miejscach, nie wyłączając Lublina.

Sprawa Lublina to zjawisko szczególnie delikatne.

Jak wiadomo, 22 lipca 1944 r. w siedzibie Związku Patriotów Polskich w Moskwie odbyło się organizacyjne posiedzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN), na którym przyjęto tekst „Manifestu do narodu polskiego” oraz dekret o utworzeniu PKWN. Tegoż dnia po południu oddziały AK z obwodu Lublin rozpoczęły na ulicach miasta walkę z Niemcami, która nabrała „większej mocy, kiedy o zmierzchu na przedmieściach miasta ukazały się kolumny czołgów radzieckich” (K. Kersten, *Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego 22 VII-31 XII 1944*, Lublin 1965). Jednostki Armii Czerwonej opanowały Lublin w nocy z 23 na 24 VII 1944 r., a ostatnie punkty oporu niemieckiego w mieście zostały zlikwidowane 25 VIII. Pierwszym przedstawicielem PKWN przybyłym do Lublina 28 VII 1944 r. (w sześć dni po utworzeniu PKWN) był ówczesny kierownik resortu bezpieczeństwa publicznego - Stanisław Radkiewicz.

Ostatnia zima wojny - 1944/1945 - przynosi kres Polskiego Państwa Podziemnego, spowodowany zarówno kryzysem politycznym i psychologicznym związanym z klęską Powstania Warszawskiego, jak też przesuwaniem się frontu wschodniego. 19 stycznia 1945 r., to jest w chwili, gdy okupant niemiecki wyparty już został z większości miast Polski centralnej przez zdążające na zachód siły Armii Czerwonej, gen. Leopold Okulicki - „Niedźwiadek”, ówczesny komendant główny Armii Krajowej, rozwiązuje AK. W końcu marca 1945 aresztowany zostaje pod Warszawą przez radzieckie władze bezpieczeństwa - wraz z pełnomocnikiem Rządu na Kraj, Janem Stanisławem Jankowskim, trzema członkami Krajowej Rady Ministrów: Adamem Bieniem („Walkowiczem”) ze Stronnictwa Ludowego, Stanisławem Jasiukowiczem („Opolskim”) ze Stronnictwa Narodowego oraz Antonim Pajdakiem („Traugutt”) z PPS oraz członkami Rady Jedności Narodowej reprezentującej demokratyczne siły Polskiego Państwa Podziemnego.

Aresztowanie to współzawinięte zostało moralnie przez ministra Anthony’ego Edena, który z ramienia rządu brytyjskiego kategorycznie zalecał odbywanie rozmów z władzami radzieckimi, widząc w nich etap do realizacji uchwał konferencji jałtańskiej z pierwszej

dekady lutego 1945 r. W Jałcie przywódcy trzech mocarstw koalicji - Churchill, Roosevelt i Stalin - porozumieli się między innymi co do utworzenia nowego rządu polskiego, który zastąpiłby zarówno Rząd Tymczasowy (powstały w Lublinie 31 XII 1944 na bazie PKWN), jak i rząd RP w Londynie, przy czym nowe ciało rządzące powstać miało „z włączeniem przywódców demokratycznych z samej Polski”. Naciski Edena i spowodowane nimi dyrektywy rządu z Londynu skłoniły w końcu przywódców polskiego podziemia - wbrew zdaniu części z nich, Okulickiego nie wyłączając - do przyjęcia zaproszenia na rozmowy, które - jak się okazało - wcale w założeniu nie miały być rozmowami. Gdy w czerwcu 1945 r. Stanisław Mikołajczyk, były premier rządu RP w Londynie, a wtedy już opozycjonista tego rządu (kierowanego od listopada 1944 przez Tomasza Arciszewskiego), przebywał w Moskwie w celu prowadzenia rozmów zmierzających do utworzenia Rządu Jedności Narodowej, równocześnie (w dniach od 18 do 21 VI 1945) Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR sądziło 15 wybitnych działaczy polskiego państwa podziemnego, skazując 12 spośród nich na kary więzienia<sup>13</sup>.

Generał Leopold Okulicki, komendant główny Armii Krajowej, skazany został na 10 lat więzienia; inż. Jan Stanisław Jankowski, wicepremier Rządu RP, i Stanisław Jasiukowicz na 5 lat więzienia; przewodniczący Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak na półtora roku więzienia; prezes Stronnictwa Narodowego Aleksander Zwierzyński na 8 miesięcy więzienia; prezes Zjednoczenia Demokratycznego Eugeniusz Czarnowski na 6 miesięcy więzienia; członek RJN Stanisław Mierzwa na 4 miesiące więzienia; członek RJN Zbigniew Stypułkowski na 4 miesiące więzienia; prezes Stronnictwa Pracy Józef Chaciński na 4 miesiące więzienia; członek RJN Franciszek Urbański na 4 miesiące więzienia. Stanisława Michałowskiego, Kazimierza Kobylańskiego i Józefa Stemlera uniewinniono. Działacza PPS, ministra Antoniego Pajdaka, skazano w odrębnym procesie na 5 lat więzienia. W konsekwencji w więzieniach ZSRR zmarli: gen. Leopold Okulicki, pełnomocnik Rządu Jan Stanisław Jankowski i członek Krajowej Rady Ministrów Stanisław Jasiukowicz<sup>14</sup>. Pozostali powrócili do kraju, gdzie kilku z nich było następnie przez szereg lat więzionych, a były przewodniczący Rady Jedności Narodowej, zasłużony działacz PPS Kazimierz Pużak zakończył życie 30 IV 1950 r. w więzieniu w Rawiczu.

Tymczasem w kraju do czerwca 1945 r. funkcję pełnomocnika Rządu pełnił po Janie Stanisławie Jankowskim zasłużony w czasie okupacji niemieckiej kierownik Walki Cywilnej, ludowiec, adwokat Stefan Korboński. Dzień 28 czerwca 1945 r., dzień utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w wyniku decyzji podjętych w Moskwie przez przedstawicieli trzech wielkich mocarstw, stanowi kres funkcjonowania Polskiego Państwa



Podziemnego. Likwidację agend Delegatury Rządu przeprowadzał Jerzy Braun przewodniczący wówczas - w ramach przyjętej rotacji okresowej - Radzie Jedności Narodowej. Na początku lipca 1945 r. wydano ostatni numer tajnego pisma „Rzeczpospolita Polska”, oficjalnego organu Delegatury Rządu na Kraj. W pierwszych dniach lipca 1945 r. nastąpiło uznanie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej przez większość państw na świecie przy równoczesnym cofnięciu uznania dla rządu RP w Londynie.

Na czele Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej stanął Edward Osóbka-Morawski, poprzednio przewodniczący PKWN i premier Rządu Tymczasowego, reprezentant grupy tych socjalistów, którzy już w czasie okupacji związali się bliską współpracą z PPR, wicepremierami zostali Władysław Gomułka i Stanisław Mikołajczyk. W skład rządu wszedł m.in. Czesław Wycech, były dyrektor Departamentu Oświaty i Kultury, a więc w ciągu ponad czterech lat jeden z obdarzonych ważną funkcją działaczy Polskiego Państwa Podziemnego.

Zgodnie z postanowieniami konferencji jałtańskiej Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej „miał obowiązek przeprowadzenia możliwie najprędzej wolnych i nieskrępowanych wyborów, opartych na głosowaniu powszechnym i tajnym”, w którym będą miały prawo wystawiać kandydatów wszystkie partie demokratyczne.

Bilans społecznomoralny Polskiego Państwa Podziemnego, zjawiska unikatowego w historii Polski, a chyba i w historii świata, jest zdecydowanie dodatni, mimo przegranej - w wyniku drugiej wojny światowej - koncepcji politycznej odbudowy Polski jako suwerennego, demokratycznego państwa o strukturze pluralistyczno-parlamentarnej modelu zachodniego. Do rzędu problemów badawczych natomiast należy niewątpliwie zjawisko skutków psychologicznych i politycznych Polskiego Państwa Podziemnego dla dziejów myślenia i postępowania społeczeństwa polskiego po 1945 r. Pozostaje sprawą otwartą, w jakim stopniu doświadczenia tych lat, a szczególnie końcowego okresu Polskiego Państwa Podziemnego, Powstania Warszawskiego, i zmiany władzy w 1945 r. wywarły wpływ na postawy ludzi, wybór dróg i metod działania zarówno w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej, jak w roku 1956 i w późniejszym jeszcze okresie, aż po chwilę dzisiejszą.

1 Inauguracyjny wykład Towarzystwa Kursów Naukowych roku akademickiego 1979/1980, wygłoszony w Warszawie 2 listopada 1979 roku. Autor skazany został za to na karę grzywny przez Kolegium do Spraw Wykroczeń w Warszawie. Był to jedyny przypadek formalnego pociągnięcia do odpowiedzialności i ukarania wykładowcy Towarzystwa Kursów Naukowych.

Tekst oparty na zapisie magnetofonowym, skrócony i opatrzony niezbędnymi

przypisami przez autora, ogłoszony został po raz pierwszy w roku 1980 nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej [NOWA] w Bibliotece Wykładów TKN. Następnie przedrukowany był kilkakrotnie w latach 1981-1986 w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, Gdańsku i Lublinie, a w r. 1987 wszedł w skład książki *Na drodze do niepodległości* (Editions Spotkania, Paryż).

2 Szereg interesujących przyczynków dotychczas w „Rocznikach Dziejów Ruchu Ludowego”. W Londynie ukazała się w 1975 r. praca Romana Buczka *Stronictwo Ludowe w latach 1939-1945. Organizacja i polityka* - w szczegółach dyskusyjna, ale z pewnością przydatna.

3 Eugeniusz Duraczyński, *Stosunki w kierownictwie podziemia londyńskiego (1939-1943)*, Warszawa 1956; tenże, *Kontrowersje i konflikty 1939-1941*, Warszawa 1977; Jerzy Terej, *Rzeczywistość i polityka. Ze studiów nad dziejami najnowszymi Narodowej Demokracji*, Warszawa 1971; tenże, *Na rozstajach dróg. Ze studiów nad modelem i obliczem Armii Krajowej*, WrocławWarszawa 1977; Maria Turlejska, *Prawdy i fikcje. wrzesień 1939 - grudzień 1941*, Warszawa 1966; Józef Ryszard Szaflik, *Historia Polski 1939-1947*, Warszawa 1977.

4 Równocześnie zwrócić trzeba uwagę na opracowany przez Stanisława Zabiellę i wydany staraniem PISM tom *Sprawa polska podczas II wojny światowej w świetle pamiętników*, Warszawa 1958. Cennymi wydawnictwami źródłowymi są: *Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej*, t. 3: *Armia Krajowa*, Londyn 1950, oraz cztery tomy wydawnictwa Studium Polski Podziemnej pt. *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945*, t. 1: *Wrzesień 1939 - czerwiec 1941* (Londyn 1970), t. 2: *Czerwiec 1941 - kwiecień 1943* (Londyn 1973), t. 3: *Kwiecień 1943 - lipiec 1944* (Londyn 1976), t. 4: *Lipiec - październik 1944* (Londyn 1977).

Spośród opracowań zob. Władysław PobógMalinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski. 1864-1945*, t. 3: *Okres 1939-1945*, Londyn 1960. Z pamiętników na szczególną uwagę zasługują: Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, wyd. 2 uzupeł., Londyn 1964, i Zygmunt Zaremba, *Wojna i konspiracja*, Londyn 1957. Książką z pogranicza opracowania i relacji opartej na własnych doświadczeniach jest: Stefan Korboński, *Polskie państwo podziemne*, Paryż 1975. W „Zeszytach Historycznych” wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu ogłoszono szereg cennych przyczynków do dziejów politycznych Polski w latach 1939-1945, w tym szkic Józefa Garlińskiego *Polskie państwo podziemne* (Paryż 1974, z. 29).

5 Dokumentację stosunków ZSRR i Niemiec oparto na wydawnictwach *Documents on PolishSoviet Relations 1939-1945*, vol. 1: *1939-1943*, London 1967; vol. 2: *1943-1949*,

London 1967 oraz *Biała Księga* w oprac. W.W. Sukiennickiego, Paryż 1964.

6 Porozumienia, o których mowa, to obowiązujący w r. 1939 pakt o nieagresji między Polską a ZSRR z dnia 25 VII 1932 r. oraz protokół z 5 V 1934, przedłużający ważność tego paktu do r. 1945.

7 Podstawa: tabela „Obliczenia podziału Polski i jej ludności na poszczególne jednostki, które uległy obecnie różnym losom życia politycznego”, oprac. przez L. Landaua i ogłoszona w jego *Kronice lat wojny i okupacji*, t. 1, Warszawa 1962, s. 52-53.

8 Tekst zaczerpnięto z urzędowego wydawnictwa *Der grossdeutsche Freiheitskampf. Reden Adolf Hitlers*, t. 1, München 1940.

9 Cyryl Ratajski („Wrzos”, „Wartski”, „Górski”) ustąpił ze swojego stanowiska w sierpniu 1942 r. Zmarł śmiercią naturalną w Warszawie 19 X 1942 r. Jego następca, Jan Piekalkiewicz, urzędował na stanowisku pełnomocnika Rządu RP na Kraj od września 1942 do chwili aresztowania przez gestapo 19 II 1943. Następnym pełnomocnikiem Rządu RP na Kraj, który uzyskał też rangę wicepremiera, został inż. Jan Stanisław Jankowski, który pozostawał na tym stanowisku do marca 1945 r.

10 Stefan Rowecki był komendantem głównym ZWZ, a od lutego 1942 do czerwca 1943 - AK. Funkcję tę pełnił do dnia aresztowania, tj. do 30 VI 1943. Jego następcą został dotychczasowy zastępca komendanta - gen. Tadeusz Komorowski, pseudonim „Bór”, który funkcję komendanta głównego AK pełnił do 5 X 1944, tj. do chwili udania się do niewoli niemieckiej po Powstaniu Warszawskim. Ostatnim komendantem AK po Powstaniu Warszawskim został gen. Leopold Okulicki, pseudonim „Niedźwiadek”, który działał faktycznie od października 1944 w Częstochowie, formalnie zatwierdzony na swym stanowisku przez Rząd w Londynie w grudniu 1944 r.

11 Tekst obu dokumentów ogłoszono w kraju m.in. w zbiorze *Sprawa polska na arenie międzynarodowej w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1965, s. 226-227.

12 Teksty kilku dokumentów dotyczących tego konfliktu ogłoszono w kraju w zbiorze *Sprawa polska na arenie międzynarodowej w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1965, s. 331 i nast.

13 Sprawozdanie z procesu ogłoszono w języku polskim m.in. w oficjalnym wydawnictwie pt. *Sprawozdanie sądowe w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia na zapleczu Armii Czerwonej na terytorium Polski, Litwy oraz obwodów zachodnich Białorusi i Ukrainy*. Wyd. Prawnicze Komisariatu Ludowego Sprawiedliwości ZSRR, Moskwa 1945.

14 Por. życiorysy Jankowskiego i Jasiukowicza w *Polskim słowniku*

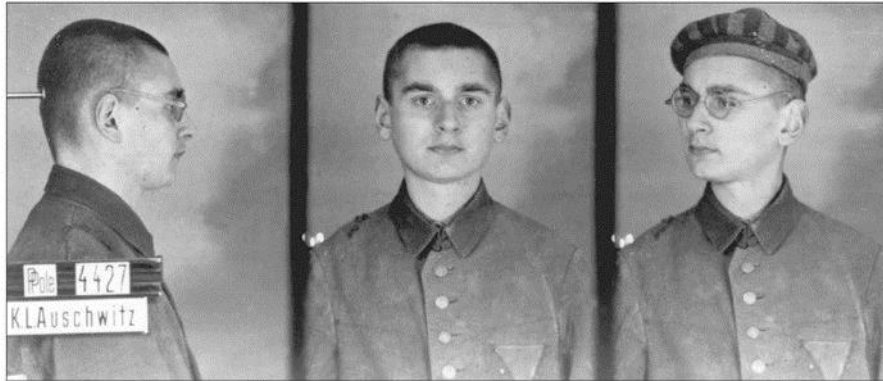
*biograficznym.*



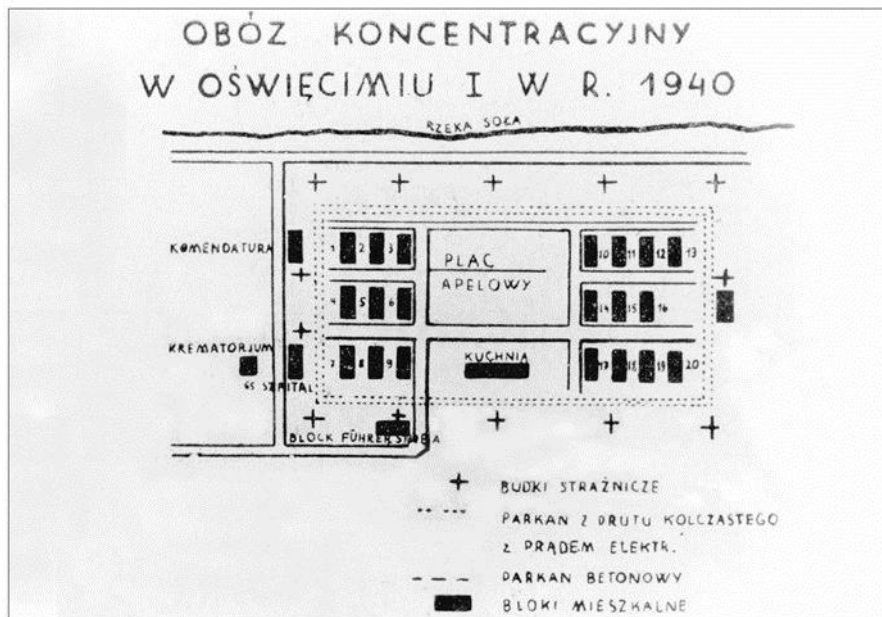
Na rok przed maturą w Liceum Tow. Wych.–Oświat. „Przyszłość” w Warszawie (1938).  
W pierwszym rzędzie (trzeci od prawej) historyk dr Teodozy Radzikowski, po wojnie  
kapłan w zakonie oo. paulinów.



Warszawa lat 20. ubiegłego wieku; ul. Bielańska, budynek na pierwszym planie,  
cztery okna parterowe z prawej strony — mieszkanie Państwa Bartoszewskich.



Więzień KL Auschwitz nr 4427 od 22 IX do 8 IV 1941.



Plan sytuacyjny KL Auschwitz z lat 1940–1941, okresu uwięzienia Bartoszewskiego.

# PRAWDA MŁODYCH

Kwiecień --- Maj 1943

Z powodów od Redakcji niezależnych „Prawda Młodych” nie ukazała się w kwietniu. Niniejszy numer wydaliśmy jako podwójny za kwiecień i maj 1943. Numer następny, czerwcowy, ukaze się normalnie — w początku czerwca. Redakcja

## TREŚĆ NUMERU:

1. Wspomnienie. — 2. Ty i twoje. — 3. Etyka i koniunktura. — 4. Ankieta: Młodzież w konspiracji. — 5. Wokół płonącego ghetta. — 6. O co i jak walczyć. — 7. Młodzi o Polsce. — 8. Życie z wiary. — 9. Z frontu młodzieżowego. — 10. Armia polska walczy. — 11. Przegląd prasy. — 12. Z naszego stanowiska. — 13. Dodatek: Z Oświęcimia.

Od grudnia 1942 r. do wiosny 1944 r. Bartoszewski redaguje miesięcznik młodzieży katolickiej „Prawda Młodych”.

## KOTWICA



Zapoczątkowany być może przez ja-

Już od miesiąca na murach Warszawy rysowany jest znak kotwicy. Rysunek kotwicy jest robiony tak, że jego górna część tworzy literę „P”, zaś część dolna — literę „W”. Pewna ilość napisów objaśnia, że znak kotwicy jest znakiem Polski Walczącej.

kiś zespół — znak ten stał się już własnością powszechną. Codzien ścierany z murów pojawia się na tych murach na nowo, rysowany przez nieznaną tysiące rąk. Są ulice gdzie znaków jest mniej, ale są i takie — gdzie widzi się je na każdym domu, na każdej latarni, na chodnikach... Nie umiemy wytłomaczyć popularności tego znaku. Być może działa tu chęć pokazania wrogowi, że mimo wszystko — nie złamał naszego ducha, że jesteśmy, że czekamy tylko na dogodną chwilę. Może na wyobraźnię „rysowników” działa symbolika kotwicy — znaku nadziei oraz niezawod-

ności? A może tylko przekorna chęć zagłuszenia wrogiej swastyki — własnym, polskim znakiem?

Tak czy inaczej — znak kotwicy oparował stolicę i jest prawdopodobnym,

że rozpowszechni się po całym kraju. Niech idzie w świat! Niech niepokoi wroga, niech świadczy — że Polska Walcząca żyje i czuwa.

Notatka prasowa „Biuletynu Informacyjnego”, organu AK, na temat pojawienia się znaku Polski Walczącej na murach okupowanej Warszawy. Od sierpnia 1942 r. Bartoszewski otrzymuje w AK przydział do Biura Informacji i Propagandy (BiP) Komendy Głównej.

REPUBLIC OF POLAND  
*Ministry of Foreign Affairs*

**THE MASS EXTERMINATION  
of JEWS in  
GERMAN OCCUPIED POLAND**

NOTE  
addressed to the Governments of the  
United Nations on December 10th, 1942,  
and other documents



**REPUBLIC OF POLAND**  
*Ministry of Foreign Affairs*

**LONDON,**  
*December 10th, 1942*

Your Excellency,

On several occasions the Polish Government have drawn the attention of the civilised world, both in diplomatic documents and official publications, to the conduct of the German Government and of the German authorities of occupation, both military and civilian, and to the methods employed by them "in order to reduce the population to virtual slavery and ultimately to exterminate the Polish nation". These methods, first introduced in Poland, were subsequently, applied in a varying degree, in other countries occupied by the armed forces of the German Reich.

Nota rządu RP w Londynie do rządów Narodów Zjednoczonych z 10 XII 1942 r.  
o masowej eksterminacji Żydów.

»Błogosławieni, którzy w czasie gromów nie ułracili równowagi ducha« – J. Kasprzewicz

# BIULETYN informacyjny

Rok VI.

10 grudnia 1944 r.

Nr. 103 (311)

## Rozkaz Nr 1. Żołnierze Armii Krajowej.

Z polecenia Pana Prezydenta R. P. i rozkazu Szefa Sztabu Głównego objąłem nad wami dowództwo w chwili szczególnie ciężkiej, gdy na skutek taktycznie przegranej bitwy o Warszawę i wzmożonego nacisku wroga słabsze charaktery chwieją się, a słabe serca tracą wiarę w słuszność naszej walki i ostateczne zwycięstwo Polskiej Sprawy. Jest to okres chwilowego kryzysu, występujący w każdej walce. Opanowanie go wymaga siły i poprzedza zwycięstwo.

Pierwsze przeto zadanie, jakie staje przed nami: opanować ten kryzys, wzmocnić szeregi, by gotowym być do ostatecznego zwycięskiego boju. Chwila ta zbliża się do nas szybko. Niemcy wojnę już przegrali. Ich ostateczna klęska to kwestia tylko miesięcy.

Po upadku Powstania Warszawskiego Bartoszewski zostaje sekretarzem redakcji „Biuletynu Informacyjnego” wydawanego w Krakowie.

P. S. L.  
REDAKCJA DZIENNIKA  
„GAZETA LUDOWA”  
Warszawa, Al. Jerozolimskie 85.

**Legitymacja Nr 49**  
Ob. *Bartoszewski Władysław*  
(karta rozpoznawcza Nr *132455*)  
jest współpracownikiem Redakcji dziennika „Gazeta Ludowa”.



Wszystkie władze i urzędy proszone są o okazywanie wyżej wymienionemu pomocy w spełnianiu obowiązków służbowych.

Warszawa, dnia *18 czerwca* 19*45* r.

Sekretarz Naczelny,  
*[Signature]*

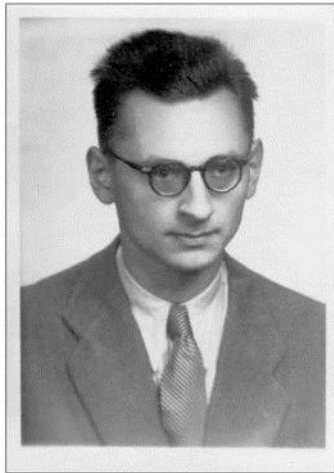
Kierownik  
Wydziału Prasy i Propagandy  
*Kar. Baguński*

*W. Bartoszewski*  
(podpis)



Po wojnie Bartoszewski rozpoczyna pracę dziennikarza w „Gazecie Ludowej”, organie PSL (S. Mikołajczyka), oraz kontynuuje działalność polityczną w PSL (1946).

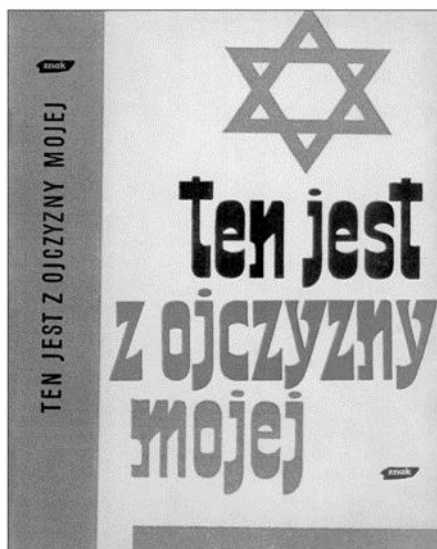




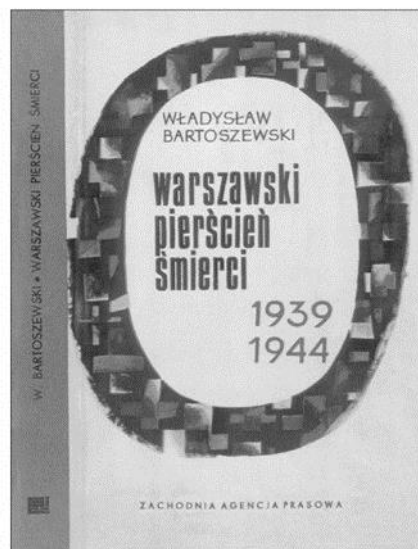
Po zwolnieniu z więzienia (1954).



Z ojcem (1959).



Pierwsze wydanie przełomowej pracy opisującej stosunki polsko-żydowskie w czasie okupacji niemieckiej (1967).



Pierwsze wydanie pracy historyka dokumentalisty o wojennej eksterminacji ludności stolicy (1967).



Współpracownik, od 1961 r. członek redakcji „Tygodnika Powszechnego” (fot. 1963).



Uroczystość zasadzenia drzewka ŻEGOTY w Alei Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata w Jerozolimie 28 X 1963 r., obok Bartoszewskiego Maria Kann (z wojennej Organizacji Harcerzek) i dyrektor Yad Vashem Arieh Kubovi.



Dyskusja panelowa w Kolonii (RFN) „Intelektualiści a polityka” (1977) prowadzona przez Heinricha Böla.

W r. 1979/80 TKN ZAMIERZA PROWADZIĆ W WARSZAWIE:

/1/ Cykl odczytów z najnowszej historii Polski

Pierwszy odczyt p. t. Polskie państwo podziemne w latach okupacji hitlerowskiej wygłosi Władysław Bartoszewski w mieszkaniu przy ul. Puławskiej 10 m.35 /z podwórza, V p./ w piątek 2 listopada o godz. 19.

/2/ Następujące seminaria naukowe /w nawiasach nazwiska prowadzących/:

- Polska myśl polityczna XX w. /Marcin Król/
- Kwestia rolna i ruch ludowy w Polsce XX w. /Zdzisław Szpakowski/
- Stosunki polsko-żydowskie od r. 1918 /Władysław Bartoszewski/

Ulotka informacyjna o programie trzeciego roku działalności TKN-u.

## **W obronie Latającego Uniwersytetu**

### **Apel intelektualistów brytyjskich**

Władze PRL wzmożyły prześladowania Towarzystwa Kursów Naukowych (TKN) — tej niezależnej placówki, szerzącej niesfałszowaną wiedzę. Wywołało to reakcję wśród intelektualistów brytyjskich.

Jak podaliśmy w „Dzienniku“, Władysław Bartoszewski, sekretarz polskiego Penklubu, historyk, literat, został skazany na 5.000 zł grzywny za wygłoszenie odczytu bez zezwolenia władz o polskim państwie podziemnym w czasie wojny. Na taką samą grzywnę został skazany Piotr Naimski, który udzielił swego mieszkania na odczyt. Uniemożliwiono odczyt socjologa Jerzego Jeglickiego.

Wszystkie te fakty wywołały duże poruszenie na Zachodzie.

międzynar. komitetu, wspierającego wolność nauczania w Polsce. Jego celem jest obrona „Latającego Uniwersytetu“, zapewnienie wsparcia różnym formom swobodnej działalności kulturalnej oraz popieranie wymiany naukowców pomiędzy Polską i innymi krajami.

Aktywność ta obejmuje organizowanie zebrań, pomoc materialną dla intelektualistów w Polsce wobec których jest stosowana dyskryminacja, tworzenie bibliotek dla wolnego nauczania, studiów

## **Tajna prasa w okresie okupacji niemieckiej i jej rola w życiu społeczeństwa**

Na terenie państwa polskiego ukazywało się w latach poprzedzających bezpośrednio wybuch drugiej wojny światowej około 2700 czasopism, w tym 184 dzienniki i 482 tygodniki<sup>1</sup>. Polskie Radio rozporządzało dziesięcioma stacjami nadawczymi i kilkoma podstacjami, obejmującymi swym zasięgiem niemal cały kraj<sup>2</sup>.

W okresie działań wojennych na terenie Polski we wrześniu 1939 r. prasa lokalna ukazywała się we wszystkich większych miastach aż do chwili ich zajęcia przez armie okupacyjne, przy czym szczególnie ważną rolę społeczną spełniała prasa codzienna w czasie trzytygodniowego oblężenia Warszawy<sup>3</sup>.

Okres okupacji stworzył warunki całkowicie nowe, pod wszystkimi względami bez precedensu w dotychczasowych dziejach państwa i społeczeństwa. Odnosiło się to również do problemów życia kulturalnego oraz działalności prasy. Wstępna decyzja Hitlera, że „Polska ma być traktowana jak kolonia” (*Polen soll wie eine Kolonie behandelt werden*) ujawniona przez Hansa Franka 3 października 1939 r., znalazła niebawem bardzo konkretną wykładnię praktyczną<sup>4</sup>. Szereg dokumentów hitlerowskich ze wstępnego okresu okupacji Polski wskazuje na zamiar fizycznej likwidacji inteligencji polskiej, konsekwentnie potem realizowany. Dziennik Hansa Franka zawiera pod datą 31 października 1939 r. zapis dotyczący konferencji odbytej w Łodzi z udziałem ministra Rzeszy dr. Josepha Goebbelsa, który stwierdził jednoznacznie, że „[...] cała polska organizacja rozpowszechniania wiadomości musi być zdruzgotana. Polakom nie należy pozostawić aparatów radiowych i dopuścić tylko czysto informacyjne dzienniki, żadnej prasy problemowej”<sup>5</sup>. Tak sformułowane założenia programowe były właściwie tylko potwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy, gdyż prasa polska została w październiku 1939 r. już całkowicie zlikwidowana, a szereg zarządzeń z października i listopada 1939 r., podpisanych przez Hansa Franka, który objął tymczasem urząd Generalnego Gubernatora z siedzibą w Krakowie, sankcjonował tylko fakty dokonane. Zakaz posiadania przez Polaków aparatów radiowych i przymusowa konfiskata całego sprzętu radiowego przeprowadzona w okresie od końca października do końca grudnia 1939 r. zniszczyły do reszty istniejący system przekazywania informacji<sup>6</sup>.

Na miejsce zlikwidowanej prasy polskiej okupant założył własne gazety i czasopisma dla Polaków w Generalnej Guberni. Były to dzienniki: „Nowy Kurier Warszawski”, „Goniec Krakowski”, „Kurier Częstochowski”, „Nowy Głos Lubelski”, „Kurier Kielecki”, „Dziennik Radomski” oraz „Dziennik Poranny” (w Krakowie), „Nowy Czas” (w Krakowie, czasopismo w Kielcach), a od sierpnia 1941 także „Gazeta Lwowska”; czasopisma - „Ilustrowany Kurier

Polski” i „Siew” (w Krakowie) oraz „7 dni”, „Fala” i „Co miesiąc powieść” (w Warszawie). Wydawane przez urząd Propagandy w Generalnej Guberni w złym języku polskim, zawierały przekłady wybranych artykułów z organu NSDAP „Völkischer Beobachter” oraz prasy niemieckiej wychodzącej w Polsce, podawały komunikaty naczelnego dowództwa armii niemieckiej, prowadziły wulgarną propagandę antyżydowską i propagandę przeciwko państwom alianckim, przynosiły nieco informacji lokalnych, zarządzeń i ogłoszeń. Nie były to więc pisma polskie, tylko organy propagandy hitlerowskiej w języku polskim i za takie też powszechnie uchodziły<sup>7</sup>.

Było zjawiskiem bardzo charakterystycznym i związanym zarówno z żywotnością starej, jeszcze z okresu zaborów wywodzącej się tradycji wydawania tajnej prasy, jak i ze zdecydowaną wolą oporu wobec okupanta, że pierwsze numery konspiracyjne wydanych czasopism ukazały się w Warszawie już w początkach października 1939 r., wyprzedzając o kilka dni wydanie pierwszych numerów prasy hitlerowskiej w języku polskim, zorganizowanej przez okupanta<sup>8</sup>. Pojawienie się tajnej prasy było dla społeczeństwa polskiego jednym z najwcześniejszych dostrzegalnych przejawów tworzenia się instytucjonalnych ośrodków oporu, organizacji wojskowych i cywilnych, powoływanych równocześnie z wkraczaniem armii okupacyjnej. Przyrost ilościowy i jakościowy tajnej prasy był szybki, a nawet gwałtowny. W ciągu jednego kwartału, do końca 1939 r. pojawiło się łącznie prawie 40 tytułów czasopism, w roku 1940 było ich już przeszło 200, w trakcie roku 1941 około 300, w 1942 r. ponad 400, w 1943 r. ponad 500, a w 1944 r. już ponad 600<sup>9</sup>. Ogólną liczbę tytułów prasy polskiej wydawanej konspiracyjnie na terenach okupowanych przez Niemców określa się na około 1500<sup>10</sup>. Tak więc polska prasa konspiracyjna zajmuje pierwsze miejsce wśród prasy ruchu oporu w okupowanych krajach Europy. Jest to godne uwagi, zważywszy, że terror hitlerowski w żadnym z okupowanych krajów nie był tak bezwzględny jak w Polsce, a zatem konspiracyjna działalność wydawnicza odbywała się w Polsce w znacznie trudniejszych warunkach niż w krajach Europy Zachodniej.

Główne organizacje wojskowe i stronnictwa polityczne odgrywały w konspiracyjnym ruchu wydawniczym dominującą rolę, zarówno pod względem liczby tytułów wydawanych czasopism tajnych, jak i pod względem ich jakości merytorycznej i technicznej. Około 60% ogólnej liczby prasy tajnej pojawiało się nakładem tego typu organizacji. Natomiast pozostałe 40% tytułów wydawały małe grupy niepodległościowe, liczące niejednokrotnie zaledwie kilkunastu lub kilkadziesiątu członków, ale często bardzo żywotne i ruchliwe. Działalność niektórych mniejszych organizacji ruchu oporu sprowadzała się niekiedy w praktyce do wydawania czasopism tajnych i uczestniczenia w akcji propagandowej przeciwko

okupantowi.

Ruch wydawniczy w warunkach konspiracji był z natury rzeczy niestabilizowany, a żywot znacznej liczby pism krótki. Zdarzało się, że po wydaniu kilku numerów pismo przestawało wychodzić wskutek aresztowania redaktorów, wykrycia drukarni przez gestapo albo braku środków materialnych. Ale prasa głównych ośrodków konspiracyjnych wydawana była z godną podkreślenia systematycznością. Co najmniej 3 pisma tajne, wśród nich tygodnik „Biuletyn Informacyjny”, ukazywały się systematycznie od jesieni 1939 r. do stycznia 1945 r., a więc w ciągu 63 miesięcy, ale aż w obrębie siedmiu lat kalendarzowych, 17 pism w obrębie sześciu lat kalendarzowych, aż 90 pism w obrębie czterech lat kalendarzowych, około 240 pism regularnie ponad dwa lata, a pozostałe w ciągu roku, kilka miesięcy, a niekiedy tylko kilka tygodni<sup>11</sup>.

Pod względem geografii ukazywania się czasopism konspiracyjnych główny teren wydawniczy stanowiły ziemie Polski centralnej, objęte w okresie okupacji granicami tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa, to jest okręgi: Warszawa, Kraków, Radom i Lublin, a po 1941 r. także Lwów. Na tych terenach ukazywało się 90% całej prasy konspiracyjnej. Pozostałe 10% przypadało na teren okręgów wcielonych jesienią 1939 r. do Rzeszy, a więc Pomorza, Poznańskiego, Łodzi i Śląska, lub na tereny położone na wschód od Bugu, wchodzące po 1941 r. w skład tak zwanego Ostlandu. W samej Warszawie, największym ośrodku polskiego życia społecznego i politycznego na okupowanych terenach, wydawano ponad 60% całej tajnej prasy<sup>12</sup>. Pozostawało to oczywiście w związku ze skupieniem się w Warszawie wszystkich kierowniczych ośrodków polskiego ruchu konspiracyjnego. W Warszawie również regularnie drukowano niektóre czasopisma przeznaczone dla terenów wcielonych do Rzeszy, po czym całe nakłady przesyłano do miejsca przeznaczenia w celu ich lokalnego rozkolportowania.

Większość prasy konspiracyjnej stanowiły tygodniki oraz pisma ukazujące się rzadziej niż raz w tygodniu. Jednakże znane są również dość liczne pisma codzienne. W pewnych okresach, szczególnie w latach 1943-1944, pojawiło się na przykład w samej Warszawie naraz 10 pism i komunikatów codziennych, wśród nich przypominające normalną prasę południową „Dzień Warszawy”, „Nowy Dzień” i „Demokrata”.

Dominujące znaczenie miała prasa informacyjna, podająca wiadomości o prawdziwej sytuacji na frontach wojny i różnorodne wiadomości z okupowanego kraju lub lokalne z jednego okręgu, dotyczące na przykład faktów terroru i niektórych przejawów działalności podziemia. Pisma informacyjne przynosiły też zazwyczaj krótkie artykuły o charakterze komentarza do sytuacji międzynarodowej - politycznej lub wojskowej - oraz różne artykuły

na tematy związane z potrzebami chwili. Ogłaszano w nich komunikaty, zarządzenia, ostrzeżenia oraz wyroki wydawane przez kierownicze ośrodki podziemia wojskowego i cywilnego. Niektóre pisma informacyjne wydawano w formie zwięzłych stylistycznie komunikatów, których treść ograniczała się do aktualnych wiadomości radia londyńskiego.

Liczne pisma o charakterze ideowoprogramowym, reprezentujące różne kierunki ideowe i polityczne, zawierały artykuły, a nieraz i obszernie rozprawki teoretyczne dotyczące programu życia społecznego, gospodarczego lub politycznego w Polsce po wojnie, często też artykuły polemiczne z innymi pismami tajnymi.

Spośród prasy socjalistycznej wymienić tu trzeba przede wszystkim „Zagadnienia” (październik 1940 - lipiec 1942), „Wolność” (1940 - lipiec 1944), „Płomienie” (styczeń 1942 - czerwiec 1944), ponadto „Barykadę Wolności” (czerwiec 1940 - kwiecień 1942) i „WRN” (1940 - czerwiec 1944); ludowej - „Przebudowę” (listopad 1941 - marzec 1943) i jej kontynuację „Polskę Ludową” (kwiecień 1943 - czerwiec 1944), „Prawda zwycięży” (czerwiec 1941 - marzec 1942) i „Orkę” (kwiecień 1942 - czerwiec 1944); obozu narodowego - „Walkę” (kwiecień 1940 - styczeń 1945), „Wielką Polskę” (wrzesień 1941 - październik 1944), a także dwutygodnik „Szaniec” (grudzień 1939 - styczeń 1945) i „Nową Polskę” (maj 1941 - czerwiec 1944), miesięcznik „Pobudka” (październik 1939 - maj 1944); środowisk Chrześcijańskiej Demokracji - „Naród” (listopad 1940 - grudzień 1943) i „Reformę” (październik 1942 - lipiec 1944); piłsudczyków - „Myśl Państwową” (wrzesień 1941 - lipiec 1944) i „Drogę” (wrzesień 1943 - czerwiec 1944) Konwentu Organizacji Niepodległościowych, oraz Obozu Polski Walczącej - „Przegląd Polityczny” (kwiecień 1942 - czerwiec 1944) i „Państwo Polskie” (październik 1942 - lipiec 1944). Poglądy Stronnictwa Demokratycznego wyrażały „Nowe Drogi” (1941-1944), a od lata 1943 r. także „Głos Demokracji”, organ lewicowego odłamu SD - Stronnictwa Polskiej Demokracji. Zbliżone do Stronnictwa Demokratycznego było pismo problemowe „Polska walczy” (lipiec 1940 - lipiec 1944) wydawane przez grupę „Olgierda” (Henryka Józefskiego). Pismem problemowym inteligencji katolickiej był miesięcznik „Prawda” (kwiecień 1942 - sierpień 1944), organ Frontu Odrodzenia Polski.

Poważne znaczenie - ze względu na specyficzne potrzeby chwili - miała prasa instrukcyjna poświęcona szkoleniu wojskowemu, wydawana przede wszystkim przez organizacje wojskowe dla swoich członków, jak np. „Żołnierz Polski”, „Insurekcja”, „Towarzysz Pancerny”, „Saper”. W periodykach tego rodzaju ukazywały się między innymi dane o postępach techniki wojennej nowych typach broni, sposobie używania materiałów wybuchowych do celów dywersji i sabotażu, odpowiednie schematy rysunkowe.

W ciągu 1942 r. odnotować należy pojawienie się i stopniowy rozwój prasy komunistycznej, co związane było bezpośrednio z założeniem w styczniu tego roku przez wysłanników z Moskwy (tak zwaną Grupę Inicjatywną) Polskiej Partii Robotniczej i jej agend (wojskowych, młodzieżowych itd.). Pośród czasopism PPR, GL (potem AL) i ZWM za najważniejsze uznać można pismo KC PPR „Trybunę Wolności” (luty 1942 - lipiec 1944), „Okólnik Polskiej Partii Robotniczej”, wydawany w latach 1942-1944 jako pismo wewnętrzne „tylko dla członków partii”, i „Poradnik Oświatowy” (październik 1943 - lipiec 1944), pismo Zarządu Głównego Związku Walki Młodych w Warszawie<sup>13</sup>.

W miarę rozwoju prasy tajnej postępowała jej specjalizacja, której bardzo znaczny stopień osiągnięto w roku 1942 i w latach następnych. Ukazywały się więc wydawnictwa typu agencyjnego, zawierające wiadomości dla prasy z kraju i zza granicy, artykuły, komunikaty władz poziemnych. Do najpopularniejszych wydawnictw specjalistycznych należały „Agencja Prasowa” (wrzesień 1940 - styczeń 1945), „Polska Informacja Prasowa” (1940 - marzec 1944), „Agencja Zachodnia” (1943-1944), „Agencja Informacyjna Wieś” (luty 1943 - lipiec 1944), „Agencja Informacyjna Kraj” (lipiec 1943 - styczeń 1945). Wydawano na użytek wewnętrzny większych organizacji tajnych lub też pewnej grupy redakcji prasy tajnej przeglądy prasy konspiracyjnej, prasy hitlerowskiej, prasy państw neutralnych, obszerniejsze opracowania dotyczące niektórych zagadnień polityki czy gospodarki światowej. Tego rodzaju wydawnictwa agencyjne i wewnętrzne były szczególnie chętnie wykorzystywane przez redakcje mniejszych czasopism, dysponujących ograniczonymi możliwościami uzyskiwania wszechstronnych informacji we własnym zakresie.

W latach 1942-1944 rozwinęła się też prasa o charakterze literacko-kulturalnym, ogółem ponad 25 tytułów, z których najpoważniejsze pojawiły się w Warszawie („Sztuka i Naród”, kwiecień 1942 - lipiec 1944; „Przełom”, wrzesień 1942 - październik 1943; „Lewą marsz”, listopad 1942 - grudzień 1943; „Kultura Jutra”, styczeń 1943 - czerwiec 1944; „Przegląd Spraw Kultury”, luty 1943 - listopad 1943; „Nurt”, marzec 1943 - maj 1944; „Sprawy Narodu”, lipiec 1943 - lipiec 1944; „Kultura Polska”, 1943-1944; „Dźwigary”, grudzień 1943 - kwiecień 1944; „Sprawy Kultury”, 1944) i w Krakowie („Miesięcznik Literacki”, listopad 1942 - czerwiec 1943, efemerycznie też „Naród i Kultura”, 1941)<sup>14</sup>.

W prasie tej poruszano zagadnienia programowe życia kulturalnego - literatury, teatru, muzyki i plastyki, publikowano oryginalne utwory poetyckie i prozatorskie.

Charakterystyczny jest związek rozwoju czasopiśmiennictwa kulturalnego z rozwojem życia umysłowego. I tak szczególnie w latach 1942-1943 wraz z nader bujnym życiem



umysłowym w środowiskach tajnych uniwersytetów (Warszawskiego i Ziemi Zachodnich) w Warszawie oraz w Krakowie krystalizują się i krzepną nowe formy życia kulturalnego: salony literackie, wieczory autorskie, konkursy na utwory oraz inne inicjatywy kulturalne, muzyczne, plastyczne. Towarzyszy im żywa działalność konspiracyjna antykwariuszy, księgarzy i bibliotekarzy w zakresie udostępnienia druków zakazanych<sup>15</sup>.

Nader charakterystyczny dla żywotności i postawy psychicznej polskiej inteligencji w warunkach okupacji jest fakt ukazywania się kilkunastu czasopism satyrycznych, o treści antyhitlerowskiej, zawierających dowcipy, wierszyki i karykatury rysunkowe. Szczególnie godne uwagi są wśród tych wydawnictw „Lipa” (wrzesień 1940 - marzec 1941) i „Szpilka” (1940) oraz „Moskit” (1943) w Warszawie i najdłużej ukazujące się pismo satyryczne, tygodnik „Na ucho...” (czerwiec 1943 - styczeń 1945) w Krakowie<sup>16</sup>.

Pojawiły się liczne pisma przeznaczone dla działającego konspiracyjnie harcerstwa („Źródło”, „Dęby”, „Drogowskaz”, „Pismo Młodych”, „Brzask”, „Bądź gotów”, „Wigry”, „Dziś i jutro”, „Patrol Harcerski”); dla młodzieży różnej orientacji („Młodzież”, „Młoda Demokracja”, „Walka Młodych”, „Młoda Polska”, „Młodzież Rzeczypospolitej”, „Młodzież Socjalistyczna”, „Młody Nurt”, „Młodzież Imperium”, „Prawda Młodych”, „Młodzież Walcząca”, „Młodzi idą”, „Skrzydła”, „Watra”<sup>17</sup>); pisma dla kobiet (np. „Służba Kobiet”), w tym specjalnie dla kobiet na wsi („Żywią”); dla dzieci („Biedronka”), pisma o charakterze teoretycznoekonomicznym (np. „Technika w Gospodarce Narodu”); tajne pismo lotnicze („Wzlot”), w którym obok materiałów o charakterze teoretycznotechnicznym ogłaszano informacje dotyczące lotnictwa polskiego na Zachodzie; taternickie („Taternik”), a nawet pismo wydawane przez grono lekarzy poświęcone problemom medycyny społecznej („Abecadło Lekarskie”).

Odrębną problematykę reprezentowały pisma żydowskie wydawane głównie w latach 1940-1942, a więc w okresie poprzedzającym ostateczną zagładę ludności żydowskiej, zarówno w gettach, jak i poza gettami. Znanych jest ponad 20 pism konspiracyjnych wydawanych w języku żydowskim lub hebrajskim, a nadto około 20 czasopism wydawanych przez różne organizacje żydowskie w języku polskim. Politycznie prasa ta reprezentowała zarówno poglądy komunistyczne, socjalistyczne (pisma „Bundu”), jak też kilka grup syjonistycznych<sup>18</sup>.

Zasadniczymi źródłami materiału redakcyjnego dla prasy tajnej były:

1. nasłuchy radia zagranicznego prowadzone systematycznie albo siłami redakcji, albo (częściej) przez wyspecjalizowane zespoły osób w ciągu całej doby;
2. omówione już wydawnictwa agencyjne;

3. sieć własnych korespondentów i informatorów;

4. zarządzenia, odezwy, apele, komunikaty itp., przekazywane do redakcji przez Kierownictwo Walki Cywilnej, Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, Kierownictwo Walki Podziemnej, Delegaturę Rządu na Kraj lub dowództwo Armii Krajowej bądź też przez władze organizacji tajnej - cywilnej lub wojskowej - wydającej dane pismo (np. dowództwo GL, AL, PAL, NSZ, kierownictwo „Rocha”, PPR czy ZWM).

W skład redakcji tajnych pism wchodziłi zawodowi dziennikarze przedwojenni, działacze polityczni i społeczni oraz ludzie dorywczo zaangażowani w tę pracę. W poważniejszych czasopismach byli to często pracownicy naukowci wyższych uczelni lub inni przedstawiciele inteligencji twórczej, w pismach politycznych poszczególnych środowisk, a szczególnie w prasie terenowej, niekiedy też przyuczeni amatorzy społecznicy. Ścisłe zespoły redakcyjne były ze względu na warunki bezpieczeństwa zazwyczaj bardzo nieliczne, najwyżej dwu, trzyosobowe. Artykuły nadchodzące spoza redakcji otrzymywano nierzadko drogą organizacyjną, niekiedy od nieznanego autora. Warto zauważyć, że polscy literaci i dziennikarze, czynni zawodowo w okresie przedwojennym, zachowywali solidarną postawę bojkotu wobec wszelkich hitlerowskich inicjatyw wydawniczych, z wyjątkiem dosłownie kilku wypadków w całym kraju w ciągu pięciu lat okupacji. Olbrzymia większość ludzi pióra współpracowała natomiast systematycznie lub dorywczo z prasą tajną.

Osobne zagadnienie stanowią metody wytwarzania tajnej prasy w Polsce. Wszystkie większe drukarnie przejęte zostały od razu na początku okupacji przez władze hitlerowskie. Małe drukarenki akcydensowe zaś pracowały pod stałą, ścisłą kontrolą. W tych warunkach nie było możliwe w Polsce wykorzystywanie normalnie pracujących zakładów drukarskich w celu produkcji tajnej prasy, jak to robiono z powodzeniem na przykład we Francji lub w Holandii. Wytwarzanie tajnej prasy musiało się więc odbywać w specjalnie w tym celu przygotowanych, zamaskowanych pomieszczeniach, najczęściej pod ziemią<sup>19</sup>.

Mniej więcej 2/3 tytułów tajnej prasy w kraju wytwarzano techniką powielaczową, a 1/3 pism wydawano w postaci drukowanej. W wojennych, złych warunkach lokalowych, a szczególnie w przeludnionych środowiskach wielkomiejskich, nawet urządzenie powielarni natrafiało na poważne trudności, które znacznie wzrastały, gdy trzeba było zainstalować maszyny drukarskie. Mimo to w okupowanej Polsce uruchomiono w sumie około 400 tajnych powielarni i drukarni, z których co najmniej połowa znajdowała się w Warszawie<sup>20</sup>. Tajna prasa ukazywała się niemal bez przerwy, a na miejsce wykrytych drukarni i powielarni powstawały nowe, organizowane z wielkim wysiłkiem. Najpoważniejszy ośrodek drukarstwa tajnego, tak zwane Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze, obejmujące sieć drukarni Armii

Krajowej w Warszawie, miały w latach 1943-1944 w mieście równocześnie czynnych sześć zakładów drukarskich oraz pracownie introligatorskie, litograficzne i chemiograficzne. Tak zwana Centralna Technika PPR składała się w połowie 1944 r. z trzech drukarni i kilku powielarni, nie licząc zakładów pomocniczych.

Trudności techniczne, na które natrafiali organizatorzy i pracownicy tajnych drukarni, związane były zarówno z zamaskowaniem samych lokali, z ich wentylacją, z dostawą prądu, wyposażeniem w sprzęt poligraficzny, jak i stałym zaopatrywaniem w papier, a następnie ekspedycją nakładu. Wszystkie te czynności związane z pracą drukarni spełniano w warunkach nieustannego zagrożenia. Przyjrzyjmy się choćby problemowi zaopatrzenia w papier. Przeciętne pismo konspiracyjne wydawane techniką powielaczową ukazywało się w objętości od 1 do 3 kart (od 2 do 6 stron), w nakładzie od paru set do tysiąca egzemplarzy, choć w niektórych wypadkach nakłady pism powielanych sięgały paru tysięcy egzemplarzy. Pisma drukowane wydawane były w nakładach od 3-4 do kilkunastu tysięcy egzemplarzy. Niektóre z nich miały jednak nakłady rzędu 20 tysięcy egzemplarzy i więcej, a najpoczytniejsze czasopismo konspiracyjne w Polsce, organ Armii Krajowej, tygodnik „Biuletyn Informacyjny” osiągnął w latach 1943-1944 nakład powyżej 40 tysięcy egzemplarzy<sup>21</sup>. Pisma drukowane miały przeważnie od 8 do 16 stron druku, zazwyczaj w formatach 17×24 cm lub 11×14 cm. Na wyprodukowanie jednego tylko numeru „Biuletynu Informacyjnego” zużywano w latach 1943-1944 około 840 kg papieru, a zużycie papieru jednej tylko - cytuję przykładowo - drukarni nr 4 Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych w Warszawie wynosiło około 1400 kg tygodniowo. Próba przemnożenia tych liczb - nawet w najostrożniejszym przybliżeniu - przez liczbę tytułów pism wydawanych z różną częstotliwością w całym kraju, prowadzi do wniosku, że tajne drukarnie zużywały miesięcznie w Polsce setki ton papieru. Papier zaś był w warunkach wojennych artykułem reglamentowanym i nadzorowanym przez okupanta; nie tylko jego nabywanie, ale już sam transport był przedsięwzięciem trudnym i wysoce ryzykownym. Mimo to polskie organizacje podziemne potrafiły zapewnić swoim drukarniom regularne dostawy papieru, zarówno wykradanego z magazynów niemieckich, jak i kupowanego na czarnym rynku, czy wreszcie uzyskiwanego w drodze przekupstwa skorumpowanych pracowników aparatu administracyjnego okupanta.

Znalezienie odpowiednich metod kolportażu prasy tajnej, to jest takich, które gwarantowałyby możliwie szerokie jej rozpowszechnienie przy równoczesnym zachowaniu maksimum bezpieczeństwa, nastęrczało poważne trudności, niewiele mniejsze niż sam proces wytwarzania prasy. System kolportażu, dość prymitywny w pierwszych kilkunastu

miesiącach okupacji, rozwijał się i doskonalił w miarę nabywania doświadczeń, a równocześnie wzrostu zadań, to jest stałego zwiększania się liczby tytułów czasopism konspiracyjnych i wysokości ich nakładów. Doskonalenie tego systemu polegało przede wszystkim na utworzeniu we wszystkich większych organizacjach tajnych prowadzących działalność wydawniczą wyspecjalizowanych i stosunkowo bardzo nielicznych zespołów ludzi, którzy zajmowali się tak zwanym centralnym kolportażem. Były to szczególnie niebezpieczne czynności, polegające na niepostrzeżonym wywiezieniu całego nakładu pisma z tajnej drukarni czy powielarni do jednego lub kilku lokali rozdzielczych, skąd dopiero przekazywano mniejsze paczki z prasą tajną na tak zwane punkty i podpunkty. Transport odbywał się wózkami rowerowym, dorożką, w mniejszych miejscowościach zwykłym wozem konnym, niekiedy samochodem, przy czym nie można zapominać, że zasadniczo nie było w okresie okupacji samochodów stanowiących prywatną własność Polaków. Szczególną rolę w rozpowszechnianiu prasy spełniały kobiety, one bowiem głównie tworzyły zespoły kolportażowe. Mniejsze ilości prasy przenoszono pod ubraniem lub w torbach; dopiero w ostatnich dwóch latach okupacji posługiwano się w tym celu często specjalnymi torbami lub teczkami i walizkami z podwójnym dnem, szczególnie w wielkich miastach. Przy przewozie prasy z miasta do miasta korzystano niekiedy z usług kolejarzy i kierowców samochodów ciężarowych, zaprzysiężonych członków danej organizacji lub ludzi przez nią rekomendowanych.

Lokale, w których dokonywano rozdziału prasy lub w których przechowywano przejściowo większe jej ilości, wyposażone były zazwyczaj w specjalne, dobrze zamaskowane skrytki pod podłogą, w murach, piecach, niekiedy w meblach. To samo dotyczyło mieszkań lub pomieszczeń różnych polskich biur czy instytucji, w których pracowali redaktorzy prasy tajnej. Znane są liczne wypadki nieodnalezienia przez policję hitlerowską tego rodzaju skrytek, mimo przeprowadzenia rewizji.

Żadne środki ostrożności nie mogły jednak zapobiec w sposób idealny wsypom i aresztowaniom. Kolportaż lub choćby posiadanie pojedynczych egzemplarzy prasy tajnej stanowiły stosunkowo często przyczynę aresztowań. Represje nie zdołały jednak ani zahamować, ani nawet w poważniejszym stopniu ograniczyć stałego, wprost lawinowego rozwoju prasy tajnej w okupowanej Polsce.

Wykrycie tajnej drukarni, magazynu lub punktu rozdzielczego prasy przez gestapo powodowało niemal zawsze śmierć wszystkich ujętych tam osób, a w rzadkich tylko wypadkach zesłanie ich do obozów koncentracyjnych, co zresztą często także równało się śmierci. Gestapo stosowało w podobnych sytuacjach zasady zbiorowej odpowiedzialności,

dokonując masowych aresztowań lokatorów całych kamienic lub nawet mieszkańców okolicznych ulic. Czytelników tajnej prasy traktowano na równi z jej dostawcami, a posiadanie jednego egzemplarza tajnego druku wystarczało do osadzenia w obozie koncentracyjnym. Rozmiar strat ludzkich poniesionych przez społeczeństwo polskie w związku z wytwarzaniem, rozpowszechnianiem i czytaniem prasy tajnej można należycie ocenić tylko przy rozpatrzeniu zakresu jej rozpowszechnienia, a tym samym stopnia oddziaływania. Każdy egzemplarz tajnego pisma czytany był przez kilka, a niekiedy nawet przez kilkanaście rodzin. Dość powszechnie przestrzegano zwyczaju nieniszczenia czasopisma możliwie jak najdłużej. W tych warunkach pismo wydawane w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy trafiało do kilkunastu lub kilkudziesięciu tysięcy czytelników. Centralne zaś, najbardziej poczytne pisma wojskowe i periodyki głównych stronnictw politycznych w podziemiu czytane były przez paręset tysięcy ludzi. Byli to przy tym czytelnicy stali, oczekujący w określonym terminie na otrzymanie numeru.

Poczynania większości tajnych czasopism (poza prasą lewicy rewolucyjnej i prasą skrajnej prawicy politycznej) koordynowane były w pewnym stopniu przez jeden z dwóch ośrodków:

1. Biuro Informacji i Propagandy (BiP) Związku Walki Zbrojnej, a od lutego 1942 r. Armii Krajowej;

2. Departament Informacji i Prasy w Delegaturze Rządu na Kraj.

Biuro Informacji i Propagandy było wydawcą całej prasy AK, a poza tym prowadziło na użytek Komendy Głównej tej organizacji wojskowej oraz Naczelnego Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w Londynie stałą analizę treści publikacji konspiracyjnych (zarówno prasy, jak i innych druków) w ramach badania opinii publicznej w kraju. Wśród kilkudziesięciu różnych komórek organizacyjnych wchodzących w skład tego biura funkcjonował między innymi referat, w którym opracowywano „Tygodniowe Sprawozdania Prasowe”, przegląd treści centralnej prasy tajnej wszystkich kierunków politycznych. Na czele Biura Informacji i Propagandy, będącego w ramach organizacji ZWZAK VI Oddziałem Sztabu w Komendzie Głównej, mającym swe odpowiedniki w sztabach poszczególnych okręgów, stał oficer dyplomowany w randze pułkownika, ale olbrzymią większość personelu stanowili przedwojenni pracownicy naukowcy wyższych uczelni z wykształceniem humanistycznym, prawniczym lub ekonomicznym, dziennikarze, literaci<sup>22</sup>.

Departament Informacji i Prasy Delegatury Rządu był wydawcą prasy Delegatury (przede wszystkim oficjalnego jej organu, to jest dwutygodnika „Rzeczpospolita Polska”, ukazującego się w Warszawie od marca 1941 r.), a ponadto czynnikiem koordynacji i opieki

w stosunku do prasy tych stronnictw politycznych i ogólnokrajowego ruchu podziemnego, które wchodziły w skład rządu emigracyjnego, popierały go lub co najmniej uznawały. Departament Informacji i Prasy subwencionował częściowo wydawanie niektórych publikacji konspiracyjnych, a ponadto organizował bazę techniczno-drukarską, niezależną od sieci drukarni wojskowych. W odpowiednich komórkach Departamentu prowadzono również stałą analizę działalności prasowo-politycznej w okupowanym kraju i przygotowywano systematyczne odpowiednie materiały informacyjno-sprawozdawcze dla pełnomocnika Rządu na Kraj i dla Rządu RP w Londynie<sup>23</sup>.

Prasa Polskiej Partii Robotniczej, Związku Walki Młodych, Gwardii Ludowej, a potem Armii Ludowej miała - jak już wspomniano - własny ośrodek wydawniczy (tak zwaną Centralną Technikę) i sieć kolportażu, zorganizowane całkowicie niezależnie od instytucji wojskowych i cywilnych „podziemia londyńskiego”. Podobnie rzecz się miała w odniesieniu do akcji wydawniczej niektórych grup prawicowych. Zarówno grupa „Szańca”, Narodowe Siły Zbrojne, jak i Ruch „Miecza i Pługa” organizowały we własnym zakresie technikę drukarską i kolportaż wytwarzanych druków.

Znaczenie społeczne naszej prasy konspiracyjnej i jej autorytet należały do najbardziej interesujących fenomenów psychologicznych życia społecznego w okresie okupacji. Anonimowi ludzie, przemawiający w imieniu swoich środowisk (grup, partii, stronnictw), w niepodpisanych artykułach, do nieznanymi czytelników, za pośrednictwem tajnie kolportowanych pism wpływali w bardzo poważnym stopniu na kształtowanie poglądów i na wytworzenie się określonych norm postępowania akceptowanych przez opinię publiczną. Ogłaszane w prasie konspiracyjnej zarządzenia Kierownictwa Walki Cywilnej czy - od lipca 1943 r. - Kierownictwa Walki Podziemnej, wskazówki, zalecenia i ostrzeżenia powtarzane z ust do ust, żyły potem własnym życiem również wśród tych ludzi, do których prasa tajna nie zawsze docierała i znajdowały w poważnym stopniu posłuch w różnych sprawach - zarówno większej, jak i mniejszej wagi - dotyczących postawy wobec okupanta lub manifestowania pewnych form solidarności narodowej. Z jednej strony społeczeństwo spodziewało się i oczekiwało od tajnej prasy informacji o faktach i wskazówek postępowania, z drugiej zaś prasa stymulowała tego rodzaju postawę, przyczyniając się do wytworzenia swego rodzaju nawyku liczenia się z treścią „gazetek” (jak wówczas często nazywano tajne periodyki).

Jednym z zadań tajnej prasy w warunkach okupacji było więc dążenie do wytworzenia swoistego kodeksu etyki narodowej, uwzględniającego między innymi jednolite negatywny stosunek wobec okupanta. W początku okupacji stereotyp Niemca jako okupanta wywodził się głównie ze stosunkowo niewinnych, jak się okazało, doświadczeń okresu pierwszej wojny

światowej. Obraz okrutnego, bezwzględnego wroga, zdążającego do zniszczenia narodu polskiego, wytworzył się w świadomości społecznej pod wpływem nowych doświadczeń, przede wszystkim zjawisk masowego terroru, obserwowanych od pierwszych tygodni okupacji (zbrodnie w Bydgoszczy i w Wawrze, metody i zasięg wysiedleń z województw zachodnich, utworzenie obozu w Oświęcimiu, masowe aresztowania i branki uliczne) i taki też, uzasadniony tragicznymi faktami, obraz okupanta przekazywała i utrzymywała tajna prasa. Stopniowo zaczął jednak odgrywać pewną rolę także model satyryczny wroga. „Satyra awansowała do roli obrońcy ogólnonarodowego morale [...] stała się potężną bronią całego narodu w walce z hitleryzmem, kształtując w dużym stopniu okupacyjną obyczajowość i postawę wobec zachodzących wydarzeń” - stwierdził słusznie po latach jeden z czynnych redaktorów tajnej prasy<sup>24</sup>. Wielu utalentowanych pisarzy starszego i młodszego pokolenia, autorów wierszy, piosenek i fraszek okolicznościowych, dowcipów i felietonów, poświęcało swe pióra „pokrępieniu serc” przez kpinę z okupanta, swoistej samoobronie psychicznej przez śmiech, przy równoczesnym egzekwowaniu nakazów postępowania obywatelskiego.

Dzięki swemu pluralistycznemu charakterowi prasa konspiracyjna reprezentowała ciągłość ideologii i programów poszczególnych środowisk. Można też w niej wyczytać próby poszukiwania nowych dróg. W odniesieniu do taktyki postępowania w konspiracji poszczególne stronnictwa polityczne reprezentowane w podziemiu, na przykład Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Ludowe czy Stronnictwo Narodowe, pozostawały wierne wzorcom wynikającym z tradycji i doświadczeń historycznych tych nurtów w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową, w dobie walki o niepodległość. W Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej dominowały także - w każdym razie w fazie początkowej - doświadczenia metod konspiracji wojskowej wywodzące się z POW czy nawet Związku Walki Czynnej i Drużyn Strzeleckich bądź też z konspiracji socjalistycznej przed pierwszą wojną światową. Komuniści czerpali doświadczenia z długoletniej przedwojennej praktyki konspiracyjnej.

Prasa poszczególnych stronnictw, grup i środowisk dawała jednak także komentarz do sytuacji aktualnej, zgodny z tradycją myślową i programową danych środowisk. Była zatem odbiciem stanu myśli państwowej i społeczno-politycznej, w szczególności zaś wynikających z niej zamierzeń i postulatów programowych, ale często i ewolucji, która następowała w warunkach nowych doświadczeń. Na bieżąco była elementem kształtującym poglądy polityczne czytelników. W tej sytuacji różnorodność wypowiedzianych ocen, ogromna rozpiętość w szczegółowym traktowaniu różnego rodzaju zjawisk życia wewnątrzpolitycznego i problemu stosunków międzynarodowych są dla badacza prasy tajnej

(w większym stopniu niż dla jej ówczesnego czytelnika, który zazwyczaj ograniczony był do lektury nielicznych tylko tytułów) bardzo interesującym źródłem do poznawania pluralizmu politycznego w warunkach państwa podziemnego. Również analiza konspiracyjnej prasy kulturalnej pozwala na zorientowanie się w postępującej polaryzacji stanowisk w ocenie zjawisk przeszłości polskiego życia kulturalnego i w różnorodnych tendencjach programowych kształtujących się aktualnie i na przyszłość. Świadczy też ona o żywym pulsie życia intelektualnego, bynajmniej niestłamszonego warunkami okupacji.

Osobne zagadnienie, wcale niebłahe, stanowiło poczucie swobody wypowiedzi w tajnej prasie. W warunkach okupacji z natury rzeczy nie obowiązywała żadna cenzura państwowa ani inna. Po trzynastu latach (1926-1939) z pełną, niekontrolowaną swobodą doszedł do głosu właśnie na łamach tej prasy układ wielopartyjny, koalicja reprezentująca różne poglądy szczegółowe, ale współdziałająca dla wspólnej sprawy, w konkretnym wypadku - dla sprawy odbudowy niepodległości i w imię symbolu suwerenności, jakim był rząd polski na emigracji.

Istotnym znamieniem tajnej prasy i pewną swoistością jej tonu było poczucie doniosłości własnej roli oraz misji do spełnienia zarówno „na dziś” w zakresie informowania i podtrzymywania na duchu społeczeństwa, jak i „na jutro” w kształtowaniu wizji programowej Polski powojennej. Prasa konspiracyjna odzwierciedlała przy tym oczekiwania społeczeństwa i jego poziom gotowości, dojrzałości czy niedojrzałości do przyjęcia realiów wynikających z ewolucji sytuacji międzynarodowej. Charakterystycznym zjawiskiem był jej wysoki autorytet zarówno ze względu na świadomość wysokiej ceny ofiar ponoszonych przez środowiska ruchu podziemnego, jak i na szacunek dla polskiego słowa drukowanego w warunkach niewoli, jak wreszcie na potrzebę autorytetu, który prasa ta reprezentowała na zewnątrz w imieniu swoich mocodawców.

Ponadto prasa konspiracyjna przez sam fakt istnienia chroniła społeczeństwo przed poczuciem pełnego zniewolenia, była bowiem widowym znakiem polskiego niezależnego nurtu życia.

Tajna prasa stanowi dzisiaj poważne źródło do badania dziejów okupacji. Analiza treści poszczególnych periodyków, z uwzględnieniem miejsca i okresu ich wydawania i społecznego czy też politycznego środowiska sprawczego, pozwala na wyciąganie pewnych wniosków w odniesieniu do problemów ideologicznych i programowych w polskim życiu podziemnym. Publikacje konspiracyjne - prasa i osobne druki programowe - umożliwiają stwierdzenie, jaki był stan świadomości, opinii, poglądów różnych środowisk politycznych, zarówno tych, które stanowiły kontynuację tradycyjnych nurtów, myśli i formacji (obóz



narodowy, socjalistyczny, piłsudczykowski, ludowcy, chrześcijańscy demokraci, środowiska liberalno-demokratyczne), jak i poszczególnych ugrupowań i środowisk (na przykład lewego skrzydła Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, a szczególnie komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej), których ukonstytuowanie się i rozwój związane były z ewolucją sytuacji wojennej i politycznej. Tajna prasa pozwalała na poznanie oraz zrozumienie opinii i poglądów, oceny bieżących zjawisk życia w kraju w warunkach okupacji, jak też zjawisk na arenie polityki międzynarodowej, widzianych i rozpatrywanych z perspektywy okupowanego kraju. Przynosi zarazem niemały zasób wiadomości o zjawiskach życia społecznego, problemach gospodarczych, a nawet obyczajowych, szczególnie tych, które wchodzą w zakres moralności społecznej.

Odrębny problem - pozostający niejako na marginesie problematyki tajnej prasy - stanowi funkcjonowanie, w ciągu kilku tygodni czy dwóch miesięcy, prasy Powstania Warszawskiego, pism wydawanych jawnie w wyzwolonych w czasie działań powstańczych częściach miasta. Dotychczasowy stan badań pozwala na stwierdzenie, że na terenie lewobrzeżnej Warszawy objętej powstaniem ukazywały się w tym czasie ogółem co najmniej 134 wydawnictwa periodyczne: dzienniki, czasopisma, biuletyny, komunikaty radiowe, serwisy agencyjne, z czego 1/3 stanowiła bezpośrednią kontynuację poszczególnych tytułów prasy konspiracyjnej (wśród nich pism o ustalonej tradycji „Biuletynu Informacyjnego”, „Rzeczpospolitej Polskiej”, „Robotnika”, „Głosu Warszawy”, „Walki”, „Szańca”, czy „Tygodnia”), 2/3 zaś ogólnej liczby tytułów było wytworem potrzeb chwili: ich egzystencja rozpoczęła się po wybuchu powstania i skończyła wraz z jego wygasaniem w poszczególnych dzielnicach miasta<sup>25</sup>. Funkcja społeczna tej prasy, mimo krótkotrwałości zjawiska, wydaje się bardzo doniosła ze względu na szczególne warunki bytu ludności, wystawionej na ogromną próbę i poddanej szczególnie dotkliwemu ciśnieniu doświadczeń w okresie trwania działań powstańczych w Warszawie.

Pisma powstańcze odegrały w oblężonym i izolowanym od świata mieście poważną rolę informacyjną, równocześnie jednak stanowiły środek oddziaływania na nastroje oddziałów walczących i ludności, podtrzymywania i podnoszenia ich na duchu, i w pewnej mierze kształtowania poglądów.

W prasie powstańczej, podobnie jak poprzednio w konspiracyjnej, występowały różnice w sprawie zasad programu społeczno-politycznego i ustroju przyszłej Polski oraz w odniesieniu do pewnych problemów polityki zagranicznej, a w szczególności stosunków polsko-sowieckich. Prasa ta jednak - firmowana zarówno przez wojsko, jak i przez różne partie i stronnictwa polityczne - współdziałała ze sobą harmonijnie w dziedzinie solidarnego

wspierania wysiłku zbrojnego oraz organizacji życia ludności cywilnej.

Analogiczną do prasy rolę w życiu społeczeństwa w warunkach okupacji spełniały publikacje zwarte - książki i broszury. Konspiracyjny rynek wydawnictw książkowych był również bardzo obfity. Niepełna bibliografia publikacji zwartych, opracowana przez Władysława Chojnackiego, rejestruje (według stanu wiedzy z lat 1969-1970) 1075 książek i broszur w 1239 częściach (tomach, zeszytach), wydanych w Polsce w okresie okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 bez wiedzy i zezwolenia okupanta<sup>26</sup>. Obecnie szacuje się liczbę druków zwartych, ogłoszonych konspiracyjnie w kraju w tym czasie, na 1400-1500 pozycji. Problematyka tej kategorii wydawnictw była w poważnym stopniu służebna wobec politycznych i wojskowych potrzeb chwili. Dziesiątki broszur poświęcone były jednak problematyce programowej zarówno w zakresie zagadnień ustrojowych, ekonomicznych, społecznych, jak i stosunków międzynarodowych oraz sprawy przyszłych granic Polski<sup>27</sup>. Zainteresowani więc myślą społeczną i polityczną okresu drugiej wojny światowej traktować muszą łącznie prasę i wydawnictwa jednorazowe (broszury, książki, ulotki) jako materiał badawczy.

Warto też na koniec zwrócić uwagę, że bezprecedensowe historyczne zjawisko, jakim był polski podziemny ruch wydawniczy - prasowy i książkowy - w okresie okupacji, wchodzi w zakres szerszego - i również nieposiadającego odpowiednika w dziejach - kompleksu spraw, które można określić jako model niezawisłego życia kulturalnego, wytworzony przez naród w warunkach zamierzonej totalnej likwidacji jego samoświadomości. I z tego więc punktu widzenia, w powiązaniu z innymi licznymi elementami, składającymi się na ów obronny, ale i dynamiczny system, tajna prasa stanowi istotny materiał poznawczy.

1 Tekst ogłoszony pierwotnie w pracy zbiorowej *Na warsztatach historyków polskiej myśli politycznej* (WrocławWarszawa 1980), potem w tomie *Na drodze do niepodległości* (Editions Spotkania, Paryż 1987).

2 *Mały rocznik statystyczny 1939*, Warszawa 1939, s. 345; Maciej Kwiatkowski, „Warszawska rozgłośnia Polskiego Radia we wrześniu 1939 r.”, *Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia z okresu II wojny światowej*, t. VIII, Warszawa 1964, s. 9.

3 Lucjan Dobroszycki *Prasa polska w okresie kampanii wrześniowej (1-28 września 1939 r.)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”, 1966, z. 1. Por. też: *Cywilna obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. Dokumenty, materiały prasowe, wspomnienia i relacje*, Warszawa 1964.

4 Por. Czesław Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I, Warszawa 1970, s. 21-110; Bartoszewski, *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944*, wyd. 2, Warszawa

1970, s. 36-38.

5 *Das Diensttagebuch des deutschen Gouverneurs in Polen 1939-1945*, pod red. W. Präga, W. Jacobmeyera, Stuttgart 1975, s. 54. Por. też: Stanisław Piotrowski, *Dziennik Hansa Franka*, Warszawa 1956, s. 113.

6 Tamże. Por. też komunikat w „Nowym Kurierze Warszawskim”, nr 15, 27 X 1939.

7 Dobroszycki, *Die legale polnische Presse im Generalgouvernement 1939-1945*, München 1977.

8 Np. pierwszy numer konspiracyjnego czasopisma „Polska żyje” wydano w Warszawie 10 X 1939 r., a pierwszy numer hitlerowskiego dziennika w j. polskim „Nowy Kurier Waszawski” datowany był 11 X 1939 r.

9 Dobroszycki, *Polskie czasopiśmiennictwo konspiracyjne w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Zeszyty Prasoznawcze” 1961, nr 1-2, s. 57; Bartoszewski, *Die polnische Untergrundpresse in den Jahren 1939 bis 1945*, „Publizistik, Zeitschrift für die Wissenschaft von Presse, Rundfunk, Film, Rhetorik, Öffentlichkeitsarbeit, Werbung, Meinungsbildung”, Kolbenz 1967, z. 2-3, s. 151.

10 *Centralny katalog polskiej prasy konspiracyjnej 1939-1945*, Warszawa 1962, oprac. L. Dobroszycki; Dobroszycki, *Zaginiona prasa konspiracyjna w latach 1939-1945*, „Najnowsze Dzieje Polski. Materiały i studia z okresu II wojny światowej”, t. VII, Warszawa 1963, s. 173-196; Dobroszycki, Bartoszewski, *Prasa ruchu oporu w Polsce 1939-1945. Stan badań i postulaty*, w: *Historia prasy polskiej a kształtowanie się kultury narodowej*, Warszawa 1968, s. 54-56.

11 Tamże.

12 Tamże.

13 Bartłomiej Golka, *Prasa konspiracyjna Ruchu Ludowego 1939-1945*. Warszawa 1975; Antoni Przygoński, *Prasa konspiracyjna PPR. Zarys, katalog, życiorysy*, Warszawa 1966; *Publicystyka konspiracyjna PPR (1942-1945)*, t. III, Warszawa 1961-1967.

14 Bartoszewski, *Konspiracyjne czasopiśmiennictwo kulturalne w kraju w latach 1939-1945. Zarys informacji*, „Twórczość”, 1961, nr 10, s. 81-102.

15 Por. *Z dziejów podziemnego Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1961; *Walka o dobra kultury. Warszawa 1939-1945*, praca zbior. pod red. S. Lorentza, t. III, Warszawa 1970; *Ne cedat Academia. Kartki z dziejów tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim 1939-1945*, oprac. M. i A. Zarębowie, Kraków 1975; Władysław Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich. Uniwersytet Poznański 1940-1945*, Poznań 1961; *Uniwersytet Ziem Zachodnich i tajne kursy uniwersyteckie 1939-1945. Pokłosie wspomnień*, oprac.

J. Wikariak, Poznań 1972.

16 Bartoszewski, *Konspiracyjne czasopiśmiennictwo...*; por. też: *Satyra w konspiracji 1939-1944*, oprac. G. Załęski, wyd. 2, Warszawa 1958. Monograficzne opracowanie pisma „Na ucho...” ogłosił Jerzy Jarowiecki w „Roczniku NaukowoDydaktycznym WSP” w Krakowie, z. 24: *Prace historycznoliterackie III*, 1966, s. 73-111.

17 Bogdan Hillebrandt, *Konspiracyjne organizacje młodzieżowe w Polsce 1939-1945*, Warszawa 1973.

18 Por. Joseph Kermish, *On the Underground Press in the Warsaw Ghetto*, w: *Yad Vashem. Studies on the European Jewish Catastrophe and Resistance*, t. I, Jerusalem 1957, s. 85-124.

19 O organizacji i metodach pracy tajnych drukarni prasy zob.: Michał Wojewódzki, *W tajnych drukarniach Warszawy 1939-1944. Wspomnienia*, wyd. 2, Warszawa 1978; Celestyna Orlikowska, *Podziemna drukarnia przy ul. Ogrodowej 62 i jej ludzie*, „Rocznik Warszawski”, t. XIII, 1975; Wacław Zagórski, *Wolność w niewoli*, Londyn 1971; J. Sawajner, *W podziemiach tajnej drukarni (KWZW)*, Kraków 1947; Hillebrandt, *Centralna Technika PPR*, „Z pola walki”, 1962, nr 1, s. 73-87.

20 Władysław Chojnacki, *Działalność wydawnicza polskiego ruchu oporu 1939-1945*, „Kwartalnik Historyczny”, 1970, z. 3, s. 758.

21 Maria Straszewska, „*Biuletyn Informacyjny*” 1939-1944, „Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia z okresu II wojny światowej”, t. XI, 1967, s. 127-164; Wojewódzki, dz. cyt.

22 Jan Rzepecki, *Organizacja i działanie Biura Informacji i propagandy (BiP) Komendy Głównej AK*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, 1971, nr 2-4.

23 Stanisław DołęgaModrzewski, *Polskie Państwo Podziemne*, Londyn 1959.

24 Grzegorz Załęski, redaktor satyrycznego pisma konspiracyjnego „Moskit”, w przedmowie do wyd. 2 antologii *Satyra w konspiracji 1939-1944*.

25 Bartoszewski, *Prasa Powstania Warszawskiego. Zarys historycznobilbliograficzny*, „Rocznik Warszawski”, t. XI, Warszawa 1972, s. 303-382.

26 Chojnacki, *Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*, Warszawa 1970; tenże, *Uzupełnienia do „Bibliografii zwartych druków konspiracyjnych”*, „Przegląd Historyczny” 1972, z. 4, s. 691-699.

27 Por. Marian Orzechowski, *OdraNysa ŁużyckaBałtyk w polskiej myśli politycznej okresu drugiej wojny światowej*, Wrocław 1969.

## **Znak Polski Walczącej**

Wielkanoc w roku 1942 przypadała dość wcześnie, bo w dniach 5 i 6 kwietnia. Zima dawała się jednak w Warszawie dotkliwie we znaki jeszcze w marcu, toteż codzienne bytowanie mieszkańców stolicy obfitowało w trudności i kłopoty.

Wzmagala się akcja represyjna okupanta, 2 marca rozstrzelano pod miastem 100 więźniów politycznych z Pawiaka i Alei Szucha; wśród nich znajdowali się m.in.: znany pedagog i działacz ludowy Jędrzej Cierniak, literaturoznawca Stefan Essmanowski i generał w stanie spoczynku Edward Szpakowski. Nowo aresztowani napływali licznie do więzień. Na Pawiaku osadzono duże grupy pracowników Ubezpieczalni Społecznej i Zarządu Miejskiego (szczególnie tramwajarzy). Przygnębienie w mieście spotęgowane było intensywnym werbunkiem do robót przymusowych w Rzeszy (w obozie przejściowym na Skaryszewskiej panowało przepełnienie) i nowymi zarządzeniami o przesiedleniach. Niemcy codziennie wyrzucali po kilkadziesiąt osób z domów położonych w obrębie nowo tworzonej dzielnicy niemieckiej. Na ulicach Warszawy zebralo kilka tysięcy dzieci (w tym wiele żydowskich). Stanowi to dobitny wyraz rosnącej nędzy całego społeczeństwa i strasznego losu mieszkańców getta warszawskiego, gdzie blisko 500 tysięcy ludzi wegetowało za murami w najokropniejszych warunkach.

Sytuacja aprowizacyjna miasta pogorszyła się w marcu, jak zwykle w okresie przedświątecznym. Policja niemiecka urządzała bowiem codzienne obławy na drogach wjazdowych do Warszawy, rabując, co się da. Wzrastały więc ceny mięsa, tłuszczów, ziemniaków, chleba. Kilogram słoniny kosztował już 70 złotych. Prasa podziemna apelowała przed Wielkanocą do społeczeństwa o dary w gotówce i naturze na święcone dla jeńców w obozach, dla więźniów i ich rodzin, dla najbiedniejszych.

Mimo niezwykle ciężkich warunków życia i bolesnych doświadczeń - opór Warszawy krzepł z miesiąca na miesiąc: rozwijały się zbrojne i polityczne formacje podziemia, rosły Szare Szeregi, tysiące młodzieży kontynuowały legalnie i półlegalnie naukę w szkołach różnego typu i studiowały na konspiracyjnych kompletach akademickich z myślą o lepszym jutrze, z wiarą w niepodległość.

Historia zdjęcia tablicy z niemieckim napisem z pomnika Kopernika, znakomity wyczyn wawerski Alka Dawidowskiego, uzyskała na przedwiośniu 1942 r. szeroki rozgłos w mieście. Represyjny nakaz rozbiórki pomnika Kilińskiego na Placu Krasieńskich spowodował ogólne wzburzenie, a słynny napis na murach Muzeum Narodowego, demaskujący miejsce ukrycia szewcapułkownika - cieszył warszawiaków jak dzieci.

13 marca pojawiło się na cokole pomnika Kopernika krótkie obwieszczenie o

„przedłużeniu zimy w odwet za zniszczenie Kilińskiego”. W tych samych dniach marcowych 1942 r. przechodnie dostrzegli na murach i parkanach niespotykany dotychczas rysunek: kompozycję liter P i W, przypominającą w kształcie stylizowaną kotwicę. Tu i ówdzie dodatkowe napisy kredą lub czarną farbą wyjaśniały znaczenie tego znaku pełnymi słowami: POLSKA WALCZĄCA. Symbol kotwicy zrosł się potem mocno w pamięci warszawiaków ze wspomnieniem lat wojny. Spotyka się jednak do dziś dnia wątpliwości, kiedy kotwice pojawiły się po raz pierwszy na murach walczącego miasta i jak do tego doszło. A przecież żyli wśród nas ci, których ręce kreśliły kredą lub farbą nowy znak Polski Walczącej.

I wielu z nich żyje jeszcze do dziś dnia w Warszawie.

Spróbujemy przeto wyjaśnić po 17 latach sprawę znaku kotwicy i okoliczności jego pojawienia się w Warszawie.

W odnalezionym niedawno dokumencie archiwalnym - raporcie „Filharmonii” („Filharmonia” to kryptonim Biura Informacji i Propagandy Okręgu Warszawskiego AK, używany w owym czasie) za miesiąc marzec 1942 r. do Komendanta Okręgu Warszawskiego AK - stwierdzono lapidarnie (w części II, pkt. 1, litera E):

„Rozpoczęto rysowanie na murach, płotach, tablicach itp. znaku Polski Walczącej (kotwica)”.

To zdanie z raportu BiPu Okręgu Warszawskiego rozprasza całkowicie wątpliwości, które mogły się wyłaniać dotychczas w odniesieniu do początkowego terminu rysowania kotwic.

Resztę sprawy wyjaśniają inne zdania z tegoż raportu:

Jako reakcja przeciwko zamordowaniu 100 więźniów Pawiaka rozrzucono 35 tysięcy ulotek oświetlających tło mordów niemieckich oraz wspólnie z „PLANEM” rozlepiono klepsydry.

A także:

Piątka, która robiła tablicę Kopernika, umieściła w związku z tym wielki napis na Muzeum Narodowym i plakat na pomniku Kopernika.

Ponieważ zaś skądinąd wiadomo, że nalepka na cokole pomnika pojawiła się 13 marca 1942 r. (informuje o tym „Biuletyn Informacyjny” nr 12/116 z 26 marca 1942 r.) oraz że ulotki w sprawie morderstwa dokonanego 2 marca 1942 r. na stu więźniach Pawiaka rozrzucone były w pierwszej połowie miesiąca - przeto zestawienie meldunków o wykonaniu tych zadań w ówczesnym miesięcznym raporcie do władz zwierzchnich w chronologicznym porządku obok siebie z meldunkiem o rozpoczętej akcji rysowania kotwic wskazuje niezawodnie na pierwszą połowę marca 1942 jako na datę narodzin znaku Polski Walczącej.

W numerze 15/119 „Biuletynu Informacyjnego” z dnia 16 kwietnia 1942 r. opublikowano po raz pierwszy reprodukcję znaku PW oraz notatkę redakcyjną pt. *Kotwica* następującej treści:

Już od miesiąca na murach Warszawy rysowany jest znak kotwicy. Rysunek kotwicy jest robiony tak, że jego górna część tworzy literę „P”, zaś część dolna literę „W”. Pewna ilość napisów objaśnia, że znak kotwicy jest znakiem Polski Walczącej. Zapoczątkowany być może przez jakiś zespół - znak ten stał się już własnością powszechną. Co dzień ścierany z murów pojawia się na tych murach na nowo, rysowany przez nieznaną tysiące rąk. Są ulice, gdzie znaków jest mniej, ale i są takie - gdzie widzi się je w każdym domu, na każdej latarni, na chodnikach [...]. Nie umiemy wytłumaczyć popularności tego znaku. Być może działa tu chęć pokazania wrogowi, że mimo wszystko - nie złamał naszego ducha, że jesteśmy, że czekamy tylko na dogodną chwilę. Może na wyobraźnię „rysowników” działa symbolika kotwicy - znaku nadziei oraz niezawodności? A może tylko przekorna chęć zagłuszenia wrogiej swastyki własnym polskim znakiem?

Tak czy inaczej - znak kotwicy opanował stolicę i jest prawdopodobne, że rozpowszechni się po całym kraju. Niech idzie w świat, niech niepokoi wroga, niech świadczy, że Polska Walcząca żyje i czuwa.

Ten niedwuznaczny komentarz stanowił najtrafniejszą wykładnię intencji posługiwania się symbolicznym znakiem kotwicy. I nic dziwnego. Wszak redaktorem naczelnym „Biuletynu Informacyjnego” był Aleksander Kamiński, zarazem autor miesięcznych sprawozdań „Filharmonii”, jako szef BiPu Okręgu Warszawskiego AK, oraz Komendant Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”, skupiającej wówczas w Warszawie około 400 mężczyzn i kobiet, którzy wykonywali co tydzień, równocześnie w całym mieście, przemyślane akty antyhitlerowskiej dywersji propagandowej.

Skromna uwaga o zapoczątkowaniu tego znaku być może przez jakiś zespół dotyczyła faktycznie organizacji „Wawer”. Wśród wawerczyków bowiem powstała myśl wprowadzenia tego rodzaju symbolu, a ściślej rzecz biorąc, pomysł ten powstał - o ile się to dziś stwierdzić daje - w gronie kobiet zorganizowanych w „Wawrze”. „Wawer” poczytywał sobie w owym czasie za jedno z głównych zadań popularyzację kotwicy, jako znaku mającego przytłoczyć ilościowo hitlerowskie swastyki, kłujące zewsząd oczy warszawiaków. Jak wiemy z autorytatywnej relacji Aleksandra Kamińskiego w *Kamieniach na szaniec* - wśród harcerzy czynnych w „Wawrze” szczególną zasługę w zakresie upowszechnienia symbolu Polski Walczącej miał Tadeusz Zawadzki - „Zośka”, który z tej racji otrzymał nawet od Komendanta „Wawra” zaszczytny pseudonim „Kotwicki”. Do znakomitych zaś realizatorów tego zadania

należał Jan Bytnar - „Rudy”, autor kotwicy wyrysowanej w roku 1942 w centrum miasta - na wysokim cokole pomnika Lotnika na Placu Unii Lubelskiej o kilkaset kroków od gmachu gestapo.

Akcja rysowania kotwic rozwijała się bardzo sprawnie. W raporcie „Filharmonii” do Komendanta Okręgu Warszawskiego AK za miesiąc kwiecień 1942 r. stwierdzono (w części II, pkt. 1, litera A):

Przez dwa tygodnie prowadzono akcję rysowania (kredą, farbą) znaku Polski Walczącej - kotwicy. Akcja powyższa wypadła dobrze. Ulica spontanicznie współdziałała w rysowaniu kotwic. W dwóch dzielnicach wywieszono transparenty ze znakiem kotwicy.

Znak kotwicy spełnił zamierzone zadanie - stał się w krótkim czasie jednoznacznym symbolem patriotycznego ruchu oporu, walki z okupantem, wyrazem pewności zwycięstwa. Począwszy od chmurnych marcowych dni 1942 roku nie zniknął już aż do Powstania Warszawskiego z murów, chodników i parkanów stolicy, z ulotek, nalepek i łamów prasy podziemnej, pojawiał się na miejscu sukcesów odnoszonych w potyczkach z wrogiem, nieznanie ręce kreśliły go na miejscach straceń, wśród szczerb muru odłupanych kulami niemieckich plutonów egzekucyjnych.

Spotykaliśmy te znaki obok napisów „Polska zwycięży”, obok haseł „Pawiak pomścimy”, spotykaliśmy je na każdym kroku.

Próbowano przydawać potem literom PW inne jeszcze znaczenie. Np. w numerze 8/163 „Biuletynu Informacyjnego” z 25 lutego 1943 r. znajdujemy obok rysunku kotwicy wyjaśnienie: „Znak ten jest już od dawna znany w wielu miastach i miasteczkach Polski. Zamazywany i na nowo rysowany widnieje na tysiącach murów i parkanów. Jest to znak podziemnego Wojska Polskiego”. Bez względu na taką czy inną możliwą interpretację sensu liter PW przyjęło się jednak jak najszerzej pierwotne ich znaczenie, zgodne z intencją twórców symbolu: POLSKA WALCZĄCA.

PW - dwie początkowe litery słów „Polska Walcząca” odegrały potem historyczną rolę, przerastającą z pewnością najśmielsze wyobrażenia chłopców i dziewcząt z „Wawra”, którzy rysowali je na murach swego miasta. Dziś, powielone w setkach tysięcy egzemplarzy książek, powtarzane jako motyw odznak pamiątkowych - stały się własnością całego Narodu, piękną pamiątką - a następnie już nie tylko pamiątką - dni walki.



## **Lata wojenne Stanisława Herbsta**

Postać Stanisława Herbsta mało przystaje do zgiełku oręża, do okrucieństw wojny, do licytacji siły i brutalności; do tych wielkich napięć, które towarzyszą każdej wojnie. Wydaje się, że jeśliby kto poznał tego człowieka na tle innych lat życia, pracy i wydarzeń, miałby poważną trudność w powiązaniu go z tak nietypowymi, a tak przecież prawdziwymi w naszych losach, strasznymi latami, w których uczestniczył w rzeczach niezwykłych, choć w sposób szczególny. Herbst należał do tych ludzi, dla których wojna nie była przygodą, ale służbą; nie barwą, ale znojem cichym, heroicznym; zwyczajnością, lecz zwyczajnością piękną. Dopiero z perspektywy, przy badaniu wielostronności jego udziału w tamtych latach w różnego rodzaju pracach, dojrzeć można konsekwencję, upór, wysiłek i ludzką wielkość tego cichego człowieka. O swych działaniach niewiele mówił, niewiele też o nich napisano, albo zgoła nic. Gromadzi się więc dziś ułamki faktów jak kamyki do mozaiki, z ciągle istniejącymi lukami. W tym wypadku nie tylko skromność osobista, ale i wymagania konspiracji i wzgląd na innych ludzi powodowały - w większym jeszcze niż w odniesieniu do innych spraw stopniu - maksymalną dyskrecję Stanisława Herbsta, powściągliwość, nieczęste wracanie w słowach do tego okresu życia. A równocześnie świadczona czynem solidarność ze sprawami czasu minionego, pomoc ludziom w przewycięzaniu pozostałości i remanentów historycznych i zawodowych wojny - wszystko to wskazywało na trwałe i głębokie powiązanie psychiczne Stanisława Herbsta z tamtym okresem.

W chwili wybuchu wojny był kontraktowym asystentem prof. Oskara Sosnowskiego w Zakładzie Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej (jak mówi o sobie: „z wymiarem pracy 24 godziny tygodniowo”). Zajmował się przede wszystkim redagowaniem wydawnictw naukowych, a w szczególności *Biuletynu Historii Sztuki i Kultury*. Był też sekretarzem Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, a poprzednio już urzędnikiem Departamentu Wyznań Religijnych Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; szczególnie godny uwagi, nieobojętny dla jego dalszej działalności wojennej. Był też pracownikiem Kasy im. Mianowskiego - i to są te główne dziedziny aktywności zawodowej Herbsta, które przypomnieć trzeba, kiedy wchodzimy w jego wojenny życiorys.

O pierwszych tygodniach wojny pisze z największą i właściwą sobie prostotą, nie bez pewnej nutki autoironii. A to pisanie jest niesłychanie charakterystyczne dla losów zagubionej w tej wojnie inteligencji polskiej, zwłaszcza w początkowym okresie. Jest przy tym świadectwem oczywistej solidarności współdziałania we wszystkim, w czym uczestniczyła społeczność warszawska, której losy dzielił Herbst od 1918 roku. Dzielił je również w najtrudniejszych dniach bombardowania miasta w 1939 roku<sup>2</sup>:

Gdy w nocy z 6 na 7 IX nastąpiło zagrożenie Warszawy przez pancerny zagon od Piotrkowa, wezwany przez radio zgłosiłem się na Plac Zbawiciela do robót fortyfikacyjnych i kopałem rowy przeciwczołgowe przy Alei Niepodległości róg Raławickiej. Było to po apelu Umiastowskiego, więc wczesnym rankiem wróciwszy do domu wahałem się, czy nie wyjść z miasta. Stelefonowałem się z prof. Oskarem Sosnowskim, by mu zakomunikować decyzję (...) wyjścia. Telefon przyjęła profesorowa. Powiedziała, że profesor też był przy pracy nocnej i odsypia, ale należy zostać.

Mijają dni. Herbst zgłasza się do dziekana Stefana Bryły na Wydziale Architektury.

Dziekan powiedział mi, że pamięta, co było najcięższe z walk o Lwów w 1918-1919 - brak wody. Znajoma firma z ul. Karolkowej obiecała mu zainstalować pompę na dziedzińcu Wydziału, trzeba tę pompę przywieźć. Już uzyskał zgodę w Komisariacie z ul. Poznańskiej na przydział furmanki. Gdy przybyłem do Komisariatu z opaską Straży Obywatelskiej, dość szybko dostałem furmankę niejakiego Samoraja (gospodarza z Wilanowa), spośród licznie stłoczonych w podwórzu, i dojechaliśmy szczęśliwie na Karolkową. Powrót z pompą był trudniejszy, bo na Bagnie zaskoczył nas nalot i koń się spłoszył. Jednak w końcu dotarliśmy na Wydział. Nazajutrz pompa była już czynna i potem dobrze służyła, choć od nadmiernej pracy uległa uszkodzeniom. Pilnowanie porządku przy pompie było jednym z moich zadań.

I tak zaczął wielką wojnę ten obiecujący pracownik naukowy, młody doktor w Zakładzie Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej. Jego życie wrześnie potoczyło się kolejno przy różnych zadaniach, które podejmował spokojnie i ochoczo wszędzie, gdzie był potrzebny. A więc znalazł się i w Muzeum Narodowym („Zgodnie z wezwaniem prezydenta Starzyńskiego wyszliśmy z dyr. Lorentzem w Aleje Jerozolimskie z miotłami, by normalizować życie oblężonego miasta”), i w Archiwum Ordynacji Nieświeskiej na Marszałkowskiej 113, gdzie trzeba było zająć się opuszczonymi zbiorami („Odtąd codziennie zachodziłem tu i z woźnym tak przesuwaliśmy szafy, by mniej były narażone”).

Może ta początkowa niewspółmierność wielkich i bezowocnych wysiłków ludzi wobec piekła, które rozpętało się nad nimi, wygląda dzisiaj naiwnie, rozczulająco - ale przecież to jest prawdziwa relacja człowieka, który postawiony wobec Apokalipsy czyni swoje obowiązki i wykonuje je codziennie wzorowo. Było to niezmiernie charakterystyczne w wymiarach wojennych w codziennej postawie Herbsty.

Nadchodzi kapitulacja miasta, po ciężkich doświadczeniach, które odnotowuje Herbst w swej relacji tylko skrótowymi zdaniem - a przecież za nimi kryją się dotkliwie przeżycia. Wiemy, jak blisko czuł się związany z prof. Oskarem Sosnowskim, zapisał zaś jedynie<sup>3</sup>:

Na dziedzińcu Wydziału został śmiertelnie ranny prof. Oskar Sosnowski i umarł 24 IX

w prowizorycznym szpitalu w teatrze na ulicy Śniadeckich. Nie zdobyłem się na to, by pomóc jego synowi w skleceniu skrzynitrumny.

Niebawem, już pod okupacją niemiecką, uczestniczyć ma Herbst w akcji godnej sensacyjnego filmu. Oto Jerzy Szablowski i Jan Zachwatowicz dokonują śmiałego zajazdu samochodowego na dziedziniec Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zajętego już przez Niemców. Od frontu gospodaruje tu już *Einsatzkommando der Sicherheitspolizei*, zawiązek warszawskiego gestapo, ale w piwnicach znajdują się cenne zbiory - wiele tysięcy klisz i rysunków Centralnego Biura Inwentaryzacji Zabytków Sztuki w Polsce. W rozumieniu historyków sztuki oczywistym obowiązkiem jest ocalenie ich. Samochodem, bez zgody Niemców, wjeżdżają na dziedziniec i wyjeżdżają szczęśliwie po załadowaniu klisz. Stanisław Herbst pracował przy rozładowywaniu i ukryciu 128 tak ocalonych skrzyń na ul. Koszykowej 55, w zakładzie Architektury Polskiej<sup>4</sup>.

W dalszym okresie okupacji działalność Herbsta nabiera wielostronnych, bogatych barw. Uderzająca jest rozpiętość zainteresowań człowieka - przecież nie polityka i nie wojskowego - czynnego w centralnych komórkach Związku Walki Zbrojnej, a potem Armii Krajowej. Już w pierwszej połowie 1940 r. pojawiają się w „Biuletynie Informacyjnym”, organie ZWZ wydawanym w Warszawie, krótkie, ale celne noty i komentarze Herbsta dotyczące głównie polityki okupanta na ziemiach polskich<sup>5</sup>.

W drugiej połowie 1940 r., kiedy ruch podziemny w kraju daleki był jeszcze od tego rozpowszechnienia i zasięgu, do jakich doszedł w ciągu lat następnych, Stanisław Herbst należał już do szczupłego wtedy grona pracowników Wydziału Informacji w Biurze Informacji i Propagandy (BiP) Komendy Głównej ZWZ.

Dla lepszej orientacji w charakterze działalności tego Wydziału, w której uczestniczyć miał odtąd w ciągu przeszło czterech lat, sięgnijmy do kompetentnej relacji płk. dypl. dr. Jana Rzepeckiego, szefa BiP KG ZWZ od października 1940 r.:

Praca [...] na zewnątrz nieefektowna, a jednak wszystko przenikająca, przebiegała bardzo regularnie, przy minimum wstrząsów. Główną formą pracy [...] pozostawało cotygodniowe zestawienie projektu naszych wstawek do tygodniowego meldunku sytuacyjnego dowódcy AK i opracowywanie przez każdy z referatów raportu z dłuższego okresu (2-4 tygodni) swoich studiów [...]. Wydział Informacji studiował wszystkie zagadnienia mogące nas interesować. Mogłem od niego zażądać referatu na każdy temat wraz z konkretnymi wnioskami i projektami. Zawsze otrzymywałem „towar” pierwszej klasy<sup>6</sup>.

Na czele tego Wydziału stał inż. architekt Jerzy Makowiecki („Tomasz”, „Malicki”, „Kuncewicz”), przedwojenny działacz Stronnictwa Demokratycznego.

Zgromadził w swej komórce zespół znakomitych fachowców i badaczy zagadnień ze świata politycznego i warszawskich wyższych zakładów naukowych. Byli to przeważnie ludzie bezpartyjni, zbliżeni do centrowych lub postępowych grup politycznych: od chrześcijańskiej demokracji do socjalistów, syndykalistów - stwierdza Jan Rzepecki. Do grona pracowników i współpracowników Wydziału Informacji, stanowiących wówczas - w szerszym rozumieniu - środowisko Stanisława Herbsta należeli w różnych okresach (niektórzy do chwili aresztowania przez gestapo i męczeńskiej śmierci, inni aż do Powstania Warszawskiego lub nawet do końca wojny) m.in.: Adam Moraczewski, Jerzy Szurig, Antoni Wieczorkiewicz, Stanisław Płoski, Eugeniusz Czarnowski, Adam Próchnik, Stanisław Lorentz, Tadeusz Manteuffel, Marcei Handelsman, Halina Krahelska, Edward Lipiński, Aleksander Gieysztor, Michał Walicki, Stefan Kieniewicz, Władysław Tomkiewicz, Witold Kula, Ludwik Landau, Ludwik Widerszal, Władysław Rostocki, Józef Siemieński, Leon Śliwiński, Stanisław Wertheim, Bolesław Srocki, Aleksander Kamiński, Jan Stanisław Jankowski (późniejszy Pełnomocnik Rządu), Mieczysław Bilek, Kazimierz Moczarski, Wojciech Natanson, Władysław Długosz, Antoni Szymanowski, Kazimierz Romaniuk, Kazimierz Konarski, Aleksander Płaczkowski, Władysław Bartoszewski, wybitni prawnicy, jak Henryk Woliński, Adam Dobrowolski, Kazimierz Ostrowski, Zygmunt Kapitaniak, Waclaw Szyszkowski, Waclaw Szubert, Jan Topiński, lekarze - Gustaw Nowotny, Ludwik Choróbski.

Biuro Informacji i Propagandy było czymś w rodzaju biura studiów, które przekazywało materiał do wiadomości Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w Londynie, jak też do kierowniczych komórek AK w centrali i w okręgach, pomagając w zorientowaniu się w różnych zagadnieniach<sup>7</sup>.

Stanisław Herbst posługiwał się zrazu pseudonimem „Chrobot” (od miejscowości Chroboty, gdzie jego ojciec miał niewielki dom), później „Bieniewski” i - najmniej może znanym - „Wilhelm”. Był pracownikiem, kierownikiem referatu, wreszcie (od maja 1944 r.) zastępcą kierownika podwydziału zajmującego się „informacją terenową, ziem zachodnich, ziem wschodnich, sprawami narodowościowymi oraz informacją międzynarodową”<sup>8</sup>. Podwydział współkierowany przez Herbsta dzielił się na sześć referatów. Sprawami narodowościowymi, które wchodziły w obręb ich zadań, zajmowali się tam - oprócz samego Stanisława Herbsta - między innymi Władysław Tomkiewicz, Władysław Rostocki i Henryk Woliński. W zakres ściślejszych zainteresowań Herbsta, którym dawał wyraz w swej publicystyce okupacyjnej, wchodziły przede wszystkim s p r a w y u k r a i ń s k i e, które nie były mu obce z czasu przedwojennej pracy w Ministerstwie Wyznań Religijnych i

Oświecenia Publicznego. Jego analityczno-sprawozdawcza, a także publicystyczna działalność w tej dziedzinie nacechowana była obiektywizmem, chęcią rozumienia różnych racji i dużą dozą dobrej woli wobec ludzi inaczej myślących. Wyrazem tych zainteresowań Stanisława Herbsta był szereg artykułów ogłoszonych w konspiracyjnym czasopiśmie Stronnictwa Demokratycznego „Nowe Drogi”, a przede wszystkim *O ugodę polskoukraińską* (1942, nr 3), *Trzeba o tym mówić* (1942, nr 10), *W poszukiwaniu wspólnej drogi* (1943, nr 26), *Nasza polityka narodowościowa od 1939 r.* (1944, nr 5/6).

Na łamach czasopisma fachowego ZWZ AK „Insurekcja” pojawiło się równocześnie szereg szkiców i przyczynków historycznych pisanych przez Herbsta. Dotyczyły one bez wyjątku dziejów oręża polskiego i roli wojska polskiego w „historii narodu walczącego za wszelką cenę o byt”. W wojsku polskim w dobie walk o utrzymanie niepodległości państwa na przełomie XVIII i XIX stulecia widział Herbst środowisko kształcające obywateli-patriotów.

Szczególne role odegrać miały w wojennych losach Stanisława Herbsta s p r a w y ż y d o w s k i e. Meldunki i obszerniejsze raporty o sytuacji Żydów w Polsce otrzymywał rząd polski w Londynie już w 1940 r., co pozwoliło na informowanie o tym opinii publicznej na Zachodzie na długo przed rozpoczęciem ostatecznej akcji eksterminacyjnej. Część materiałów otrzymywanych z kraju wykorzystywały różne agendy rządu londyńskiego już w ciągu 1940 r. i w pierwszych miesiącach 1941 r. dla opracowania odpowiednich publikacji w języku angielskim na ten temat. W miarę pogarszania się sytuacji ludności żydowskiej w Polsce w ciągu 1941 r. wzmożono też w BiP KG ZWZ badania i sprawozdawczość związane ze zmiennym biegiem wydarzeń. W ciągu roku 1941 sam Herbst, wykorzystując zrazu własne kontakty przedwojenne z inteligencją polską pochodzenia żydowskiego, zbierał informacje i opracowywał różnego rodzaju meldunki o położeniu ludności żydowskiej. Stopniowe izolowanie Żydów w gettach i znaczne utrudnienie kontaktów z nimi spowodowało konieczność stworzenia specjalnego mechanizmu informacyjnego i badawczego. Herbst wspólnie ze swym zwierzchnikiem, Ludwikiem Widerszałem, również wybitnym historykiem, zorganizował w Wydziale Informacji odrębny referat do spraw żydowskich, którego prowadzenie powierzono na początku lutego 1942 r. Henrykowi Wolińskiemu (ps. „Wacław”), prawnikowi zatrudnionemu przed wojną w Prokuraturii Generalnej. Woliński współpracował odtąd jak najściślej z Herbstem, uzgadniając z nim parę razy w tygodniu treść meldunków oraz okresowych lub specjalnych raportów poświęconych sytuacji środowisk żydowskich w Polsce. Herbst nadawał też ostateczną postać opracowaniom Wolińskiego przekazywanym do Londynu<sup>9</sup>. Przyjąć można bez błędu, że ogromna większość materiałów informacyjnych na temat położenia Żydów, która dochodziła drogami kurierskimi i

radiowymi do Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w Londynie, szczególnie w 1942 r. i w pierwszych miesiącach 1943 r., była wspólnego autorstwa Stanisława Herbsta i Henryka Wolińskiego. I chociaż w ciągu 1942 r. rozwinęła się znacznie działalność badawcza i sprawozdawcza z zakresu problematyki losu ludności żydowskiej pod okupacją w ramach cywilnych agend ruchu podziemnego (w Delegaturze Rządu), to jednak praca zapoczątkowana przez Herbsta już w 1941 r., a kontynuowana potem pod jego i Ludwika Widerszala opieką przez Henryka Wolińskiego - stworzyła podwaliny dokumentacyjne dla wielu późniejszych poczynań w tym zakresie. Miał też Herbst przez Wolińskiego do czynienia z kierownictwem formującego się w Warszawie w ciągu 1942 r. żydowskiego podziemia wojskowego, jak również - równoległe z komórkami Delegatury Rządu - z działaniami politycznymi konspiracyjnych organizacji żydowskich. Ogromny był też udział warsztatu badawczo-informacyjnego Herbsta i Wolińskiego w przygotowaniu dokumentacji zagłady Żydów w Polsce, wywiezionej z Polski na Zachód przez kurierów: Jana Karskiego, a potem także Jerzego Lerskiego.

Zainteresowanie Herbsta problematyką żydowską trwało dosłownie do ostatnich dni okupacji niemieckiej w Polsce. Jeszcze w początku stycznia 1945 r. Henryk Woliński opracowywał na jego polecenie przegląd sytuacji pozostałych przy życiu skupisk żydowskich.

Działalność Stanisława Herbsta w tym zakresie nie sprowadzała się jednak do biegłości eksperta, historyka, redaktora raportów. Dom Herbstów otwarty był dla uciekinierów i potrzebujących. Rodzina Zajczyków, Edward Marczewski, Marian Małowist, ludzie z kręgu intelektualistów i ludzi kultury są świadkami tej postawy. Przy tylu czynnościach wynikających z podstawowego kierunku jego konspiracyjnych zatrudnień, znajdował jeszcze Herbst dość energii na uczestnictwo w innych pracach, związanych z jego zainteresowaniami naukowymi i kulturalnymi. Brał udział w konspiracyjnych posiedzeniach Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Na tajnym zebraniu Towarzystwa Urbanistów Polskich, odbytym pod przewodnictwem prof. Tadeusza Tołwińskiego, referował swą pracę naukową *Ulica Marszałkowska*. Współdziałał ze Stanisławem Lorentzem, Janem Zachwatowiczem i Michałem Walickim w Komisji do Spraw Muzeów i Ochrony Zabytków przy Departamencie Oświaty i Kultury Delegatury Rządu. Temu towarzyszyły jeszcze luźne zebrania dyskusyjne poświęcone różnym problemom kulturalnym, organizowane w środowisku katolickim zbliżonym do „Unii”: z Jerzym Braunem, Janem Zachwatowiczem, Tadeuszem Cieślewskim synem oraz ze Stefanem Jaraczem, który przyłączył się do tego grona w latach wojny<sup>10</sup>.

Jednak Herbst był przecież nie tylko historykiem; był też z zamiłowania

utalentowanym, dobrym i życzliwym pedagogiem. Toteż kiedy w roku 1942 prof. Natalia Gąsiorowska zwróciła się do niego, a także do Aleksandra Gieysztora i Witolda Kuli o pomoc w prowadzeniu tajnego nauczania akademickiego w Wolnej Wszechnicy Polskiej, podjął zajęcia dydaktyczne z młodzieżą. Działo się to w warunkach dość szczególnych, ponieważ Wszechnica prowadziła w czasie wojny studium zaoczne dla dojeżdżających do Warszawy młodych ludzi; wśród nich znajdowała się grupa studiujących historię żołnierzy Batalionów Chłopskich z Podlasia. Zajęcia z nimi odbywał Herbst w lokalu konspiracyjnym przy ul. Srebrnej. Tragizmem polskiego losu jest, że gdy szukano po latach tych słuchaczy, aby uzyskać od nich prawne informacje, okazało się, iż spośród młodzieńców, którzy wówczas przyjeżdżali do Warszawy na wykłady Herbst, nie ocalał bodaj żaden. Przeżyła jedna dawna słuchaczka, Helena Brodowska, obecnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

W pierwszych miesiącach okupacji pracował Herbst zawodowo przez pewien czas w antykwariacie Czesława Garlińskiego, a później - od maja 1941 r. - w przekształconej na „Staatsbibliothek Warschau” - Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie. Legalne papiery biblioteczne wykorzystał w roku 1943 jesienią, aby - w myśl propozycji dr. Józefa Grycza - odbyć podróż do Lwowa i Krzemieńca. Głównym jej celem było odzyskanie z Krzemieńca i przywiezienie do Warszawy cennych eksponatów wypożyczonych w 1939 r. z bibliotek warszawskich w związku z zamierzonymi na wrzesień uroczystościami ku czci Słowackiego. Uroczystości nie doszły do skutku, ale rękopisy, rzadkie druki i inne pamiątki przetrwały zmienność losu. „Propozycję przyjąłem nie tylko ze względu na uwielbienie szczere dla poety, ale i dlatego, że odczuwaliśmy brak wiadomości spoza granicy Generalnej Guberni” - stwierdza otwarcie Herbst<sup>11</sup>. Łatwo się domyślić, że jego podróż pozostawała też w pewnym związku z zainteresowaniem problematyką ukraińską i chęcią nawiązania potrzebnych kontaktów.

Ten delikatny fizycznie i psychicznie człowiek, pokonując duże trudności, dotarł w początkach grudnia 1943 r. do Lwowa, gdzie starał się bezskutecznie o przepustkę na teren dawnego województwa wołyńskiego. Ostatecznie utknął wraz ze swym towarzyszem podróży w Brodach, na ostatniej stacji kolejowej położonej jeszcze w obrębie ówczesnego *Distrikt Galizien* Generalnego Gubernatorstwa, po czym - jak pisze:

[...] dogadaliśmy się z polskimi kolejarzami i za cenę słoniny w towarowym wagonie nocą przejechaliśmy do Dubna; tam przesiedliśmy się na pociąg do Krzemieńca wymijając kontrole i posterunki i dojechaliśmy do miasta pod wieczór. Na zakręcie wyskoczyliśmy ze zwalniającego pociągu, by wokół, wzgórzami [...] dotrzeć do znajomego mojemu towarzyszowi domu [...] Dyrektor Muzeum, zacy Ukrainiec Cynkałowski wydał wszystkie

materiały i zdobył nieodzowne środki komunikacyjne: samogon i słoninę [...] Zabraliśmy do walizki druki, medaliony (brązowe?) z podobizną Słowackiego, portrecik dziecinny przedstawiający przyszłego poetę jako amorka. Osobno w papier zawinięty był znany sekretarzykpulpicik. Duży ciężki zwój szkiców scenograficznych Drabika był trzecim pakunkiem.

W powrotnej drodze, czekając na pociąg w budce kolejarskiej w Dubnie, zostali zatrzymani i osadzeni w areszcie. I tu niezmiernie charakterystyczna dla Herbsta uwaga: „Znaleźliśmy się w więzieniu zaimprovizowanym w dawnej baszcie miejskiej, którą przed paru laty poznałem w objeździe zabytków fortyfikacji Zakładu Architektury”<sup>12</sup>.

Po dwutygodniowym pobycie w owej baszcie, zawszony i wygłodzony, z przebytą, a nieleczoną w więzieniu gripą, zostaje zwolniony w sam czas, aby na wigilię Bożego Narodzenia 1943 r. powrócić z Dubna via Lwów do niespokojnej rodziny.

Na parę miesięcy przed Powstaniem Warszawskim dostaje Herbst pierwszy stopień wojskowy AK: kaprała rezerwy z cenzusem<sup>13</sup>. Na okres powstania otrzymuje dyspozycje pozostawania w swym mieszkaniu przy ul. Kieleckiej 16 na Mokotowie i oczekiwania na dalsze rozkazy. Bieg wydarzeń powstańczych spowodował, że Stanisław Herbst przebywał przez szereg dni na ziemi niczyjej - na terenie nieopanowanym wojskowo przez AK i nie od razu obsadzonym przez Niemców. Wspólnie z zamieszkałym w pobliżu Leonem Śliwińskim, polonistą, kolegą z innej komórki Wydziału Informacji BiP, zaczynają wydawać pisany na maszynie komunikat informacyjny oparty na prywatnym nasłuchu audycji radia londyńskiego.

Kolportują ten komunikat wśród ludności w okolicznych domach, pozbawionej wszelkich innych źródeł informacji. 16 sierpnia 1944 r. Herbst, zmuszony przez Niemców do opuszczenia mieszkania, wydestkuje się z rodziną z Warszawy i zatrzymuje w Otrębusach<sup>14</sup>. Tymczasem na krótko przed upadkiem powstania, w walczącym jeszcze Śródmieściu, rozkazem Komendanta Głównego AK z 1 X 1944 r. odznaczony zostaje Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami<sup>15</sup>, odznaczeniem nadawanym żołnierzom nielinowych służb Armii Krajowej za zasługi w obliczu wroga. To samo odznaczenie nadano równocześnie pośmiertnie zwierzchnikowi i przyjacielowi Herbsta, Ludwikowi Widerszalowi, a Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami Jerzemu Makowieckiemu - obu zamordowanym skrytobójczo w Warszawie w czerwcu 1944 r. przez faszystowską bojówkę.

W szczególnie trudnych pod każdym względem ostatnich popowstaniowych miesiącach okupacji niemieckiej Herbst nie pozostaje na uboczu. Przeciwnie: należy do grona ludzi zawsze czynnych i obecnych w służbie publicznej.



Najdonioślejszą dziedziną jego działań w owym czasie jest udział w tak zwanej akcji pruszkowskiej, to jest w kierowanym przez dyrektora Muzeum Narodowego Stanisława Lorentza, zakrojonym na szeroką skalę przedsięwzięciu ratowania najcenniejszych dóbr kultury z opustoszałego i systematycznie niszczonego miasta. Akcja ta, prowadzona oficjalnie w płaszczyźnie dopuszczonej przez Niemców - w zamiarze ocalenia części zbiorów polskich tylko w celu wywiezienia ich do Niemiec - w płaszczyźnie nielegalnej zdążyła w intencjach jej polskich organizatorów i uczestników do ewakuowania z Warszawy maksimum cennych muzealiów, archiwaliów i zbiorów bibliotecznych i zabezpieczenia ich dla przyszłości. Działanie nielegalne odgrywało naturalnie szczególnie doniosłą rolę i dało bardzo poważne wyniki: zdołano między innymi wywieźć i ukryć poza Warszawą wiele bezcennych dóbr kultury narodowej.

Głównym odcinkiem akcji nielegalnej kierowali dr arch. Jan Zachwatowicz, dr Stanisław Herbst i dr arch. Bohdan Guerquin - informuje rzeczowo Stanisław Lorentz<sup>16</sup>. - Dysponowali oni przepłaconym niemieckim samochodem ciężarowym. Wywieźli m.in. bezcenne zbiory warszawianów B.W. Korotyńskiego i zbiory zdjęć pomiarowych zabytków architektonicznych, w tym warszawskich, z Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Nastąpiło to niemal w ostatniej chwili przed spalaniem gmachu przez Brandkommando. Zdjęcia pomiarowe były potem bezcennym materiałem przy odbudowie Warszawy.

Inny zasłużony uczestnik akcji pruszkowskiej, Tadeusz Makowiecki, pisał w swych powojennych wspomnieniach, relacjonując przebieg prac ratowniczych na terenie Biblioteki Uniwersyteckiej<sup>17</sup>: „Duchem właściwej pracy w bibliotece był przede wszystkim prof. Borowy, a dalej Herbst i Korzeniewski”. Opowiada też Makowiecki o codziennym ich trudzie:

Najcięższym koszmarem wyjazdów [...] była pogoda. Listopad, grudzień i połowa stycznia najpierw deszcz ze śniegiem, a potem śnieg i mróz, codzienny przejazd otwartą ciężarówką co najmniej dwie godziny, a przeważnie, z postojami, trzy albo cztery rano i drugie tyle wieczorem, razem zawsze było sześć godzin na zimnie i słońcu, śniegu i wichurze i co ważniejsze - bez ruchu na platformie auta. A była to tylko podróż; w tych lodowatych ramach przejazdu mieściła się praca w zimnych, ogromnych gmachach, bez szyb, w mrozy trzaskające, gdy przeciągi wyrywały nam papiery z rąk; bez szklanki gorącego płynu przez cały dzień. I tak przez dwa i pół miesiąca.

(...) Z tysiąca różnych dzieł można było wybrać i dać szansę ocalenia trzem czy pięciu. Resztę przeznaczano się na zagładę. Trzeba to dobrze pojąć - to napięcie wewnętrzne,

gdy każdy z nas musiał ratować 50 lub 100 tysięcy, ale też musiał skazać milion na spalenie; od jego decyzji zależało, co może ocaleć, ale i co najpierw zginie. To biorę - ale dlaczego tamto ma zostać zniszczone?

A dając świadectwo pracy niesłychanej, ponad siły niemal w ówczesnych warunkach tak wątego fizycznie człowieka, jakim był Waław Borowy, Makowiecki dodaje:

Podobny w żarliwej nieustępliwości był Herbst, z okiem przewiązonym chustką, z drugim czerwonym, zawsze chętny, obrotny, pierwszy (...) Zimna, przebiegła zaciekłość była obok pośpiechu drugą naszą bronią.

Zacytować by można większą ilość takich świadectw o Stanisławie Herbście. Ograniczę się tu jednak do jednego jeszcze tylko wspomnienia, pióra Jana Zachwatowicza<sup>18</sup>:

Wyjechaliśmy po raz pierwszy z Brwinowa o 7 rano 2 listopada. Wstępując do Piastowa i Pruszkowa dotarliśmy na Wolę o 9.35 i tam przed Komendą oczekiwaliśmy dwie godziny na załatwienie przez Karstena niezbędnych formalności i dokumentów. Wreszcie wyszedł z budynku Karsten z żandarmem, wsiedli do szoferki i ruszyliśmy. Jechaliśmy Wolską i Chłodną, potem chyba Żelazną do Alej Jerozolimskich, Alejami do Marszałkowskiej i Marszałkowską do Placu Zbawiciela. Droga była tylko środkiem jezdni oczyszczona wśród barykad i rowów. Na Marszałkowskiej płonęły liczne domy, nie spalone w czasie Powstania. Widoczne były na narożnikach bloków świeżo pomalowane czerwone cyfry, jak się okazało oznaczające system wypalania i wysadzania miasta. Widzieliśmy też niewielkie grupki żołnierzy niemieckich z miotaczami ognia.

Przy wjeździe na Plac Zbawiciela Herbstowi wyrwał się okrzyk grozy. Na rogu Mokotowskiej (nr 17) palił się dom, w którym na III piętrze w mieszkaniu jego teścia, Brunona W. Korotyńskiego, znajdował się znakomity - największy zbiór warszawianów. Paliło się płomieniem V piętro i dym już buchał z okien IV. Zatrzymałem wóz na rogu Mokotowskiej i nie bacząc na sprzeciwy żandarma, który pokazywał, że tego punktu nie ma w naszym zezwoleniu, chwyciliśmy worki i biegiem rzuciliśmy się na III piętro. Drzwi mieszkania były otwarte. Dym już się snuł po pokojach, lecz książki stały na półkach. Stanisław Herbst zajął się wyborem książek i teczek najcenniejszych, a my wszyscy ładowaliśmy worki i zbiegaliśmy z nimi do samochodu. W mieszkaniu już było bardzo gorąco i pełgał gryzący dym, ze schodów i górnego piętra dochodziło potrzaskiwanie ognia i łomot walących się belek. W ciągu godziny znieśliśmy całość zbiorów w kilkudziesięciu workach i odjechaliśmy na Lwowską. Trzeba dodać, że kiedy w trzy godziny później wracaliśmy tą drogą, palił się już parter.

20 grudnia 1944 r. rodzina Herbstów przeniosła się spod Warszawy do Krakowa.

Przedtem jeszcze w Pruszkowie pod Warszawą Herbst odzyskał utracony kontakt z macierzystym wydziałem w BiP KG AK. Nowy szef BiP, Kazimierz Moczarski, powierzył mu prowadzenie działu polityki okupanta. Od tej pory Herbst krążył między Krakowem i Pruszkowem. Praca nad ewakuacją zbiorów postępowała, choć Niemcy nie codziennie zezwalali na wjazd do Warszawy. „Raz tylko, po dniu, kiedy nas nie wpuszczono do Warszawy, doznaliśmy silnego wrażenia - wielki blok Dworca Głównego wysadzony w powietrze zapadł się w wykop”<sup>19</sup>.

Informacja i krótkie relacje o sytuacji w niszczonej Warszawie, ogłaszane w zimie 1944-1945 we wznowionym w Krakowie „Biuletynie Informacyjnym” wychodziły przeważnie spod pióra Herbsta.

Odwrót Niemców w styczniu 1945 r. przeżył w Krakowie.

Gdy wracałem do domu na Salwator, przez most Dębnicki przesuwiała się nieprzerwanie kolumna taborów. Nazajutrz urzędów niemieckich w gmachu Biblioteki Jagiellońskiej już nie było. [...] Wobec rozwiązania BiPu kończyła się i moja praca codzienna<sup>20</sup>.

W swoim powojennym życiu codziennym, pracy naukowej i stosunkach z ludźmi Stanisław Herbst w sposób powściągliwy i daleki od narzucania swego zdania, ale konsekwentny i stanowczy dawał wyraz przywiązaniu i szacunkowi dla Armii Krajowej, której wartości patriotyczne

i moralno-wychowawcze jako historyk i jako człowiek wysoko cenił.

Rzut oka na wojenne lata w życiu Herbsta pozwala dostrzec jego rzetelny patriotyzm Polaka-Europejczyka, wolny od nacjonalizmu, ekstremizmu, ksenofobii, humanizm uczonegochrześcijanina, wyrażający się w stosunku życzliwej uczynności dla ludzi, dla wytworów ich myśli i pracy.

1 Pamięci zmarłego w 1973 roku Stanisława Herbsta, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, wybitnego historyka i zasłużonego uczestnika konspiracji niepodległościowej w latach drugiej wojny światowej, poświęcono 18 maja 1974 roku sesję naukową na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tekst wygłoszony na tej sesji publikuje się tu po raz pierwszy w pełnej wersji; w postaci okrojonej przez cenzurę był ogłoszony w miesięczniku „Znak” 1975 nr 11/12 (257/258).

2 Stanisław Herbst: *Relacja*, w: *Walka o dobro kultury. Warszawa 1939-1945*, Warszawa 1970, t. I, s. 130 i nast.

3 Tamże.

4 Jan Zachwatowicz: *Wspomnienia z lat okupacji*, w: *walka o dobra kultury...* t. I,

s. 112-114.

5 Straszewska: „*Biuletyn Informacyjny*” 1939-1944.

6 *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1971, nr 2-4.

7 Tamże.

8 Tamże.

9 Bartoszewski, *Po obu stronach muru*, w: *Ten jest z Ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945*, oprac. W. Bartoszewski i Z. Lewinówna, wyd. 2, Kraków 1969, s. 24-25, 28-30; relacja na piśmie Henryka Wolińskiego z 15 V 1975 (odpis w posiadaniu autora).

10 Herbst, dz. cyt.

11 Tamże

12 Tamże

13 Informacja prof. Aleksandra Gieysztora.

14 Herbst, dz. cyt.

15 Rozkaz nr 490/BP KG AK 1 X 1944 r., informacja prof. Aleksandra Gieysztora.

16 Stanisław Lorentz, *W Muzeum i gdzie indziej*, w: *Walka o dobra kultury...* t. I, s.

98.

17 Tadeusz Makowiecki, *W obronie zbiorów bibliotecznych. wspomnienie z 1944 r.*, w: *Walka o dobra kultury...* t. II, s. 250-251.

18 Zachwatowicz, w: *Walka o dobra kultury...* t. I, s. 124-125.

19 Herbst, w: *Walka o dobra kultury...* t. I, s. 141.

20 Herbst, w: *Walka o dobra kultury...* t. I, s. 141-142.

## **Oblicze kultury polskiej w konspiracji**

Założenia i praktyka polityki okupanta w Polsce kształtowały się pod wieloma względami odmiennie na terenach wcielonych już w październiku 1939 r. do Rzeszy i na obszarze Generalnego Gubernatorstwa<sup>1</sup>. Wobec ziem wcielonych obowiązywał program pełnej natychmiastowej germanizacji, w Generalnym Gubernatorstwie zaś likwidacja polskości nastąpić miała - w myśl założeń przyjętych przez NSDAP i oceny Reichsführera SS Heinricha Himmlera - w ciągu najdalej 10 lat. Założono tam więc przede wszystkim ograniczenie wpływów inteligencji polskiej jako potencjalnej warstwy kierowniczej, a następnie całkowite jej wytępienie. Zniszczenie fizyczne elity umysłowej narodu poprzez masowe aresztowania prewencyjne, osadzenie w obozach koncentracyjnych oraz inne formy ucisku stanowić miało poważny krok na drodze do zniszczenia kultury polskiej w ogóle, zastąpienia jej na podbitych terenach nad Wartą, Wisłą i Bugiem przez kulturę niemiecką w jej hitlerowskiej interpretacji.

Z terenów zachodniej Polski inkorporowanych do Rzeszy niemieckiej wysiedlono przymusowo na teren Generalnego Gubernatorstwa już w ciągu pierwszego półrocza okupacji około 325 tys. Polaków, głównie ze środowiska inteligencji. Przez cały okres okupacji gwałtownym przymusowym wysiedleniem z terenów inkorporowanych do Rzeszy na teren centralnej Polski objętych było około miliona ludzi. Największy procent wysiedlonych pochodził z tak zwanego Kraju Warty<sup>2</sup>.

Zasadnicze dyrektywy w odniesieniu do problematyki nauki i oświaty, a szerzej biorąc - kultury w okupowanej Polsce, sformułował jednoznacznie 31 października 1939 r. nowo mianowany generalny gubernator Hans Frank w swojej wypowiedzi na konferencji w Łodzi w obecności ministrów Rzeszy - Goebbelsa i Seyss-Inquarta: „Polakom należy pozostawić tylko takie możliwości kształcenia się, które okażą im beznadziejność ich położenia narodowego”. W kilka miesięcy później, w trakcie realizacji tak zwanego *Ausserordentliche Befriedungsanktion* (nazywanej też nadzwyczajną akcją pacyfikacyjną lub akcją AB), stanowiącej fragment planu zniszczenia inteligencji polskiej, Frank - powołując się na rozkaz Hitlera - stwierdził (30 maja 1940 r. na posiedzeniu z przedstawicielami policji w Krakowie): „Warstwy uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce należy zlikwidować, to, co znowu narodzi się, należy wykryć i w odpowiednim czasie znowu usunąć”<sup>3</sup>. Znany memoriał E. Wetzla i G. Hechta, *Problem traktowania ludności na byłych obszarach polskich z punktu widzenia rasowopolitycznego*, przewidywał:

Uniwersytety i inne szkoły wyższe, szkoły zawodowe, jak również średnie były stale ośrodkami polskiego szowinistycznego wychowania i dlatego zasadniczo powinny być

zamknięte [...]. Nauka ważnych z narodowego punktu widzenia przedmiotów, jak: geografia, historia, historia literatury, jak również gimnastyka jest wykluczona [...]. Ponieważ polski nauczyciel, a po części jeszcze bardziej polska nauczycielka są wybitnymi krzewicielami polskiego szowinizmu [...], więc nie będzie ich można pozostawić w służbie szkolnej [...]. Teatry, kina i teatryki z powodu ich wielkiego narodowego znaczenia powinny być utrzymane możliwie na jak najniższym poziomie i na podstawie specjalnej koncesji [...]. Produkcję książek należy jak najbardziej ograniczyć. *Dzienniki i okresowo ukazujące się czasopisma powinny zostać ograniczone i nadzorowane*<sup>4</sup>.

W konsekwencji dla Polaków miały być dostępne tylko czteroklasowe szkoły podstawowe, w których miano uczyć - jak zalecał Heinrich Himmler w swych *Kilku myślach o traktowaniu ludności obcoplemiennej na Wschodzie* (15 maja 1940 r.) - „[...] prostego liczenia najwyżej do 500, napisania własnego nazwiska, wiedzy, iż boskim przykazaniem jest być posłusznym Niemcom, być uczciwym, pracowitym i rzetelnym. Czytania nie uważam za konieczne”<sup>5</sup>.

W odniesieniu do młodzieży polskiej na terenach Wielkopolski, Pomorza i Śląska, inkorporowanych od razu do Rzeszy niemieckiej, program ten realizowano w całej pełni. Obowiązkiem szkolnym objęte były tam zasadniczo dzieci polskie od 9 do 12 roku życia, przy czym program nauczania - w języku niemieckim - ograniczał czas nauki do 2 godzin dziennie. Od czerwca 1941 r. weszła w życie na ziemiach wcielonych ustawa o obowiązku pracy dzieci polskich od 12 roku życia. W praktyce przymus obejmował 10-11 godzin dziennie, a w niektórych rejonach dzieci zmuszane były do pracy już od 8 roku życia.

Podjmując wielostronną i konsekwentną walkę z kulturą polską w okupowanym kraju, Niemcy niewątpliwie zdawali sobie sprawę z wyjątkowego znaczenia różnych treści kulturowych i wyjątkowej roli kultury w życiu narodu polskiego pozbawionego od końca XVIII w. do 1918 r. (a więc w ciągu stu kilkudziesięciu lat) własnego życia państwowego. Okupant słusznie upatrywał w kulturze narodowej, w języku, literaturze, w naukach humanistycznych wreszcie czynnik integrujący Polaków żyjących w trzech państwach zaborczych i warunkujący przetrwanie, co więcej: czynnik umożliwiający harmonijną odbudowę wspólnoty narodowej w państwie, które pojawiło się ponownie po 1918 r. na mapie Europy. Jeśli wolno uznać kulturę ludzką i kulturę społeczeństw za sposób widzenia i określania świata, to w polskim przypadku elementy tradycji historycznej odgrywały szczególnie znaczącą rolę w kształtowaniu świadomości narodowej i w aktualnym widzeniu rzeczywistości.

Przy takich uwarunkowaniach psychicznych okoliczności wojenne, a przede

wszystkim realizowany w sposób krwawy już od pierwszych tygodni okupacji eksterminacyjny program hitlerowskich Niemiec wobec Polski (co najmniej kilka tysięcy polskich intelektualistów, w tym ponad 180 profesorów i wykładowców Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, padło już w pierwszych tygodniach okupacji Polski ofiarą aresztowań przez gestapo, deportacji do obozów koncentracyjnych, egzekucji, różnego rodzaju aktów terroru) spowodowały niejako automatyczny nawrót do stosunkowo jeszcze świeżej tradycji sprzed pierwszej wojny światowej: działania konspiracyjnego w obronie podstawowych wartości kulturalnych, w dążeniu do zachowania substancji - duchowych i intelektualnych osiągnięć narodu, ale także dóbr materialnych (pomników, dzieł sztuki, księgozbiorów, muzealiów, archiwaliów), które były wytworem wielu wieków kultury narodowej.

Kultura polska w najszerszym rozumieniu tego pojęcia manifestowała swoje istnienie w latach drugiej wojny światowej we wszystkich większych skupiskach Polaków, na przykład w armiach polskich, uczestniczących w walce na różnych frontach, w środowiskach emigrantów i uchodźców. Wieleset tysięcy Polaków we Francji, wielkiej Brytanii, w ZSRR, na Bliskim Wschodzie, a także w innych krajach Europy, Azji i Afryki, jak również w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, tworzyło nowe wartości kulturalne oraz kultywowało dorobek kultury polskiej i jej tradycji w nowych warunkach, w których znaleźli się w wyniku działań wojennych. Dostrzegając to zjawisko, pragniemy wszakże ograniczyć się w naszych rozważaniach do konspiracyjnego funkcjonowania kultury polskiej w kraju okupowanym przez Niemców, w warunkach działania skrytego przed okupantem, a przecież rozległego i wielostronnego, w formach wytwarzanych zarówno spontanicznie, jak i w sposób zorganizowany, inicjowany i kierowany. Szczególnie godne uwagi wydaje się nam zjawisko ochrony, tworzenia i rozpowszechniania treści kulturalnych w społeczeństwie skazanym przez okupanta na uwiad duchowy, degenerację intelektualną i kompletne wyjałowienie kulturalne, które poprzedzać miały ostateczną zagładę fizyczną tak zwanych warstw przywódczych w bardzo szerokim rozumieniu tego pojęcia (oznaczało ono w praktyce hitlerowskiej - jak wiadomo - ogół Polaków mających przynajmniej średnie wykształcenie).

W chwili wybuchu wojny funkcjonowało w Polsce 28 wyższych uczelni, w których studiowało około 50 tys. słuchaczy, wykładało zaś 824 profesorów i docentów oraz 1836 asystentów, lektorów i innych pracowników nauki. Corocznie wydawano w Polsce prawie 6200 dyplomów ukończenia studiów akademickich. W czterech tylko miastach uniwersyteckich - Warszawie, Krakowie, Lublinie i Poznaniu, które miały jako pierwsze doświadczyć okrucieństw okupacji hitlerowskiej - na 17 wyższych uczelniach studiowało

ponad 35 tys. młodzieży, z czego w Lublinie, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, około 1400 słuchaczy.

Spośród 11 szkół akademickich czynnych w roku 1938/1939 w Warszawie - z ogólną liczbą 20 300 słuchaczy - niemal połowa młodzieży, bo prawie 10 000 osób, studiowało na Uniwersytecie Warszawskim<sup>6</sup>.

W 850 szkołach średnich ogólnokształcących i zakładach kształcenia nauczycieli było ponad 200 tys. uczniów i uczennic<sup>7</sup>. Wszystkie te uczelnie i szkoły zostały przez Niemców zamknięte, a prywatne nauczanie zakazane. Szkoły podstawowe zaś, przeznaczone dla dzieci do lat 14, ograniczono do jednej trzeciej stanu liczbowego sprzed wojny, tak aby na jednego nauczyciela przypadało 60, 70, a nawet 100 uczniów. Zabroniono uczyć literatury, historii i geografii Polski. Walce ze szkolnictwem towarzyszyło konsekwentne wyniszczanie fizyczne nauczycielstwa. I tak w ciągu 5 lat okupacji ofiarą hitlerowskiej akcji eksterminacyjnej paść miało aż 28,5% profesorów i personelu naukowego szkół wyższych i 13,1% nauczycielstwa szkół średnich. W dobrach materialnych zniszczono w Polsce 43% przedwojennego stanu budynków i wyposażenia uczelni, szkół, instytucji naukowych. Zniszczeniu uległo ponad 14% spośród 175 istniejących wówczas obiektów muzealnych i 34% spośród 103 budynków teatralnych. Wielkie biblioteki naukowe straciły w wyniku grabieży i wywozu książek do Niemiec oraz planowych zniszczeń co najmniej 1170 tys. jednostek bibliotecznych, księgozbiory szkolne około 8,5 mln tomów<sup>8</sup>. Podobnie wielkie, a niekiedy większe ubytki powstawały w zbiorach i kolekcjach prywatnych. Dotkliwie straty poniosła archiwistyka polska. Część cennych zbiorów wyłączono już w pierwszej fazie okupacji i wywieziono do Niemiec. W czasie Powstania Warszawskiego w sierpniu i wrześniu 1944 r. uległo zniszczeniu 10-15% ogółu zbiorów archiwalnych w Warszawie, a już po kapitulacji Warszawy, po obsadzeniu miasta, Niemcy spalili w całości kilka najważniejszych archiwów warszawskich wraz z ich zasobami. Ogółem tylko w 6 większych archiwach publicznych Polski straty bezpowrotne wyniosły 4 412 tys. jednostek archiwalnych.

Program grabieży zbiorów w Polsce przygotowany został już przed wybuchem wojny. Hitlerowscy historycy sztuki planowo penetrowali polskie muzea. Na przykład w okupowanej przez Niemców Warszawie cenne dzieła sztuki konfiskowano na podstawie przedwojennych notatek prof. Dagoberta Freya z Wrocławia. Spośród kilku instytucji hitlerowskich powołanych w różnym czasie do rejestrowania i konfiskowania dzieł sztuki

i archiwów w okupowanych krajach Europy specjalną rolę na centralnym obszarze Polski, w GG, odegrał zespół historyków sztuki działających tu pod kierunkiem SSStandartenführera dr. Kaia Mühlmanna. Mühlmann, mianowany w październiku 1939 r., na polecenie Göringa,



specjalnym pełnomocnikiem do zabezpieczenia dóbr artystycznych i kulturalnych w GG i obdarzony wysoką rangą sekretarza stanu, kierował dwiema grupami fachowców realizującymi akcję grabieży. Grupie obejmującej północny obszar w GG z siedzibą w Warszawie przewodził jego brat, Josef Mühlmann, historyk sztuki z Salzburga. Niezależnie od działań tego zespołu zbiory warszawskie penetrował dr Hans Posse, dyrektor drezdeńskiej galerii obrazów, który dysponując prawem pierwszeństwa, wybierał najcenniejsze dzieła sztuki dla wyposażenia muzeum Führera w Linzu; przy okazji zabiegał też jednak o wywiezienie do Drezna na przykład ocalałych części urządzeń Zamku Królewskiego w Warszawie. Sięgał do Warszawy również SS-Strumbannführer Wolfram Sievers - przedstawiciel Urzędu Generalnego Powiernika dla Zabezpieczenia Niemieckich Dóbr Kultury na Włączonych Terenach Wschodnich, a zarazem dyrektor stowarzyszenia „badawczonaukowego” *Das Ahnenerbe*, które powstało już w 1937 r. i miało służyć tezie o niemieckiej „rasie panów” „poprzez badanie obszaru ducha, czynów i dziedzictwa Indogermanów północnej rasy”. Podczas wojny do zadań tej organizacji należał między innymi rabunek dzieł sztuki w Polsce (choć nie wyłącznie) na terenach włączonych do Rzeszy.

Wyniki pierwszej fazy akcji rabunkowej przedstawili hitlerowcy uczeni w obszernym, bogato ilustrowanym katalogu zagrabionych obiektów „pierwszej klasy”, wydanym pod niewinnym tytułem *Sichergestellte Kunstwerke* w 1940 r. Głównymi autorami katalogu byli niektórzy współsprawcy rabunku: dr Gustav Barthel z Wrocławia, dr Anton Kraus z Wiednia, dr Werner Küdlich z Opawy, dr Erich Meyer-Heisig z Wrocławia, dr Josef Mühlmann z Salzburga, dr Günther Otto z Wrocławia, dr Karl Pollhammer z Wiednia, Rudolf Prihoda z Opawy<sup>9</sup>.

Całkowicie zlikwidowane zostało przez okupanta funkcjonowanie polskich ośrodków masowego przekazu - prasy i radia. Wszystkich Polaków obejmował - jak wiadomo - zakaz posiadania odbiorników radiowych. Komunikaty i zarządzenia władz okupacyjnych podawano do wiadomości za pośrednictwem sieci głośników zainstalowanych w miejscach publicznych. Zamknięto i unieruchomiono wszystkie polskie instytucje wydawnicze, które przed wojną wydawały w ciągu roku ponad 8700 tytułów książek (1938 r.) w nakładzie ponad 30 mln egzemplarzy, jak też całą prasę polską liczącą w 1939 r. ponad 2,5 tys. tytułów czasopism w nakładzie przekraczającym 11 mln egzemplarzy<sup>10</sup>. Powołane na to miejsce dzienniki hitlerowskie w języku polskim nigdy nie osiągnęły łącznego nakładu większego niż 700 tys. egzemplarzy, a wśród publikacji wydawanych przez Niemców w języku polskim dominowały broszury propagandowe o treści antysemickiej i antykomunistycznej<sup>11</sup>.

Zniszczone i unieruchomione były też inne instytucje polskiego życia kulturalnego. W miejsce niektórych z nich, jak na przykład teatrów dramatycznych, polskich wytwórni filmowych i innych, dopuścił okupant świadomie tylko działanie rozrywkowych teatrzyków pokazujących trywialne widowiska oraz seanse kinowe cenzurowanych politycznie filmów niemieckich.

Ustać musiała działalność wszystkich towarzystw, stowarzyszeń i związków naukowych, twórczych, oświatowych i innych, podobnie zresztą jak wszystkich w ogóle polskich instytucji życia społecznego. Jedynie Kościół katolicki, odgrywający w życiu narodowym Polaków ogromną rolę, zachował - i to tylko w murach świątyń na terenie Generalnego Gubernatorstwa - pewną, bardzo ograniczoną możliwość działania. Ciągłe represje wobec duchowieństwa diecezjalnego oraz zgromadzeń zakonnych przypłaciło jednak w Polsce w okresie okupacji życiem, według niepełnych danych, ponad 2600 duchownych katolickich, to jest ponad 27% ogółu kleru. Bardzo wielu innych poddawanych było okresowym represjom (aresztowaniom, wysiedleniom), przy czym najdrastyczniej ucierpiały diecezje położone na terenie ziem inkorporowanych do Rzeszy<sup>12</sup>.

W opisanych warunkach jakakolwiek polska działalność kulturalna stała się możliwa tylko przy zachowaniu całkowitej jej tajności lub częściowej konspiracji (maskowanej pozorami innego rodzaju poczynąń).

Funkcjonowanie życia duchowego - umysłowego i artystycznego - w różnych jego przejawach w okupowanej przez Niemców Polsce byłoby nie do pojęcia bez zrozumienia zasadniczego punktu widzenia, który dominował w świadomości społecznej nie tylko intelektualistów i warstw wykształconych, ale także mas robotniczych i chłopów. A oto podstawowe wyznaczniki tej świadomości: Państwo polskie było okupowane przez agresora po walce prowadzonej we wrześniu 1939 r. przez Polaków w obronie uprawnionych wartości - niepodległości i suwerenności państwowej i wolności człowieka. Agresor niemiecki reprezentował przy tym nie tylko obcą przemoc, ale też i system totalny w jego szczególnie zwyrodniałej postaci. Okupacja - trudna, dotkliwa, nawet tragiczna - jest zjawiskiem przejściowym. Gdy konieczne będą ofiary, nawet najcięższe, trzeba je ponosić z ufnością w niedalekie zwycięstwo słusznej sprawy, czyli odzyskanie niepodległości. Nie ma i nie może być żadnej ugody politycznej z okupantem, nie istnieje też żadne polskie polityczne ciało kolaboracyjne (namiastka rządu). Istnieje natomiast i działa - zrazu we Francji (od 30 września 1939 r. do upadku Francji), a następnie w Anglii (od 19 czerwca 1940 r.) legalna władza państwa polskiego: prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, i w sposób ściśle zgodny z obowiązującym prawem powołany rząd polski, funkcjonujący czasowo na emigracji na

terenie państw zaprzyjaźnionych i związanych z Polską sojuszami politycznymi i wojskowymi. Suwerennej władzy polskiej podlega też odbudowywane od jesieni 1939 r. we Francji, a potem w Anglii wojsko polskie, uczestniczące już od 1940 r. ponownie w operacjach wojennych przeciwko Trzeciej Rzeszy na różnych frontach (w Norwegii i Francji), a także na morzu i w powietrzu. W okupowanym kraju istnieją tajne i działają w różnym zakresie wszystkie znane przed wojną partie i stronnictwa polityczne, powstają też nowe ośrodki myśli politycznej. Życie konspiracyjne w Polsce cechuje pluralizm światopoglądowy i polityczny. Odnosi się to również do stosunku wobec rządu i jego poczynań politycznych. Wszystkie jednak partie, stronnictwa i grupy doceniają doniosłość faktu istnienia przedstawicielstwa polskiego w wolnym świecie. W okupowanej Warszawie przebywa i pracuje Delegat Rządu na Kraj i funkcjonuje podległy mu aparat cywilnego zarządzania i planowania dla przyszłości, niezależnie od bardzo rozpowszechnionego zjawiska wiązania się z tajnym ruchem wojskowym, z tworzoną konspiracyjnie w okupowanej Polsce - parusettyśieczną z czasem - Armią Krajową, podległą naczelnemu wodzowi Polskich Sił Zbrojnych. Liczne inicjatywy spontaniczne, samorzutne, skierowane przeciwko okupantowi od pierwszych tygodni okupacji, spotykają się i splatają z biegiem czasu, szczególnie właśnie w dziedzinie życia kulturalnego, z inicjatywami i działaniami organizowanymi lub nadzorowanymi przez różne komórki tajnych organizacji cywilnych i wojskowych.

Całe polskie życie kulturalne w konspiracji trwało, a nawet rozwijało się w trzech planach, stanowiących elementy jednej całości:

1. W dążeniu do zachowania substancji kulturalnej narodu zagrożonego zagładą, a więc ratowaniu fizycznym szczególnie narażonych ludzi kultury, ale także ratowaniu świadomości społeczeństwa, wreszcie ochronie przed zniszczeniem lub rabunkiem dóbr kultury - pomników, muzealiów, archiwaliów, książek w zbiorach publicznych i prywatnych.

2. W działaniu wyrażającym się we włączeniu kultury w najszerszym rozumieniu tego pojęcia w akcję oporu wobec okupanta. Jako obowiązujący wzór kulturowy dominował bowiem wzór walki i oporu. Działalność wojskowa i polityczna wspomnianych różnych formacji opolskiego ruchu konspiracyjnego sprzyjała natomiast wytwarzaniu postaw i norm postępowania, zachowujących godność narodową wobec okupanta, sprzyjała też skryształowaniu nader jasnej hierarchii celów, a także wzrostowi poczucia osobistej odpowiedzialności zarówno twórców wartości kulturowych, jak w ogóle uczestników obiegu kulturalnego.

3. W działaniu dla przyszłości, a więc w myśli o perspektywach życia narodowego w

przyszłym wolnym państwie polskim i w pracach koncepcyjnych i programowych dotyczących przyszłych kierunków rozwoju nauki, oświaty, twórczości artystycznej i kultury masowej.

W planie pierwszym i trzecim szczególną rolę odegrać miały bardzo rozległe działania w dziedzinie tajnego nauczania. Ogół nauczycielstwa nie przyjął bowiem w praktyce do wiadomości faktu zamknięcia szkół przez okupanta i ustawowego zakazu prywatnego nauczania. W ciągu niewielu tygodni i miesięcy, a niekiedy dni nawet tylko, wznawiano w mieszkaniach prywatnych w niewielkich zespołach liczących zazwyczaj kilkoro, rzadziej kilkanaścioro młodzieży - nauczanie gimnazjalne i licealne (średnie) i akademickie (wyższe). Spontaniczna ta akcja koordynowana przez ciało porozumiewawcze wszystkich istniejących w przedwojennej Polsce związków i stowarzyszeń nauczycielskich, przejęta została po kilkunastu miesiącach przez Departament Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj.

Zakres działania tajnego szkolnictwa średniego ogólnokształcącego osiągnął imponujące rozmiary. I tak w roku szkolnym 1942/1943 na terenie 4 okręgów (dystryktów) Generalnego Gubernatorstwa czynnych było w szkolnictwie średnim ogólnokształcącym 5 625 nauczycieli i 48 608 uczniów, a w następnym roku szkolnym 1943/1944 już 7168 nauczycieli i 60 660 uczniów. Dla porównania dodać warto, że na tym samym terenie uczyło się przed wojną w szkołach średnich ogólnokształcących niewiele ponad 90 tys. uczniów, czyli w okresie największego terroru tajna polska szkoła średnia obejmowała jednak na okupowanych ziemiach centralnej Polski około 70% młodzieży w stosunku do stanu przedwojennego. Program nauczania realizowano - obok tajnych spotkań w mieszkaniach prywatnych - także (z roku na rok w większej mierze) pod maską funkcjonujących za zgodą okupanta tu i ówdzie szkół zawodowych. Uczniowie i absolwenci tajnego nauczania otrzymywali tymczasowe zaświadczenia ukończenia poszczególnych klas i składali potajemnie egzaminy maturalne z zapewnieniem uznania po wojnie przez władze polskie<sup>13</sup>.

W kilku różnych ośrodkach zajmowano się kształceniem nauczycieli na poziomie średnim (licealnym) wyższym (akademickim), jak też kształceniem przyszłych wykładowców zakładów kształcenia nauczycieli. W jednym tylko okręgu warszawskim kształcono w ten sposób początkowo około 200 kandydatów, po czym akcję kształcenia przyszłych wykładowców szkolnictwa pedagogicznego rozszerzono na całe Generalne Gubernatorstwo.

W pierwszych miesiącach okupacji nie ukazały się jednak żadne zarządzenia niemieckie, które normowałyby problemy szkolnictwa wyższego. Można było na ten temat doszukiwać się tylko pośredniej informacji w zarządzeniu Franka w sprawie szkolnictwa w Generalnej Gubernii z 31 X 1939 r., które zezwalało jedynie na działalność polskich szkół

powszechnych (podstawowych) oraz średnich szkół typu zawodowego, zakazując wyraźnie funkcjonowania szkół średnich ogólnokształcących<sup>14</sup>. W paragrafie 6 tego rozporządzenia stwierdzono: „Sprawy polskich wyższych zakładów naukowych i wyższych uczelni będą objęte specjalnymi przepisami”. Przepisów takich jednak w 1939 r. nie ogłoszono, co nie przeszkodziło oficjalnym przedstawicielom tak zwanego „rządu GG” w Krakowie interpretować potem zarządzenie z 31 X 1939 r. jako formalny zakaz działalności polskich szkół wyższych.

Rektoraty uniwersytetów i innych wyższych uczelni polskich w miastach zajętych przez Niemców rozważały w pierwszych tygodniach okupacji sprawę podjęcia normalnych zajęć w rozpoczynającym się właśnie nowym roku akademickim. Personel naukowy uniwersytetów uległ jednak w czasie działań wojennych częściowemu rozproszению: niektórzy profesorowie i wykładowcy poginęli, inni zaginęli, wielu znalazło się poza miejscem stałego zamieszkania.

W Poznaniu, położonym na terenie tak zwanego Gau Wartheland, czyli części terytorium Polski od razu „włączonej” w obręb terytorium państwowego Rzeszy, warunki życia nie dopuszczały w ogóle możliwości podejmowania przez Polaków jakichkolwiek działań publicznych. Oddziały armii niemieckiej wkroczyły do Poznania 10 września 1939 r., już zaś następnego dnia aresztowano pierwszych zakładników spośród grona wykładowców Uniwersytetu Poznańskiego; kilku z nich więziono przez parę tygodni pod groźbą stracenia w razie niepokojów w mieście. W końcu września, października i w początku listopada 1939 r. gestapo aresztowało pod zarzutem nieprzyjaznej postawy wobec Niemiec hitlerowskich

w okresie przedwojennym - opierając się na anonimowych denuncjacjach i z góry sporządzanych spisach imiennych - jeszcze kilkunastu profesorów i pracowników naukowych uczelni. Po kilku miesiącach wielu z nich poniosło śmierć: zamordowany został wybitny fizyk prof. Stanisław Kalandyk - dziekan wydziału lekarskiego, prof. Stanisław Pawłowski - jeden z najznakomitszych geografów polskich, autor ponad 300 prac naukowych, prof. Edward Klich z wydziału humanistycznego, prof. Romuald Paczkowski z wydziału prawnoekonomicznego, dr Tadeusz Kuczma, starszy asystent seminarium prawa karnego, dr Ludwik Posadzy, pracownik Biblioteki Uniwersyteckiej, znawca problematyki wychowania przedszkolnego. W ślad za nimi poszły dalsze ofiary, tak że ogólna liczba profesorów i docentów Uniwersytetu Poznańskiego zamordowanych, poległych, zmarłych w obozach i więzieniach lub też w wyniku przejść wojennych osiągnęła 39 osób, innych zaś wykładowców uczelni 26 osób, nie licząc personelu administracyjnego. Zimą 1939 r. większość uczonych została wysiedlona przymusowo z Poznania na teren Polski centralnej. Prof. Michał Sobeski, jeden z założycieli

Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny filozof, przypłacił życiem podróż w niehumanitarnych warunkach, przy kilkunastostopniowym mrozie: zmarł 14 XII 1939 r. na zapalenie płuc<sup>15</sup>.

Siedzibę poznańskiego Collegium Medicum, gdzie mieściły się nie tylko liczne zakłady Wydziału Lekarskiego, lecz także zakłady i cenne zbiory innych wydziałów, jak np. instytutów - Prehistorii, Psychologii, Pedagogiki, Geografii - zajęła policja niemiecka. Nowi użytkownicy gmachu palili polskie książki, wyrzucali przez okna mikroskopy. Podobny los spotkał część zbiorów w innych budynkach Uniwersytetu Poznańskiego, zanim wywieziono stamtąd do Niemiec aparaturę i urządzenia naukowe. Bibliotekę Uniwersytecką w Poznaniu opieczęto 13 IX 1939 r., a gmach tzw. Collegium Minus, gdzie mieściła się siedziba polskich władz uniwersyteckich, zamknięto 21 IX 1939 r.

20 kwietnia 1941 r. - w dniu urodzin Hitlera - ogłoszono akt fundacji Reichsuniversität Posen, nadając temu faktowi znaczny rozgłos. Rektorem uczelni został dr Peter Johannes Carsten, Sturmbannführer SS, zatrudniony od początku wojny w Poznaniu, w miejscowym sztabie osiedleńczym podległym Głównemu Urzędowi Rasy i Osadnictwa w Berlinie i poważnie zasłużony w akcji przymusowego wysiedlania Polaków i Żydów. Rolę nowej uczelni określił rektor Peter Carsten otwarciem:

Nie ma dla nas, naukowców, żadnych ograniczeń w kierunku na wschód. Zadania nowego uniwersytetu nie kończą się na granicach Warthegau [...]. Nie kończą się też na Bugu, musimy nauczaniem i pracą badawczą objąć rozległe tereny Rosji Sowieckiej [...] Ogarniemy zatem całe euroazjatyckie terytorium, z całą jego różnorodnością, zagadkami i problemami na polu gospodarczym, politycznym, socjologicznym i kulturalnym<sup>16</sup>.

Kilkudziesięciu nowo mianowanych profesorów, w większości zjadłych hitlerowców, otrzymało tu po raz pierwszy w swej karierze katedry uniwersyteckie.

W zakładzie anatomii tej uczelni niemieckiej działało krematorium, w którym spalono do końca wojny ciała około 8 tys. Polaków i Żydów rozstrzelanych lub powieszonych przez gestapo. Wyrazem postawy moralnej uczonych niemieckich wobec tych wydarzeń na terenie uczelni może być zapis w ocalałym pamiętniku dziekana Wydziału Medycznego Reichsuniversität Posen - prof. dr. Hermanna Vossa, przed 1939 r. pracownika naukowego Instytutu Anatomicznego w Lipsku. 19 czerwca 1941 r. dr Voss pisał:

Polacy są w tej chwili znowu bardzo bezczelni, wskutek czego nasz piec ma dużo roboty. Jednakże pięknie byłoby, gdyby można było to całe towarzystwo przeprowadzić przez takie piece! Wtedy wreszcie zapanowałby na wschodzie spokój dla narodu niemieckiego.

W cztery dni później zaś ten sam niemiecki uczyony zapisał w swoim pamiętniku: „Wczoraj odwieziono dwa pełne wozy polskich popiołów. Przed moim pokojem do pracy

kwitną teraz pięknie robinie, zupełnie jak w Lipsku”<sup>17</sup>.

W Krakowie, drugim co do wielkości i znaczenia polskim mieście uniwersyteckim, sprawy potoczyły się inaczej. Armia niemiecka wkroczyła do Krakowa w dniu 6 IX 1939 r. Miasto nie było zniszczone w czasie działań wojennych, a zarządzenia administracyjne okupanta zalecały ludności podjęcie normalnych zajęć. Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego uchwalił wobec tego jednomyślnie 19 X 1939 r. rozpoczęcie wykładów na uczelni (zgodnie z uprawnieniami wynikającymi z art. 43 regulaminu wojny lądowej, dołączonego do Konwencji Haskiej z 1899 i 1907 r.). 4 XI 1939 r. odbyło się bez przeszkód zwyczajowe nabożeństwo inauguracyjne<sup>18</sup>. Rektor Uniwersytetu prof. dr Tadeusz LehrSpławiński otrzymał w przeddzień wezwanie do stawienia się w niemieckiej komendzie policji bezpieczeństwa (*Einsatzkommando der Sicherheitspolizei*), podpisane przez Obersturmbannführera Müllera. Müller zażądał informacji na temat organizacji i składu osobowego Uniwersytetu oraz zlecił zwołanie na dzień 6 XI 1939 r. ogólnego zebrania profesorów i wykładowców UJ, aby przedstawić im - jak zapowiedział - „niemiecki punkt widzenia w sprawie nauki i szkół akademickich”. Podczas uroczystości inauguracji pierwszego roku akademickiego UJ po wojnie<sup>19</sup> 19 III 1945 r. prof. LehrSpławiński wspominał:

Kiedyśmy się dnia 6 listopada o godz. 12 zebrali bardzo licznie w sali 66 na pięttrze gmachu, Uniwersytet został otoczony przez gęsty kordon policji, która obsadziła także korytarze i wszystkie wyjścia, po czym Obersturmbannführer Müller wszedłszy na katedrę powiedział nam krótko, że Niemcy wiedzą dobrze, że uniwersytet krakowski był zawsze kuźnią roboty antyniemieckiej, że zresztą i teraz daliśmy dowód wrogiego nastawienia przez podjęcie zajęć w pracowniach, odbywanie egzaminów i przygotowania do rozpoczęcia wykładów bez zapytania o pozwolenie władz policyjnych. Wobec tego oświadczają, że uniwersytet będzie zamknięty, a my wszyscy jesteśmy uwięzieni i będziemy wywiezieni do obozu. Po czym nie dopuszczając do żadnych zapytań ani wyjaśnień, kazał nam, wszystkim obecnym na sali mężczyznom wychodzić parami na korytarz, gdzie po obszukaniu za bronią, sprowadzono nas, również parami, wśród czynnych zniewag, wyzwisk i poszturchiwań, na dół do aut ciężarowych przygotowanych wokół gmachu.

Aresztowane wówczas 183 osoby - profesorów, docentów i asystentów UJ, a także drugiej wyższej uczelni krakowskiej, Akademii Górniczej - osadzono w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen-Oranienburg pod Berlinem. Ten akt terroru wobec grona profesorskiego jednej z najstarszych uczelni europejskich poruszył opinię publiczną nie tylko w okupowanej Polsce, lecz także w wielu krajach Zachodu, zarówno biorących udział w

wojnie z Niemcami, jak i wówczas jeszcze neutralnych. Trafnie ocenił to prof. Stanisław Estreicher, były rektor UJ, gdy na krótko przed swą śmiercią w obozie koncentracyjnym oświadczył w grudniu 1939 r. kilku najbliższym kolegom:

Krakowska Alma Mater zapisuje chlubną kartę swych dziejów; od was wszystkich tu uwięzionych zależy, jak ten okres się zakończy. Cały świat cywilizowany patrzy na was. Wam ugiąć się nie wolno pod żadnym pozorem<sup>20</sup>.

Jak wiadomo, pod naciskiem opinii cywilizowanego świata Niemcy - usiłujący jeszcze wówczas zachować pewne pozory - zwolnili w okresie od lutego 1940 r. do października 1941 r. większość osób uwięzionych 6 XI 1939 r. Jednak piętnastu luminarzy nauki polskiej straciło życie w obozach na skutek nieludzkich warunków bytowania lub też zostało tam zamordowanych, a szesnastu innych zmarło niebawem po zwolnieniu z obozu w wyniku nabytych tam chorób. Wśród ofiar tej zbrodni znaleźli się m.in. profesorowie: Ignacy Chrzanowski - wybitny historyk literatury polskiej, Stanisław Estreicher - czołowy znawca historii prawa zachodnioeuropejskiego, Stefan Kołaczkowski - wybitny historyk literatury, Kazimierz Kostanecki - znakomity anatom i chirurg, były prezes PAU i rektor UJ, Jan Nowak - głośny geolog i paleontolog, Leon Sternbach - światowej sławy filolog klasyczny, Michał Siedlecki - wybitny zoolog, były rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, Władysław Takliński - były rektor Akademii Górniczej, Jan Włodek - wybitny autorytet w zakresie uprawy roli; docenci Joachim Metallmann - filozof przyrody i Wiktor Ormicki - geograf; adiunkt Antoni Wilk - astronom, odkrywca komet, członkowie wielu europejskich towarzystw naukowych<sup>21</sup>.

W kilka dni po głośnych wydarzeniach w Krakowie przeprowadzili Niemcy podobną - choć na mniejszą skalę - akcję terrorystyczną w Lublinie wobec profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który na mocy uchwały senatu rozpoczął normalne zajęcia już 6 X 1939 r. W dniu 9 XI 1939 r. aresztowano rektora tej uczelni ks. dr. Antoniego Szymańskiego, a 11 XI - czternastu profesorów i wykładowców, których osadzono w więzieniu na Zamku. Dziesięciu spośród nich zwolniono po kilku miesiącach. Filozof prawa Czesław Martyniak i teolog ks. Michał Niechaj zamordowani zostali 23 XII 1939 r. wraz z grupą inteligencji lubelskiej, a wybitny językoznawca prof. Władysław Kuraszkiewicz przebywał do 1945 r. w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Gmach Uniwersytetu zabrali Niemcy na koszary, później na szpital wojskowy, biblioteka uległa w znacznej części zniszczeniu<sup>22</sup>.

Uniwersytet Warszawski doznał we wrześniu 1939 r. poważnych strat. W wyniku bombardowania lotniczego i ostrzeliwania artyleryjskiego miasta w ciągu trzytygodniowego oblężenia kilka większych instytutów zakładów uniwersyteckich zostało zniszczonych.



Ocalałe pomieszczenia obrócono w październiku 1939 r. na koszary batalionu policji niemieckiej; w hallu nowoczesnego gmachu prawa przy Krakowskim Przedmieściu urządzono stajnię dla koni policyjnych. Przybywający z Rzeszy urzędnicy niemieccy grabili ponadto bezceremonialnie aparaturę pracowni uniwersyteckich, eksponaty muzealne i księgozbiory zakładów naukowych. W tych warunkach trudno było przystąpić do normalnych zajęć. Władze niemieckie zleciły jednak działającemu w pierwszych tygodniach okupacji likwidatorowi agend polskiego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeprowadzenie wśród profesorów Uniwersytetu ankiety personalnej, rzekomo w celu uruchomienia uczelni<sup>23</sup>.

Wypadki, które nastąpiły tymczasem w Krakowie i Lublinie, rozproszyły radykalnie wszelkie złudzenia, jakie mogły jeszcze istnieć co do zamierzeń Niemców wobec nauki polskiej w Generalnym Gubernatorstwie.

Żadne akty przemocy i bezprawia nie zdołały jednak zastraszyć grona profesorów Uniwersytetu Warszawskiego oraz uczonych wysiedlonych przymusowo z Poznania. Pozbawieni środków do życia i warsztatów pracy, zagrożeni represjami - zdecydowani byli kontynuować nielegalnie pracę naukowowychowawczą z młodzieżą akademicką. Uważali to za swój obowiązek wobec nauki polskiej i europejskiej i wobec własnego społeczeństwa.

Niektórzy profesorowie podjęli już w listopadzie 1939 r. w swych prywatnych mieszkaniach zajęcia z przedwojennymi słuchaczami kończącymi studia. W początku 1940 r. uczyło się w ten sposób konspiracyjnie kilkudziesięciu studentów z różnych wydziałów. W Polsce panowało wówczas powszechne optymistyczne przekonanie, że wojna skończy się rychłą klęską Niemiec, nie widziano więc konieczności organizowania nauki dla młodszych roczników. Po klęsce Francji w lecie 1940 r. stało się jednak jasne, że wojna potrwa dłużej. Tymczasem dorastali nowi kandydaci do studiów: w czerwcu 1940 r. przeprowadzono w Warszawie konspiracyjne egzaminy maturalne z uczniami, którzy przerabiali program szkoły średniej ogólnokształcącej na nielegalnych kompletach, zorganizowanych w szerokim zakresie przez nauczycielstwo w większości szkół żeńskich i męskich. Ponadto liczna grupa maturzystów z 1939 r. oraz grupa początkujących słuchaczy przedwojennych była pozbawiona możliwości kontynuowania nauki. Te okoliczności skłoniły profesorów kilku wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego do zorganizowania jesienią 1940 r. tajnych kompletów (zespołów) dla kandydatów na pierwszy rok studiów.

Organizatorzy tajnego nauczania uniwersyteckiego w Warszawie musieli pokonać w początkach swojej pracy wiele trudności. Należało do nich zarówno uzyskanie koniecznych środków finansowych, jak zapewnienie względnie bezpiecznych lokali w warunkach

panującego terroru. Osobny problem stanowiło znalezienie właściwej metody selekcji kandydatów na studia, a przede wszystkim wypracowanie odpowiedniej metody prowadzenia wykładów, seminariów i ćwiczeń, bez koniecznych pomocy naukowych - w zasadzie bez dostępu do laboratoriów i bibliotek zamkniętych i kontrolowanych przez Niemców. W takiej sytuacji podjęto najpierw pracę przedwojennego Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego w kilku samodzielnie działających sekcjach, spośród których najliczniejsza była sekcja filologii polskiej, zainicjowana, zorganizowana i kierowana przez prof. Juliana Krzyżanowskiego. Jesienią 1940 r. prof. Krzyżanowski skupił wokół siebie kilkunastoosobową grupę polonistów, po trzech latach zaś sekcja polonistyczna osiągnęła liczbę około 200 słuchaczy z wszystkich lat studiów. Równocześnie uruchomiono studium historii (prof. Tadeusz Manteuffel), z kolei również historii sztuki, pedagogiki, filozofii ścisłej, filologii klasycznej i romanistyki. Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym zorganizowano stopniowo studia w zakresie matematyki, fizyki, chemii, geografii i biologii. Reaktywował się też w podziemiu Wydział Teologii Katolickiej pod kierunkiem ks. prof. Piotra Chojnackiego.

Równolegle z rozwojem działalności konspiracyjnego Uniwersytetu Warszawskiego organizowały się na terenie okupowanej Warszawy niektóre wydziały Uniwersytetu Poznańskiego. W Warszawie bowiem zamieszkało wielu profesorów i pracowników naukowych wysiedlonych z Wielkopolski, a także sporo młodzieży w wieku akademickim z Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Tajny komitet organizacyjny uczelni poznańskiej w Warszawie, w skład którego wchodził: ks. Maksymilian Rode (jako ówczesny kierownik Biura Oświatowo-Szkolnego Delegatury Rządu Polskiego dla Ziem Zachodnich), prof. Roman Pollak, prof. Ludwik Jaxa-Bykowski, doc. Władysław Kowalenko i doc. Witold Sawicki - zdecydował jesienią 1940 r. o jak najszybszym rozpoczęciu pracy naukowej i pedagogicznej. Nową konspiracyjną uczelnię nazwano „Uniwersytetem Ziem Zachodnich”, dając tym wyraz przekonaniu, że „walka z Niemcami toczy się o odwieczne prawa narodu polskiego do życia i rozwoju na ziemiach zachodnich Polski, wobec czego - w pracy uczelni ten moment polityczny i ideologiczny powinien znaleźć wyraz w jej nazwie i programie nauczania, zwłaszcza na Wydziale Humanistycznym”<sup>24</sup> (relacja współorganizatora uczelni doc. W. Kowalenki). Obowiązki rektora Uniwersytetu Ziem Zachodnich objął najpierw prof. Ludwik Jaxa-Bykowski, a następnie prof. Roman Pollak. Podobnie jak na Uniwersytecie Warszawskim, tak i tutaj Wydział Humanistyczny był ośrodkiem, na którego pracy wzorowały się inne wydziały. Studia w zakresie filologii polskiej i romańskiej, historii, filozofii, psychologii, pedagogiki i socjologii skupiły niebawem około 200 słuchaczy<sup>25</sup>.

Specjalną rolę odgrywał wówczas w Warszawie Wydział Prawa, najliczniejszy przed wojną na uczelniach polskich. Jego organizatorami w konspiracji byli w 1940 r. profesorowie: Roman Rybarski, przedwojenny dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny prawnik i ekonomista, członek delegacji polskiej na konferencję pokojową w Wersalu w 1919 r. i były wiceminister skarbu, oraz Józef Rafacz, dr filozofii i prawa, historyk ustroju, również były dziekan Wydziału Prawa UW. Prof. Rybarski, aresztowany w maju 1941 r. przez gestapo, wywieziony został do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie zginął w marcu 1942 r. Zapoczątkowana przez niego akcja tajnego kształcenia prawników rozwinęła się jednak znacznie, w równoczesnym powiązaniu z obu uczelniami uniwersyteckimi (warszawską i poznańską), pod kierunkiem prof. Rafacza, skupiając w Warszawie pod koniec okupacji około 600 słuchaczy. Pracę ich uwieńczyły m.in. 54 egzaminy magisterskie i jedna promocja doktorska<sup>26</sup>.

W 1942 r. powołano na Uniwersytecie Ziemi Zachodnich pod nazwą Instytutu Morskiego pierwsze w historii nauki polski specjalnie trzyletnie studium ekonomicznomorskie, które miało przygotować młodzież do powojennej pracy administracyjno-gospodarczej na wybrzeżu Bałtyku.

Przedwojenni słuchacze wydziałów lekarskich znajdowali się w pierwszych miesiącach okupacji w sytuacji nieco lepszej niż studenci z innych wydziałów. Zdołano bowiem zorganizować dla nich konspiracyjne zajęcia i wykłady praktyczne pod pretekstem pracy w szpitalach. Aby umożliwić szkolenie nowych kandydatów do zawodu lekarskiego, których napływ był bardzo znaczny, podjęto starania o utworzenie jawnej szkoły zawodowej pokrewnej specjalności. Ostatecznie wiosną 1941 r. doc. Jan Zaorski, działający w porozumieniu z konspiracyjną Radą Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, uzyskał zezwolenie administracji niemieckiej na otwarcie dwuletniej Prywatnej Szkoły Zawodowej dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego. Kierownictwo naukowe objął prof. Franciszek Czubalski, kilkakrotny dziekan Wydziału Lekarskiego i były prorektor Uniwersytetu Warszawskiego. Program szkoły, która pozornie kształcić miała felczerów i laborantów, odpowiadał faktycznie programowi dwóch pierwszych lat uniwersyteckiego studium medycyny. Szkoła poddawana była różnym szykanom okupanta z powodu zaobserwowanego zbyt wysokiego poziomu nauczania; skonfiskowano w niej wszystkie pomoce naukowe, przesiedlano ją przymusowo z miejsca na miejsce; ostatecznie jednak studiowało tu w latach 1941-1944 łącznie prawie 2 tys. młodzieży, której poważna część ukończyła medycynę po wojnie. Niezależnie od tej szkoły zorganizowano tajne studia lekarskie na Uniwersytecie Ziemi Zachodnich, które skupiły pod kierunkiem prof. Adama

Wrzoska ponad 600 słuchaczy. Studenci tajnych kursów i Słuchacze Szkoły Zawodowej praktykowali wspólnie w niektórych szpitalach warszawskich, odrabiając tam ćwiczenia, a nawet niektóre prace prosektoryjne. Było to możliwe tylko dzięki szerokiemu współdziałaniu środowiska lekarskiego z akcją tajnego nauczania<sup>27</sup>. Na podobnych zasadach jak tak zwana Szkoła Zaorskiego powstało w Warszawie jeszcze kilka innych szkół zawodowych dopuszczonych przez okupanta (na przykład technicznych, handlowych, ogrodniczych), w których prowadzono faktycznie wykłady akademickie według normalnego programu wyższych uczelni. Oprócz Uniwersytetu Warszawskiego, który pod koniec okupacji liczył 2176 słuchaczy i Uniwersytetu Ziem Zachodnich, na którym studiowało 2181 studentów, z czego 1747 w Warszawie i 434 na prowincji (w oddziałach utworzonych z czasem w Częstochowie i Kielcach), czynne były w Warszawie także inne konspiracyjne wyższe uczelnie. Wymienić tu trzeba przede wszystkim Wolną Wszechnicę Polską, pod kierunkiem rektora Teodora Viewegera, liczącą pod koniec okupacji 208 słuchaczy, Politechnikę Warszawską, funkcjonującą pod pretekstem dopuszczonej przez okupanta od wiosny 1941 r. dwuletniej Wyższej Szkoły Technicznej (1500 studentów), oraz w oparciu o legalne licealne szkoły zawodowe: elektrotechniczną, metaloznawczo-zdobniczą i budownictwa lądowego i wodnego (dalszych 1500 słuchaczy). W okresie okupacji wydano 186 dyplomów ukończenia Politechniki Warszawskiej, obroniono 18 doktoratów, przeprowadzono 14 habilitacji.

W tajnie działającej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego - korzystającej przy tym z usług Liceum Rolniczego, Liceum Rybackiego i Szkoły Ogrodniczej, dozwolonych przez okupanta - studiowało 160 osób; uczelnia wydała konspiracyjnie 27 dyplomów inżynierskich i doktorskich.

W tajnej Szkole Głównej Handlowej studiowało pod kierunkiem prof. Edwarda Lipińskiego co najmniej 75 osób (według danych z okresu połowy okupacji).

W Krakowie, obranym przez Niemców na siedzibę tak zwanego rządu Generalnego Gubernatorstwa i siedzibę Hansa Franka, akcja tajnego nauczania podjęta została z opóźnieniem wobec szczególnie dotkliwych strat, jakich doznało grono profesorskie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ograniczono się zrazu do indywidualnych kontaktów dawnych słuchaczy uczelni z niektórymi wykładowcami. Jednak wiosną 1942 r. prof. Mieczysław Małecki zorganizował w porozumieniu z rektorem Władysławem Szaferem tajne nauczanie, które stopniowo rozwinęło się w ramach różnych sekcji Wydziału Filozoficznego (włącznie z Farmacją - około 450 słuchaczy), na Wydziale Prawnym (ok. 300 słuchaczy), Lekarskim (ok. 100 słuchaczy) i Rolniczym (ok. 70 słuchaczy). Tak więc pod koniec okupacji - przy uwzględnieniu napływu

słuchaczy z innych ośrodków, a między innymi ze zniszczonej Warszawy - w ramach UJ studiowało ponad 900 osób. Liczba ta nie obejmuje słuchaczy ówczesnego Wydziału Teologicznego<sup>28</sup>.

Miasta akademickie położone na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej - Lwów i Wilno - okupowane zostały przez Niemców dopiero w lipcu 1941 r. w toku agresywnych działań podjętych przeciwko dotychczasowemu sojusznikowi 22 czerwca 1941 r. Środowisko akademickie obu tych miast ucierpiało poważnie w okresie ponad półtorarocznej okupacji sowieckiej. Wielu profesorów, docentów, adiunktów, asystentów wyższych uczelni lwowskich i wileńskich, nie mówiąc już o młodzieży akademickiej, pozbawiono wolności i deportowano w głąb ZSRR. O wielu słuch zaginął.

W początku lipca 1941 r. - po okupowaniu Lwowa przez Niemców - powtórzyły się tam akty terroru wobec uczonych, wypróbowane już poprzednio w innych miastach polskich, wszakże w udoskonalonej postaci. Dla uniknięcia wszelkich niespodzianek i ewentualnego rozgłosu rozstrzelano potajemnie 4 lipca 1941 r. 41 osób - profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej oraz Akademii Weterynaryjnej wraz z członkami rodzin. Wśród zamordowanych we Lwowie profesorów znajdowali się tacy uczeni światowej sławy, jak: dr Antoni Cieszyński - wybitny pionier stomatologii, autor ponad 370 prac naukowych, dr Stanisław Pilat - znakomity specjalista technologii nafty, matematycy - Włodzimierz Stożek i Antoni Łomnicki, głośni lekarze - dr Władysław Dobrzaniecki, prof. Jan Grek, prof. Witold Nowicki, prof. Tadeusz Ostrowski, prof. Adam Sołowij, prof. Włodzimierz Sieradzki, rektor Politechniki Lwowskiej - prof. Włodzimierz Krukowski i rektor uniwersytetu - Roman Longchamps de Berrier (wraz z trzema synami), a także znany pisarz, tłumacz i profesor literatury francuskiej - Tadeusz Boy-Żeleński.

Tajne nauczanie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie (przed wojną ponad 6000 słuchaczy), a także na Politechnice Lwowskiej oraz Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie (przed wojną - ponad 3500 słuchaczy) rozpoczęte zostało w 1942 r. przez grupy pozostałych tam jeszcze polskich uczonych. Mimo znacznego ubytku inteligencji polskiej w tych ośrodkach, wiosną 1944 r. studiowało już konspiracyjnie we Lwowie (według cząstkowych danych) około 150 osób, a w Wilnie - 65 osób. Łącznikiem pomiędzy środowiskiem lwowskim a konspiracyjnym Departamentem Oświaty i Kultury Delegatury Rządu w Warszawie był prof. Władysław Bulanda. Pomiedzy zaś Uniwersytetem Stefana Batorego w Wilnie a Warszawą - prof. Michał Reicher z Wydziału Lekarskiego USB. Do głównych organizatorów tajnych studiów wyższych w Wilnie należał znany filozof prof. Ludwik Chmaj<sup>29</sup>.

Liczbę ogółu studiujących przez czas dłuższy lub okresowo na polskich tajnych wyższych uczelniach pod okupacją niemiecką ocenia się na mniej więcej 7-9 tys. osób<sup>30</sup>.

Tak znaczny zasięg i stały rozwój studiów konspiracyjnych możliwy był tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi i poświęceniu wykładowców, wyjątkowej dyscyplinie osobistej słuchaczy oraz powszechnemu solidarnemu poparciu społeczeństwa. Wśród organizatorów i wykładowców tajnych uczelni znaleźli się niemal wszyscy uczeni polscy, przebywający wówczas w kraju i reprezentujący kilka generacji naukowych. Uczestniczyli w tej akcji na przykład zarówno prof. Tadeusz Kotarbiński, po wojnie prezes Polskiej Akademii Nauk, jak młodzi naukowcy - Aleksander Gieysztor czy Gerard Labuda, doktoranci z podziemnych studiów, po wojnie znani uczeni.

Studia konspiracyjne prowadzono według przedwojennego programu polskich szkół akademickich, przy czym obowiązkowe zajęcia (wykłady i ćwiczenia) dla każdej grupy słuchaczy wynosiły przeciętnie 8-10 godzin tygodniowo. Ze względu na bezpieczeństwo zbierano się w zespołach kilku, najwyżej kilkunastoosobowych, wobec czego na każdego wykładowcę przypadało w tygodniu ok. 18 godzin pracy dydaktycznej. Był to wysiłek ogromny w warunkach okupacyjnych - ustawicznych łapanek, obław i kontroli ulicznych, przy równoczesnych znacznych trudnościach komunikacyjnych. Tymczasem wykłady odbywały się w różnych punktach miasta, niekiedy na peryferiach; obowiązywała wczesna godzina policyjna, po której nie wolno było Polakom poruszać się po mieście. W dodatku - jesienią i zimą Niemcy ograniczali dopływ prądu do dzielnic zamieszkałych przez Polaków, brakowało też opału do ogrzewania mieszkań. Dokuczliwa także była konieczność dzielenia czasu pomiędzy studia i pracę zarobkową, częstokroć ciężką pracę fizyczną, a dotyczyło to zarówno znacznej części młodzieży studiującej, jak i wykładowców.

Opisane poczynania służyły równocześnie zachowaniu substancji kulturalnej społeczeństwa oraz - przez wytwarzanie czynnej postawy intelektualnej - wzbogaceniu motywacji walki bieżącej z okupantem. Należy tu bowiem zauważyć, że niemal cała studiująca konspiracyjnie młodzież, a często i profesorowie, związani byli równocześnie z tajnymi organizacjami niepodległościowymi. Studenci i studentki uczestniczyli w konspiracyjnym szkoleniu wojskowym, w akcjach bojowych i dywersyjnych ruchu oporu, w pracach tajnej łączności i sanitariatu, w redagowaniu i kolportażu prasy tajnej. Okoliczności te stanowiły dodatkowe zagrożenie zarówno dla nich samych, jak i dla ich najbliższego otoczenia. Niemcy byli słabo zorientowani w rzeczywistym zakresie tajnego nauczania uniwersyteckiego w Polsce, choć istnieją dowody, że docierały do nich informacje na ten temat. Jednak sam fakt spotykania się grup młodych ludzi w prywatnych mieszkaniach

stanowił w przypadku wykrycia wystarczający powód do aresztowania przez gestapo, zesłania do obozu koncentracyjnego czy nawet rozstrzelania, i to bez względu na charakter zebrania.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w obliczu takich okoliczności młodzież akademicka wykazywała dojrzałość ponad wiek, a to z kolei kształtowało jej wysokie poczucie odpowiedzialności. Wielu wykładowców i słuchaczy wyższych uczelni dostało się w ręce gestapo w związku ze swą działalnością w różnych organizacjach polskiego ruchu podziemnego. Nie zdarzyło się jednak, mimo okrutnych metod śledztwa, aby ujawniono tą drogą tajemnicę tajnego nauczania, nazwiska profesorów czy studentów lub adresy lokali.

Podobnie wysoką odpowiedzialnością nacechowany był stosunek młodzieży do studiów. Wybitni uczeni kierujący różnymi wydziałami konspiracyjnych uczelni byli zgodnego zdania, że poziom słuchaczy przewyższał często poziom młodzieży studiującej w normalnym trybie przed wojną:

[...] wydajność pracy młodzieży była, uwzględniając ich warunki, bardzo dobra. Częstokroć poziom przewyższał przedwojenny (prof. Stefan Pieńkowski)<sup>31</sup>.

Młodzież obowiązkowa i inteligentna, przedkładająca prace seminaryjne, z których niejedna mogłaby pojawić się w druku [...]. Młodzież jakiej nie spotkałem na żadnym z tych wszystkich uniwersytetów, w których wypadało mi kiedykolwiek pracować (prof. Julian Krzyżanowski)<sup>32</sup>.

[...] z wielkim wzruszeniem i serdecznym uznaniem wspominam wzorową postawę uczennic i uczniów. Ich rzetelny udział w pracy podczas spotkań, sumienne przygotowanie się z wykładu na wykład, z ćwiczeń na ćwiczenia przy ogromnym braku podręczników i pomocy naukowych sprawiały, że proces dydaktyczny rozwijał się łatwo, w dobrym tempie, bez upomnień i nagan, bez pretensji i zadrażeń (prof. Zenon Klemensiewicz, uczestnik tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim)<sup>33</sup>.

Przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należało niewątpliwie głębiej: nielegalne zdobywanie wiedzy, wspólne pokonywanie trudności i wspólne zagrożenie ze strony gestapo rodziły szczególnie silną więź między gronem profesorskim i studentami. Bliskie i bezpośrednie kontakty w mieszkaniach prywatnych budziły często podziw dla wartości umysłu i charakteru uczonych, obserwowanych z bliska przez młodzież w tak wyjątkowych okolicznościach.

I rzeczywiście, ogół polskich pracowników nauki złożył w latach okupacji chlubne i wszechstronne dowody tych wartości. Znalazło to wyraz nie tylko w ofiarnej pracy dydaktycznej, lecz także w licznych inicjatywach i przedsięwzięciach naukowobadawczych

oraz w pracach autorskich prowadzonych uparcie w najbardziej niesprzyjających warunkach, wreszcie w opiece nad zbiorami muzealnymi i bibliotecznymi rabowanymi przez okupanta, w poważnych wysiłkach organizacyjnych nad przygotowaniem programu uczelni akademickich po wojnie. Wielostronna ta akcja prowadzona początkowo samorzutnie, a od 1942 r. koordynowana przez Wydział Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Departamencie Oświaty i Kultury Delegatury Rządu RP na Kraj, przyniosła poważne wyniki. Na czele Wydziału Nauki stał wybitny uczony, fizyk prof. Stefan Pieńkowski, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Powołana do życia Komisja Prac Naukowych i Podręczników Akademickich planowała i uzgadniała z uczonymi przygotowanie najniezbędniejszych podręczników dla szkół wyższych na okres powojenny. Autorzy - specjaliści ze wszystkich polskich ośrodków uniwersyteckich - zdołali opracować w latach okupacji w sumie około 470 podręczników i dzieł monograficznych z różnych dziedzin wiedzy. Niektórzy uczeni osiągnęli niezwykle wprost wyniki, przygotowując do druku po kilka dzieł kilkusetstronicowej objętości<sup>34</sup>. Ścigany przez gestapo, dotknięty śmiercią syna w obozie koncentracyjnym i pozbawiony właściwego warsztatu pracy naukowej prof. Józef Kostrzewski opracował wówczas swe fundamentalne dzieło, *Kultura prapolska*, ogłoszone następnie po wojnie. Prof. Zygmunt Wojciechowski przygotował szeroko zakrojony program powojenny badań historycznych, napisał i wydał w podziemiu książkę *Polska - Niemcy*, obrazującą dziesięć wieków wspólnej historii obu narodów, zgromadził materiały do kilku innych prac o fundamentalnym znaczeniu. Prof. Stanisław Kasznica przygotował i również wydał konspiracyjnie w 1943 r. nowy podręcznik polskiego prawa administracyjnego<sup>35</sup>. Profesor Julian Krzyżanowski, mimo szczególnie wielkiego obciążenia aktualnymi pracami dydaktycznymi na tajnym uniwersytecie, opracował dalsze części swojej przedwojennej *Historii literatury polskiej* i pierwszy polski *Słownik literacki*, kontynuował prace badawcze nad bajkopisarstwem ludowym. Profesor Władysław Tatarkiewicz napisał pierwszą wersję swego dzieła *O szczęściu*; rzecz doczekała się po wojnie wydań w paru językach. Profesor Waclaw Sierpiński ukończył 40 (!) prac matematycznych, profesor Stefan Pieńkowski - 15 prac badawczych z zakresu fizyki. A są to wyrywkowo tylko podane przykłady nieprzeciętnej prężności i wybitnych osiągnięć uczonych polskich.

Profesor Stanisław Kutrzeba, ówczesny prezes Polskiej Akademii Umiejętności, kontynuował w Krakowie konspiracyjnie działalność niektórych agend tej zasłużonej instytucji. Poszczególne komisje Akademii odbywały tajne posiedzenia, narady i dyskusje. Ukryto też i ocalono bogate materiały do *Bibliografii polskiej* Estreichera i do dalszych tomów zapoczątkowanego przed wojną monumentalnego *Polskiego Słownika Biograficznego*,



do *Słownika staropolskiego*, do *Słownika łaciny średniowiecznej w Polsce*, materiały Komisji Orientalistycznej PAU i wiele innych. Umożliwiło to po zakończeniu wojny natychmiastowe wznowienie prac badawczych i wydawniczych Akademii. Co więcej - ukończono konspiracyjnie zaczęty przed wybuchem wojny druk kilku dzieł naukowych dużej wagi, przede wszystkim z zakresu historii i bibliografii.

W Warszawie kilkanaście zebrań z referatami i dyskusjami odbyli członkowie dwóch wydziałów Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a około 20 zebrań konspiracyjnych członkowie Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. W mieszkaniach prywatnych pracowały też - niezależnie od tajnych wyższych uczelni - różne konspiracyjne zespoły samokształceniowe i naukowe, organizowano na przykład spotkania dyskusyjne z referatami wybitnych uczonych<sup>36</sup>. Nie przerwało też działalności przedwojenne Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, a w szczególnie rozległym zakresie czynna była masowa nauczycielska organizacja zawodowa - przedwojenny Związek Nauczycielstwa Polskiego, używający w konspiracji nazwy Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON).

Zespół pracowników Muzeum Narodowego w Warszawie pod kierunkiem dyrektora tej placówki, Stanisława Lorentza, ukrywał i zabezpieczał w magazynach muzeum przez cały czas okupacji z myślą o przyszłości zagrożone zniszczeniem lub rabunkiem przez Niemców dzieła sztuki z różnych zbiorów publicznych i prywatnych. W ten sposób uratowano kilka tysięcy cennych artystycznie detali Zamku Królewskiego i Pałacu w Łazienkach w Warszawie. Śledzono drogi wywozu dzieł sztuki, wykrywano miejsca ich ukrycia, narażając się na najsurowsze konsekwencje dla uratowania bezcennych skarbów kultury narodu<sup>37</sup>.

Podobną działalność ratowniczą prowadzili pracownicy archiwów i bibliotek, którzy ratowali przed zagładą nie tylko zbiory publiczne, ale i prywatne. Po dwumiesięcznym Powstaniu Warszawskim w sierpniu i wrześniu 1944 r., gdy zniszczeniu uległo w bombardowanym i płonącym mieście bardzo wiele dóbr kultury, strona niemiecka zobowiązywała się w układzie kapitulacyjnym z 2 października 1944 r. do oszczędzania ocalałych zabytków i zbiorów. Zobowiązanie to nie zostało dotrzymane ani przez hitlerowską administrację okupacyjną, ani przez niemieckie władze policyjne. Po przymusowym wysiedleniu z miasta całej ludności wysadzono w powietrze i spalono wiele obiektów kultury - pomników, bibliotek i archiwów wraz ze zbiorami. W nierównym wyścigu z tym dziełem zniszczenia niewielkie grono 300 ludzi - pracowników muzeów, bibliotekarzy, archiwistów, historyków sztuki, uczonych, pod kierunkiem wspomnianego tu już Stanisława Lorentza podjęło - w oparciu o wymuszone niemal od administracji okupanta zezwolenie - dzieło ratowania własnymi rękami dóbr kultury pozostałych w Warszawie. Specjalne grupy

wywoziły najcenniejsze zabytki sztuki polskiej i europejskiej oraz zbiory muzealne i archiwalne w okolice Warszawy, posługując się przy tym nawet metodami korupcji, aby uzyskać od Niemców środki transportu. W ciężkich warunkach klimatycznych surowej zimy 1944/1945 r. ochotnicze ekipy polskich uczonych i ludzi kultury pracowały fizycznie dosłownie od świtu do nocy, pod nadzorem niemieckim, ładując na samochody przedmioty, które następnie miały być i zostały wywiezione w głąb Niemiec. Widziano w tym - jak się okazało słusznie - jedyną szansę fizycznego ocalenia tych wartości kulturalnych. Zostały one po zakończeniu wojny w znacznej części odnalezione i rewindykowane. Ta akcja, która przeszła do historii okupacji w Polsce pod nazwą „akcji pruszkowskiej” (od nazwy miasta Pruszków pod Warszawą, gdzie była siedziba jej kierownictwa) nosiła wszelkie cechy walki czynnej prowadzonej w warunkach niemal frontowych, a służącej bezpośrednio przez ratowanie dorobku przeszłości ocaleniu więzi z tradycją<sup>38</sup>.

Dla trwania i rozwoju wartości kulturowych w konspiracyjnym wymiarze życia społecznego pod okupacją niemiecką oświata, nauka, biblioteki, archiwa, muzea i środowiska wokół nich skupione miały, jak się zdaje, znaczenie szczególne: inspirujące, utrzymujące określony poziom aspiracji środowisk inteligenckich, zarazem nawiązujące do tradycji tajnej organicznej pracy oświatowej w okresie nieistnienia państwa polskiego przed pierwszą wojną światową.

Do tradycyjnej roli literatury polskiej, w ciągu kilku pokoleń uwarunkowanej wymogami walki z obcą przemocą o samoistość i autentyczność narodową, o godność ciemionych i o lepszy kształt przyszłości nawiązali też pisarze polscy w okupowanym kraju. Załączki życia literackiego w tych warunkach sprowadzały się do organizowania konspiracyjnych wieczorów literackich w mieszkaniach prywatnych, wypełnionych lekturą tekstów poezji, esejów, nowel i dyskusją. W rozwoju twórczości oryginalnej chronologicznie przodowała piosenka i wiersz. Dostrzec można było awans satyry do roli obrońcy ogólnonarodowego morale. Satyra prozą i wierszem, fraszka okolicznościowa i dowcip wpłynęły w pierwszych miesiącach okupacji w dużym stopniu na ukształtowanie obyczaju i oceny zachodzących wydarzeń w bardzo szerokich kręgach ludności miejskiej; stały się czynnikiem swoistej samoobrony psychicznej przez śmiech. Tej formie twórczości poświęcało też zrazu swe pióra wielu utalentowanych pisarzy starszego i średniego pokolenia. Pisarze polscy zajęli - dosłownie z wyjątkiem kilku osób - stanowisko nieugięte wobec wszelkich prób pozyskania ich do działań kolaboracyjnych. Środowisko pisarskie od najstarszego, czynnego jeszcze pokolenia urodzonego w poprzednim stuleciu, do najmłodszego, wchodzącego dopiero w życie kulturalne w okresie okupacji, tworzyło „do

szuflady” lub dla tajnej prasy<sup>39</sup>.

Niektóre prywatne firmy wydawnicze lub prywatni pośrednicy skupowali tajnie od wielu pisarzy manuskrypty gotowych lub przygotowywanych utworów. Stanowiło to cenną, doraźną pomoc dla spauperyzowanych twórców, a zarazem i pewien bodziec do pisania w niesprzyjających warunkach. Jednocześnie ulokowany w ten sposób kapitał miał przynieść zyski po wojnie.

Znaczna część pisarzy powiązana była organizacyjnie z różnymi stronnictwami, partiami lub organizacjami wojskowymi. Ludzie pióra widzieli swoją rolę twórczą w owej dobie przede wszystkim w odpowiadaniu na potrzeby społeczne, w spełnianiu swego zamówienia społecznego. Pisarze stawali się działaczami. Przyczyniło się to w warunkach okupacji - mimo anonimowości działania - do wzrostu poczucia osobistej odpowiedzialności moralnej pisarza wobec czytelników i społeczeństwa. Trzeba przy tym stwierdzić, że większość pisarzy umiała połączyć służbę aktualności, wynikającą z myślenia historycznego i politycznego, z wiernością wobec wymagań sztuki.

Kazimierz Wyka powiedział w maju 1945 r.: „Świadectwem żywotności i wierności sztuce jest, że poezja polska, nawet w najgorszym czasie nie pozwoliła zdeptać wrogowi wartości artystycznej”<sup>40</sup>. Wartość tę reprezentowały godnie w konspiracyjnym życiu kulturalnym utwory starszej i średniej generacji poetów tworzących przed wojną, zarówno powstałe w okupowanym kraju, jak i przenikające tu ze środowisk polskich za granicą. Ale także poezje najmłodszych, urodzonych po 1920 r. Nazwiska Krzysztofa Baczyńskiego, Tadeusza Borowskiego, Tadeusza Gajcego, Andrzeja Trzebińskiego, Zdzisława Stroińskiego, Wacława Bojarskiego i innych debiutujących wówczas wejdą po wojnie na karty historii literatury najnowszej, obok nazwisk znaczących już przedtem, jak Leopold Staff, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Władysław Broniewski, Stanisław Baliński, Mieczysław Jastrun, Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski czy Wojciech Bąk. Poza poezją, piosenką i pieśnią poważną rangę zyskała w odbiorze społecznym nowela i esej oraz gatunek z pogranicza literatury pięknej i dziennikarstwa - reportaż, często zbeletryzowany, wreszcie - opowiadanie z życia. Obok licznie pojawiających się staraniem konspiracyjnych wydawców tomików poezji indywidualnych i zbiorowych (antologii) z ogromnym rezonansem spotkały się więc także wydawnictwa, jak *Dywizjon 303* Arkadego Fiedlera czy *Kamienie na szaniec* Aleksandra Kamińskiego<sup>41</sup>.

Znamieniem czasu stała się podjęta w latach 1942-1943 problematyka moralna w świecie więzień, gett i obozów koncentracyjnych<sup>42</sup>. Specjalną rangę uzyskały tu powstałe w owych latach i krążące w odpisach nowele Jerzego Andrzejewskiego, a także niektóre utwory

Zofii Kossak.

Z czasem, głównie w latach 1943-1944, powstały w Warszawie i Krakowie skryzalizowane grupy literackie, przeważnie za sprawą poetów i krytyków najmłodszego i średniego pokolenia. Grupy te wyrażały nie tylko poglądy dotyczące kształtu i zadań literatury, lecz także - niekiedy głównie - różne koncepcje ideowo-społeczne i światopoglądowe. Skupiały się zazwyczaj i rozwijały wokół konspiracyjnych czasopism literackich. W artykułach i polemikach na łamach tych czasopism znajdowało autentyczne odbicie pulsujące w podziemiu tętno normalnego życia twórczego, życia mimo wszystko. Swoistym fenomenem polskiego życia literackiego lat okupacji były konkursy literackie na wiersze, pieśni, utwory dramatyczne, a nawet pamiętniki ogłaszane kilkakrotnie w latach 1941-1944 w prasie tajnej i każdorazowo udane. Anonimowi autorzy nadsyłali konspiracyjnymi drogami łączności do anonimowych jurorów utwory, które były potem, jak zazwyczaj w konkursach, oceniane, nagradzane i publikowane w konspiracyjnych wydawnictwach<sup>43</sup>.

Na miejsce całkowicie przez okupanta zlikwidowanego polskiego życia wydawniczego wkroczyli więc w konspiracyjnym działaniu kulturalnym tajny wydawca, tajny drukarz i tajny system rozpowszechniania druków. Polska prasa tajna rozwijała się niezwykle burzliwie. Z pierwszych miesięcy okupacji - 1939 r. - znanych jest ponad 30 tytułów pism wówczas wydawanych w postaci drukowanej lub powielanej, w 1940 r. było ich już ponad 200, w 1941 r. niemal 300, w 1942 r. - około 400, w 1943 r. około 500, w 1944 r. - 600. Znanych jest 17 tytułów pism, które mimo ciągłych represji i aresztowań ukazywały się tajnie nieprzerwanie w ciągu przeszło 5 lat okupacji. W sumie - krócej lub dłużej - wydawano w okupowanej Polsce około 1500 periodyków, z czego prawie połowa przypada na największe, milionowe skupisko polskiej ludności w Warszawie. Przeważały pisma informacyjne, polityczne i wojskowe, niektóre tygodniki osiągały nakład kilkunastu i więcej tysięcy egzemplarzy, a jedno pismo („Biuletyn Informacyjny”) nawet 47 tys. egzemplarzy tygodniowo, przy czym każdy egzemplarz czytany był zazwyczaj przez wiele rodzin<sup>44</sup>. Nie brakowało przy tym pism specjalnych. I tak na przykład obok wspomnianych już pism literackich (w tym kilkunastu o charakterze tylko satyrycznym) pojawiły się czasopisma młodzieżowe, kobiece, techniczne, ekonomiczne, polityczne i światopoglądowe. Tajna prasa reprezentowała bardzo rozległą skalę postaw, idei i poglądów oraz propozycji programowych. Była wiernym odbiciem niepodległościowej i wolnościowej aktywności społeczeństwa, a zarazem szukania dróg przyszłości. Liczba druków ulotnych wydanych w Polsce konspiracyjnie w okresie okupacji niemieckiej nie jest dotychczas ustalona, ale szacunkowo

przyjąć można, że przewyższała ona liczbę tytułów prasy. Konspiracyjny rynek wydawnictw książkowych był również niezmiernie i nieoczekiwanie obfity. Niepełna bibliografia tajnych publikacji zwartych, opracowana przez Władysława Chojnackiego rejestruje (według stanu wiedzy z końca lat sześćdziesiątych) 1075 książek i broszur w 1239 częściach (tomach, zeszytach), które wydawano w Polsce w okresie okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 bez wiedzy i zezwolenia okupanta<sup>45</sup>. Obecnie szacuje się liczbę druków zwartych ogłoszonych konspiracyjnie w kraju w tym czasie na 1400-1500 pozycji. Wydawcami były zarówno tajne organizacje polityczne i wojskowe, jak i konspiracyjnie działające przedwojenne instytucje naukowe i wydawnicze, wreszcie spółki i osoby prywatne. Liczba drukarni i powielarni tajnych, na których opierała się konspiracyjna działalność wydawnicza w okupowanej Polsce, szacowana jest na około 400, z czego blisko połowa przypadała na Warszawę.

Problematyka polskich wydawnictw tajnych była wprawdzie w poważnym stopniu służebna wobec politycznych i wojskowych potrzeb chwili, konspiracyjni autorzy i wydawcy zaspokajali głód informacji, wymogi szkolenia do walki z bronią w rękę lub tendencje do zjednania czytelników dla różnych programów politycznych, ale nie brakowało też publikacji naukowych z zakresu historii, geografii, ekonomii i prawa, socjologii - o trwałej wartości, jak też broszur i książek czysto i wyłącznie literackich. W tej ostatniej kategorii przewagę nad prozą miała poezja (a szczególnie antologie, bardzo rozpowszechnione w konspiracji zbiory wierszy różnych poetów, głównie o tematyce aktualnej), a formy zwięzłe (esej, reportaż) nad innymi.

Do najpopularniejszych antologii należały: *Pieśń niepodległa* (1942 r.) opracowana przez Czesława Miłosza, *Słowo prawdziwe* - dwa różne wydania w 1942 i 1943 r. - pod redakcją Jana Bajkowskiego, Jerzego Zagórskiego i Wiktora Trościanki przy współudziale Jana Dobraczyńskiego, *Duch wolny w pieśni* w opracowaniu Stanisławy Sawickiej (1942 r.) i seryjnie wydawane zeszyty poetyckie *Werble wolności*, a najwcześniejszym bodaj wydawnictwem tego rodzaju była *Antologia poezji współczesnej* przygotowana w 1941 r. przez Jana Janiczka (zarazem autora kilkunastu spośród ogłoszonych tam wierszy) oraz Stanisława Miłaszewskiego.

Czytelnictwo wojenne nie ograniczało się oczywiście do lektury wydawnictw tajnych, aczkolwiek odgrywały ona w modelu polskiej kultury konspiracyjnej rolę bardzo znaczącą, szczególnie dla kształtowania poglądów, postaw i norm postępowania. Listy pisarzy zakazanych, których książek nie wolno było księgarzom, antykwariuszom i bibliotekarzom w Generalnym Gubernatorstwie sprzedawać ani wypożyczać (a posiadane egzemplarze były konfiskowane), obejmowały około 1500 nazwisk, zarówno klasyków polskich, jak i pisarzy

współczesnych polskich i obcych<sup>46</sup>. W praktyce te zarządzenia okupanta pogłębiły tylko opór w kręgach ludzi związanych zawodowo z rozpowszechnianiem książek. Prowadzony był na wielką skalę kolportaż księgarski i antykwaryczny książek zakazanych przede wszystkim (choć nie tylko) w większych ośrodkach miejskich (Warszawa, Kraków). Piśmiennictwo tego rodzaju, a szczególnie prace popularnonaukowe i powieści dotyczące historii Polski cieszyły się ogromną poczytnością. Poszukiwano w nim nie tylko wiedzy lub rozrywki, stanowiło częstokroć inspirację dla postaw moralnych nacechowanych męstwem i poczuciem odpowiedzialności. Z tego punktu widzenia interesującym był na przykład duży wzrost zainteresowania twórczością Josepha Conrada. Klientelą czytelniczą była obok dorosłych młodzież ucząca się lub doksztalająca nielegalnie, konspiracyjnie, a przypomnieć warto, że tajne nauczanie na poziomie podstawowym zakazanych przez okupanta przedmiotów - literatury, historii, geografii - obejmowało w Generalnym Gubernatorstwie milion dzieci. Jawnie działające szkoły podstawowe, jak też dopuszczone w ograniczonym zakresie szkoły zawodowe odgrywały doniosłą rolę w zakresie ocalenia książek i zarazem krzewienia czytelnictwa. W wielu szkołach odbywały się różne imprezy czytelnicze, recytacje poetyckie, inscenizacje półteatralne zarówno amatorskie, jak i zawodowe<sup>47</sup>.

Życie teatralne, w którym jawne działanie wydaje się w ogóle warunkiem istnienia, zeszło w swej najambitniejszej i twórczej kulturalnie warstwie do konspiracji. Dopuszczone przez okupanta teatryki komercyjne poddane dyktatowi propagandy hitlerowskiej wystawiały teksty trywialnoerotyczne lub propagandowoantysemickie. W tych warunkach rolę sceny narodowej i teatru o tradycjach kulturalnych europejskiego humanizmu przejęły sceny tajne, zespoły aktorów występujących w mieszkaniach prywatnych. W samej Warszawie działały 4 zespoły studyjne, 20 teatrów dramatycznopoetyckich (w tym 2 zawodowe), w całym kraju 10 amatorskich teatrów młodzieżowych (Warszawa, Poznań, Lwów) i 8 artystycznych scen nieprofesjonalnych. Jak twórczy charakter miała tego rodzaju działalność, wskazać można na przykładzie 17 premier w latach 1940-1944 w jednym z krakowskich tajnych teatrów poetyckich i 7 premier w latach 1941-1943 w drugim teatrze poetyckim w Krakowie. Różne inne zespoły dały ponadto 16 sporadycznych premier, a 5 zespołów prowadziło w Warszawie tak zwane audycje poetyckie słownomuzyczne. Najaktywniejszy spośród zespołów dał 150 koncertów dla 7 tys. słuchaczy. W samej tylko Warszawie działało 21 teatrzyków lalkowych, a 7 dalszych w szczególnie trudnych warunkach bezpieczeństwa w nielicznych skupiskach inteligencji polskiej ocalałych na ziemiach wcielonych do Rzeszy (Poznań, Bydgoszcz)<sup>48</sup>.

Repertuar teatrów tajnych był ambitny, sięgano niejednokrotnie do dzieł trudnych,

poszukiwano nowych rozwiązań scenicznych. W konsekwencji liczne konspiracyjne inscenizacje teatralne miały charakter twórczy. Stanowiły realny wkład w proces rozwoju polskiej kultury artystycznej. Można by tu za przykład podać pracę Teatru Rapsodycznego w Krakowie i niektóre inscenizacje Leona Schillera. Młodzież aktorską kształcono w tajnych szkołach lub na tajnych kursach prowadzonych przez różnych reżyserów w Warszawie, Krakowie, Wilnie i Lublinie. Spośród wybitnych potem artystów scenicznych, którzy debiutowali publicznie na scenach polskich po wojnie, wielu było uczniami lub absolwentami tajnych studiów artystycznych<sup>49</sup>.

Również życie muzyczne było w okupowanej Polsce poddane drastycznym ograniczeniom. I tak - zabroniono wykonywania utworów kompozytorów pochodzenia żydowskiego oraz „anty państwowych” (*staatsfeindliche Komponisten*); polskich marszów, pieśni ludowych i narodowych, jak też wszystkich utworów mogących podtrzymywać lub wzbudzać poczucie tradycji narodowej. Zatem kultura muzyczna znajdowała w konspiracji społeczny wyraz przede wszystkim w koncertach organizowanych w mieszkaniach prywatnych. Wykonywano tam zakazany polski repertuar narodowy, często kompozycje Chopina, ale także wielu innych kompozytorów polskich. Liczne koncerty poświęcone były nowej twórczości wojennej, w której dominowały utwory wokalne i kameralne lub na instrument solo. Była to akcja prowadzona na wielką skalę: w jednym tylko 1942 r. odbyło się (jak wynika z zachowanej dokumentacji) w mieszkaniach prywatnych w samej tylko Warszawie kilkaset tajnych koncertów z udziałem około 150 muzyków, przy czym w każdym koncercie uczestniczyło od 40 do 150 osób. Interesujący też jest - z punktu widzenia modelu kultury polskiej w konspiracji - pogląd wyrażany powszechnie przez wykonawców i słuchaczy tajnych koncertów o wyjątkowo silnym związku psychicznym, jaki wytwarzał się pomiędzy twórcami i odtwórcami a publicznością. Pewna część działalności kompozytorskiej wiązała się bezpośrednio ze zbrojnym ruchem oporu. Nowo skomponowane pieśni patriotyczne i piosenki wojskowe powielane tajnie, szeroko kolportowane, zyskiwały bardzo dużą popularność. Tworzyli je często wybitni kompozytorzy o znanych nazwiskach. Tajne szkolenie muzyczne na szczeblu akademickim prowadzone było, podobnie jak niektóre inne wspomniane już studia wyższe, pod płaszczykiem średnich szkół zawodowych. Liczba uczniów jednej tylko z kilku szkół muzycznych w Warszawie sięgała w jednym tylko 1943/1944 r. 500 osób. Prowadzone były też prace naukowe, głównie typu podręcznikowego z zakresu muzyki. Kilku z nich zostało wydanych wkrótce po wojnie. W różnych formach konspiracyjnej działalności muzycznej brali udział artyści tak wysokiej rangi, jak Grażyna Bacewicz, Witold Lutosławski, Konstanty Regamey, Zygmunt Turski, Maria i Kazimierz

Wiłkomirscy, Irena Dubiska, Jan Ekier, Eugenia Umińska, Zbigniew Drzewiecki, Jan Krenz, Andrzej Markowski, Andrzej Panufnik, Bronisław Rutkowski, Stanisław Kazuro, Stefan Kisielewski i inni<sup>50</sup>.

W zakresie kultury plastycznej dominowała twórczość ludowa oraz - ze zrozumiałych powodów ekonomicznych - sztuka użytkowa. Plastycy polscy, pozbawieni przez okupanta możliwości wystawiennictwa, organizowali wprawdzie sporadyczne wystawy w mieszkaniach prywatnych, nie mieli jednak warunków dla szerszej kontynuacji uznawanych powszechnie przed wojną osiągnięć w zakresie rzeźby, grafiki czy plakatu. Część artystów plastyków czynnie zaangażowanych w działalność politycznego i wojskowego ruchu podziemnego wykonywała rysunki (w znacznej mierze satyryczne), projekty okładek i winiety dla tajnych wydawnictw, obrazki, nalepki i plakietki treści patriotycznej lub religijnej sprzedawane w celu gromadzenia funduszy na cele narodowe. Niektórzy artyści plastycy specjalizowali się też w wykonywaniu exlibrisów na zamówienie nielicznych prywatnych mecenasów sztuki. Obecność plastyki w konspiracyjnym życiu kulturalnym dostrzegalna była jednak przede wszystkim w powiązaniu z działalnością wydawniczą i -, a więc w działaniu doraźnym przeciwko okupantowi<sup>51</sup>.

Twórczy udział w życiu kultury polskiej w konspiracji - jak też w kręgu jej odbiorców - zależny był w głównej mierze od postaw indywidualnych, od osobistej, jednostkowej decyzji. Zjawiskiem niezmiernie charakterystycznym dla zrozumienia funkcjonowania kultury polskiej w konspiracji jest spontaniczność, z jaką podejmowano decyzję działania - i to dosłownie już w pierwszych tygodniach okupacji - w różnych kręgach ludzi kultury i nauki i w różnych miejscach okupowanego kraju. Dotyczy to zarówno odbudowy systemu oświaty i szkolnictwa, jak ochrony dóbr kultury narodowej, organizacji tajnych środków masowego przekazu oraz inicjatyw twórczych w różnych dziedzinach sztuki. Wszelkie poczynania i podjęte decyzje o charakterze zorganizowanym natrafiły więc od razu na podatny grunt albo też stanowiły tylko etap koordynacji, uporządkowania, prac i akcji już rozpoczętych i prowadzonych.

Myśl o prowadzeniu tajnej akcji oświatowej zrodzona z potrzeby chwili w grupie kilku działaczy różnych organizacji nauczycielskich w Warszawie znalazła następnie formy realizacyjne opracowane przez Międzystowarzyszeniową Komisję Porozumiewawczą Organizacji i Stowarzyszeń Nauczycielskich powstałą na początku grudnia 1939 r. Poszczególne stowarzyszenia nauczycielskie - a w największym zakresie przedwojenny Związek Nauczycielstwa Polskiego działający teraz konspiracyjnie pod nazwą Tajna Organizacja Nauczycielska oraz Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych -



podjęły prace organizacyjne we właściwych sobie środowiskach. Zrazu też na własną rękę zaczęły tajne nauczanie akademickie zespoły profesorów z różnych uczelni wyższych<sup>52</sup>.

Próby organizowania tajnej oświaty na terenach włączonych do Rzeszy rozpoczęły się najwcześniej (bo już w zimie 1939/40 r.) w Poznaniu. Utworzona tam staraniem tajnej organizacji „Ojczyzna” Komisja Oświatowa stała się zawiązkiem późniejszego Biura Oświatowo-Szkolnego dla Ziem Zachodnich, które organizowało w granicach niewielkich możliwości nauczanie tajne w Wielkopolsce i na Śląsku, a także zajmowało się na terenie Generalnego Gubernatorstwa tajnym nauczaniem dzieci z rodzin wysiedlonych z Ziem Zachodnich<sup>53</sup>.

A oto inny charakterystyczny przykład takiego przejścia od działań spontanicznych do instytucjonalnych.

Już w kilkanaście dni po zakończeniu działań wojennych w 1939 r. powstała w Warszawie tajna grupa pracowników kultury i sztuki. Kierował nią dyrektor Muzeum Narodowego Stanisław Lorentz. Zespoły specjalistów rozpoczęły prace od rejestracji strat w dziedzinie kultury i sztuki, poniesionych wskutek działań wojennych oraz w wyniku działań okupanta. Literaci, pracownicy muzeów, bibliotekarze i archiwiści, muzycy, plastycy, ludzie teatru, przedstawiciele najpoważniejszych firm wydawniczych zaczęli konspiracyjnie zbierać w całym kraju odpowiednie materiały dowodowe. Podobne prace dokumentacyjno-rejestracyjne prowadzone były już od pierwszych tygodni okupacji w odniesieniu do innych - poza kulturą - dziedzin życia, przemysłu, rolnictwa, transportu itd., z myślą o powojennej konferencji pokojowej. Całością tych prac kierował Antoni Olszewski, były minister rządu RP, specjalista od spraw rewindykacji i odszkodowań<sup>54</sup>.

Do najważniejszych potrzeb i zadań w tym pierwszym okresie okupacji należało też określenie norm postępowania obywatelskiego - zasad zachowania się wobec inicjatyw okupanta. Ludzie myślący przywiązywali wówczas, w okupowanej Polsce, ogromne znaczenie do niepodejmowania z władzami okupanta żadnej współpracy, która mogłaby być wykorzystana przeciw interesom narodowym i społecznym ludności. *Sui generis* kodeks norm postępowania obywatelskiego nazywany był *Wytycznymi Walki Cywilnej*. Obejmowały one między innymi wszystkie dziedziny kultury, a wspomniana grupa Stanisława Lorentza odegrała zasadniczą rolę przy opracowywaniu tych zasad. Ogłoszone w publikacjach tajnych oraz przekazywane w drodze ustnej normy te zostały powszechnie zaakceptowane, bez względu na istniejące w społeczeństwie polskim różnice światopoglądowe i polityczne, a ich przestrzeganie uważano za obowiązek przyzwoitości; inspirowało, koordynowało i firmowało tę akcję wychowania obywatelskiego utworzone specjalnie w tym celu w 1941 r.

Kierownictwo Walki Cywilnej, na którego czele stanął adwokat Stefan Korboński.

Na przełomie 1940/41 r. w ramach przedstawicielstwa na kraj rządu emigracyjnego zaczęto organizować Departament Oświaty i Kultury, na którego czele stanął jeden z głównych działaczy Tajnej Organizacji Nauczycielskiej Czesław Wycech. W ciągu kilkunastu miesięcy departament ten wchłonął stopniowo większość dotychczas istniejących grup działających w dziedzinie kultury, oświaty i nauki, które w jego ramach organizacyjnych kontynuowały do końca okupacji swoje prace. A zatem w Departamencie Oświaty i Kultury działały wydziały: 1) Szkolnictwa Ogólnokształcącego, 2) Szkolnictwa Zawodowego, 3) Nauki i Szkolnictwa Wyższego, 4) Kultury i Sztuki, 5) Oświaty Dorosłych.

Wydział Nauki i Szkolnictwa Wyższego, kierowany przez prof. Stefana Pieńkowskiego, prowadził prace w zakresie: 1) opieki nad twórczością naukową, 2) pomocy dla pracowników naukowych, 3) opieki nad majątkiem szkół akademickich, 4) badania aktualnego stanu szkolnictwa wyższego, 5) nauczania na poziomie akademickim przez oddziaływanie na funkcjonujące już kursy, szkoły, seminaria, komplety.

W Wydziale Kultury i Sztuki, kierowanym przez Stanisława Lorentza, utworzone zostały zespoły: 1) literatury i teatru, 2) plastyki, 3) muzyki, 4) bibliotek, 5) archiwów, 6) zabytków, 7) muzeów i zbiorów.

Z Wydziałem Oświaty Dorosłych współdziałała tajna instytucja społeczna pod nazwą Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, prowadzona przez specjalistów oświaty pozaszkolnej. Do podstawowych zadań Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury należało badanie działalności oświatowo-kulturalnej, publikowanie wydawnictw z zakresu problematyki oświatowo-kulturalnej, kształcenia kadr pracowników kulturalnych dla potrzeb miasta i wsi<sup>55</sup>.

Wiele wspomnianych wyżej prac o charakterze dokumentacyjnym przejął utworzony w 1942 r., również pod kierownictwem Antoniego Olszewskiego, Departament Likwidacji Skutków Wojny Delegatury Rządu.

Tajny ruch prasowo-wydawniczy zachował przez całą okupację charakter autonomiczny, społeczny. Wszakże i w tej dziedzinie pewne prace koordynacyjne prowadził funkcjonujący od początku 1941 r. Departament Informacji i Prasy Delegatury Rządu. Kierował nim Stanisław Kauzik, przed wojną dyrektor Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Poczynania prasowo-wydawnicze poszczególnych organizacji wojskowych i politycznych były koordynowane przez odpowiednie komórki lub osoby w tych organizacjach.

Różne działania konspiracyjne w dziedzinie kultury w okupowanej Polsce znajdowały

nader żywe echo w krajach alianckich. Tajnymi drogami kurierskimi przekazywano do Londynu syntetyczne opracowania przeznaczone do wykorzystania na forum międzynarodowym w celach informacyjnych, a ponadto dla udokumentowania przyszłych polskich roszczeń odszkodowawczych i rewindykacyjnych. Na podstawie takich meldunków i sprawozdań, dotyczących między innymi sytuacji w sprawach kultury, formułowano odpowiednie postulaty w notach rządu polskiego w Londynie. I tak w nocy wystosowanej przez rząd RP 3 maja 1941 r. do rządów państw sprzymierzonych i neutralnych w sprawie zachowania się okupanta niemieckiego w Polsce wskazano między innymi na fakty zniszczenia i grabieży dóbr kultury polskiej. Obszerny wyciąg z tej noty został opublikowany w 1941 r. przez polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Londynie, *The German Occupation in Poland*. W pierwszych tygodniach 1942 r. ukazała się tamże polska „czarna księga”, *The German New Order in Poland*, drugie jej wydanie pojawiło się w kwietniu 1942 r., trzecie - w marcu 1943 r. Tom zawierał kilkaset stron dokumentów i fotografii poświęconych hitlerowskiej polityce eksterminacyjnej w Polsce w czasie od października 1939 r. do końca czerwca 1941 r. Siedemdziesięciopięciostronicową część dzieła poświęcono zagładzie kultury polskiej. Tę książkę-dokument wręczono w styczniu 1942 r. uczestnikom konferencji międzyalianckiej 9 państw okupowanych przez Niemcy oraz obecnym tam obserwatorom z ramienia wielkich mocarstw - Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin - i z niektórych państw neutralnych.

Jako jedna z pierwszych broszur cyklu *Documents Relating to the Administration of Occupied Countries in Eastern Europe* wydawanego w Stanach Zjednoczonych przez Polish Information Center - ukazała się w 1942 r. książeczka nosząca tytuł *German Destruction of Cultural Life in Poland*.

W 1944 r. wydano w Londynie książkę opracowaną przez Karola Estreichera - przy współudziale Anny Marii Mars i Jerzego Żarneckiego - pod dwujęzycznym tytułem *Cultural Losses of Poland. Index of Polish Cultural Losses during the German Occupation, 1939-1944*. We wstępie Estreicher pisał:

Straty kultury polskiej. Katalog strat kultury pod okupacją niemiecką, 1939-1944. A skoro mowa o autorach tej książki, to pragnę wymienić w pierwszym rzędzie tych bezimiennych uczonych i miłośników kultury polskiej, co działalność Niemców w Polsce nieraz z narażeniem życia śledzili i uzyskane wiadomości przesyłali do Londynu, potem wymienić trzeba kurierów i emisariuszów, co zawozili pytania i przywozili odpowiedzi, i to nie tylko z Polski, ale z Niemiec samych.

W początku 1945 r., ale jeszcze w czasie trwania drugiej wojny światowej, pojawiło

się w Glasgow obszerne dwutomowe dzieło, *Straty kultury polskiej 1939-1944*, napisane przez kilkudziesięciu autorów, pod redakcją Jana Hulewicza (ukrytego pod pseudonimem Adam Ordęga) i Tymona Terleckiego. Rzec obejmuje wspomnienia i biografie uczonych, pisarzy, dziennikarzy, artystów plastyków, aktorów i działaczy kulturalnych, poległych, zamordowanych lub zmarłych w latach 1939-1944. Podobną, lecz znacznie szerzej ujętą problematyką zajmuje się dzieło wydane również w pierwszych miesiącach 1945 r. w Londynie, *The Nazi „Kultur” in Poland by several authors of necessity temporarily anonymous*. Książka obejmuje 21 obszernych szkiców monograficznych traktujących o założeniach programowych i praktyce okupanta w dziedzinie kultury w Polsce. Redaktorem całości dzieła i autorem jego części był wybitny historyk kultury i literatury prof. Wacław Borowy. Do grona współautorów należeli między innymi Józef Grycz, Stanisław Lorentz i Witold Suchodolski<sup>56</sup>.

Drogami polskiego ruchu podziemnego docierały również na Zachód publikacje literackie i naukowe wydawane konspiracyjnie w kraju, prace programowe, reportaże i relacje z obozów koncentracyjnych, specjalne - wydane w formie broszur - publikacje o cierpieniach i zagładzie ludności żydowskiej. Co najmniej kilkanaście takich edycji konspiracyjnych przedrukowanych zostało w latach trwającej wojny w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, niekiedy i w krajach neutralnych, po polsku, po angielsku i w innych językach. I tak wspomniana już *Antologia poezji współczesnej* Jana Janiczka i Stanisława Miłaszewskiego przedrukowana była w 1942 r. w Glasgow w języku polskim, a w 1944 r. tamże w języku angielskim, *A Call from Warsaw. Antology of Underground Warsaw Poetry*. Broszurę o Oświęcimiu, pióra Natalii Zarembiny, wydaną pierwotnie w Warszawie w 1942 r., przedrukowano w Londynie po polsku (w tomiku *Kroniki Generalnej Gubernii*) w 1943 r., a po angielsku ukazały się w 1944 r. - edycja brytyjska *The Camp of Death* i amerykańska *Oświęcim, Camp of Death*, w Meksyku zaś w 1944 r. edycja hiszpańska *Oświęcim, campo de la muerte*. Relacja Jankiela Wiernika, któremu udało się zbiec w sierpniu 1943r. z ośrodka masowej zagłady w Treblince, *Rok w Treblince*, wydaną w Warszawie w początkach 1944 r., ogłoszono w tym samym roku po angielsku w Nowym Jorku - *A Year in Treblinka*. Wydany wiosną 1944 r. w Warszawie - staraniem tajnego Żydowskiego Komitetu Narodowego - tomik poezji, *Z otchłani*, zawierający wiersze poświęcone męczeństwu i walce narodu żydowskiego, przedrukowano w 1945 r. w Nowym Jorku po polsku, wszakże pod zmienionym tytułem *Poezje getta*, z wyjaśniającym podtytułem *Z podziemia żydowskiego w Polsce*. Obszerny tom reportaży, *Z pierwszej linii frontu*, praca zbiorowa wydana w Warszawie wiosną 1943 r., przedrukowany został niebawem po polsku w Glasgow<sup>57</sup>.

Wprowadzone przez okupanta rygorystycznie realizowane norymberskie ustawy rasistowskie spowodować miały w założeniu i w konsekwencji całkowite wyizolowanie ludzi - których hitlerowcy uważali za Żydów - z kręgu polskiego życia kulturalnego. W praktyce ci twórcy polscy pochodzenia żydowskiego, którzy związani byli uprzednio z własnego wyboru z kulturą polską, więź tę nawet w najtrudniejszych i najtragiczniejszych warunkach zachowali. Przymusowa izolacja Żydów w gettach i w innych miejscach odosobnienia w ciągu 1940 i 1941 r. wytworzyła sytuację szczególnie trudną. Ludzie, którzy ukryli się w nieżydowskim otoczeniu i do gett nie poszli, uczestniczyli w „normalnym” konspiracyjnym życiu kultury polskiej: byli wykładowcami i słuchaczami tajnego szkolnictwa, pisali utwory literackie, współpracowali z tajną prasą polską itp. Większość jednak skazana była na warunki życia w dzielnicach zamkniętych, gdzie ucisk okupanta i pauperyzacja były szczególnie dotkliwe. Szkolnictwo zostało w gettach w zasadzie całkowicie zlikwidowane, choć w niektórych miastach dopuszczano w ciągu jednego roku szkolnego działanie szkół podstawowych oraz kursów szkolenia zawodowego. Prowadzono więc w gettach siłami osadzonych tam uczonych i pedagogów tajne nauczanie średnie (gimnazjalne i licealne), a nawet wyższe w języku polskim. Najważniejszym osiągnięciem w tym zakresie było tajne studium medycyny w getcie warszawskim pod pretekstem dozwolonego przez okupanta kursu przysposobienia sanitarnego do walki z epidemiami. Zorganizował je profesor Uniwersytetu Warszawskiego Juliusz Zweibaum, a wśród wykładowców znajdował się między innymi światowej sławy uczony prof. Ludwik Hirszfild. W gettach ukazywała się prasa tajna, zarówno w języku polskim, jak i żydowskim, prowadzona też była w ograniczonym zakresie działalność artystyczna w dziedzinie muzyki, plastyki, teatru<sup>58</sup>.

W środowisku żydowskim, podobnie jak w polskim po tak zwanej stronie aryjskiej, prowadzono z myślą o przyszłości prace dokumentacyjne dotyczące różnych zagadnień życia społecznego, w tym i rozległe pojętych problemów kultury. Miało to miejsce zarówno w Łodzi, w Krakowie jak i na szczególnie wielką skalę w getcie warszawskim z inicjatywy i pod kierunkiem dr. Emanuela Ringelbluma<sup>59</sup>. Ogólnie rzecz biorąc, w najgorszych i najtragiczniejszych nawet warunkach dostrzec można było dążności twórcze i potrzeby kulturalne. Ludzie skazani przez okupanta na los ofiar, prześladowani i poniżani, znajdowali nieraz źródło siły duchowej w wartościach kulturalnych: tradycji, słowie pisanym i mówionym, pieśni, melodii, rysunku-symbolu.

Dobitnym tego przykładem są postawy części ludzi osadzonych w gettach, ale także liczne przejawy aktywności kulturalnej w innych miejscach odosobnienia i udręki: w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. W większych skupiskach obozowych

Polaków, jak na przykład w Oświęcimiu czy Ravensbrück, do charakterystycznych i ważnych przejawów konspiracyjnego życia kulturalnego należały pogadanki i odczyty (niekiedy mające cechy regularnego nauczania), recytacje poezji, zarówno repertuaru klasycznego, jak autorstwa więźniów. Nie brakowało i przykładów twórczości artystycznej wysokiego lotu, jak - przykładowo - Zofii Górskiej Romanowiczowej w Ravensbrück czy Tadeusza Borowskiego w Oświęcimiu<sup>60</sup>.

Próba charakterystyki modelu kultury polskiej w konspiracji pozwala, jak się zdaje, na sformułowanie kilku ogólniejszych spostrzeżeń:

- Kultura narodowa w okupowanej przez Niemców Polsce w okresie drugiej wojny światowej poddana wyjątkowemu ciśnieniu okupanta i zagrożona w swojej istocie - przyjmując nowe formy i metody działania, trwała, a nawet wykazywała tendencję rozwojową.

- Do szczególnych cech tego okresu historycznego należała spontaniczność inicjatyw społecznych w dziedzinie działań kulturalnych w różnych środowiskach i w różnych częściach okupowanego kraju wyprzedzająca działania zorganizowane i instytucjonalne.

- Wyjątkowa prężność środowisk twórców kultury pobudzona poczuciem potrzeby społecznej odbioru jej dóbr spowodowała, że pięcioletni okres okupacji - mimo krwawych, ogromnych ofiar i dotkliwych strat materialnych - nie stanowił takiej luki w ciągłości kultury polskiej, jaka powinna by powstać w wyniku realizacji założeń okupanta. Niezwykle ważną rolę spełnił w tym przypadku umiejętnie dostosowany do warunków system tajnego nauczania oraz sprawne wydawanie i rozpowszechnianie prasy konspiracyjnej.

- Cele niepodległościowe i wyzwolenicze niezwykle w Polsce rozwiniętego ruchu przeciwko okupantowi nadawały szczególnie sens konspiracyjnie wytwarzanym i rozpowszechnianym wartościom kulturalnym. Uczestnictwo w konspiracyjnej kulturze służyło w warunkach okupacji umacnianiu wspólnoty narodowej, budzeniu świadomości społecznej, lepszemu rozumieniu i określeniu konkretnych celów walki.

- W konspiracji przejawiała się też dążność do zaspokojenia dość rozległych potrzeb kulturalnych odbiorców, zarówno w kręgach inteligencji, jak w środowiskach mieszkorobotniczych oraz wśród ludności wsi. Przyczyniło się to do wyraźnego zdemokratyzowania treści kulturalnych tak w dziedzinie tajnej oświaty, jak tworzenia i odbioru dzieł sztuki (na przykład wiersze, pieśni, muzyka). Odnotować tu trzeba znaczenie rozwoju ruchu partyzanckiego znajdującego szerokie poparcie w środowisku chłopskim i robotniczym. Samorodne pieśni i wiersze partyzanckie uzyskiwały dużą popularność nie tylko na wsi, zasilając zarazem ludowy nurt w kulturze narodowej. W środowiskach

wielkowiejskich podobną rolę odgrywała plebejska pieśń czy piosenka uliczna.

Elementem demokratyzacji kultury była też pełna swoboda przekazywania poglądów w prasie tajnej, swoboda ograniczona ryzykiem utraty wolności lub życia, lecz nie działaniem jakiegokolwiek cenzury.

- W opisanych warunkach nastąpiła całkowita dekomercjalizacja kultury, kultura była bowiem - w intencji zarówno jej twórców, jak i uczestników - jedną z najważniejszych form oporu narodowego.

- W treści tajnego nauczania, w uprawianych gatunkach artystycznych, w charakterze czytelnictwa wreszcie manifestowało się - wbrew stanowisku hitleryzmu wobec Słowian, uważanych za podludzi - zdecydowane poczucie więzi społeczeństwa polskiego z kulturą łacińską i trwałym dorobkiem tradycji europejskiej.

- Nieludzka praktyka hitleryzmu nadawała obiektywnie - a tym bardziej w subiektywnej świadomości ludzi - wielkie humanistyczne znaczenie działalności kulturalnej w podziemiu i określonym postawom moralnym z nią związanym. Znamienne dla konspiracyjnej praktyki kulturalnej były wysokie aspiracje etyczne jej uczestników. Sięgniemy tu dla ich unaocznienia do jednego tylko syntetyzującego przykładu. Oto wiosną 1943 r., w chwili gdy formacje SS i policji hitlerowskiej dokonywały właśnie na terenie warszawskiego getta masowej rzezi Żydów, prof. Józef Rafacz, kierownik konspiracyjnych studiów akademickich prawa, w taki oto sposób zagaił swój wykład w prywatnym mieszkaniu dla grupy studentów tajnego uniwersytetu w Warszawie:

Obok nas palą się żywi ludzie, słychać strzały, giną starcy, chorzy, kobiety i dzieci. Są to istoty tworzące tę wspólnotę najwyższego rzędu, jaką jest ludzkość. I to wszystko dzieje się zgodnie z zarządzeniami, poleceniami i przepisami państwa, w którym nauka prawa stoi wysoko. Generalny Gubernator dr Frank to prawnik, i to prawnik wybitny, prezes Niemieckiej Akademii Prawa. Większość wyższych urzędników niemieckiej administracji w Polsce to również prawnicy... Po cóż w takim razie uczyć się prawa? Czy to ma w ogóle jakiś sens... Ustawa jest ustawą, prawo prawem, a człowiek jest człowiekiem, któremu ono ma służyć. Przepisy stwarzają ramy, na ogół formalne. Żywy człowiek wypełnia je swoją treścią. I od żywego człowieka zależy wszystko. Dlatego to dobrze, że wy się właśnie dziś uczycie prawa, ażeby obracać je na dobro ludzi, nie na śmierć, a na obronę słabych i chorych, kobiet i dzieci. Wy, zbrojni w swoją wiedzę prawa, będziecie musieli też dopilnować, by ci, którzy dziś prawa używają na pohańbienie i zagładę człowieka, ponieśli karę, karę przepisaną prawem. Na straży każdego prawa musi stać człowiek, bo człowiek jest najważniejszy, a jego prawo do życia najważniejszym prawem<sup>61</sup>.

1 Tekst ogłoszony w pierwotnej wersji w „Więzi” 1977, nr 9 i 10, przedrukowany w 1982 w pracy zbiorowej *Inter arma non silent Musae. Wojna i kultura 1939-1945* (Warszawa, pod red. C. Madajczyka), a następnie w tomie *Na drodze do niepodległości* („Spotkania”, Paryż 1987).

2 Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I; zob. też Jerzy Marczewski, *Hitlerowska koncepcja polityki kolonizacyjnowysiedleńczej i jej realizacja w „Okręgu Warty”* Poznań 1979.

3 Piotrowski, *Dziennik Hansa Franka*, s. 396-422; tenże: *Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka 1939-1945*, t. I [1939-1941], Warszawa 1970, s. 81, 195.

4 Tekst za: „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce” IV, 1948, s. 167-168.

5 Tekst oryginalny ogłoszony przez K.M. Pospieszalskiego w: *Documenta Occupationis - V: Hitlerowskie „prawo” okupacyjne w Polsce. Wybór dokumentów*, cz. I - *Ziemie „wcielone”*, Poznań 1952, s. 2-28. Tekst polski za: *Straty wojenne Polski w latach 1939-*

*-1945*, PoznańWarszawa 1962, s. 79.

6 *Mały Rocznik Statystyczny 1939*, Warszawa 1939, s. 317-318 oraz: Stefan Kieniewicz, *Z dziejów Uniwersytetu Warszawskiego*, w: *Uniwersytet Warszawski 1808-1818-1958*, Warszawa 1958.

7 *Mały Rocznik Statystyczny 1939*, Warszawa 1939.

8 *Sprawozdanie w przedmiocie strat i szkód wojennych Polski w latach 1939-1945*, Warszawa 1947; *Straty wojenne Polski 1939-1945*, PoznańWarszawa 1962; *Walka o dobra kultury, Warszawa 1939-1945*, t. III, Warszawa 1970.

9 N. Szuman, *Grabież dóbr kultury polskiej w ramach działalności generalnego powiernika dla zabezpieczenia niemieckich dóbr kultury na wschodnich ziemiach przyłączonych*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce” IV, 1948; Tadeusz Kułakowski, *Dokumenty dotyczące eksterminacji kultury polskiej*, „Najnowsze Dzieje Polski”, t. I, 1958; *Walka o dobra kultury*; Madajczyk, *Polityka III Rzeszy...* t. II, Warszawa 1970.

10 *Mały Rocznik Statystyczny 1939*.

11 Dobroszycki, *Założenia i organizacja prasy niemieckiej w języku polskim w tzw. Generalnej Gubernii w latach 1939-1945 w świetle dokumentów*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” VI, 1967, z. 1, s. 260; tenże, *Die legale polnische Presse im Generalgouvernement 1939-1945*.



12 Por. wykazy duchownych zmarłych, zamordowanych lub represjonowanych w: Jacewicz, Jan Woś, *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*, z. IIV, Warszawa 1977; zob. też Kazimierz Śmigiel, *Kościół katolicki w tzw. Okręgu Warty 1939-1945*, Lublin 1979.

13 Czesław Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty w latach okupacji 1939-1944*, Warszawa 1964; Józef Krasuski, *Tajne szkolnictwo polskie w okresie okupacji hitlerowskiej 1939-1945*, wyd. 2, Warszawa 1977.

14 *Verordnung über das Schulwesen im Generalgouvernement (Verordnungsblatt für das Generalgouvernement 1939, 18)*.

15 Stefan Dąbrowski, *Uniwersytet Poznański 1939-1945 (Okupacja niemiecka i odbudowa po wojnie)*, Poznań 1946; Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich - Uniwersytet Poznański 1940-1945*.

16 S. Dąbrowski, *Uniwersytet Poznański 1939-1945...* także: Jan J. Bossowski, Karol M. Pospieszalski, Kazimierz Tymieniecki: *Uniwersytet Poznański na początku hitlerowskiej okupacji*, „Przegląd Zachodni” 1955, nr 7-8.

17 *Z pamiętnika profesora Reichsuniversität Posen*, oprac. K.M. Pospieszalski, „Przegląd Zachodni” 1956, nr 7/8.

18 Kazimierz Piwarski, *Straty personalne nauki polskiej w Krakowie w dobie okupacji niemieckiej*, w: *Kraków w latach 1939-1945. Studia i Materiały*, Kraków 1939-1957.

19 Sprawozdanie rektora prof. dr. LehraSplawińskiego wygłoszone przy inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie Jagiellońskim za: Piwarski, dz. cyt., s. 98.

20 Stanisław Szczotka, *Uniwersytet Jagielloński w czasie wojny*. „Przegląd HistorycznoOświatowy” 1947 nr 1.

21 Jan Gwiazdomorski, *Wspomnienia z Sachsenhausen. Dzieje uwięzienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego 6 XI 1939-9 II 1940*, Kraków 1964.

22 Remigiusz Moszyński, Leopold Policha, *Lublin w okresie okupacji (1939-1944)*, Lublin 1964, s. 104-106; także: *Skład osobowy, spis wykładów i instytucji Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w roku akad. 1946/47 oraz sprawozdania za lata poprzednie*, Lublin 1947, s. 11-25.

23 *Uniwersytet Warszawski w latach wojny i okupacji. Kronika 1939/40 - 1944/45*, oprac. T. Manteuffel, Warszawa 1948.

24 Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich...* s. 1.

25 *Uniwersytet Ziem Zachodnich i Tajne Kursy Uniwersyteckie 1939-1945. Pokłosie wspomnień*.

26 Jakub Sawicki, *Tajny Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego w latach okupacji 1939-1944*, w: *Studia z dziejów Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 1963, s. 191-210; A. Symonowicz, *Wspomnienia z tajnego Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego w okresie okupacji*, „Palestra” 1958, nr 3/4; Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich...*; Manteuffel, dz. cyt.

27 *Tajne nauczanie medycyny i farmacji w latach 1939-1945*, oprac. A. Dawidowicz, Warszawa 1977.

28 Jan Dąbrowski, *Praca naukowa i uczelnie wyższe w czasie okupacji*, w: *Kraków w latach okupacji 1939-1945. Studia i Materiały*; także: *Alma Mater w podziemiu. Kartki z dziejów tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim 1941-1945*, praca zbiorowa, Kraków 1964.

29 Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty...* s. 85 i nast.; tenże, *Praca oświatowa w kraju w czasie wojny*, „Przegląd HistorycznoOświatowy” 1947 nr 1.

30 Marian Walczak, *Szkolnictwo wyższe i nauka polska w latach wojny i okupacji 1939-1945*, Wrocław 1978, s. 82-91; por. też Wycech, *Praca oświatowa w kraju...* oraz tenże, *Z dziejów tajnej oświaty...* Różnice w szacunku ogółu liczby studiujących na tajnych wyższych uczelniach pochodzą z przyjęcia przez autorów częściowo różnych kryteriów w odniesieniu do uczelni półtajnych.

31 Stefan Pieńkowski, *Nauka polska w okupacji*, „Przegląd HistorycznoOświatowy” 1947 nr 1.

32 Julian Krzyżanowski, *Nauka w Warszawie*, „Odrodzenie” 1945 nr 20.

33 Zenon Klemensiewicz, *Tajne komplety uniwersyteckie języka polskiego*, w: *Alma Mater w podziemiu...* s. 26.

34 Walczak, *Szkolnictwo wyższe...* s. 103-133; Pieńkowski, *Nauka polska w okresie okupacji*, „Przegląd HistorycznoOświatowy” 1947, nr 1; Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty...*

35 Józef Kostrzewski, *Kultura prapolska*, Poznań 1947; Zygmunt Wojciechowski, *Polska - Niemcy. Dziesięć wieków zmagania*, Poznań 1945, edycja konspiracyjna z 1943 r. z ochronną kartą tytułową i okładką; Karol Szajnocha, *Szkice historyczne. Wydanie nowe*, t. 1, Warszawa 1938; zob. Chojnacki, *Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*, Warszawa 1970, poz. 960; Stanisław Kasznica, *Polskie prawo administracyjne. Pojęcia i instytucje zasadnicze*, Poznań 1946, edycja konspiracyjna z 1943 r. pod pseud. Dr A. Łużycki - zob. Chojnacki, *Bibliografia...* poz. 311.

36 Walczak, *Szkolnictwo wyższe...*; Pieńkowski, *Nauka polska...*; Wycech, *Z dziejów*

*tajnej oświaty...*

37 Lorentz, *W Muzeum i gdzie indziej*, w pracy zbiorowej: *Walka o dobra kultury...* t. 1, s. 13-109.

38 Lorentz, *W Muzeum...*; zob. też relacje Jana Zachwatowicza, Stanisława Herbsta, Alodii Kaweckiej-Gryczowej, Wandy Sokołowskiej, Wacława Borowego, Mariana Łodyńskiego, Ryszarda Przelaskowskiego, Elżbiety Skierkowskiej, Witolda Suchodolskiego, Tadeusza Makowieckiego i Bohdana Korzeniewskiego w: *Walka o dobra kultury...*

39 Stefan Żółkiewski, *Model polskiej konspiracyjnej kultury literackiej*, w: *Literatura wobec wojny i okupacji*, pod red. M. Głowińskiego i J. Sławińskiego, Warszawa 1976.

40 We wstępie do antologii: *Z lat wojny. Poezja polska 1939-1945*, Kraków 1945.

41 Chojnacki odnotowuje w swojej *Bibliografii...* sześć różnych edycji konspiracyjnych książki Fiedlera (i siódmą, do której kolportażu nie doszło z powodu zajęcia nakładu przez gestapo) oraz dwie edycje powieści Kamińskiego.

42 Zasługują tu na uwagę choćby konspiracyjnie wydane w postaci broszur prace: Zofia Kossak, *Golgota* (Warszawa 1942), *Niszczyciele* (1942), *W piekle* (1942); Halina Kraheńska, *Oświęcim. Pamiętnik więźnia* (1942); Natalia Zarembina, *Obóz śmierci* (1942); E. Krajewska, *Droga krzyżowa Polaków w więzieniach i obozach* (1944); Antoni Szymanowski, *Likwidacja ghetta warszawskiego. Reportaż* (1942); Maria Kann, *Na oczach świata* (1943); Jankiel Wiernik, *Rok w Treblince* (1944); A. Trepieński, *Trzy tygodnie w Majdanku* (1943). Por. Chojnacki, *Bibliografia...* poz. 337, 341, 346, 355, 1021, 356, 839, 305, 948, 872.

43 Bartoszewski, *Konspiracyjny konkurs na utwór literacki o Warszawie*, „Stolica” 1959, nr 51/52; Stanisław Sierotwiński, *Kronika życia literackiego w Polsce pod okupacją hitlerowską. Próba przeglądu zdarzeń w układzie chronologicznym*, „Rocznik NaukowoDydaktyczny WSP Kraków”, Kraków 1966, s. 24.

44 *Centralny katalog polskiej prasy konspiracyjnej 1939-1945; Zaginiona prasa konspiracyjna w latach 1939-1945; Wojewódzki, W tajnych drukarniach Warszawy...*

45 Chojnacki, *Bibliografia...*

46 Zestawienia takie - *Liste des deutschfeindlichen, schädlichen, und unerwünschten polnischen Schrifttums* - ukazały się dwukrotnie w 1940 r. (nr 1 i 2); listę nr 3 (według stanu na dzień 31 III 1942 r.) wydano pod koniec 1942 r.; listę nr 4 z 31 XII 1943 r. w początkach 1944 r. Wszystkie opatrzone były klauzulą: „Ścisłe poufne! Tylko do użytku służbowego”. W *Wytycznych kontroli i selekcji piśmiennictwa polskiego* Urzędu Generalnego Gubernatora z 20 V 1940 r. zwracano uwagę m.in. na konieczność „uchwycenia dzieł mocno fantazjującej polskiej historiografii, znajdującej wyraz także w wielu encyklopediach, jak również

występujących pod płaszczykiem naukowości, a jednak popularnych broszurach propagandowych o historii Polski”. Również na objęcie zakazem „przejawiającej silną tendencję literatury polskiej, mniej więcej do czasu wojny światowej, gdyż właśnie w niej nawoływano do utworzenia niepodległego państwa polskiego i szczególnie gloryfikowano myśl narodową. W związku z tym należy uznać za niepożądaną także polską literaturę pamiętnikarską (wspomnienia o Dmowskim, RydzuŚmigłym itd.). To samo dotyczy książek pamiątkowych wydanych z okazji rocznic narodowych...”. Por. *Walka o dobra kultury...* t. II, s. 424-425.

47 *Walka o oświatę, naukę i kulturę w latach okupacji 1939-1944*, oprac. S. Dobraniecki, W. Pokora, Warszawa 1967.

48 Stanisław MarczakOborski, *Teatr czasu wojny. Polskie życie teatralne w latach II wojny światowej (1939-1945)*, Warszawa 1967; tenże, *Polskie życie teatralne podczas II wojny światowej. Kronika*, „Pamiętnik Teatralny” 1963, z. 1-4, oraz Tadeusz Kwiatkowski, *Krakowski teatr konspiracyjny*; Mieczysław Kotlarczyk, *Teatr rapsodyczny w latach 1941-1945*, w tymże numerze „Pamiętnika Teatralnego”.

49 MarczakOborski, *Teatr czasu wojny...*

50 Elżbieta Dziębowska, *Muzyka w Warszawie podczas okupacji hitlerowskiej*, w: *Walka lat wojny i okupacji 1939-1944*, z. 2, Warszawa 1972 („Studia warszawskie”, t. X); Tomasz Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, wyd. 2, Warszawa 1978, s. 389-401.

51 Janina Jaworska, *Polska sztuka walcząca 1939-1945*, Warszawa 1976; Stanisław MiedzaTomaszewski, *Benefis konspiratora*, Warszawa 1964; *Satyra w konspiracji 1939-1945*; Bartoszewski, *Organizacja Małego Sabotażu, „Wawer” w Warszawie (1940-1944)*, w: *Na drodze do niepodległości*, Paryż 1987, s. 40.

52 Krasuski, *Tajne szkolnictwo polskie...* s. 62-72; Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty...*; Mieczysław Tazbir, *TNSW w latach wojny 1939-1945*, „Przegląd HistorycznoOświatowy” 1947, nr 3/4.

52 Kowalenko, *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich...*; Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty...*

53 Jan Z(achwatowicz), *Nauka i szkolnictwo wyższe (Prace podziemne w czasie okupacji)*, w: *Nauka polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój XXV*, Warszawa 1947, s. 197-200;

Lorentz, *W Muzeum...* s. 2-28; hasło: Antoni Olszewski, oprac. A. Piber, w: *Polski słownik Biograficzny*, t. XXIV, s. 10-14, Wrocław 1979.

55 Wycech, *Z dziejów tajnej oświaty...*; Walczak, *Szkolnictwo wyższe...*

56 B(artoszewski), *Wprowadzenie* (do wyboru dokumentów), w: *Walka o dobra kultury...* t. II, s. 402-406; Z(achwatowicz), *Nauka i szkolnictwo wyższe...*

57 Chojnacki, *Bibliografia...* poz. 15, 1021, 948, 1000; por. też Bartoszewski. *Polskie judaica literackie w publikacjach konspiracyjnych 1939-1944*; w: *Na drodze do niepodległości*, Paryż 1987, s. 454.

58 Ruta Sakowska, *Ludzie z dzielnicy zamkniętej. Żydzi w Warszawie w okresie hitlerowskiej okupacji (październik 1939 - marzec 1943)*, Warszawa 1975, s. 187-256.

59 Artur Eisenbach, *O pracach naukowobadawczych w getcie warszawskim*, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1951 nr 1; M. Szulkin, *Emanuel Ringelblum - historyk i organizator podziemnego archiwum getta warszawskiego*, „Biuletyn ŻiH” 1973, nr 86/87; Sakowska, Wstęp, w: *Archiwum Ringelbluma, Getto warszawskie (lipiec 1942 - styczeń 1943)*, Warszawa 1980.

60 Szerzej o tym problemie traktuje K. DuninWąsowicz, *Ruch oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 1943-1945*, Warszawa 1979, s. 277-343.

61 Symonowicz, *Wspomnienia z tajnego Wydziału Prawa...*

## **Kilka uwag o Powstaniu Warszawskim**

Od Powstania Warszawskiego mija w chwili wydania tej książki sześćdziesiąt lat, okres w dziejach narodu niezbyt długi, ale w skali życia pokoleń ludzkich bardzo znaczny. Z upływem czasu militarna strona wydarzeń, której poświęcono zresztą dotychczas w kraju i za granicą wiele opracowań i pamiątek, zdaje się ustępować problematyce moralno-historycznych wartości powstania jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski. Spróbujmy tu przeto - dla przypomnienia i pamięci - odnotować kilka faktów.

Powstanie Warszawskie było jedynym w okupowanej przez Niemców Europie wojskowym działaniem ruchu podziemnego o tak wielkim natężeniu i zasięgu, choć nie jedyną próbą uwolnienia własnymi siłami stolicy kraju bez ścisłego uzgodnienia terminu z regularnymi armiami sojuszniczymi: podobnie rzecz miała się w Paryżu (w sierpniu 1944) i w Pradze (w kwietniu 1945).

Intencją ogółu uczestników powstania było wzięcie udziału w akcji z bronią w rękę przeciwko okupantowi, akcji oczekiwanej od pięciu lat, a podstawowym motywem moralnym uznanie konieczności podjęcia tej walki jako walki o wolność i suwerenność Polski.

W toku Powstania Warszawskiego solidarność ludzi osiągnęła częstokroć formy prawdziwego braterstwa. Różnice poglądów nie odgrywały zasadniczej roli. Po pięciu latach okupacji społeczeństwo dawało dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i dojrzałości politycznej.

Powstanie zamierzone na 2-3 dni trwało faktycznie 63 dni. Ten fakt zdumiewający fachowców wojskowych i dostrzeżony przez sztabowców niemieckich przypisać trzeba przede wszystkim wyjątkowemu napięciu patriotyzmu oraz poświęceniu żołnierzy i ludności, a także solidarności działania dla sprawy zwycięstwa.

Strona niemiecka oceniała bój w Warszawie jako „walkę najbardziej zażartą spośród wszystkich prowadzonych do początku wojny, równie ciężką jak walka uliczna o Stalingrad” (Heinrich Himmler do generałów niemieckich, 21 IX 1944), podkreślając, że „gdyby żołnierze niemieccy nie wprowadzili do walki w Warszawie absolutnie wszystkich środków, jakie mają do dyspozycji - walka byłaby beznadziejna” (radio niemieckie, 30 IX 1944).

Generał Erich von dem Bach, dowodzący siłami niemieckimi zwalczającymi powstanie, tak oto ocenił wpływ akcji powstańczej na działalność bojową armii niemieckiej na odcinku frontu Warszawy:

A. Pod względem materialnym ruchy wojsk związane z frontem [...] przedstawiono na drogę okrężną, co zwiększało odległość i niepotrzebne zużycie cennego paliwa. Związanie kilku pułków i silnych jednostek artylerii, które zostały wyciągnięte z walki frontu praskiego,

wreszcie związanie jednej z najlepszych dywizji pancernych, których na froncie brakowało, co najmniej na 14 dni; utrata z powodu pożaru czy zdobycie przez powstańców bardzo ważnych magazynów mundurowych i żywnościowych, a wreszcie utrata wszystkich wojskowych warsztatów reperacyjnych i jednostek zaopatrzenia, które były nie do zastąpienia.

B. Pod względem moralnym. Moralny wpływ powstania na żołnierzy nie może być nie doceniany. Walczące na wschód od Pragi wojska czuły się stale zagrożone na tyłach przez powstanie. Można było obawiać się wybuchu powstania na Pradze. Przede wszystkim zaś wojska frontowe, już silnie pobite, czuły zagrożoną swą drogę odwrotu na zachód wobec spodziewanego wielkiego natarcia rosyjskiego. Temu poczuciu niepewności można przypisać fakt, że Praga tak niespodziewanie została stracona przy ataku, który nastąpił później, ponieważ wojska dążyły do osiągnięcia znajdujących się jeszcze na północ od Warszawy mostów przez pospieszny odwrót.

Ocenę tę zrozumiemy lepiej, pamiętając, że Niemcy ponieśli w walce z powstaniem wyjątkowo wielkie straty, wynoszące - według obliczeń von dem Bacha - około 26 000 ludzi: co najmniej 17 000 zabitych (uznając w tym zaginionych za zabitych) i około 9000 rannych, przy czym - jak stwierdza von dem Bach - w pierwszych dniach zostały zniszczone całe jednostki, o których losie ze strony niemieckiej nigdy już później nie można było się dowiedzieć. Przeciętne straty niemieckie w akcji bojowej przeciwko powstańcom wynosiły około 1900 zabitych tygodniowo, przewyższały więc znacznie straty ponoszone przez armie hitlerowskie przy największym nasileniu walk na froncie zachodnim w kampanii w latach 1944 i 1945, które nie przekraczały 1000 zabitych tygodniowo. Niemiecka 9. Armia (pod dowództwem gen. Nicolausa von Vormanna, a potem gen. Smilo von Lüttwiza), utrzymująca odcinek frontu niemiecko-radzieckiego na Wiśle wraz z Warszawą, oceniała straty poniesione w walce przeciwko powstaniu na 25% ogółu swych zabitych i rannych w sierpniu i wrześniu 1944 r.

Okolo 2000 żołnierzy niemieckich dostało się do niewoli AK w Warszawie; część z nich - dzieląc los polskiej ludności cywilnej - zginęła od bomb i pocisków własnej armii niszczącej miasto.

Zdobyto na Niemcach m.in. 4 czołgi, 2 samochody pancerne, działo polowe 75 mm, 12 moździerzy i 4 działka przeciwpancerne; zestrzelono 4 samoloty nieprzyjacielskie, zniszczono kilkadziesiąt czołgów, dział szturmowych i samochodów pancernych, a uszkodzono około dwustu.

Po naszej stronie straty wynosiły 18 000 poległych (wraz z zaginionymi) oraz około

6500-7000 ciężko rannych żołnierzy powstania. Tak więc formacje niemieckie miały podobne straty w zabitych jak oddziały powstańcze, co stanowi - wobec jaskrawej dysproporcji środków walki - wymowny dowód jakości wyszkolenia powstańców, chlubnie zresztą ocenianego w tajnym raporcie niemieckiego dowódcy garnizonu w Warszawie gen. Reinera Stahela.

Powstanie kosztowało jednak ponadto Warszawę i cały naród około 150 000 zabitych wśród ludności cywilnej; wśród nich co najmniej jedną trzecią stanowiły ofiary bombardowań lotniczych, ponad 40 000 mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowały na Woli, Ochocie, Starym Mieście i Czerniakowie oddziały Reinefartha, Dirlewangera i Schmidta, tysiące - w alei Szucha - formacje policyjne podległe Geiblowi i Hahnowi.

Armia Krajowa wchodziła formalnie w skład Polskich Sił Zbrojnych walczących na różnych frontach i podlegała Naczelnemu Wodzowi w Londynie. Mimo to dopiero 30 sierpnia 1944 r., w piątym tygodniu powstania, zdołano w wyniku usilnych zabiegów uzyskać uznanie jej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone za armię kombatancką. Wywarło to niewątpliwie pewien wpływ na traktowanie jeńców dostających się w ręce niemieckie. Strona hitlerowska dopuszczała się wprawdzie nadal licznych zbrodni wobec uczestników powstania, jednak ich częstotliwość we wrześniu 1944 r. wyraźnie zmalała. W praktyce Niemcy respektować zaczęli prawa kombatanckie powstańców dopiero przy kapitulacji Mokotowa (27 września), Żoliborza (30 września) i Śródmieścia (2 października).

Do niewoli niemieckiej dostało się wtedy 15 378 powstańców, w tym 922 oficerów oraz około 2000 kobiet - żołnierzy, łączniczek, sanitariuszek.

W czasie dwóch miesięcy powstania zniszczeniu uległo ok. 25% przedwojennego stanu zabudowy Warszawy, głównie w wyniku barbarzyńskiego podpalania całych ulic. Po upadku powstania, to jest między 3 października 1944 a 17 stycznia 1945 r., Niemcy wysadzili w powietrze lub spalili jeszcze ponad drugie tyle domów (ok. 30% przedwojennego stanu zabudowy). Wbrew warunkom dopiero co podpisanego układu kapitulacyjnego, przewidującego chronienie przedmiotów o wartości artystycznej, kulturalnej i kościelnej, a także zabezpieczenie dobra publicznego i prywatnego pozostającego w mieście, spalono wtedy m.in. Bibliotekę Krasieńskich (wraz z nagromadzonymi w niej bezcennymi zbiorami bibliotek: Załuskich, Narodowej, Rapperswilskiej i Uniwersyteckiej), Archiwum Miejskie, Archiwum Akt Nowych, Bibliotekę Publiczną m. Warszawy, wysadzono w powietrze mury katedry św. Jana i kościoła OO. Jezuitów na ul. Świętojańskiej oraz Zamku Królewskiego, pałac Brühla, pałac Saski, wiele innych jeszcze budowli zabytkowych, pomników, dzieł kultury polskiej i europejskiej.



Wiadomo, że do dzisiaj właściwie trwają w piśmiennictwie historycznym różne kontrowersje fachowe dotyczące okoliczności wybuchu, szans politycznowojskowych czy metod działania w czasie powstania styczniowego 1863 r., mimo że upłynęło lat z górą sto czterdzieści. Ale uprzytomnijmy sobie, że w pierwszych pokoleniach postyczniowych, w tym pokoleniu, do którego należeli Józef Piłsudski, Stefan Żeromski czy Andrzej Strug, w pokoleniu, które żyło w latach dzielących upadek powstania 1863-1864 r. i szubienice w Cytadeli od wydarzeń w latach 1904 i 1905 r. na ziemiach polskich, w pięćdziesięcioleciu, jakie upłynęło od złożenia polskiego oręża w 1864 r. do jego podniesienia w dniu 6 sierpnia 1914 r., problematyka skutków społecznych, gospodarczych, psychologicznych, a nade wszystko ideowych tamtych walk o niepodległość obecna była na co dzień na kartach najlepszych dzieł literatury polskiej i w życiu tysięcy świadomych polskich rodzin.

Dzisiaj, w innych przecież warunkach, gdy do szkół i na uczelnie chodzą już wnuki warszawskich powstańców z 1944 r., sprawa Powstania Warszawskiego 1944 r. pozostaje wciąż żywa w myśleniu Polaków. Nie wygasło zainteresowanie problematyką okoliczności wybuchu i politycznych kulis losów powstania, choć rzetelne naświetlenie tych problemów bez reszty - ze względu na niedostępność wielu archiwów wielkich mocarstw - jest nadal trudne. W każdym razie odczucie społeczne zgodne jest tu z wypowiedzią Ojca Świętego Jana Pawła II z 1979 r. o walce, „w której Warszawa została opuszczona przez sprzymierzone potęgi”. Coraz częściej jednak ogół myślących ludzi, a nie badaczy specjalistów, obraca się jak gdyby ku nadrzędnemu problemowi trwałych moralnohistorycznych wartości Powstania Warszawskiego jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski, jako jednego z symbolicznych ogniw walki o niepodległość i suwerenność Polski.

Z tej perspektywy nie najważniejsze wydaje się, że wiele ocen - jak dziś wiemy - podejmowano w 1944 r. mylnie, że w sposób niepełny, albo wręcz nieprawidłowy rozumiano czy oceniano sytuację międzynarodową, uwarunkowaną już w grudniu 1943 r. podpisaniem układu w Teheranie o podziale Europy na strefy wpływów, że w sposób niepełny oceniano nastawienie polityczne aliantów, stan gotowości wojskowej, realne możliwości i zamiary działania aliantów zachodnich ZSRR, a w pewnej mierze także siły strony niemieckiej.

Oceniano przecież również niedoskonale, w sposób w szczegółach błędny, możliwości przy podjęciu walki w 1939 r., a jednak obrona Warszawy we wrześniu 1939 r., która nie mogła przynieść - w tamtych warunkach politycznych i wojskowych - odmiany losu kampanii wojennej (szczególnie po „nożu w plecy” z 17 września 1939) uważana była i jest powszechnie - co uznawała nawet propaganda polityczna w PRLu - za czyn nieodzowny i pozytywny. Rozmiar poniesionych w 1939 r. ofiar ludzkich i ofiar materialnych - znaczny,

jak na ten czas i na ówczesne doświadczenia - uznawano też w okresie okupacji za ofiarę bolesną, ale usprawiedliwioną i zrozumiałą. Fakt, że stolica Polski jako pierwsza na świecie i jedyna stolica okupowanego później kraju stawiała agresji i oblężeniu bezpośredni opór do wyczerpania wszystkich możliwości w 1939 r., stał się nie tylko źródłem narodowej dumy, ale zupełnie realnie źródłem podtrzymania godności w najtrudniejszych latach okupacji. Ten element psychologiczny jest równie wymierny, sprawdzalny i doniosły, jak każdy inny realistycznie mierzony element wsparcia określonych działań i ludzi w określonej sytuacji.

W Warszawie tradycja ofiarnego i solidarnego działania, męstwa i głębokiego przywiązania do wolności, zmanifestowana we wrześniu 1939 r., była żywotna i owocowała przez całą wojnę działaniami całego patriotycznego ruchu podziemnego: harcerstwa, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, licznych organizacji społecznych; owocowała we wszystkim, wskazując na odrębność zrodzoną w tej tradycji. I trafną wizję stworzył poeta w znanym powszechnie wierszu (mam na myśli Konstantego I. Gałczyńskiego): „w środek Warszawy spłyniemy w dół żołnierze z Westerplatte” - wskazując na wspólnotę tej tradycji, jedność walki na froncie i walki podziemnej, na dziedzictwo pojęcia honoru jako realnej wartości. Walka z okupacją miała wymiar nie tylko wojskowy, ale również wychowawczy. Nie jest zapewne rzeczą przypadku, że w całej okupowanej Europie nie ma faktu porównywalnego do tego, którego bohaterami stali się polscy Żydzi, podnosząc ogień buntu w beznadziejnych starciach w gettach Warszawy, Białegostoku czy nawet w obozie zagłady w Treblince. *Genius loci?*

Powszechna świadomość celów wojny i celów walki toczony z przemocą okupanta stała się jednym z podstawowych źródeł siły społeczeństwa w tamtych latach. Walkę o wolność i suwerenność państwa utożsamiano w okupowanej Warszawie z walką o prawa ludzkie, o godność osobistą każdego człowieka. Straszliwe ciśnienie terroru okupanta w latach masowych deportacji do obozów koncentracyjnych, w latach potajemnych egzekucji, po których zostawały kałuże krwi na bruku polskich miast, próby poniżania, poniewierania ludzi - to wszystko uważano za zjawiska przemijające. Powszechnie wierzone, że u kresu tego zjawiska przyjdzie otwarte, zbrojne, powszechne wystąpienie - osobisty udział społeczeństwa w odzyskaniu wolności.

Ten specyficzny sposób myślenia i ten sposób odczuwania dyktował wówczas wysoką pozycję w hierarchii wartości zdecydowanego odruchu protestu, uznawanego za niezbędną bez względu na realne szanse i konsekwencje, gdy przebrała się miara nieprawości i zbrodni. W tym proteście, w samej gotowości do niego, zawierało się ogromne przywiązanie minionej generacji do imponderabiliów. Prawdą jest, że decyzja o wybuchu powstania podjęta została

w niewielkim gronie ludzi przez konspiracyjne, legalne władze Polskiego Państwa Podziemnego. Ale prawdą jest również, że decyzję poprzedziła spontaniczna, solidarna, masowa decyzja społeczna, decyzja stawienia jawnego oporu woli okupanta, decyzja równa rzuceniu rękawicy przez społeczeństwo bez żadnych wezwań i bez żadnych dyrektyw, a mianowicie: 27 lipca 1944 r. ówczesny niemiecki, niesławnej pamięci, gubernator Ludwig Fischer ogłosił przez megafony - poparte potem plakatami - wezwanie do stawienia się następnego dnia, czyli 28 lipca, w sześciu punktach Warszawy stu tysięcy mężczyzn w wieku od 17 do 65 lat do przymusowych robót fortyfikacyjnych. Wezwanie zbojkotowano. A wiemy, że te nonsensowne zresztą w praktyce poczynania fortyfikacyjne prowadzone były w wielu punktach okupowanej Polski przez wiele miesięcy, że mimo powszechnej przecież niechęci do świadczeń na rzecz wroga - ludzie, radzi nie radzi, bojąc się konsekwencji, pod naciskiem w tych robotach uczestniczyli.

Ten zbiorowy, manifestacyjny bojkot spotkał wtedy okupanta tylko w Warszawie. Logika wskazuje, że niewątpliwie musiałby on pociągnąć za sobą w następnych dniach konsekwencje. Do nich należałyby przede wszystkim: całkowita ewakuacja tak wrogo nastawionej ludności z miasta i obrócenie w ten sposób Warszawy w bazę przyfrontową czy twierdzę. Realizowano to wszak potem wśród ruin stolicy w październiku po powstaniu.

Nie ma do dziś sensownej odpowiedzi na pytanie, czy wobec polityki hitlerowskiej i jej znanych reguł działania istniała w ogóle możliwość zabezpieczenia Warszawy i jej ludności przed zniszczeniem podyktowanym zbrodniczymi celami okupanta. Wiadomo jednak, że było nie do pomyślenia zachowanie przez to milionowe niemal skupisko Polaków bierności na linii frontu przez szereg miesięcy.

Wiadomo również, że front stał do 17 stycznia 1945 r., a więc od sierpnia prawie pół roku. Jest czystą teorią, utopijną politycznie i historycznie, aby Niemcy mogli ścierpieć na bezpośrednim swoim zapleczu, przy toczącej się na linii Wisły walce, Warszawę integralną, nienaruszoną, najeżoną ukrytą bronią i dyszącą chęcią wzięcia odwetu na okupancie. Faktem jest, że z dzielnic i przedmieść Warszawy położonych na wschodnim brzegu Wisły wywieziono w sierpniu 1944 r. tysiące mężczyzn do obozów koncentracyjnych, mimo że nie dotarła tam akcja powstańcza.

Faktem jest też, że kiedy powstanie w Warszawie wybuchło, nawet niechętni mu komuniści polscy zmuszeni byli do przyznania w organie prasowym „Armia Ludowa” (25 sierpnia 1944), że żadne jeszcze z powstań, których widowiskiem była Warszawa, nie miało tak jednolitego poparcia społeczeństwa. Po latach nieco „przeredagowano” tę myśl, że mianowicie powstanie było w ogóle sprawą społeczeństwa, a nie dowództwa AK, tak jakby

jakiegokolwiek społeczeństwo mogło bez sił kierowniczych zorganizować się i przez dziewięć tygodni trwać w prawie milionowym mieście w zorganizowanym oporze, z najrozmaitszymi służbami, które były niezbędne do funkcjonowania życia.

Przywódcy Powstania Warszawskiego należeli do uczestników walk o niepodległość w konspiracji przed pierwszą wojną światową i w czasie pierwszej wojny światowej. Ludzie, którzy byli młodzieńcami przed rokiem 1914 i w latach 1914-1920, mieli w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego lat 50, czterdzieści kilka, pięćdziesiąt kilka. Walka o wolność była ich życiorysem, a ogromna większość uczestników powstania, młodzieży, była wychowana w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej w wielkim poszanowaniu patriotycznych tradycji niepodległościowych i powstańczych, była przywiązana do wolności i do suwerenności jako do oczywistego elementu swojego osobistego życia, swojego osobistego bytu, a w konsekwencji nigdy nie pogodzona z samym faktem okupacji, zbuntowana przeciwko wszystkiemu, co stało się udziałem tej generacji w ciągu tak straszego pięciolecia od roku 1939.

W czasie wojny postępowała zaś prawdziwa demokratyzacja opinii, autentyczna i oddolna: szeroki i coraz szerszy udział młodzieży robotniczej, młodzieży rzemieślniczej, młodzieży chłopskiej w podziemiu, w konspiracji wojskowej, w konspiracji politycznej, w konspiracji harcerskiej sprzyjał upowszechnieniu się pojęcia wolności, w którym znak równości stawiano między gotowością do ofiar i walki a prawem do niepodległego bytu. I w tym sensie Powstanie Warszawskie było wprawdzie zespołem działań militarnych, ale też czymś o wiele większym. Było uzewnętrznieniem tęsknot społecznych, wyrazem wiary ogółu.

Jeden z surowych krytyków Powstania Warszawskiego, znany historyk wojskowości i były wyższy oficer AK, Jerzy Kirchmayer, uznał w kilkanaście lat po wojnie przy - jak napisałem - negatywnym nastawieniu do koncepcji powstania, że „bohaterstwo, ofiarność i zaciętość powstańców są największym w naszej historii przejawem walki o wolność jako wartości wyższej niż życie ludzkie, kalectwo, wszystkie dobra materialne. Byłoby ciężkim błędem nie doceniać, a co gorsza odżegnywać się od takich wartości duchowych”.

Takiego błędu niedoceniań i odżegnywania się społeczeństwo polskie potrafiło - mimo nacisku systemu komunistycznego - ustrzec się przez całe czterdziestolecie.

Istnieje kilka generalnych ocen Powstania Warszawskiego. Najpozytywniejszą ocenę sprawności organizacyjnej Armii Krajowej, która potrafiła wytrwać w walce zamierzonej na 3-4 dni przez dni 63, znajdujemy - o dziwo - w materiałach naukowych ogłaszanych przez historyków zachodniemieckich.

Krytyka, niekiedy bardzo ostra, wychodzi spod pióra Polaków. I tak wspomniany Jerzy Kirchmayer uważa - generalnie rzecz biorąc, oczywiście w pewnym skrócie - że Powstanie Warszawskie było błędem, bo było nie na rękę polityce sowieckiej. A historyk - Polak wychowany w brytyjskich uczelniach - profesor Jan Ciechanowski z Londynu uznaje, że powstanie było błędem, bo było niezgodne z planami politycznymi brytyjskiego alianta. Mniej natomiast znajdujemy refleksji nad tym, że mieliśmy i my prawo - jakkolwiek z szacunkiem, sympatią czy tolerancją odnosilibyśmy się do interesów różnych państw - do prowadzenia własnej polityki, a nawet popełniania własnych błędów. Ktoś powiedział bardzo rozsądnie, że Powstanie Warszawskie, kto wie czy nie na długie lata było ostatnim suwerennym aktem dawnej Rzeczypospolitej, podjętym decyzją Polaków w interesie długofalowej racji stanu Polski.

Można zapytać, co to jest racja stanu i czy decyzja o powstaniu była z nią zgodna. Nie ma na to odpowiedzi uniwersalnej. Nie zawsze ci, którzy wchodzili w układ kompromisowy, rezygnując z walki, wyszli w ogólnym rozrachunku dziejowym na tym lepiej niż ci, którzy podejmowali walkę pozornie beznadziejną. Ażeby sięgnąć tylko do przykładów z historii sprzed czterdziestu czy trzydziestu lat, a więc niewątpliwie faktów już historycznych, a nie bieżącej polityki - pozostaje sprawą otwartą, czy słuszniejsza była droga, którą wybrała mała Finlandia, broniąc swej niepodległości w grudniu 1939 r., czy też droga, którą wybrały w lecie 1940 r. Litwa, Łotwa i Estonia, ustępując bez walki. Czy słuszniejsza była droga, którą wybrali Czesi w 1968 r., nie stawiając zbrojnego oporu, czy ta, na którą weszli Węgrzy w 1956 r., płacąc za nią krwawymi ofiarami. Ale - patrząc z perspektywy kilkudziesięciu lat - Węgrzy wyszli w następnych dziesięcioleciach na swych strasznych ofiarach wcale nie najgorzej.

Z perspektywy historyka postrzega się wiele spraw inaczej, bo - niestety i wbrew naszym najgłębszym odczuciom - z perspektywy historyka trzeba patrzeć nie w kategorii jednego tylko pokolenia. My wszyscy chcemy patrzeć w kategoriach naszego życia, a historia patrzy w kategoriach pokoleń, wielu generacji, nie jednej. I to trzeba brać pod uwagę.

Powiada się nieraz, że Powstanie Warszawskie było wywołane bez wykalkulowania możliwości udzielenia mu pomocy. Nie mogę tu wchodzić w najeżone liczbami i faktami rozważania szczegółowe. Faktem jest, że Powstanie Warszawskie było jedynym w swoim rodzaju w okupowanej wówczas przez Niemcy hitlerowskie Europie działaniem wojskowym o tak wielkim natężeniu i zasięgu, w którym uczestniczyło bezpośrednio kilkadziesiąt tysięcy, a pośrednio kilkaset tysięcy ludzi. A chociaż dyktowane podobną intencją uwolnienia własnymi siłami stolicy kraju akcje powstańcze w Paryżu w sierpniu 1944 r. i Pradze w

kwietniu 1945 r. nie mogą być, jak wiadomo, porównywane z Powstaniem Warszawskim, ani pod względem powszechności, ani długotrwałości, ani natężenia walki, a w konsekwencji i strat obu stron walczących - to jednak w Paryżu Francuzi spotkali się ze zmianą strategicznych planów amerykańskich i Amerykanie, którzy spieszenie zmierzali do opanowania Renu, zatrzymali się, ażeby pomóc Paryżowi, i nigdy nie mieli za złe Francuzom, że chcieli na własną rękę wyzwolić własną stolicę, choć nie było to z Amerykanami uzgodnione.

Tak więc nie zagadnienie prawa czy braku prawa decydowania o własnym losie czy walki własnymi siłami o własną stolicę, ale zagadnienie innych konfiguracji, dużo bardziej skomplikowanej natury, może jedynie tłumaczyć przykładanie innej miary do naszych praw, a innej miary do praw innych walczących w innych krajach w gruncie rzeczy o tę samą swobodę decyzji.

Skoro postanowiliśmy poruszyć kwestię wartości historycznomoralnych czy moralnohistorycznych towarzyszących powstaniu, podnieść tu trzeba zagadnienie ogromnej solidarności ludzi, która w toku Powstania Warszawskiego osiągnęła częstokroć formę prawdziwego bohaterstwa, a różnice poglądów odgrywały stosunkowo nikłą rolę. W oswobodzonych częściach miasta społeczeństwo dawało - po pięciu latach okupacji i nieistnienia żadnych jawnych form organizacji życia publicznego - dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i swej dojrzałości politycznej.

Do charakterystycznych zjawisk życia politycznego w ciągu tych dwóch miesięcy należała między innymi zupełna swoboda wyrażania myśli i poglądów na łamach prasy powstańczej wszelkich kierunków. Bibliografowie odnotowują dzisiaj około 135 tytułów prasy na terenach objętych powstaniem, reprezentujących wszystkie stronnictwa polityczne oraz - oczywiście - Armię Krajową i Delegaturę Rządu RP na Kraj. Kilkanaście spośród tych pism wydawali komuniści, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami dowództwa Armii Krajowej, Delegatury Rządu, rządu polskiego w Londynie, prasę jednak wydawali w drukarniach przydzielonych im przez AK, na papierze przydzielonym im przez AK, farbą przydzieloną im przez AK i włos z głowy żadnemu z tych ludzi nie spadł. Były to właściwe obyczaje, godne chrześcijańskiego narodu z wielowiekową tradycją tolerancji i poszanowania ludzi o odmiennych poglądach.

W Powstaniu Warszawskim, w obliczu - jak się zdawało wtedy - ostatniej i rozstrzygającej walki o wolność i suwerenność niepodległej Polski, ogromną rolę odgrywała wiara. W połączeniu z patriotyzmem była ona dla wielu ludzi - można zaryzykować twierdzenie, że wówczas dla większości ludzi - czynnikiem podtrzymującym nadzieję,

źródłem siły moralnej. Żołnierzowi Powstania Warszawskiego towarzyszył niezmiennie w jego codziennej służbie duchowny katolicki, kapelan wojskowy AK, sanitariuszka, siostra zakonna - w kościele czy piwnicznej kaplicy. Na mszy świętej odprawianej wśród ruin świeżo zniszczonych domów, pod gołym niebem, na kwaterze w domach i powstańczym szpitalu wśród ciężko rannych - a często bezpośrednio na barykadach - księża krzepili na duchu słowami miłosierdzia i odwagi, opiekowali się, spowiadali, udzielali sakramentu komunii, dysponowali na śmierć, zamykali oczy umierającym, zastępowali bardzo często rodziców i najbliższych członków rodziny. Stąd też jako historyk muszę się odwołać do pamięci o takich żyjących i nieżyjących duchownych, których postacie przeszły do dziejów Powstania Warszawskiego: ojca Tomasza Rostworowskiego na Starym Mieście, księdza Stefana Sydrego na Mokotowie czy późniejszego Prymasa Polski ks. Stefana Wyszyńskiego - kapelana współdziałającej z powstaniem Grupy AK „Kampinos”. To tylko niektóre spośród dziesiątków nazwisk, które weszły trwale na karty historii powstania.

W niedziele i dni świąteczne żołnierze i ludność cywilna uczestniczyli tłumnie w mszy świętej wszędzie tam, gdzie na wyzwolonych terenach miasta uzewnętrzało się polskie życie społeczne. Do komunii przystępowały tysiące ludzi, bardzo często takich, którzy za kilka czy kilkanaście godzin musieli wziąć udział w walce, niekiedy ostatniej. Kiedy w miarę rozwoju wydarzeń i potęgujących się zniszczeń większość warszawskich świątyń została obrócona w gruzy, skupiano się po prostu na podwórkach domów, wokół prostych kapliczek, słuchano mszy w pomieszczeniach piwnicznych; księża, zakonnicy, siostry zakonne ponosili wspólną, równą i równie dotkliwą ofiarę krwi razem z ludźmi, którym służyli. Padali ofiarą mordów zbiorowych w dzielnicach, w których zdziczałe żołdactwo wyrzynało ludzi, dom po domu; tak zginęli jezuici warszawscy, redemptoryści, tak zginęły benedyktynki, samarytanki, ginęli pod gruzami świątyń i klasztorów jak siostry sakramentki na Rynku Nowego Miasta. Byli zawsze z nami, razem z ludnością.

Przypadająca w czasie powstania w dniu 26 sierpnia uroczystość Matki Bożej Jasnogórskiej, Królowej Korony Polskiej, obchodzona była w Warszawie uroczyście i oficjalnie. Armia Krajowa była armią polską, związaną z chrześcijańskimi tradycjami narodu. Komendant Okręgu Warszawskiego AK Antoni Chruściel „Monter”, dowodzący walką prowadzoną w Warszawie, wydał z okazji 26 sierpnia specjalny rozkaz, zalecający odpowiednie uczczenie tego święta w szeregach żołnierzy AK.

Powstanie we wszystkim tym, co wzniosłe i piękne, i z tym wszystkim, co było też ludzką słabością i małością, odegrało ważną rolę na drodze do odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski. Wydaje mi się, jako historykowi tego okresu, a nie jako uczestnikowi,

który nie był wtedy tego świadom, będąc tylko jednym z dziesiątków tysięcy spełniających swój obowiązek codzienny, że dziś jeszcze nie umiemy w pełni docenić, jak wielkie jest znaczenie Powstania Warszawskiego dla ugruntowania pojęć niepodległości i tęsknoty do niepodległości.

Zanim przejdę do innych jeszcze, końcowych zagadnień, przytoczę dwa - jak mi się wydaje - interesujące szczegóły, które nie są powszechnie znane. W ostatniej chwili przed wybuchem powstania przybył z Londynu kurier rządu i dowództwa Jan Nowak-Jeziorański. Rozmawiał on z Pełnomocnikiem Rządu RP na Kraj, wicepremierem Janem Stanisławem Jankowskim w Warszawie 29 lipca 1944 r. Ponieważ wicepremier Jankowski nie żyje (zmarł w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach w więzieniu we Włodzimierzu nad Kłajmą) i nie pozostawił po sobie pamiętników, przeto relacja człowieka, który rozmawiał z nim kilkadziesiąt godzin przed wybuchem powstania ma wagę dokumentu historycznego. Oto, co odnotował w swoim pamiętniku Jan Nowak-Jeziorański z odpowiedzi Pełnomocnika Rządu na jego pytanie, czy nie można jeszcze powstrzymać tych wydarzeń, bowiem kurier przybyły z Londynu sceptycznie zapatrywał się na możliwość uzyskania pomocy z Zachodu. Wicepremier Jan Stanisław Jankowski odpowiedział dosłownie:

My tu nie mamy wyboru. „Burza” - kryptonim akcji - nie jest w Warszawie czymś odosobnionym, to jest ogniwo w długim łańcuchu, który zaczął się we wrześniu. Walki w mieście wybuchną, czy my tego chcemy, czy nie. Za dzień, dwa lub trzy Warszawa będzie na pierwszej linii frontu. Nie wiem, może Niemcy wycofają się od razu, może dojdzie do walk ulicznych, jak w Stalingradzie. Czy pan sobie wyobraża, że nasza dysząca żądzą odwetu młodzież, którą myśmy szkolili od lat, sposobili do tej chwili daliśmy jej broń do ręki, będzie się biernie przeglądała albo da się Niemcom bez oporu wywieźć do Rzeszy? Jeżeli my nie damy sygnału do walki, ubiegną nas w tym komuniści, ludzie wtedy rzeczywiście uwierzą, że chcieliśmy stać z bronią u nogi.

Chciałem zwrócić uwagę na okoliczność, że w 1965 r. po raz pierwszy po wojnie historyk Antoni Przygoński w tomie szkiców o Powstaniu Warszawskim podał do wiadomości, że komunistyczna Armia Ludowa szykowała się, aby - kiedy armia sowiecka wkraczać będzie w lecie 1944 r. do Warszawy - skoncentrować swe siły, opanować ratusz, zabarykadować się, wywiesić czerwoną flagę, proklamować objęcie władzy i wzywać pomocy. To bardzo realistyczny plan, bo czterystu kilkudziesięciu ludzi, którymi dysponowała w Warszawie Armia Ludowa w sam raz mogło - gdyby się skoncentrowali w wielkim wysiłku - zająć jeden budynek wywiesić flagę i stać się w ten sposób właścicielami ratusza, właścicielami zarządu miasta, właścicielami Polski.



Tak więc opinia wicepremiera Jankowskiego wyrażona 29 lipca 1944 r. znalazła wystarczające potwierdzenie w tekście marksistowskiego historyka tego okresu.

1 sierpnia 1981 r. Warszawa obejść mogła publicznie, w sposób manifestacyjny i godny, kolejną rocznicę Powstania Warszawskiego w pierwszym roku działania odrodzieńczego ruchu społecznego, jakim stał się wtedy NSZZ „Solidarność”. Wydana bez cenzury odezwa Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” kolportowana w mieście w formie ulotki, naklejanej też 1 sierpnia 1981 r. na murach, stanowi dziś rzadki dokument historyczny (napisałem ją na zlecenie sekretariatu ówczesnego przewodniczącego Regionu Mazowsze, Zbigniewa Bujaka):

1 sierpnia 1944 r. w Warszawie, okupowanej od 5 lat stolicy Polski, głównym ośrodku ruchu niepodległościowego, wybuchło powstanie zbrojne Armii Krajowej, które związało znaczne siły hitlerowskie na froncie wschodnim na okres przeszło dwóch miesięcy i stłumione zostało ostatecznie dopiero 2 października 1944 r. Tego dnia żołnierz polski w Warszawie zmuszony został do złożenia broni podniesionej 1 września 1939 roku w obronie ojczyzny i w obronie podstawowych wartości ludzkich - suwerenności państwa, godności narodu, prawa człowieka do wolnego bytu. Trzydzieści dni września 1939 roku (w tym dni heroicznej obrony Warszawy), 1767 dni okupacji - od 1 października 1939 roku do 31 lipca 1944 roku, 63 dni powstania, dni wolności - to razem 1859 dni krwi i chwały Warszawy walczącej, cierpiącej, niszczonej, a jednak w sensie moralnym niepokonanej. Potem, po ostatecznym zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie, pozostało jeszcze 107 dni wypędzania ludzi i planowego niszczenia substancji miasta, zanim w dniu 17 stycznia 1945 r. garnizon niemiecki wyparty został ostatecznie z ruin na lewym brzegu Wisły. Intencją ogółu uczestników Powstania było wzięcie udziału w walce z bronią w rękę przeciwko okupantowi, oczekiwanej od pięciu lat, a podstawowym motywem moralnym uznanie konieczności jej podjęcia jako walki o wolność Polski. Był to wówczas sposób myślenia ogółu. I nawet przeciwnicy koncepcji powstania Armii Krajowej w Warszawie - zorganizowani w AL czy PAL - uznali za konieczne wzięcie w nim udziału, a w dzienniku „Armia Ludowa” (nr 27 z 25 sierpnia 1944 r.) przyznano - że „żadne jeszcze z powstań jakich widownia była Warszawa, nie miało tak jednolitego poparcia społeczeństwa”. Społeczeństwo warszawskie posiadało własną świadomość celów tej walki, która stała się źródłem jego siły i wytrwałości. Uważało, że walczy za cały naród, że reprezentuje postawę całej Polski, dążąc w końcowym etapie wojny do oswobodzenia stolicy swej ojczyzny, podobnie jak to zrobili potem Francuzi w Paryżu i Czesi w Pradze. Rozpoczęte powstanie traktowano zaś jako walkę o suwerenność i godność narodową z charakterystyczną dla nas, Polaków, wiarą w wartości moralne, że to, co

jest słuszne, nie może być daremne. Rozumiał to dobrze Prymas Polski śp. Kardynał Stefan Wyszyński, widząc w Powstaniu Warszawskim dowód, że „Polska chce żyć, że ma prawo do życia i możliwość utrzymania się przy życiu własnymi siłami” (homilia z 21 czerwca 1974 r. w archikatedrze św. Jana w Warszawie). Rozumiał Ojciec Święty Jan Paweł II, mówiąc o „nierównej walce z najeźdźcą, w której Warszawa została opuszczona przez sprzymierzone potęgi i legła pod własnymi gruzami”, dodając, że „polski żołnierz na wielu polach walk świadczył o prawach człowieka wpisanych głęboko w nienaruszalne prawa narodu, ginąc za wolność naszą i waszą” (homilia z 2 czerwca 1979 r. na Placu Zwycięstwa w Warszawie). Dzisiaj widzimy Powstanie Warszawskie w perspektywie historii jako ważny etap na trudnej drodze narodu - od końca XVII wieku poprzez Insurekcję Kościuszkowską, Legiony Dąbrowskiego, Powstanie Listopadowe, Wiosnę Ludów, Powstanie Styczniowe, walki 1905 r., zryw pierwszej wojny światowej, wykuwanie w latach 1919-1921 zachodnich i wschodnich granic Rzeczypospolitej Polskiej, jako jeszcze jedno głośne polskie „nie” wypowiedziane wobec okupantów i zaborców.

Dostrzegamy też w historii Powstania Warszawskiego wielkie wartości społeczne: solidarność ludzi złączonych wspólnym celem osiągała wtedy często postać prawdziwego bohaterstwa; w wyzwolonych częściach miasta społeczeństwo dawało po pięciu latach okupacji dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i dojrzałości politycznej; do charakterystycznych zjawisk życia społecznego należało między innymi zupełnie nieskrępowanie w wyrażaniu myśli i poglądów na łamach prasy powstańczej, również prasy komunistycznej, przeciwnej kierownictwu powstania.

Sprawa Powstania Warszawskiego jest do dziś żywa w myśleniu Polaków, a dzień 1 sierpnia każdego roku stał się jedynym w swoim rodzaju świętem, manifestacją solidarności z patriotyzmem poprzedniej generacji, z jej męstwem i gotowością do ofiar. Ogromne rzesze ludzkie dają temu wyraz, odwiedzając groby poległych ofiar powstania. Idą tam z wolnego wyboru, gdyż uważają tę sprawę za swoją. I to do dziś. Szliśmy tak od pierwszych powojennych miesięcy, gdy nie wszystkie szczątki poległych ekshumowano jeszcze spod gruzów. Szliśmy w ponurych latach 1948-1955, gdy oznaczało to opowiedzenie się za wyborem pewnych wartości i było aktem odwagi cywilnej. Daremne były w latach 1945 i 1955 zabiegi tych propagandystów, którzy usiłowali Powstanie Warszawskie, jako suwerenny akt patriotyzmu polskiego, zohydzić, a jego żołnierzy - często pozbawionych wolności - obedrzeć z godności i chwały. Na cmentarze idą teraz, 1 sierpnia, synowie i córki narodu, którego nikt o tym, co jest patriotyzmem i co gotowością do ofiar w obronie wartości droższych niż życie, pouczać nie musi.

NSZZ „Solidarność” wzywając swych członków, aby wraz z rodzinami oddali na cmentarzach warszawskich hołd pamięci tych, którzy w 1944 roku polegli za wolność Polski, podejmuje tylko i kontynuuje stałą tradycję manifestowania szacunku dla najwyższych wartości patriotycznych i moralnych w nawiązaniu do zwyczaju istniejącego w Warszawie od lat trzydziestu sześciu.

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

REGION MAZOWSZE

1981

Do tekstu tej ulotki dodawać dziś, w suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, właściwie niczego nie trzeba. Jedyne uzupełnienie, jakie trwale zapisać powinniśmy w pamięci i świadomości społecznej, przyszło z Watykanu. 18 maja 1994 r. Ojciec Święty Jan Paweł II, największy autorytet moralny dla ogółu Polaków, powiedział w swym orędziu do uczestników obchodów rocznicy bitwy pod Monte Cassino, co następuje:

[...] Myśl nasza i modlitwa nasza zwraca się w stronę tych poległych, którzy rozstając się z życiem, myśleli o swoich bliskich w Polsce, a śmierć ich była świadectwem tej gotowości, która wtedy cechowała całe społeczeństwo: „Oddać życie dla świętej sprawy Ojczyzny”.

Nie możemy zapomnieć, że w tym samym roku 1944, w kilka miesięcy później, wybucha także Powstanie Warszawskie, które miało być jakimś odpowiednikiem walki pod Monte Cassino. Polacy w Ojczyźnie uważali, że powinni podjąć jeszcze i ten bój, ażeby zaznaczyć, że „Polska od pierwszego do ostatniego dnia walczy o sprawę nie tylko swojej wolności, ale także i o sprawę przyszłości Europy świata”. Liczyli przy tym na to, że zbliżająca się do Warszawy Armia Radziecka, a z nią także formacje polskie powstałe na terenie Związku Radzieckiego dopomogą im przeważać szale losów Powstania w stronę zwycięstwa. Tak się jednak nie stało. Wiemy, że Polska zapłaciła za Powstanie Warszawskie najwyższą cenę, jaką była nie tylko śmierć tylu tysięcy Polaków i Polek z pokolenia moich rówieśników, ale także prawie zupełne zniszczenie Stolicy. [...] Na gruzach II wojny światowej zaczęto wznosić gmach Europy zjednoczonej, a ci, którzy byli pierwszymi budowniczymi tego gmachu, nawiązywali zdecydowanie do chrześcijańskich korzeni europejskiej kultury.

My Polacy nie mogliśmy uczestniczyć bezpośrednio w tym procesie odbudowy Europy, który został podjęty na Zachodzie. Zostaliśmy z gruzami własnej Stolicy. Znaleźliśmy się, jako alianci zwycięskiej koalicji, „w sytuacji pokonanych”, którym narzucono na czterdzieści kilka lat dominację ze Wschodu, w ramach bloku sowieckiego. Tak

więc dla nas walka nie skończyła się w roku 1945. Trzeba ją było podejmować wciąż na nowo. To samo zresztą dotyczyło naszych sąsiadów. Do wspomnienia o zwycięstwie pod Monte Cassino trzeba więc dołączyć dzisiaj „prawdę o wszystkich Polakach i Polkach”, którzy w rzekomo własnym państwie „stali się ofiarami totalitarnego systemu” i którzy na własnej ziemi oddali życie za tę samą sprawę, za którą oddawali życie Polacy w roku 1939, potem podczas całej okupacji i wreszcie pod Monte Cassino oraz w Powstaniu Warszawskim. Trzeba wspomnieć wszystkich zamordowanych rękami także polskich instytucji i służb bezpieczeństwa, pozostających na usługach systemu przyniesionego ze Wschodu. Trzeba ich przynajmniej przypomnieć przed Bogiem i przed historią, ażeby „nie zamazywać prawdy o naszej przeszłości w tym decydującym momencie dziejów<sup>62</sup>”.

Wśród kilku tysięcy publikacji (książek, artykułów, przyczynków) wydanych w ciągu pół wieku na temat Powstania Warszawskiego, kroniki różnego rodzaju zajmują jako gatunek pisarski pozycję godną uwagi. Jeden z najwybitniejszych historyków polskich twierdzi, że kroniki i roczniki nadawały się szczególnie do upamiętnienia historii bieżącej, współczesnej, nie zamkniętej, poświadczanej przez jej żyjących uczestników, którzy ogromowi ewenementów jednostkowych i konturom zjawisk zbiorowych nie mogli jeszcze narzucić więzi przyczyn i skutków z braku dystansu, a przeto i dostatecznej selekcji faktów (Aleksander Gieysztor).

Jako jeden z uporczywych autorów kronik i kalendarów okresu Powstania Warszawskiego (ogłosiłem ich co najmniej siedem wersji, stale rozszerzanych, począwszy od lata 1946 r. w dzienniku PSLu „Gazeta Ludowa” do 1984 r. w książce *Dni walczącej Stolicy*, „Aneks” - „Krąg”) zgodzić się muszę w pełni z tym spostrzeżeniem.

W naszych konkretnych warunkach politycznych dopiero przełom lat 1989-1990 doprowadził do pełnej likwidacji bariery cenzury państwowej i stopniowego demontażu autocenzury autorskiej w odniesieniu do tematyki szczególnie cenzuralnie delikatnej; do takiej należało w PRLu między innymi Powstanie Warszawskie, a zwłaszcza cała polityczno-dyplomatyczna otoczka ówczesnych wydarzeń.

W kilkunastoleciu III Rzeczypospolitej, i to począwszy już od roku 1989, ukazało się dziesiątki książek oraz setki broszur i poważnych przyczynków w czasopiśmie na temat historii Polskiego Państwa Podziemnego i Powstania Warszawskiego. Trzeba tu zatem wspomnieć o kilku ważnych pracach kronikarskich i dokumentacyjnych Andrzeja K. Kunerta, o klasycznym w pewnym sensie, bo funkcjonującym od dwudziestu kilku lat w obiegu fonicznym i książkowym dziele *Dni walczącej Stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego* Władysława Bartoszewskiego, oraz o ogromnej książce brytyjskiego historyka, Normana

Daviesa *Powstanie 1944*, a także o cennych przyczynkach monograficznych i pamiątkarskich i okazałych wydawnictwach albumowych.

Poświęcono tej problematyce dziesiątki sesji i paneli w wielu polskich ośrodkach akademickich. Szczególną rolę odegrał w tym Światowy Związek Żołnierzy AK, a także od początku swego istnienia (2000 r.) Instytut Pamięci Narodowej. Międzynarodowe znaczenie miały obchody pięćdziesiątej rocznicy Powstania Warszawskiego w 1994 r., w których uczestniczyli nie tylko wysocy przedstawiciele naszych dawnych aliantów zachodnich (w tym ówczesny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Albert Gore), lecz także zaproszony przez prezydenta Lecha Wałęsę prezydent Republiki Federalnej Niemiec prof. Roman Herzog. Prezydent Niemiec wyraził publicznie - w sercu Warszawy - głęboką skruchę w imieniu narodu niemieckiego i prosił kombatantów, mieszkańców Warszawy, Polaków o wybaczenie wyrządzonego zła.

Z obchodami sześćdziesięciolecia wydarzeń z 1944 r. związana była zarówno uroczysta inauguracja działania Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie, z udziałem wieluset przybyłych z całego świata uczestników Powstania, jak i uroczysty akt państwowy. W akcie tym na Placu Powstańców Warszawy uczestniczyli obok najwyższych władz Rzeczypospolitej Polskiej i prezydenta Warszawy wybitni przedstawiciele światowego życia politycznego: sekretarz stanu USA Collin Powell, wicepremier rządu Wielkiej Brytanii John Prescott i kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Gerhard Schröder. Wszyscy zabierali głos, a kanclerz Schröder wyraził w swym wystąpieniu ten sam pogląd na temat historycznej odpowiedzialności Niemiec za zbrodnię wobec Warszawy w roku 1944, który dziesięć lat wcześniej sformułował prezydent jego państwa.

62 „Osservatore Romano”, wyd. polskie, 1994, nr 6-7, s. 55-56

## **Przemówienia w rocznicę Powstania Warszawskiego**

**31 VII 2004**

**1 VIII 2004**

Wystąpienie na uroczystości otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego 31 lipca 2004

Eminencjo Księżę Prymasie, nasz Arcybiskupie, Ekscelencje;

Koleżanki i Koledzy z Powstania Warszawskiego i innych sił Armii Krajowej;

Koleżanki i Koledzy Polskich Sił Zbrojnych walczących na frontach świata;

Koleżanki i Koledzy ze służb organizacji sprzymierzonych wojskowych i cywilnych;

Żołnierze z Szarych Szeregów, z Organizacji Harcerek;

Pracownicy Delegatury Rządu;

Pracownicy frontu tajnego nauczania, tajnych mediów wojskowych

i cywilnych;

Wy wszyscy, którzy jesteście tu dzisiaj albo reprezentowani przez swoje najbliższe rodziny, jeśli zdrowie czy siły nie pozwoliły Wam tu przyjść!

Człowiekowi, który miał szczęście i zaszczyt uczestniczyć wśród Was w tamtych wydarzeniach poprzedzających zryw Powstania nasuwa się refleksja dotycząca myślenia o nas, o naszej kondycji, naszej moralności, o naszym spojrzeniu na naród i państwo, a więc i o naszej przyszłości. Bazuje ona na podstawowej prawdzie: czy myśmy walczyli p r z e c i w komuś, czy myśmy walczyli o c o ś? Przeciw komuś - o tym wolno było mówić nawet w latach bardzo niedobrych. Wolno było mówić, że lud Warszawy walczył z Hitlerem. Ale o c o walczyli pod przewodem organizacji patriotycznych i Wojska Polskiego ci ludzie - o tym mówić raczej nie było wolno albo było to do głębi zakłamanie. W związku z tym chciałem przypomnieć, również moim koleżankom i kolegom Akowcom, bo bardzo często zapomina się o tym - o c o? Na co myśmy przysięgali?

To jest fragment naszej przysięgi Armii Krajowej: „Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży jej honoru i o wyzwolenie jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary z mojego życia”.

Tu nie jest powiedziane, że myśmy przysięgali walczyć z Niemcami hitlerowskimi. Myśmy przysięgali walczyć o wyzwolenie Polski z niewoli, myśmy nie określali państw, polityków. Myśmy mówili o wolności, suwerenności i naszym prawie i obowiązku do walki o wolność, do walki o wyzwolenie z niewoli. Różne były odczucia różnych ludzi, dziesiątki lat ucisku nie pozostały bez wpływu. Jesteśmy tylko ludźmi, ale bardzo wielu z nas uznało za rok

wolności dopiero rok 1989. I ja do nich należałem.

Drogi Koleżanki, drodzy Koledzy, Szanowni Państwo, W swoich pożegnalnych rozkazach ze stycznia 1945 roku do podwładnych - żołnierzy Armii Krajowej, generał „Niedźwiadek” powiedział: „Daję wam ostatni rozkaz - dalszą współpracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości państwa polskiego. W tym działaniu każdy z nas musi być dla siebie dowódcą”. Nie każdy umie być dobrym dowódcą; błędziliśmy, robiliśmy lepiej, gorzej. Ale ta myśl o naszym końcowym celu - niepodległości, większości nie opuszczała. Było mi dane to szczęście, jako ministrowi spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, stać przy grobie generała „Niedźwiadka” na Cmentarzu Moskiewskim i znad tego grobu przemawiać, w obecności generałów rosyjskich, do grupy Polonii, mówiąc, że jest to wyrazem zmian historycznych, że były podwładny gen. „Niedźwiadka” może znad jego grobu mówić pełnym głosem prawdę historyczną na terenie Moskwy do Polaków.

Dla wielu z nas, ludzi dziś starych, największą satysfakcją życiową - obok bólu, że nie doczekali tego nasi koledzy - jest to, że doczekaliśmy Polski niepodległej. A jaka ona będzie, to będzie zależeć w ogromnej mierze i od nas. Na tej drodze do lepszej przyszłości nie można zapominać o pełnej prawdzie historycznej. To dobrze, że jest dawana dziś satysfakcja przez różne środowiska, osoby, które poczuwają się do takich oświadczeń.

Ja, jako długoletni więzień Mokotowa chciałem przypomnieć, że spośród odznaczonych Virtuti Militari Powstańców Warszawskich zostali tam zamordowani: kpt. „Żmudzin” - Bolesław Kontrym, rtm. Witold Pilecki, rtm. „Garda” - Andrzej Czaykowski i wielu, wielu innych. Wymieniam tylko nazwiska wybitnych dowódców Powstania Warszawskiego. Nie wymieniam nazwisk innych Akowców. A były ich setki, którzy ginęli w tych piwnicach z polskiej ręki. Dążąc do czegoś lepszego, musimy pamiętać o słabościach i podłościach. Nie możemy uwolnić się od odpowiedzialności za zło, aby dążyć do dobra i aby tym bardziej je uwypuklać.

Dla mnie największą satysfakcją ostatnich dni, obok tego, że się z Wami, Drodzy Państwo, spotykam tutaj, jest wypowiedź Ojca Świętego, naszego największego - nie tylko dla katolików - autorytetu. Znalazły się tam słowa wypowiedziane z właściwym mu wyczuciem sytuacji, że cieszy się, iż po 60 latach, mimo dawnych prób wymazania z narodowej pamięci tamtych wydarzeń, mogą cieszyć się owocami swego żołnierskiego trudu ci, którzy uczestniczyli w tym - kombatanci. Ojciec Święty przesyła na ręce Prezydenta Warszawy nam, wszystkim uczestnikom, wyrazy swojej duchowej jedności. Równocześnie przypomina, żeby nie tylko powracać do zamierzchłej historii, ale żeby pobudzało to do

takiego umiłowania Ojczyzny, które również w czasie pokoju przejawiać się będzie przedkładaniem dobra wspólnego nad sprawy osobiste. Otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego jest znakiem na drodze. Jest nowym początkiem. Jest wyzwaniem. Nie jest zakończeniem niczego.

Wychowany byłem w polskich szkołach w Warszawie w latach trzydziestych. Dla nas uderzenie Podchorążych na Belweder to była okazja do chodzenia co roku w listopadzie do Łazienek i oglądania tamtej wartowni. Mieliśmy wtedy po 12, 13, 15 lat. Dla nas rok 1863 to była data historyczna, którą darzyliśmy największym szacunkiem. Dla wielu z nas też słowa z innego obozu, obozu narodowego, słowa jego przywódcy, że „jestem Polakiem” znaczyły, że ponoszę współodpowiedzialność za całość. Obok czynów wielkich również za czyny złe i małe. W duchu chrześcijańskiej pokory: błędę, ale chcę iść z podniesioną głową ku przyszłości.

Kończąc, przypomnę, niezapomniane dla mnie, ale nie zawsze powiązane z tą Wielką Osobą, słowa Księdza Prymasa Wyszyńskiego, naszego dawnego arcybiskupa Warszawy: „Narody, tracąc pamięć, tracą życie”. Dlatego powiedziałem, że otwarcie tego Muzeum jest krokiem na drodze naszego narodu do życia w godności i prawdzie, w całej prawdzie i pełnej godności. Daj nam to Boże.

Przemówienie wygłoszone na uroczystościach państwowych z okazji sześćdziesiątej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 2004 r. w Warszawie

Wcale nie taję, że uważam za wydarzenie niezwykle to dzisiejsze spotkanie, za wydarzenie niezwykle w życiu naszego miasta, naszego kraju, ale i może w życiu Europy idącej ku lepszemu zrozumieniu się.

Drodzy państwo, myślę, że jako dotychczas jedyny mówca, który był uczestnikiem Powstania Warszawskiego, mam prawo wysnuć tu kilka refleksji. Jaka jest kondycja Polaków? Myślę, że zarówno wtedy, jak i dziś cechuje ich miłość ojczyzny, wiara w Polskę, ale i wiara w sprawiedliwość dziejową, w sens dziejów, w opiekę Bożą i bardzo długa i konsekwentna historyczna pamięć. To nam pomagało, to nas niejednokrotnie wspomagało.

Do naszych cech należy wierność w sojuszach, od Tadeusza Kościuszki do dowódców frontów w drugiej wojnie światowej, walczących pod zwierzchnictwem Zjednoczonego Królestwa, Commonwealthu czy sił Stanów Zjednoczonych. Ta wierność w sojuszach jest dla nas rzeczą oczywistą i piękną. Jest też rzeczą oczywistą, iż jest wśród nas sekretarz stanu rządu Stanów Zjednoczonych i wysoki przedstawiciel rządu Zjednoczonego Królestwa. Pozwolę sobie na małą refleksję. Ja sam, tak jak wszyscy uczestnicy powstania, otrzymywałem stopnie wojskowe i odznaczenia wtedy, kiedy Polska była aliantem, kiedy



Armia Krajowa była armią aliancką, a na czele sił w Europie, wtedy prowadzących operacje owocne w zachodniej części naszego kontynentu, stał gen. Eisenhower. Tak więc mogę o sobie powiedzieć, że jestem porucznikiem Armii Krajowej, ale jestem pośrednio porucznikiem od Eisenhowera, panie sekretarzu stanu Collinie Powell.

I tak może o sobie powiedzieć każda ówczesna dziewczyna i chłopak, którzy otrzymywali stopnie wojskowe albo awanse we wspólnej walce o wspólną sprawę. Wierność w sojuszach to piękna rzecz, miłość ojczyzny to bardzo trudna rzecz. Podnosili tu nasi drodzy goście tę starą polską zasadę o walce o wolność waszą i naszą. Tak, to jest bardzo trudna do realizacji zasada, ale rzeczywiście realizowana od wieku XVIII aż do ostatnich lat. Długa historyczna droga - ale właśnie ta historyczna pamięć każe mi w szczególny sposób odnieść się do obecności i wypowiedzi tutaj pana kanclerza Republiki Federalnej Niemiec.

Myślę, że nie jest tylko paradoksem historii, ale owocem naszego otwartego, chrześcijańskiego, europejskiego, polskiego myślenia, że były więzień Oświęcimia, były żołnierz i oficer Armii Krajowej, były uczestnik Powstania Warszawskiego i były współorganizator akcji pomocy ginącym Żydom, obywatel honorowy Państwa Izrael od około 40 lat ubiegał się o porozumienie polsko-niemieckie i - - w mojej skromnej osobie.

Nie robiłem tego z pewnością dla siebie, ale z myślą o Polsce, o obu naszych narodach. Dane mi było żyć 7 lat w Niemczech, wykładałem na uniwersytetach niemieckich. Do moich ulubionych bohaterów czasów najnowszych należało rodzeństwo Scholl i inni młodzi ludzie naszego pokolenia, tak, tego samego pokolenia, z którego byliśmy wszyscy w AK, którzy zginęli za to, że chcieli, aby Niemcy były europejskie, moralne, chrześcijańskie, szlachetne, jako patrioci swojego kraju. Za to zginęli. I za to należy im się pamięć, że potrafili się oprzeć tyranii, będąc Niemcami, tak jak się należy pamiętać Polakom, że potrafili się oprzeć tyranii niemieckiej i stalinowskiej i przetrwali wszystkie lata próby w duchu tych samych ideałów przysięgi i wierności złożonej kiedyś. Złożonej w intencji nieugiętej walki o niepodległość.

Toteż dzisiejsze wystąpienie pana kanclerza Republiki Federalnej Niemiec wpisuje się dla mnie w rząd kilku bardzo ważnych wydarzeń, poczynając od wizyty Willy'ego Brandta w grudniu 1970 r. i jego oddania hołdu pamięci ofiar, bohaterów i męczenników getta warszawskiego. Następnym aktem, bardzo ważnym, były pogłębione, historyczne wypowiedzi Richarda von Weizsäckera w maju 1985 r. o tym, czy koniec wojny był zwycięstwem czy klęską, nieszczęściem czy wyzwoleniem, i dla kogo był wyzwoleniem a dla kogo nieszczęściem. Trzeba też powiedzieć o niezapomnianym spotkaniu w Krzyżowej ówczesnego kanclerza Niemiec i ówczesnego premiera Polski w 1989 r. oraz o niezmiernie

godnej i odważnej wypowiedzi prezydenta Romana Herzoga 1 sierpnia 1994 r., który tu, w Warszawie, jako pierwszy Niemiec powiedział jawnie i publicznie wobec kombatantów Powstania Warszawskiego, że wstydzi się za to, co Niemcy zrobili Polakom i prosi Polaków o wybaczenie. Te słowa pozostały niezapomniane. Nie potrzebujemy więcej.

Potrzebujemy logicznych wniosków z tego oświadczenia i te logiczne wnioski zaprezentował nam dzisiaj kanclerz Niemiec, przedstawiciel naszego największego sąsiada, naszego sojusznika w sojuszu północnoatlantyckim i w Unii Europejskiej. Kanclerz Niemiec dostrzegł wielkość historycznych elementów, które złożyły się na współczesność, i kanclerz Niemiec dokonał rzutu oka w przyszłość. O to nam właśnie chodzi, aby demony przeszłości nie utrudniały narodowi niemieckiemu i polskiemu, nie rządowi, ale ludziom, obywatelom, młodzieży bezpośredniego kontaktu. Aby nie szerzyć nieodpowiedzialnych lęków, aby nie stymulować obłąkanych, nigdy nienauczonych niczego, skrajnych ludzi, gdziekolwiek by oni byli, jakkolwiek by się nazywali, jakiegokolwiek organizacje by reprezentowali, ale nie państwa i nie narody. My wierzymy w zapewnienia pana kanclerza federalnego, trzymamy go za słowo, jako kanclerza potężnego europejskiego państwa, i myślimy, że te słowa w tym łańcuchu wydarzeń przyczynią się do budowy nie tylko dobrych stosunków, bo są dobre, nie tylko przyjaznych, bo są po ludzku przyjazne, ale stosunków, które będą jeszcze bliższe niż dzisiejsze stosunki niemiecko-francuskie.

Kiedyś zażartowałem wobec mego kolegi ministra spraw zagranicznych Francji, powiedziałem: Polska jest sojusznikiem godnym posiadania, gdy wszyscy opuścili Napoleona, została przy nim tylko pani Walewska...

Myślę, że w wymiarze poważnych spraw, które nas tu dzisiaj łączą, mogę przypomnieć; warto mieć takiego sojusznika jak Polska. Wiedzą o tym nie tylko żołnierze Bundeswehry ćwiczącej na poligonie na Pomorzu Zachodnim z polskimi żołnierzami, wiedzą o tym wszyscy ludzie, którzy ufali Polakom, chcieli z nimi współżyć, wyciągali do nich rękę uczciwie, szczerze, nie obłudnie i którzy nie żyli w kłamstwie, lecz w prawdzie. Bo pojednanie możliwe jest tylko w prawdzie, w pełnej prawdzie o historii. Te prawdę wypowiedział Roman Herzog 10 lat temu, za co jesteśmy mu wdzięczni. Tę prawdę wypowiedział dzisiaj kanclerz Republiki Federalnej Niemiec w obliczu naszych wiecznych przyjaciół - Amerykanów i Anglików. To ma dla nas bardzo wielkie znaczenie. Może jesteśmy naiwni, ale warto czasami zaryzykować.

**Wystąpienie na uroczystości sześćdziesiątej  
rocznicy oswobodzenia ostatnich więźniów**

**KL Auschwitz-Birkenau**

27 stycznia 2005 roku

Dla byłego polskiego więźnia Oświęcimia jest przeżyciem niewyobrażalnym i prawdziwie przejmującym możliwość zabrania głosu na największym w historii Europy cmentarzu bez grobów. Przeżyciem niewyobrażalnym, bo gdy jako osiemnastoletni Polak stanąłem we wrześniu 1940 roku po raz pierwszy na placu apelowym Auschwitz I - jako Schutzhäftling Numer 4427 - wśród pięciu i pół tysiąca innych Polaków - studentów, harcerzy, nauczycieli, adwokatów, lekarzy, księży, oficerów wojska polskiego, działaczy różnych partii politycznych i związków zawodowych - nie przychodziło mi w ogóle do głowy, że przeżyję Hitlera i drugą wojnę światową, tak jak nie wyobrażałem sobie, że Auschwitz stanie się, jako Auschwitz-Birkenau i Monowitz, miejscem realizacji jednego w swoim rodzaju planu biologicznego wyniszczenia europejskich Żydów bez różnicy płci i wieku. W pierwszych piętnastu miesiącach istnienia tego strasznego miejsca my - polscy więźniowie - byliśmy sami. Wolny świat nie interesował się naszymi cierpieniami i naszą śmiercią mimo ogromnych wysiłków tajnej organizacji oporu w obozie dla przekazania wiadomości na zewnątrz. Późnym latem 1941 r. przywieziono do Auschwitz kilkanaście tysięcy jeńców z Armii Sowieckiej i na nich to, i na polskich chorych więźniach politycznych wypróbowano we wrześniu 1941 r. działanie gazu trującego - Cyklonu B. Nikt z więźniów nie mógł sobie wtedy wyobrazić, że jest to „tylko” zbrodniczy test, zbrodnicze przygotowanie do ludobójstwa metodami przemysłowymi. A jednak tak się stać miało w pamiętnych latach 1942-1943-1944. Budowa komór gazowych i krematoriów, ich sprawne funkcjonowanie to tylko techniczne elementy tego diabelskiego przedsięwzięcia. W Polsce, na ziemi ojczyściej Dawida Ben Guriona, Schimona Peresa, ale także Izaaka Bashewica Singera, Artura Rubinsteina i Menachema Begina zbudowano decyzją Berlina ośrodek wyniszczenia nienawidzonych Żydów. Jeśli Polacy czy Rosjanie byli w Auschwitz-Birkenau dla Niemców podludźmi, to Żydzi z Francji, Belgii, Holandii, z Niemiec i Austrii, z krajów ówczesnej Jugosławii, z Grecji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Czech i Słowacji traktowani byli nie jako podludzie, tylko jak robactwo. Polski ruch oporu informował i alarmował wolny świat, rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych były już w ostatnim kwartale 1942 r. dokładnie zorientowane w tym, co się w Auschwitz-Birkenau dzieje, w wyniku misji polskiego emisariusza Jana Karskiego, jak i innymi drogami. Żadne państwo świata nie zareagowało w sposób adekwatny do wagi problemu na notę ministra spraw zagranicznych polskiego rządu

w Londynie z 10 grudnia 1942 r. do rządów Narodów Zjednoczonych nawołującą „nie tylko do potępienia zbrodni popełnionych przez Niemców i ukarania zbrodniarzy, ale również znalezienia środków zapewniających, że Niemcom zostanie skutecznie uniemożliwione stosowanie metod masowego mordu”. Środków skutecznych nie znaleziono i właściwie nie usiłowano ich znaleźć. A przecież w tym momencie ponad połowa przyszłych ofiar była jeszcze przy życiu. Jedynym właściwie skutkiem polskiej inicjatywy była krótka deklaracja dwunastu państw sprzymierzonych w sprawie odpowiedzialności za zagładę Żydów ogłoszona 17 grudnia 1942 r. równocześnie w Londynie, Moskwie i Waszyngtonie. W deklaracji tej, w której zresztą Auschwitz-Birkenau nie jest wymienione z nazwy, rządy Belgii, Czechosłowacji, Grecji, Luksemburga, Holandii, Norwegii, Polski, USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR, Jugosławii oraz Francuski Komitet Narodowy sygnalizują, że wiedzą o strasznym losie Żydów w „Polsce, którą hitlerowcy uczynili główną swoją katownią”, i zapowiadają ukaranie odpowiedzialnych za tę zbrodnię.

Ostatni, dziś jeszcze tu obecni więźniowie Auschwitz-Birkenau nie będą już zapewne mogli uczcić pamięci ofiar w następnych dziesięcioleciach. Mają jednak prawo wierzyć, że ich cierpienie i śmierć ich bliskich miały znaczący sens dla lepszej przyszłości wszystkich ludzi w Europie, a nawet w świecie, bez względu na ich pochodzenie etniczne czy wyznanie religijne. Chcemy wierzyć, że pamięć o trudnym do objęcia wyobraźnią losie więźniów i ofiar tego miejsca, na którym stoimy, zobowiązywać będzie nowe pokolenia do współzycia w szacunku dla godności każdego człowieka i czynnego przeciwstawienia się zjawiskom nienawiści i pogardy ludzi wobec ludzi, a w szczególności wszelkich form ksenofobii i antysemityzmu, nawet gdyby był nazywany obłudnie antysyjonizmem.

Uczestniczyłem w życiu w setkach uroczystości i regionalnych, i międzynarodowych, ale sądzę, że takiej jak ta już nigdy nie będzie. Musimy sobie i światu postawić pytanie, ile prawdy o strasznych doświadczeniach totalitaryzmu udało nam się przekazać młodszym pokoleniom. Myślę, że dużo, ale nie dość. Tutaj i teraz podjąć musimy - jako testament odchodzących już więźniów - decyzję o działaniu Centrum Edukacji o Auschwitz i Holocauście.

Groby skłaniają każdego normalnego człowieka do zadumy. Ale tu nie ma grobów. Na miejscu więc dokonania tej niepojętej zbrodni zaduma musi przeobrażać się w szczególną odpowiedzialność, w trwałą pamięć o tym, co się stało. Zakończę słowami z Księgi Hioba, jednakowo ważnej dla Żydów i chrześcijan: „Ziemio, nie kryj mojej krwi, iżby mój krzyk nie ustawał”.

## **Polacy - Żydzi - wojna - okupacja**

### **(Myśli o stosunkach polsko-żydowskich)**

Stosunki polsko-żydowskie kształtowały się różnie w ciągu długich wieków. Polacy i Żydzi mieszkali przez wiele lat na tej samej ziemi, współżyli ze sobą dobrze albo też żyli obok siebie obojętnie, niekiedy też niechętnie, antagonistycznie, a nawet wrogo.

Szereg okoliczności historycznych w dziejach średniowiecza, także i w dziejach nowożytnych doprowadziło do wzrostu osiedlenia żydowskiego szczególnie na historycznych, centralnych i wschodnich ziemiach państwa polskiego. Wyrażało się to - w ciągu 200 lat poprzedzających okres drugiej wojny światowej - wartością 8-10% ludności zamieszkałej na tym terenie (choć pod koniec XIX w. Żydzi stanowili na terenie niektórych ziem polskich pod władzą rosyjską nawet ponad 25% ogółu mieszkańców). Ta proporcja utrzymywała się w zasadzie bez większych wahań, co było między innymi wyrazem stosunkowo ustabilizowanej sytuacji żydowskiej grupy wyznaniowarodowej w tej części Europy. Oznaczało to zarazem, że grupa ta była najliczniejsza nie tylko procentowo, ale i w liczbach bezwzględnych w ówczesnej Europie. W uzasadnionej proporcji do tej liczebności pozostawało też znaczenie Żydów polskich w światowej diasporze. Głębokie życie religijne i znaczny rozwój ruchu duchowego i umysłowego w różnych jego postaciach - w działalności społecznej, artystycznej, naukowej i wreszcie politycznej - zapewniały środowisku Żydów polskich rangę zupełnie wyjątkową w świecie żydowskim w Europie, choć ich pozycja gospodarcza, a przeto i znaczenie w nowoczesnym państwie, ustępowała możliwościom cywilizacyjno-gospodarczym Żydów osiadłych w bogatszych i wyżej cywilizowanych, a przede wszystkim bardziej przemysłowo rozwiniętych państwach Europy Zachodniej (np. Niemczech, Anglii czy Francji). Odrębność obyczajów, specyficzne zakorzenienie w tradycji znacznej większości Żydów zamieszkałych w Polsce stanowiły niewątpliwie pozytywną wartość dla diaspor żydowskiej, pozostając niewyczerpanym rezerwuarem niezmiennych wartości religijno-obyczajowych. Trzeba jednak pamiętać i o tym, że odrębność, a także i gorsza sytuacja materialna „Ostjuden” powodowały pewną rezerwę wobec nich ze strony Żydów zachodnioeuropejskich.

Żydzi polscy w swojej przygniatającej większości odrzucali tendencje asymilacyjne, zachowując konsekwentnie wierność swojej odrębności jako wartości nadrzędnej, a niemająca grupa ludzi konsekwentnie ortodoksyjnych preferowała wręcz izolację od nieżydowskiego otoczenia. Również Polacy - mając z Żydami liczne związki wynikające z praktycznego życia - nie kwapili się do przełamywania bariery obcości. Każda ze stron miała też skłonność do poczucia wyższości wobec drugiej.

W odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej (po 1918 r.) ani udział w parlamencie, ani w innych formach życia politycznego i kulturalnego nie przełamывał w istocie rzeczy zasady izolacjonizmu. Z kolei polskie partie polityczne prawicy i centrum podkreślały programowo obecność żydowskiej grupy wyznaniowej w Polsce i przypisywały jej członkom szkodliwą rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym.

Środowisko piłsudczyków i wywodzące się mniej lub bardziej z niego grupy o nastawieniu liberalnym (np. Kluby Demokratyczne czy później Stronictwo Demokratyczne) lub socjaldemokratyczne (przede wszystkim najbardziej wpływowa Polska Partia Socjalistyczna, współpracująca z Bundem) odrzucały programowo wszelkie różnice narodowe i wyznaniowe - ale natrafiały na trudności w określeniu stanowiska wobec grup żydowskich ortodoksyjnie religijnych, ze wszystkimi tego politycznymi i społecznymi konsekwencjami, a tym bardziej wobec prawicowego ruchu syjonistycznego. Stosunkowo wpływowe w Polsce i obdarzone społecznym autorytetem koła intelektualne odrzucały w swojej ogromnej większości wszelkie tendencje nacjonalistyczne, antysemitckie czy ksenofobiczne, ale preferowały oczywiście stosunki zawodowe i towarzyskie z odpowiednio liberalnymi przedstawicielami elit żydowskich.

Konkurencja ekonomiczna występowała w środowiskach mieszczańskich i drobnomieszczańskich, nie był to jednak obraz prosty, był różnie zarysowany w różnych częściach Polski. Stanowisko dominującego w Polsce Kościoła rzymskokatolickiego wobec Żydów było tradycyjne, nacechowane nieufnością i niewolne od stereotypów i uprzedzeń w postaci charakterystycznej dla widzenia przez Kościół konsekwencji wielowiekowego antagonizmu między chrześcijaństwem i judaizmem, co trwało aż do Soboru Watykańskiego II, a przezwyciężone zostało właściwie dopiero w okresie pontyfikatu pierwszego w dziejach papieża Polaka Jana Pawła II i to w istocie za Jego sprawą.

Wszakże w intelektualnych środowiskach katolickich zaznaczył się już w końcu lat dwudziestych i w ciągu lat trzydziestych poważny ruch na rzecz dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Ruch ten nie był liczny ani społecznie szerzej wpływowy, ale skupiał osoby o wysokich walorach intelektualnych i moralnych. Część z nich odegrała potem pozytywną rolę w czasie drugiej wojny światowej i po niej w kontynuacji rozpoczętego dzieła. Odgrywa ją w Polsce nadal i do dziś w środowiskach katolickich, także w następnych już pokoleniach.

Rozważając problematykę stosunków polsko-żydowskich w naszych dziejach, wyróżnić trzeba kilka okresów odrębnych pod względem warunków i tendencji występujących w życiu społecznym. Współżycie obu grup narodowych układało się w

dawnym państwie polskim, aż do jego likwidacji przez rozbiory (1772-1795) między trzy sąsiadujące państwa, nie gorzej niż w innych państwach ówczesnej Europy, a w różnych okresach nawet lepiej. Okres nieistnienia państwa polskiego (1795-1918) przyniósł w tym zakresie niewątpliwie niekorzystne zmiany. Nie mogło być wtedy mowy o kształtowaniu się suwerennej, ogólnopaństwowej polityki polskiej wobec innych grup narodowych czy wyznaniowych na terenie dawnej Rzeczypospolitej. Sytuacja zarówno Polaków, jak i Żydów kształtowała się w państwach zaborczych - Rosji, Prusach, Austrii - różnie i zmiennie, najogólniej jednak rzecz biorąc polityka każdego z państw zaborczych brała pod uwagę możliwość wykorzystywania różnic i konfliktów między grupami narodowymi i wyznaniowymi. Niejednokrotnie konflikty takie, uwarunkowane gospodarczo i społecznie, stymulowała bezpośrednio lub pośrednio.

W wyborze dróg postępowania na rzecz przyszłości Polski, w kształtowaniu się programów i postaw, pasywnych i aktywnych, szczególnie w ostatnich dziesiątkach lat wieku XIX, zaznaczyły się niejednokrotnie poważne rozbieżności w zakresie zainteresowania i zaangażowania Polaków i Żydów. Polacy skłonni byli dostrzegać tendencję Żydów do daleko idącego dostosowania się i współdziałania ze strukturami i władzą państw zaborczych, jak też intencje autogermanizacyjne i autorusyfikacyjne niektórych środowisk żydowskich. Jednak niektórzy Żydzi ze środowiska mieszczańskiego i inteligenckiego odgrywali dużą rolę w leżącej w interesie ogólnospołecznym pracy organicznej, a inni także w początkach ruchu socjalistycznego, w którym część Polaków upatrywała perspektywę przybliżenia niepodległości państwa. Dla mas żydowskich problematyka ta jednak była raczej odległa i nie znajdowała się w ogóle w ich świecie wartości i wyobrażeń. Nie zapominamy tu o przykładach patriotycznego współdziałania Żydów z walczącymi Polakami, ale charakteryzujemy postawy typowe.

W Rzeczypospolitej Polskiej po 1918 r. znalazła się, obok środowisk tradycyjnych, trudna do określenia liczbowo, ale bardzo znaczna grupa Żydów wychowanych w kręgu kultury rosyjskiej i nieidentyfikujących się ani psychicznie, ani politycznie z nowo powstałym państwem polskim. Było to zjawisko wytłumaczalne i zrozumiałe, mające jednakże swoje następstwa w życiu społecznym. Z upływem czasu sytuacja ta uległa zróżnicowaniu. Przyrost młodszej generacji żydowskiej wychowanej od urodzenia w państwie polskim powodował zmianę stosunku do wspólnej państwowości, a w środowisku elit umysłowych i gospodarczych sprawa wyglądała w ogóle odmiennie.

Światowy kryzys gospodarczy w latach 1928-1934 przyniósł w Polsce znaczną pauperyzację już i przedtem ekonomicznie upośledzonych mas proletariatu polskiego i

żydowskiego, a także biednego chłopstwa polskiego i drobnomieszczaństwa żydowskiego. Realnie istniejące problemy ekonomiczne wykorzystywane były w walce politycznej i działalności propagandowej przez stronnictwa i grupy szeroko pojętego tak zwanego obozu narodowego (tj. centrum i prawicy), zarówno przeciwko rządzącemu środowisku piłsudczyków, jak i polskim partiom liberalnym i lewicowym. Argument konkurencji ekonomicznej żydowsko-polskiej należał w tej walce do najczęściej używanych i trafiał do przekonania wielu ludziom.

Okres ostatnich lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, a szczególnie 1934-1939 (pokrywający się z czasem ciężkiej choroby Józefa Piłsudskiego i latami walki o władzę po jego śmierci) przyniósł wprawdzie w Polsce stopniową poprawę gospodarczą, ale stosunki z mniejszościami narodowymi uległy raczej pogorszeniu. Przejawiało się to w stosunkach polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich, ale także i polsko-żydowskich. Skrajnymi przejawami tego napięcia były organizowane przez stronnictwa i grupy prawicy brutalne awantury i manifestacje antyżydowskie na wyższych uczelniach w kilku dużych miastach w Polsce, jak też antyżydowskie wystąpienia motłochu w kilku mniejszych miastach i miasteczkach Polski środkowowschodniej (najgłośniejsze w Przytyku w 1936 r. i w Brześciu nad Bugiem w 1939 r.).

Zjawiska te, choć nieporównywalne ani w swych rozmiarach, ani w skutkach z tym, co działo się na przykład na Ukrainie i w Rosji w XIX wieku i na przełomie XIX i XX w., spowodowały przecież w opinii środowisk inteligenckich i intelektualistów poważny wstrząs psychiczny. Spotkały się z protestami profesorów, pisarzy, artystów, działaczy politycznych, wielu poważnych osobistości polskiego życia publicznego. Spotkały się też z reakcją policji i sądów. Ważnym czynnikiem była świadomość, że są to czyny karalne i przez państwo ścigane. Rząd jednak nie zawsze przeciwstawiał się tym zjawiskom dość konsekwentnie, choć znaczna część społeczeństwa uważała je za szkodliwe nie tylko dla Żydów, ale i dla Polaków. Powaga sytuacji spowodowała także zabranie głosu przez Kościół rzymskokatolicki. Ówczesny jego zwierzchnik w Polsce, kardynał August Hlond, stwierdził publicznie w 1936 r., że metody przemocy fizycznej wobec Żydów nie są do pogodzenia z nakazami etyki chrześcijańskiej, aprobował jednak separację od mniejszości żydowskiej i walkę ekonomiczną z nią.

Trzeba jednak powiedzieć jasno, że rozwój ruchów faszystowskich w Europie nie pozostał bez pewnego wpływu na polskie życie polityczne, nie tylko zresztą w zakresie stosunku do mniejszości narodowych. Organizacja bliska w swym modelu faszystowskiemu - Obóz Narodowo-Radykalny, została wprawdzie po paru miesiącach jawnej działalności w



1934 r. zdelegalizowana i zakazana przez władze administracyjne, przejawiała jednak w dalszym ciągu działalność konspiracyjną, propagując przewrót faszystowski w kraju. Co gorsza, w niespełna dwa lata po śmierci Piłsudskiego założona przez część uległych mu dotąd ludzi organizacja polityczna pod nazwą Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZON) podjęła - zapewne w intencji demagogicznej konkurencji z tradycyjnie antyżydowskim Stronnictwem Narodowym - hasła postulujące walkę ekonomiczną z mniejszością żydowską i jej stopniową emigrację z kraju. Trudno oczywiście powiedzieć (nikt nie prowadził takich badań), w jakim stopniu te tendencje podnoszone w propagandzie partyjnej znajdowały oddźwięk,

i na ile dosłowny, w szerokich masach społecznych, dosyć zresztą zróżnicowanych. Nie brak świadectw, że ludzie żyjący od wieków w sąsiedztwie Żydów, w określonych, lepszych czy gorszych, ale względnie stabilnych z nimi układach, w dalszym ciągu traktowali ich obecność jako oczywiste sąsiedztwo, jako część tutejszego krajobrazu. Nie można nie doceniać jednak wpływu propagandy, posługującej się argumentacją tyleż demagogiczną, co trafiającą w odczucie aktualnej ciężkiej, nie dość szybko poprawiającej się sytuacji, wskazującą „uniwersalny klucz” mający rzekomo służyć jej poprawie. Odwoływanie się do niskich instynktów pod płaszczykiem haseł patriotycznych prawie zawsze znajduje jakiś posłuch, co można udowodnić na przykładach nie tylko Polski dotyczących. Wydaje się jednak, iż można stwierdzić, że nie pojawiały się w Polsce tendencje gwałtownego rozwiązania „sprawy żydowskiej” i że takowe nie byłyby akceptowane przez społeczeństwo.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Polska była największym skupiskiem Żydów w Europie. Według danych ostatniego przedwojennego powszechnego spisu ludności z 1931 r. 3 130 581 obywateli polskich zadeklarowało swą przynależność do wyznania mojżeszowego. Na podstawie szacunkowej oceny przyrostu naturalnego ludności żydowskiej w Polsce w latach 1931-1939 przyjmuje się (przy uwzględnieniu zjawiska emigracji Żydów z Polski w tym okresie), że liczba obywateli polskich Żydów w dniu 1 września 1939 r. wynosiła 3 474 000. Stanowiło to około 10% ogółu ludności państwa polskiego. (Dla porównania: ZSRR - 1,6%, w Czechosłowacji - 2,4%, w Bułgarii - 0,8%, w Jugosławii - 0,5%, we Francji - 0,8%, w Belgii - 1,2%, w Holandii - 1,7%, w Danii - 0,2%, w Norwegii - 0,1%, a nawet w uchodzących za znaczące centra żydowskie w Europie jak Rumunia czy Węgry, w granicach 4,5%).

W świetle hitlerowskich kryteriów rasistowskich liczby te były odpowiednio większe, gdyż - jak wiadomo - obejmowały one pojęciem „Żyda” również chrześcijan pochodzenia żydowskiego do drugiego pokolenia.

Żydzi polscy byli przeważnie skupieni w miastach i miasteczkach. Spis ludności z

1931 r. wykazał, że 77% Żydów mieszkało w miastach, a tylko 23% na wsi. Wśród niespełna 9 000 000 mieszkańców miast 5 500 000 - to Polacy, 2 400 000 - Żydzi (resztę ludności miejskiej stanowili Niemcy, Ukraińcy itd.). Ten stan rzeczy w 1931 r. nie uległ większym zmianom do chwili wybuchu drugiej wojny światowej. Miało to w okresie okupacji tragiczne skutki: wielka koncentracja ludności pochodzenia żydowskiego w punktach miejskich i wielkomiejskich ułatwiła Niemcom realizację ich polityki dyskryminacyjnej, a następnie eksterminacyjnej.

Żydostwo polskie miało silne poczucie narodowe. Wyrazem tego może być fakt, że ok. 85% Żydów polskich podało w czasie spisu ludności w 1931 r. język żydowski i hebrajski za swój język ojczysty. W roku szkolnym 1937/1938 było w Polsce 226 szkół powszechnych i 12 szkół średnich ogólnokształcących (gimnazjów) oraz 14 szkół średnich zawodowych z żydowskim lub hebrajskim językiem nauczania, choć większość uczącej się młodzieży żydowskiej uczęszczała do szkół polskich (na przykład w roku szkolnym 1936/1937 gimnazja ogólnokształcące ukończyło w Polsce 4 132 uczniów wyznania mojżeszowego na ogólną liczbę 21 915 absolwentów, a dyplomy ukończenia wyższych uczelni uzyskało 911 Żydów na 6 114 absolwentów). W tym samym czasie ukazywało się 130 czasopism w języku żydowskim lub hebrajskim, wśród nich 11 periodyków naukowych i 94 pisma informacyjne lub literackie. W ciągu roku 1937 pojawiły się na terenie państwa polskiego ogółem 443 publikacje nieperiodyczne (książki i broszury) w językach żydowskim i hebrajskim, w łącznym nakładzie 675 700 egzemplarzy. Funkcjonowało 15 teatrów i teatrzyków grających w języku żydowskim. Tak więc można stwierdzić, że życie umysłowe i kulturalne żydostwa polskiego było w okresie poprzedzającym bezpośrednio wybuch drugiej wojny światowej w pełnym rozwoju, stosownie zresztą do wielkiego znaczenia, jakie skupisko Żydów w Polsce miało w światowej diasporze żydowskiej.

Równocześnie inteligencja polska pochodzenia żydowskiego brała aktywny udział w życiu społecznym Polski. Bardzo wielu uczonych, artystów (pisarzy, plastyków, muzyków, ludzi teatru), dziennikarzy, lekarzy, prawników itd. przyczyniło się w poważnym stopniu do ożywienia ruchu intelektualnego w odrodzonym państwie polskim, do rozwoju nauki i sztuki.

Żydzi uczestniczyli też aktywnie w polskim życiu politycznym jako członkowie, a często i czołowi działacze partii demokratycznych i socjalistycznych, niestety także w nielegalnie wówczas działającej Komunistycznej Partii Polski.

Nie brak było inteligencji i mieszczaństwa żydowskiego w różnych ugrupowaniach politycznych tradycyjnego obozu piłsudczyków, jak na przykład w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem.

Żydowskie partie polityczne - zarówno socjalistyczny Bund, jak również ugrupowania prawicy i lewicy syjonistycznej oraz konserwatywno-religijne - były reprezentowane w sejmie, a także, dość szeroko w samorządzie terytorialnym (np. w Warszawie w chwili wybuchu drugiej wojny światowej ludność żydowska miała 20 radnych, w Łodzi 17 radnych itd.).

W kampanii wrześniowej 1939 r. uczestniczyło w walce z Niemcami w szeregach armii polskiej ok. 120 000 obywateli polskich Żydów. 32 216 żołnierzy i oficerów Żydów poległo, a 61 000 zostało wziętych do niewoli niemieckiej, z czego większość następnie zginęła; szeregowców i podoficerów zwolniono masowo z niewoli, trafili potem do gett i obozów pracy i podzielili los innych jako cywile. Należało to do szczególnie perfidnych form uchylecia się przez III Rzeszę od zastosowania zasad konwencji genewskiej.

Przebieg działań wojennych 1939 r. przyniósł, jak wiadomo, podział ziem państwa polskiego niemal dokładnie po połowie pod względem powierzchni pomiędzy Trzecią Rzeszę i ZSRR. Pod okupacją niemiecką znalazło się 48,8% terytorium Polski z 62,8% ogółu ludności, pod okupacją sowiecką (po wcieleniu Republiki Litewskiej do ZSRR) 51,6% terytorium z 37,1% ogółu ludzkości. Według przedwojennych danych demograficznych pod okupacją niemiecką znalazło się zatem 61,2%, a pod okupacją sowiecką 38,8% Żydów polskich (według wiarygodnych danych Ludwika Landaua). Wobec przemieszczeń ludności w okresie działań wojennych we wrześniu 1939 r. z zachodu na wschód przyjąć jednak można, że liczby zarówno Polaków, jak i Żydów, którzy znaleźli się na początku okupacji we wschodniej połowie Polski, były nieco wyższe, a w zachodniej nieco niższe, niżby to wynikało z przedwojennej statystyki stałego osiedlenia. Na ziemiach polskich na wschód od linii demarkacyjnej określonej w układach niemiecko-sowieckich z sierpnia i września 1939 r. sytuacja nie zapowiadała przyszłego zagrożenia biologicznego żydowskiej grupy narodowo-wyznaniowej. Masowe deportacje ludności w głąb Rosji dotyczyły przede wszystkim Polaków, choć zdarzały się też represje wobec przedwojennych żydowskich działaczy społecznych i politycznych, zarówno z organizacji syjonistycznych, jak z Bundu. Istnieje w odniesieniu do tego okresu okupacji wyraźna luka w badaniach naukowych i piśmiennictwie historycznym. Brak jest też sprawdzonych socjologicznie i statystycznie danych dotyczących udziału poszczególnych grup narodowych w aparacie administracyjnym i represyjnym nowej władzy sowieckiej na tym terenie. Spotykane w relacjach i wspomnieniach twierdzenia o masowym udziale proletariatu żydowskiego w akcji władz sowieckich przeciwko Polakom przyjąć należy z dużą ostrożnością. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że według opinii Polaków z województw wschodnich przedwojennego

państwa polskiego reakcje ludności żydowskiej nie wskazywały na to, aby upadek państwa polskiego i tragedię okupacji odczuwała ona na równi z sąsiadami Polakami. Oczywiście okoliczność taką można w różny sposób wytłumaczyć, jak na przykład rosyjskim lub chasydzkim rodowodem kulturowym pewnej części Żydów - obywateli polskich zamieszkałych na tym terenie, ulgą, że nie rozciągnęła się tam władza Niemiec hitlerowskich, ale przede wszystkim może większą sympatią dla komunizmu i ZSRR niż dla państwa polskiego z jego przedwojennym ustrojem politycznym. Nie należy też wykluczać znacznej ewolucji poglądów w ciągu dalszych miesięcy życia na tym terenie pod władzą sowiecką. Fakty jednak pozostają faktami i w opinii bardzo wielu Polaków mniejszości narodowe w ośmiu województwach wschodnich (lwowskim, stanisławowskim, tarnopolskim, wołyńskim, poleskim, nowogródzkim, białostockim i wileńskim) zaangażowane były w akcji antypolskiej po stronie ówczesnego okupanta tych ziem.

Po napaści Niemiec na ZSRR, 22 czerwca 1941 r., Niemcy w ciągu paru tygodni zajęli cały obszar przedwojennego państwa polskiego. A więc w lipcu 1941 r. cała Polska i wszyscy Żydzi polscy, którzy nie zostali deportowani w głąb ZSRR lub sami się tam nie schronili, znaleźli się pod władzą Trzeciej Rzeszy.

Niemal natychmiast po wkroczeniu Niemców, w lipcu 1941 r., w kilku miejscowościach województwa białostockiego - Grajewie, Radziłowie i Jedwabnem - doszło do masowych mordów na Żydach dokonanych przez grupy ludności polskiej lub przy jej współudziale. Historycy nie mają wprawdzie wątpliwości, że inspiratorami tych haniebnych zbrodni byli Niemcy, nie zmienia to jednak faktu, iż zostały one dokonane przez Polaków.

W lipcu 2000 r. ukazała się w Polsce książka Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*, będącą próbą rekonstrukcji masakry Żydów 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem. Śledztwo w tej sprawie przeprowadził - powołany w 2000 r. - Instytut Pamięci Narodowej, który podaje także szczegółowe dochodzenia w sprawie mordów w Grajewie i Radziłowie. Część ich sprawców stanęła już przed sądami kilka lat po wojnie.

Owoce badań przeprowadzonych w sprawie zbrodni w Jedwabnem jest szczegółowa dokumentacja historycznoprawna przygotowana i wydana przez Instytut Pamięci Narodowej pt. *Wokół Jedwabnego* (Studia (I), Dokumenty (II) - Warszawa 2002 r.). Dokumentacja ta nie pozostawia wątpliwości co do udziału dziesiątków osób narodowości polskiej w zbrodni dokonanej wtedy wobec współobywateli Żydów.

Straty krwawe Żydów polskich szacowane są przez poważnych historyków żydowskich na 2 900 000 do 3 000 000, a liczba Żydów, którzy uratowali się na terenach państwa polskiego okupowanych przez Niemców rozmaicie - w granicach od 40-50 tys. (Filip

Friedmann) do 120 tys. (Joseph Kermisz). Część zdołała przetrwać do końca w niektórych obozach koncentracyjnych (Oświęcim, Majdanek), obozach pracy lub obozach jeńców. Reszta ocalała w partyzantce lub w ukryciu w otoczeniu polskim i przy jego pomocy. Liczba tych ukrywających się - początkowo dość znaczna - malała jednak z roku na rok, w miarę wzrostu terroru okupanta i krwawych strat całej społeczności polskiej.

Pierwsze miesiące okupacji niemieckiej w Polsce charakteryzowały, jak wiadomo, zarządzenia dyskryminacyjne i represyjne wobec Żydów, które nie nasuwały jednak ani Żydom, ani Polakom podejrzeń o możliwości biologicznego zagrożenia całej ludności żydowskiej. Równocześnie bowiem administracja hitlerowska w okupowanej Polsce prowadziła już od jesieni 1939 do jesieni 1940 r. konsekwentną akcję eksterminacyjną polskich elit intelektualnych i politycznych. Późną jesienią 1940 r. (Warszawa), a nawet dopiero w początku 1941 r. (Kraków) powstały na terenie Polski wielkie getta utworzone przez Niemców. Izolowano tam setki tysięcy Żydów. Sam proces tworzenia żydowskich dzielnic mieszkaniowych (gett) był różnorodnie oceniany zarówno w środowisku żydowskim, jak i polskim. Z jednej strony budziło to uzasadnioną podejrzliwość co do zamiarów niemieckich, jak też oczywiście opór moralny wobec dopuszczalności segregacji, z drugiej strony jednak występowały wśród Żydów opinie, że za cenę izolacji uda się w większości przetrwać wojnę, szczególnie że powszechna była i wśród Żydów, i wśród Polaków w 1940 r. ocena, że wojna potrwa krótko, że Niemcy rychło zostaną pokonane. Ten sposób myślenia przesądził też zapewne u wielu Żydów w gettach o włączeniu się do organów pseudosamorządu pod nadzorem niemieckim, w uczciwym przeświadczeniu, że tą drogą uda się dopomóc wielu ludziom do skutecznego przetrwania okupacji.

Proces bezpośredniej eksterminacji Żydów (pośrednia bowiem zaczęła się z chwilą zamknięcia gett i utworzenia obozów pracy) rozpoczął się wczesną jesienią 1941 r. na zapleczu frontu wschodniego. Na ziemiach polskich podjęto go w grudniu 1941 r. w Chełmnie nad Nerem, a w ciągu 1942 r. w kilku innych ośrodkach zagłady, m.in. w Treblince i w Oświęcimiu. Ten metodycznie przeprowadzany mord masowy na setkach tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci stanowił wstrząs moralny dla ogółu Polaków. Dla ogółu, gdyż także i dla ludzi obojętnych, a nawet i dla tych, którzy byli Żydom niezyczliwi, z jakichkolwiek by to było powodów. Istniała bowiem i dalej istnieje dość zasadnicza różnica między uczuciem obojętności, nawet niezyczliwości a aprobatą czy choćby tylko moralnym dopuszczeniem straszliwego cierpienia i niewinnej śmierci, a przecież skala tego masowego mordu była czymś w historii ludzkości bezprzykładnym, niemieszczącym się w doświadczeniu i wyobrażeniu, przez to samo budzącym uczucie tragicznej grozy.

Warto przypomnieć, że już od pierwszych miesięcy okupacji kształtowało się w świadomości Polaków przekonanie o biologicznym zagrożeniu narodu polskiego przez Niemców. Wynikało to z doświadczenia egzekucji publicznych na rynkach miast i miasteczek Pomorza, Wielkopolski i w lasach pod Krakowem i Częstochową, akcji AB przeciw inteligencji polskiej w lecie i jesienią 1940 r., więzień gestapo jak Pawiak, Montelupich i Fort VII w Poznaniu, utworzenia w czerwcu 1940 r. KL Auschwitz, gdzie osadzano w ciągu pierwszych kilkunastu miesięcy niemal wyłącznie polską inteligencję (od lipca 1941 r., również sowieckich jeńców wojennych przeznaczonych na zagładę). Wszystko to koncentrowało w znacznym stopniu uwagę Polaków - jeszcze przed utworzeniem gett żydowskich oraz w pierwszym okresie ich istnienia - na własnych przeżyciach i własnym zagrożeniu. Brak jest danych naukowo sprawdzonych, czy i w jakim stopniu w zamkniętych środowiskach gettowych funkcjonowała świadomość prawdziwego natężenia terroru niemieckiego wobec Polaków, a zwłaszcza wobec planowo eksterminowanych środowisk inteligencji polskiej.

Po zamknięciu gett w dalszym ciągu dominowała w społeczności żydowskiej opinia, że ta forma izolacji, choć połączona z uciskiem i wyzyskiem, umożliwi jednak przetrwanie wojny. Panował również pogląd, że może ona w jakimś stopniu umożliwić przetrwanie za cenę dostosowania się i bierności. Tylko nieliczni - coraz bardziej z upływem czasu i w wyniku obserwacji metod niemieckich - byli odmiennego zdania. Warunki bytowania w gettach, panująca tam nędza i choroby stopniowo wyniszczające ludzi słabszych fizycznie, uboższych były faktem w Polsce wiadomym. Uwzględniane były te informacje w sprawozdaniach o sytuacji w kraju przekazywanych rządowi polskiemu w Londynie, jak i też w polskiej prasie tajnej mającej dość znaczny obieg - jeszcze przed znanym listem Bundu w Polsce do rządu w Londynie z 11 maja 1942 r. Kolejne fale terroru prewencyjnego dotykające społeczeństwo polskie w różnych częściach kraju w latach 1941-1942 i szczególne nasilenie terroru w Warszawie, jako największym skupisku Polaków na terenie kraju, przyzwyczało w pewnym stopniu ogół do dramatycznie twardych norm codziennego życia. Stałe aresztowania, przepełnienie więzień gestapo i systematyczne transporty do różnych obozów koncentracyjnych, które z czasem doprowadziły do tego, że we wszystkich obozach hitlerowskich Polacy stanowili największą grupę uwięzionych - wszystko to przyczyniło się do pewnego stopnia uwagi w odniesieniu do tego, co działo się za murami gett.

Masowa zagłada Żydów w latach 1942-1944 (a szczególnie od wiosny 1942 do jesieni 1943 r.) była więc zjawiskiem, do którego ani rzeczowo, ani psychicznie nikt nie był przygotowany: przekraczało ono zresztą możliwości przewidywania i zdolność do

przeciwdziałania. Improwizowana, a z czasem nawet, od drugiej połowy 1942 r., zorganizowana pomoc dla ofiar stanowiła kroplę w morzu potrzeb. Dysproporcja infernalnej sytuacji i bardzo ograniczonych możliwości była ogromna. Lepiej od teoretyków, publicystów i pisarzy historycznych wiedzą dziś o tym ci nieliczni, którzy przeżyli, jak też ci, którzy usiłowali nieść pomoc często bezskutecznie, a czasem tylko skutecznie. Tylko że świadkowie epoki ogarniają tyle, ile znajdowało się w ich ówczesnym polu widzenia i osobistego doświadczenia. Dopiero potworna suma tych doświadczeń stanowić może materiał dla badań historycznych i socjologicznych. Podejmując takie badania, trzeba jednak uwzględnić warunki życia społecznego panujące w krajach okupowanych lub z Trzecią Rzeszą sprzymierzonych (a więc nie tylko w Niemczech, ale i we Francji, w Rumunii, na Węgrzech i na Litwie), jak też warunki panujące na ziemiach polskich, a więc w kraju, który stał się miejscem kaźni wybranym przez Niemców. Faktem jest, że liczba Żydów zgładzonych w Auschwitz-Birkenau przewyższa przeszło dziesięciokrotnie liczbę nieżydowskich ofiar tego straszliwego miejsca. Faktem jest, że w specjalnie utworzonych przez Niemców ośrodkach wyniszczania ludzi, jak Treblinka II, Sobibór, Bełżec, ginęli tylko Żydzi - polscy i spoza Polski. Ale faktem jest również, że w ówczesnej świadomości Polaków istniało poczucie - sądząc z dokumentów ujawnionych już przez oskarżycieli w głównym procesie zbrodniarzy hitlerowskich przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze niebezzasadne - że po Żydach przyjdzie kolej na nas.

Żadne państwo świata nie zareagowało w sposób adekwatny do wagi problemu na notę polskiego ministra spraw zagranicznych do rządów Narodów Zjednoczonych z 10 grudnia 1942 r., w której stwierdzano między innymi:

[...] Najnowsze doniesienia dają przerażający obraz sytuacji, w jakiej znaleźli się Żydzi polscy. Stosowane w ciągu ostatnich kilku miesięcy nowe metody masowych rzezi potwierdzają fakt, że władze niemieckie dążą systematycznie do całkowitej zagłady żydowskiej ludności Polski oraz tysięcy Żydów wywiezionych do Polski z Europy zachodniej środkowej, a także z samej Rzeszy Niemieckiej.

Rząd Polski uważa za swój obowiązek podanie do wiadomości rządów wszystkich krajów cywilizowanych następujących, bezwzględnie autentycznych informacji otrzymanych z Polski w ciągu ostatnich miesięcy, informacji wskazujących na nazbyt jasne metody eksterminacyjne stosowane przez władze niemieckie.

[...] Rząd Polski - jako przedstawiciel legalnej władzy na obszarach, na których Niemcy stosują systematyczne tępienie obywateli polskich

i obywateli pochodzenia żydowskiego wielu innych narodowości, uważa za swój obowiązek

zwrócenie się do Rządów Narodów Zjednoczonych w szczerym przekonaniu, że władze te podzielą pogląd Rządu Polskiego co do konieczności, nie tylko potępienia zbrodni popełnianych przez Niemców i ukarania zbrodniarzy, ale również co do znalezienia środków, dających zapewnienie, iż Niemcom zostanie skutecznie uniemożliwione stosowanie w dalszym ciągu ich metod masowego mordu [...].

Środków skutecznych nie znaleziono i właściwie nie usiłowano ich znaleźć. A przecież w tym momencie ponad połowa przyszłych ofiar była jeszcze przy życiu...

Instytut Yad Vashem w Jerozolimie ma dokumentację o tysiącach ludzi z Polski, którzy pomagali ofiarom, sami znajdując się w warunkach ekstremalnego zagrożenia, o którym nie mają pojęcia ludzie nigdy nieżyjący w warunkach systemu totalitarnego. O wielu ludziach, którzy usiłowali nieść pomoc Żydom, skutecznie lub bezskutecznie, nie ma i nie będzie już nigdy żadnej dokumentacji. Także dokumentacja przestępczości i zbrodni współpracy - w różnych krajach - z okupantem niemieckim jest tylko częściowa. I choć przestępczość tego rodzaju była w Polsce jeszcze w czasie trwania wojny i po jej zakończeniu ścigana, z całą pewnością ani prawnicy, ani historycy nie wiedzą o niej wszystkiego. Nie ma obecnie żadnej możliwości naukowego zbadania motywacji i przeżyć tej ogromnej masy ludzi w różnych okupowanych krajach (również w tych, w których reżim hitlerowski był dużo łagodniejszy niż w Polsce), którzy się po prostu bali, chcieli przetrwać wojnę. Nie robili nic złego, ale nie zdobyli się też na ryzyko ratowania kogokolwiek: ani własnego sąsiada, ani ukrywającego się oficera, ani uciekiniera z hitlerowskiego więzienia, ani, tym bardziej, całkowicie obcego sobie człowieka, z którym nie wiązały ich nigdy żadne stosunki. Inaczej rzecz się mieć mogła, gdy chodziło o ludzi znajomych, bliższych.

Już po drugiej wojnie światowej wielomilionowe rzesze ludzi padły ofiarą ludobójstwa, na przykład w niektórych krajach Azji. Manifestująca się w tych przypadkach bezsilność świata skłania do refleksji, że zawiodła i zawodzi ludzkość, w takim stopniu, w jakim dopuszczała lub dopuszcza do rozwoju systemów totalitarnych. Jako chrześcijanin jestem zdania, że zawiodły też w poważnym stopniu społeczeństwa chrześcijańskie, ich organizacje społeczne i polityczne, jeśli nie umiały zawczasu dostrzec zła lub nie zrobiły wszystkiego, co w ich mocy, by skutecznie mu zapobiec.

W ostatecznej konsekwencji moralnej przyjąć jednak można, że w warunkach próby, przed którą stanęły całe społeczeństwa w latach drugiej wojny światowej wobec zagłady narodu żydowskiego i wobec wyniszczenia setek tysięcy ludzi z innych powodów, nie zawiedli i w pełni potwierdzili swoje człowieczeństwo tylko ci, którzy sami przeszli przez próbę ostatecznego wyboru. Wielu z nich przypłaciło to życiem. Nikt z żyjących nie może o sobie



powiedzieć, że uczynił wystarczająco dużo dla ratowania innych. Ale też nikt, kto przed taką próbą nie stanął, nie powinien - dla celów politycznych czy polemicznych - oskarżać innych, że nie byli bohaterami.

Wieloletnie życie społeczności żydowskiej w Polsce, rozdział zamknięty w historii Żydów i w historii Polski, domaga się historycznej pamięci. Trzeba tu jednak jeszcze przypomnieć o tych elementach rzeczywistości polskiej po wojnie, których zrozumienie rzadko znajduje wyraz w opiniach o stosunku polskiego społeczeństwa do Żydów już w tym okresie. Nie miało to społeczeństwo możliwości stworzenia zróżnicowanych ośrodków kształtowania opinii publicznej, nie doszły do głosu, bo dojść nie mogły w systemie narzuconej unifikacji poglądów, autentycznie demokratycznie i humanitarne nurty antyszowinistyczne, antyksenofobiczne, nawiązujące choćby do dawnej, ale mocno tkwiącej w tradycji idei Rzeczypospolitej wielu narodów. Odpadnięcie od Polski terenów wielonarodowych, ogłoszenie „idei” państwa jednolitego etnicznie jako szczęśliwego punktu dojścia i warunku dalszego rozwoju - aby już nie wspominać o innych konfliktogennych zjawiskach i działaniach - przyczyniło się w jakimś stopniu do zatarcia nastrojów, które w ostatnim okresie wojny i tuż po wojnie nacechowane były przed wszystkim przerażeniem wobec faktu zagłady i ludzkim współczuciem dla jej ofiar. Tylko w warunkach wolnego życia publicznego i swobodnej konfrontacji poglądów można owocnie działać na rzecz wychowania ludzi wolnych od uprzedzeń i odrzucających stereotypy w ocenie „innych” i siebie.

Mimo tych niesprzyjających warunków wzrosła znacznie w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu liczba Polaków zainteresowanych poważnie historią społeczności żydowskiej w Polsce, religią, obyczajem, kulturą Żydów, których już nie ma. Rozwijają się zainteresowanie tym, co Żydzi w ciągu stuleci wytworzyli w kręgu własnej kultury i sztuki, i tym, co wnieśli w różnych dziedzinach kultury kraju, w którym żyli wspólnie z Polakami czy obok Polaków, ale który przez wiele generacji był ich miejscem na ziemi.

Dziwnym i psychologicznie przekornym zrzędzeniem losu lata 1967-1968, które miały być w PRLu czasem rozprawy z Żydami, organizowanej przez ówczesną władzę, przyniosły wśród Polaków znaczny wzrost zainteresowania Izraelem i życzliwości dla mieszkańców tego kraju, przyniosły w nienotowanych poprzednio w nowszej historii Polski rozmiarach przejawy solidarności środowisk intelektualnych i młodzieży akademickiej nie tylko z kolegami i koleżankami, lecz w ogóle z ludźmi dyfamowanymi, szykanowanymi z powodu pochodzenia lub wyznania ich czy też ich rodziców. Dla młodzieży wychowanej po wojnie szokiem stała się kampania wskazująca na ich kolegów i przyjaciół jako na obcych,

innych, wrogich. Ludzie pamiętający wojnę i zagładę Żydów - przynajmniej ci bardziej świadomi - odebrali to jako budzenie upiórów i - mimo że to przecież nie społeczeństwo polskie było autorem nagonki - osobistą hańbę. I w tych kategoriach ocenili nowy, przymusowy eksodus Żydów z Polski. Było oczywiście wielu, którzy w mniejszym lub większym stopniu ulegli manipulacyjnemu chwytowi propagandy. Większość była zdeorientowana i pozostawała na boku - jak wszędzie i zawsze. W kilka zaś lat później z wielkim i szerokim, wcale nie tylko w środowiskach inteligenckich, zainteresowaniem spotykały się wszelkie odczyty i publikacje ludzi godnych zaufania traktujące o historii Żydów w Polsce czy o stosunkach polsko-żydowskich (odbywały się one na niektórych katedrach uniwersyteckich i na „uniwersytecie latającym”). Z poparciem opinii publicznej spotkał się w styczniu 1981 r., w miesiącach pierwszej „Solidarności”, apel 21 osób ze świata nauki i kultury o wyjaśnienie bliższych okoliczności nagonki „antysyjonistycznej” w 1968 r. i naprawienie wyrządzonych krzywd.

Pozytywnie też przyjęty został przez elity kształtującą niezależną opinię publiczną w Polsce apel w sprawie stosunków polskożydowskich, który podpisali trzej wybitni Żydzi polscy: Michał Borwicz, Józef Lichten, Szymon Wiesenthal, i trzej kurierzy Polskiego Państwa Podziemnego: Jan Karski, Jerzy Lerski, Jan Nowak-Jeziorański, ogłoszony we wrześniu 1983 r. w miesięczniku „Kultura” (Paryż, nr 9/432), a następnie w wielu pismach w języku polskim, niemieckim, angielskim i francuskim.

W apelu tym stwierdzono między innymi:

Czas już, by położyć kres temu wzajemnemu antagonizmowi. Wyrządza on szkody obu stronom i jest szczególnie bolesny dla tych Żydów, którzy będąc patriotami polskimi nie zapominają o swym żydowskim pochodzeniu i chcą być wierni swemu dziedzictwu i religii. Nie służą temu celowi ani wzajemne rekryminacje, ani próby roztrząsania, kto w tym tragicznym bilansie ponosi większą winę. Po obu stronach ludzie dobrej woli dążą do nawiązania dialogu i wzajemnego zrozumienia. Szukajmy w tym dialogu tego, co dziś łączyć powinno Polaków i Żydów<sup>1</sup>.

Możliwości obiektywnego zajmowania się badawczo i publikacyjnie problematyką stosunków polsko-żydowskich w latach 1939-1945 w kraju i w świecie - bo przecież nie tylko w warunkach okupacji, ale także w warunkach uchodźstwa wojennego na przykład w Wielkiej Brytanii czy na Bliskim Wschodzie, nie mówiąc już o środowisku deportowanych Polaków i Żydów w ZSRR - praktycznie nie istniały do 1989 r. Dopuszczalne było cząstkowe zajmowanie się problemami terroru hitlerowskiego i eksterminacji Żydów i Polaków w niektórych częściach Polski pod władzą III Rzeszy, z wyłączeniem dawnych

województw Rzeczypospolitej położonych na wschód od Bugu i Sanu. Do godnych uwagi publikacji dokumentacyjnych pierwszego dwudziestolecia powojennego zaliczyć można pracę *Eksterminacja Żydów na ziemiach polskich w okresie okupacji hitlerowskiej. Zbiór dokumentów* (pod red. T. Berenstein, A. Eisenbacha i A. Rutkowskiego - Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 1957). Udostępnia ona sto osiemdziesiąt siedem dokumentów. W opartej o tę pracę dokumentacji wydanej w NRD uzupełniono polską edycję bogatym materiałem ilustracyjnym (*Faschismus - Getto - Massenmord*, Berlin 1960). W zimie 1966/1967 r. udało się wydać w Krakowie tom relacji pt. *Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945* w opracowaniu Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny. Dopiero jednak w kolejnym, rozszerzonym wydaniu tej książki w 1969 r. stało się możliwe dodanie stu wybranych dokumentów. Udostępniono je także w angielskim wydaniu książki *Righteous among Nations. How Poles helped the Jewish 1939-1945*, London 1969.

Staraniem Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie ukazało się w 1981 r. angloamerykańskie wydanie *Documents on the Holocaust. Selected Sources on the Destruction of the Jews of Germany and Austria, Poland, and the Soviet Union*. Sto osiemdziesiąt dziewięć dokumentów dotyczących terytorium Polski zaprezentował tu wybitny izraelski uczyony rodem z Warszawy, prof. Israel Gutman. W przygotowanej też pod jego opieką naukową amerykańskiej encyklopedii Holocaustu (*Encyclopedia of the Holocaust*, t. IIV, New York - London 1990) dziesiątki haseł dotyczy stosunków polsko-żydowskich w latach 1939-1945; są wśród nich także hasła monograficzne, zarówno dotyczące miejscowości, jak i instytucji, organizacji i osób w Polsce, w tym Rady Pomocy Żydom „Żegota”.

Stan badań nad problematyką drugiej wojny światowej w ostatnich dziesięcioleciach oraz znaczne już dziś zasoby archiwalne w Polsce i świecie pozwoliłyby na przedstawienie wielotomowego wyboru dokumentów źródłowych na temat stosunków polsko-żydowskich w latach 1939-1945. Taka dokumentacja jednak nie została dotychczas (jesień 2004 r.) wydana. Pewien wyjątek stanowi jednotomowe wydawnictwo zbiorowe (w jęz. polskim, angielskim i niemieckim) *Polacy i Żydzi 1939-1945. Wybór źródeł* w oprac. A.K. Kunerta, Warszawa 2001.

1 Po kilku tygodniach do tego apelu przyłączył się Władysław Bartoszewski, jako młodszy kolega podpisanych pod nim akowców zamieszkały w kraju (vide „Kultura”, Paryż nr 10/433 z października 1983 r.).

## **O Towarzystwie Kursów Naukowych**

Tekst rozmowy przeprowadzonej przez Marka Nowaka z Władysławem Batoszewskim w marcu 1984 w Ann Arbor [Michigan, USA], ogłoszony w języku angielskim w biuletynie Studium Spraw Polskich „Studium Papers” 1984, nr 3, ukazał się po raz pierwszy w języku polskim w tomie *Na drodze do niepodległości* („Spotkania”, Paryż 1987).

*Panie profesorze, Towarzystwo Kursów Naukowych powstało w styczniu 1978. Pan był jednym z założycieli. Czy mógłby Pan nam przedstawić z czyjej inicjatywy i w jakich okolicznościach powstało TKN?*

Pierwszym etapem tworzenia TKNu była inicjatywa uruchomienia serii wykładów, jeszcze bez żadnej nazwy, jeszcze bez sformalizowania organizacyjnego. Już w początku roku akademickiego 1977/1978, mniej więcej w listopadzie, rozpoczęto w prywatnych mieszkaniach w Warszawie cykle wykładów na temat historii politycznej, historii gospodarczej, historii ideologii w Polsce w czasach najnowszych, na temat polskiej myśli politycznej, na tematy związane z tradycją kulturalną, z tradycją społeczną polskiego społeczeństwa - zarówno z punktu widzenia literaturoznawców, jak historyków, socjologów, ekonomistów. Seria ta rozpoczęła się podczas mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych, w listopadzie i na początku grudnia 1977. W związku z tym nie mogłem uczestniczyć w początkowej fazie powstawania TKNu. Najpierw uruchomiono cykle wykładów: Tadeusza Kowalika - ekonomisty, Adama Michnika - młodego historyka, Bohdana Cywińskiego - historyka, socjologa i literaturoznawcy, Tomasza Burka - literaturoznawcy, polonisty i Andrzeja Tyszki, socjologa. Nazwano to potocznie, choć nieformalnie, „uniwersytetem latającym” w nawiązaniu do tradycji warszawskich prób samokształcenia i oświaty tajnej przed pierwszą wojną światową. Rosja carska w tym okresie nie zezwalała na nauczanie polskiej historii i literatury ani na żadne inne przedmioty związane z polską tradycją kulturową, narodową i społeczną. Określenie „uniwersytet latający” nawiązuje do konieczności ciągłego przenoszenia spotkań z jednego lokalu do drugiego, tak aby zmylić carskich agentów. Wśród inicjatorów wykładów byli ludzie niezwiązani z TKNem - naukowcy i intelektualiści, głównie z Warszawy, z najrozmaitszych środowisk ideologicznych, ludzie określający samych siebie jako socjaliści, choć nie członkowie żadnej partii lewicowej, byli katolicy, nawet działacze katolicki - no, choćby Cywiński był przecież przez kilka lat redaktorem miesięcznika katolickiego „Znak”, pisma ściśle związanego z arcybiskupem Krakowa, kardynałem Wojtyłą, który był również jednym z drukowanych tam autorów. Byli też ludzie o przeszłości zdecydowanie marksistowskiej, jak choćby Tadeusz Kowalik - ekonomista. Wreszcie ludzie różni pokoleniowo - koło trzydziestki i koło

pięćdziesiątki. Łączyło ich poczucie konieczności pewnych działań. Tak można by przedstawić początek. Na część pytania dotyczącą okoliczności można odpowiedzieć wąsko lub szeroko. Okoliczności historyczne w tym czasie to było całe tło wydarzeń w Polsce. Nie wolno zapominać, że ruch demokracji, liberalizacji, dążenie do poszerzania swobód wyraźnie wystąpiły w Polsce, począwszy od roku 1975. I tu bym pozwolił sobie zwrócić uwagę na bardzo w Polsce dyskutowane i bynajmniej niejednoznacznie przyjmowane postanowienia Konferencji w Helsinkach, na deklarację końcową. Jak wiadomo, wielu Polaków, chyba większość myślących Polaków, reprezentowała wtedy pogląd, że w Helsinkach przepięczętowano podział Europy i *status quo*.

Z drugiej strony w kołach intelektualnych w Polsce zrodziła się wtedy myśl, że należy - stojąc na gruncie faktów uznanych międzynarodowo - twardo domagać się ich uczciwej wykładni. To znaczy, jeżeli w ramach tak zwanego „trzeciego koszyka” - to znaczy postanowień dotyczących swobód ludzkich, praw człowieka - jeżeli w oparciu o te postanowienia można rozszerzyć zakres swobód, to należy bardzo konsekwentnie i spokojnie, metodami wolnymi od gwałtu, metodami nacisku społecznego, do tego dążyć. Jednym z tych dążeń było poszerzenie swobody wypowiedzi, ograniczenie działania arbitralnej cenzury, tworzenia i wydawania dzieł literackich i naukowych; dalszym - wolność, niezależność człowieka, swoboda wyznania, posiadania różnych poglądów, jak również swoboda poruszania się, na przykład wyjeżdżania za granicę.

Te postanowienia helsińskie rzadko kiedy dzisiaj są wiązane, szczególnie w świadomości Polaków za granicą, z rozwojem tego, co się ogólnie nazywa tendencjami opozycyjnymi czy ruchem opozycyjnym w Polsce. A miały one bardzo wielkie znaczenie. To nieprzypadkowo w końcu 1975 roku, w kilka miesięcy po konferencji w Helsinkach, ogłoszono jeden z pierwszych w Polsce protestów - list 59. Nieprzypadkowo też w zimie przełomu lat 1975 i 1976 ogłoszono szereg listów otwartych do władz państwowych PRLu, w tym do rządu, do Rady Państwa, także do sejmu, z protestami przeciwko zamierzonym zmianom w Konstytucji, które miały ściślej powiązać system państwowy z doktryną partii komunistycznej, Polską Rzeczpospolitą Ludową z blokiem sowieckim. I choćby nawet to miały tylko być werbalne zmiany, ludzie sprzymierzyli się i zaczęli próbować oporu przeciwko wprowadzaniu odgórnie, arbitralnie, bez liczenia się ze społeczeństwem jakichkolwiek zmian politycznych, opierając się na prawach, które były zagwarantowane i uznane podpisem rządu PRLu w Helsinkach. I to jest jedna z okoliczności, w których powstało Towarzystwo Kursów Naukowych.

Drugą okolicznością był już istniejący w końcu roku 1977 i realnie działający ruch

samopomocy i protestu. Pierwszym jego ogniwem był Komitet Obrony Robotników, powstały dla okazania solidarności społecznej z prześladowanymi pracownikami z Ursusa, Radomia i innych zakładów pracy po wydarzeniach czerwcowych 1976 roku. Dalszym ogniwem były towarzyszące Komitetowi Obrony Robotników różne działania grup studenckich, inteligenckich i robotniczych w kilku ośrodkach Polski. W kilka miesięcy później powstała organizacja Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, ROPCiO. Już równoległe z KORem działało w Lublinie środowisko młodej inteligencji katolickiej, używającej nazwy „Spotkania” dla swojej działalności i dla czasopisma, które zaczęło wydawać. Sama nazwa miała wskazać na zamierzenie spotkania się, dialogu ludzi - oczywiście różnych, bo nie potrzeba dialogu, jeśli się myśli identycznie - spotkania ludzi, którym są drogie pewne wspólne cele, ale którzy widzą różne środki realizacji, różne drogi do tego wspólnego celu. Miała nim być pełnia praw człowieka w wolnym kraju. A we wcześniejszych etapach poszerzania swobód w granicach istniejących możliwości.

Obok „Spotkań”, KORu, ROPCiO, czy też poniekąd wspólnie z tymi formacjami, grupami, rozwijał się w latach 1976 i 1977 niezależny ruch wydawniczy. Nawet nie nazywam go tajnym, tylko niezależnym, ponieważ trudno mówić o tajności, jeżeli wiele z tych publikacji było podpisanych nazwiskami autorów (choć nie wszystkie) oraz firmowanych przez instytucje, które wprawdzie nie podawały swojego adresu, ale o których było wiadomo powszechnie, a szczególnie było wiadomo policji, z kim są związane i gdzie ci ludzie przebywają. To były okoliczności, które poprzedziły powstanie ruchu oświatowego w formie zorganizowanej. Bez wymienienia tych okoliczności nie byłoby może zrozumiałe, jak mogło nagle dojść do tego, że rozpoczęto w wielu mieszkaniach kilkanaście różnych cykli wykładowych - najpierw w Warszawie, a potem w innych miastach - i że miały one swoich wykładowców i słuchaczy.

*Jakie były cele TKNu? Czy chodziło o to, by zapobiec skutkom zniekształcenia i ograniczenia programów nauczania ze względów politycznych i ideologicznych, czy też celem TKNu było przeciwdziałanie ogólnoświatowej tendencji zawężania studiów ścisłą specjalizacją?*

W szczególności chodziło jednak o to, ażeby naprawić błędy programów szkolnych i również uniwersyteckich w zakresie kształtowania światopoglądu, to znaczy, aby wypełnić lukę, braki, które wynikały z pomijania w zakresie nauki historii pewnych faktów z wiedzy historycznej i pewnych elementów tradycji historycznej, a przy nauczaniu literatury nazwisk i dzieł, na przykład powstałych poza PRLem, wśród Polaków żyjących w świecie. Istniała również w zakresie filozofii, socjologii, ekonomii potrzeba dopełniania wiedzy o tym, co się

dzieje w nauce światowej, jak również o tym, jak za pomocą tych dyscyplin, uprawianych niezależnie, można objaśnić współczesną rzeczywistość. I choć oczywiście i w Polsce występują, choć może w mniejszym stopniu niż na Zachodzie, tendencje do bardzo wysokiego traktowania specjalizacji, to jednak sam ten fakt nie uzasadniałby tworzenia z takim nakładem trudności i ryzyka serii wykładów „uniwersytetu latającego”.

Główną przyczyną powołania TKNu było zatem wypełnienie luki, która powstała w wyniku traktowania przez system polityczny panujący w bloku wschodnim, w Europie Wschodniej, nauk społecznych, nauk humanistycznych, a w szczególności wszystkiego tego, co miało kształtować osobowość, duchowość, poglądy ludzi. Przykładami tego w Polsce była deformacja wiedzy o polskiej historii w okresie walk o niepodległość 1914-1918 i walk o ukształtowanie granic państwa polskiego. Jak bowiem wiadomo punkt o odbudowie państwa polskiego z dostępem do morza - sformułowany przez Wilsona jako jeden z celów pierwszej wojny światowej - nie określał szczegółowo ani granic, ani szeregu elementów bytu tego państwa; i to państwo polskie powstające z niebytu stanęło od razu wobec problemu walki o ustalenie swoich granic i wobec konieczności obrony przed ogromną przewagą sił Rosji Sowieckiej, która w dążeniu do zdobycia i zrewolucjonizowania Europy dotarła aż nad Wisłę. Bitwa warszawska, nazwana przez Lorda d'Abernona osiemnastą decydującą bitwą w dziejach świata, doprowadziła do zatrzymania w sierpniu 1920 r. nad Wisłą armii, która - gdyby poszła dalej - doprowadziłaby do rewolucji w Niemczech, może i w innych krajach, i może już wtedy powstałaby w Europie sytuacja taka, jaka wytworzona została w 1945 roku w części Europy. Ówczesna postawa Polaków, ochotników, studentów, uczniów, chłopów, robotników - przy Rządzie Jedności Narodowej ludowca Wincentego Witosa, pod wojskowym dowództwem Józefa Piłsudskiego, była wyrazem jedności, może do roku 1939 ostatniej takiej jedności całego narodu polskiego w obronie niepodległości ojczyzny, ale i w interesie wolności Europy. Ta sprawa w podręcznikach polskich szkół średnich, a tym bardziej podstawowych, była całkowicie zakłamaną albo pomijaną. Następnie historia czy prehistoria drugiej wojny światowej, układ Hitlera ze Stalinem, w wyniku którego nastąpił podział Europy Środkowowschodniej, zabór państw bałtyckich, połowy Polski i wpływy sowieckie na Bałkanach - to wszystko jest w nauce w Polsce zdeformowane albo pomijane. Cierpienia narodów Europy wschodniej, w tym milionów obywateli polskich - Polaków, ale także Żydów i Ukraińców, wywożonych masowo w głąb Rosji, na Syberię lub do Kazachstanu, męczeństwo 14,5 tysiąca oficerów polskich, czego tragicznym unaocznieniem stał się Katyń - to wszystko były fakty nieznanne ze szkoły całemu pokoleniu, co więcej, otaczane groźnym milczeniem.

I na tle zagwarantowania praw człowieka, prawa do oświaty, do wiedzy, do przepływu informacji, spróbowano stworzyć ludziom, którzy chcieli uzupełnić informacje i poszerzyć wiadomości, możliwość skorzystania z tego prawa. I cele TKNu - nieograniczające się bynajmniej tylko do historii - były właśnie takie. A było co uzupełniać. W zakresie literatury przecież nawet tacy pisarze polscy jak Miłosz czy Gombrowicz byli - na dobrą sprawę, społeczeństwu polskiemu młodszej generacji prawie nieznani, najwyżej z nazwisk, ale nie ze swoich dzieł. W ekonomii światowej w filozofii światowej działo się wiele rzeczy, które już w ciągu kilkudziesięciu lat zmieniły oblicze tych nauk. A w Polsce w oficjalnej wykładni trzymano się doktryny marksistowskiej, obowiązywała ona na uczelniach - nawet jeśli niektórzy profesorowie już od niej odchodzili. Tylko Katolicki Uniwersytet Lubelski - jedyna prywatna uczelnia w całym bloku komunistycznym - zachował odrębność. Następnie, dla kształtowania światopoglądu ludzi, a także ich kultury społeczno-politycznej, bardzo ważną rzeczą jest wiedza z zakresu historii idei: co to jest liberalizm, demokracja, co to jest parlamentaryzm, jakie były tradycje poszczególnych nurtów myślowych w wieku XIX, kiedy tworzyły się nowoczesne państwa w Europie. W szkołach polskich można było dowiedzieć się o tym bardzo mało, często też wiadomości docierały do młodych ludzi w sfałszowanej formie. Chciano i w tej dziedzinie uzupełnić wiedzę. Takie były bardzo liczne powody utworzenia TKNu.

*Jaką Pan spełniał rolę przy założeniu TKNu?*

Jak wspominałem, początki wykładów sięgają listopada 1977 roku i wtedy po prostu nie było mnie w Polsce. Dopiero z prasy w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii dowiedziałem się, że coś takiego dzieje się w Warszawie. Ale przed Bożym Narodzeniem 1977 r. wróciłem i po przerwie świątecznej zwrócili się do mnie koledzy z Instytutów Polskiej Akademii Nauk i z Uniwersytetu Warszawskiego z propozycją przyłączenia się do grona osób, które miały publicznie wystąpić, podpisując nazwiskami rodzaj deklaracji założycielskiej, z inicjatywą założenia Towarzystwa Kursów Naukowych. Czyli Towarzystwo Kursów Naukowych było jak gdyby już wyższym stopniem tych działań oświatowych rozpoczętych dwa miesiące przedtem. Mianowicie miało ono nie tylko organizować wykłady, miało się zająć także sprawą opieki indywidualnej i stypendialnej dla pewnych osób, podejmujących prace naukowe nad tematyką niepopularną czy źle widzianą przez państwo. Miało wreszcie pomagać ludziom, którzy narazili się czymś i byli źle widziani jako studenci lub młodszy naukowcy. Miało starać się nawet o możliwość zagranicznych kontaktów naukowych czy stypendiów, albo też dostęp do książek potrzebnych dla pewnego typu badań. Miało wreszcie podjąć działalność wydawniczą, to znaczy zająć się



przygotowaniem, redagowaniem skryptów, które by rozszerzały dostęp do tematyki wykładów organizowanych przez TKN - z natury rzeczy w ograniczonym zasięgu - dla setek czy tysięcy ludzi również z mniejszych ośrodków, umożliwiając im podjęcie samokształcenia.

Tak więc - cele TKNu były szersze i dalsze niż cele pierwotnych kursów w mieszkaniach prywatnych. Moja rola w TKNie zaczęła się od złożenia podpisu na zbiorowej deklaracji oznajmiającej o utworzeniu Towarzystwa. Podpisało ją 58 osób, po czym rozesłano ją do prasy oficjalnej, która oczywiście jej nie wydrukowała. Rozesłano również do prasy niezależnej, rozwieszono na uczelniach. Wśród sygnatariuszy deklaracji założycielskiej byli również matematycy, fizycy i astronomowie, ludzie specjalności, w których nie zachodziła potrzeba uzupełniania wiedzy drogą prywatnych wykładów. Nie były to specjalności w rozumieniu państwa komunistycznego „polityczne” - choć rozumienie to jest bardzo dyskusyjne: co mianowicie jest polityczne? Ale jednak ci ludzie - matematycy, fizycy, biologowie, lekarze i inni - podpisali deklarację, używając swoich znanych i szanowanych nazwisk dla tej idei i dla okazania solidarności z kolegami. Wobec tego wytworzyły się jakby dwie grupy: grupa sygnatariuszy deklaracji, którzy ją ogłosili, podejmując pewnego typu współodpowiedzialność moralnospołeczną za tę inicjatywę i grupa czynnych wykładowców.

Swoją rolę widzę, niezależnie od podpisania deklaracji, czyli przyjęcia udziału w całości zadań Towarzystwa, głównie w prowadzeniu wykładów. Byłem jednym z kilkunastu wykładowców, którzy od początku, to jest od pierwszych tygodni 1978 r., aż do końca (to jest do końca 1979 r.) prowadzili bez przerwy swoje serie wykładów. Zajmowałem się historią polityczną Polski w latach 1939-1945, to jest od układu Ribbentrop-Mołotow do układu poczdamskiego. Ten okres historii zawierał w oficjalnym nauczaniu bodaj najwięcej białych plam.

Równocześnie prowadzone były przez socjologów, filozofów, literaturoznawców, ekonomistów, także innych historyków wykłady na wiele innych tematów. Dotyczyły one problemów wychowania, najnowszej, czyli współczesnej, historii Polski. Nawet tak specjalne sprawy, jak sztuka filmowa, były przedmiotem krytycznej analizy specjalistów.

*Czy poza wykładami z historii politycznej Polski miał Pan jakieś inne obowiązki w TKNie?*

Obowiązków nie miałem, ale uczestniczyłem, tak jak wszyscy członkowie-sygnatariusze deklaracji TKNu, dość regularnie w plenarnych zebraniach założycieli Towarzystwa. Z czasem przybyło ich tylu, że były to stosunkowo liczne zgromadzenia. Dyskutowano problemy organizacyjne, programowe (przedstawiała je również rada programowa TKNu, bo takie węższe ciało istniało także), ogólne problemy społeczne i

kulturowe, i niejednokrotnie wyłaniały się wtedy konkretne zadania dla pewnych osób. Tak np. w roku 1979 opracowano w obrębie takiego właśnie zebrania plenarnego obszerny list (10-12 stron) do nauczycieli i wychowawców. Był to rok akademicki 1979/1980. Ten dokument zwracał uwagę nauczycielom i wychowawcom na ich obowiązki niezbywalne, których nie mogą odrzucić, skoro są nauczycielami. Chodziło przede wszystkim o nauczycielstwo szkół średnich, które znajdowało się pod dużym naciskiem czynników partyjnoadministracyjnych, o danie im jakiejś podbudowy. List charakteryzował sytuację oświaty i nauki polskiej, zadania wychowawcze, formy przeciwdziałania złu. Sformułowano tam szereg bardzo ważnych zaleceń ideowo-programowych. Ogólne zebranie Towarzystwa Kursów Naukowych upoważniło do zredagowania ostatecznego tekstu i podpisania tego dokumentu mniejsze grono ludzi. Miałem zaszczyt być członkiem tego grona, w którym obok mnie uczestniczyli ludzie bardzo zresztą różnych poglądów - Władysław Bienkowski, Marian Brandys, Stanisław Hartman, Władysław Kunicki-Goldfinnger, Marian Małowist, Tadeusz Mazowiecki, Jan Józef Szczepański, Jacek Woźniakowski. Nasza grupa podpisała list w imieniu TKNu.

*Czy zdaniem pana w perspektywie historycznej działalność TKNu przypomina działalność „latającego uniwersytetu” w latach osiemdziesiątych idzieściędziesiątych XIX w. czy też działalność tajnych uniwersytetów z czasów okupacji hitlerowskiej? Czy też może Wolną Wszechnicę Polską?*

Tutaj bym zdecydowanie stwierdził, że nie należy porównywać - choć to nieraz robiono - działalności Towarzystwa Kursów Naukowych z działalnością tajnego uniwersytetu czy w ogóle tajnych uniwersytetów w różnych miastach Polski w okresie okupacji niemieckiej. Nie należy z różnych względów. Nawet ze względów historycznych i moralnych. Osiągnięcia tajnych uniwersytetów w okresie drugiej wojny światowej były bardzo poważne, ale uczestnictwo w tych pracach groziło uczestnikom - studentom, wykładowcom - zesłaniem do obozu koncentracyjnego, torturami na gestapo czy śmiercią. Ja uważam, jako wykładowca TKNu, że to byłoby do pewnego stopnia podszywaniem się pod dużo większe ryzyko i pod dużo trudniejsze czasy. Pod nieporównywalne czasy. Ostatecznie nikomu w Polsce komunistycznej, przy wszystkich ograniczeniach wolności, nie groziły tortury i śmierć za sam fakt pójścia na wykład, pewne przykrości tak, ale nie tak daleko idące konsekwencje, a to jest różnica.

Z samego szacunku dla ludzkiej tragedii i cierpienia, które pociągało za sobą uczestnictwo w tajnym nauczaniu za okupacji niemieckiej, nie wolno przyrównywać do siebie obu sytuacji. Następnie, w tajnym nauczaniu uniwersyteckim w okresie okupacji niemieckiej uczestniczyli

tylko ludzie mający maturę, czyli ci, którzy ukończyli szkołę średnią i którzy zostali dopuszczeni do studiów uniwersyteckich. Był to więc system „zamknięty” i ograniczony, ze specjalnością w określonej dziedzinie, jakkolwiek byli tacy, którzy studiowali parę fakultetów.

Towarzystwo Kursów Naukowych było otwarte, to znaczy mógł przychodzić na wykłady student, absolwent lub uczeń liceum, gospodyni domowa, ktoś innego w ogóle zawodu niż kierunek danego wykładu, każdy, tak jak można przyjść na odczyt publiczny w wolnym świecie i słuchać, niezależnie od swojego wykształcenia czy przygotowania, można zadawać pytania, można spodziewać się wyjaśnienia problemu w obrębie tematu, nawet jeśli nie ma się intelektualnego przygotowania. Była to więc demokratyczna i współczesna forma oświaty publicznej, dużo bardziej przypominająca, tak jak alternatywnie w pytaniu zostało sformułowane, właśnie działalność Wolnej Wszechnicy Polskiej w Polsce międzywojennej, gdzie warunkowo przyjmowano również ludzi po niepełnej szkole średniej, mających kilka klas gimnazjum. I tylko w wypadku, kiedy zależało im na otrzymaniu stopnia naukowego, po zdaniu odpowiednich egzaminów, musieli przedstawić świadectwo ukończenia szkoły średniej - mimo iż nie stanowiło to warunku przyjęcia na studia. TKN przypomina też ze względu na formy działalności „latający uniwersytet” przełomu stulecia w zaborze rosyjskim. Był on też otwarty, tematyką wykładów objęte były przede wszystkim problemy społeczne, filozoficzne, polityczne, historyczne, których brakowało w szkolnictwie dopuszczonym jawnie, choć - ze względu na specyfikę epoki i skład studiujących - nie brakowało także zajęć z zakresu nauk przyrodniczych. Groziły oczywiście uczestnikom i organizatorom tych kursów represje, ale przecież było to nieporównywalne z praktyką okupanta hitlerowskiego. Czyli - w perspektywie historycznej - opowiadam się jednoznacznie za porównaniem Towarzystwa Kursów Naukowych naszych czasów do działań sprzed pierwszej wojny światowej, a nie do działań w okresie drugiej wojny światowej.

*W jaki sposób rekrutowano wykładowców i czy byli narażeni na represje ze strony władz PRLu?*

Rekrutacja wykładowców odbywała się w sposób, powiedziałbym, towarzysko-nieformalny. Organizacyjne sprawy miał w swoich rękach młody socjolog Andrzej Celiński. Był to asystent socjologii, niespełna trzydziestoletni wtedy, młody człowiek, usunięty z Uniwersytetu Warszawskiego. Jego energii należało zawdzięczać zorganizowanie pierwszych wykładów i systematyczne ich kontynuowanie. Z biegiem czasu koledzy wykładowców, profesorowie, docenci, czasem literaci zgłaszali się z gotowością wygłoszenia wykładów na wybrany przez siebie lub podsunęty temat. Szczególnym

problemem było podejmowanie wykładów połączone z wyjazdami z Warszawy, nie tylko do pobliskiej Łodzi, ale do odleglejszego Wrocławia, Poznania czy Krakowa. Starano się znaleźć, i znajdowano, wykładowców na miejscu, ale wielu słuchaczy spodziewało się wykładów osób znanych jako autorytety w danej dziedzinie.

Czy wykładowcy byli narażeni na represje? Byli narażeni. Represje te były różnorodne, czasami bardzo dotkliwe. Były one stopniowane. Trzeba powiedzieć, że ludzie młodzi wiekiem albo mający szczególnie złą opinię polityczną czy też, choć brzmi to dziwnie, szczególnie znienawidzeni przez policję polityczną ponosili większe konsekwencje. W przypadku wykładów Adama Michnika czy Jacka Kuronia dochodziło parokrotnie do awantur połączonych z rękoczynami. W mieszkaniu Kuronia doprowadziło to nawet do ciężkiego pobicia paru osób, w tym do wstrząsu mózgu u jego syna, chyba wtedy jeszcze ucznia czy studenta pierwszego roku, młodego chłopca. W innych wypadkach nie obywało się bez obelg, szturchańców, czasami pobicia, spisywania personaliów, wzywania przez milicję czy Służby Bezpieczeństwa do stawienia się na komisariacie, dochodziło do rewizji domowych, niepokojenia na ulicy, szykanowania rodzin, usuwania ludzi z pracy, grożenia. W wypadku profesorów, docentów represje te były mniej widoczne, sprowadzały się na przykład do zatrzymania w drodze na wykład, odprowadzenia do komisariatu, przetrzymywania po kilkanaście godzin, niekiedy zatrzymywania w aresztach policyjnych, nawet i na noc, ludzi, którzy jechali do innego miasta, ażeby w ten sposób uniemożliwić im wygłoszenie wykładu. Były też i inne formy, mianowicie represjonowanie osób, które dostarczały lokali na wykłady. To byli różni ludzie. Czasami były to wdowy, czasami byli to emeryci, czasami była to młodzież, czasami rodziny studiujących. Te represje sprowadzały się zazwyczaj do tak zwanego postępowania przyspieszonego, to znaczy przed kolegiami do spraw wykroczeń. Kolegia dotychczas zajmowały się karaniem chuliganów zakłócających porządek publiczny lub winnych takich wykroczeń, jak na przykład pobicie kogoś na ulicy. Tym, którzy udostępniali swoje mieszkania na wykłady, groziły podobne kary: grzywny, czasami aresztowanie. Kary grzywny sięgały do 5 tysięcy złotych, co w owym czasie było równowartością miesięcznej pensji pracownika z wykształceniem średnim, a nawet wyższym. Czyli były to dość poważne kary. Jeśli chodzi o ukaranie formalne, a nie szykany - to miałem honor być jedynym ukaranym formalnie wykładowcą TKNu. Mianowicie w 1979 r. stanąłem przed kolegium do spraw wykroczeń w dzielnicy Mokotów w Warszawie i zostałem skazany na grzywnę 5 tysięcy złotych za wygłoszenie wykładu o polskim państwie podziemnym w latach drugiej wojny światowej. Domagałem się wtedy zamiany tej grzywny na areszt, ale mój wniosek odrzucono. W przypadku pomocników, ludzi młodszych, takie represje były

dużo częstsze i po kilku miesiącach działania TKNu stały się notoryczne, to znaczy właściwie nie było tygodnia bez jakichś represji wobec kogoś.

*Czy mógłby pan przedstawić dokładniej rodzaje wykładów, seminariów, na przykład tematy i ilość zajęć?*

Ponieważ nie mam przy sobie dokumentacji, mogę operować tylko pamięcią i przykładami. Nie jestem w stanie przedstawić pełnego wykazu wykładów. Sądzę, że prędzej czy później wydana zostanie książka o działalności Towarzystwa Kursów Naukowych, zapowiadana przez wydawnictwo „Aneks” w Londynie. Myślę, że znajdzie się tam wykaz wykładów i seminariów, jak również wybór tekstów wykładów i dane organizacyjne. Nie dysponując takimi materiałami, mogę powiedzieć o tym, co pamiętam. Otóż w pierwszym roku akademickim działalności, w ciągu kilku pierwszych miesięcy (praktycznie od listopada 1977, od lutego już wykłady pod firmą TKN - do maja 1978) było 120 wykładów. Niektóre wykłady były jednorazowe, ale prowadzono też 13 cykli tematycznych. W sumie zanotowano na tych wykładach tysiąc kilkuset słuchaczy. Nie było żadnych kart wstępu, nie rejestrowano, oceniano na oko, ilu jest słuchaczy. Nie pytano również nikogo o nazwisko. Sam mówiłem do ludzi, których nazwisk nie znałem. Niekiedy do dziś spotykam słuchaczy, którzy mi przypominają, że byli na moich wykładach, a których ja oczywiście nie pamiętam.

Jeśli chodzi o to, jakie wykłady były prowadzone, to w poprzednich odpowiedziach podałem ogólny zarys tematów. W pierwszych dwóch semestrach, to znaczy w roku akademickim 1977/1978, wykładano: Adam Michnik - *Z dziejów Polski Ludowej*, Tadeusz Kowalik - *Z historii gospodarczej i z historii myśli ekonomicznej Polski współczesnej*, Jerzy Jedlicki - *O współczesnych ideologiach politycznych*, Jan Strzelecki - *Przegląd wielkich dyskusji trzydziestolecia powojennego*, Bohdan Cywiński - *Sprawa polska w myśli politycznej i mentalności społecznej epoki zaborów*, Tomasz Burek *Literatura jako wyraz świadomości społecznej* (jest to szczególnie znamienne, jako że Tomasz Burek, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich, jest synem Wincentego Burka, przedwojennego radykalnego pisarza chłopskiego), Andrzej Tyszka - *Tradycje i realizacje kultury socjalistycznej*. *Společne problémy wychowania* przedstawiał Adam Stanowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; Irena Nowakowa (socjolog) prowadziła wykłady na temat *Scentralizowana struktura władzy a życie społeczne*, Stefan Amsterdamski (filozof nauki) - *Společne problémy nauki*, Andrzej Werner (krytyk literacki i artystyczny) - *Ideowe oblicze polskiego kina*, Jacek Kuroń - *Společzeństwo a wychowanie*, Wiktor Woroszyński (rusycysta, sławista) - *Wybrane zjawiska i problemy nowej literatury rosyjskiej* i wreszcie, jak wspomniałem, ja zajmowałem się nowszą czy najnowszą historią polityczną Polski.

Były także prowadzone seminaria dla grupy niewielu osób czy kilkunastu stałych słuchaczy, na poziomie już na ogół wymagającym kilku lat studiów uniwersyteckich; przeważnie w zakresie historii myśli politycznej, dziejów ideologii, filozofii, socjologii. Te zajęcia miały też poważne znaczenie.

*Czy wykłady poruszały takie sprawy, jak historia stosunków polsko-ukraińskich, polsko-litewskich, polsko-białoruskich? Czy są to sprawy nadal aktualne w kręgu opozycji i w świadomości społeczeństwa polskiego?*

Te sprawy są niewątpliwie aktualne w ambitniejszych środowiskach opozycyjnych. Mam na myśli ludzi głównie zainteresowanych problematyką przeszłości i przyszłości, a nie tylko akcją bieżącą. Dotyczy to nie tylko intelektualistów, również wśród młodych robotników istnieje zainteresowanie tą problematyką, znaki zapytania, świadomość luk w wiedzy - szczególnie wśród ludzi, którzy przez więzy rodzinne lub miejsce urodzenia wywodzą się z ziem, na których współżyły grupy etniczne: polska i ukraińska czy też białoruska lub też, w mniejszym stopniu - litewska. Pewne problemy, szczególnie ukraińskie, były poruszane w publikacjach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, PPN, jedynej organizacji *sensu stricto* tajnej, to znaczy z nieujawnionymi nazwiskami organizatorów tego wydawnictwa i autorów opracowań programowych, które krążyły w kołach intelektualnych, uniwersyteckich w Polsce w latach 1977- 1980, nawet 1981. Natomiast, o ile mi wiadomo, nie było regularnego cyklu wykładów dotyczących tych właśnie problemów w programie pierwszego okresu, pierwszych trzech, czterech semestrów TKNu, choć pewne problemy wchodziły w obręb innych tematów. Na przykład w *Dziejach Polski Ludowej* były w końcu takie sprawy, jak wysiedlenie z Polski po 1945 r. części i przesiedlenie na Ziemię Odzyskaną drugiej części Ukraińców, były takie sprawy, jak zmiany granicy Polski i związane z tym problemy narodowościowe. Ale osobnego tematu o stosunkach polsko-ukraińskich, litewskich czy białoruskich, o ile mi wiadomo, nie było.

*Pana działalność w czasie wojny w zakresie pomocy Żydom jest powszechnie znana. Do jakiego stopnia stosunki polsko-żydowskie były tematem wykładów i badań w ramach TKNu?*

Były one tematem wykładów w dwóch płaszczyznach. Sam miałem parokrotnie wykłady na temat stosunków polsko-żydowskich w latach 1918 do holocaustu włącznie, więc do końca drugiej wojny światowej. W obu przypadkach zgromadziły one 70 czy 80 osób, co w mieszkaniu prywatnym w Warszawie w polskich warunkach mieszkaniowych jest ogromną liczbą. Były nagrywane, taśmy krążyły. Był nawet zamiar wydania tego w postaci skryptu, ale do tego nie doszło, to znaczy nie zdążyło dojść. Był to jeden z zamiarów, który nie został w

pełni zrealizowany. Ponadto te sprawy poruszane były na wykładach dotyczących dziejów Polski Ludowej - polityka Polski Ludowej w tym zakresie i antagonizmy, doświadczenia zarówno w latach stalinizmu, jak w latach 1967 i 1968, polityka państwowa, nastawienie społeczne. Jeżeli zaś chodzi o zajęcie się tą problematyką jako przedmiotem badań, to niewątpliwie szereg wykładowców TKNu odegrało dużą rolę w przygotowaniu w marcu 1981 roku sesji naukowej poświęconej wydarzeniom marca 1968 r. Sesja ta jednak odbyła się już nie pod auspicjami TKNu - wtedy istniał już i działał Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych oraz NSZZ „Solidarność”.

*Czy słuchacze rekrutowali się ze środowiska inteligencji czy też ze środowiska robotniczego? Ilu słuchaczy uczęszczało na Pana wykłady?*

Podaję już liczby, na jakie szacuję pierwszy rok akademicki. W sumie około 1200 osób uczęszczało na wykłady TKNu w pierwszym roku jego działalności. Frekwencja zależała od tematu i miejsca, gdzie odbywał się wykład. Liczba słuchaczy wahała się od kilkunastu do kilkudziesięciu. Bywało, że dochodziło do stu. Na moje wykłady i na wykłady Adama Michnika - mówię to celowo, dlatego po prostu, że ja zajmowałem się historią Polski do 1945 roku, a Michnik historią Polski Ludowej, czyli po 1945 roku, stanowiło to jak gdyby pewną ciągłość - otóż na te wykłady Michnika i moje przychodziło, jak mnie informował sekretariat TKNu, z każdym miesiącem coraz więcej słuchaczy, tak że musiano je przenosić do większych lokali. Nigdy nie było poniżej 50-60, a nawet bywało przeszło sto osób na jednym wykładzie.

Czy słuchacze rekrutowali się ze środowiska inteligencji czy też ze środowiska robotniczego? Jak już wspominałem, nie było żadnego legitymowania słuchaczy, to znaczy nikt nie opowiadał, kim jest, jak się nazywa. Równie dobrze mógł tam siedzieć student czy robotnik jak też po cywilnemu agent policji politycznej. I na pewno tak bywało. Natomiast myślę, że większość słuchaczy rekrutowała się ze środowiska młodzieży licealnej i uniwersyteckiej. Czy z kolei ta młodzież była z rodzin inteligenckich czy robotniczych, czy chłopskich - to jest bardzo trudno sprawdzalne. Bo jak wiadomo, ktoś, kto chodzi do liceum czy na uniwersytet, uzyskuje status studenta czy ucznia i nikt się już tak bardzo nie interesuje, kim są jego rodzice. Myślę, że nie sposób na to odpowiedzieć. Jeżeli chodzi o jakieś węższe grupy dyskusyjne czy też seminaria, to raczej byli to słuchacze nie ze środowiska robotniczego, tylko uniwersyteckiego, którzy chcieli pogłębić problemy, którymi się już interesowali w obrębie swoich zajęć na uczelni, s. 24-25, 28-30a których tam pogłębić nie mogli.

*Czy TKN organizowało sympozja i czy wydawało zeszyty naukowe, książki?*

Tak, było kilka sympozjów naukowych TKNu, jeszcze przed powstaniem „Solidarności”, potem organizowano je także, chociaż wysiłki ludzi już wtedy rozstrzeliły się, bo prawie wszyscy (jeżeli nie wszyscy) z TKNu byli jakoś zaangażowani w różne działania albo w samej „Solidarności”, albo w związkach twórczych, odradzających się w tym czasie. Coraz mniej było czasu, a może potrzeby działania pod auspicjami TKNu, skoro idea TKNu stała się ideą powszechną. Inicjatywy podjęte przez TKN trafiły do tysięcy ludzi. To tak jakbyśmy poruszyli kamień, który pociągając inne, spowodował lawinę. Idea samokształcenia pociągała coraz większą liczbę ludzi w coraz to nowych miastach i ośrodkach.

W okresie przed powstaniem „Solidarności” odbyły się ważne sympozja. Jedno z głośniejszych i ciekawszych dotyczyło języka propagandy. Było to pierwsze tego rodzaju sympozjum, poświęcone analizie metod manipulowania językiem polskim, tak aby służył on celom pożądanego ukształtowania informacji, świadomości - mentalności wreszcie. W opracowaniu tego tematu uczestniczyli znani polscy językoznawcy, socjologowie i literaturoznawcy. Zagadnienie to zajmuje wielu socjologów i politologów badających problemy bloku wschodniego. Efektem tego sympozjum było wydanie zeszytu problemowego.

Czy TKN wydał zeszyty naukowe, książki? Ukazało się kilkanaście skryptów różnego rodzaju. Nie mogę ich niestety wymienić z pamięci. Pierwszym wykładem TKNu, który ukazał się w Warszawie w formie skryptu, był mój wykład o polskim państwie podziemnym, odbijany następnie wielokrotnie w różnych miastach w Polsce. Również wykład Bohdana Cywińskiego o pewnych problemach życia katolickiego w Polsce przedwojennej. Były pewne wykłady z historii idei, zeszyty z sympozjów. Pewne teksty były już gotowe, ale nie zdążyły się ukazać, a niektóre weszły po prostu już do obiegu wydawnictw niezależnych, niefirmowane przez TKN.

*W jaki sposób drukowano te wydawnictwa?*

No, to jest pytanie dla policji politycznej PRLu. Powiedziałbym, z zachowaniem wszelkich form konspiracji. Myślę, że podziemne drukarnie, w których je najpierw powielano, a potem drukowano, po dziś dzień nie zostały wykryte. Następowala ewolucja doskonalenia technicznego. Zaczęło się od bardzo prostych odbitek na powielaczu, nie zawsze nawet dobrze czytelnych, a potem nastąpiły już nawet wydawnictwa techniką offsetową, tak że każdy miesiąc przynosił udoskonalenia.

Nakłady tych wydawnictw były różne, w niektórych przypadkach sięgały kilku tysięcy egzemplarzy, które krążyły z rąk do rąk. I trzeba uwzględnić to, co nazywa się w międzynarodowych zwyczajach wydawniczych przedrukami korsarskimi, a co było w



naszych warunkach bardzo pożądane. Różne grupy ludzi po prostu przedrukowywały czy przepisywały na maszynie i odbijały na powielaczu teksty już na własną rękę. W ogóle nie wiadomo, ile tego było i w jakich miastach. Czasami sam ze zdumieniem dostawałem własne teksty gdzieś przepisane i odbite, w jakimś mieście prowincjonalnym - moi koledzy, wykładowcy TKNu, również. A ponieważ część wykładów, bo myśmy tego nie zabraniali, była nagrywana przez słuchaczy, tym bardziej powielanie i upowszechnianie wymyka się wszelkiej kontroli.

W moich informacjach dotyczących liczby słuchaczy czy też metod publikacji i kolportażu, muszę się zastrzec, opieram się na tym, co było wiadome organizatorom TKNu. Poza tym istniał ogromny niekontrolowany obieg powielonych odbitek i kaset wśród nieznaney mi liczby osób.

*Czy TKN zapraszał wykładowców z zagranicy? Jeśli tak, czy miały miejsce jakieś wykłady prowadzone przez gości z zagranicy?*

Nie jest mi wiadome, jakoby organizacyjnie, jako Towarzystwo, zapraszano specjalnie kogoś. Ale jest mi wiadomo, że były wypadki, że cudzoziemiec, życzliwy dla tej akcji, przebywając na terenie Polski, wyraził chęć wygłoszenia wykładu w obrębie TKNu. Wiem konkretnie o wykładzie wygłoszonym w Warszawie przez szwedzkiego profesora, działacza socjaldemokratycznego Stena Johanssona. Słyszałem również o pewnych kontaktach literatów i dziennikarzy z ośrodkami nauczania nieoficjalnego w Krakowie, ale nie mam tutaj dokładnych informacji.

*Jaka była postawa Episkopatu wobec TKNu? Czy Prymas, kardynał Wyszyński, popierał działalność TKNu? Przypominam sobie, że kardynał Wojtyła oddał do dyspozycji „latającego uniwersytetu” lokal w klasztorze siostr Norbertanek w Krakowie. Czy podobnie postępowali inni biskupi?*

Trzeba tutaj przypomnieć, że wśród sygnatariuszy deklaracji TKNu znajdowali się tacy ludzie, jak Jacek Woźniakowski, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, dyrektor i redaktor naczelny Społecznego Instytutu „Znak” w Krakowie, jak Adam Stanowski, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, socjolog, jak Tadeusz Mazowiecki, redaktor naczelny miesięcznika „Więź”, Zdzisław Szpakowski z tegoż miesięcznika „Więź”, jak wspomniany już parokrotnie Bohdan Cywiński, redaktor miesięcznika „Znak”, jak wreszcie ja, członek redakcji „Tygodnika Powszechnego” i wykładowca historii najnowszej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Byli więc ludzie, którzy nawet w sposób formalny identyfikowani byli w opinii publicznej, słusznie czy niesłusznie, z kołami katolickimi, choć działali na własną rękę i na własną odpowiedzialność,

a nie w imieniu instytucji, w których prócz tego pracowali zawodowo. Episkopat zapewne brał też to pod uwagę. Trzeba powiedzieć, że świętej pamięci kardynał Wyszyński, który tak wielką wagę przywiązywał do wartości tradycji narodowej i kulturalnej, generalnie był do TKNu usposobiony dobrze. W pewnych wypowiedziach, we właściwym dla Kościoła języku mówił jako o zasadzie - o prawie do zdobywania wiedzy w sposób nieskrępowany. Komunikat Episkopatu Polski w marcu 1978 r. zawierał oczywistą dezaprobatę dla wszystkich poczynań, które krępują ducha ludzkiego tworzącego swobodnie wartości kultury, oraz stwierdzał:

Kościół będzie popierał takie inicjatywy, które dążą do ukazania kultury, wytworu ducha ludzkiego, historii narodu w formie autentycznej, bo naród ma prawo do obiektywnej prawdy o sobie.

Nie był oczywiście wymieniony TKN, ale ponieważ zbiegło się to z działalnością TKNu, z pierwszymi atakami na TKN, było dla niego ogromnym poparciem. Kościół nie wyraził swego poparcia dla jakiejś określonej serii wykładów lub dla określonych wykładowców, tak jak to często bywało w historii - odwołał się do praw człowieka do posiadania pełnej wiedzy, i na tej podstawie przeciwstawiał się wszelkim restrykcjom.

Zatem Episkopat w osobach tak eksponowanych swych przedstawicieli, jak przewodniczący Episkopatu, Prymas Polski, i jego zastępca - arcybiskup Krakowa, zajmował stanowisko jednoznaczne.

W tym czasie, jak wiadomo, kardynał Wyszyński w liście do ministra Kąkole, kierownika Urzędu do Spraw Wyznań, całkiem jednoznacznie i przytaczając pełną nazwę TKNu poruszył sprawę kursów naukowych odbywających się w mieszkaniach prywatnych. Nawiązując do wykładów o historii i tradycjach polskich, zwrócił uwagę, iż stanowi to dowód potrzeby dokształcania się odczuwanej przez młodych ludzi.

Jeśli chodzi o innych biskupów, musimy brać pod uwagę fakt, że działalność TKNu koncentrowała się głównie w kilku miastach uniwersyteckich. Trudno więc mówić o wszystkich biskupach. W najlepszym wypadku można analizować postępowanie poszczególnych biskupów. Nie mam materiałów do takiej oceny, ale mogę stwierdzić, że również, poza już tu wymienionymi, bardzo życzliwie była nastawiona kuria biskupia we Wrocławiu.

*Wyglądało na to, że władze PRLu tolerowały przez dłuższy okres działalność TKNu. Czy, zdaniem pana, rzeczywiście tak było i czemu należałoby to przypisać?*

Wie Pan, nie czuję się specjalistą w zakresie analizowania taktyki władz. Nie jestem ani politologiem, ani nie znam się na psychologii. Mam wrażenie, że władze na początku nie

doceniały znaczenia i zakresu działania TKNu. Okres tej, ograniczonej zresztą, tolerancji nie trwał długo - może dwa, może trzy miesiące. Potem, kiedy ten ruch się rozwinął, kiedy okazało się, że przyciągnął dość poważne grupy ludzi ambitnych i aktywnych w różnych miastach, zaczęto temu przeciwdziałać w formie zróżnicowanych szykan, najpierw głównie wobec słuchaczy. Ale nie tylko. Do ulubionych sposobów należało przysyłanie zorganizowanych grup „dyskutantów”. Ponieważ każdy miał dostęp, jak powiedziałem, na wykłady przychodziła grupa ludzi, która miała niby dyskutować. To byłoby wszystko w porządku, byłoby nawet ciekawą szkołą demokracji myślenia, ale te grupy krzyczały, gwizdały, rzucały prowokacyjne okrzyki, niekiedy antysemickie, jeżeli sądziły, że wykładowca jest pochodzenia żydowskiego. Zachowywały się prowokacyjnie. Nie były to więc żadne grupy dyskutantów o innym światopoglądzie, tylko awanturników, wobec których organizatorzy byli bezradni. Dochodziło nawet, jak wspomniałem, do rękoczynów. Być może, że jacyś ludzie we władzach uważali te spotkania w mieszkaniach prywatnych za mniejsze zło od innych działań politycznych, szczególnie że mogły je kontrolować, przysyłając jako słuchaczy swoich informatorów. Zatrzymania, niedopuszczanie do zajęć i te bojówkarskie wyczyny doprowadziły jednak do tego, że w roku 1979 liczba wykładowców TKNu zmalała do kilku, a jedynym wykładowcą, który odbył wykład otwarty jeszcze w listopadzie 1979 roku, byłem ja. Później już zajęcia ograniczyły się tylko do niejawnych seminariów w grupach kilku czy kilkunastu imiennie znanych osób, w mieszkaniach prywatnych, i te były prowadzone jeszcze w roku akademickim 1979/1980.

*Czy sądzi pan, że działalność TKNu przyczyniła się również do powstania „Solidarności”, a z drugiej strony, jaki wpływ wywarła „Solidarność” na działanie TKNu?*

Ja bym powiedział tak: nie postawiłbym sprawy w ten sposób, że działalność TKNu przyczyniła się wprost do powstania „Solidarności”. Ale na pewno przyczyniła się do doksztalcenia i umocnienia postaw pewnych grup aktywnych ludzi - studentów, ambitniejszych robotników, techników, młodej inteligencji - które to grupy odegrały poważną rolę przy formowaniu się ogniw „Solidarności” w różnych regionach kraju. Sam fakt powstania „Solidarności” nie był oczywiście spowodowany przez wykłady w mieszkaniach prywatnych, ale pewna grupa zjawisk, wśród których były i te wykłady, współprzyczyniła się do stworzenia klimatu, w którym możliwa była taka stanowczość żądań i taka współpraca robotników i intelektualistów.

„Solidarność”, z chwilą gdy powstała, nie miała wpływu na działalność TKNu. Można raczej powiedzieć, że sama działalność TKNu stanęła pod znakiem zapytania. Ludzie z TKNu włączyli się w różne działania „Solidarności” jako doradcy, jako wykładowcy i prelegenci

Wszelkich Robotniczych uruchamianych w różnych rejonach Polski. Sam miałem wykłady między innymi w fabryce w Ursusie, inni koledzy wielokrotnie w tej fabryce i w innych. Miałem też wykłady dla studentów różnych uczelni łącznie z muzycznymi i wychowania fizycznego. TKN przerzucił się na inne formy działania, utworzono „bank” wykładowców, do którego zwracały się ogniwa „Solidarności” z zakładów pracy i z regionów o przysłanie potrzebnego prelegenta. Wyjeżdżałem wtedy z wykładami do kilku miast i obserwowałem, jak to funkcjonowało. „Solidarność”, organizując ruch samokształceniowy, wykorzystywała doświadczenia organizacyjne i pewne formy istniejące już przedtem w TKNie.

*Jak pan sądzi, co było największym osiągnięciem TKNu, a - z drugiej strony - gdzie TKN nie był w stanie sprostać swym zadaniom?*

Największym osiągnięciem było przełamanie bariery lęku, zbieranie się ludzi w celach samokształcenia i po prostu twarda wola kontynuowania tych zajęć - oznacza to już jakościową zmianę w postawach.

Natomiast nadążyć na pewno TKN nie mógł ani pod względem obsługi terytorialnej, to znaczy w obsługiwaniu nie tylko mniejszych miast, ale i nawet odleglejszych miast akademickich, jak powiedzmy Szczecin czy Białystok. Nie był też w stanie zaspokoić wszystkich zainteresowań i potrzeb merytorycznych. Wykładowców było kilkunastu. W Polsce - bez wielkiej przesady można to powiedzieć - miliony ludzi interesują się życiem politycznym i społecznym, ekonomią, problematyką praworządności, wreszcie historią kraju. TKN stanowił raczej model czy wzór czegoś, co przełamuje przeszkody i otwiera, wskazuje nowe drogi.

*Czy stan wojenny wyeliminował zupełnie działalność TKNu?*

Proszę pana, o ile mi wiadomo, wszyscy czynni wykładowcy TKNu, w każdym razie 80%, znaleźli się w ośrodkach internowania - obozach lub więzieniach. Siedzieli krócej lub dłużej, niektórzy nawet do roku. Poza nielicznymi wyjątkami, także komitet założycielski TKNu, łącznie z sekretarzem Towarzystwa, znalazł się w zamknięciu. Niekoniecznie za działalność w TKNie. Zresztą powodów nie podawano. Po prostu za działalność na forum publicznym. To samo już, nie mówiąc o powadze innych problemów, działalność TKNu wyeliminowało. Ale myślę, że istniejący obecnie w Polsce niezależny ruch oświatowy, Komisja Edukacji Narodowej i inne inicjatywy oświaty niezależnej, w jakimś stopniu czerpią z doświadczeń TKNu. Chciałbym zresztą dodać, że we wszystkich znanych mi wypadkach wykładowcy TKNu, którzy znaleźli się w ośrodkach internowania, prowadzili tam działalność wykładowo-odczytową. W niektórych miejscach, gdzie było ich więcej, jak na przykład w obozie w Jaworzu koło Drawska, na Pomorzu Zachodnim (znalazło się tam

około 19 uczestników TKNu), prowadzona była systematyczna akcja samokształceniowa - dziesiątki wykładów. Ja sam miałem siedemdziesiąt kilka godzin wykładów w ciągu niespełna pięciu miesięcy mego pobytu w Jaworzu. Moi koledzy też stale prowadzili wykłady lub inne zajęcia. Ale, oczywiście, to był tylko sygnał żywotności. To było tak, jak mówi Słowacki: „a póki okręt walczył, siedziałem na maszcie...”.

*Dziękuję.*

## Głos w dyskusji na Kongresie Kultury Polskiej

12 grudnia 1981 roku

Po tak znakomitych wystąpieniach, dotyczących problemów podstawowych, jakich byliśmy już tutaj świadkami wczoraj i dzisiaj, moim zadaniem jest tylko przedstawienie kilku refleksji na tematy częściowo już poruszone, ale może nie w pełni podkreślone<sup>1</sup>. Pierwsza z tych refleksji wynika z głębokich wywodów Andrzeja Kijowskiego, tych, które dotyczyły owego „czerepu rubasznego”, jednej z postaci, w której przejawia się nasza obecna egzystencja społeczna. Nie w pełni i nie we wszystkim zgadzam się z Andrzejem Kijowskim i do tego jeszcze za chwilę dojdę, ale jest jedna sprawa, która wymaga pewnego dopełnienia. Otóż wydaje mi się, że Kijowski z ogromnym poczuciem odpowiedzialności poruszył tu występujące w naszym życiu momenty ksenofobii owijanej w białoczerwony celofan rzekomego patriotyzmu, a w gruncie rzeczy egzemplifikującej się w wulgarnym ekstremizmie, wulgarnym intelektualnie, na bardzo niskim poziomie nawet w pseudoargumentacji. Przynoszą nam one ogromną szkodę, nam samym, moralną, społeczną i polityczną. Jesteśmy świadkami trwającej od wielu miesięcy fali tych poczynań, które mogłyby być uznane za paranoiczne, ale skoro znajdują posłuch w jakiejś części opinii, to muszą być brane pod uwagę przez świat kultury. Jesteśmy świadkami organizowania nienawiści i przypominam tutaj oświadczenie polskiego Pen Clubu podpisane 3 maja 1981 roku - w 190. rocznicę Konstytucji 3 maja - przez wszystkich członków Zarządu naszego klubu, ludzi różnych pokoleń, formacji, środowisk, rodowodów. Oświadczenie dotyczyło niepokojących zjawisk w naszym życiu społecznym. To zaniepokojenie wynikało z pewnych, niedawnych wtedy, doświadczeń marcowych, demonstracji w Alejach Ujazdowskich i manifestacji organizacji „Grunwald”, ale dla mnie dwa momenty związane z tym faktem wydają się nadal żywotne. Jednym momentem było to, że poza „Tygodnikiem Powszechnym” i prasą „Solidarności” żadne pismo w Polsce nie podało w pełnym tekście oświadczenia Pen Clubu. A to bardzo pouczająca i znamienna obserwacja. A drugie, że po upływie wielu miesięcy jesteśmy dalej świadkami manipulowania uczuciami ludzi. W ostatnich czasach - jak gdyby w nawiązaniu do bardzo smutnych tradycji nagonki na Słonimskiego, na Wańkowicza, na Grzędzińskiego, na Kisielewskiego, na Jasienicę - jesteśmy świadkami próby rozpętania nagonki na jednego z czystych moralnie i szlachetnych intelektualistów polskich - Jana Józefa Lipskiego. Wysuwa się przeciwko niemu zarzut zdrady interesów narodowych w związku z utrzymaną na wysokim poziomie etycznym jego broszurą, z której wyimki dowolnie interpretowano. Dotyczy ona pewnych zjawisk polskiej ksenofobii, pewnych przegieć i wynaturzeń w naszym widzeniu i stosunkach z innymi - zresztą i z

Żydami, i z Ukraińcami, i z Litwinami, i z Białorusinami, i z Niemcami - bynajmniej nie ogranicza się to do jednego tylko zagadnienia. Szermowano tu nawet zarzutami zdrady narodowej. A więc zdradą narodową nie był nazwany w roku 1956 „błędami i wypaczeniami” fakt zamordowania w więzieniach tysięcy ludzi na podstawie tak zwanych wyroków i tysięcy bez wyroków? To nie była zdrada narodowa?

Zdradą narodową nie było przekształcenie naszego kraju położonego w centrum Europy w rodzaj skrzyżowania Katangi z republiką bananową, nacechowaną korupcją i nepotyzmem? Tylko wierzchołek tej góry lodowej ujawniono w prasie. Setki stwierdzonych dziś prokuratorsko przykładów korupcji, nadużyć i nepotyzmu - to tylko wierzchołek, może lepiej, że całej tej góry nie jesteśmy w stanie zobaczyć.

A więc zdradą narodową nie było antynarodowe traktowanie polskich robotników w 1976 roku, pod nadzorem tego samego generalnego prokuratora, który pozostawał na tym stanowisku aż do ostatnich tygodni?

Zdradą narodową jest natomiast próba dyskusji o takich czy innych zagadnieniach historycznych sprzed lat trzydziestu pięciu czy czterdziestu, jeżeli nie odpowiada to pewnemu schematowi spod znaku jakichś najbardziej patriotycznych, bo najgłośniejszych wrzeszczących i popieranych wydawniczo i propagandowo ośrodków. (*Oklaski*)

Proszę państwa, przed dwudziestu jeden laty uzyskałem dzięki wielkoduszności „Tygodnika Powszechnego” możliwość publikowania na łamach tego pisma anonimowo rubryki „Zmarli”. W tej rubryce „Zmarli” próbowałem utrwalac w krótkich notach pamięć tysięcy, w sumie do tej pory ok. 20 tys. ludzi, bez względu na ich światopogląd, przynależność, narodowość - jeśli byli związani z kręgiem życia społecznego, politycznego polskiego, i w całkowitym oderwaniu od własnych poglądów. Chcę powiedzieć państwu, że można by opublikować satyryczną broszurę z wykazem interwencji i skreśleń cenzury. Nie wolno było na przykład umrzeć w Berlinie i nie wolno było umrzeć w Monachium. Nie wolno było umrzeć w Tel Awiwie, ale o dziwo, nie wolno też było umrzeć w Związku Radzieckim, nigdzie nie wolno było umrzeć... (*Oklaski*) Podaję konkretne miejsca, gdzie zmarli ludzie, o których chciałem napisać notkę. Nie wolno było umierać księdzu w Kazachstanie (*casus* ks. Bukowińskiego) i nie wolno było umierać komuniście w Warszawie. Kiedy chciałem napisać notki o Romanie Zambrowskim i Julii Brystiger - jako o ludziach społecznie znanych, czysto informacyjne, bez żadnych ocen - Zambrowskiego skreślono w ogóle i zażądano ode mnie, abym ograniczył notkę do informacji o Julii Brystiger jako nowelistce. (*Śmiech*) Wydaje mi się więc, że próby kształtowania i deformowania osiągały kuriozalne rozmiary. Liczne przykłady takich wynaturzeń mogliby tutaj podać jeszcze i inni,

obecni na tej sali. Z czego to jednak wynikało, bo tylko w tym aspekcie warto o tym mówić? Obawiam się, że wynikało to z głębokiej pogardy dla człowieka, z pogardy dla tych, o których ktoś chce pisać notki, a oni są „nieposłuszni”, i z pogardy dla tych, którzy to będą czytać. A po co mają czytać, jeżeli my obejmujemy to zapisem? Taka postawa wynikała po prostu z pogardy dla człowieka. I to jest ten generalny powód, dla którego w ogóle wymieniam tę sprawę przy tak podniosłej okazji, na tak znakomitym forum.

Proszę państwa - a teraz sprawa, w której się nie zgadzam z Kijowskim, a która dotyczy nas wszystkich. Wydaje mi się, że w słusznej, z ducha zresztą Żeromskiego wynikającej, a może w pewnej mierze i Gombrowicza, trosce, Andrzej Kijowski, dopuścił się pewnych wyjaskrawień, dotyczących obiegu „państwoautorzy”. Tak jakby w ogóle istniała bierna masa czytelnicza, która była poza tym układem i która dopiero teraz staje się nowym partnerem. To było bardzo efektowne i w pewnych momentach nawet prawdziwe, może wtedy, kiedy państwo podejmowało decyzję wydawania wielotomowych pism wszystkich za życia autorów, których nie nazwę, a równocześnie tępiło cenzuralnie dziesiątki pisarzy polskich, nie mówiąc już o możliwości zapoznania ludzi z dorobkiem pisarzy polskich żyjących parę tysięcy kilometrów od Wisły, Warty i Bugu. Proszę państwa, ale to nie jest w pełni ściśle. Społeczeństwo polskie, szczególnie w ostatnim pięciu, sześciu, wytworzyło w sobie własną hierarchię wartości i jeśli nie objęła ona milionów, to objęła jednak dziesiątki tysięcy ludzi, którzy wykupowali każdą książkę, którą mogli dostać w księgarni czy antykwariacie - wymienię tylko dwóch nieżyjących autorów - Jasienicy i Słonimskiego, ale i wielu innych, których doskonale rozróżniali według swojej hierarchii wartości, choć niezupełnie może umieli to sprecyzować i nazwać, i odróżniali teatr Dejmkę, Hübnera czy Wajdy od cyrku i tandety na czołowych scenach polskich. Tym dziesiątkom tysięcy ludzi należy się sprawiedliwość. Oni byli czynnikiem, który umożliwił gwałtowne otwarcie w różnych rejonach naszego życia teraz, po Sierpniu. Sposób reagowania przez młodzież akademicką, zawsze przecież - od Filomatów i Filaretów - szczególnie wrażliwą i zaangażowaną, uczestnictwo w Towarzystwie Kursów Naukowych, co było jednak związane dla setek młodych ludzi z szykanami i przykrościami, uczestnictwo w kolportażu literatury tak zwanego drugiego czy trzeciego obiegu - to wszystko może być argumentem przeciwko twierdzeniu, że czytelnicy byli tylko konsumentami dóbr przekazywanych im na zorganizowanych wieczorach autorskich. A jeśli chodzi o te z ironią, nie bez powodu, przypomniane wieczory czy spotkania, z goździkiem w celofanie, to pamiętajmy, że za organizacją takich wieczorów stały nie tylko rady narodowe i budżety. Stało też tysiące uczciwych bibliotekarzy, bibliotekarek, działaczy kultury w Polsce, którym zależało na



spotkaniu z ciekawym autorem. Nie wszystko od nich było zależne i niejedyn z nas spotkał się z tym, że w latach minionych (nie wiem, czy minionych) przyjeżdżał na miejsce i musiał wracać stamtąd dlatego, że bibliotekarce zakazano urządzenia z nim spotkania. Ale to byli ci nasi odbiorcy, i uczestnicy naszego życia i twórczości... (*Oklaski*)...i w imię przeciwstawienia się najmniejszemu nawet śladowi niedoceniaenia człowieka my musimy naszych odbiorców i współuczestników, animatorów, którzy stymulują nieraz różne procesy w nas zachodzące, dostrzegać, doceniać, bo oni są solą ziemi.

Wreszcie jeszcze jedna, dość chyba zasadnicza sprawa, dotycząca funkcjonowania dóbr naszej kultury. Proszę państwa - mamy od paru miesięcy ustawę o cenzurze. Ta ustawa dotyczy bardzo wielu spośród nas na tej sali. Może w mniejszej mierze ludzi muzyki, ale na pewno w ogromnej mierze wszystkich ludzi pióra, a więc i krytyków muzycznych tym samym. Ale dotyczy ona przede wszystkim pisarzy i naukowców humanistów, którzy, no, w sposób dla każdego widoczny, bardzo spektakularny, bezpośrednio pomnażają świadomość społeczną, niemal każdą swoją książką. Każdym wystąpieniem, każdym tekstem, który jest bardzo obserwowany. Proszę państwa, ta ustawa o cenzurze mimo wszystkich niedoskonałości, które znamy, jest zarazem ogromnym „niebezpieczeństwem”; chciałem zwrócić uwagę państwa jedynie na moralne aspekty tego niebezpieczeństwa. Dotychczas pisarz czy profesor piszący mógł się zasłaniać tym, co „oni” zrobili, co zrobił cenzor na Mysiej czy gdzie indziej, wydawca, zły redaktor czy jeszcze recenzent polityczny. W tej chwili w dużej mierze to odpada. My wszyscy musimy wziąć na siebie współodpowiedzialność za decyzje i to decyzje jawne. (*Oklaski*) Pisarz nie jest w tej chwili skazany na niejawnosć, na pełną tajność decyzji. Decyzja musi być podana nawet z artykułem dekretu. Dlaczego tylko „Tygodnik Powszechny” i pisma „Solidarności” korzystają z zasady podawania w sposób piramidalno-paradoksalny w określonych miejscach odniesienia do odpowiedniego artykułu dekretu? Czyżby w całej pozostałej prasie kulturalnej redaktorzy już nałożyli cugle swoim autorom i nie ma żadnych skreśleń z Mysiej? Już tak dobrze jest? (*Oklaski*)... Bo ja się tego zaczynam obawiać i do tego właśnie zmierzam. Sprawa jest jeszcze drastyczniejsza w wydawnictwach książkowych. Mamy po raz pierwszy od 1944 roku szanse na wydawanie wielu dzieł naukowych i naszej klasyki w integralnych tekstach. Jeżeli ktoś na zasadzie władztwa z nominacji w instytucjach wydawniczych albo kulturalnych będzie w to ingerował albo wykorzystywał i nadużywał swoich uprawnień służbowych do łamania sumień wydawców i redaktorów - to my, ludzie kultury, musimy stać po stronie tych, którzy przeciwstawiają się tym pozostałym przedsięwzięciom i jeszcze starszym manipulantom, organizatorom, byłym pierwszym sekretarzom i różnym, przez nikogo z nas niepowołanym,

organizatorom naszych prac. Mówiąc jasno: pisarz, który dzisiaj zgadza się na wykreślenie mu tekstu, musi przyjąć na siebie to współodium, że on się na to zgodził, albo zażądać podania, nawet w tekście powieści, nawet czterdzieści razy: wykreślono, kropki, ustawa o cenzurze. Czekam na dzieła, czekam na pisarzy, którzy tego będą żądać. Wszystko jedno, czy to byłby kandydat do Nagrody Nobla, czy byłby to sławny pisarz, czy średni pisarz. Po takim stosunku do własnego dzieła i po takim przejawie szacunku dla własnych czytelników będziemy mieli prawo z perspektywy go osądzać. Tymczasem dochodzą z domów wydawniczych złe wiadomości: przygotowywane są edycje różnych książek w poprzednich latach już wydawanych, z nowymi skreśleniami wymuszonymi na rodzinach, na spadkobiercach, w tajnych rozmowach gabinetowych, szantażami materialnymi i innymi. Proszę państwa - to się dzieje teraz i pamiętajmy, że najlepsze dekryty, jak wiadomo nie od dziś, nic nie będą znaczyć, jeżeli za nimi nie będzie szła nieugięta stanowczość w walce o każde zdanie, które jest wyrazem naszego poglądu i sumienia pisarza czy badacza. (*Oklaski*)

Niejednokrotnie w Polsce się narzeka na rzekome zjawiska anarchii, a nie dostrzega się, jak wielki jest głód autentycznych autorytetów. W ramach tego głodu autorytetów wiele postaci historycznych na to zasługujących, w pełni czy nawet średnio, jest beatyfikowanych czy kanonizowanych, bo są z wyboru. W imię tych autorytetów inny posłuch daje się takim wykładowcom, których się chce, i takim, których się nie chce. W imię tych samodzielnie określanych autorytetów społeczność, dziwnym jakimś węchem wiedziona, poszukuje różnych książek, o które dopytuje się księgarzy, zanim te książki w ogóle dojdą do księgarń. Sporządza się listy, aby je kupić, czy coś w tym rodzaju. A więc nie tylko o wędlinę ludzie w Polsce się biją i nie tylko o nabiał; biją się w Polsce również o książki.

Proszę państwa - można by te rozważania tym zamknąć, popierając wczorajszy wniosek kolegi Juliusza Żuławskiego o to, aby nasze dzisiejsze i jutrzejsze spotkanie zakończyło się instytucjonalnym utworzeniem czy powołaniem zespołu czy ciała, które by miało być czynnikiem trwale reprezentującym interesy ludzi kultury, nie z nominacji, z żadnego klucza ministerstw, z żadnego ładnie zmielonego, narodowego pasztetu, zrobionego na zasadzie pół na pół: jeden koń, jeden zając, ładnie ozdobionego jajeczkiem na górze... nie, choć może i do Wielkanocy jeszcze dotrzemy, przez parę miesięcy, ale nie to.

Proszę państwa, poruszone tu były dzisiaj jeszcze i inne sprawy, o których nie miałem zamiaru wspominać, ale do których chcę się ustosunkować. Poruszone były w pamiętnym wystąpieniu kolegi Szczypiorskiego, ale w końcu obchodzą one nas wszystkich, czego dowodem najlepszym był sposób reagowania przez nas na jego wystąpienie. Wydaje mi się, że każda sprawa zależy od sposobu podejścia, a moralność i czystość intencji jest przez ludzi

bezbłędnie rozpoznawana. I muszę powiedzieć, że mimo doznanych zawodów, cierpień, ludzie podnoszą się ciągle i próbują ufać, próbują współdziałać, próbują coś robić. Jest to przecież głęboko ludzkie, głęboko piękne, jednak ciągle jeszcze prawdziwe.

Kiedy usłyszałem parę miesięcy temu z ust pewnego wybitnego polityka, że partia rządząca straciła wiarygodność i musi długo o odzyskanie tej wiarygodności zabiegać, muszę powiedzieć, że ja - zdawałoby się, już całkiem nienaiwny - przez dziesięć sekund doznałem dreszczu nadziei. To znaczyło początek samooceny, która może doprowadzić do procesów postawienia diagnozy, a potem terapii - początek! Ale to oświadczenie już załatwiło sprawę. Następne miesiące przyniosły nam szereg przykładów tego, jak rozumiane jest - z jednej strony czy części jednej strony - tak zwane porozumienie społeczne, bo przyniosło nam egzemplifikację stosunku do całokształtu problemów społeczności akademickiej na przykładzie pana profesora pułkownika Hebdy. Przyniosło nam stosunek do ustawy o szkolnictwie wyższym, przyniosło nam stosunek do większości nieegzekwowanych postanowień układów społecznych z zeszłego roku; przyniosło nam też wiele ordynarnych prowokacji, w druku i niestety nie tylko w druku, bo również i manualnych. Istotą prowokacji jest to, że zdąża ona do sprowokowania. Prowokacje te były wobec tego nieudane, ponieważ nas nie sprowokowały, i my jako społeczeństwo polskie, mimo pewnego rozjątrzenia, które panuje, ciągle dążymy do tego, ażeby znaleźć formy dialogu. Ale pytał już Szczypiorski z tego miejsca: kto, po co, z kim? No, kto z kim - to mniej więcej wiadomo. Po co? No, nie po to, żeby pomagać w uzdrowieniu jakiejś organizacji, której członków jest to troską, tylko po to, żeby przyczynić się do jakiej takiej możliwości odbudowy życia społecznego i funkcjonowania tego życia w naszym kraju. Porozumienie - padało to pytanie - co to jest porozumienie? Chodzi chyba raczej o współdziałanie, o współpracę. Porozumienie bowiem wynika z przesłanek głębszych, a współdziała się czasem z każdym z różnych powodów i w różnych sytuacjach. Jeżeli podnoszę kogoś, kto upadł, bo się poślizgnął i złamał nogę, to nie pytam go, czy jest kieszonkowcem czy faszystą. Chodzi zatem o współdziałanie ludzkie, współpracę z człowiekiem w konkretnych zadaniach, w realizacji konkretnych spraw społecznych, a jeżeli się ta indywidualna współpraca sprawdzi, to może przeniesie się także na działania organizmów, ciał czy komisji, powoływanych również i w dziedzinie kultury. Tak ja rozumiem porozumienie i choć sam przez tego partnera nigdy szanowany nie byłem, usiłuję tego partnera szanować, bo dostrzegam w nim człowieczeństwo, nawet jeśli on o swoim własnym człowieczeństwie zapomina. Dziękuję. (*Oklaski*)

1 *Redemptor hominis* 17.

## **Pokój za wszelką cenę?**

Europa lat trzydziestych naszego stulecia: Wielka Brytania i Francja, wielkie centra idei i kultury społecznej, i politycznej. Bastiony demokracji, humanizmu i humanitaryzmu. Społeczeństwa nie zapomniały jeszcze pierwszej wojny światowej sprzed ledwie piętnastu lat, wojny, która zmieniła mapę Europy. Spróbujmy cofnąć się do tamtego czasu. Na nowej mapie pojawiły się małe i średniej wielkości państwa, które chciały zachować swoją suwerenność, niezawisłość, normy własnej kultury i formy życia państwowego. Największym z nich była Polska: ponad 34 miliony mieszkańców w 1939 r. na terytorium liczącym ponad 388 000 km kw., ale także Węgry i Austria, Czechosłowacja, Finlandia, republiki bałtyckie - Litwa Łotwa, Estonia; i inne. Wszystkim zależało na pokoju i podniesieniu się ze zniszczeń pierwszej wojny światowej. Wszystkim zależało na umocnieniu się politycznym i gospodarczym, na rozwiązaniu wielu problemów wewnętrznych w żmudnym procesie wychowania nowych społeczeństw w wolnych, demokratycznych państwach.

Po przejściu władzy w Niemczech przez Hitlera w 1933 r. niewielu tylko, obdarzonych szczególnie ostrym spojrzeniem, dostrzegło w tym zagrożenie pokoju w Europie i w świecie. Większość zwykłych ludzi i polityków nie widziała tego i nie chciała widzieć. I to nie tylko w latach 1933-1937, lecz także po wcieleniu Austrii do Rzeszy (w marcu 1938), po wymuszonym politycznie układzie monachijskim (1938), po „nocy kryształowej” z listopada 1938. Wierzano, ponieważ chciano wierzyć, że polityka możliwie najdalej idących ustępstw zadowoli i uspokoi Hitlera. A przecież było oczywiste, że III Rzesza zyskiwała pozycję mocarstwa, że z miesiąca na miesiąc wzrastał jej potencjał wojskowy na lądzie i w powietrzu. Pocieszano się ewentualną przewagą floty brytyjskiej. Ale przede wszystkim Europa Zachodnia chciała pokoju za wszelką cenę, choć nie formułowano tego wówczas w ten sposób.

Premier brytyjski Neville Chamberlain był, powracając z Monachium w 1938 roku, przekonany, że uratował pokój: bądź co bądź spełniono wszystkie żądania potencjalnego agresora. Katalog tych żądań obejmował wtedy przede wszystkim zjednoczenie terenów etnicznie niemieckich w granicach państwa narodowosocjalistycznego. Zima 1938/1939 przyniosła potem stale wzrastający nacisk polityczny Niemiec na Rzeczpospolitą Polską, a w marcu 1939 roku likwidację republiki czechosłowackiej: wcielenie części tego państwa jako Protektoratu Czech i Moraw do rzeszy i utworzenie marionetkowego państwa słowackiego, w którym armia niemiecka mogła operować jak w domu. Równocześnie doszło do wzmożenia akcji propagandowej. Wbrew oczywistości i zdrowemu ludzkiemu rozsądkowi głosiła propaganda hitlerowska, że Niemcy czują się zagrożone przez graniczące z nimi wrogie

państwa, jak też przez „określone siły polityczne na Zachodzie” i przez „światowe żydostwo”. 28 kwietnia 1939 r. Hitler ogłosił jednostronne zerwanie polsko-niemieckiego układu o nieagresji z roku 1934 (ważnego do 1944) i brytyjsko-niemieckiego układu morskiego, po raz pierwszy formułując publicznie niemieckie roszczenia terytorialne wobec Polski. Ale już szereg dni przedtem (11 kwietnia 1939 r.) podpisał wytyczne przeprowadzenia planu pod kryptonimem „Fall i Weiss”, przewidującego napaść na Polskę bez wypowiedzenia wojny i złamanie polskiego oporu przed ewentualnym przystąpieniem do wojny innych państw.

Polska, państwo gospodarczo słabe, które uzyskało niepodległość ledwie przed dwudziestu laty, znajdowała się w prawdziwie tragicznej sytuacji. Różnica potencjału zbrojeniowego Polski i III Rzeszy była ogromna: w latach 1934-1939 Polska wydała z największym wysiłkiem na zbrojenia miliard trzysta milionów dolarów, podczas gdy Niemcy wydały w tym samym czasie na ten cel co najmniej czterdzieści miliardów dolarów, to jest przeszło trzydzieści razy więcej. Francuzi i Anglicy uważali przez lata, że ich wola pokoju jest powszechnie znana i nikt nie obawia się zagrożenia militarnego z ich strony, a równocześnie nikt nie odważy się dokonać niczym niesprowokowanej agresji wojskowej.

Dnia 5 maja 1939 r. polski minister spraw zagranicznych odpowiedział Adolfowi Hitlerowi, przemawiając w sejmie. Stwierdził wtedy między innymi:

Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój jak wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę - wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor.

Minister spraw zagranicznych Józef Beck nie należał wtedy w Polsce do szczególnie popularnych polityków. Miał złą opinię, zarówno na prawicy, jak i na lewicy. Ale jego wypowiedź o cenie pokoju w kategoriach wartości nadrzędnych zapewniła mu ogólne uznanie w społeczeństwie.

Z tą wypowiedzią solidaryzowała się zarówno prawicowa, jak i lewicowa opozycja, polscy Żydzi, Kościół i chłopci, robotnicy i intelektualiści. Polska, powiedziawszy „nie”, stawiała 1 września 1939 r., jako pierwsze państwo w Europie, opór wobec agresji Hitlera. Uczestniczyła potem nieprzerwanie aż do 8 maja 1945 r. w działaniach wojennych drugiej wojny światowej, płacąc za to szczególnie wysoką cenę krwi, procentowo najwyższą ze wszystkich państw biorących udział w wojnie. Do dziś nie ma jednak ani jednego znaczącego polskiego historyka czy pisarza, który by reprezentował pogląd, że Polska powinna się była inaczej zachować w 1939 roku, nie podejmować beznadziejnej walki i - aby zademonstrować swą wolę pokoju - skapitulować przed politycznymi żądaniami Hitlera. Hitler mówił wtedy,

że idzie mu tylko o Gdańsk i małą korekturę graniczną. Historycy, także niemieccy, nie mają już od lat wątpliwości na podstawie zachowanej dokumentacji archiwalnej, że nie o to szło, lecz o podbój Europy. Ponad czterdzieści lat minęło od tych strasznych, krwawych, ale pouczających wydarzeń. Któż odważyłby się dzisiaj oceniać politykę Hitlera, nawet z okresu przed jego jawnymi wystąpieniami agresywnymi z lat 1938-1939, jako politykę pokojową? Któż nie uważa dzisiaj za ślepych tych, którzy w swym szlachetnym dążeniu do utrzymania pokoju za wszelką cenę gotowi byli do wszelkich ustępstw kosztem innych, kosztem słabych i małych, tak długo, jak długo nie zagrażało to ich własnemu spokojowi i ich własnej wygodzie? Któż by ocenił dzisiaj ówczesny punkt widzenia rządu polskiego i społeczeństwa polskiego (które były w tej sprawie identyczne) jako wrogi pokojowi, jako zagrożenie pokoju Europy i w ogóle całej ludzkości? Wtedy patrzono jednak na to nieco inaczej, przede wszystkim we Francji. Bezgraniczny egoizm i chęć zachowania nie tyle pokoju, ile własnego spokoju, doprowadziły do tego, że - jak to się okazało w latach 1939-1940 - jedno z najpotężniejszych wówczas wojskowo państw Europy, Francja, w ogóle nie przejawiała woli obrony własnej wolności. Przedkładało spokój i wygodę, sądząc, że można je sobie zapewnić przez najdalej idące ustępstwa. Francuzi, którzy przedkładali życie nad wolność i spokój nad ryzyko, nie chcieli umierać ani za Sudety, ani za Czechosłowację, ani za Gdańsk. Ale w konsekwencji nie chcieli umierać i za Paryż. Naród francuski stracił na cztery lata wolność i poniósł krwawe ofiary. Godność przywrócić miał mu potem człowiek, którego poprzednio społeczeństwo francuskie i legalny rząd francuski uznały za awanturnika, a nawet za zdrajcę - gen. Charles de Gaulle, który - podobnie jak Polacy - odrzucał pojęcie pokoju za wszelką cenę.

Europejskiego pacyfizmu lat trzydziestych nie można uznać po prostu za miłość pokoju, gdyż uprawiany bezkrytycznie i w oderwaniu od realnej sytuacji historycznej, stanowił raczej jednoznaczną zachętę dla agresorów. Ludzie typu Hitlera czy Stalina uważali go po prostu za głupotę i użyteczną ślepotę społeczeństw zachodnich.

Czy ludzkość nauczyła się z tamtych czasów, że nie można budować pokoju na gwałcie i przemocy wobec innych narodów? Czy poszła w zapomnienie myśl Churchilla, że „kto przedkłada pokój nad honor, ten zbiera najpierw niesławę, a potem wojnę”?

Pokój należy bez wątpienia do najcenniejszych dóbr ludzkości. Nikt nie może go pragnąć bardziej niż słabi i mali, to jest właśnie ci, którzy zawsze są i będą najbardziej zagrożeni. Ale - jak każde dobro, także i pokój musi być przedmiotem troskliwych zabiegów i wysiłków dla zabezpieczenia sprzyjających mu warunków. Kluczowym problemem jest uprzytomnienie sobie, czym pokój jest, a czym nie jest. Jak wspomóc możliwości utrzymania

pokoju i jak je umocnić.

Prawdziwy pokój może istnieć tylko w prawdzie, sprawiedliwości i wolności. Przy innych założeniach nie może być mowy o pokoju, co najwyżej o zapobieganiu działaniom wojennym. Zachowanie pokoju wymaga bacznej obserwacji i właściwego rozeznania rodzącej się ekspansji i przemocy. Wymaga wnikliwego przewidywania nieuniknionych konsekwencji tych zjawisk dla poszczególnych ludzi, dla porządku społecznego, dla kultury i cywilizacji. Podobnie jak wobec każdej zagrażającej choroby, tak i wobec zagrożenia pokoju podjąć trzeba skuteczną akcję zapobiegawczą. Pojęcie pokoju za wszelką cenę, a więc dla jednej grupy ludzi, państw czy bloków państw stanowi szyderstwo z wolności i demokracji. Nie może być przy tym mowy o tak zwanym liczeniu się z rzeczywistością, pewien typ liczenia się z rzeczywistością bowiem oznacza gotowość do podporządkowania się każdej brutalności, także zbrodni i zbrodniczym rozkazom. Oznacza gotowość do kapitulacji wobec agresji bez względu na skutki, które to może zrodzić dla innych.

To, co głosiciele pokoju za wszelką cenę uważają za akt rozsądku, pragmatycznego myślenia, a nawet miłości bliźniego, jest przede wszystkim utajoną gotowością do zaakceptowania tyranii, gwałtu, brutalności, a być może i zbrodni, dla zapobieżenia „większemu złu”. Tym „większym złem” ma być wojna, która według mniemania przedstawicieli takich teorii musi wybuchnąć i zniszczyć ludzkość, jeśli ta obstawać będzie kategorycznie przy obronie wolności i godności człowieka. Tymczasem właśnie brak wolności i ograniczenie praw człowieka, grup ludzi, słabszych narodów i mniejszych państw pobudzają chęć oporu, nienawiść, żądzę odwetu i agresję. Wiele przykładów historycznych świadczy, że zarówno wolni ludzie, jak i wolne narody są mniej podatne na takie uczucia.

Nie ma dobrych czy złych narodów, ale narody i państwa miały w historii różne doświadczenia. Dla mnie, jako dla Polaka i historyka, nie ulega wątpliwości, że los Polski i Polaków związany był zawsze z ideą wolności, a szczególnego wyrazu nabrało to w ostatnim dwudziestolecium. Idea ta widoczna jest w dziejach wewnętrznych narodów francuskiego i angielskiego i odegrała znaczną rolę w formowaniu Stanów Zjednoczonych. Nie wydaje się natomiast, aby w sposób szczególny był z nią związany los narodu niemieckiego, kształtowanego - zwłaszcza w czasach nowszych - przez ideę państwa. Wydaje się raczej, że w wielusetletniej historii Niemców nie dominowało kulturowe pojęcie wolności. Jest zrozumiałe, że właśnie Niemcy, którzy ponosili krwawe ofiary w wojnach napastniczych w imię rzeczywistych czy też iluzorycznych interesów państwa, nie są teraz gotowi do ponoszenia jakichkolwiek ofiar. Narzuca się jednak pytanie, czy ludzie, grupy ludzi lub narody, które nie są gotowe do ponoszenia ofiar dla wyznawanych idei, także dla świetlanej

idei pokoju i wolności, mogą być wiarygodni dla innych. Nie należy mieszać pojęcia pokoju i wygodnego spokoju. Nasuwa się tu stare powiedzenie, że pełny spokój panuje tylko na cmentarzu: ale nie jest to ten spokój wolnych i szczęśliwych ludzi, o który nam chodzi...

Przez całe pokolenia wielu ludzi w Europie - Polaków, Rosjan, Żydów i innych - cierpiało i ponosiło ofiary w przeświadczeniu, że sens życia związany jest z hierarchią wartości duchowych i że opłaca się zabiegać o świat wolności i godności dla wszystkich. Przypuszczano, być może naiwnie, że miliony bezimiennych ofiar w obozach koncentracyjnych Hitlera i archipelagu Gułag nie mogą być daremne. Przypuszczano, że ludzkość dojdzie do opamiętania się i że o losach ludzi i narodów nie będzie decydować przemoc i potencjał zbrojeniowy (w istocie rzeczy nie odgrywa tu moralnie zasadniczej roli, czy idzie o broń konwencjonalną, atomową, bakteriologiczną, chemiczną czy inną).

Jeden z najwybitniejszych ludzi naszych czasów, obdarzony nieprzeciętnym darem rozumienia głównych problemów życia współczesnej ludzkości - Karol Wojtyła, urodzony w 1920 r., który pierwszych dziewiętnaście lat życia przeżył w wolności, następnych pięć lat w warunkach okupacji niemieckiej, potem trzydzieści trzy lata w „realnym socjalizmie” w Europie Wschodniej, aby w październiku 1978 r. stanąć na czele Kościoła katolickiego w świecie - nie przypadkowo poświęcił swoją pierwszą encyklikę *Redemptor hominis* człowiekowi, jego godności i wolności. Powiedział wówczas między innymi, że poszanowanie praw człowieka w całym świecie [...] leży u samych podstaw pokoju społecznego i międzynarodowego, jak temu dał wyraz Jan XXIII, Sobór Watykański II, a z kolei Paweł VI w szczegółowych dokumentach. Pokój sprowadza się w ostateczności do poszanowania nienaruszalnych praw człowieka - dziełem sprawiedliwości jest pokój - wojna zaś rodzi się z ich pogwałcenia i łączy się zawsze z większym jeszcze pogwałceniem tych praw. A jeśli prawa człowieka są gwałcone w warunkach pokojowych, to staje się to szczególnie dotkliwym i z punktu widzenia postępu niezrozumiałym przejawem walki z człowiekiem, czego nie sposób pogodzić z żadnym programem określającym siebie jako „humanistyczny”. [...] Jeśli przeto pomimo takich założeń prawa człowieka bywają na różny sposób gwałcone, jeśli w praktyce jesteśmy świadkami obozów koncentracyjnych, gwałtów, tortur, terroryzmu, a także różnorodnych dyskryminacji, to musi to być konsekwencją innych przesłanek, które podkopują, a często niejako unicestwiają skuteczność humanistycznych założeń owych współczesnych programów i systemów<sup>1</sup>.

Z pewnością nie przypadkowo powiedział Jan Paweł II w swej znanej homilii na terenie byłego obozu Oświęcim-Brzezinka 7 czerwca 1979 r. dosłownie (co stosunkowo rzadko cytowane jest w Polsce):



Nigdy jeden naród nie może rozwijać się za cenę drugiego, za cenę jego uzależnienia, podboju, zniewolenia, za cenę jego śmierci. To są myśli Jana XXIII i Pawła VI o pokoju w świecie współczesnym.

Zgodnie więc z głębszym rozumieniem myśli papieskich, nie ma prawdziwego pokoju bez wolności człowieka, bez poszanowania godności człowieka, bez praktycznego uznania i realizacji praw człowieka. Wolność człowieka oznacza zaś oczywiście wolność od głodu, ale także i od strachu, gdyż strach, jedno z najsmutniejszych zjawisk naszej epoki, okazał się w wielu przypadkach najlepszym narzędziem ucisku ludzi. Strach budzi też agresję, a z kolei agresja pobudza znów uczucia lęku. Wolność od strachu jest, obok wolności wyznania i światopoglądu, wolności od głodu i gospodarczej wolności narodów - jedną z tak zwanych „wielkich wolności” sformułowanych już w sierpniu 1941 roku w deklaracji celów wojennych aliantów w drugiej wojnie światowej (Karta Atlantycka). Z naiwną, ale przecież po ludzku zrozumiałą nadzieją, oczekiwały wtedy wielomilionowe rzesze ludzi w Europie, Ameryce i gdzie indziej na realizację tych zasad. Tymczasem odbyła się konferencja w Wannsee, która przesądziła o losie sześciu milionów Żydów. Miliony chrześcijan różnych narodowości - Polaków, Rosjan, Jugosłowian, Niemców - padło też ofiarą tragicznej bezsensownej wojny i nieludzkości.

Dopiero gdy uprzytomnimy sobie to wszystko, można zrozumieć, ile odwagi nam trzeba, aby wierzyć w możliwości głębszych przeobrażeń ludzi. Ale nie ma tu po prostu żadnej rozumnej alternatywy. Ludzie muszą przekształcić swoje myślenie tak, aby w system ich wartości weszło jako *imponderabilium* rozumienie pokoju jako prawa do życia wolnego człowieka w wolnych społeczeństwach.

1 Dnia 19 grudnia 1983 r. w sali Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził publiczny wieczór, rozpoczynający rozważania nad problemem „Dziś i jutro polskiej literatury”. Głos zabrali: Władysław Bartoszewski, wówczas wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i czasowo profesor uniwersytetu w Monachium, oraz Leszek Kołakowski, profesor uniwersytetu w Oksfordzie. Tekst według nagrania magnetofonowego publikowany był po raz pierwszy w „Pamiętniku Literackim” (Londyn), wydawnictwie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, t. 8, 1984 r.



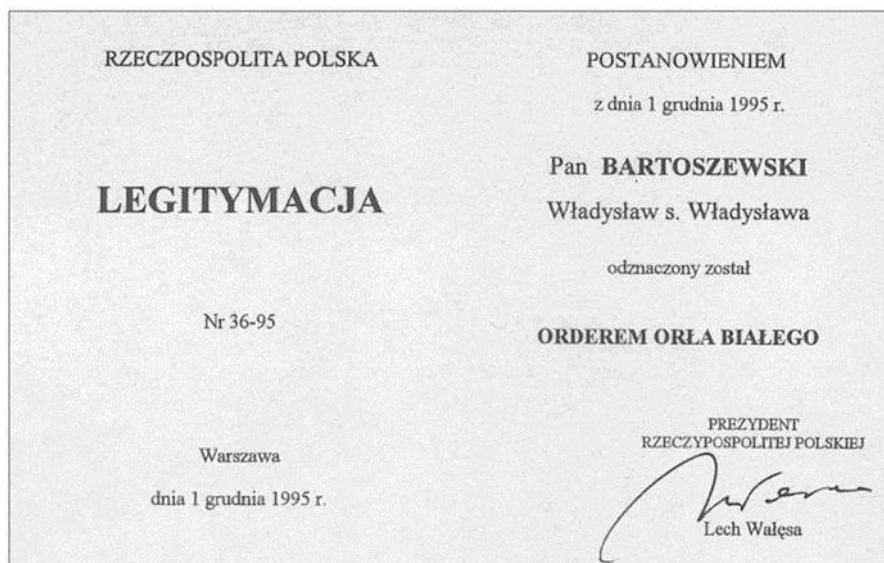
Z żoną Zofią i przyjacielem, pisarzem Reinholdem Lehmannem, inicjatorem wydania pierwszej (niemieckiej) wersji *Warto być przyzwoitym* (1983).



Z prezydentem Richardem von Weizsäckerem na uroczystości wręczenia Nagrody Księgarstwa Niemieckiego (1986).



Marszałek senior senatu RP (IV kadencja) w chwili ślubowania (1997).



Odnaczenie Orderem Orła Białego (1995).



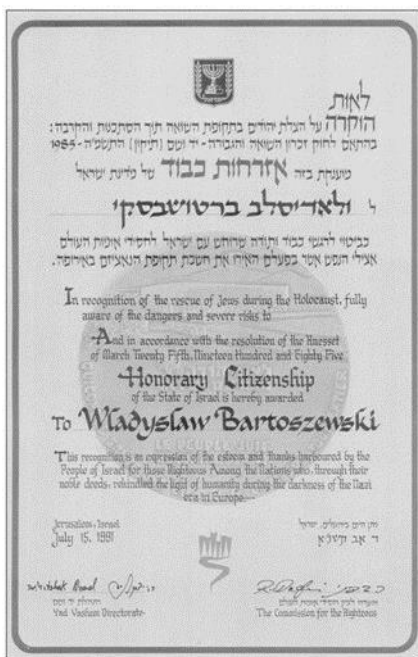
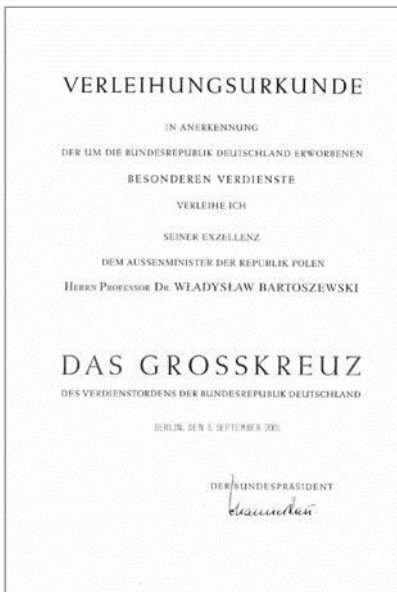
Z Lechem Wałęsą 22 XII 1995 r. w Warszawie, z okazji odznaczenia Orderem Orła Białego.



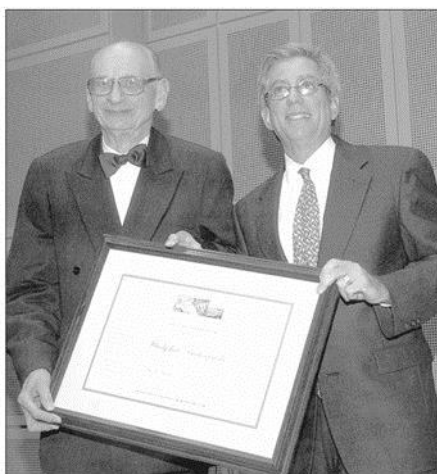
Żartobliwe powitanie Jana Nowaka-Jeziorańskiego na wieczorze autorskim w Warszawie (1996).



Z Joshką Fisherem i Günterem Verheugenem w dniu uroczystości wręczenia Krzyża Wielkiego Republiki Federalnej Niemiec 3 IX 2001.



Honorowe obywatelstwo Izraela (1991).



Wyróżnienie honorowe Bartoszewskiego jako działacza ŻEGOTY w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie (2002).



Spotkanie w cztery oczy z Janem Pawłem II (26 II 2001).

## **Dokąd idziemy?**

Zacznę to spotkanie<sup>1</sup> od wyznania osobistego. Tutaj, w Londynie, w tym gronie, i w tej sali nie czuję się jak prelegent czy wykładowca uczelni, ale niezmiernie swojsko, powiedziałbym, prawie rodzinie, i gdybym tylko chciał wymienić wszystkich ludzi, których znam na tej sali, to by wypełniło znaczną część pogadanki. W związku z tym również charakter mojej wypowiedzi będzie bardzo szczery, gawędziarski i prywatny, bo myślę, że tematyka dzisiejszego wieczoru i tak nie może być wyczerpana w obrębie dwóch czy trzech wypowiedzi. Natomiast chyba można sformułować nieco uwag, dotyczących doświadczeń własnych, refleksji, nadziei czy znaków zapytania.

Muszę powiedzieć, że szczególnym uczuciem przejmuje mnie okoliczność brania udziału w tym wieczorze wspólnie z prof. Leszkiem Kołakowskim. Nie wiem, czy on pamięta, ale ja dobrze pamiętam, że kiedy dostałem pierwszą w życiu nagrodę, a była to nagroda honorowa Klubu Krzywego Koła w styczniu 1962 roku w Warszawie, wśród wyróżnionych znaleźli się oprócz mnie: artysta malarz - Henryk Stażewski i Leszek Kołakowski. Wręczał nam te nagrody Paweł Jasienica, a wśród jurorów znajdowali się, między innymi Antoni Słonimski, Stanisław Ossowski, Tadeusz Szturm de Sztrem, żeby wymienić tylko nieżyjących.

Było to moje pierwsze zetknięcie z groźnym i wielkim Kołakowskim. Pamiętam jeszcze z tamtego wydarzenia, że pierwszą osobą, która mu składała gratulacje po wręczeniu nagrody, był Jerzy Turowicz - redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, który specjalnie w tym celu przybył z Krakowa, aby swego światopoglądowego (wtedy!) antagonistę spotkać i wyrazić radość z powodu przyznania mu tej nagrody. (Takie to były złożone polskie sprawy - już wówczas!) Po raz drugi miałem przyjemność spotkać się z prof. Kołakowskim w pewnej opresji - przynajmniej dla mnie to była opresja, bo on już był od kilku lat za granicą - gdy znalazłem się na kilka dni w RFN, we wrześniu 1977 roku. Kiedy przyjechałem do Kolonii, dowiedziałem się z afiszów rozklejonych na mieście, że wspólnie z Kołakowskim, Böll, Dürrenmattem i kilkoma innymi osobami mam występować w dyskusji publicznej na temat: „Intelektualiści i polityka”. To było dla mnie wielkie przeżycie, zwłaszcza pierwsza minuta, gdy zobaczyłem te afisze, ponieważ wszystko zostało przygotowane bez mojej wiedzy i zgody. Spotkanie odbyło się w wielkiej sali wypełnionej dwoma tysiącami ludzi, głównie młodzieży. Po mojej prawej ręce siedział Kołakowski, a po lewej Böll, który przewodniczył. Mówiło się tam różne rzeczy! Prof. Kołakowski był dla mnie wtedy ratunkiem. Uzupełniał niekiedy moje wypowiedzi.

A ten rok 1977 to był już okres, w którym w Polsce ludzie bardzo podnosili głowy, a

pisarstwo zaczęło w bardziej widocznym stopniu spełniać tradycyjną rolę. Z tą tradycją bywało różnie, bo pisarze byli po różnych stronach w naszych dziejach i teraz są po różnych. Ale tę najlepszą tradycyjną rolę pisarstwo polskie i część dziennikarstwa zaczęły spełniać już w latach 1976-1980, przygotowując niejako - moralnie, umysłowo i psychologicznie - to wszystko, co miało stać się potem. I nie było przypadkiem, że w Towarzystwie Kursów Naukowych był tak znaczny udział pisarzy (przypomnijmy, Towarzystwo zaczęło działać na przełomie lat 1977 i 1978), że wydawnictwa poza zasięgiem oficjalnym - zapoczątkowane na większą skalę w 1976 r. - wciągnęły w swą orbitę ludzi zajmujących się pisaniem czy też były przez nich tworzone, i że tam spotykali się ludzie generacji najmłodszej z ludźmi, którzy mieli za sobą lata pracy i doświadczeń. To wszystko dla tych, którzy choć trochę zajmowali się rolą pisarstwa w Polsce, nie było przypadkiem. Zachodni dziennikarze zadają nam często pytania dotyczące tego fenomenu wspólnoty intelektualistów, pisarzy, dziennikarzy z robotnikami. To jest rzecz prawie niezrozumiała dla większości cudzoziemców. Oni ciągle nie mają klucza, jak to należy rozumieć. I albo dają temu klucz polityczny, wiążąc to z jakimś jednym nurtem politycznym, albo są bezradni, albo po prostu mówią głupstwa. A ta przecież stara polska tradycja, że książka, ulotka, czasopismo - pisarz, publicysta, dziennikarz towarzyszyli losom i aspiracjom narodu, a gdy było trzeba, schodzili do podziemia - wywodzi się jeszcze z XIX wieku (znamy to choćby z dziejów pierwszego „Robotnika”). Ta tradycja sprawiła, że dla pokolenia wychowanego po 1918 roku stało się niejako oczywistością historyczną, że tak było i widocznie tak powinno być. My wszyscy, czytający przed wojną choćby tylko wypisy szkolne, spotykaliśmy odniesienia do dziennikarstwa podziemnego, do piśmiennictwa podziemnego przed pierwszą wojną i widzieliśmy w tej działalności jedną z uprawnionych i niezbędnych form na rzecz odzyskania wolności, przekazywania określonych wartości, przygotowania do życia w niepodległym państwie polskim. Tak to widzieli ci, którzy wtedy „bibułę” wytwarzali, ci, którzy ją czytali, tak też rozumowali organizatorzy i słuchacze dawnego Towarzystwa Kursów Naukowych przed pierwszą wojną. A następnie ci, którzy przecież - z tych samych źródeł inspiracji - niejako automatycznie i odruchowo sięgnęli do tej broni w roku 1939, kiedy pojawienie się prasy tajnej na ziemiach okupowanych przez armię Hitlera wyprzedziło o kilka dni pojawienie się prasy okupanta. Fakt ten okazał się dość rewelacyjny dla badaczy tego okresu. Stara tradycja owocowała, wracała w już wyżłobione łożysko. Jest oczywiste, że gdy mi zakazują mówić głośno, mówię szeptem, a jak mi zakazują drukować jawnie, drukuję tajnie. Rozumieli to harcerze i działacze społeczni, ludzie wszystkich nurtów politycznych od prawicy do lewicy i wszystkich tradycyjnych polskich szkół myślenia. Pod tym względem w mentalności Polaków w gruncie rzeczy nie



było żadnej różnicy.

Po drugiej wojnie problem ten znalazł się w bardzo specyficznym uwikłaniu, którego tutaj nie będę przedstawiać, bo nie jest to dzisiaj moją rolą, a i granice naszej tematyki na to nie pozwalają. Mam na myśli literaturę i dziennikarstwo, a nawet ruch intelektualny w Polsce w latach 1945-1956.

Faktem jest, że mimo tych uwikłań - wielość postaw Polaków została zachowana, mimo wszystko. Że również obecność w wolnym świecie setek Polaków piszących - w tym dziesiątków piszących znacząco - odegrała poważną rolę w utrzymaniu ciągłości dorobku pisarstwa w języku polskim, w duchu kultury polskiej i jej humanistycznych i demokratycznych tradycji. Po roku 1956 dorastać zaczęło już nowe pokolenie, w latach sześćdziesiątych jeszcze nowsze pokolenie literackie, które dziś ma już dorobek i sprawdziło się w swojej autentyczności. Jak wspominałem, druga połowa lat siedemdziesiątych przyniosła w Polsce nie tylko gwałtowną reakcję typu wydawnictw poza zasięgiem cenzury, przyniosła też w ogóle gwałtowną potrzebę mówienia prawdy. Ludzie teraz chcieli mówić głośno to, co mówili dotychczas w czterech ścianach.

Coraz więcej było tych, którzy decydowali się własnym nazwiskiem podpisać tekst, za który mogli mieć (i miewali) bardzo poważne przykrości, albo wygłosić w dostępnych organizacjach społecznych, literackich, kościelnych odczyt czy wykład. Ta liczba rzeczywiście stawała się uderzająca, i to nie tylko w Warszawie, ale w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, a dzięki grupie „Spotkań” także w niemającym wielkich tradycji pisarskich Lublinie. Z jednej strony postępowała beztroska, marnotrawstwo i korupcja, a z drugiej strony narastał - prawie lawinowo - opór wyrażający się nie tylko w nieobecności „u dworu”, ale także w obecności na ważnych odcinkach frontu. Obok pisarzy *sensu stricto* pojawiło się wiele prób typu dziennikarskiego podyktowanych często bardziej dobrą wolą aniżeli umiejętnościami, ale zawsze przecież ważnych.

Lata 1980 i 1981 uświadomiły bardzo licznym rzeszom młodych Polaków, nie tylko z kół akademickich, ale przede wszystkim młodym robotnikom i chłopom, wagę i znaczenie pisarstwa - wagę słowa. I tradycyjna rola przewodnika wskazującego drogi, autorytetu, który miał być sumieniem (rola zupełnie nieznaną na przykład literaturze francuskiej, angielskiej, niemieckiej) przypadła w Polsce - obok Kościoła - literaturze. Była nawet pod pewnymi względami bardziej uniwersalna, bo dotyczyła również ludzi indyferentnych. Słowo pisane trafiało do wszystkich: wiersz, piosenka, satyra, nowelka, reportaż. Lata 1980 i 1981 były tego sprawdzianem. Myśmy wszyscy właściwie, i to był nasz nieduży grzech, nie mieli rozeznania, na ile możemy spodziewać się rezonansu społecznego. Niektórzy z nas pracujący

w pismach typu „Tygodnik Powszechny”, „Więź”, „Znak” lub w pismach naukowych, czyli tam, gdzie była jeszcze swoboda manewru, innego sformułowania wypowiedzi, mieli chociaż listy czytelników, echa odbioru w środowisku. Natomiast ogół pisarzy, pozbawiony tej wiedzy, stawiał wielki znak zapytania nad tym środowiskiem odbiorców, taką wielką masą - nieznaną, a korumpowaną, a właśnie ta masa okazała w ostatnich latach wielokrotnie swoje prawdziwe oblicze, także przez bardzo dobry odbiór wydawnictw podziemnych, a w latach 1980-1981 przez rozwój powszechnie tutaj znanych zjawisk.

Doba „Solidarności” była dobą potwierdzenia i sprawdzenia się, była dobą mobilizacji i dobą wyboru. Okazało się, że istnieją setki dziennikarzy i dziesiątki pisarzy, którzy byli gotowi do daleko idących koncesji, ale nie byli gotowi na wszystko. Że ta granica wytrzymałości moralnej czy też wytrzymałości na obrzydliwość była różna - jak to i po ludzku można było zakładać. Okazało się, że dla bardzo wielu ludzi ta granica już została osiągnięta i powiedzieli sobie wtedy: nie! my więcej tego praktykować nie będziemy!

Taka była zresztą geneza bardzo dużego ruchu odchodzenia dziennikarzy od dotychczasowych zachowań i treści, również w prasie politycznej. Zjawisko to ogarniało również pisarzy, których coraz więcej decydowało się na wybór zupełnie jasny, na jaki nie zdecydowali się po roku 1956, 1968 czy 1970, a zdecydowali się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To dowodziło, że ten naród nie jest do cna skorumpowany, że jest „jak lawa”, i że ta skorupa nie stanowi o wewnętrznej zawartości tego, co się w życiu umysłowym i duchowym Polaków dzieje. To było dla wszystkich odkryciem, nie było bowiem człowieka, który mógłby z pewnością stwierdzić, że wie, co całe społeczeństwo sądzi. Pokazała to próba zorganizowania się w dziewięć - czy dziesięćmilionowej grupie ludzi, w warunkach wolnych związków zawodowych, których treści dopatrywano się dużo głębiej niż tylko w uregulowaniu warunków pracy, płacy i spraw socjalnych. Nie będziemy tutaj analizować tego ruchu, ale rola literatury polskiej i pisarzy polskich w tym czasie stała się jakimś samooczyszczeniem się dla wielu twórców i przyniosła im poczucie ogromnego, autentycznego - i nie sztucznego, nie plakatowego, nie, jak często dotąd deklaratywnego tylko - oparcia w masach i to właśnie robotniczych. Obieg piśmienictwa tajnego po fabrykach, zakładanie bibliotek literatury zakazanej w zakładach pracy to były zjawiska nieznane w Polsce Ludowej w ciągu jej istnienia od 1944 r. - ani co do nasilenia, ani co do jakości uczestników. A uczestniczyli w tym ludzie znakomici, zresztą o wielu wiadomo, bo nazwiska są znane. Zaczęły się też pewne przemiany w organizacjach zawodowych i te przypomnę.

Związek Literatów Polskich, który od lat był terenem, na którym uzewnętrzniały się

odważne, ludzkie, humanistyczne sądy - przypomnijmy rok 1968, także lata poprzednie, od roku 1955-1956, dokonał w trybie absolutnie demokratycznym wyboru 136 delegatów, a ci wybrali w końcu grudnia 1980 roku nowy zarząd. Byliśmy wtedy z Wiktorem Woroszylskim, Stefanem Żółkiewskim, Wojciechem Młynarskim i Markiem Skwarnickim w komisji matce, która proponowała kandydatury, dyskutowaliśmy w całkowitej zgodności. Ale musieliśmy podjąć bardzo duży trud, aby przekonać naszych kolegów na sali Walnego Zjazdu Delegatów Związku, aby zechcieli wybrać również pisarzy partyjnych, tych, którzy legitymacji nie złożyli, bo mieli swoje motywacje - i te motywacje należało szanować. Chcieliśmy przekonać naszych kolegów, aby z tamtych nie zrezygnowali. W przemówieniach, które na ten temat wygłosił Jan Józef Szczepański i za jego wiedzą - ja, podnieśliśmy, że jeżeli zarzucaliśmy innym niemoralną czy złą praktykę, to musimy dać przykład, że my takiej praktyki w swoim postępowaniu stosować nie chcemy, że kierujemy się kryteriami znaczenia w środowisku, dorobku, nazwiska, przyzwoitości koleżeńskiej - żadnymi innymi. I rzeczywiście udało nam się wprowadzić do Zarządu Związku nawet powyżej proporcji właściwych dla poglądów ludzi w Polsce, kilku (na przeszło 30) kolegów - członków partii. Zresztą w tej chwili mają przeważnie trudności: albo już członkami partii nie są, albo mają przykrości, ale nie ze strony środowiska literackiego. To była rzecz formalna, była ona jednak wyrazem zachodzących w tym środowisku procesów merytorycznych. Równocześnie polski Pen Club dokonał w 1980 roku wyborów i wśród kilkunastu członków zarządu (na czele stanął, jak poprzednio, od zgonu Jana Parandowskiego, Juliusz Żuławski) nie zabrakło nazwisk ludzi wszystkich generacji pisarskich, cieszących się uznaniem i zainteresowaniem czytelników i kolegów.

Noc 13 grudnia 1981 roku uderzyła w środowisko pisarskie nie w większym stopniu niż we wszystkie inne środowiska (to byłaby przesada, gdyby inaczej określić). Niemniej jednak, w skali ogólnopolskiej, ponad dwudziestu pisarzy znalazło się w różnego typu miejscach zamknięcia, nazywanych ośrodkami internowania. A ponieważ tą sprawą z obowiązku, jako sekretarz Pen Clubu, interesowałem się szczególnie, muszę powiedzieć, że spośród jego 260 członków 14 osób znalazło się w ośrodkach internowania, aresztach i więzieniach; nie jest to procent mały. Nie ma tu miejsca na rozsnuwanie wspomnień obozowych - wobec tego, co się w Polsce działo, doświadczenia pisarzy czy dziennikarzy internowanych mogą być tworzywem dla nich samych i mogą być pożyteczne w ich własnej twórczości, ale w skali ogólnonarodowej stanowią one promil procenta cierpień nauczycieli, studentów, a zwłaszcza robotników, chłopów i innych, więc nie będziemy tutaj własnego ogona jak pliszka chwalić. Natomiast warto chyba powiedzieć, że późniejszy okres (od września 1982, to jest od mojego czasowego wyjazdu z Polski, obserwuję to pośrednio),

kiedy stan wojenny jeszcze trwał, ale znaczną część ludzi już z obozów zwalniano i kiedy zaczęły się różne pokusy i zakusy, próby dogadywania się ze środowiskami twórczymi - wykazał polaryzację bardzo ostrą, ale zarazem bardzo znamioną. Niesłuchanie wąta grupa ludzi zdecydowana była na wszystko. Ogromna większość ludzi zdecydowana była na wszystko na „nie”, a na wszystko na „tak” bardzo niewielu. Ten stan rzeczy nie uległ wielkiej zmianie do momentu rozwiązania ZLP. Chciałem tutaj powiedzieć, że rozwiązanie Związku nastąpiło formalnie 19 sierpnia 1983 nie z żadnych zasadniczych powodów, tylko po prostu dlatego, że tak miało być i od szeregu miesięcy się to przygotowywało. Tego samego dnia znaleziono dziwną formułę, zawiadamiając o rozwiązaniu zarządu polskiego Pen Clubu, której to organizacji działalność (teoretycznie) przywrócono. Widocznie ktoś wpadł na pomysł, że rozwiązanie sekcji międzynarodowej organizacji jest dość kłopotliwą sprawą, w związku z tym znalazł wyjście, które uznał za pośrednie. To pośrednie wyjście dało efekty raczej komiczne czy groteskowe, ponieważ (ku chwale moich kolegów przebywających w kraju) nie znalazł się wśród członków Pen Clubu nikt, kto by się zgodził zostać komisarycznym prezesem. Wiem o konkretnych odmowach ludzi, którzy mają w kraju i na emigracji jak najgorszą opinię, ale się jednak nie zdecydowali. Wtedy władze powołały czteroosobową grupę pracowników Ministerstwa Kultury i podległych temu ministerstwu wydawnictw państwowych, nie literatów, nie pisarzy, w ogóle nie członków Pen - którym powierzono komisaryczny zarząd polskiego Pen Clubu. Jest to równie dobre, jak gdyby na tej sali wyłonić komisaryczny zarząd PZPR, ponieważ nikt z tu obecnych do niej nie należy... Istniała idea, aby ci panowie zorganizowali wybory, aby członkowie Pen „wykazali rozsądek”. Do tej pory - a sprawa toczy się od sierpnia 1983 r. - wyborów takich nie zorganizowano. Oczywiście można powiedzieć jako *advocatus diaboli*, że związek zawodowy literatów daje szereg uprawnień, choćby typu bytowego, a Pen Club - żadnych; w klubie można być albo nie, nieangażowanie się w to jeszcze niczego nie dowodzi. No, ale niewiele mieliśmy przykładów od 1945 roku, żeby nie można było znaleźć ani jednego nazwiska, które by się ochoczo nie zaangażowało na pierwszej linii „odnowicieli” jakiejś organizacji. Tutaj jednak to nie nastąpiło, nie wiem, czy nie nastąpi, ale cokolwiek by nastąpiło, ten okres wielu miesięcy bezskutecznych prób jest bardzo pouczający i ciekawy.

Należę do ludzi, którzy na pytania cudzoziemców: Co będzie teraz po rozwiązaniu ZLP i zawieszeniu działalności Pen Clubu? - odpowiadają, że to nie ma żadnego poważniejszego wpływu na losy literatury polskiej. Nasi najwięksi pisarze XIX wieku i pisarze w czasie okupacji niemieckiej, w podziemiu, tworzyli całkiem niebłahe rzeczy, nie należąc do żadnych związków twórczych. W historii piśmiennictwa instytucja związków

twórczych była nieznaną, a w Polsce miała wprowadzić tradycję już przeszło sześćdziesięcioletnią, ale literatura ma nieco dłuższą. Wydaje mi się, że istnienie czy nieistnienie związku jest raczej problemem ludzkim, jest problemem socjalnym, problemem utrudnień życia w specyficznych warunkach „realnego socjalizmu”, jest problemem, który może odbijać się na uprawnieniach emerytalnych, na warunkach bytowania i na możliwości wydawania. To są problemy do rozpatrywania, ale nie, czy twórczość literacka jako taka jest bardziej gwarantowana, jeżeli istnieją związki, zrzeszenia, federacje czy kluby. W moim przekonaniu, z pewnością nie! Gdyby tak było, to, co było podziemne, byłoby zawsze mniej warte od tego, co było premiowane, a bywało przecież odwrotnie. Natomiast zachowanie się pisarzy polskich, których do tej pory około 300, spośród 1400, zdecydowało się na zawiązanie nowego związku, jest zachowaniem bardzo znamienym, dowodzącym, że pewne procesy, o których wspominałem - osiągnięcia, bariery, dojścia do kresu własnych możliwości moralnych, braku gotowości do działania w pewnym trybie - sprawdzają się w odniesieniu do wieluset ludzi, wśród nich ludzi o największych nazwiskach. Od około trzydziestoletnich, którzy mają bardzo wiele do stracenia, do ludzi starych, którzy może chcieliby mieć pewność, że będą drukowani, którzy chcieliby jeszcze jakiś swój tom zobaczyć, poprzez pokolenia i środowiska pisarskie: krakowskie, poznańskie, niesłuchanie twarde wrocławskie, gdańskie, warszawskie wreszcie - ludzie się sprawdzają.

Jakie widzę zagrożenia i jaką przyszłość literatury polskiej z perspektywy doświadczeń, z perspektywy obserwacji zza granicy i z perspektywy własnego zamiaru powrotu do Polski w październiku 1984 r.? Widzę to i optymistycznie, i pesymistycznie. Oczywiście jest to potężny młyn i zachodzi bardzo istotna potrzeba uwzględniania ludzkiej sytuacji pomagania ludziom. Trzeba pomagać im w tym, żeby mogli być, jacy chcą być. Trzeba brać jednak pod uwagę granice możliwości. Ale zagrożenie najpotężniejsze to cenzura! Zagrożeniem jest tylko to, co jest barierą dla uzewnętrzniania się twórczości, bo dla samej twórczości barier teoretycznie nie ma. Faktycznie jednak przy delikatnej i złożonej psychice twórców, istnieją. Bardzo niewielu ludzi jest przysłowiowymi „autorami do szuflady”, to się zresztą sprawdziło już wielokrotnie w sensie negatywnym. Pisarz wprowadzić nie aktor, ale też chce mieć odbiór, krytykę, słuchaczy i czytelników. Literatura obiegu nieoficjalnego będzie istniała - w jakim zakresie, nikt tego nie wie, ale tego procesu już cofnąć się nie da. Niemniej jednak, jeżeli czytamy niektóre pisma krajowe: „Tygodnik Powszechny”, „Więź”, „Znak” (tylko te - niepaństwowe - chcą czynić użytek z przysługującego im prawa oznaczania miejsc skreślonych), to widzimy, że pod rządami obecnej, znów zmodyfikowanej, ustawy o cenzurze zachowane jest pewne pozytywne novum

z 1981 r.: wskazywanie ran, to znaczy wolno mówić, że jest się zranionym, ale nie wolno pokazać gatunku rany ani powiedzieć, czy jest się ciężko, czy lekko rannym. Można się tego ewentualnie domyślać. Z drugiej strony, praktyka w odniesieniu do pisarzy niewątpliwie określonych ideowo, jak widać na przykładzie jednego z moich przyjaciół - Wiktora Woroszylskiego, wskazuje, że wydano mu kilka książek w ostatnim roku, co wcale nie znaczy, i on tak sam nie sądzi, że będą wydawane dalej. Dla celów propagandowych, trickowych, mydlenia oczu, dla celów stworzenia „liberalnego” obrazu rzeczywistości - czyni się pewne koncesje. I bardzo pragnie się uderzyć w surmy według modelu 1968 roku, a więc w białoczerwony szeleszczący celofan opakować różne rzeczy, nawiązać do wartości narodowych i patriotyzmu, który rozumie się jako patriotyzm: antyniemiecki, antyżydowski, antyczeski, antyukraiński i na klęczkach przed Rosją. Otóż ten typ patriotyzmu w Polsce jest już zupełnie skompromitowany. Skompromitował się w końcu lat sześćdziesiątych, kompromitację potwierdziły lata siedemdziesiąte i chciałbym mieć nadzieję (tu jest cząstka optymistyczna), że nikt o jakim takim nazwisku, kto chce być czytany, już w tę surmę nie zadmie. Nie chodzi w tej chwili o nazwiska, ale o pewną ogólną sytuację. Wydaje mi się zresztą, że w Polsce najbardziej można ludziom pomóc, nie za wiele o nich mówiąc (chyba że sami tego chcą), ale istotnie ich wspierając. Nie wolno jednak nigdy przestać głośno występować w obronie pisarzy, dziennikarzy i działaczy społecznych, którzy siedzą w więzieniach, a także w obronie tych, którzy niezależne słowo doprowadzają do czytelnika: tajnych wydawców, drukarzy, kolporterów. To jest nowa (a raczej odnawiająca się) jakość; tych dwustu kilkudziesięciu ludzi (chyba jednak więcej), którzy są dzisiaj w Polsce pozbawieni wolności, może stać się załęczkiem - dwóch tysięcy, dwudziestu tysięcy, a może dwustu tysięcy! Myśmy w Polsce już przeżyli okres, gdy siedziało w więzieniach kilkaset tysięcy ludzi, ale optymistyczne w tym jest to, że o ile w latach 1954-1955 o nich się nie mówiło - naród się nimi nie interesował - w tej chwili sytuacja, cierpienia i ofiara tych ludzi są przedmiotem zainteresowania świata. I nie mogą przestać być przedmiotem zainteresowania. To jest postulat minimum: wolność fizyczna dla ludzi i nieustanna próba poszerzania swobód.

Czy i jak będziemy dawali sobie radę z cenzurą? Proszę państwa, Lopek Krukowski mawiał w swoich kabaretowych występach: „jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było”. Otóż obecne „jakoś” to nie jest ta jakość, której byśmy chcieli, ale będzie inne „jakoś” i myślę, że wszyscy obecni na tej sali tego „innego” doczekamy. Bo te wzloty i spadki następują coraz szybciej. Sytuacja jest trudna, bardzo trudna, ale bynajmniej nie należy jej uważać za beznadziejną ani wiązać tej beznadziejności z samymi formami organizacyjnymi

Natomiast należy czerpać otuchę z tego, że postawa moralna twórców chyba nigdy - od okupacji niemieckiej - w takim stopniu i w takiej masowości nawet w roku 1956, nawet w 1968, nie zarysowała się tak jednolicie, jak na gruzach organizacyjnych „Solidarności” w Polsce stanu wojennego. Dziękuję.

1 Nagrodą Pokojową Księgarstwa Niemieckiego, przyznawaną dorocznie od 1950 r., wyróżnieni byli m.in.: Albert Schweitzer, Romano Guardini, Martin Buber, Reinhold Schneider, Karl Jaspers, kard. Augustin Bea, brat Roger z Taizé, Manes Sperber, a z Polaków: Janusz Korczak (pośmiertnie, 1972) i Leszek Kołakowski (1977). *Laudatio* przy wręczaniu nagrody w 1986 r. wygłosił ówczesny minister nauki i kultury Bawarii prof. Hans Maier. Pierwodruk prezentowanego tutaj tekstu ukazał się w „Kulturze” (Paryż), nr 11/470, z listopada 1986 r., próba ogłoszenia tekstu przez „Tygodnik Powszechny” (w nrze z 12 X 1986 r.) udaremniona została przez cenzurę.

Część trzecia

DLA POLSKI, EUROPY I ŚWIATA



## **Nie ma pokoju bez wolności**

Przemówienie na uroczystości wręczenia Nagrody

Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1986

we Frankfurcie nad Menem 5 X 1986

*Laudatio* Profesora Hansa Maiera przyjmuję z tym większą wdzięcznością i wzruszeniem, że nie zapomniałem i nie zapomnę, iż Hans Maier należał do tych niemieckich intelektualistów, którzy w grudniu 1981 roku, gdy wraz z wieloma innymi pozbawiony byłem wolności, wystąpił jako prezes Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich do władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o zwolnienie mnie i moich przyjaciół z miejsca odosobnienia.

Decyzja o przyznaniu mi Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego była dla mnie tyleż zaskakująca, co radosna, a ponieważ zwykłem trześć i sens przyznawanych mi wyróżnień traktować poważnie, uznaję ją także za wysoce mnie zobowiązującą. Wśród dotychczasowych laureatów tej nagrody nie brak przecież osób, które w znacznym stopniu przyczyniły się do kształtowania podstawowych pojęć w zakresie moralności społecznej, pojęć dotyczących człowieka, celów jego życia, szczytnych ideałów wolności i pokoju, doświadczeń historii i perspektyw historii. Nie brak osób, które wywarły niemały wpływ na moje własne myślenie przez swe słowa i dzieła, ale przede wszystkim przez swą postawę w chwili ostatecznego wyboru - mam na myśli doktora Henryka Goldszmita - Janusza Korczaka jednego z cichych bohaterów naszego stulecia. W pierwszych latach przyznawania Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego wyróżniono nią takie osobistości, zapisane już dziś na kartach kultury europejskiej, jak Albert Schweitzer, Romano Guardini, Martin Buber, Reinhold Schneider czy Karl Jaspers. W ostatnim dziesięcioleciu znaleźli się wśród laureatów tej nagrody między innymi ludzie o innym, specyficznym doświadczeniu, znamienym też dla naszej epoki - Leszek Kołakowski, Lew Kopelew i Manes Sperber. Z wyrażonym w tej sali w październiku 1983 roku moralnym i politycznym testamentem zmarłego w międzyczasie Manesa Sperbera w pełni się identyfikuję.

Jest mi szczególnie miło, że moim bezpośrednim poprzednikiem, laureatem Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1985, był Teddy Kollek, burmistrz Jerozolimy, która w moim odczuciu była i jest nie tylko świętym miastem trzech religii - mozaizmu, chrześcijaństwa i islamu, ale Miastem całej ludzkości. Teddy Kollek, człowiek, który łączy głęboki patriotyzm wobec swego narodu i państwa z prawdziwym poszanowaniem ludzi innych wyznań, innej narodowości i innych poglądów.

Nigdy chyba tyle co dziś nie mówiono w Europie o pokoju: o potrzebie pokoju, o

obronie pokoju, o miłości pokoju. Chwilami nasuwa się obawa, że w istnej powodzi oświadczeń i deklaracji, zaklęć i haseł na ten temat gubi się już niemal prawdziwy, czyli głębszy sens samego pojęcia. Powstaje wręcz podejrzenie, że w wielu wypadkach chodzi bardziej o własny spokój i wygodę niż o pokój, że pojęcie pokoju staje się przedmiotem manipulacji. Posługujemy się nim coraz częściej, ale zbyt rzadko zastanawiamy się nad warunkami, które trzeba spełnić, aby pojęcie pokoju sprowadzone zostało do jakiegoś wspólnego mianownika dla całej cywilizowanej ludzkości. A przecież jeden z największych umysłów niemieckich XX wieku, Karl Jaspers, sformułował tu, w Paulskirche, w swojej mowie z okazji przyznania mu nagrody pokojowej, trzy zasady, których głębia i prostota wydają się w świetle dzisiejszych doświadczeń jeszcze bardziej oczywiste niż w 1958 roku:

Po pierwsze: nie sposób utrzymać pokoju zewnętrznego bez pokoju wewnętrznego w ludziach. Po drugie: pokój - jedynie poprzez wolność. Po trzecie: wolność - jedynie poprzez prawdę.

I całkowicie jednoznacznie:

Najpierw wolność, potem pokój na świecie! Żądanie odwrotne: „najpierw pokój - potem wolność” ludzi. Zewnętrzny pokój, utrzymywany na krótko, przez przypadek, despotyzm, zręczne pociągnięcia albo lęk wszystkich przed wszystkimi, nie jest pokojem utwierdzonym w człowieku. Rzeczywisty niepokój wynikający z braku wolności jednostek doprowadziłby wkrótce znów do wojny. [...] Jeżeli chcemy wolności i pokoju, musimy się spotkać w wymiarze prawdy, która leży poza wszystkimi partiami i zapatrywaniami, poza naszymi rozstrzygnięciami i decyzjami.

Należę do generacji wychowanej jeszcze w cieniu doświadczeń pierwszej wojny światowej i naznaczonej we wczesnej młodości przekraczającą wówczas ludzką wyobraźnię próbą drugiej wojny światowej. Ale należę też do narodu niezwykle ciężko doświadczonego w niewoli w wieku XIX i po krótkiej chwili oddechu zagrożonego w swoim istnieniu od roku 1939. Dlatego też może sprawa pokoju ma dla mnie szczególną wagę. Ale z tego samego powodu jest ona dla mnie nierozdzielna od sprawy wolności człowieka i grup ludzi, wolności wyznania czy światopoglądu, wolności wyboru miejsca i form życia, wyboru systemu politycznego i gospodarczego, wolności słowa, wolności od strachu. Dopóki te warunki bytowania ludzi nie zostaną spełnione, dopóki nie zostaną spełnione nawet na naszym starym subkontynencie europejskim szczycącym się wszak tradycją kilkudziesięciu pokoleń ludzkich czerpiących ze wspólnych źródeł kultury i cywilizacji, dopóty nie zapewnimy podstaw trwałego pokoju. Nawet gdybyśmy się do nich w niektórych krajach przybliżyli.

W jednej z ksiąg Starego Testamentu - w Księdze Powtórzonego Prawa - znajdujemy

przestrożę Mojżesza, pouczającego swój lud po latach ciężkich doświadczeń, aby rozmyślając o przeszłości, uczył się z historii.

W pokoleniu, do którego należę, które widziało na własne oczy mury i zapory z drutów kolczastych dzielące ludzi - mury getta w Warszawie i gdzie indziej, mur dzielący przez lata Jerozolimę i mur dzielący dziś Berlin - najważniejsze wydaje się popieranie wszystkiego, co ludzi łączy i przeciwstawianie się wszystkiemu, co ludzi, wbrew ich woli, dzieli.

Żaden naród, żadne państwo, żaden rząd i żadna partia polityczna nie ma patentu na humanizm, człowieczeństwo i szlachetność ani na bezbłędne postępowanie. Ale nikt też nie jest w dzisiejszym świecie skazany na akceptację na stałe ucisku jako formy sprawowania władzy. Wiele państw umiało skorzystać niemało z nauki historii, z doświadczenia, że żadna idea nienawiści ani imperialna pycha nie popłacają. Głoszenie czy praktykowanie po cichu zasady nienawiści rasowej, narodowej, wyznaniowej, klasowej, zresztą nienawiści jakichkolwiek grup ludzi wobec innych ludzi - prowadzi w ślepą ulicę. Można by to uznać za truizm, ale czy z całą pewnością jest to problem całkowicie przewyższony, nieistniejący, nieaktualny w stosunkach międzynarodowych i w stosunkach wewnętrznych poszczególnych państw współczesnego świata? Czy zmieniła się w sposób wystarczający mentalność polityczna mocarstw, czy dostrzegalna jest rzeczywista gotowość do kompromisu, do rzetelnej rezygnacji z poszerzania stref wpływów politycznych i militarnych przy jawnym czy podstępym użyciu środków przemocy, dywersji, terroru? I to wszystko w czasach, w których wolny rozwój stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i swoboda kontaktów między ludźmi mogłyby w większym stopniu zagwarantować pomyślność wielu narodów niż samo tylko zawzięte trwanie przy tradycyjnych - a zdawać by się mogło dawno skompromitowanych - metodach przemocy!

Uważa się na ogół za bezsporne, że na pierwszym miejscu wartości wspólnych Europie stoi człowiek, jego życie, dobro i przyszłość. W świetle doświadczeń historii najnowszej nikt przynajmniej nie odważa się tego głośno kwestionować i samo to stanowi już pewien postęp w dziejach. Człowiek więc ma być na tej ziemi celem, a nie narzędziem. Państwa, organizacje społeczne, partie polityczne mają służyć człowiekowi, a nie on im. Do osiemnastowiecznych haseł wolności, równości i braterstwa dołączyło się bardzo realistycznie pojmowane hasło sprawiedliwości społecznej, czyli ładu zapewniającego poszanowanie praw człowieka pracującego i stworzenie mu godziwych warunków życia. Ale równocześnie był przecież ten, zbliżający się ku końcowi, wiek XX wiekiem straszliwej zbrodni na ludziach w imię obłąkanych idei i pozostanie zapewne w historii wiekiem

masowego wyniszczenia ludzi pod kryptonimem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” lub pod innymi kryptonimami, ale także wiekiem obozów koncentracyjnych tworzonych w różnych miejscach i w różnym czasie przez ludzi dla ludzi. Cały cywilizowany świat potępia wprawdzie w ostatnich dziesiątkach lat ucisk rządzonych przez rządzących, ale dotychczas nie zdołaliśmy, niestety, doprowadzić do tego, by instytucja więźniów sumienia, tortury stosowane przez różne policje polityczne, ucisk z powodu wyznawanej wiary czy przekonań i mordowanie kapłanów różnych wyznań należały do pojęć znanych już tylko z książek, aby przestały funkcjonować różnego rodzaju obozy pracy przymusowej i obozy koncentracyjne. Mało tego - postęp medycyny doprowadził w dwudziestym stuleciu do przymusowego izolowania i maltretowania ludzi w zakładach psychiatrycznych, jeśli wyznają i głoszą poglądy sprzeczne z ideologią i interesami władzy.

Pojęcie wolności słowa, badane w wielu krajach, opisywane w setkach prac politologów, socjologów i badaczy środków masowego przekazu, ciągle jeszcze interpretowane jest w sposób całkowicie odrębny w różnych krajach europejskich. Prymitywne przeświadczenia, że odcięcie ludzi od źródeł informacji, wyłączenie ich z wolnego obiegu wiadomości ułatwi bezdyskusyjne władanie grupami ludzi czy narodami i przejęcie przez nich jednolitej formuły czy też jednolitej recepty politycznej albo ideologicznej, wydawać się może naiwnością, jeśli nie nonsensem, w dobie współczesnego rozwoju środków masowego przekazu. A jednak praktyka taka istnieje. Można jednak uznać za pewne, że jeśli nawet przez jakiś jeszcze czas dawać ona będzie zamierzone rezultaty, to w historii nie sprawdzi się i przeminie, i będzie widziana z czasem w podobnej niesławie jak instytucja niewolnictwa.

Bezspornym i szczęśliwym faktem jest to, że w Europie - choć niestety nie na całym świecie - nie doszło od ponad czterdziestu lat do wojny między państwami. Zawahałbym się jednak przed nazwaniem pięknym słowem „pokój” stanu rzeczy, w którym w kilku krajach europejskich występuje szczególnie i krwawy zorganizowany terroryzm, pociągający za sobą wciąż nowe krwawe ofiary wśród ludzi. Wydawać by się mogło, że przeciwstawianie się temu zbrodniczemu i ponuremu zjawisku może stanowić jeden z ważnych celów działalności szczerze ideowej młodzieży, która uczestniczy w różnych europejskich organizacjach ruchu pokojowego. Nie może być przecież mowy o wiarygodności jakichkolwiek organizacji czy partii politycznych, które by programowo lub podświadomie lekcewały prawo naturalne i wynikające z niego prawa człowieka, których nikt mu nie może podarować ani odebrać, w tym podstawowe prawo do życia i do ochrony życia.

Nienawiść, wrogość i pogarda wobec ludzi mają i dzisiaj różne oblicza. Terroryzm

jest tylko jednym z nich. Ale znamy i inne zagrożenia porządku moralnego. I tak na przykład, by rzekomo uniknąć tak zwanego większego zła, praktykuje się niejednokrotnie uległość wobec przemocy i naruszania podstawowych praw osoby ludzkiej. Antysemityzm ubiera się w fałszywą maskę tak zwanego antysyjonizmu, co pozwala na manipulowanie niskimi namiętnościami i wywoływanie z uśpienia różnych resentymentów. Swoistym przejawem pogardy wobec ludzi jest też apodyktyczne orzekanie o granicach wolności dla innych, pragmatyczna nonszalancja w traktowaniu narodów uciśnionych. Jakżeż jasno i jednoznacznie brzmi na tym tle głos Papieża Jana Pawła II, który w swej pierwszej encyklice *Redemptor hominis* podjął problem istoty praw człowieka jako fundamentu życia w pokoju:

Pokój sprowadza się w ostateczności do poszanowania nienaruszalnych praw człowieka - dziełem sprawiedliwości jest pokój - wojna zaś rodzi się z ich pogwałcenia i łączy się zawsze z większym jeszcze pogwałceniem tych praw. A jeśli prawa człowieka są gwałcone w warunkach pokojowych, to staje się to szczególnie dotkliwym i z punktu widzenia postępu niezrozumiałym przejawem walki z człowiekiem, którego nie sposób pogodzić z żadnym programem określającym siebie jako „humanistyczny”. A jakież program społeczny, ekonomiczny, polityczny, cywilizacyjny mógłby zrezygnować z takiego określenia? Żywimy głębokie przekonanie, że nie ma takiego programu w dzisiejszym świecie, w którym nawet na gruncie przeciwstawnych sobie światopoglądów nie wysuwa się zawsze człowieka na pierwszy plan.

Jeśli przeto pomimo takich założeń prawa człowieka bywają na różny sposób gwałcone, jeżeli w praktyce jesteśmy świadkami obozów koncentracyjnych, gwałtów, tortur, terroryzmu, a także różnorodnych dyskryminacji, to musi to być konsekwencją innych przesłanek, które podkopują, a często niejako unicestwiają skuteczność humanistycznych założeń owych współczesnych programów i systemów.

Jury Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego uznało za słuszne, określając cechy mojej osoby, nazwać mnie żarliwym katolikiem, żarliwym Polakiem i żarliwym humanistą. Zaszczytne te określenia zaczerpnięto, jak sądzę, z pewnego tekstu wysoce przeze mnie cenionego Heinricha Bölla, który zechciał poświęcić mi nieco przyjaznej uwagi w jednym ze swoich felietonów radiowych w 1983 roku. Przyznaję wprost, że uznaję się za człowieka żarliwego. A inne przypisane mi właściwości są też prawdziwe. Urodziłem się bowiem w Polsce, a więc w Europie, a następnie ochrzczony zostałem w Kościele katolickim. Wymieniam tu nieprzypadkowo jednym tchem Polskę, Europę i Kościół, bo przynależność do określonego kręgu tradycji i kultury, a więc i do tego, co nazwane tu zostało humanizmem, wiąże się nierozdzielnie zarówno z moją przynależnością narodową i tradycją Kościoła, do

którego należę, jak też z całym dorobkiem myślowym i kulturowym Zachodu. Niezmiernie ważnym elementem tego dorobku wydaje mi się ukształtowanie w ciągu stuleci wspólnej Europejczykom hierarchii wartości i pojęć, które mogły zbliżać lub łączyć ludzi ponad granicami językowymi, narodowymi i państwowymi. Mam na myśli to, co wspólne było w Europie setkom milionów ludzi: powszechna oczywistość pojęć takich, jak wolność i godność osoby ludzkiej, poszanowanie życia ludzkiego, negatywna postawa wobec wszelkich form gwałtu i przemocy, solidarność z prześladowanymi, opiekuńczość wobec słabych i bezbronnych, szczególna troska wobec matki i dziecka. Dla młodych ludzi wychowanych w Polsce przed drugą wojną światową oczywiste było, że są to wartości powszechnie obowiązujące w Europie, a więc i u naszych sąsiadów. Wrzesień 1939 roku i następujące po nim lata były więc nie tylko okresem doświadczeń w cierpieniu i ofiarności w walce o wolność i niepodległość ojczyzny, lecz także próbą obrony tego porządku moralnego. Praktyka totalitaryzmu i wrogiej okupacji usiłowała bowiem obrócić ten porządek w góry.

Inteligencja polska, wychowana przez wiele pokoleń w związku z najlepszymi tradycjami kultury europejskiej, w poszanowaniu dla osiągnięć myśli Zachodu, także Niemiec, zadawała sobie wielokrotnie w latach drugiej wojny światowej pytanie, jak mogło w ogóle dojść do tego, do czego doszło. Na jakiej glebie wyrosnąć mógł owoc tak głębokiej nienawiści i bezdusznego okrucieństwa jak to, które reprezentowali co dzień na okupowanym terenie Polski przedstawiciele ówczesnego państwa niemieckiego, ówczesnego aparatu władzy, rządząca partia narodowosocjalistyczna, jej entuzjaści, zwolennicy czy też ludzie ślepo jej posłuszni. Czekaliśmy na głos solidarności niemieckich Kościołów chrześcijańskich, na objawy otrzeźwienia, na przejaw ludzkiego protestu wobec niebываłych okrucieństw wymierzonych przeciw „podludziom”, za których uznano Słowian, i „robactwu”, za które uznano Żydów. Dochodziły do nas wiadomości o odważnych protestach niektórych duchownych katolickich i ewangelickich, grupy wokół rodzeństwa Scholl, a w końcowym okresie wojny także ruchu 20 lipca, przeciw systemowi narodowosocjalistycznemu. Nasłuchiwalismy jednak daremnie jednego choćby jasnego zdania w obronie narodów podbitych i ciemnionych, w tym narodu polskiego.

Zadawaliśmy sobie pytanie o przyszłość Niemiec, o moralną przyszłość społeczeństwa niemieckiego po tej wojnie, u której kresu musiała przyjść w naszym niezłomnym przekonaniu straszliwa klęska zła, zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości. Przyznaję, że patrzyliśmy wtedy z wielkim sceptycyzmem na możliwość przeobrażenia w realnie wyobraźalnym czasie narodu, który powierzył władzę Hitlerowi, a który wrócić by miał do chrześcijańskich wartości europejskich.

Naród niemiecki zapłacił rzeczywiście ogromną cenę za wywołaną przez Niemcy wojnę. Cenę strat ludzkich, terytorialnych, cenę podziału. Ale jednak budzące szacunek trud, praca i ofiarność milionów Niemców, a przede wszystkim głęboka reorientacja polityczna - związanie się z wielkimi demokracjami Zachodu, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, które już w latach 1939-1941 oceniały właściwie niebezpieczeństwo hitleryzmu dla świata i dla samych Niemiec - przyczyniły się do stosunkowo bardzo szybkiej odbudowy życia społecznego, gospodarczego i politycznego między Łabą a Renem. Nie nadążały za tym często problemy moralnego przezwyciężenia przeszłości i wyciągnięcia z niej wszystkich wniosków, niezbędnych dla zdrowia psychicznego i prestiżu Niemców i dla przywrócenia tak boleśnie pogwałconej hierarchii wspólnych wartości kultury europejskiej. Dr Richard von Weizsäcker, Prezydent Republiki Federalnej Niemiec, występując w 40. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej, 8 maja 1985 roku, powiedział w duchu godnej najwyższego szacunku rzetelności moralnej:

8 maja był dniem wyzwolenia. Uwolnił on nas wszystkich od nieludzkiego systemu narodowosocjalistycznych rządów przemocy.

Nikt z powodu tego wyzwolenia nie zapomina cierpień, które dla wielu rozpoczęły się właśnie po 8 maja, ale przyczyn ucieczek, wygnania i niewoli nie możemy się doszukiwać w końcu wojny. Leżą one u jej początku, u źródeł tej dyktatury, która do wojny doprowadziła. Nie wolno nam 8 maja 1945 oddzielać od 30 stycznia 1933 roku.

Nie mamy doprawdy powodu, ażeby brać udział w dzisiejszych uroczystych obchodach zwycięstwa, ale mamy wszelkie powody po temu, aby uznać 8 maja za kres błędnej drogi niemieckiej historii, zawierający ziarno nadziei na lepszą przyszłość.

Moje przeszło dwudziestoletnie doświadczenie kontaktów z Niemcami jako Polaka z określoną wiedzą wyniesioną z lat wojny i okupacji - mimo wszystko, co pozostało niezmiennie w pamięci - umożliwiło mi uwierzenie na nowo w człowieka w tym kraju, w jego zdolność i gotowość do czynienia dobrze. Odgrywały tu i odgrywają ogromną rolę inicjatywy i wysiłki wielu intelektualistów, piękne postawy ludzkie i różne bezimienne dzieła ludzi dobrej woli. Ale także działania instytucjonalne: Kościołów chrześcijańskich, organizacji i stowarzyszeń społecznych, kulturalnych i naukowych. A również, a może przede wszystkim, młodych Niemców o otwartych głowach i sercach, którzy widzą w swoich polskich rówieśnikach partnerów, a może i przyszłych przyjaciół.

Już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych odegrały poważną rolę inicjatywy podjęte przez powołaną w kręgu niemieckiego Kościoła ewangelickiego *Aktion Sühnezeichen*, niemieckiej sekcji międzynarodowej organizacji *Pax Christi*, a później także przez ciche i

ambitne dzieło *Maximilian Kolbe Werk*. W 1965 roku ogłoszony został ważny memoriał niemieckiego Kościoła ewangelickiego. W tym samym czasie zajmowano się problematyką stosunków niemiecko-polskich w środowisku intelektualistów katolickich znanym jako *Bensberger Kreis*. W listopadzie 1965 roku, pod koniec Soboru Watykańskiego II, polscy biskupi katoliccy podjęli trudną decyzję, o historycznej doniosłości, wyciągając pierwsi rękę do zgody w swym liście skierowanym do katolickich biskupów Niemiec. W grudniu 1965 roku biskupi niemieccy odpowiedzieli na to orędzie. Te i wiele innych kroków, w tym szczególne kontakty niezależnych intelektualistów polskich z intelektualistami i różnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi w Republice Federalnej Niemiec, przyczyniły się do stworzenia klimatu społecznego, w którym możliwy stał się dla polityków dalszy krok, jakim był układ pomiędzy rządami RFN i PRLu z 7 grudnia 1970 roku. Był to niewątpliwie akt polityczny dużej wagi, który wpłynął w pewnym stopniu na wzrost zaufania, a w dużej mierze na poprawę losu setek tysięcy ludzi i ożywienie stosunków między Niemcami i Polakami, między Polakami i Niemcami. Ale jednak, gdy analizuję własne doświadczenia tak zwanej pracy na rzecz pokoju, obstawać muszę przy twierdzeniu, że najważniejsze jest nie to, co gotowi są oświadczyć i podpisać politycy, choć pomniejszać tego nie należy, ale jakie procesy zachodzą w odczuwaniu, w sumieniu i intelekcie ludzi różnych narodów, na ile przewyciężony jest stereotyp w myśleniu o innych, egoizm, a nawet egotyzm. Na ile dojrzewa na przykład zrozumienie, że ziemia, na której żyjemy tutaj i teraz, po obu stronach Renu, Łaby, Odry, Wisły - jest i będzie w pokoleniach naszych wnuków i ich następców nadal miejscem zamieszkania i współegzystencji, lepszej lub gorszej, ludzi, którzy muszą nauczyć się współżyć ze sobą. Choć w stosunkach Niemców z Polakami i Polaków z Niemcami może to być między innymi z powodu obecnego podziału Niemiec i podziału Europy, trudniejsze niż między innymi narodami Europy, to jednak jest to jedno z wielkich zadań, do których zobowiązane jest nasze pokolenie: nie tylko mimo doświadczeń drugiej wojny światowej, ale właśnie z powodu tych doświadczeń, które dowiodły, że myślenie kategoriami ekstremistycznymi, kategoriami wyniosłości czy jednostronnej przewagi prowadzi donikąd. Ogromna większość dziś żyjących Niemców i Polaków urodziła się po drugiej wojnie światowej. Nie zwalnia to starszych od przekazywania następcom wiedzy o faktach. Ukrywanie czy zniekształcanie faktów historycznych nie prowadzi do niczego.

Tak zwane przewyciężenie przeszłości jest osiągalne przede wszystkim przez zbliżenie i wzajemne lepsze rozumienie się jak największej liczby ludzi. Całkowite pojednanie narodów jest - jak z wielu doświadczeń historycznych wynika - procesem psychologicznie i społecznie dużo trudniejszym i bardziej przewlekłym niż ewentualne



polityczne porozumienie państw. Deklaracje instytucji i układy polityków stanowić powinny raczej otwarcie szerszej drogi dla naturalnych i spontanicznych kontaktów ludzi, niż być traktowane jako rozwiązanie problemu samo w sobie.

Nie mam zamiaru unikać tak zwanych problemów drażliwych. W pełni rozumiem, że dla wielu Niemców należy do nich problem tak zwanych ziem nad Odrą i Nysą. Obecność dziś około 11 milionów Polaków na tych ziemiach uważać należy za bezpośredni skutek drugiej wojny światowej zainicjowanej przez Trzecią Rzeszę. Pozwolę sobie powołać się tu ponownie na mającą dla wielu z nas - i to zarówno Niemców, jak i Polaków - przełomowe znaczenie psychologiczne i moralne wypowiedź prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera w czasie Godziny Pamięci w niemieckim Bundestagu dnia 8 maja 1985 roku:

Hitler dążył do panowania nad Europą i to drogą wojny. Szukał więc do niej sposobności, aż znalazł ją w Polsce.

23 maja 1939 roku oświadczył przed niemiecką generalicją: „Dalsze sukcesy są nie do osiągnięcia bez rozlewu krwi... Gdańsk nie jest celem, o który chodzi. Dla nas istotne jest rozszerzenie przestrzeni życiowej na Wschodzie i zabezpieczenie pożywienia. Odpada więc problem oszczędzania Polski, pozostaje decyzja zaatakowania jej przy pierwszej nadarzającej się okazji. [...] Trzeba dążyć do zadania nieprzyjacielowi od razu poważnego ciosu lub do jego całkowitego zniszczenia. Prawo czy bezprawie albo traktaty nie odgrywają tu żadnej roli”.

23 sierpnia zawarty został niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji. Tajne klauzule regulowały przewidziany rozbiór Polski.

Pakt ten został zawarty w celu ułatwienia Hitlerowi wkroczenia do Polski. Ówczesne kierownictwo Związku Sowieckiego zdawało sobie w pełni z tego sprawę. Dla wszystkich ludzi politycznie myślących w owym czasie było oczywiste, że pakt niemiecko-sowiecki oznacza atak Hitlera na Polskę, a tym samym drugą wojnę światową. Nie zmniejsza to niemieckiej winy za jej wybuch. Związek Sowiecki godził się na wojnę innych narodów, aby przy tym skorzystać. Ale inicjatywa wojny wyszła od Niemiec, nie od Związku Sowieckiego. Hitler był tym, który użył przemocy. Wybuch drugiej wojny światowej pozostanie związany z imieniem Niemiec.

W czasie tej wojny reżim narodowosocjalistyczny uciskał i poniżał wiele narodów. W końcu pozostał tylko jeden naród do uciskania, zniewolenia i zhańbienia: własny naród, niemiecki. Hitler wielokrotnie powtarzał: „Jeśli naród niemiecki nie jest w stanie tej wojny wygrać, niech raczej zginie”.

Inne narody padły najpierw ofiarą wojny idącej z Niemiec, zanim sami staliśmy się

ofiara naszej własnej wojny.

Uciekinierzy, wygnani, przesiedleńcy - wszyscy oni należą do ofiar tej wojny, podobnie jak ci Polacy, którzy w konsekwencji drugiej wojny światowej utracili swoją bliższą ojczyznę we Lwowie, Wilnie czy gdzie indziej na Wschodzie. Tragicznie zawikłane okoliczności historyczne i polityczne doprowadziły do tego, że Polacy może lepiej od wielu innych narodów w Europie, są w stanie zrozumieć cierpienia i trudności ludzi, którzy byli zmuszeni porzucić swą ojczyznę, rozumieją też problem podziału narodu, bo sami go przeżyli. Pozbawienie ludzi ich ścisłej ojczyzny nigdy nie jest samo w sobie czynem dobrym, zawsze złym, nawet jeśli nie widać innego wyjścia w określonej sytuacji historycznej i politycznej. Polacy przybywający ze wschodu Polski na Dolny Śląsk czy Pomorze Zachodnie w pierwszych miesiącach po wojnie zapewne bardziej odczuwali tragizm swego losu niż radość ze zwycięstwa...

Gdyby mi kto - niespełna dziewiętnastoletniemu wówczas Polakowi z Warszawy, drżącemu z zimna, głodu i lęku w zimie 1940 roku, na placu apelowym w Oświęcimiu, pozbawionemu twarzy i imienia *Schutzhäftling Pole nr 4427* - powiedział, że w wymiarze jednego mojego życia doczekam przeobrażenia większości Niemców w społeczeństwo rządzące się prawami humanitaryzmu i żyjące w praworządym europejskim państwie demokracji parlamentarnej, uznałbym to być może za optymistyczne marzenie utopisty. Możliwość zaś akceptacji Polaków przez Niemców, odejścia od dość powszechnego już w XIX wieku i utrzymywanego potem stereotypu Polaka jako człowieka stojącego niejako z natury niżej niż Niemiec, wydawała się mało prawdopodobna. I choć do dziś dyskutować by można, czy i w jakim zakresie przewyżczone zostały stereotypy w myśleniu Niemców o Polakach i Polaków o Niemcach, to jednak piękna uroczystość, w której dziś uczestniczymy w tym historycznym gmachu, zdaje się stanowić nie całkiem pozbawione znaczenia wydarzenie na drodze przeobrażeń budzących nadzieje i pozwalających na nieco optymizmu. Oto jeden z poniżanych i odczłowieczanych, ale nieponiżonych i nieodczłowieczonych Polaków uznany został przez gremium reprezentujące niewątpliwie elitę dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego za godnego wyróżnienia nagrodą przyznawaną za działalność na rzecz pokoju. W orzeczeniu jury, które podnosi wartość działań odrzucających stosowanie przemocy i nienawiści, widzę pośrednie uznanie dla drogi tych wszystkich moich rodaków, a jest ich wiele milionów, którzy z ogromną ofiarnością, cichym uporem, a przy tym dużo większym poczuciem realizmu, niż to jest często Polakom przypisywane, podnoszą głos w obronie podstawowych wartości etycznych i społecznych, żądają poszanowania praw człowieka do godnego i wolnego życia, prawa robotnika, pracownika i chłopca do

współzarządzania własnym państwem. Mam tu na myśli ten potężny ruch społeczny, który w ciągu krótkiego okresu kilkunastu miesięcy uzyskał możliwość akceptowanego przez władze państwowe PRLu działania, znany pod nazwą „Solidarność”, jak też i tych, którzy do dziś, w imię tych samych zasad moralnych i ideowych walczą bez użycia siły, trafiają do więzień i podlegają innym prześladowaniom i trudnościom.

Powstanie Związku Zawodowego „Solidarność” i rozwój związanego z nimi ruchu społecznego były właściwie *sui generis* kontynuacją postawy przywiązania Polaków do wolności udokumentowanej już w historii wielokrotnie. Idee tego ruchu, jego działanie na rzecz ludzi pracy, jego uparte dążenie do rozstrzygania spornych problemów na drodze uczciwego dialogu wspiera też jednoznacznie w swych wypowiedziach tak wielki autorytet naszych czasów, jak Papież Jan Paweł II.

W okresie ostatnich kilku lat bardzo wielu ludzi dobrej woli w Niemczech udzielało w duchu miłości bliźniego i solidarności znacznej pomocy społeczeństwu polskiemu. Pełne znaczenie psychologiczne tego faktu może okazać się w przyszłości donioślejsze niż jego niewątpliwe znaczenie materialne.

Współczesny niemiecki historyk Europy Wschodniej, profesor Jörg K. Hoensch, w swej wydanej przed trzema laty *Geschichte Polens*, rozważając aktualną sytuację Polski i Polaków, twierdzi, że:

W Polsce rozwinęła się nowoczesna, dojrzała, zróżnicowana i pewna siebie formacja społeczna, którą łączy ze zmiennym biegiem historii narodu żywa świadomość tradycji, żarliwy patriotyzm i głębokie, emocjonalne przywiązanie do Kościoła katolickiego. Gwarancją konstruktywnego przezwyciężenia nadal istniejących poważnych problemów współczesnych jest wiara w opanowanie wielorakich niebezpieczeństw przeszłości, zagrażających suwerenności i etnicznej substancji Polski, przekonanie o dysponowaniu najczcigodniejszymi cnotami zachodnio-europejsko-chrześcijańskiej kultury, niezłamana witalność i umiejętność regeneracji oraz zapał do kształcenia się i solidarność narodowa.

Ocena ta jest być może nadmiernie optymistyczna. W każdym razie jednak Polacy liczą na zrozumienie i solidarność społeczeństwa niemieckiego, które stać się mogą ważnym czynnikiem w budowie mostów między naszymi narodami. Może i mnie będzie dane nadal w tym współuczestniczyć.

1 11 XII 1981 r. rozpoczął się w Warszawie I Kongres Kultury Polskiej, który stanowił jedno z największych wydarzeń w życiu kraju w ciągu powojennego czterdziestolecia.

W drugim dniu Kongresu Władysław Bartoszewski zabrał głos w dyskusji. Był to, jak się

okazało, zarazem ostatni dzień obrad, gdyż po wprowadzeniu w nocy z 12 na 13 XII 1981 tak zwanego stanu wojennego obrady Kongresu zostały przymusowo przerwane. autor tego tekstu znalazł się wśród internowanych pierwszej nocy. Tekst publikujemy tu według nagrania magnetofonowego. Po raz pierwszy ogłoszono go w kwartalniku „Puls” (Londyn), nr 20, 1983/84.

## **Przemówienie w Bundestagu**

Szanowna Pani Przewodnicząca Bundestagu!

Szanowny Panie Przewodniczący Bundesratu!

Szanowne Panie, Szanowni Panowie!

Pół wieku mija od zakończenia najkrwawszej i najokrutniejszej wojny w dziejach Europy<sup>1</sup>. Wojny, która zaczęła się 1 września 1939 r. agresją sił III Rzeszy na Polskę i kampanią wojenną przeciwko pierwszej ofierze - Polsce, a zakończyła w Europie 8 maja 1945 r. bezwarunkową kapitulacją wobec przedstawicieli czterech mocarstw, które z biegiem wydarzeń przejęły - od 1941 roku - główny ciężar prowadzenia wojny i rozstrzygnęły o jej losach. Dla Polski wojna ta trwała 5 lat, 8 miesięcy i 8 dni. Przez cały ten czas setki tysięcy Polaków walczyło na lądzie, morzu i w powietrzu, wspólnie z innymi armiami aliantów, o jeden jedyny cel - odbudowę swojego wolnego i suwerennego państwa w wolnej, demokratycznej Europie.

W ostatniej fazie drugiej wojny światowej w jednostkach regularnych wszystkich państw alianckich walczyło łącznie około 600 tysięcy Polaków oraz kilkaset tysięcy w armii podziemnej w kraju.

Richard von Weizsäcker w swym przemówieniu 8 maja 1985 roku powiedział:

[...] każdy naród - stosownie do swych losów - przeżywa ów dzień inaczej. Zwycięstwo lub klęska, wyzwolenie spod bezprawia i obcego panowania lub przejście w stan nowej zależności, podział, nowe sojusze, ogromne zmiany w układzie sił - 8 maja 1945 roku jest datą o wielkim historycznym znaczeniu dla Europy.

Ten klasyczny już dziś tekst Richarda von Weizsäckera należy do dorobku politycznego i moralnego myśli niemieckiej i myśli europejskiej. Mimo niechęci do nadużywania słowa „historyczny”, uzasadnione jest jednak, jak sądzę, związanie przez niego tego określenia z datą 8 maja 1945 r.

Pół wieku po owym dniu i u progu półwiecza historii Europy słusznie wydaje się zwrócenie uwagi na zupełnie nowy etap stosunków między Niemcami a Polską w kształtującej się na nowo wspólnocie narodów i państw Europy. Oto dziś stało się możliwe, by minister spraw zagranicznych Polski wystąpił w parlamencie niemieckim na zaproszenie tej najwyższej reprezentacji narodu niemieckiego. Dziękując za przyznaną mi zaszczytną Nagrodę Pokojową Księgarstwa Niemieckiego, powiedziałem 5 października 1986 r. w Paulskirche we Frankfurcie nad Menem, że „w każdym razie Polacy liczą na zrozumienie i solidarność społeczeństwa niemieckiego, które stać się mogą ważnym czynnikiem w budowie mostów między naszymi narodami”. Zakończyłem wtedy swoje podziękowanie

optymistycznym zdaniem nadziei: „Może i mnie będzie dane nadal w tym współuczestniczyć”. Powiedziane to było na trzy lata przed upadkiem muru w Berlinie.

W przeddzień czterdziestej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej 31 sierpnia 1989 roku dane mi było z kolei uczestniczyć w godzinnej audycji ARD w dialogu z Willy Brandtem. Na czele nowego rządu polskiego stał już wtedy pierwszy niekomunistyczny premier w krajach dawnego bloku wschodniego. Nowa era w dziejach środkowowschodniej Europy była już otwarta, ale mur berliński stał jeszcze mocno. Nasze ówczesne wystąpienie telewizyjne utrzymane było w tonie umiarkowanego optymizmu.

Mija już pięć i pół roku od obalenia muru berlińskiego. Niebawem obchodzone będzie pięciolecie zjednoczenia Niemiec.

Można dyskutować, jak doszło do tych zmian. Jaka rolę odegrał tu pierwszy w Europie wschodniej zorganizowany, opozycyjny ruch związkowy „Solidarność” i inne grupy oporu w Polsce i Czechosłowacji, a także na Węgrzech i w NRD, które bez stosowania przemocy wywierały stały nacisk, aby uprzytomnić totalitarnej władzy konieczność reform - a jaką rolę odegrało uświadomienie sobie tej konieczności na Kremlu.

Rozrachunki z przeszłością są często aktem odwagi. Odważne i - co trzeba tu jasno powiedzieć - znacznie wyprzedzające ówczesny stan świadomości historycznej i gotowości moralnej większości Polaków były pojednawcze słowa biskupów polskich skierowane do katolików w Niemczech i wyciągnięcie ręki do zgody w listopadzie 1965 r. Wyrazem godnej szacunku odwagi historycznej był też spontaniczny gest kanclerza Niemiec Willy’ego Brandta - gdy w grudniu 1970 r. ukląkł w Warszawie przed pomnikiem poświęconym pamięci ofiar i bojowników getta. Niełatwa była także decyzja prezydenta Polski, Lecha Wałęsy, by na ubiegłoroczne obchody pięćdziesiątej rocznicy Powstania Warszawskiego zaprosić głowę państwa niemieckiego - mimo oporów znacznej części społeczeństwa. Powstanie Warszawskie 1944 roku utrwalone jest bowiem w polskiej pamięci zbiorowej nie tylko jako konfrontacja zbrojna, ale jako akt świadomego barbarzyństwa: wyniszczenia ludności cywilnej stolicy Polski i planowego obrócenia całego miasta w ruinę - na rozkaz Hitlera. Odważne i szczerze były słowa prezydenta Niemiec, Romana Herzoga, wypowiedziane do narodu polskiego podczas tych obchodów w Warszawie 1 sierpnia 1994 r. Wielu Polaków odebrało je jako prawdziwą, długo oczekiwaną odpowiedź najwyższego przedstawiciela Niemiec na orędzie biskupów polskich z 1965 r. Prezydenci Polski i Niemiec przekonali wówczas nawet sceptyków, że rocznice, które dzielą, mogą dać równocześnie impuls do kształtowania lepszej przyszłości. Przyszłości, która będzie łączyć.

Moją dzisiejszą obecność w tej sali rozumiem jako kolejny krok na tej samej drodze.

Zasadne wydaje się dziś zadanie sobie pytań:

- Jaki jest prawdziwy bilans stosunków Polaków i Niemców 50 lat po wojnie?
- W jakiej mierze udało się całej Europie przezwyciężyć bezpośrednie i długotrwałe skutki tej wojny?

Historycy mogą ważyć winy poszczególnych polityków, szukać poniewczasie wariantów, które mogły w 1939 roku uratować pokój. Niezależnie od tego, na ile zawiodły wówczas zachodnie demokracje, ulegając - jak w przypadku Czechosłowacji, a rok wcześniej w Monachium - egoizmowi polityki „appeasementu”, bezpośrednią przyczyną wojny była agresywna ideologia nazistowska, której realizację umożliwiła zmowa Hitlera ze Stalinem. Pakt Ribbentrop-Mołotow, podpisany 23 sierpnia 1939 r., wraz z tajnym protokołem określającym strefy wpływów III Rzeszy i ZSRR, przesądził o losie państwa polskiego i kilku innych państw środkowowschodniej Europy.

Oczywiście, Polacy mogli byli w 1939 r. biernie pogodzić się z losem, nie stawiać oporu, nie walczyć - być może oszczędziliby sobie wielu ofiar. Tyle że przestaliby być podmiotem w polityce europejskiej. To polskie zdecydowane „nie”, powiedziane Hitlerowi, spowodowało przystąpienie Wielkiej Brytanii i Francji do wojny i umożliwiło w konsekwencji powstanie koalicji antyhitlerowskiej. Polakom przyszło walczyć na wszystkich frontach Europy, na zachodzie, południu i wschodzie, także w Afryce Północnej, na morzu i w powietrzu, w różnych punktach świata.

Tymczasem w okupowanej Polsce władze policyjne i administracyjne III Rzeszy rozbudowały w latach 1940-1942 obozy koncentracyjne dla Polaków i ośrodki zagłady Żydów. Historycznym symbolem tego systemu pozostały nazwy, które nabrały z czasem wartości pojęć związanych z nową jakością zbrodni - z ludobójstwem. By wymienić tylko kilka spośród dziesiątków: Auschwitz-Birkenau, Chełmno-Kulmhof, Treblinka, Majdanek, Sobibór, Bełżec, ale także Gross-Rosen i Stutthof. Tak zgładzono około 3 milionów polskich Żydów i około 3 milionów Żydów - obywateli innych krajów, wymordowanych przez nazistów w ośrodkach zagłady założonych przez aparat terroru państwa Hitlera w znacznej części na okupowanym terytorium polski. Ofiarą krwawego terroru padło zarazem ponad 2 miliony polskich chrześcijan. Co czwarty polski ksiądz katolicki i co czwarty polski uczony, co piąty polski nauczyciel stał się ofiarą zbrodni. Liczby te nie obejmują ciężkich doświadczeń około 2,3 miliona ludzi wysiedlonych przymusowo ze swych domów, ponad 2,5 miliona robotników przymusowych z Polski oraz około 200 tysięcy dzieci wywiezionych w celach germanizacyjnych, z czego 3/4 nie wróciło nigdy do swych rodzin, do Polski.

To, że Polska nie została uznana w 1945 roku za jedno z państw zwycięskich, było -

jak to dziś powszechnie wiadomo - koncesją polityczną aliantów zachodnich na rzecz Stalina. Decyzje jałtańskie wobec Polski były początkiem podziału Europy na dwa bloki. Państwo polskie „przesunięto” o kilkaset kilometrów na zachód, co w efekcie zmniejszyło jego terytorium o jedną piątą. Alianci zachodni zalegalizowali nową polską granicę wschodnią, co oznaczało, że ZSRR otrzymał praktycznie wszystko, co uzyskał w wyniku porozumień z III Rzeszą w latach 1939-1940. Polsce przyznano były niemieckie tereny wschodnie, co miało częściowo zrekompensować jej straty terytorialne na rzecz ZSRR. W efekcie Polska przed 1939 rokiem miała 389 000 kilometrów kwadratowych powierzchni, po zwycięskiej wojnie zaś 312 000. W tej sytuacji granica na Odrze i Nysie stała się dla Polaków i ich państwa sprawą o wymiarze egzystencjalnym. Na konferencji poczdamskiej zwycięskie mocarstwa podjęły decyzje o wysiedleniu ludności niemieckiej z terenów na wschód od Odry i Nysy.

Alianci zachodni liczyli, że Związek Radziecki przystanie na przeprowadzenie w Polsce wolnych wyborów. W Polsce uważano to od początku za niebezpieczną iluzję bądź za szczególny rodzaj „Realpolitik”, czyli „starannie przemyślaną iluzję”. Myślący politycznie Polacy byli raczej przygotowani na najgorsze. I, niestety, nie pomylili się: w końcu lutego 1945 roku zaproszono do Moskwy przywódców polskich partii politycznych pod pozorem rokowań na temat realizacji postanowień jałtańskich. Tam ich podstępnie aresztowano, osądzono i skazano. To były dopiero pierwsze owoce owej „polityki realnej” wobec Stalina.

To prawda, że ZSRR dźwigał od czerwca 1941 roku ogromny ciężar walki z Niemcami, ponosząc ofiary nieporównywalne ze stratami sojuszników. Tego nie wolno zapomnieć. Toteż głos Stalina ważył więcej niż głosy jego partnerów. Prawdą jest jednak również to, że po Jałcie ZSRR narzucił państwom środkowowschodniej Europy system, który pozbawił nasze narody prawa decydowania o swym losie. Tym samym „Jałta” stała się dla Polski - i nie tylko dla Polski - symbolem uświęcenia zasady decydowania przez mocarstwa o granicach i wewnętrznych sprawach innych państw. „Jałta” wniosła nowe elementy wrogości do stosunków między państwami, a to jest zawsze zapowiedzą destabilizacji.

Swoistym paradoksem jest w tej sytuacji, że „Jałta” przyczyniła się także przejściowo do utrzymania międzynarodowej równowagi, zakotwiczenie RFN w zachodniej wspólnocie państw sprzyjało bowiem budowaniu w tym kraju budzącej zaufanie demokracji. Niemcy zdołali w znacznej mierze zmienić swoje - w sensie politycznym - „położenie środkowe” między Wschodem a Zachodem. Lepiej niż ktokolwiek inny powinni zatem zrozumieć obecne starania Polski o integrację z Zachodem.

Mówienie o „godzinie zero” zaczyna w Polsce mieć sens dopiero od roku 1989. Wtedy pojawiły się bowiem warunki i szanse rozwiązania podstawowych dylematów polityki



polskiej. Od pięciu lat Polska prowadzi samodzielną politykę zagraniczną, stając się w pełni suwerennym podmiotem na scenie europejskiej.

Najwyższy więc czas na wykorzystanie wszystkich politycznych szans powstałych z przełomem 1989 roku. Są to dla Polski te same szanse, jakie Niemcy Zachodnie uzyskały już w roku 1949. Warto o tej różnicy pamiętać.

\* \* \*

Pięćdziesiąt lat temu zrobiono prawie wszystko, co było możliwe, by umocnić i utrwalić antagonizm polsko-niemiecki. Był to jeden z podstawowych celów polityki polskiej Stalina, który komunistów ustanowił architektami „narodowego państwa polskiego”, gwarantującymi nienaruszalność polskiej granicy zachodniej i integralność terytorialną Polski w jej nowym, powojennym kształcie. Dziś na tych ziemiach żyją kolejne już pokolenia Polaków, którzy w nowej sytuacji europejskiej mogą wnieść szczególny wkład do stosunków między demokratyczną Polską i zjednoczonymi Niemcami, do procesu porozumienia i pojednania między Polakami i Niemcami.

Okupant hitlerowski odmawiał Żydom prawa do życia, Polakom - prawa do człowieczeństwa: traktował ich jako „podludzi”, dla których nie było miejsca w kulturze ogólnoeuropejskiej. Powojenny system stalinowski zaaplikował Polakom - podobnie jak Niemcom w NRD - „antynacjonalistyczną” terapię, która wymierzona była nie tylko w nacjonalizm, lecz w całą polską tradycję, kulturę i tożsamość historyczną. „Podwójnie zraniony” naród musiał wytworzyć reakcje obronne, niekiedy nadwrażliwe. W stosunkach z Niemcami dodatkowa trudność wynikała z niezabliźnionych jeszcze ran wojennych, z otwartego kwestionowania przez RFN granicy na Odrze i Nysie i niepozabawionych komponenty obłudy i nieufności stosunków z „pierwszym niemieckim państwem robotników i chłopów - NRD”. Z perspektywy wielu Niemców natomiast Polska z jej przesuniętymi w 1945 r. na zachód granicami urastała do rangi bez mała beneficjenta wojny. Stała się najdogodniejszym obiektem odreagowania własnych frustracji wojennych, „dzięki” niej można było nawet stworzyć i podsycać „świadomość ofiary” w niemieckim społeczeństwie. Ponieważ nie istniał oficjalny dialog polityczny, działalność tę można było rozwijać bez ograniczeń, bez liczenia się z faktami oraz zdaniem drugiej strony. Problematyka wysiedleń zdominowała na wiele lat wątek polski w Niemczech.

Podczas wojny i po jej zakończeniu miliony ludzi musiały opuścić swe ziemie rodzinne. Dla wielu Polaków były to ziemie za Bugiem, dla wielu Niemców - za Odrą i Nysą. Te dwie grupy ludzi nie mogły ze sobą rozmawiać; gdyby tak było, oba narody mogłyby się znacznie wcześniej porozumieć i zrozumieć. Ale polscy wysiedleńcy ze wschodu nie mogli

nawet prowadzić monologu w tych sprawach. A jeżeli osiadali na polskich Ziemiach Zachodnich, zjawiali się tam nie jako zwycięzcy: uważali się raczej za ofiary wojny, której nigdy nie chcieli i której wybuchu nie zawinili. Przełom roku 1989 stworzył możliwości swobodnej dyskusji politycznej. Skoro wolno już mówić o losie wysiedlanych z Wilna i Lwowa, łatwiej też dostrzec ludzki wymiar dramatu wysiedleń z Wrocławia czy Szczecina. Prawnopolityczne uregulowanie problemu zjednoczenia Niemiec i ich granic sprawiło, że dzisiaj rozmowa o „utraconej ojczyźnie” nie musi budzić obaw o pokojowy ład w Europie.

Polska odzyskała suwerenność polityczną. Odzyskuje też suwerenność duchową. Jej miarą jest poczucie moralnej odpowiedzialności za całą historię, w której - jak zawsze - są karty i jasne, i ciemne. Jako naród szczególnie doświadczony wojną poznaliśmy tragedię przymusowych wysiedleń oraz związanych z nimi gwałtów i zbrodni. Pamiętamy, że dotknęły one także rzesze ludności niemieckiej i że sprawcami bywali także Polacy.

Chcę otwarcie powiedzieć, iż bolejemy nad indywidualnymi losami i cierpieniami niewinnych Niemców dotkniętych skutkami wojny, którzy utracili swe strony ojczyste.

Pamiętamy z wielką odwagą sformułowane przemyślenia, nieżyjącego już dziś, wybitnego polskiego myśliciela i eseisty, Jana Józefa Lipskiego, ideowego polskiego socjaldemokraty, który w 1981 roku z goryczą mówił:

Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem Hitlera, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru - w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy - czynem dobrym.

Odwołując się do spisku przeciw pokojowi - spisku Hitlera ze Stalinem z 1939 roku - dodawał:

To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwie, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał płacić, na dodatek sam, wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które - jak się zdaje - jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienia moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do usunięcia.

W pełni identyfikuję się z tezami mojego zmarłego przyjaciela Jana Józefa Lipskiego, wspólnie z którym działałem w opozycji demokratycznej. Chcę przypomnieć, iż tekst ten wzbudził wówczas burzliwą dyskusję wśród myślących Polaków. Myślę też, iż źle się stało, że odwaga cywilna jego autora nie została wówczas w pełni dostrzeżona w Niemczech.

Dla Polski „oficjalnej”, dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej każdy głos z Republiki Federalnej Niemiec był przejawem wrogim lub podejrzanym, a wydarzenia pierwszych miesięcy i lat po wojnie stanowiły polityczne i historyczne tabu. Potrzebny był raczej obraz wroga oraz żonglowanie faktami historycznymi na użytek polityki wewnętrznej.

Na szczęście jednak już w kilkanaście lat po wojnie, po śmierci Stalina i Berii, jeszcze w erze Chruszczowa, podjęto równocześnie zarówno ze strony polskiej, jak i niemieckiej inicjatywy nieoficjalnych kontaktów między myślącymi ludźmi dobrej woli. Kontakty te nawiązywano głównie w kręgach intelektualnych oraz środowiskach i grupach ludzi związanych ideowo z Kościołami chrześcijańskimi i zaangażowanych w ich działania. Pionierską rolę odegrały tu ze strony niemieckiej, już u progu lat sześćdziesiątych, grupy młodzieży z Aktion Sühnezeichen z ówczesnej NRD,

a także uporczywie szukający dróg dialogu działacze sekcji niemieckiej Pax Christi z RFN. Środowisko w Kolonii skupione wokół czasopisma niemiecko-francuskiego „Dokumente” i poważne forum dyskusyjne, jakim stało się w latach sześćdziesiątych Bensberger Kreis, przyczyniły się niewątpliwie do wytworzenia atmosfery, w której zrodziły się ważne inicjatywy: w maju 1965 roku memorandum niemieckiego Kościoła ewangelickiego (EKD - Denkschrift) - śmiała jak na ów czas próba analizy sytuacji, a w listopadzie i grudniu 1965 roku wymiana listów episkopatów polskiego i niemieckiego Kościoła katolickiego. Nie sposób wymienić wszystkich inicjatyw, instytucji i osób, które w Niemczech przyczyniły się do powstania warunków sprzyjających porozumieniu i w znacznym stopniu do pozytywnej korektury obrazu Polaków i spraw polskich w części przynajmniej niemieckiej opinii publicznej.

Ze strony Polski rolę pierwszych nieoficjalnych emisariuszy dobrej woli i uczestników dialogu - przede wszystkim z Bensberger Kreis i z Centralnym Komitetem Katolików Niemieckich - odegrali ludzie związani z Klubami Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu z redakcją czasopism „Tygodnik Powszechny”, „Znak” i „Więź”. Pewne wyniki przynosiły też kontakty niektórych intelektualistów związanych z oficjalnymi strukturami partii komunistycznej w Polsce z niemieckimi środowiskami politycznymi.

Do najważniejszych wydarzeń od chwili wzajemnego ustanowienia przedstawicielstw handlowych w 1962 roku w Kolonii i w Warszawie należy niewątpliwie Układ między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec o podstawach normalizacji ich stosunków wzajemnych z 7 grudnia 1970 roku, z niemieckiej strony dzieło rządu Brandta i Scheela. W początkach lat osiemdziesiątych - w okresie rozwoju niezależnego ruchu związkowego w Polsce „Solidarność”, a następnie wprowadzeniu stanu wojennego i

dyktatury wojskowej w grudniu 1981 roku - sytuacja w Polsce uległa dramatycznym przemianom. Dziesięcioletni ruch „Solidarności” postrzegali wówczas politykę rządu RFN jako nie w pełni jasną i w pewnym sensie rozczarowującą. Natomiast szeroko rozumiana opinia publiczna w Niemczech, oba Kościoły chrześcijańskie, liczne instytucje społeczne, znaczące koła intelektualne i spontaniczne inicjatywy obywatelskie dały żywy obraz materialnemu i moralnemu poparciu dla Polaków w potrzebie. Ogromne zainteresowanie tym, co dzieje się w Polsce, porównywalne było w Niemczech historycznie chyba tylko z falą życzliwości i zainteresowania sprawami Polaków sprzed półtora wieku, z lat 1830-1832. Wytworzyło to w konsekwencji - bez przesady - nowy obraz społeczeństwa niemieckiego w oczach Polaków.

Przełomową rolę polityczną odegrały jednak w stosunkach polsko-niemieckich fakty i decyzje z lat 1989-1990 i w nich widzimy kamień węgielny, trwałą podstawę obecnych i przyszłych stosunków między naszymi państwami. Mam tu na myśli wizytę kanclerza Helmuta Kohla w Polsce w listopadzie 1989 roku, przerwana pamiętnymi wydarzeniami berlińskimi z 9 listopada, ale wznowiona i dokończona. Polska opinia publiczna dostrzegła w powrocie niemieckiego kanclerza do Warszawy ważny krok polityczny, akcentujący znaczenie stosunków między naszymi państwami i narodami u progu nowej ery w historii. Docenione zostało spotkanie w Krzyżowej, dostrzeżony znak pokoju przekazany sobie w czasie mszy świętej przez kanclerza Niemiec Helmuta Kohla i premiera rządu polskiego Tadeusza Mazowieckiego.

Wspólne oświadczenie podpisane przez szefów obu rządów w Warszawie 14 listopada 1989 roku, Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o potwierdzeniu istniejącej między nimi granicy podpisany 14 listopada 1990 roku w Warszawie oraz Traktat między Rzeczpospolitą a Republiką Federalną Niemiec o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, podpisany w Bonn 17 czerwca 1991 roku były w Polsce - ale i w ocenie państw świata - odbierane jako zamknięcie tragicznie obciążonego okresu w stosunkach wzajemnych Niemców i Polaków, jako optymistyczna zapowiedź nowego początku - w ramach wspólnego ładu europejskiego.

Pojęcie Europy zaś nie zawęża się, moim zdaniem, do kategorii czysto geograficznych. W historii narodów i państw tego kontynentu termin ten nabrał konotacji cywilizacyjnych, stał się zbiorczym symbolem fundamentalnych wartości i zasad. Europa to przede wszystkim wolność jednostki, to prawa człowieka - polityczne i ekonomiczne. To porządek demokratyczny i obywatelski. To państwo prawa. To efektywna gospodarka, oparta na indywidualnej przedsiębiorczości i inicjatywie, jednocześnie to refleksja nad losem

człowieka i ładem moralnym, płynąca z tradycji judeochrześcijańskich, oraz nieprzemijające piękno kultury.

Tak pojmowana Europa nie zawsze pokrywała się z Europą geograficzną. W zaraniu dziejów europejskich Europą były Ateny Peryklesa. Dzisiaj spadkobiercami cywilizacji europejskiej są też odległe kraje, położone na innych kontynentach, jak Stany Zjednoczone, Kanada czy Australia.

Europę pojmujemy zatem jako krąg cywilizacyjny. Przynależność do Europy to świadomy, dokonywany w toku dziejów, wybór i utrwalanie powyższych wartości. Fakt, że wartości te stały się fundamentem życia społeczeństw na innych kontynentach, świadczy o ich otwartości, o duchu tolerancji i dialogu. Społeczeństwo europejskie to „społeczeństwo otwarte”. Europa nie ruguje narodów ze swej wspólnoty, nie izoluje ich. Narody, należąc do Europy geograficznej, mogą się co najwyżej samoizolować z europejskiej wspólnoty cywilizacyjnej. Tak uczyniły przed kilkudziesięciu laty państwa totalitarne: Rosja sowiecka, hitlerowskie Niemcy.

Ale współczesne Niemcy - demokratyczne państwo prawa - dowodzą, że możliwy jest nie tylko powrót do tej wspólnoty, ale i zajęcie w niej godnego miejsca. Niemcy dogłębnie zdemokratyzowane wróciły do swej konstruktywnej roli w historii i kulturze europejskiej i stanowią jeden z głównych filarów współczesnej Europy. Tak dzisiejsze Niemcy postrzegają Polacy i w tym zaufaniu Polaków do demokratycznego państwa i narodu niemieckiego kryje się sekret szybkiego rozwoju stosunków dobrosąsiedzkich między RFN a obecną niepodległą Rzeczpospolitą.

Powrót Niemiec do Europy wyznaczają, jak wiadomo, takie podstawowe daty jak: rok 1949 - utworzenie Republiki Federalnej Niemiec, a następnie przyjęcie jej do NATO w 1955 roku i współtworzenie EWG od 1957 roku. Polska swój powrót do Europy podjęła - nie z własnej winy - dopiero czterdzieści lat później, w roku 1989. Jest już członkiem stowarzyszonym UE i partnerem stowarzyszonym UZE, aktywnym uczestnikiem Północnoatlantyckiej Rady Współpracy i Partnerstwa dla Pokoju.

W czasach, gdy pozostając w Europie geograficznie, należeliśmy - nie z naszego wyboru - do strefy odmiennych wartości i standardów, zachowaliśmy nasz europejski rodowód. Przywiązanie do wartości europejskich, które są również naszymi rdzennymi wartościami, nie mogło nie rodzić oporu i buntu wobec sowietyzmu. Przywiązanie to kieruje nas dzisiaj strategicznie ku integracji ze strukturami europejskimi i euroatlantyckimi.

Pół wieku doświadczeń lat 1939-1989 nakazuje Polsce poszukiwanie takich struktur wielostronnych, które gwarantowałyby jej nadrobienie zacofania gospodarczego i

cywilizacyjnego, godne miejsce wśród narodów Europy i świata oraz międzynarodowe bezpieczeństwo, nieprzynoszące uszczerbku jej sąsiadom i innym krajom europejskim. Za takie struktury, które pozwalałyby urzeczywistnić powyższe cele na gruncie wspólnoty wartości i rozwiązań instytucjonalnych, Polska uważa przede wszystkim NATO oraz Unię Europejską i Unię Zachodnioeuropejską.

Polska dąży do NATO jako sojuszu, którego strony w traktacie założycielskim deklarują pragnienie „współżycia w pokoju ze wszystkimi ludami i wszystkimi rządami”, wolę „ochroniania wolności, wspólnego dziedzictwa i cywilizacji swych ludów opartą na zasadach demokracji, wolności jednostki i praworządności” oraz determinację, by „połączyć wysiłki w celu zbiorowej obrony i zachowania pokoju i bezpieczeństwa”. Blisko pół wieku istnienia Sojuszu potwierdziło, że nie były to stwierdzenia gołosłowne.

Polska dąży do Unii Europejskiej, ponieważ solidaryzuje się z jej fundamentalnymi celami.

My również, podobnie jak twórcy traktatu rzymskiego o Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej z 1957 roku, jesteśmy „ożywieni wolą stworzenia podstaw coraz ściślejszej, trwałej jedności narodów europejskich” i zdecydowani, jak oni, „zachować i umocnić pokój i wolność przez dokonanie połączenia zasobów”. Jako naród podzielający ich ideały odpowiadamy na wezwanie, by przyłączyć się do ich wysiłków.

W pełni podzielamy też stanowisko państw - stron traktatu o Unii Europejskiej z 1992 roku co do „historycznego znaczenia zakończenia podziału kontynentu europejskiego i potrzeby utworzenia trwałej podstawy dla zbudowania przyszłości Europy”, potwierdzające „przywiązanie do zasad wolności, demokracji i poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności i zasad prawa” odnośnie do pogłębienia „solidarności między narodami, przy respektowaniu ich historii, kultury i tradycji” oraz w sprawie kontynuowania procesu „tworzenia wciąż ściślejszej unii między narodami Europy”.

\* \* \*

Wspólna historia Polaków i Niemców jest historią trudną. Musimy możliwie szybko nadrobić ten czas stracony na nieufność, pogardę, wrogość i wojny. Tak rozumiem posłannictwo obecnej demokratycznej Polski, jej rządu i moje własne, w odniesieniu do Niemiec.

Moje osobiste doświadczenie życiowe obejmuje dotkliwe przeżycia i bogate obserwacje, w sumie ośmioletnią gorzką praktykę w hitlerowskich i komunistycznych więzieniach i obozach. Mawiam do dziś, niekiedy autoironicznie, że po prostu dyktatorzy nie lubili mnie, zresztą z pełną wzajemnością. Cierpienia ludzi, jakich za młodu byłem częstokroć

bezradnym świadkiem, wyniszczanie elity mego narodu i bezprzykładny w swych wymiarach i metodach mord masowy na Żydach pobudzały do przeciwstawienia się złu bez względu na nikłość szans. Dane mi było uczestniczyć w próbach ratowania ludzi zagrożonych okrutną śmiercią. Doświadczenia tych kilku strasznych lat, wiedza o obozach koncentracyjnych, miejscach tortur i komorach gazowych - przesądziły raz na zawsze o wyborze mojej dalszej drogi w życiu: przeciw nienawiści, przeciw dyskryminacji ludzi z jakichkolwiek względów - rasowych, klasowych, narodowych czy religijnych, jak też przeciw gwałtowi intelektualnemu, jakim jest kłamstwo w historii i brak tolerancji wobec inaczej myślących. Na tej drodze spotkałem wielu przyjaciół i uzyskałem solidarne poparcie i zaufanie wielu ludzi dobrej woli, nie tylko w moim kraju, także w Izraelu, Stanach Zjednoczonych, tutaj, w Niemczech, w Austrii i gdzie indziej. Doświadczenia mego życia, doświadczenia budowniczego mostów, dają mi chyba prawo do wygłoszenia tu i teraz apelu: o szybkie działanie i wykorzystanie ogromnej szansy, jaką mają oba nasze narody, do zbliżenia, harmonizowania politycznych interesów i obopólnie dogodnej współpracy gospodarczej.

Nie brakowało nigdy w Polsce ludzi, którzy widzieli zachodzące w powojennej RFN głębokie procesy demokratyczne, połączone z ekonomiczną prosperity, jaką niosła sprawnie funkcjonująca gospodarka wolnorynkowa. Ludzie polskiej opozycji demokratycznej widzieli już w latach siedemdziesiątych szansę w zjednoczeniu Niemiec na zasadach demokracji, ponieważ zbliżałoby ono Europę do Polski i Polskę do Europy, której integralną częścią byłyby właśnie zjednoczone Niemcy. To się stało faktem po 1989 roku.

Można uznać, że przewyższanie podziału Europy w warstwie symbolicznej rozpoczęło się w Berlinie, kiedy runął mur berliński. Proces ten postępuje - by jednak był skuteczny, musi spełniać kilka fundamentalnych warunków.

Po pierwsze, musi opierać się na trwałym fundamencie wspólnych wartości europejskich. To właśnie przede wszystkim akceptacja tych wartości powinna decydować o przynależności do Europy i instytucji stanowiących o jej tożsamości.

Po drugie, wśród wartości europejskich za kluczową my, Polacy, uznajemy otwartość wobec tych, którzy codzienną, niepozbawioną wyrzeczeń i upartą pracą na rzecz przemian dają dowód gotowości służenia wspólnej europejskiej sprawie. Uważamy, że zaawansowanie reform w państwach postkomunistycznych winno pozostawać w ścisłym związku z odpowiednią intensywnością procesu integracyjnego tych państw.

Po trzecie, ze strony naszych zachodnich partnerów, w tym i Niemiec, pragniemy widzieć jasno wolę otwarcia i poszerzenia instytucji europejskich oraz euroatlantyckich. Wierzmy, że na Zachodzie nie zacznie znów dominować ciasny „realizm” rozumowania w

kategoriach „stref wpływów”, „buforów” czy uznania „historycznych interesów” ościennych mocarstw, który święcił triumfy w Jalcie.

Z powyższego wynika kolejny, czwarty warunek: że proces integracji skierowany na Wschód nie zostanie powstrzymany.

Nie chcemy podziałów europejskich ani starych, ani nowych. Chcemy stale postępującego procesu jednoczenia Europy, którego niedawnym i szczególnym etapem było zjednoczenie Niemiec.

Prozachodnia orientacja polskiej polityki nie oznacza odwrócenia się od Wschodu. Federacja Rosyjska, Ukraina i Białoruś są i będą naszymi ważnymi sąsiadami. Dążenie Polski do członkostwa w euroatlantyckich strukturach nie oznacza lekceważenia instrumentów budowania solidarności i bezpieczeństwa wszystkich narodów naszego kontynentu. Zaangażowanie Polski w działalność Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie jest tego najlepszym dowodem.

Przykładem tworzenia nowych konstrukcji przewyższających stare podziały i bloki jest współpraca Polski z Niemcami i Francją w ramach tak zwanego Trójkąta Weimarskiego. Ta szczególna forma współpracy państw UE z krajem z dawnego obszaru dominacji sowieckiej stanowi symbol pojednania trzech wielkich narodów europejskich. Dawny obszar wielkich wojen europejskich przekształca się w filar bezpieczeństwa kontynentu.

Takie są, w naszym pojęciu, niezbywalne warunki urzeczywistnienia koncepcji Europy czy zgoła powrotu Europy do niej samej: do swych cywilizacyjnych źródeł, do ducha jej dziejów, do istoty jej współczesnych wyzwań.

Na wspólnej drodze do dobrego współżycia w Europie w XX wieku, w drugim półwieczu od strasznych doświadczeń, którym poświęcamy dzisiejszą refleksję, poczyniliśmy już niemałe postępy. Wielkie znaczenie ma tu kształtowanie codzienności, rozwój kontaktów między ludźmi po obu stronach Odry i Nysy, podejmowanie wspólnych zadań i konkretnych projektów: gospodarczych, naukowych, ekologicznych. Za szczególnie cenną uważam tę zwyczajność i normalność między Niemcami i Polakami. Sądzę, że zapominamy nieraz zbyt łatwo, jak odlegli byliśmy jeszcze niedawno od takiej normalności.

Za osiągnięcie szczególnej wagi w naszych wzajemnych stosunkach uważam daleko idące uregulowanie problemów mniejszości. Rozwiązania, jakie przyjęliśmy w traktacie polsko-niemieckim z 1991 roku, opierają się na standardach międzynarodowych, dokumentach KBWE. Ich motywem przewodnim jest nadrzędna zasada lojalności członka mniejszości wobec państwa, w którym żyje i którego jest obywatelem. Stwarza to właściwą płaszczyznę zachowania oraz rozwijania tożsamości językowej i kulturalnej członków



mniejszości.

Uregulowania polsko-niemieckie, ich realizacja są dziś postrzegane przez wiele innych państw jako dobry model skutecznego rozwiązywania problemów mniejszości. Jest to przecież problem, który nie tylko był wykorzystywany w sposób cyniczny przez reżim hitlerowski w przeszłości. Również obecnie pozostaje on, niestety, jednym z najbardziej konfliktogennych, niebezpiecznych problemów na naszym kontynencie europejskim.

Od 1989 roku osiągnięty został w sytuacji obywateli polskich - członków mniejszości niemieckiej - niekwestionowany, wyraźny postęp. Ocenę tę podzielają również sami zainteresowani. Władze polskie w miarę możliwości udzielają także pomocy materialnej, przeznaczonej zwłaszcza na projekty kulturalne, nauczanie języka, wspieranie wydawnictw. Specjalne przywileje w ordynacji wyborczej do parlamentu ułatwiły wejście pięciu reprezentantów mniejszości niemieckiej do Sejmu i Senatu RP.

Obecna sytuacja stwarza także lepsze warunki dla Polaków i osób polskiego pochodzenia w Niemczech. Szczególnie istotne byłoby tu właściwe dostrzeżenie problemów i potrzeb tej grupy w środowiskach politycznych RFN. Chodzi także o praktyczną pomoc stosownych władz - na szczeblu rządu federalnego, rządów krajów związkowych, władz komunalnych - dla Polonii w jej działalności kulturalnej, w nauczaniu języka polskiego, możliwości prezentowania się za pośrednictwem środków przekazu. Istniejące problemy są i będą stopniowo rozwiązywane. Potrzebna jest do tego, z jednej strony - gotowość i otwartość, a z drugiej - poczucie odpowiedzialności wszystkich zaangażowanych osób i instytucji w obu naszych państwach za właściwy kierunek kształtowania stosunków wzajemnych. Istnieje realna szansa, aby ludzie w Polsce i w Niemczech, poczuwający się do związków z drugim krajem, stali się w perspektywie trwałym pomostem porozumienia i współpracy polsko-niemieckiej.

Nie ma dziś zasadniczych spraw spornych w stosunkach polsko-niemieckich. Wypracowaliśmy wiele mechanizmów rozwiązywania doraźnych problemów. Powołaliśmy nowe instytucje wzbogacające kontakty dwustronne, jak polsko-niemiecki Jugendwerk, fundacje polsko-niemieckie, Europejski Uniwersytet „Viadrina” we Frankfurcie nad Odrą czy Towarzystwo Wspierania Gospodarki. Rozwija się współpraca euroregionów, rozbudowujemy przejścia graniczne, by choć częściowo sprostać lawinowemu wzrostowi ruchu granicznego i przepływu towarów. Uregulowania traktatowe i gęsta sieć instytucji dwustronnych sprawiają, że nasze stosunki stają się stabilne, uniezależniają je w znacznej mierze od politycznych wahań i wstrząsów. Wciąż jednak nie wykorzystaliśmy wszystkich możliwości. Znacznie więcej należałoby uczynić na rzecz wspierania kontaktów między obu

społeczeństwami, na rzecz polsko-niemieckiej wymiany młodzieżowej (Jugendwerk), która miała symbolizować nowy etap w stosunkach wzajemnych i przyczynić się do zbliżenia obu społeczeństw.

Nie moją rolą jest oceniać dyskusję, jaka toczy się w Niemczech od kilku tygodni wokół dnia 8 maja 1945 r., a szczególnie zalecanie Niemcom odpowiedzi, czy był to dla nich dzień wyzwolenia, czy klęski, radości czy żałoby. Odpowiedź na to pytanie zależałaby przede wszystkim od stanu świadomości ludzi żyjących i działających wtedy. W pełni zrozumiałe jest ich odczucie bólu z powodu utraty bliskich, trudno natomiast byłoby respektować uczucie bólu z powodu przegranej wojny. Bo wraz z przegraniem tej wojny przez III Rzeszę przegrał też system, który przyniósł zagładę i nieszczęście wielu narodom, także samym Niemcom. Jako jeden ze świadków epoki współodczuwam dramatyzm słów wypowiedzianych przed dziesięciu laty przez niemieckiego patriotę i Europejczyka, Richarda von Weizsäckera:

To Hitler sięgnął po przemoc. Wybuch drugiej wojny światowej łączyć się musi z Niemcami. Podczas wojny reżim narodowosocjalistyczny zamęczył i pohańbił wiele narodów.

Wreszcie pozostał jeszcze tylko jeden naród do uciemnienia i pohańbienia - naród niemiecki. Hitler stale powtarzał: jeśli niemiecki naród nie jest już zdolny do wygrania tej wojny, powinien zginąć.

Najpierw inne narody stały się ofiarą wojny wywołanej przez Niemcy, później my staliśmy się ofiarą wojny wywołanej przez siebie samych.

Słowa te uprzytamniają logiczny ciąg przyczyn i skutków. Dla wielu ofiar tamtego czasu i ich rodzin dzień 8 maja pozostaje do dziś dniem refleksji: czy początkiem zła i zapowiedzią nieszczęścia był 30 stycznia 1933 roku, czy dopiero prawne sformułowanie zasad nieludzkiej dyskryminacji ludzi - ustawy norymberskie z 1935 r., czy też pierwsze działania agresywne III Rzeszy wobec państw ościennych. Pewne jest jednak, że pierwsze strzały drugiej wojny światowej oddano przeciw Polakom i Polsce 1 września 1939 roku i że wojna w tym dniu rozpętana zakończyła się gruzami Berlina i innych miast niemieckich 8 maja 1945 r. Uczestniczyłem w tej wojnie, której nie chciałem, i jestem, jak sądzę, w stanie zrozumieć różne indywidualne racje i doświadczenia ludzi, ale także po upływie pół wieku czuje się związany z ofiarami agresji, przemocy, ofiarami ucisku i zbrodni. I nie mogę wymienić jednym tchem ofiar i sprawców czy też tych, którzy biernie zło akceptowali. Myślę, że takie rozróżnienie leży w interesie nas wszystkich, nas - ludzi dobrej woli, zatroskanych wszelką brutalnością w stosunkach między ludźmi i narodami, gdziekolwiek byśmy ją w dzisiejszej Europie, w dzisiejszym świecie widzieli.

Pamięć i refleksja historyczna muszą towarzyszyć naszym stosunkom. Nie powinny jednak stanowić dla nich głównej motywacji, lecz torować drogę motywacjom współczesnym i skierowanym w przyszłość. Stosunki naszych narodów i państw uzyskały dziś wymiar europejski - nasze sąsiedztwo zadecyduje w znacznej mierze o tym, czy i kiedy podzielona Europa zdoła się zrosnąć. Współpraca obu państw w zjednoczonej Europie jest dziś jednym z zasadniczych celów i uzasadnień dla stosunków dwustronnych. Nadaje im sens i dostarcza wielu motywacji. Z myślą o młodej generacji Niemców i młodej generacji Polaków - szczęśliwych, daj Boże, ludziach XXI wieku.

1 Przemówienie Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Bartoszewskiego na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu 28 IV 1995 roku w Bonn z okazji pięćdziesięciolecia zakończenia drugiej wojny światowej.

**Człowiek przyzwoity jest zawsze na początku  
swojej drogi - *vir bonus semper tiro***

*Viadrina, 27 września 2000 roku*

Universitas

*Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus* - napisał w 1781 roku niemiecki poeta wędrowny Kinderleben, a dziś te słowa powtarzają studenci wszystkich uniwersytetów świata, od Tokio przez Moskwę, Warszawę, Viadrinę, Berlin aż po Stanford<sup>1</sup>. Młodość jest źródłem radości; uniwersytet - instrumentem jej mądrego spożytkowania. Wiem coś o tym jako były wykładowca trzech niemieckich uniwersytetów.

*Vir bonus semper tiro*, człowiek dobry jest zawsze początkujący - napisał Marcjalis w *Epigrammata* (XII,51), a zatem człowiek przyzwoity jest zawsze na początku swojej drogi, zawsze gotowy i otwarty na naukę; ja zaś, idąc drogą wyznaczoną przez rzymskiego poetę, dodam, że skoro tak właśnie jest, to najspособniejszym miejscem formowania człowieka przyzwoitego, gotowego i otwartego na naukę jest uniwersytet.

Były dwie tradycje kształtujące tę instytucję. Wedle pierwszej - powstałej w Bolonii - *universitas* była korporacją studentów odpowiedzialną za „krzewienie braterskiej miłości bliźniego, wzajemnego koleżeństwa i przyjaźni, towarzyszenie kandydatom do doktoratu w drodze na egzamin” (a także za ochronę przed nazbyt wymagającymi profesorami). Wedle drugiej - powstałej w Paryżu dzięki Abelardowi - *universitas* była korporacją profesorów.

Historycy średniowiecza przypominają wszelako, że uniwersytety powstające na północ od Alp połączyły oba te nurty. Samo słowo uniwersytet przywodzi na myśl *universum*, wszechświat, w którym spotykają się różne kultury, różne obyczaje, różne sposoby myślenia. Uniwersytet stał się zatem miejscem spotkania. Spotkania pokoleń. Spotkania odmiennych doświadczeń i tradycji. Spotkania odmiennych poglądów. Spotkania wspólnych nadziei. Temu właśnie spotkaniu chciałbym poświęcić parę słów - właśnie w Viadrinie, na uniwersytecie, którego fundamenty stworzyło wspólne oświadczenie ministrów: edukacji narodowej Rzeczypospolitej Polskiej oraz nauki, badań kultury Brandenburgii z 6 września 1991 roku; właśnie w Viadrinie, miejscu, które pozostaje świadectwem bezprecedensowego, wielkiego przedsięwzięcia, przykładem współpracy międzypaństwowej; w miejscu, w którym co roku spotykają się studenci z Polski ze swoimi kolegami z Niemiec i innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej, wolni od uprzedzeń, a połączeni zamiłowaniem do nauki.

Viadrina

Viadrina jest dla nas miejscem szczególnym. Mija dziesięć lat od obalenia porządku jałtańskiego w Europie. Mija też dziesięciolecie coraz bogatszej współpracy

polsko-niemieckiej, tworzenia się wspólnoty interesów między dwoma suwerennymi państwami i dwoma narodami. Od chwili powstania pierwszego niekomunistycznego rządu polskiego popieraliśmy zjednoczenie Niemiec, widząc w tym perspektywę nie tylko pozytywnego zamknięcia nierozwiązanych problemów przeszłości, ale też szansę nadania szczególnego statusu polsko-niemieckiego partnerstwa zarówno w stosunkach dwustronnych, jak i w ramach europejskiej wspólnoty. Warszawa i Kraków radośnie świętowały obalenie muru berlińskiego, świadome, że wolność jest wartością niepodzielną. Musi więc dotyczyć wszystkich.

Mija dziesięć lat od unicestwienia sztucznie stworzonych granic na Starym Kontynencie. Granice, które przedtem były prawie niemożliwe do pokonania, straciły swój „izolujący” charakter i służyć już tylko mogą jako pomost zbliżający do porozumienia pomiędzy narodami.

Cieszy mnie niezwykle fakt, że dziś, właśnie w takim miejscu, w którym nastąpiło ziszczenie tych wizji, mogę spotkać się z Państwem. Albowiem właśnie tutaj, w Viadrinie, jednym z głównych i ciągle obecnych wątków są pomosty. Dosłownie i metaforycznie. Z geograficznego punktu widzenia znajdujemy się na samej granicy polsko-niemieckiej. Który z uniwersytetów byłby bardziej predestynowany do naukowej współpracy polsko-niemieckiej i do prowadzenia wspólnych badań? Jest całkiem zrozumiałe, że ta współpraca była, jest i będzie centrum zainteresowania w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Europy. Od XVI do XIX wieku to właśnie we Frankfurcie nad Odrą działała Alma Mater Viadrina, pierwszy renomowany brandenburski Landesuniversität. Z dzisiejszej perspektywy warto wspomnieć, oprócz wspaniałej aury stworzonej wokół tej uczelni, że już w tamtych czasach duża grupa studentów z Polski obecna była na tym uniwersytecie. W takim sensie dzisiejszy Uniwersytet Europejski nawiązuje do tradycji dobrych stosunków polsko-niemieckich.

Wyzwania sąsiedztwa

Trudno jest wymierzyć:

- jak bardzo ceniony jest Uniwersytet Europejski;
- jak wielki jest wkład Viadriny w rozwój stosunków polsko-niemieckich;
- jak bardzo przyczyniła się ona do przełamywania stereotypów, „nieufnego na wszelki wypadek Polaka” i „Niemca, który cokolwiek by zrobił, i tak niczego nie zrekompensuje”.

Nie będę wymieniać wszystkich otrzymanych przez Uniwersytet wyróżnień, wspomnę tylko o nagrodzie ministrów spraw zagranicznych naszych krajów - wtedy Klaus Kinkel i ja -

przyznanej w 1995 roku za szczególne zasługi dla rozwoju stosunków polsko-niemieckich. Doskonale to pamiętam, była to ostatnia urzędowa powinność dokonana przeze mnie jako ministra spraw zagranicznych, który zapowiedział już swoje odejście, ale jeszcze w tym samym dniu - dniu odejścia - przyjechał do Viadriny.

Wspomnę jeszcze o kilku innych wiodących aspektach.

Naprzód, we Frankfurcie granice postrzegane są jak wyzwanie. Cieszę się, że dzisiaj możemy powiedzieć, iż jeżeli nawet nie wszystkim wyzwaniom stawiliśmy czoła, to na granicy polsko-niemieckiej nie zawiedliśmy.

Dzięki naszym wspólnym wysiłkom udało nam się zbudować sieć dwustronnych instytucji, fundacji, związków i partnerstwa pomiędzy miastami. Stosunki gospodarcze kwitną. Stworzyliśmy doskonale podstawy, lecz stanowi to dopiero początek naszej europejskiej drogi. Zrozumienie naszych narodów jest wciąż niestety związane głównie z pojednaniem elit. Szczególną więc rolę mają do odegrania uniwersytety, na których studiują młodzi ludzie, mający kiedyś tworzyć naszą wspólną przyszłość, przygotowujący się do rozwiązywania zadań stworzonych przez Europę jutra. Ale nie możemy zapomnieć, że naród budują nie tylko elity. Musimy dalej pracować nad kształtowaniem świadomości ludzi zwyczajnych. Musimy stworzyć odpowiednie warunki, by nie tylko uczelnie wyższe, ale także szkoły średnie, podstawowe i inne ośrodki opiniotwórcze dawały możliwość poznania różnych narodowych kultur.

Po wtóre, cieszy mnie kolejna wspólna inicjatywa. Powstałe w Słubicach dwa lata temu - już dziś tutaj wspomniane - Collegium Polonicum, wspólna instytucja dydaktycznonaukowa Viadriny i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, jest coraz częściej postrzegane jako ośrodek opiniotwórczy, centrum naukowe, dydaktyczne i kulturalne, uzupełniające program Uniwersytetu we Frankfurcie, w którym studenci z różnych krajów mogą wnikać w zakamarki historii, w tym w szczególności w zawiloci stosunków polsko-niemieckich czy w tajniki prawa integracji regionalnej i europejskiej. Collegium daje możliwość poznania systemów prawnych obu krajów. Jest to dla naszych studentów poznawanie prawa, już zgodnego z literą traktatów, jest to jeden z etapów przystosowywania naszego kraju, naszych elit do myślenia według standardów unijnych i poruszania się w labiryncie artykułów i paragrafów rozporządzeń, dyrektyw czy decyzji unijnych.

Cieszy mnie, że na Uniwersytecie we Frankfurcie prowadzone jest nauczanie języka polskiego; że dzięki Collegium zwiększyła się obecność kultury polskiej w tym regionie.

Po trzecie, cieszy mnie nauczanie języka polskiego również na uniwersytetach innych landów przygranicznych, w Berlinie; rosnące znaczenie polonistyki w Poczdamie, Rostocku,

Greifswaldzie, a także na wielu uczelniach saksońskich. Martwi mnie natomiast nikły zakres nauczania polskiego jako języka obcego na poziomie szkoły średniej. Wiem, że istnieje szereg rozwiązań eksperymentalnych, jak na przykład Szkoła Europejska w Berlinie czy gimnazjum w Löcknitz, ale to wciąż za mało. Polska będzie wspierać zaprezentowaną niedawno w Greifswaldzie ideę tworzenia szkół administracji w regionach polsko-niemieckich. Martwi mnie także, że w wielu landach język polski nie jest przedmiotem maturalnym, a w landach, w których jest to formalnie możliwe - niewielu uczniów z tego korzysta. Nie ma bowiem w szkołach kursów na poziomie zaawansowanym. Chciałbym przełamać ten kolejny stereotyp, stereotyp języka polskiego - tak trudnego, że niemalże niemożliwego do przyswojenia. Ależ proszę! Chiński jest tak trudny, a mimo to kilkaset milionów dzieci na całym świecie mówi po chińsku.

Po czwarte, Viadrina, jak już wspominałem, jest miejscem spotkania dwóch kultur. Znakomitym tego przykładem jest cykl imprez prezentujących polskich twórców na ziemi niemieckiej, zorganizowanych przez Brandenburgisches Literaturbüro, objętych patronatem premiera landu, pana Stolpego, któremu z wielką przyjemnością pragnę bardzo serdecznie podziękować za wielkie zaangażowanie i wspieranie idei zorganizowania właśnie w Viadrinie cyklicznej imprezy pod nazwą „Polscy autorzy w Brandenburgii”, której głównym celem jest promowanie wśród studentów i mieszkańców Brandenburgii współczesnej literatury polskiej, przyznawanej dzięki wizytom we Frankfurcie najwybitniejszych polskich autorów i projekcjom polskich filmów. Takie spotkania sprzyjają popularyzacji literatury polskiej w Niemczech, a poza tym stymulują wzrost zainteresowania Polską - najbliższym sąsiadem Brandenburgii na wschód od Odry. Dzięki inicjatywom młodych ludzi, w tym także studentów Viadriny, podejmowane są interesujące projekty prezentujące polską sztukę oraz polską kulturę masową. Wytwarzająca się przy tych spotkaniach aura stwarza doskonały klimat wokół polskiej obecności po tej stronie Odry.

Po piąte, sumując: w niezaprzeczalnym interesie obu naszych krajów leży dalszy rozwój Viadriny i propagowanie tego modelowego charakteru współpracy naukowej. Jestem przekonany, że wybór prof. Gesine Schwan (koleżanki, od wielu lat otoczonej głębokim szacunkiem w polskich kręgach intelektualnych) na prezydenta Viadriny stwarza doskonałe podstawy do pogłębienia współpracy między nauką polską i niemiecką. Być może uda się nam podjąć nowe wyzwania, stworzyć Studium Europejskie, projekt, którego powstaniu sprzyjają władze oświatowe Brandenburgii; być może sięgniemy - Gesine Schwan i ja - po jeszcze nowsze idee.

Wspólnie w zjednoczonej Europie

Polska nie zaznała w przeszłości wiele szczęścia w stosunkach ze swoimi sąsiadami, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Tak, chciałbym tu wspomnieć pewnego polskiego satyryka, który powiedział - jeśli się nie mylę - w 1929 roku: „Mój Boże, dlaczego nasi przodkowie wybrali sobie do osiedlenia te tereny? Z powodu łagodnego klimatu czy też przyjaznych sąsiadów?”. Ta opowieść przetrwała przez stulecia i nadaje się prawie wszędzie. Ale dobrze! Jesteśmy sąsiadami! Istnienie państwa polskiego - a często również narodu polskiego - stawiane było przez państwa sąsiedzkie pod znakiem zapytania. Nie dziwi zatem, iż upadek muru berlińskiego wywołał mieszane uczucia właśnie w Polsce. Helmut Kohl, przebywający dokładnie w tych dniach - 9 listopada 1989 roku - w Polsce w Warszawie, świadomy był obaw, z jakimi to wydarzenie przyjęte musiało być w Polsce. Powiedział zresztą później:

[...] jesteśmy sąsiadami, czy nam się to podoba, czy nie... To tysiącletnie sąsiedztwo było przez lata udane. Później rozpoczął się straszliwy okres. Nie powinien być zapomniany... Od dziś zaczyna się nowy, dobry rozdział w historii naszych krajów.

Bardzo pragmatyczne i pomysłowe.

Z perspektywy ponad dziesięciu lat mogę z całym przekonaniem stwierdzić, że słowa te zawierały dobrą prognozę. Ale też stosunki między Polską i Niemcami zyskały nowy punkt odniesienia o zasadniczym znaczeniu - integrującą się Europę.

Polska-Niemcy - europejskie cechy wspólne - a więc razem w Europie. Te właśnie europejskie ramy nadają polsko-niemieckim stosunkom nowy charakter. Rozpoczęty w latach pięćdziesiątych proces integracji położył kres przynajmniej w części kilkusetletnim podziałom kontynentu, przyniósł niespotykany dotąd dobrobyt i stabilność. Jest to osiągnięcie, którego nie można przecenić. To przede wszystkim dzięki integracji dane zostało Niemcom po wojnie wyjść z moralnej izolacji i wrócić do wspólnoty cywilizowanych narodów. Dane było stać się miłującą pokój demokracją, zyskać szacunek i sympatię sąsiadów.

„Solidarność” w Polsce dała początek pokojowym zmianom „rewolucji” (Timothy Garton Ash) o historycznym wymiarze, którego wyrazem było zjednoczenie Niemiec i możliwość ogarnięcia całego kontynentu europejskiego procesem integracji - stworzenia wspólnej Europy.

Jeśli stwierdziłem przed chwilą, że prognozy Helmuta Kohla o „nowym, dobrym rozdziale” w stosunkach między Polską a Niemcami spełniły się, to między innymi (a może przede wszystkim) dzięki zrozumieniu przez same (zjednoczone) Niemcy swojej nowej roli w Europie. Polska zyskała w zjednoczonych Niemczech solidnego i godnego zaufania



sojusznika na drodze do członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim, a obecnie otrzymuje mocne wsparcie w staraniach o członkostwo w Unii Europejskiej.

Rozszerzenie Unii Europejskiej ma głęboki wymiar. Mamy stworzyć - jak mówił wielki dziewiętnastowieczny polski poeta i myśliciel Cyprian Kamil Norwid Europę narodów składających się nie z tego co je wyróżnia, lecz z tego, co je łączy.

Przystąpienie Polski do Unii utrwali nową jakość w dwustronnych polsko-niemieckich odniesieniach. Da jednocześnie nowy, mocny impuls procesowi integracji europejskiej - czy chcemy, czy nie, jakość i stan stosunków polsko-niemieckich wpływa bowiem bezpośrednio na tempo jednoczenia się Europy:

- dobrze, że jesteśmy tej odpowiedzialności świadomi;

- dobrze, że to „sprzężenie zwrotne” ma pozytywną dynamikę i osadzone jest w solidnych ramach.

#### Współbrzmienie pokoleń

Historyk operujący dokumentami z archiwów ministerialnych i rządowych bez trudu udowodni, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat zmieniła się jakość stosunków polsko-niemieckich, a także miejsce Polski i Niemiec w Europie. Dziejów tego przełomu nie da się pojąć bez opisu spotkania dwóch pokoleń po obu stronach granic i ponad granicami.

Moje pokolenie zaznało kataklizmu drugiej wojny światowej ze wszystkimi jej konsekwencjami w postaci podziałów i wrogości, które, jak się wydawało, zostały utrwalone na wieki. Gorycz doświadczenia i ból ledwie zagojonych blizn kazały nam patrzeć z nadzieją na odważne dokonania ludzi starej Europy i starej daty: Roberta Schumanna i Konrada Adenauera. To dzięki ich koncepcji „oddania niemieckiego potencjału intelektualnego i produkcyjnego na służbę Europy i wykorzystanie przez Niemcy duchowego i materialnego potencjału europejskiego” nad częścią naszego kontynentu „światła zapłonęły na nowo”. Ludzie starej daty! - którzy wiedząc, czym jest ciągłość, dziedziczenie, tradycja - nadali Europie impuls młodości.

Następne pokolenie, to z uniwersytetów ‘68 roku, wniosło do Europy nie tylko bunt, ale i świadomość wspólnoty ponad granicami. Słuchający tej samej muzyki, czytający - niekiedy w tajemnicy przed policją - te same książki, zrewoltowani - kontestując tradycję - wzbogacili ją o nowy wymiar narodowej i obywatelskiej odpowiedzialności, a także o wizję „zjednoczonej, pokojowej Europy ludzi i praw człowieka”. Dziś nadchodzi czas, by spotkanie tych dwóch pokoleń, w Polsce, w Niemczech i ponad naszymi granicami zaczęło wydawać owoce.

Powiem więc, trawestując słowa Schumanna sprzed pięćdziesięciu lat: oddanie

polskiego potencjału intelektualnego i produkcyjnego na służbę Europy i wykorzystanie przez Polskę duchowego i materialnego potencjału europejskiego oznacza stabilność i rozwój naszego kontynentu. Współpraca polsko-niemiecka, jako probierz urzeczywistnienia idei europejskiej, zapewnia zjednoczonym Niemcom osiągnięcie nowego miejsca na scenie międzynarodowej, a Polsce i całemu regionowi może zagwarantować korzystną koniunkturę. Mówiąc krótko: pomyślna przyszłość Europy zależy od tego, czy dwa pokolenia, o których mówiłem, podejmą wyzwanie, jakie stawia przed nimi przyszłość trzeciego pokolenia - dzisiejszej młodzieży!

Niewielu jest młodych ludzi tutaj na sali. Przyjmując, iż większość jest w wieku średnim, jest ich jednak kilku. Pozwólcie więc, Państwo, iż na zakończenie zwrócę się do młodych ludzi i powrócę do przywołanych na początku wykładu słów Marcjalisa o tym, że człowiek przyzwoity jest zawsze na początku swojej drogi. Dajcie się prowadzić tym słowom; bądźcie i przyzwoici, i gotowi, i otwarci na naukę! Tego wymaga nasza wspólna przyszłość! Dziękuję!

1 Przemówienie wygłoszone podczas konferencji rektorów uniwersytetów niemieckich na Uniwersytecie Europejskim we Frankfurcie nad Odrą.

## **Zapobiegać u progu**

Powstrzymujcie zaczątki,  
strzeżcie się zawsze i wszędzie,  
by to się nie powtórzyło!

To, że dziś mogę tutaj wystąpić jako polski minister spraw zagranicznych, jest dla mnie pełnym nadziei znakiem nowego stulecia. Chciałbym wyrazić głęboką radość i osobistą satysfakcję, że reprezentuję Polskę na konferencji, której kontynuację zawdzięczamy Elie Wieselowi - mojemu przyjacielowi i współwięźniowi z obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. Chciałbym też podziękować panu premierowi Perssonowi, iż tak chętnie tę propozycję Elie Weisela przyjął. Dla nas, ofiar i świadków straszliwych zbrodni popełnianych w imię absurdalnej ideologii, zrozumienie naszych obaw, by „zwyczajna” niechęć nie przekształciła się w masowe zbrodnie, a zwłaszcza zrozumienie okazywane temu przez młodszych od nas, jest niezwykle cenne.

Jako osiemnastoletni polski więzień Auschwitz w latach 1940-1941 byłem świadkiem, a zarazem przedmiotem badań odporności ludzkiej na nietolerancję, na mechanizm działania systemu totalitarnego w jego najbardziej dotkliwej, obozowej formie. W czasach stalinowskich spędziłem 6,5 roku w więzieniach komunistycznych, z czego 1,5 roku w piwnicy. Po raz pierwszy w moim życiu zostałem uwięziony w wieku 18 lat, po raz ostatni mając 62 lata. Wracając po raz kolejny do tematu nietolerancji, uświadamiam sobie, jak bardzo on jest aktualny.

„Ludzie ludziom zgotowali ten los” - sumowała swą wiedzę o latach 1939-1945 polska pisarka Zofia Nałkowska. Tak, Auschwitz jest dziełem ludzkim, tak, to ludzie ludziom zgotowali ten los, dlatego właśnie tylko chłodne spojrzenie umożliwia zrozumienie ludzkiej przestrzeni obozu; ten koszmar był wytworem umysłów działających w imieniu państwa, na podstawie ustaw i zarządzeń posiadających moc prawną. Personel, w zdecydowanej większości przypadków ochotniczy, przed podjęciem pracy zapoznawał się z programem działania obozu, za rzetelne zaś wykonywanie obowiązków otrzymywał przewidziane regulaminem nagrody w postaci awansów, odznaczeń państwowych, dodatkowych urlopów i dodatkowych racji żywnościowych. Byli to ludzie wywodzący się z rozmaitych środowisk społecznych: skład oświęcimskiej załogi SS odzwierciedlał w przybliżeniu przekrój społeczeństwa niemieckiego, w którym oprócz przedstawicieli warstw o niższym poziomie wykształcenia znaleźli dla siebie miejsce lekarze, profesorowie szkół średnich i wyższych. Ich pierwszym zadaniem było przekształcenie przybyłego więźnia w automat, bezwolny i pozbawiony godności.

Stawiam pytanie: czy możliwa jest w naszym świecie przestrzeń nihilizmu absolutnego? Polski profesor Antoni Kępiński zwracał uwagę, że w warunkach obozowych „naturalny instynkt zachowania życia (jako normalna reakcja na panującą w obozie tendencję do zagłady) zwiększał poczucie, że jest się bezsilnym automatem, a właśnie automatyzm był jedną z tych cech koszmaru obozowego, który przyczyniał się do unicestwienia jednostki. Aby przetrwać obóz, trzeba było się wyrwać spod przemożnego prawa zachowania życia za wszelką cenę”. Polska profesor Anna Pawełczyńska, więźniarka Pawiaka, Oświęcimia (nr 44764) i Flossenburga, zauważa, że choć w warunkach obozu koncentracyjnego „każda forma stanowiąca dorobek kultury była dysfunkcyjna”, to przecież właśnie trwanie przy wartościach, takich jak braterstwo, solidarność, miłość bliźniego („Nie krzywdź bliźniego swego i ratuj go, jeśli możesz!”), dawało człowiekowi tę porcję wewnętrznej wolności, bez której życie nie jest możliwe.

Na naszej ziemi rozegrała się precyzyjnie zaplanowana przez Trzecią Rzeszę tragedia Holocaustu. Chciałbym podkreślić, iż dawne Królestwo Polskie przez stulecia było domem wielkiej żydowskiej wspólnoty, osiadłej w Polsce za sprawą jej tolerancji, której odmawiano im gdzie indziej w Europie. Aż do wybuchu drugiej wojny światowej, kiedy to polska diaspora żydowska była największa na świecie, kultura Żydów polskich obecna była w każdym aspekcie kultury polskiej, wspaniale ją wzbogacając. Oprócz 3 milionów polskich Żydów zginęły prawie 3 miliony Polaków, w tym niemal cała intelektualna elita społeczeństwa, likwidowana również przez Sowietów. Mając 20 lat, zdecydowałem się pomagać prześladowanym i zagrożonym Żydom. Dziś, jako jeden ze Sprawiedliwych Świata, czuję się także osobiście zobowiązany dać świadectwo moich przeżyć.

Jednym z zamiarów systemu komunistycznego w Polsce było tworzenie tak zwanego jednolitego społeczeństwa. Nie było w nim miejsca dla uznania odrębności mniejszości narodowych. Mniejszości - w tym tysiącletnie dzieje polskich Żydów - zostały wykreślone z nauczania historii, a tym samym usiłowano je wykreślić ze świadomości Polaków. Ale jest też wiele przykładów nieszczęść wynikających z zamknięcia się na świat, wywołanego chorobliwym pragnieniem oddzielenia się od „innych” grubym murem, za którym byłoby miejsce wyłącznie dla „prawdziwych Polaków”. Polska Rzeczpospolita Ludowa w większym lub mniejszym stopniu zmusiła tysiące własnych Żydów do emigracji w latach 1962-1969. Tysiące z nich odnalazły swoją drugą ojczyznę w Szwecji. Dziękuję za to.

Dlatego budowanie społeczeństwa demokratycznego, obywatelskiego, światłego, otwartego na inne religie i kultury, a także świadomego swojej prawdziwej historii uważamy za nasze najważniejsze zadanie. Dlatego coraz większą wagę przykładamy do edukacji. W

historii Polski jest wystarczająco wiele wspaniałych przykładów harmonijnego współżycia i wzajemnego przenikania się różnych tradycji, religii i obyczajów współtworzących jej unikatową kulturę. Ogromnie ważna w warunkach polskich jest postawa Kościoła katolickiego oraz jego działania zmierzające do kształtowania w życiu religijnym i społecznym kultury wzajemnego zrozumienia i tolerancji. Zasadnicze znaczenie ma pod tym względem działalność Komisji Episkopatu Polski do spraw Dialogu z Judaizmem. Kościół katolicki w Polsce jest jednym z dwóch w Europie - poza włoskim - który regularnie od 4 lat organizuje w kościołach w całej Polsce Dni Judaizmu. Z dużym oddźwiękiem w społeczeństwie spotkały się też dokumenty opublikowane przez Episkopat w sprawie stosunku chrześcijan do Żydów i do Holocaustu, w duchu współczucia i zrozumienia.

We współczesnej, rozwiniętej cywilizacji, zdominowanej przez technikę, pogoń za dobrami materialnymi, coraz ważniejsze staje się przeciwdziałanie obojętności społeczeństwa na groźne zjawiska nietolerancji i ksenofobii, nawet jeśli stanowią one margines w życiu społecznym. Jakkolwiek w dzisiejszej Polsce nie notuje się tak drastycznych przykładów ksenofobii i fizycznej agresji, jak na przykład w ostatnich latach w innych krajach: nawet we Francji, Niemczech czy w Rosji, to w wielu przypadkach występuje przerażające zjawisko obojętności opinii publicznej na ich przejawy. Przewycięzanie tej obojętności, budzenie wrażliwości indywidualnej i społecznej to wielkie wyzwanie, stojące dzisiaj przed rządem i organizacjami pozarządowymi w Polsce i gdzie indziej.

Znamiennym z tego punktu widzenia jest rozpoczęta w Polsce - za pośrednictwem mediów - debata o tragicznym wydarzeniu, jakie rozegrało się w czasie niemieckiej okupacji w małym miasteczku Jedwabne w 1941 r., gdzie niektórzy polscy mieszkańcy wymordowali prawie wszystkich swoich żydowskich sąsiadów. Ta przerażająca zbrodnia jest obecnie przedmiotem publicznej dyskusji - polska prasa publikuje wypowiedzi historyków, socjologów, psychologów oraz listy wstrząśniętych czytelników w tej szokującej opinii publicznej sprawie. Dominuje w niej żądanie wyjaśnienia wszystkich szczegółów zbrodni oraz potępienie tych ludzi i wstyd za nich.

Wszyscy jesteśmy zdecydowani, aby do walki z rasizmem, nietolerancją i antysemityzmem skuteczniej wykorzystywać prawo, w tym sądy i policję. My w Polsce także to robimy - niedawno nauczycielowi akademickiemu został wytoczony proces o „kłamstwo oświęcimskie”. Co ważniejsze, nauczyciel ten spotkał się z ostracyzmem w środowisku akademickim i zabroniono mu wstępu na uczelnię. Zapadały wyroki sądowe wobec osób wykrzykujących faszystowskie hasła i kolportujących antysemickie publikacje. Ostatnio zaostrożone zostały sankcje karne grożące za rozpowszechnianie materiałów drukowanych na

te tematy.

Wszyscy musimy - u progu nowego tysiąclecia - zrobić wszystko, co w naszej mocy, by straszliwe doświadczenia XX wieku, których ja sam byłem świadkiem, uczestnikiem i wielokrotnie także ofiarą, nie stały się udziałem kolejnych pokoleń. Tworzymy coraz lepsze programy edukacyjne i coraz precyzyjniejsze normy prawne. Nikt nie ma chyba wątpliwości, iż głównym adresatem działań, podejmowanych także z inspiracji tej konferencji, jest i będzie młode pokolenie. To oni będą tworzyli świat przyszłości. Jednym z zadań tej konferencji - w moim rozumieniu - jest pobudzanie ich poczucia odpowiedzialności za to, jaki ten świat będzie. Dlatego chciałbym zakończyć apelem do wszystkich, którzy to młode pokolenie współkształtują - nauczycieli i wychowawców. Autorem tego szczególnego apelu, który znalazł się we wstępie do polskiego podręcznika do nauczania o Holocaustie, jest Haim Ginott:

„Nauczycielu, Należę do ocalonych, którzy przeżyli obóz koncentracyjny. Moje oczy widziały to, czego żaden człowiek nie powinien być świadkiem: komory gazowe zbudowane przez uczonych inżynierów; dzieci zatrute przez wykształconych lekarzy; niemowlęta zabite przez wyszkolonych pielęgniarki; kobiety i dzieci rozstrzelane i spalone przez absolwentów szkół średnich i wyższych.

Tak więc powątpiewam w edukację.

Dlatego proszę: pomóżcie swoim uczniom stać się ludźmi. Nie dopuście, by efektem waszych wysiłków były uczone potwory, wykwalifikowani psychopaci, wykształceni Eichmannowie. Czytanie, pisanie i arytmetyka są ważne, tylko wtedy jednak, gdy służą one temu, by nasze dzieci stały się ludźmi”.

Ja, który widziałem tak samo lub podobnie jak Ginott, mówię: to jest nasz obowiązek. Mówię to jako jedyny na świecie minister spraw zagranicznych, który był więźniem obozu w Auschwitz (nr 4427), jako świadek okrutnych czasów panowania dyktatury w Europie. Powstrzymujcie zaczątki, strzeżcie się zawsze i wszędzie, by to się nie powtórzyło!

1 Przemówienie wygłoszone na konferencji poświęconej nietolerancji w Sztokholmie, 30 stycznia 2001 roku.

## Pojednanie - odpowiedzialność i odwaga

Przypadło mi w udziale zadanie nad wyraz trudne: mam mówić o pojednaniu, a przecież świadom jestem, że pośród wielu trudności związanych z rozumieniem tego pojęcia, a potem z wcielaniem go w życie, najgroźniejsza jest łatwość posługiwania się słowem: pojednanie1.

Iluż to głośnych i uroczystych pojednań byłem obserwatorem? Mam wciąż przed oczyma - z młodych lat - zdjęcia z uroczystości w forcie Douaumont w 1936 roku, gdy to stanęli naprzeciw siebie straszliwie okaleczeni inwalidzi wojenni z Francji i Niemiec, by w rocznicę bitwy pod Verdun złożyć wspólną przysięgę wieczystego pojednania. Trudno było wówczas wątpić w dobrą wolę ślubujących kombatantów, fakt zaś, że ta dobra wola sprzęgła się z zamiarami polityków napawał optymizmem, ale 4 lata później organizator tego spotkania objął stanowisko namiestnika *nazi* w okupowanym Paryżu. Czy to ironia dziejów?

Im dłużej żyję, tym większą mam pewność, że pojęcie ironii dziejów zostało stworzone dla przerzucenia odpowiedzialności z jednostek na bezosobowe i niepojęte siły wyższe, a więc dla usprawiedliwienia ludzi, ich konkretnych myśli, ich konkretnych czynów. Jednym z takich czynów - poprzedzonych przez teorię - było w XX wieku odrzucenie osoby ludzkiej jako podmiotu polityki i uznanie za nieodwracalne „absolutnego bankructwa myślenia humanitarnego” (Friedrich G. Junger, *Krieg und Krieger*, Berlin 1930, s. 62), które miało ustąpić miejsca myśleniu o polityce jako domenie wrogości.

Sądzę, że każdy z nas pamięta słuszne stwierdzenie Carla Schmitta, iż podstawowym kryterium wszelkiego politycznego działania jest rozróżnienie między przyjacielem i wrogiem, z położeniem mocnego akcentu właśnie na wroga.

Wróg polityczny nie musi być ani moralnie zły, ani estetycznie brzydki; nie musi być konkurentem ekonomicznym, może się nawet wydać korzystne i opłacalne robienie z nim interesów. Pozostaje jednak kimś innym, obcym2 [...] „Wojna jest konsekwencją wrogości, ponieważ jest zanegowaniem innego istnienia w jego bycie”3. [...] W obliczu demokracji bezpośredniej, rozumianej nie tylko w sensie technicznym, lecz także w sensie żywym, parlament wymyślony przez liberałów wydaje się jedynie sztuczną maszyną, gdy tymczasem metody dyktatorskie i cezarystyczne mogą być owocem nie tylko aklamacji narodu, lecz także bezpośrednich manifestacji siły i substancji demokratycznej4.

Nie uważam, by dzieło Carla Schmitta należało - jak to czyniono w przeszłości - traktować jako zbiór postulatów politycznych, które spełniły się, na nieszczęście naszego kontynentu i całego świata, w praktyce; ten wybitny myśliciel był - jak się zdaje - realistą w tym sensie, że dawał świadectwo istnieniu dominującej tendencji doktrynalnej w ówczesnym

świecie, zarówno po prawej, jak i po lewej stronie sceny politycznej. Tak, być może z punktu widzenia wielkiej polityki słowo „wróg należy rozumieć w sensie konkretnym, egzystencjalnym, w formie czystej, niepomieszanej z wyobrażeniami ekonomicznymi, moralnymi i innymi”<sup>5</sup>, ale ja, któremu oba totalitaryzmy: hitlerowski i komunistyczny, przypisały skutecznie (i nie bez racji) miano wroga, muszę tutaj dodać skromną uwagę.

Z tak zarysowanej konstrukcji, w której decyzję o wojnie podejmuje suweren wyrażający demokratyczną substancję, daje się wyprowadzić kolejne pojęcie, a mianowicie pojęcie zbiorowej odpowiedzialności. Decyzja jest wyrazem kolektywnej woli, toteż wróg także staje się figurą kolektywną; skoro jest zagrożeniem, przestanie nim być z chwilą jego całkowitego unicestwienia - w walce na śmierć i życie. Tak więc i odwet, przybierający niekiedy postać krwawej pomsty, musi być ugruntowany na poczuciu zbiorowej odpowiedzialności. Tak powstają warunki do nakręcenia się spirali wzajemnej, coraz głębszej, ślepej nienawiści. Suweren może zmienić swą decyzję, ale jego działanie nie dokonuje się w pustej przestrzeni teorii. Walka trwa między żywymi ludźmi, postępująca zaś w śmiertelnym starciu intensyfikacja wrogości wiedzie wprost do odebrania wrogowi jego ludzkich cech, by - ostatecznie pozbawiony człowieczeństwa - mógł być zgładzony „jak wesz”, „jak gad”, „jak wściekłe zwierzę”, „jak pies”, pod ścianą, w rowie, w komorze gazowej, w krematorium. Po wtóre - konstrukcje teoretyczne mają to do siebie, że, zastosowane w praktyce, obracają się w swoje przeciwieństwo. Jest prawdą, że kultura europejska wytworzyła w ciągu stuleci „wojnę ograniczoną formami” (*Kriege in Form*), ale przecież cała konstrukcja *bellum iustum* zawaliła się na naszych oczach, w nieopisanych potwornościach drugiej wojny światowej, w Holocauście, w pacyfikacjach i deportacjach. Nie znam kraju, w którym stałby pomnik, na którego cokole stoi postać Sprawiedliwego Wroga (*gerechter Feind*), niestety!

Dlaczego, miast o pojednaniu, mówię o wrogości? Bo taki jest porządek historyczny i logiczny. To drugie poprzedza to pierwsze. Więcej, wydaje się, że wrogość jest czymś nieporównanie łatwiejszym od pojednania. Zdarza się przecież, że z wrogiem czujemy się niemal zaprzyjaźnieni, mogąc nań przerzucić odpowiedzialność za wszystkie nasze nieszczęścia; taki obraz wroga, spiskującego, diabolicznego, wszechobecnego, pozwala nam lepiej myśleć o nas samych, a w ten sposób zwielokrotnia drążące nas uczucie nienawiści i jeszcze głębiej zatruwa nasze dusze. Wojny zaczynają się zazwyczaj w atmosferze entuzjazmu, uczucia, które w łatwy sposób ogarnia zbiorowość i uwalnia ją od wszelkich hamulców. A pojednanie? Jakże żyć pośród gruzów? Jakże wyzbyć się pamięci krzywd? Jakże zapomnieć cierpienie, które ukonstytuowało los, wypełniło całe życie ofiary? Jak



znaleźć wspólny język, w którym miejsce szczerego krzyku bólu zajmie pewność prawdy? Pojednanie wymaga namysłu, wrażliwości moralnej, sumienia, wymaga wielkiej pracy duchowej, wymaga rozstania się z urojeniami, z mitologią nienawiści (niekiedy głęboko osadzona w kulturze), wymaga uznania prawdy, często bolesnej, o sobie samym, wymaga ujrzenia - w dawnym wrogu i w sobie samym - człowieka pod tym samym niebem. *Osculum pacis*? Ale czy to wystarczy?

Święty Cyryl Jerozolimski tak pisał w jednej ze swoich katechez:

Nie myśl, że chodzi tu o taki pocałunek, jaki widzimy u przyjaciół na rynku. Ten pocałunek jednoczy serca i prowadzi do przebaczenia uraz, jest oznaką pojednania i zapomnienia o krzywdach. Wszak Chrystus powiedział: „Jeżeli ofiarę swą przynosisz na ołtarz i tam przypominasz sobie, iż brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam przed ołtarzem swą ofiarę i idź wpierw i pojednaj się z bratem swym, a potem dopiero wróć i złóż swą ofiarę” (Mt 5,23-24).

Proszę zwrócić uwagę, że w tych słowach świętego Cyryla Jerozolimskiego zawarty jest opis procedury rozciągniętej w czasie: pocałunek pokoju jest wyrazem woli pojednania, winien zaś prowadzić do przebaczenia uraz (a więc - najpierw - ich wyznania), następnie zaś do takiego stanu pojednania, w którym staje się możliwe zapomnienie o krzywdach.

Od czasów starożytnej Grecji symbolem pojednania między ludźmi, a też między ludźmi i Bogiem, jest drzewo oliwne, drzewo pokoju i przebaczenia. Wyraża się to także w pokrewieństwie zachodzącym w grece między słowami: drzewo oliwne, oliwka i słowem: współczuję. Gałązka oliwna przyniesiona Noemu przez gołębicę (Rdz 8,11) była znakiem, że czas kary ustąpił i jest wolą Boga, by na ziemi znów rosło drzewo pokoju. Ale w naszym regionie nie ma gajów oliwnych. Toteż było i jest naszym obowiązkiem tworzenie takiego instrumentarium pojednania, które, prócz siły symbolicznej, będzie miało mocne, niezniszczalne fundamenty.

Powie ktoś: Bartoszewski miesza dwa języki - język polityczny i język wartości, język codziennej praktyki i język świętych symboli. A ja odpowiem: tak, czynię to z rozmysłem. A dlaczego? Każdy, kto jako tako interesował się polityką, pamięta z pewnością opis *theatrum* dokonany przez Maxa Webera w *Politik als Beruf*, w którym przeciwstawione zostają dwie etyki i związane z nimi dwie role. Z jednej strony mamy etykę przekonania, etykę bezwarunkową, jednoznaczną, absolutną, która - wedle Webera - wymaga od człowieka świętości: „Trzeba być świętym we wszystkim, przynajmniej chcieć być, trzeba żyć jak Jezus, apostołowie, święty Franciszek i jemu podobni, wówczas ta etyka ma sens i jest wyrazem godności”. Z drugiej strony występuje etyka odpowiedzialności, która musi się pytać o dające

się przewidzieć skutki działań i skomplikowane relacje między celem a użytym do jego osiągnięcia instrumentarium przemocy. Jak widać, dramat rozgrywa się tu między dwiema rolami: z jednej strony prorok „odpowiedzialny jedynie za to, by nie zgasł płomień czystych przekonań”, z drugiej polityk zdany na kalkulacje wiodące do mniejszego zła, które zresztą - po czasie - może się okazać złem wcale nie mniejszym, lecz zupełnie dużym. Pisał Weber: „Nie jest możliwe pogodzenie etyki przekonań i etyki odpowiedzialności”. Zauważmy jednak, że te dwie role opisane przez sławnego socjologa łączy jedna cecha wspólna: absolutna głuchota na racje strony przeciwnej, głuchota, która - nie w formie opisu, lecz formie politycznego projektu - uzasadnia niemożliwość jakiegokolwiek dialogu. Świętość niech sobie będzie świętością, podczas gdy polityka „jest twardym zajęciem” i każdy, kto się nią zajmuje, kto „chce wziąć na siebie odpowiedzialność wpychania się w szprychy koła politycznego rozwoju ojczyzny, musi mieć mocne nerwy i nie może być zbyt sentymentalny, by mógł uprawiać politykę tu, na ziemi”<sup>6</sup>. W moim życiu nieraz musiałem mieć mocne nerwy, nieraz musiałem rezygnować z sentymentów, a wpychanie się w koła politycznego rozwoju ojczyzny przysparzało mi więcej bólu niż radości, a jednak - nieskory do utopijnych lewitacji - sędzę, po tylu latach doświadczeń, że w typologii Webera zabrakło miejsca dla ludzkiej przyzwoitości jako kategorii politycznej.

Weber pisał *Politik als Beruf* w 1919 roku, ze zbolełą duszą, w czasach dla Niemiec wyjątkowo skomplikowanych. Zważywszy na kontekst psychologiczny, można pojąć gorycz, z jaką szydził z „obowiązku mówienia prawdy” w polityce. Twierdził więc, że niebezpieczny jest dla narodu obowiązek głoszenia prawdy, niebezpieczna, a wręcz złowroga myśl (właściwa etyce absolutnej), że [...] trzeba publikować wszystkie dokumenty, zwłaszcza te obciążające własny kraj i na podstawie tych jednostronnych publikacji wyznaczyć winę (...) Polityk zauważy, że w efekcie nie sprzyja to prawdzie, lecz, w wyniku nadużyć i rozpętania namiętności, zaciemnia ją; że tylko wyczerpujące ustalenia przeprowadzone bezstronnie i planowo mogą być owocne; każde inne działanie może mieć dla narodu, który postępuje w ten sposób, skutki nie do naprawienia przez dziesiątki lat. Ale właśnie te skutki nie interesują etyki absolutnej.

Po dokładniejszym rozważeniu tych słów widać wyraźnie, że przeciwstawiając obowiązek mówienia prawdy politycznonarodowej odpowiedzialności, Weber wybudował opozycję pozorną. Prawda, w swej istocie, musi być i jest dziełem wyczerpujących ustaleń, w przeciwnym wypadku „etyka absolutna” zaprzeczałaby samej sobie. Polityk zaś, który z obawy przed „rozpętnaniem namiętności”, i będąc tej obawy zakładnikiem, rezygnuje z posłużenia się prawdą jako czynnikiem budowy zaufania w działaniach państwowych,

rezygnuje tym samym z wzięcia odpowiedzialności za przyszłość swego narodu. A zatem wypiera się swego posłannictwa. Nie ma to nic wspólnego z sentymentalizmem: kto żyje twardo na ziemi, twardo i z otwartymi oczyma, ten wie, że prawda, jako trudny i bolesny obowiązek, może być - i jest - polityczną cnotą. Tak to widziałem, gdy polscy biskupi w 1965 r. zwrócili się do episkopatu niemieckiego ze słowami „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, gdy kanclerz Willy Brandt w 1970 przybył do Warszawy i gdy w 1991 r. został podpisany traktat polsko-niemiecki o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy; tak to widzę, gdy my, Polacy - w imię zasad etyki absolutnej, a jednocześnie w imię etyki odpowiedzialności - mówimy niełatwą prawdę o stosunkach polsko-żydowskich, a także o złożonych w przeszłości relacjach z innymi naszymi sąsiadami.

Pojednanie nie jest aktem jednorazowym. Nie może też wyczerpywać się w powtarzaniu rytualnych gestów, choć i one są ważne, bo - jak to zauważył Arystoteles: „dzięki takim samym czynnościom powstają trwałe dyspozycje”<sup>7</sup>. Warunkiem jego realizacji jest budowanie czegoś, co można by nazwać „infrastrukturą pojednania” w rozmaitych dziedzinach naszego życia: w kulturze, w edukacji, w gospodarce, w intensyfikacji kontaktów międzyludzkich, we wspólnym planowaniu i budowaniu przyszłości w procesie poszerzania Unii Europejskiej. Minęło dziesięć lat od dnia, w którym minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, profesor Krzysztof Skubiszewski i Niemiec, HansDietrich Genscher sformułowali tezę o polsko-niemieckiej wspólnocie interesów. Jest pewne, że tamta formuła polityczna, mówiąca o interesach, rysowała perspektywę planowania dalszego procesu pojednania, dziś wymaga dalszego wzbogacenia.

Jest pojednanie koniecznością zarówno etyczną, jak i polityczną. Jest też podwójnym wyzwaniem: dla planujących umysłów i dla serc. Jest procesem, w którym pojęcie odpowiedzialności zbiorowej nabiera całkowicie nowego i pięknego sensu, bo przecież jest pewne, że ponosimy zbiorową odpowiedzialność za budowanie wspólnej przyszłości.

1 Przemówienie wygłoszone na Uniwersytecie w Augsburgu z okazji przyznania godności obywatela honorowego, 28 czerwca 2001 roku.

2 Carl Schmitt, *Der Begriff des Politischen*, Hamburg 1933, s. 7.

3 Tamże, s. 9.

4 Schmitt, *Die geistesgeschichtliche Lage des heutigen Parlamentarismus*, München 1926, s. 22.

5 Schmitt, *Der Begriff...* s. 9.

6 Max Weber, *Zur Gründung einer nationalsozialen Partei*, w: *Gesammelte politische Schriften*, Tübingen 1980, s. 28-29.

7 Arystoteles, *Etyka nikomachejska*, II, 1 1103 b.

## **Wierzę w potęgę wartości**

Z Władysławem Bartoszewskim rozmawiają Tomasz Sójka

i Maciej Mataczyński

*Dla istnienia społeczeństwa obywatelskiego konieczny jest pewien etyczny consensus, będący fundamentem stosunków między ludźmi. Chcielibyśmy w związku z tym porozmawiać z Panem Profesorem o kwestii, która nabiera coraz większego znaczenia społecznego, a mianowicie o wychowaniu do wartości.*

Mając siedemdziesiąt sześć lat, próbuję sobie uporządkować wydarzenia mojego życia, odszukać zależności, które sprawiły, iż w wieku lat osiemnastu czy dwudziestu postępowałem w określony sposób i to - powiedziałbym - bez specjalnie długiego namysłu. Wychowanie w domu, oczywiście również w moim wypadku, odegrało ważną rolę, ale raczej pośrednio, na przykład przez wybór szkoły. Mimo to myślę, że moje dzieciństwo nie było szczęśliwe z punktu widzenia wychowania. Byłem jedynakiem, a moi rodzice byli urzędnikami, zawsze zajętymi pracą zawodową. To było tuż po pierwszej wojnie światowej, a dla przeciętnych ludzi oznaczało to walkę o byt, o zdobycie pracy i środków do życia. Są ludzie, którzy niesłychanie dużo zawdzięczają rodzicom, starszemu rodzeństwu czy w ogóle atmosferze panującej w ich domu, która kształtuje ich na całe życie. Znam wiele takich pięknych przykładów. Jednakże w moim przypadku tak nie było.

Bardzo ważnym wydarzeniem, które wpłynęło na mój świat wartości, była druga wojna światowa. Była potężnym wstrząsem dla hierarchii wartości, zarówno w teorii - gdy człowiek zastanawiał się nad ładem moralnym, jak i w praktyce - gdy zniszczone zostały wszystkie nasze plany i marzenia. Normalnie istnieje pewien porządek, w określonym wieku kończy się szkołę, zaczyna się studiować, a potem pracować i tak dalej. To jest ład, który się teraz na nowo w Polsce buduje. Natomiast w całym moim pokoleniu ład ten stał na głowie. Zagrożenia i kryzysy towarzyszyły mojemu wychowaniu od progu dorosłości. Okoliczności sprawiły, że trwało to dłużej niż sama wojna, bo powojenne lata - w jakimś stopniu z mojego wyboru - też nie były banalne. W więzieniach i obozach spędziłem w sumie prawie osiem lat, z czego ponad siedem właściwie po wojnie. To sprawiło, że wciąż pojawiały się sytuacje konfrontacyjne, w których zmuszony byłem do podejmowania świadomych wyborów.

Skończyłem drogę moich dotkliwych doświadczeń, mając lat trzydzieści trzy, jako człowiek już w pełni ukształtowany. Gdy patrzę na ten okres z obecnej perspektywy, wydaje mi się, że największy wpływ na moje wychowanie do wartości miała szkoła. Formacja, którą tam odebrałem, pozwoliła mi później, w okresie próby, podejmować bez większego namysłu decyzje, które następnie mnie rozwijały.

*Jednym z najpoważniejszych dziś problemów społecznych jest właśnie wychowanie tej części młodych ludzi, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w dobrze funkcjonującej rodzinie. Jest to zjawisko, niestety, coraz częstsze, dlatego chcielibyśmy zapytać Pana Profesora o te elementy edukacji szkolnej, które sprawiły, iż to właśnie ta instytucja najsilniej wpłynęła na podejmowane później wybory.*

Moja matka zdecydowała, abym poszedł do prywatnego gimnazjum w Warszawie, które nosiło imię św. Stanisława Kostki. To była jedna z kilku najbardziej znanych prywatnych męskich szkół warszawskich. Największy wpływ na naszą formację wychowawczą miała atmosfera szkoły. Od innych odróżniało nas trochę to, że funkcję dyrektora szkoły pełnił ksiądz. Jednakże było to normalne gimnazjum świeckie, w którym nauczycielami byli świeccy, a nawet kobiety, co w owym czasie stanowiło rzadkość w gimnazjach męskich. Panował tam styl życia i myślenia wypływający z chrześcijaństwa i nauczania Kościoła katolickiego, jednakże nie było żadnego natręctwa. Otwartej atmosferze szkoły sprzyjał fakt, iż nasi nauczyciele, zawsze reprezentując najwyższy poziom naukowy, niekoniecznie byli jednak związani z kręgami szeroko pojętej inteligencji katolickiej.

Mówiąc o moim wychowaniu, muszę przede wszystkim wspomnieć o nauczycielach, którzy wywarli na nas dożgonny wpływ. Nasz dyrektor ks. dr Roman Archutowski, historyk Kościoła, nie był szczególnie utalentowanym pedagogiem, lecz raczej typem naukowca, który pozostawał przy tym bardzo pobożnym i gorliwym kapłanem. W czasie wojny został mianowany rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie. Naraził się Niemcom, gdy wbrew zarządzeniom przyjął do seminarium nowych kleryków, za co został między innymi aresztowany w 1942 r. W czasie śledztwa maltretowany, bity, szkalowany zachowywał się z niezmierną godnością. Zmarł w 1943 r. w obozie koncentracyjnym na Majdanku.

Na mnie największy wpływ wywarły dwie osoby. Tadeusz Bornholtz, który przez sześć lat był moim nauczycielem historii, oraz dr Tadeusz Mikułowski, wybitny germanista z solidnym doktoratem i talentem pedagogicznym. Miałem wielkie szczęście, że był moim wychowawcą. Choć politycznie wywodził się ze środowiska bliskiego Narodowej Demokracji, w czasie wojny aktywnie uczestniczył w akcji pomocy Żydom. Aresztowany przez gestapo w lipcu 1943 r., został zesłany do Oświęcimia. Wkrótce ściągnięto go na Pawiak dla powtórnego śledztwa i tam został rozstrzelany w czasie Powstania Warszawskiego.

Matematyki uczył nas harcmistrz Witold Sosnowski, z którym wiąże się w mojej pamięci bardzo znamienna historia. Otóż w 1940 r. spotkałem go w Oświęcimiu. Byłem

bardzo złym matematykiem, raczej jednostronnie uzdolnionym humanistą. W szkole łaskawie podciągnano mi ocenę z matematyki do trójki, choć na nią tak naprawdę nie zasługiwałem.

Tak więc, gdy spotkałem Sosnowskiego przy walcu drogowym w Oświęcimiu - takim ciężarze ciągniętym przez wielu więźniów - to on mnie wtedy zapytał: „Słuchaj, powiedz ty mi, czyś ty nie mógł się nauczyć tej matematyki, czyś po prostu nie chciał?”. Coś niezwykłego! Jego nurtowało pytanie, dlaczego ja, zdolny chłopiec, z jego przedmiotu miałem takie słabe wyniki. I pyta o to w momencie, w którym nas Niemcy katują przy tym walcu. Proszę zobaczyć, co to był za człowiek, co za odpowiedzialność za drugiego człowieka, co za ciekawość pedagogiczna. On tam został... zginął.

Bardzo ważnym elementem naszego wychowania była godzina wychowawcza. W naszej szkole obowiązywał system, że jeden wychowawca szedł z klasą od początku do końca, przez sześć lat. W moim wypadku był to Tadeusz Mikułowski, z którym bardzo przez ten czas się żyliśmy, a on wiedział o nas wszystko. Organizował z nami godzinę wychowawczą, która była godziną problemową, na której uczyliśmy się patrzeć na świat przez pryzmat podstawowych wartości i ideałów.

Na czas mojej nauki w szkole, w latach 1930-1939, przypadły różne burzliwe wydarzenia polityczne. Wychowawca pomagał nam je oceniać, krytycznie rozsądzać racje stron. Mieliśmy na przykład dyskusję na temat wojny w Abisynii. Mój kolega przedstawił rację Mussoliniego, a ja Abisyńczyków. Lekcje te pomagały nam także w kształtowaniu naszych osobowości. Pamiętam do dziś na przykład lekcje na temat: bohater a dżentelmen, podczas której usiłowaliśmy scharakteryzować te dwie postawy, znaleźć pomiędzy nimi różnice i ocenić je.

To wszystko wywarło na nas ogromny wpływ. Oprócz lekcji wychowawczej ważne były lekcje języka polskiego i historii, bo tak naprawdę, to kto najmocniej kształtuje świat wartości młodego człowieka? - polonista, historyk i wychowawca, i nikt ich w tym nie zastąpi.

#### *A lekcja religii?*

Jeżeli chodzi o lekcje religii, to nawet jeżeli byliśmy kształtowani przez nią, nie wiedzieliśmy o tym. Nie mogę powiedzieć, bym się czuł w pełni ukształtowany religijnie przez szkołę. Nabrałem tam jednak pewnych nawyków oraz wiedzy, która potem była przydatna dla mojego rozwoju duchowego. Natomiast bardzo ważny element formacyjny w naszej szkole stanowiło harcerstwo.

Ze szkoły wychodziliśmy z ukształtowaną osobowością i sprecyzowanymi planami dotyczącymi naszej dalszej drogi życiowej. Jednakże to był rok 1939 i większość tych planów

przekreśliła wojna. Na przykład dwóch prymusów z mojej klasy po prostu zginęło w Powstaniu Warszawskim.

O postawie ludzi, którzy ukończyli moje gimnazjum, nich świadczy fakt, że w 1939 wszyscy, bez wyjątku, chcieliśmy wstąpić do wojska. Wiedzieliśmy, gdzie w owym momencie było nasze miejsce.

*Z Pana opisu wylania się obraz szkoły, która nie jest przede wszystkim „kuźnią wiedzy”, ale raczej miejscem, gdzie młody człowiek może spotkać mistrza, który go zafascynuje swoją osobowością i życiem, stając się dla niego wzorem.*

Oczywiście, że tak! Dlaczego ja się tak bardzo interesowałem Niemcami? Dlatego, iż miałem tak wybitnego germanistę jak Mikułowski. On po prostu zaraził nas swoją pasją do Niemiec. W szkole wpadłem pod skrzydła ludzi wielkich duchowo, i to bynajmniej nie księży, lecz świeckich, którzy potrafili mnie pociągnąć swoim przykładem. Długo potem, gdy znajdowałem się w różnych trudnych sytuacjach, po prostu zadawałem sobie pytanie: co w tej sytuacji zrobiłby Bornholtz, co powiedziałby Mikułowski?

Po zakończeniu szkoły, kiedy wybuchła wojna, wciąż spotykałem ludzi, którzy potrafili mnie inspirować do nieustannego rozwoju duchowego. Dobrym przykładem niech będzie tutaj to, co się zdarzyło po moim powrocie z Oświęcimia. Sam Oświęcim to była trudna sprawa, nie tylko fizycznie - to jest oczywiste - ale psychicznie. Przy mnie umierali ludzie, a ja byłem bezradny. Nie mogłem dać sobie z tym rady. Jeszcze trudniej było zrozumieć fakt, że udało mi się wyjść na wolność - najprawdopodobniej dzięki staraniom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, gdyż przed aresztowaniem byłem pracownikiem PCK. Przeżyłem wtedy ogromny kryzys, trwający długie miesiące, gdyż nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego to właśnie ja wyszedłem. Przecież byli inni ludzie, którzy o wiele bardziej zasługiwali na wolność - ojcowie rodzin, intelektualiści, księża. Nie mogłem pojąć sensu tego Boskiego i ludzkiego ładu.

Po roku trafiłem na ks. Jana Ziębę, u którego się wypowiadałem. On, jak to kapłan, próbował mnie pocieszać mądrością Bożą, której nie możemy zbadać. Na koniec jednak dodał: „Słuchaj, ty nie lituj się nad sobą, pomyśl raczej, że po coś ocalałeś. To był jakiś plan Boży, którego nie musisz wcale rozumieć, ale musisz z tego wyciągnąć wnioski. Ocalałeś, by dawać świadectwo. I nie chodzi tylko o to, byś opowiadał ludziom o Oświęcimiu. Mówić to ty za dużo w ogóle nie musisz. Natomiast masz obowiązek świadczyć, że rozumiesz, co znaczy cierpienie i że trzeba pomagać ludziom znajdującym się w największym nieszczęściu. Widzisz, co się dzieje z ludźmi prześladowanymi? Widzisz, jak ludzie są dzisiaj traktowani? Wiesz, co się dzieje w getcie!?”.



Zrządzenie Boże sprawiło, iż niemal równocześnie trafiłem na Zofię Kossak, która nie znając mnie dobrze - i dlatego dużo ryzykując - zaproponowała mi włączenie się w akcję pomocy Żydom i innym ludziom zagrożonym przez okupantów. Oczywiście zgodziłem się, i ta decyzja miała duży wpływ na moje dalsze losy. Pierwsze moje książki z lat sześćdziesiątych także były spłaceniem długu wobec wszystkich ludzi, którzy tego okresu nie przeżyli. Zależało mi na tym, by wyrwać ich z anonimowości liczb określających liczbę ofiar, przywrócić światu ich twarze, nazwiska, przykłady postaw. No właśnie, ich postawy, to one są najważniejsze i nie powinny ulec zapomnieniu.

Podobna była moja motywacja, gdy tuż po wojnie, zanim mnie aresztowano, podjąłem działalność w PSLu Mikołajczyka. Było ono jedynym ugrupowaniem opozycyjnym, jedynym polskim ruchem opartym na autentycznej tradycji chłopskiej i chrześcijańskiej. Jednakże w listopadzie 1946 r. skończyły się te rozkosze i zamknięto mnie. Zaczęła się droga więzienna, będąca, podobnie jak wojna, próbą charakteru, próbą, która ostatecznie mnie ukształtowała i utwierdziła w wyznawanych wartościach.

Siedziałem cztery lata w śledztwie u Różańskiego i Humera. Na mojej drodze więziennej napotkałem wielu wspaniałych ludzi, którzy umacniali mnie w moim stosunku do naszych oprawców i pomagali mi przetrwać ten okres, z czystym sumieniem, bez ulegania słabości. Tak się niestety złożyło, iż w owym czasie duża część najwartościowszych ludzi tkwiła w komunistycznych więzieniach. Skutkiem tego miałem zaszczyt siedzieć z wieloma wybitnymi ludźmi - politykami, oficerami, intelektualistami...

W tej specyficznej wspólnotce więźniów politycznych obowiązywały pewne niepisane reguły zachowywania się, myślenia o naszej sytuacji. Wiedzieliśmy, że jesteśmy tylko „my” i „oni” oraz że wobec „onych” nie ma żadnych koncesji. I według tej normy ocenialiśmy się wzajemnie. Nie mówię tu o skrajnych przypadkach, na przykład donosicielstwa, lecz zwykłej, ludzkiej słabości. Jeżeli więc ktoś był słaby, za dużo mówił w śledztwie, to nikt mu tego nie wyrzucał, jednakże stosunek do niego we wspólnotce ulegał pewnej zmianie. To ogromnie mobilizowało i umacniało. Powiedziałbym, że w duchowej perspektywie niesłuchanie opłacało się być twardym i nikogo nie obciążać. To dzięki specyficznej wspólnotce więźniów politycznych udało mi się nie ulec i przetrwać ten trudny czas.

*Pana postawa zdaje się przeczyć rozpowszechnionemu przekonaniu, iż patriotyzm i przywiązanie do wartości narodowych w sposób nieunikniony prowadzą do postaw nacjonalistycznych czy szowinistycznych. Pozostając wierny tym wartościom, angażował się Pan czynnie w pracę Rady Pomocy Żydom, następnie miał Pan duży wkład w działania na rzecz pojednania i przebaczenia w stosunkach polsko-niemieckich. Czy jest Pan przykładem,*

*iz prawdziwy patriotyzm budować można, opierając się na uniwersalnym przykazaniu miłości bliźniego, które jest nadrzędne?*

Z tą miłością bliźniego to bez przesady. Ja taki święty nie byłem i chyba nie jestem. Uważałem natomiast, że takie są po prostu moje obyczaje. Tak mnie nauczono, że jeżeli ktoś się przewraca, to ja podbiegam i próbuję go podnieść. Gdy ktoś cierpi, a ja mogę mu pomóc, to próbuję. Nie dlatego, że ja od razu go Kocham, tylko po prostu tak należy, to wynika z natury stosunków międzyludzkich. Mogę spokojnie powiedzieć, iż nigdy nie byłem powodowany jakąś ogólną niechęcią do całych grup społecznych czy narodowości. Nie jest to jednak kwestia miłości bliźniego, lecz prostej przyzwoitości i dobrych obyczajów. Natomiast brzydą mnie różni kłamcy, łobuzi, kaci, którzy innym zadawali cierpienie. I nie jestem także takim dobrym chrześcijaninem, by wszystkim z góry wybaczyć. Jestem skłonny przebaczać, jeśli uderzą się w pierś i przyznają do winy. Przyjaźnię się z Leszkiem Kołakowskim, przyjaźniłem się dogonnie z Witkiem Woroszylskim. Woroszyłski pisał wiersze hołdownicze o Dzierżyńskim, gdy ja siedziałem w komunistycznym więzieniu, a Kołakowski uczył ludzi marksizmu, gdy ci marksiści mnie gnębili. Jednakże oni zmienili swoje postępowanie i próbowali to naprawić, a wtedy koniec - widzę dobrą wolę, nie jestem więc sędzią, wyrok należy do Boga.

No, ale jeśli ktoś mnie czy innych gnębił i upokarzał, a dziś w dodatku udaje, iż nic się strasznego nie stało, to może nie będę zaraz szukał pomsty, ale nie mam najmniejszej ochoty zbliżyć się do tego człowieka. Nie potrafię patrzeć na Humera tak, jak patrzę na jego ofiary. Nie życzę mu żadnych cierpień, ale życzę mu sprawiedliwego wyroku, aby zostało wreszcie jasno powiedziane, że te czyny były naganne, że za nie należy karać.

Zależy mi po prostu na tym, żeby istniało poczucie, iż nie jest wszystko jedno, co się w pewnych sytuacjach czyni, mówi. Nie może być wspólnego mianownika dla katów i ich ofiar! Taka relatywizacja uniemożliwia budowanie normalnego społeczeństwa.

W stosunkach niemiecko-polskich starałem się natomiast po prostu być racjonalny. Nigdy nie milczałem na temat zbrodni, które Niemcy popełnili. Mówiłem o tym, pisałem, wydawałem książki. Jednak z tymi, którzy ich się nie dopuszczali, mogę rozmawiać. Na gruncie akceptacji prawdy historycznej mogłem z nimi szukać jakiejś drogi na przyszłość. Szczęśliwie na takich ludzi natrafiłem w Niemczech w kręgach Kościołów katolickiego i ewangelickiego. Pojednanie i wspólną przyszłość budować można tylko na podstawie uznania prawdy historycznej, a nie prób zapomnienia o niej.

*Czy mógłby Pan spróbować określić, z perspektywy człowieka wychowanego w okresie przedwojennym, te obszary wartości, cnót obywatelskich, które doznały największej*

### *degradacji w okresie Polski Ludowej?*

Najstraszniejszą cechą PRLu było to, iż w praktyce proponował on cwaniactwo, unik, a nie prawość, uczciwość, odpowiedzialność. W świadomości społecznej wyraża się to w zasadzie: większych świństw unikam, mniejsze - owszem - akceptuję, bo trzeba jakoś żyć. Ten stan rzeczy był zresztą na rękę władzy, gdyż nad takim zdeprawowanym społeczeństwem łatwiej zachować kontrolę. Zasadą bowiem każdego totalitarnego systemu jest uzyskiwanie zależności i uległości obywateli za cenę pewnych świadczeń na ich rzecz.

Jest takie powiedzenie, przyjęte powszechnie w Polsce, które mnie bardzo irytuje, mianowicie, że „prawda leży pośrodku”. Byli tacy ludzie, którzy mówili w komunizmie: ci komuniści kłamią, ale Wolna Europa też kłamie - prawda leży pośrodku. Nieprawda! Prawda leży tam, gdzie leży, nie pośrodku ani z boku! To jest tak, jakby ktoś powiedział, że Warszawa leży od Berlina o dwa tysiące kilometrów, inny, że o dwieście, a trzeci skwitował to twierdzeniem, że prawda leży pośrodku. Prawda musi pozostać prawdą. Ja nie mówię o jakiejś prawdzie filozoficznej - na płaszczyźnie społecznej relatywizacja pojęcia prawdy przynosi skutki katastrofalne.

Jeśli fakty były takie, że ludzi niewinnie skazywano, terroryzowano, maltretowano albo obiecywano im w zamian za kłamanie czy akceptowanie kłamstw jakieś wymierne korzyści, to był to system deprawacji i nie wolno tego podważać, zapominać o tym. Jesteśmy to winni tym, którzy wtedy cierpieli. Nie chodzi tu o to, aby od razu ferować wyroki, oceniać ludzi, którzy temu systemowi ulegli, jednakże nie wolno negować faktów.

#### *Jak w tym kontekście ocenilby Pan plony systemu edukacji tego okresu?*

Najboleśniejszym dla mnie skutkiem takiego systemu wychowawczego jest relatywizacja wartości słowa, sprowadzająca się do znanej anegdoty o tym, jak przychodzi dziecko ze szkoły do domu, a matka pyta, co pani dzisiaj mówiła.

- A mówiła nam, jak się robi szkło - odpowiada dziecko.

- To ciekawe.

- No tak, ale pani mówiła, że szkło się robi z piasku... Ale wiesz co, mamusiu, ona m u s i a ł a tak mówić...

Od dziecka przyuczano ludzi do tego, że co innego się mówi, a co innego się myśli. Nauczyciel kłamie, a nawet jeżeli nie kłamie, to uczniom wydawało się, że najprawdopodobniej kłamie, bo po prostu musi, gdyż taki jest podział ról. Czy to nie rodzi cynizmu? Taki relatywizm musi rodzić cynizm. Kolejną odrażającą cechą tego systemu było popieranie w strukturach szkolnictwa miernych, biernych, ale wiernych nauczycieli. Wszystko to doprowadziło do zniszczenia godności tego zawodu.

Powiem coś niepopularnego i twardego. Ja mam większe pretensje do działaczy PAXu czy księży-patriotów niż do członków PZPR! Członkostwo w PZPR nie wprowadzało nikogo w błąd, a ksiądz to jest człowiek, który ma pośredniczyć w kontakcie z Bogiem, świadczyć sakramenty, budzić zaufanie i być wzorem - podobnie działacz katolicki. Na tej samej zasadzie mam większe pretensje do nieuczciwego nauczyciela niż do nieuczciwego weterynarza. Jeżeli weterynarz był politycznie obłąkany, to szkoda społeczna jest minimalna. Jeżeli nauczyciel był politycznym draniem, to jest szkoda bardzo duża. Są takie zawody i posłannictwa, a do nich należy na pewno stan kapłański, nauczycielstwo i media, gdzie istnieje bezpośrednia odpowiedzialność za słowo, za jego przekazywanie i za skutki, jakie wywołuje ono w świadomości ludzi - i to za skutki długofalowe.

Zawód nauczycielski został najbardziej zdeprecjonowany. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy godność i honor nauczyciela to było coś. Z przekonaniem mówiliśmy w gimnazjum do naszych nauczycieli - Panie Profesorze. To byli nasi mistrzowie.

Kolejny mocno zdeprawowany zawód to dziennikarstwo. Powiedziałem kiedyś dowcip, który krążył po Warszawie jakiś czas: otóż w pięćdziesiątych latach była wymiana legitymacji dziennikarskich z czarnych na szare. Przed wojną czarne książeczki miały w Warszawie rejestrowane przez policję prostytutki. Powiedziałem wtedy, że nareszcie odbierają dziennikarzom czarne książeczki: jednakże w zasadzie to wykonują podobny zawód, tylko inny typ świadczeń!

Także poziom demoralizacji wymiaru sprawiedliwości, według mojej wiedzy, jest wprost niewyobrażalny. Nie dotyczy to przy tym tylko sędziów, o czym się trochę mówi, ale także palestry i prokuratury, o czym się już milczy. Nawet jednak w tych profesjach, w których nie było bezpośredniego zniewolenia programowo-ideologicznego, ludzie nie pracowali na cywilizowanych zasadach. Przeciętny człowiek, który żył na najniższym szczeblu w gminie, już u progu dorosłości uczył się załatwiania wszystkiego za łapówkę - w spółdzielni, milicji, sądzie, urzędzie, wszędzie... Od gminy, gromady się zaczynało, a kończyło na centrali. Słyszę czasem takie opinie, że to jest przecież normalne. Przepraszam bardzo, ale to już jest myślenie sowieckie! Tam wszystko od dawna w ten sposób funkcjonuje, bo inaczej ludzie tam mieszkający nie mogliby w ogóle żyć.

*Nasuwa się w związku z tym pytanie: jak uporać się z problemem przewyciężenia bagażu peerelowskiej edukacji, która wychowała całe pokolenia na kłamstwach, historii skrawanej na potrzeby propagandy, na wypaczonym systemie wartości...?*

To są głębokie skazy systemowe. Nikt nie wynalazł jednolitej recepty, jak te skazy szybko wyleczyć. Wydaje mi się, że nie ma w tym wypadku szybkiej metody terapii.

Uważam, że jedyną odtrutką jest - nawet jeśli niepopularny - powrót do głoszenia wartości. Głoszenia wartości i pobudzania, szczególnie w młodych ludziach, poczucia godności i honoru. Trzeba powtarzać, że niehonorowo i niegodnie jest kłamać i kręcić, robić takie lub inne rzeczy. Myślę, że odwoływanie się do godności i honoru na młodych ludzi jeszcze mocno działa. Jeżeli jest już może zbyt późno na wychowanie trzydziestolatków, to należy zacząć od dwunastoletnich dzieci. Ja wierzę w potęgę wartości. Bardzo mnie przekonuje to, co na ten temat mówi Ojciec Święty. Każdy może zrobić niesłychanie wiele. Na początku tylko przez swoje zachowanie, przez budzenie szacunku do siebie, gdyż szacunek u innych ludzi uzyskamy dopiero, jeżeli siebie samych będziemy szanować. Nie można wymagać od innych szacunku, jeżeli ktoś sam siebie nie szanuje.

Niestety, zepsucie sięgnęło bardzo głęboko we wszystkich dziedzinach życia. W życiu politycznym wyraża się ono w wynoszeniu na plan pierwszy interesów grupowych nad interes ogółu. Poczucie wartości państwa jako wspólnoty jest zachwiane, o ile w ogóle istnieje. Z drugiej strony czemu tu się dziwić, jeżeli patrzę na polski parlament, w którym na pięciuset sześćdziesięciu posłów i senatorów ja jestem jedynym, który doszedł do matury przed wojną, w niepodległej Polsce. Mój kolega senator Wiesław Chrzanowski skończył szkołę w czasie wojny na kompletach. Jest ode mnie młodszy, ale przynajmniej znaczną część wychowania odebrał w przedwojennej szkole. Poza nami nie ma człowieka, który by skończył normalną polską szkołę. Czy mogę więc mieć pretensje do kogoś, że był wychowany w innym układzie, że wielu rzeczy nie wyniósł albo nie miał normalnej rodziny w tym sensie, że nie miał jako tako świadomych rodziców czy opiekunów. To są wszystko zjawiska złożone, których naprawa zabierze dużo czasu.

*Edukacja w Polsce przedwojennej była wielką szkołą patriotyzmu, który owocował wspaniałymi postawami w latach okupacji i jeszcze długo potem, w generacji ludzi przed wojną wychowanych i następnej. Patriotyzm jest zawsze ten sam, ale są różne okoliczności, w których musi funkcjonować, a w związku z tym w inny sposób może się manifestować, pewne jego elementy nabierają różnej doniosłości. Chciałbym zapytać, jakimi cechami, zdaniem Pana Profesora, powinien charakteryzować się współczesny polski patriotyzm w jednoczącej się Europie?*

Otóż myślę, że proces jednoczenia się Europy bynajmniej nie obniża wartości takich pojęć, jak ojcowizna, region, kultura lokalna, język i tradycja. Ja zawsze mówię - niektórzy mają mi to za złe - że się urodziłem człowiekiem, który jest Europejczykiem i Polakiem. Następnie z woli moich rodziców stałem się chrześcijaninem katolikiem. Tak więc dzisiaj jestem chrześcijaninem spełniającym swoje powołanie w kulturze europejskiej, której jednym

z ważnych elementów jest kultura polska, szczególnie mi droga. Nigdy nie widziałem tutaj żadnych sprzeczności.

Jak wyobrażam sobie nowoczesny polski patriotyzm? Myślę, że patriotyzmu lokalnego w ogóle nie trzeba uczyć. Patriotyzm podhalański, górnośląski, poznański istnieje już od bardzo dawna. Najmniej może odniesień ma Warszawa, bo to jest miasto zburzone i zasiedlone przez aparat i nomenklaturę z zewnątrz. Natomiast wiele innych miast, gdzie duża część ludzi żyje z pokolenia na pokolenie, pozostaje normalnymi, a to gwarantuje patriotyzm lokalny.

Natomiast, powtarzam, to raz jeszcze, odczuwam niedostatek patriotyzmu państwowego. I to nie powierzchownego przywiązania do folkloru, ale głębokiego patriotyzmu świadomego, że *Patria* - moja Ojczyzna - żyje w postaci niepodległego, suwerennego państwa i od tego zależy, jak będą żyły nasze dzieci i wnuki. Można więc na to spojrzeć również z pragmatycznego punktu widzenia. Twórzmy dobre wzorce dla naszego życia.

*Dziękujemy za rozmowę.*

## **Siła obecności - siła cierpienia**

Ksiądz Karol Wojtyła, od 1958 r. biskup, od 1964 r. arcybiskup metropolita w Krakowie, był od lat studenckich człowiekiem pióra. W Polsce pod rządami komunistów nie było dla głęboko zaangażowanego katolika, do tego duchownego, wielu możliwości swobodnego i nieskrępowanego publikowania tekstów poza czasopismami naukowo-teologicznymi. Karol Wojtyła publikował więc swoje artykuły, a pod pseudonimem Andrzej Jawień także poezje, głównie w piśmie „Tygodnik Powszechny” i w miesięczniku „Znak” w Krakowie. Z chwilą gdy został arcybiskupem, otoczył te pisma, które nie były oficjalnymi wydawnictwami Kościoła katolickiego, swoją szczególną opieką. W specyficznych warunkach życia Kościoła i laikatu katolickiego w Polsce miało to w pewnym stopniu znaczenie ochronne. Od 1957 roku byłem stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”, a od 1961 roku członkiem redakcji pisma. W następnych latach dane mi było poznać i kilkakrotnie spotkać arcybiskupa, a potem kardynała Wojtyłę - w ramach zwyczajowych spotkań z nim zespołu redakcyjnego, i raz, a może dwa, indywidualnie byłem u niego w domu.

Kardynał Wojtyła był równocześnie profesorem teologii moralnej na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie, dojeżdżał tam z Krakowa. Od 1974 r. ja również jeździłem do Lublina z mojej rodzinnej Warszawy parę razy w miesiącu. Powierzono mi wykładanie tam najnowszej historii Polski.

16 października 1978 r., w poniedziałek, jestem na zajęciach uniwersyteckich w Lublinie. Od soboty trwa w Rzymie konklawe. Oczywiście, że ciekawe jest, kto będzie następcą Jana Pawła I po tak niespodziewanie, niezwykle szybko zakończonym pontyfikacie - ledwie rozpoczętym. Ale nie jest to jednak sprawa główna w naszej ówczesnej codzienności, nawet na katolickim uniwersytecie. Tymczasem pod wieczór przychodzi z Warszawy telefoniczna wiadomość o dokonanej właśnie wyborze papieża - naszego kardynała z Krakowa. Odnotowałem wtedy - na gorąco - moje pierwsze wrażenia:

Wiadomość zaskakująca, oszałamiająca, zawiera w sobie coś niezwykłego, znak i światło nadziei, jedna z najszcześniejszych wieści w moim życiu, a może i w życiu wielu z nas. Wydarzenie historyczne, przejmujące wdzięcznością i radością, którego dziejowej doniosłości ocenić dzisiaj do końca nie jestem w stanie, ale sądzę, że może być ona większa, niż zdajemy sobie z tego sprawę.

Najdostojniejszy Elekt to człowiek niezwyklej prostoty, skromności i bezpośredniości w kontakcie z ludźmi, a przy tym rozległych zainteresowań: między innymi problemami historii i kultury, obdarzony nieprzeciętną umiejętnością formułowania myśli i precyzowania

poglądów - zestawienie walorów, cechujące tylko najwybitniejszych. Wrażliwy i gorący świadek prawdy: czarne jest czarne, białe jest białe. Rozumiejący przy tym całą złożoność postaw, sytuacji, uwarunkowań ludzkich.

Jeden z nas. Jako młodzieniec przeżywał dotkliwie i straszne lata niewoli. W Krakowie, w odległości kilkudziesięciu zaledwie kilometrów od Oświęcimia, żył, ciężko pracował fizycznie, walczył o prawo do pełnego rozwoju osoby ludzkiej - zdobywał konspiracyjnie, na tajnych studiach, wiedzę z myślą o przyszłości. W okresie wojennej nocy, w latach rzezi i niezmiernych cierpień i ofiar ludzi różnych narodowości, wyznania i poglądów podjął decyzję poświęcenia swego życia w służbie Bogu i człowiekowi.

Przeżył wśród nas i z nami trudy, zawłości, napięcia, nadzieje i doświadczenia lat powojennych jako kapłan - duszpasterz młodzieży, uczonec, pisarz, biskup, arcybiskup, wreszcie kardynał. Z troskliwością i poszanowaniem traktował inicjatywy i działania społeczne ludzi świeckich, z przyjaznym zrozumieniem opiekował się tymi, w których widział sojuszników w niełatwym nieraz dążeniu do wspólnych celów.

Nie miałem cienia wątpliwości, podobnie jak wielu innych moich kolegów i przyjaciół z Krakowa, znających dużo lepiej ode mnie kardynała Karola Wojtyłę, że osobiste doświadczenie historyczne i moralne tego wrażliwego i mądrego człowieka, którego życie przebiegało w większości (bo od września 1939 do jesieni 1978 r.) w warunkach niewoli, przymusu i władzy narzuconej siłą jego narodowi i jemu samemu - odegra bardzo ważną rolę w kolejności i sposobie podejmowania zadań najwyższego zwierzchnika Kościoła w świecie. Moje (i nasze) przeświadczenia znalazły od razu pierwsze potwierdzenia w słowach orędzia *Urbi et orbi* o otwarciu serca [...] przed wszystkimi ludźmi, którzy gdziekolwiek są uciskani, przez jakąkolwiek niesprawiedliwość lub dyskryminację, czy to w odniesieniu do gospodarki i życia społecznego, czy to w odniesieniu do życia politycznego, czy też wolności sumienia i sprawiedliwej wolności religijnej.

Niemal do przewidzenia były też słowa, które u progu pontyfikatu padły z Jego ust:

Powinniśmy dążyć wszystkimi siłami do tego, aby wszystkie formy niesprawiedliwości, które się przejawiają w naszych czasach, zostały poddane wspólnym rozważaniom w celu znalezienia środków zaradczych i aby wszyscy mogli prowadzić życie godne człowieka.

Nie było też zaskoczeniem, że pierwsza encyklika nowego pontyfikatu, *Redemptor hominis*, ogłoszona już w marcu 1979 roku, odniosła się w tak wielkim stopniu do problemu praw człowieka.

Pierwsza podróż apostolska Jana Pawła II do Polski nastąpiła stosunkowo bardzo



szybko, bo już siedem miesięcy po uroczystej intronizacji w Rzymie. Nie bardzo było wiadomo, jak to będzie wyglądało, bo przecież w tysiącletniej historii Kościoła katolickiego w Polsce nie było wizyty Ojca Świętego, a w dodatku w Warszawie (podobnie jak we wschodnim Berlinie, Budapeszcie, Bukareszcie, Pradze, Sofii) rządzą komuniści zainstalowani z woli Moskwy i od niej zależni. Polak na tronie Piotrowym, całkowicie od nich niezależny - to był swoisty szok, wydarzenie nie do przewidzenia, któremu nie mogli zapobiec.

Pierwsza wizyta Papieża w kraju rządzonym przez komunistów zaczęła się na lotnisku w Warszawie w słonecznym dniu 2 czerwca 1979 r. Nie bez trudności i tylko dzięki intensywnym staraniom niektórych osób w Episkopacie Polski udało mi się uzyskać akredytację prasową, to jest prawo nieco bliższej obecności i większej swobody w miejscach kluczowych wydarzeń wizyty. Już w pierwszej wypowiedzi na lotnisku w Warszawie usłyszałem wyczekiwane zdania Ojca Świętego:

Pozdrawiam was w imię Chrystusa tak, jak nauczyłem się pozdrawiać ludzi tutaj, w Polsce [...] - w Polsce, która należy do Europy i do ludzkości współczesnej poprzez cały tysiącletni zrąb swoich dziejów - w Polsce, która przez cały ciąg tych dziejów związała się z Kościołem Chrystusowym i ze Stolicą Rzymską szczególnym węzłem duchowej jedności.

Popołudnie - 2 czerwca 1979 r. - należy w historii tego pontyfikatu, widzianej z Polski, do chwil szczególnie niezwykłych. Wiele set tysięcy (mówiło się o milionie) ludzi z Warszawy i przybyłych tu z całego kraju wypełniło wielki plac w centrum miasta (gdzie znajduje się m.in. Grób Nieznanego Żołnierza), przylegający do placu ogród i kilka pobliskich ulic. Plac ten - nazwany w latach okupacji niemieckiej przez nazistów AdolfHitlerPlatz, a przez komunistów po drugiej wojnie światowej Placem Zwycięstwa, stać się miał tego dnia rzeczywiście Placem Zwycięstwa, ale zwycięstwa ducha nad materią i zwycięstwa Ojca Świętego nad siłami komunistycznego totalitaryzmu. W swej homilii powiedział do nas wszystkich, a więc i do mnie stojącego w tłumie, bo każdy z nas, tam obecnych, odbierał Jego słowa osobiście:

Jeśli jest rzeczą słuszną, aby dzieje narodu rozumieć poprzez każdego człowieka w tym narodzie - to równocześnie nie sposób zrozumieć człowieka inaczej jak w tej wspólnotcie, którą jest jego naród. Wiadomo, że nie jest to wspólnota jedyna. Jest to jednakże wspólnota szczególna, najbliższej chyba związana z rodziną, najważniejsza dla dziejów duchowych człowieka. Otóż nie sposób zrozumieć dziejów Narodu polskiego - tej wielkiej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas - bez Chrystusa. Jeślibyśmy odrzucili ten klucz do zrozumienia naszego Narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze

nieporozumienie. Nie rozumielibyśmy samych siebie. Nie sposób zrozumieć tego Narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, ale zarazem tak straszliwie trudną - bez Chrystusa. Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Nie sposób zrozumieć dziejów Polski, od Stanisława na Skałce do Maksymiliana Kolbego w Oświęcimiu, jeśli się nie przyłoży do niech tego jeszcze jednego i tego podstawowego kryterium, któremu na imię Jezus Chrystus.

Tysiąclecie Chrztu Polski, którego szczególnie dojrzałym owocem jest św. Stanisław - tysiąclecie Chrystusa w naszym wczoraj i dzisiaj - jest głównym motywem mojej pielgrzymki, mojej dziękczynnej modlitwy wspólnie z wami wszystkimi, drodzy Rodacy, których Jezus Chrystus nie przestaje uczyć wielkiej sprawy człowieka. Z wami, dla których Chrystus nie przestaje być wciąż otwartą księgą nauki o człowieku, o jego godności i jego prawach. A zarazem nauki o godności i prawach narodu.

Papież ukląkł wspólnie z Kardynałem Stefanem Wyszyńskim pod pozostałą resztką historycznej kolumnady, wysadzonej w powietrze przez nazistów w trakcie niszczenia Warszawy w 1944 r. Napisałem tego dnia w swojej relacji dla „Tygodnika Powszechnego” (1979, nr 23):

Przy Grobie Nieznanego Żołnierza, pod ocalałą resztą historycznej kolumnady, klęczą Ojciec Święty i Prymas Polski, ludzie z dwóch pokoleń Polaków: jeden - uczestnik tajnych prac konspiracyjnych w Krakowie w służbie kultury narodowej, w najtrudniejszym momencie jej dziejów, słuchacz tajnych studiów uniwersyteckich, jak tysiące młodzieży z Jego pokolenia, drugi - kaznodzieja i rekolekcjonista konspiracji niepodległościowej, kapelan Armii Krajowej, przed trzydziestu pięciu lat uczestnik Powstania Warszawskiego w grupie „Kampinos”. Poświęcają dłuższą chwilę skupienia i modlitwy pamięci poległych za wolność i niepodległość Ojczyzny, suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej, pamięci żołnierzy i męczenników więzień i obozów cierpiących i ginących pod różnymi szerokościami geograficznymi, także pamięci tych, których grobów nie ma, kości zetlały w obcej ziemi w lasach i piaskach, tych, których prochy rozwiały wiatr. Ludzie zgromadzeni na Placu znajdują w tej wspólnej modlitwie Jana Pawła II i Księdza Kardynała Prymasa ogromne zadośćuczynienie za cierpienia nieżyjących, za trudne doświadczenia a nieraz i upokorzenia żyjących świadków przeszłości. Toteż niezmiernie gorąco, z prawdziwym wzruszeniem, ze ściśniętym gardłem, ze łzami w oczach, przyjmą niebawem te zdania homilii, które Ojciec

Święty poświęci pamięci o przeszłości z myślą o przyszłości.

Historyczne i moralne znaczenie epizodu Wielkiej Pielgrzymki, który rozegrał się przy Grobie Nieznanego Żołnierza ocenić będziemy mogli właściwie zapewne dopiero z perspektywy czasu...

Miałem tu na myśli - czego nie mogłem wtedy napisać ze względu na obowiązującą w państwie komunistycznym, jakim była Polska w 1979 roku, cenzurę prewencyjną - całokształt wypowiedzi Ojca Świętego.

W tym ostatnie zdania homilii wypowiedziane mocnym głosem, z intonacją wskazującą dość wyraźnie na intencje mówcy:

Ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój!

I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi! Amen.

Chyba nikt z uczestniczących wówczas w tej niezwykłej mszy świętej nie wyobrażał sobie wtedy, że w czternaście miesięcy później ludzie przystąpią w Polsce z determinacją do „odnawiania oblicza tej ziemi”, że powstanie ruch ludzi pracy „Solidarność”, że jesienią 1980 roku uwidocznili się w ojczyźnie Karola Wojtyły początek zasadniczych przemian w całym bloku wschodnim, które uwieńczone zostaną - po dziewięciu, dziesięciu latach - pełnym wyzwoleniem narodów i państw środkowowschodniej Europy w latach 1989-1991.

Dalsza trasa Papieża w Polsce prowadziła do Gniezna, Częstochowy i Krakowa. Uroczystości w Krakowie zgromadziły szczególnie wielką liczbę ludzi i bardzo wielu dziennikarzy zagranicznych. Centralnie kierowane ośrodki informacji ówczesnego rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dokładały wielkich wysiłków, aby utrudnić kontakty z niezależnymi pozarządowymi źródłami informacji i wyreżyserować relacje przekazywane przez państwową telewizję i radio. Można to było nawet zrozumieć z punktu widzenia ludzi zależnych od Moskwy, bo na przykład polską telewizję można było odbierać w niektórych miejscowościach kompletnie zniewolonych politycznie republik sowieckich - Ukrainy, Białorusi i Litwy, a także w Czechosłowacji i NRD. Tym większe zadanie mieli do spełnienia obecni w Polsce dziennikarze zagraniczni. W Krakowie, w klasztorze ojców dominikanów, zorganizowano dla nich nieoficjalne punkty konsultacyjne, gdzie zaufani ludzie z kręgów Klubów Inteligencji Katolickiej, redakcji „Tygodnika Powszechnego” i katolickiego miesięcznika „Znak”, szczególnie bliskiego Karolowi Wojtyłce, służyli im pomocą. Sam opiekowałem się dziennikarzami kręgu języka niemieckiego, odpowiednią pomocą językową francuską, angielską i włoską zajmowały się inne osoby, także polscy studenci filologii

obcych z uniwersytetu w Krakowie. Spotkać mnie miało przeżycie niezwykle, pierwszy kontakt z bliską z Karolem Wojtyłą jako Ojcem Świętym. W siedzibie arcybiskupów krakowskich Jan Paweł II spotkał się z niewielkim gronem dwudziestu - trzydziestu osób, znanych Mu osobiście redaktorów bliskiej Mu prasy katolickiej oraz działaczy kilku istniejących wtedy w Polsce Klubów Inteligencji Katolickiej. Byłem prawdziwie uszczęśliwiony, że biorę w tym udział. Spotkanie było całkowicie nieformalne, staliśmy półkolem, a Ojciec Święty podchodził i zamieniał kilka zdań z każdym z nas. Gdy podszedł do mnie, usłyszałem: „O, pan Bartoszewski, jak tam u pana?” Odpowiedziałem: „Dziękuję, Ojciec Święty - w normie”. „O, to niedobrze” - odrzekł z miną zatroskaną i dotknął opiekuńczym gestem mojej ręki. Wiedziałem, że On wie o moich małych trudnościach z policją polityczną i cenzurą państwową, ale jednak zaskoczyła mnie nieco ta niezwykle trafna, a zwięzła konstatacja i pamięć o sprawach człowieka; nie należałem przecież do najbliższego Mu grona.

Zupełnie szczególne znaczenie miała dla mnie możliwość bycia z Janem Pawłem II w Auschwitz i Birkenau. Podest z ołtarzem ustawiono w Birkenau na tych samych torach kolejowych, którymi pociągi przywoziły ofiary na zagładę. Wielki krzyż na podeście uwieczniono drutem kolczastym, a z ramienia krzyża zwisały strzępy materiału niebieskobiałego, takiego jak ten, z którego robiono niegdyś uniformy („pasiaki”) dla więźniów. Papież odprawił tu mszę świętą dla tłumu liczącego milion ludzi. Mszę koncelebrowali księża i biskupi, którzy byli więzieni w nazistowskich kacetach w czasie wojny. Myślałem wtedy o tym, czego byłem świadkiem jako osiemnasto, dziewiętnastoletni więzień KL Auschwitz, nr 4427, a przede wszystkim o tych, którzy nie przeżyli, a których umierania byłem świadkiem. Wydawało mi się, że doznaję szczególnej satysfakcji wynagradzającej wszystkie cierpienia i trudy życia, gdy słuchałem Jego słów:

Czyż ktoś na świecie może się jeszcze dziwić, że papież, który tu na tej ziemi urodził się i wychował, papież, który przyszedł na Stolicę Piotrową z Krakowa, z tej archidiecezji, na terenie której znajduje się obóz oświęcimski, że ten papież pierwszą encyklikę swego pontyfikatu zaczął od słów „Redemptor hominis” - i że poświęcił ją w całości sprawie człowieka, godności człowieka, zagrożeniom człowieka - prawom człowieka wreszcie! Niezbывalnym prawom, które tak łatwo mogą być podeptane i unicestwione... przez człowieka! Wystarczy ubrać go w inny mundur, uzbroić w aparat przemocy, w środki zniszczenia, wystarczy narzucić mu ideologię, w której prawa człowieka są podporządkowane wymogom systemu... podporządkowanie bezwzględnie, tak że faktycznie nie istnieją.

Przychodzę więc i klękam na tej Golgocie naszych czasów, na tych mogiłach w

ogromnej mierze bezimiennych, jak gigantyczny grób Nieznanego Żołnierza. Klękam przy wszystkich po kolei tablicach Brzezinki, na których napisane jest wspomnienie ofiar Oświęcimia w następujących językach: polskim, angielskim, bułgarskim, cygańskim, czeskim, duńskim, francuskim, greckim, hebrajskim, jidysz, hiszpańskim, flamandzkim, serbochorwackim, niemieckim, norweskim, rosyjskim, rumuńskim, węgierskim, włoskim.

Zatrzymam się wraz z wami, drodzy uczestnicy tego spotkania, na chwile przy tablicy z napisem w języku hebrajskim. Napis ten wywołuje wspomnienie narodu, którego synów i córki przeznaczono na całkowitą eksterminację. Naród ten początek swój bierze od Abrahama, który „jest ojcem wiary naszej” (por. Rz 4,12), jak się wyraził Paweł z Tarsu. Ten to naród, który otrzymał od Boga Jahwe przykazanie „Nie zabijaj”, w szczególnej mierze doświadczył na sobie zabijania. Wobec tej tablicy nie wolno nikomu przejść obojętnie.

I jeszcze jedna tablica - wybrana... Tablica z napisem w języku rosyjskim. Nie dodaję żadnego komentarza. Wiemy, o jakim narodzie mówi ta tablica. Wiemy, jaki był udział tego narodu w ostatniej straszliwej wojnie o wolność ludów. I wobec tej tablicy nie wolno nam przejść obojętnie.

I wreszcie tablica w języku polskim. Polaków zginęło w czasie ostatniej wojny sześć milionów: jedna piąta część narodu. Jeszcze jeden etap wiekowych zmagania się tego narodu, mojego narodu, o podstawowe swoje prawa wśród narodów Europy. Jeszcze jeden głośny krzyk o prawo do własnego miejsca na mapie Europy. Jeszcze jeden bolesny rozrachunek z sumieniem współczesnej ludzkości.

Towarzyszyłem w czasie tego wydarzenia w Birkenau kilkorgu dziennikarzom niemieckim i austriackim, między innymi Angeli Nacken z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Tłumaczyłem im na żywo niektóre fragmenty homilii. W autokarach, którymi wracaliśmy potem z Oświęcimia do Krakowa, panowała grobowa cisza.

Minąć miało od tych wydarzeń aż szesnaście lat, zanim spotkałem Ojca Świętego zupełnie bezpośrednio. W ciągu tych lat wysyłałem do Watykanu moje kolejne książki po polsku i po niemiecku, wydawane także przez „Herdera”, informowałem o niektórych wydarzeniach w życiu kulturalnym. Byłem dłuższy czas sekretarzem generalnym polskiego Pen Clubu, gdzie organizowaliśmy także wieczory poświęcone twórczości i myśli Karola Wojtyły. Otrzymywałem z Sekretariatu Stanu krótkie potwierdzenia przesyłek.

Okoliczności mojej biografii tak się jednak dziwnie ułożyły, że w początku marca 1995 r., w okresie gdy prezydentem Polski był Lech Wałęsa, zostałem niespodziewanie dla siebie samym ministrem spraw zagranicznych suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej. Nuncjusz apostolski w Warszawie przyjął to z nieukrywanym zadowoleniem.

3 listopada 1995 r. Ojciec Święty przyjął mnie na audiencji prywatnej. Nasza rozmowa w cztery oczy trwała nieco ponad pół godziny, bo gdy drzwi się lekko uchyliły, dokładnie po trzydziestu minutach, dostojny gospodarz szepnął mi żartobliwie: „Udawajmy, że nie słyszymy”.

Z największą uwagą, jak zawsze dawniej, wysłuchiwał uwag o sytuacji w Polsce. Znalazł się też czas na odwołanie do wspomnień i doświadczeń młodości, formacji wychowawczej i szkoły - programów i nauczycieli, którzy kształtowali nasze pokolenie w przedwojennej Polsce. Była to niezwykle ujmująca, bardziej ośmielająca niż onieśmielająca rozmowa dwu ludzi - wielkiego w naszym odczuciu Papieża z jednym ze zwykłych członków Kościoła. Ale także Polaka z Polakiem, obu doświadczonych pamięcią o rzeczach i sprawach zwyczajnych w epoce już na ogół niepamiętanej, obu wiedzących także o różnych swych doświadczeniach w okresie drugiej wojny światowej i po niej. Gdy opuszczałem komnatę, byłem utwierdzony w przekonaniu, że w swej działalności publicznej wybrałem właściwą drogę, choć wprost ani jedno słowo na ten temat nie zostało powiedziane.

W kilku następnych latach widywałem Ojca Świętego i w Rzymie, i w Warszawie z daleka, ale nie miałem okazji do bezpośredniego kontaktu, choć pośrednio odczuwałem z nim szczególny kontakt osobisty: w czerwcu 1999 roku obok stu siedmiu innych męczenników beatyfikował w Warszawie ks. Romana Archutowskiego, w latach 1930-1937 jednego z moich wychowawców, dyrektora Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki. Ksiądz Archutowski był jednym z męczenników hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Majdanek w Lublinie. Wtedy wróciła myśl o naszych szkołach i wychowawcach, jeden z tematów rozmowy w Watykanie w 1995 r.

W lecie dwutysięcznego roku, po czteroipółrocznej przerwie zostałem ponownie ministrem spraw zagranicznych. W lutym 2001 r. znalazłem się w Rzymie specjalnie i tylko po to, aby móc skorzystać z gotowości udzielenia mi audiencji przez Ojca Świętego. Tym razem rozmowa w cztery oczy trwała czterdzieści pięć minut, dotyczyła zarówno spraw Polski, jak i świata, bieżących i odleglejszych w czasie. Pozostanie dla mnie ważna na zawsze. Relacjonować jej nie będę.

W rok później obchodziłem w Warszawie w gronie przyjaciół osiemdziesięciolecie urodzin. Niewątpliwie najważniejszym i najpiękniejszym podarunkiem, jaki w tym dniu otrzymałem, był list od Ojca Świętego odczytany publicznie przez przedstawiciela Nuncjatury Apostolskiej.

Ojciec Święty dostrzegł w mojej „działalności społecznej i dyplomatycznej - zwłaszcza wszystkie wysiłki na rzecz zbliżania ludzi i narodów” i wyraził pogląd, że starałem

się „budować świat lepszy, oparty na prawdzie, sprawiedliwości, miłości i wolności”. Szczególnie ważnym jednak wyrazem wiedzy i pamięci o kolejach życia drugiego człowieka, w tym wypadku moich, było zdanie tego listu o owocach życia „zrodzonych również na gruncie cierpienia”.

Powiedział to Wielki Człowiek, Człowiek, który nadaje cierpieniu niezwykły sens w swojej służbie Bogu. I jest w tym zdaniu mądrość o sensie cierpienia, która pozostanie głęboko w sercu aż do końca moich dni.

## **Nota od wydawcy**

### ***Warto być przyzwoitym***

- [pierwsze niemieckie wydanie z przedmową Reinholda Lehmana] *Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich anständig zu sein*, Herder Verlag, FreiburgBaselWien 1983

- [pierwsze wydanie krajowe - w drugim obiegu; nieautoryzowany przekład z wydania niemieckiego] *Jesień nadziei. Warto być przyzwoitym*, Wydawnictwo „Spotkania”, Lublin 1984.

- [pierwsze autoryzowane wydanie w języku polskim] *Warto być przyzwoitym. Szkic do pamiętnika*, Editions Spotkania, Paryż 1986.

- [pierwsze oficjalne wydanie krajowe] *Warto być przyzwoitym*, w: *Warto być przyzwoitym. Teksty osobiste i nieosobiste*, W drodze, Poznań 1990.

### ***Polskie Państwo Podziemne 1939-1945. Zarys problemu***

- [pierwsze wydanie w obiegu niezależnym] Towarzystwo Kursów Naukowych, Warszawa 1980.

***Tajna prasa w okresie okupacji niemieckiej 1939-1945 i jej rola w życiu społeczeństwa***

- W: *Na warsztatach historyków polskiej myśli politycznej*, WrocławWarszawa 1980.

### ***Znak Polski Walczącej***

- „Stolica” 1959 nr 13; przedruk w: *Na drodze do niepodległości*, Editions Spotkania, Paryż 1987, s. 131-134.

### ***Lata wojenne Stanisława Herbsta***

- „Znak” 1975 nr 11/12.

### ***Oblicze kultury polskiej w konspiracji***

- W: *Inter arma silent Musae. Wojna i kultura 1939-1945*, Warszawa 1982.

### ***Kilka uwag o Powstaniu Warszawskim***

- [Przedmowa do:] *Andrzej K. Kunert, Rzeczpospolita Walcząca. Powstanie Warszawskie 1944. Kalendarium*, Warszawa 1994.

### ***Wystąpienie na uroczystości otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego,***

***31 lipca 2004***

- z archiwum Autora.

***Przemówienie wygłoszone na uroczystościach państwowych z okazji sześćdziesiątej rocznicy Powstania Warszawskiego, 1 sierpnia 2004***

- „Rzeczpospolita” 3. 08. 2004.

***Wystąpienie na uroczystości sześćdziesiątej rocznicy oswobodzenia więźniów KL***



## ***AuschwitzBirkenau***

- z archiwum Autora.

### ***Polacy - Żydzi - wojna - okupacja (Myśli o stosunkach polskożydowskich)***

- W: *Polacy - Żydzi 1939-1945. Wybór źródeł*, Warszawa 2001.

### ***O Towarzystwie Kursów Naukowych. Rozmowa z Władysławem Bartoszewskim***

- „Studium Papers” nr 3.

### ***Głos w dyskusji na Kongresie Kultury Polskiej, 12 grudnia 1981***

- „Puls” nr 20, Londyn 1983/1984.

### ***Pokój za wszelką cenę?***

- W: *Frieden*, München 1983.

### ***Dokąd idziemy?***

- „Pamiętnik Literacki” (Londyn) 1983/1984 nr 8.

### ***Nie ma pokoju bez wolności. Przemówienie na uroczystości wręczenia***

***Nagrody Pokojowej Księgarstwa Niemieckiego 1986 we Frankfurcie nad Menem, 5 października 1986***

- „Kultura” (Paryż) 1986 nr 11 (470).

***Przemówienie Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Bartoszewskiego na specjalnej sesji Bundestagu i Bundesratu 28 kwietnia 1995 w Bonn***

- Warszawa 1995, MSZ

### ***Człowiek przyzwoity jest zawsze na początku swojej drogi - vir bonus semper tiro***

- W: Władysław Bartoszewski, *Ponad podziałami. Wybrane przemówienia i wywiady, lipiecgrudzień 2000*, Warszawa 2001.

### ***Zapobiegać u progu***

- W: Władysław Bartoszewski, *Wspólna europejska odpowiedzialność. Wybrane przemówienia i wywiady, styczeń - lipiec 2001*, Warszawa 2001.

### ***Pojednanie - odpowiedzialność i odwaga***

- W: Władysław Bartoszewski, *Wspólna europejska odpowiedzialność. Wybrane przemówienia i wywiady, styczeń - lipiec 2001*, Warszawa 2001.

### ***Wierzę w potęgę wartości***

- „Azymut” 1998 nr 6.

### ***Siła obecności - siła cierpienia***

- W: *Te chwile tworzą historię. Spotkania z Janem Pawłem II*, Kielce 2004.

## **Indeks nazwisk**

Abelard  
Abernon de, lord  
Abraham  
„Adam Ordega” zob. Hulewicz Jan  
Adenauer Konrad  
Amsterdamski Stefan  
Andrzejewski Jerzy  
Anielewicz Mordechaj  
Archutowski Roman, ks., bł.  
Arciszewski Tomasz  
Arczyński Ferdynand Marek  
Art Zbigniew  
Arystoteles  
Ash Timothy Garton  
Augustyński Zygmunt  
Bacewicz Grażyna  
Bach Żelewski von dem Erich, SSObergruppenführer, gen. policji  
Baczak Waldemar  
Baczyński Krzysztof  
Badowski Kazimierz  
Bagiński Kazimierz  
Bajkowski Jan  
Baliński Stanisław  
Bańkowskie Anna i Danuta, zaprzyjaźniona rodzina  
Bardecki Andrzej, ks.  
Barthel Gustav, dr  
Bartoszewska ze Zbiegniewskich Beata matka autora  
Bartoszewska Zofia, żona autora  
Bartoszewski Władysław „Teofil”  
Bartoszewski Władysław, ojciec autora  
Bazylewski Wiktor  
Bąk Wojciech  
Bea Augustin, kard.

Beck Józef, minister  
Bednorz Herbert, bp  
Beethoven Ludwig van  
Begin Menachem  
Ben Gurion Dawid  
Berenstein Tatiana  
Berezowski Stanisław  
Beria Ławrentij  
Berka Waclaw, płk  
Berman Adolf  
Bernhardt Waclaw, dr  
Beynar Lech zob. Jasienica Paweł  
Bielecki Czesław  
„Bieniewski” zob. Herbst Stanisław  
Bień Adam, „Walkowicz”  
Bieńkowski Witold  
Bieńkowski Władysław  
Bilek Mieczysław  
Bogucka Teresa  
Bogucki mjr, wiceprokurator  
Bojarski Waclaw  
Bornholtz Tadeusz  
Borowski Tadeusz  
Borowy Waclaw, prof.  
Borwicz Michał  
Bossowski Jan J.  
BoyŻeleński zob. Żeleński Boy Tadeusz  
„Bór” zob. Komorowski Tadeusz  
Böll Heinrich  
Brandt Willy  
Brandys Marian  
Braun Jerzy  
Brodowska Helena, prof.  
Broniewski Władysław

„Bronisława” zob. Domańska Bogna  
Brumer Jan, pisarz bloku  
Brumer Wiktor, ojciec Jana  
Bryła Stefan, prof.  
Brystiger Julia  
Buber Martin  
Buczek Roman  
Bujak Zbigniew  
Bukowiński Władysław, ks.  
Bulanda Władysław, prof.  
Burek Tomasz  
Burek Wincenty  
Burzmiński Józef  
Buzek Jerzy  
Bytnar Jan „Rudy”  
Carsten Peter Johannes, SSSturmbannführer  
Celiński Andrzej, sekretarz TKN  
Cergowski Jan „Sławbor”, płk  
Cergowski Wiesław, syn Jana  
Chaciński Józef  
Chamberlain Neville  
Chmaj Ludwik, prof.  
Chojnacki Piotr, ks. prof.  
Chojnacki Władysław  
Chopin Fryderyk  
Choróbski Ludwik  
„Chrobot” zob. Herbst Stanisław  
Chruściel Antoni „Monter”, gen.  
Chruszczow Nikita  
Chrzanowski Ignacy, prof.  
Chrzanowski Wiesław  
Churchill Winston  
Ciechanowski Jan, prof.  
Cieszyński Antoni, prof.

Cierniak Jędrzej  
Cieślewski Tadeusz  
Ciołkosz Adam  
Ciołkoszowa Lidia  
ConradKorzeniowski Joseph  
Cukerman Icchak  
Cynkałowski  
Cyryl Jerozolimski, św.  
Cywiński Bohdan  
Czaki Hanna  
Czaki Tytus, Jadwiga, rodzice Hanny  
Czapski Józef  
Czarnowski Eugeniusz  
Czaykowski Andrzej „Garda”, rtm.  
Czerniakow Adam  
Czubalski Franciszek, prof.  
Davies Norman, prof.  
Dawidowicz Aleksander  
Dawidowski Maciej Aleksy „Alek”  
Dąbrowski Jan  
Dąbrowski Stefan  
Dejmek Kazimierz  
Dirlewanger Oskar, SSOberführer  
Długosz Władysław  
DługoszowskiWieniawa zob. WieniawaDługoszowski Bolesław  
Dmowski Roman  
Dobraczyński Jan  
Dobraniecki Stanisław  
Dobrosielski Marian  
Dobroszycki Lucjan  
Dobrowolski Adam  
Dobrzaniecki Władysław, dr  
DołęgaModrzewski zob. Kauzik Stanisław  
Domańska Bogna „Bronisława”

„Dorota” zob. Załęska Aniela  
Drabik Wincenty  
Drawicz Andrzej  
Dreszer Edward, lekarz  
Dreżepolska Ewa  
Drzewiecki Zbigniew  
Dubiska Irena  
DuninWąsowicz Krzysztof  
Duraczyński Eugeniusz  
Dürrenmatt Friedrich  
Dzierżyński Feliks  
Dziębowska Elżbieta  
Eden Anthony  
Eichmann Adolf  
Eisenbach Artur  
Eisenhower Dwight  
Ekier Jan  
Engels Erich, SSHauptsturmführer  
Essmanowski Stefan  
Estreicher Karol, prof.  
Estreicher Stanisław, prof.  
Feiner Leon  
Fiedler Arkady  
Fieldorf August Emil, gen.  
Fischer Ludwig, gubernator dystr. warszawskiego  
Franciszek św.  
Frank Hans  
Frey Dagobert, prof.  
Friedmann Filip  
Friszke Andrzej  
Fritsch (Fritzsch) Karl  
Gajcy Tadeusz  
Galen Clemens August von, bp kard.  
Gałczyński Konstanty Ildefons

„Garda” zob. Czaykowski Andrzej  
Garliński Czesław  
Garliński Józef  
Gaulle Charles de  
Gawroński Ryszard  
Gąsiorowska Natalia, prof.  
Geibel Paul Otto, SSBrigadeführer, dca SS i policji na dystr. warszawski  
Genscher HansDietrich  
Geremek Bronisław  
Giedroyć Jerzy  
Gierek Edward  
Gieysztor Aleksander, prof.  
Gieysztor Marian „Krajewski”, prof.  
Ginott Haim  
Glemp Józef, kard.  
Głogowski Karol  
Głowiński Michał  
Goebbels Joseph  
Goethe Johann Wolfgang von  
Goldman Roman  
Goldszmit Henryk, dr zob. Korczak Janusz  
Golka Bartłomiej  
Gombrowicz Witold  
Gomulicka Maria  
Gomulicki Juliusz Wiktor  
Gomułka Wiesław  
Gorazdowski Jan, płk  
Gore Albert  
Górecki Juliusz  
„Górecki” zob. Kamiński Aleksander  
GórskaRomanowiczowa zob. RomanowiczowaGórska Zofia  
„Górski” zob. Ratajski Cyryl  
Göring Hermann, marszałek Rzeszy  
Grabicki Alojzy

Grajek Stefan  
Gregorkiewicz Edmund, ks.  
Grek Jan, prof.  
Gross Jan Tomasz  
Gross Zygmunt  
„Grot” zob. Rowecki Stefan  
Grycz Józef  
GryczowaKawecka Alodia  
Grzędziński January  
Guardini Romano  
Guderian Heinz, gen. Wehrmachtu  
Guerquin Bohdan  
Gulbinowicz Henryk, abp  
Gutman Israel  
Gwiazdomorski Jan  
Hahn Ludwig, SSSsturmbannführer  
Handelsman Marcei, prof.  
Hartman Stanisław  
Hass Ludwik  
Hausner Gideon  
Hebda Michał, prof., płk  
Hecht G.  
Heine Heinrich  
Hennelowa Józefa  
Herbański Adam  
Herbst Stanisław, prof., „Chrobot”, „Bieniewski”, „Wilhelm”  
Herbst, ojciec Stanisława  
Herzog Roman  
Heydel Adam, prof.  
Heydrich Reinhard, SSObergruppenführer  
Hillebrandt Bogdan  
Himmler Heinrich, Reichsführer SS  
Hirszfeld Ludwik  
Hitler Adolf



Hlond August kard., prymas Polski  
Hoensch Jörg K.  
Hulewicz Jan „Adam Ordega”  
Humer Adam  
Hübner Zygmunt  
Jacewicz Wiktor  
Jacobmeyer Wolfgang  
Jan XXIII, papież  
Jan Paweł I, papież  
Jan Paweł II, papież  
Janiczek Jan  
Jankowski Jan Stanisław, inż., delegat rządu RP na kraj, wicepremier  
Jaracz Stefan  
Jarowiecki Jerzy  
Jaruzelski Wojciech  
Jasienica Paweł  
Jasiukowicz Stanisław „Opolski”  
Jaspers Karl  
Jastrun Mieczysław  
Jawień Andrzej zob. Jan Paweł II  
Jaworska Janina  
JaxaBykowski Ludwik, prof.  
Jedlicki Jerzy  
Jegliński Piotr  
Jellonek Andrzej  
Jeziorański Zdzisław zob. Nowak Jan  
Johansson Sten  
Józefski Henryk „Olgierd”  
J.S. zob. Sienkiewicz Jerzy  
Junger Friedrich G.  
Kaczyński Lech  
Kalandyk Stanisław, prof.  
Kamiński Aleksander „Górecki”  
Kann Maria

Kapitaniak Zygmunt  
KaraszewiczTokarzewski Michał, gen.  
Karski Jan  
Karsten  
Kasia S. zob. Struszkiewiczówna Katarzyna  
Kasznica Stanisław, prof.  
Kauzik Stanisław  
KaweckaGryczowa zob. GryczowaKawecka  
Kazuro Stanisław  
Kądziela Łukasz  
Kąkol Kazimierz  
Kennard Howard, ambasador W. Brytanii  
Kermish Joseph  
Kersten Krystyna  
Kęcik Marzena  
Kępiński Antoni, prof.  
Kieniewicz Stefan  
Kijowski Andrzej  
Kiliński Jan  
Kimontt Aldona  
Kinderleben  
Kinkel Klaus  
Kirchmayer Jerzy, gen.  
Kisielewski Stefan  
Kiszczak Czesław  
Klemensiewicz Zenon, prof.  
Klich Edward, prof.  
Kłoczowski Jerzy, prof.  
Kobyłański Kazimierz  
Kohl Helmut  
Kolbe Maksymilian, o. OFConv, święty  
Kollek Teddy  
Kończowski Stefan, prof.  
Kołąkowski Leszek

Komorowski Tadeusz „Bór”, gen.  
Konarski Kazimierz  
Kontrym Bolesław „Żmudzin”  
Kopaliński Władysław zob. Stefczyk Jan  
Kopelew Lew  
Kopernik Mikołaj  
Korboński Stefan „Nowak”, „Zieliński”,  
Korczak Janusz  
Korotyński Brunon W.  
Korzeniewski Bohdan  
Korzeniowski Conrad zob. Conrad Korzeniowski  
Kosibowicz Edward, o. TJ  
Kossak Zofia  
Kostanecki Kazimierz, prof.  
Kostrzewski Józef, prof.  
Kościuszko Tadeusz  
Kotarbiński Tadeusz, prof.  
Kotlarczyk Mieczysław  
Kowalczyk Honoriusz, o. OP  
Kowalczyk Józef abp, nuncjusz apostolski  
Kowalenko Władysław  
Kowalik Tadeusz  
Kowalska Anka  
Kozielewski Jan zob. Karski Jan  
Kozielewski „Robak”  
Krahelska Halina  
Krajewska Elżbieta  
„Krajewski” zob. Gieysztor Marian  
Kraska Anna  
Krasuski Józef  
Kraus Antoni, dr  
Krenz Jan  
Krukowski Kazimierz „Lopek”  
Krukowski Włodzimierz, prof.

KrysiakowaUzar Ludwika „Myszka”, „Lusia” (strażniczka więzienna)

Krzyżanowski Julian, prof.

Kuczma Tadeusz, dr

Kuczyński Waldemar

Kula Witold

Kułakowski Tadeusz

Kumaniecki Kazimierz, prof.

„Kuncewicz” zob. Makowiecki Jerzy

KunickiGoldfinger Władysław

Kunert Andrzej Krzysztof

Kuraszkiewicz Władysław, prof.

Kuroń Jacek

Kuryluk Karol

Kutrzeba Stanisław, prof.

Küdlich Werner

Kwiatkowski Maciej

Kwiatkowski Tadeusz

Labuda Gerard

Landau Ludwik

„Lech” zob. Rodkiewicz Stefan

Lehmann Reinhold

LehrSplawiński Tadeusz, prof.

Lerski Jerzy

Lessing Gotthold Efraim

Lewinówna Zofia

Lichten Józef

Linnerz Heinz

Lipiński Edward, prof.

Lipiński Eryk

Lipski Jan Józef

Longchamps de Berrier Roman, prof.

Lorentz Stanisław

Luciani Albino zob. Jan Paweł I

„Lusia” zob. KrysiakowaUzar Ludwika

Lutosławski Witold

Lüttwitz Smilo von, gen. Wehrmachtu

Łabędź Leopold

Łodyński Marian

Łomnicki Antoni, prof.

Łukasiewicz Juliusz, ambasador RP w Paryżu

Łukasiewicz Małgorzata

Łużycki A, dr zob. Chojnacki Władysław

Madajczyk Czesław, prof.

Maier Hans

Majski Iwan

Majzuls

Makowiecki Jerzy „Tomasz” „Malicki” „Kuncewicz”

Makowiecki Tadeusz

„Malicki” zob. Makowiecki Jerzy

Maliński Mieczysław, ks.

Małecki Mieczysław, prof.

Małowist Marian

Manteuffel Tadeusz, prof.

Marcjalis

MarczakOborski Stanisław

Marczewski Edward

Marczewski Jerzy

Markowski Andrzej

Mars Anna Maria

Marsch Renata

Martyniak Czesław

Mataczyński Maciej

Mazowiecki Tadeusz

Meisinger Joseph, SSStandartenführer komendant policji i służby bezpieczeństwa w

Warszawie

Mering Jerzy

Metallmann Joachim, doc.

MeyerHeisig Erich, dr

Mianowski Józef  
Micewski Andrzej  
Michałowski Stanisław  
Michnik Adam  
MiedzaTomaszewski Stanisław  
Mierzwa Stanisław  
Mikołajczyk Stanisław  
Mikołajska Halina  
Mikułowski Tadeusz, nauczyciel niemieckiego  
Milówkowa  
Miłaszewski Stanisław  
Miłosz Czesław  
Młynar Zdenek  
Młynarski Wojciech  
Moczarski Kazimierz  
Mojżesz  
Mołotow Wiaczesław  
„Monter” zob. Chruściel Antoni  
Montini Giovanni Battista zob. Paweł VI papież  
Moraczewski Adam  
Moszyński Remigiusz  
Mościcki Ignacy, prezydent RP  
Mroczkowski Włodzimierz  
Mussolini Benito  
Mühlmann Josef  
Mühlmann Kai, SSStandartenführer  
Müller, SSObersturmbannführer  
„Myszka” zob. KrysiakowaUzar Ludwika  
Nacken Angela  
Naimski Piotr  
Najder Zdzisław  
Nałkowska Zofia  
Natanson Wojciech  
Niechaj Michał, ks.

„Niedźwiadek” zob. Okulicki Leopold

Noe

Norwid Cyprian

Nossol Alfons, ks.

„Nowak” zob. Korboński Stefan

Nowak Jan, lekarz

Nowak Jan, prof.

Nowak Marek

NowakJeziorański Jan

Nowakowa Irena

Nowicki Witold

Nowotny Gustaw

OchniczCzerniewska Maria, lekarka

Okulicki Leopold „Niedźwiadek”, gen.

Olszewski Antoni

„Opolski” zob. Jasiukowicz Stanisław

Orlikowska Celestyna

Ormicki Wiktor, doc.

Orzechowski Marian

OsóbkaMorawski Edward

Ossowska Maria, prof.

Ossowski Stanisław, prof.

Ostrowski Kazimierz

Ostrowski Tadeusz, prof.

Otto Günther, dr

Paczkowski Romuald

Paderewski Ignacy

Pajdak Antoni „Traugutt”

Pancer Maria, prokurator

Panufnik Andrzej

Parandowski Jan

Paweł z Tarsu, św.

Paweł VI, papież

Pawełczyńska Anna, prof.

Pawłowski Stanisław, prof.  
Pelczyńska Wanda  
Pelczyński Tadeusz, gen.  
Peres Shimon  
Persson Göran, premier Szwecji  
Perykles  
Piber Andrzej  
Piekalkiewicz Jan, prof.  
Pieńkowski Stefan, prof.  
Pieronek Tadeusz, bp  
Pilat Stanisław, prof.  
Pilecki Witold  
Piłsudski Józef  
Piotrowski Stanisław  
Pius XI, papież  
Piwarski Kazimierz  
Płaczkowski Aleksander  
Płoski Stanisław  
PobógMalinowski Władysław  
Pokora Wojciech  
Poleski Maciej zob. Bielecki Czesław  
Policha Leopold  
Pollak Roman, prof.  
Pollhammer Karl, dr  
Posadzy Ludwig  
Pospieszalski Karol Maria, prof.  
Posse Hans  
Potocki Maurycy, hr.  
Powell Collin  
Präg Werner  
Prekerowa Teresa  
Prescott John  
Prihoda Rudolf  
Pronobis Witold



Próchnik Adam  
Przelaskowski Ryszard  
Przygoński Antoni  
Pszon Mieczysław  
Pużak Kazimierz  
Raczkiewicz Władysław, prezydent RP na uchodźstwie  
Raczyński Edward, amb. RP w Londynie, min. spraw zagr., prezydent RP na uchodźstwie  
Raczyński Kajetan, o. OSPPE  
Radkiewicz Stanisław  
Rafacz Józef, prof.  
Raszewski Zbigniew  
Ratajski Cyryl „Wrzos”, „Wartski”, „Górski”  
Ratti Achille zob. Pius XI  
Rau Johannes, przewodniczący Bundesratu  
Regamey Konstanty  
Reicher Michał, prof.  
Reinefarth Heinz, SS Gruppenführer, wyższy dca SS i policji w Kraju Warty, dca grupy bojowej tłumiącej Powstanie Warszawskie  
Rek Tadeusz  
Ribbentrop Joachim von  
Richter Klemens, prof.  
Ringelblum Emanuel  
Rode Maksymilian, ks.  
Rodkiewicz Stefan „Lech”  
Roger z Taizé, brat  
Rokossowski Konstanty, gen.  
Romaniuk Kazimierz  
RomanowiczowaGórska Zofia  
Romanowski, płk  
Roncalli Angelo Giuseppe zob. Jan XXIII, papież  
Roosevelt Franklin Delano  
Rosenberg Alfred  
Rostocki Władysław

Rostworowski Tomasz, o. TJ  
Rowecki Stefan „Grot”, gen.  
Rómmel Juliusz, gen.  
Różański Józef  
Rubinstein Artur  
Rudnicka Zofia  
„Rudy” zob. Bytnar Jan  
Rutkowski Adam  
Rutkowski Bronisław  
Rybarski Roman, prof.  
RydzŚmigły Edward, gen., marszałek Polski  
Rzepecki Jan, płk, Sakowska Ruta  
Salmonowicz Stanisław  
Samoraj (gosp. z Wilanowa)  
Sapieha Adam Stefan, abp  
Sawajner Józef  
Sawicka Stanisława  
Sawicki Jakub  
Sawicki Witold  
Scheel Walter  
Schiller Friedrich  
Schiller Leon  
Schmidt Willi, płk  
Schmitt Carl  
Schneider Reinhold  
Scholl Hans, Sophie  
Schröder Gerhard  
Schulenburg Friedrich von der  
Schumann Robert  
Schwan Gesine, prof.  
Schweitzer Albert  
Sandlerowa Irena  
SeyssInquart Arthur  
Siedlecki Michał, prof.

Siemieński Józef  
Sienkiewicz Henryk  
Sienkiewicz Jerzy  
Sieradzki Włodzimierz, prof.  
Sierotwiński Stanisław  
Sierpiński Wacław, prof.  
Sievers Wolfram, SSSturmbannführer  
Sikorski Władysław, gen., naczelny wódz PSZ  
Singer Izaak Bashevic  
Skierkowska Elżbieta  
Skowronek Alfons, ks.  
Skubiszewski Krzysztof, prof.  
Skwarnicki Marek  
Słanina Leon  
„Sławbor” zob. Cergowski Jan  
Sławiński Janusz  
Słonimski Antoni  
Słowacki Juliusz  
Sobeski Michał, prof.  
Sokołowska Wanda  
Sołowij Adam, prof.  
Sosnowska Władysława Józefa żona Oskara  
Sosnowski Oskar, prof.  
Sosnowski, syn Oskara  
Sosnowski Witold  
Sójka Tomasz  
Sperber Manes  
Srocki Bolesław  
Staff Leopold  
Stahel Reiner, gen. Luftwaffe  
Stalin Józef  
Stanisław św. zob. Szczepanowski Stanisław  
Stanowski Adam  
Starzyński Stefan

Stażewski Henryk  
Stefczyk Jan  
Stein Edith, św.  
Steinsbergowa Aniela  
Stemler Józef  
Sternbach Leon, prof.  
Stola Dariusz  
Stolpe Manfred  
Stomma Stanisław  
Stożek Włodzimierz, prof.  
Straszewska Maria, prof.  
Stroiński Zdzisław  
Strug Andrzej  
Struszkiewiczówna Katarzyna  
Strzelecki Jan  
Stypułkowski Zbigniew  
Suchodolski Witold  
Sukiennicki Wiktor  
Suwała Halina  
Süssmuth Rita, przewodnicząca Bundestagu  
Sydry Stefan, ks., MIC  
Symonowicz Antoni  
Szablowski Jerzy  
Szafer Władysław, prof.  
Szaflik Józef Ryszard  
Szajnocha Karol  
Szarota Tomasz  
Szczepanowski Stanisław, św.  
Szczepański Jan Józef  
Szczotka Stanisław  
Szczypiorski Andrzej  
Szmydtowa Zofia  
Szpakowski Edward  
Szpakowski Zdzisław

Szturm de Sztrem Tadeusz  
Szubert Waclaw  
Szulkin Michał  
Szuman Norbert  
Szurig Jerzy  
Szymanowski Antoni  
Szymański Antoni, ks.  
Szyszkowski Waclaw  
Śliwiński Leon  
Śmiech Romuald  
Śmigiel Kazimierz  
ŚmigłyRydz zob. RydzŚmigły  
Takliński Władysław, prof.  
Tatarkiewicz Władysław, prof.  
Tazbir Mieczysław  
Tenhumberg Heinrich, bp  
Terej Jerzy  
Terlecki Ryszard  
Terlecki Tymon  
Tito Josip Broz  
Tokarzewski Michał zob. KaraszewiczTokarzewski  
Tołwiński Tadeusz, prof.  
„Tomasz” zob. Makowiecki Jerzy  
Tomaszewski Miedza zob. Miedza Tomaszewski Stanisław  
Tomkiewicz Władysław, prof.  
Topiński Jan  
„Traugutt” zob. Pajdak Antoni  
Trepiński Antoni  
Trościanko Wiktor  
Trzebiński Andrzej  
Turlejska Maria  
Turowicz Jerzy  
Turski Zygmunt  
Tuwim Julian

Tymieniecki Kazimierz, prof.  
Tymiński Piotr  
Tyszka Andrzej  
Umiastowski Roman, płk  
Umińska Eugenia  
Urbański Franciszek  
Vieweger Teodor, prof.  
Vormann Nicolaus von, gen. Wehrmachtu  
Voss Hermann, prof.  
Wajda Andrzej  
Wajnszok  
Walczak Marian  
Walicki Michał  
„Walkowicz” zob. Bień Adam  
Wałęsa Lech  
Wańkowicz Melchior  
„Wartski” zob. Ratajski Cyryl  
Wasilewska Wanda  
WąsowiczDunin zob. DuninWąsowicz Krzysztof  
Weber Max  
Weizsäcker Richard von  
Wejroch Jacek  
Werner Andrzej  
Wertheim Stanisław  
Wetzel Eduard  
Widerszal Ludwik  
Wieczorek Wojciech  
Wieczorkiewicz Antoni  
WieniawaDługoszowski Bolesław, gen.  
Wiernik Jankiel  
Wiesel Elie  
Wiesenthal Szymon  
Wikariak Jan  
Wilczańska Wanda

„Wilhelm” zob. Herbst Stanisław  
Wilk Antoni  
Wilkanowicz Stefan  
Wilson Woodrow  
Wiłkomirska Maria  
Wiłkomirski Kazimierz  
Witos Wincenty  
Włodek Jan, prof.  
Wojciechowski Zygmunt, prof.  
Wojewódzki Michał  
Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II  
Woliński Henryk  
Woroszyński Wiktor  
Wosiek Lilka (Maria)  
Woś Jan  
Woźniakowski Jacek  
„Wrzos” zob. Ratajski Cyryl  
Wrzosek Adam, prof.  
Wycech Czesław  
Wyka Kazimierz  
Wyszyński Stefan, kard., prymas Polski  
Zabiełło Stanisław  
Zachwatowicz Jan  
Zagórski Jerzy  
Zagórski Waław  
Zajczykowie (rodzina)  
Załęska Aniela „Dorota”  
Załęski Grzegorz  
Zambrowski Roman  
Zaorski Jan, doc.  
Zarański Jan  
Zaremba Zygmunt  
Zarembina Natalia  
Zaręba Alfred

Zaręba Maria  
Zawadzki Tadeusz „Zośka”  
Zawistowski Mieczysław  
Zbiegniewska Józefa  
Zbiegniewski Mieczysław Eligiusz  
Zieja Jan, ks.  
„Zieliński” zob. Korboński Stefan  
Zięba Maciej, o. OP  
Zimand Roman  
„Zośka” zob. Zawadzki Tadeusz  
Zweibaum Juliusz, prof.  
Zwierzyński Aleksander  
Żarnecki Jerzy  
ŻeleńskiBoy Tadeusz  
Żelewski Erich zob. BachŻelewski Erich  
Żencykowski Tadeusz  
Żeromski Stefan  
„Żmudzin” zob. Kontrym Bolesław  
Żółkiewski Stefan  
Żuławski Juliusz  
*Przygotowała Zofia Bartoszevska*



